S.C. Gwynne

IMPERIUM KSIĘŻYCA W PEŁNI

WZLOT I UPADEK KOMANCZÓW

Tymczasem Indianie odkryli fantastyczną zawartość magazynów: ubrania, tkaniny i materiały, parasolki, kapelusze (...). [Komancze] przybyli do miasta w bluzach ze skór zwierzęcych i przepaskach biodrowych. Wyjechali w cylindrach, wysokich butach z wyprawionej skóry i drogich frakach ze lśniącymi mosiężnymi guzikami, założonych tył na przód, a więc zapiętych z tyłu. Zabrali ze sobą perkal i kolorowe wstążki, którymi przyozdobili włócznie, wpletli je także koniom w ogony. Grupa, która opuszczała Linnville i kierowała się znowu w kierunku Victorii, wyróżniała się malowniczością – niczym kropla jaskrawego koloru w morzu ciernistych krzewów południowego Teksasu.

W Serii Amerykańskiej ukaże się m.in.:
David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Już w księgarniach:
Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*
Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*
Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*
Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*
Johnny Cash *Cash. Autobiografia*
Allen Ginsberg *Listy*
Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*
William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*
Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*
Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary
Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*

S. C. GWYNNE

IMPERIUM KSIĘŻYCA W PEŁNI

Wzlot i upadek Komanczów

Przekład i redakcja naukowa Bartosz Hlebowicz

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2015

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Empire of the Summer Moon: Quanah Parker and the Rise and Fall of the Comanches, the Most Powerful Indian Tribe in American History*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by Bettmann / CORBIS / Fotochannels
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by S. C. Gwynne, 2010
All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2015
Copyright © for the Polish translation by Bartosz Hlebowicz, 2015
Copyright © for the map by Bartosz Hlebowicz and d2d.pl

Redakcja Marta Höffner
Korekta Elwira Zapałowska / d2d.pl i Zuzanna Szatanik / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Zuzanna Szatanik / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-078-9

SPIS TREŚCI

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto
Wstęp

ROZDZIAŁ PIERWSZY Nowy rodzaj wojny
ROZDZIAŁ DRUGI Śmiercionośny raj
ROZDZIAŁ TRZECI Zderzenie światów
ROZDZIAŁ CZWARTY Wielka samotność
ROZDZIAŁ PIĄTY Skowyt wilka
ROZDZIAŁ SZÓSTY Krew i dym
ROZDZIAŁ SIÓDMY Wizje senne i apokalipsa
ROZDZIAŁ ÓSMY Biała squaw
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Ścigając wiatr
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Niewinne oblicze śmierci
ROZDZIAŁ JEDENASTY Wojna na śmierć i życie
ROZDZIAŁ DWUNASTY Biała królowa Komanczów
ROZDZIAŁ TRZYNASTY Droga Quanaha do wielkości
ROZDZIAŁ CZTERNASTY Barbarzyńskie wojny
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY Pokój i inne okropności
ROZDZIAŁ SZESNASTY Anty-Custer
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY Kontratak Mackenziego
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY Łowcy skór i mesjasz
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY Wojna nad Rzeką Czerwoną
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY Do przodu, choć przegrany
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY To był człowiek
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI Spoczywa tu, nim powieje wieczorny wiatr

Bibliografia
Przypisy końcowe
Przypisy
Kolofon

Dla Katie i Maisie

Pustynny wiatr obsypie ich szczątki solą i nie zostanie nic, ni duch, ni pieśniarz, który opowiedziałby wędrującemu pielgrzymowi, jak to się stało, że w tym miejscu żyli ludzie i tutaj pomarli.

CORMAC MCCARTHY, *Krwawy południk*, przeł. R. Sudół

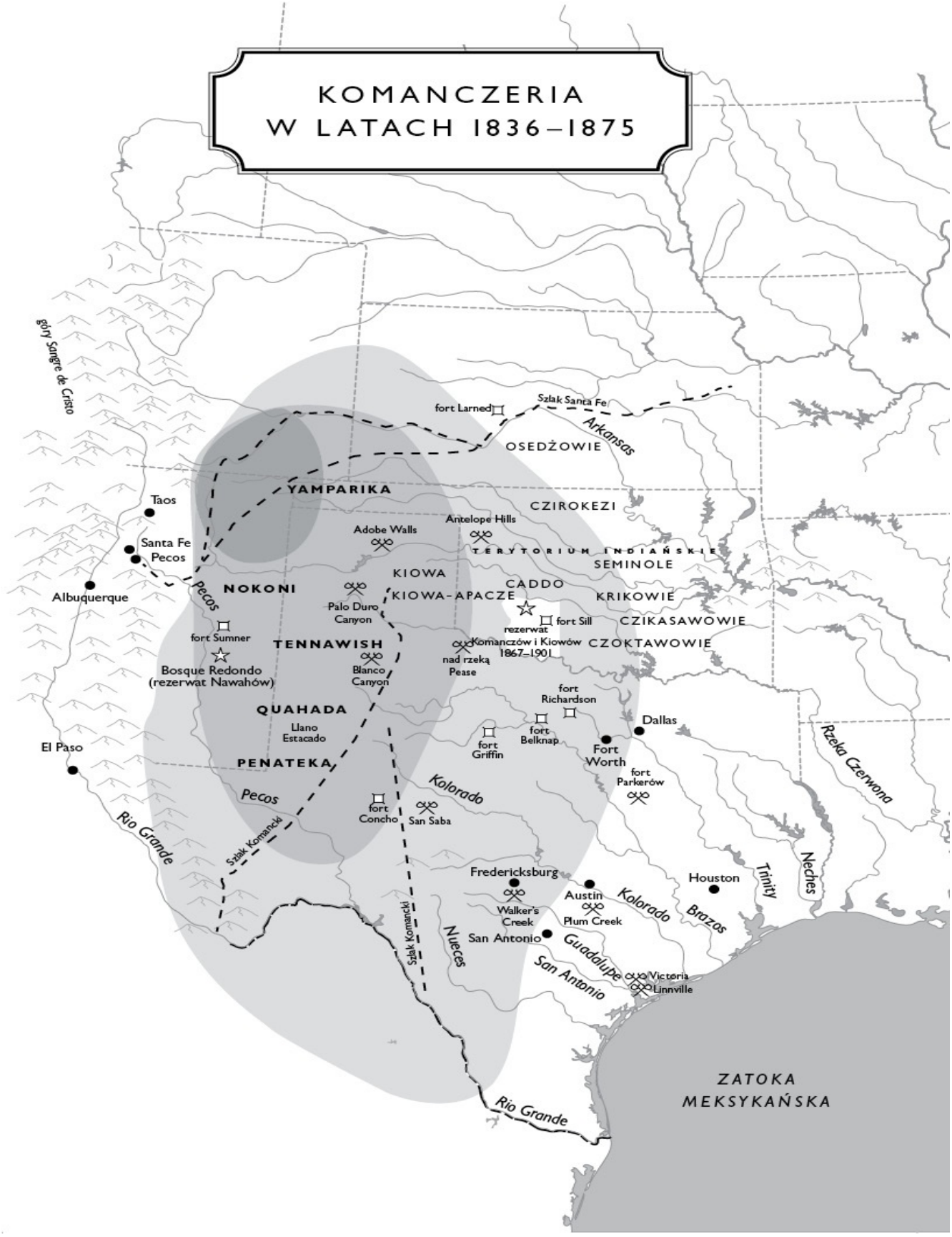
KOMANCZERIA
W LATACH 1836–1875
góry Sangre de Cristo
fort Larned
Szlak Santa Fe
Arkansas
OSEDŻOWIE
YAMPARIKA
CZIROKEZI
Taos
Antelope Hills
Adobe Walls
Santa Fe
Pecos
TERYTORIUM INDIAŃSKIE
SEMINOLE
KIOWA
CADDO
Albuquerque
NOKONI
KIOWA-APACZE
KRIKOWIE
Palo Duro Canyon
rezerwat Komanczów i Kiowów 1867–1901
fort Sill
CZIKASAWOWIE
fort Sumner
TENNAWISH
nad rzeką Pease
CZOKTAWOWIE
Bosque Redondo (rezerwat Nawahów)
Blanco Canyon
fort Richardson
QUAHADA
Llano Estacado
Dallas
fort Belknap
fort Griffin
El Paso
Fort Worth
PENATEKA
fort Parkerów
Rzeka Czerwona
Kolorado
Pecos
fort Concho
San Saba
Rio Grande
Szlak Komancki
Fredericksburg
Houston
Trinity
Neches
Austin
Kolorado
Walker's Creek
Plum Creek
Brazos
San Antonio
Guadalupe
Nueces
San Antonio
Victoria
Linnville
Szlak Komancki
ZATOKA MEKSYKAŃSKA
Rio Grande

WSTĘP

Najazd grupy Komanczów i Kiowów na fort Parkerów w maju 1836 roku stał się jednym z najgłośniejszych wydarzeń w historii Amerykańskiego Zachodu, które z czasem obrosło w kolejne interpretacje i zniekształcenia, przeradzając się w mit. *Poszukiwacze* – wybitny i kontrowersyjny western Johna Forda z 1956 roku – został zainspirowany właśnie historią Cynthii Ann, dziewczynki porwanej podczas krwawego ataku na osadę białych pionierów na teksaskim pograniczu. O ile jednak Ford nie umiał, czy też nie chciał wyjść poza mit i ostatecznie kazał głównej bohaterce z radością przyjąć perspektywę powrotu do białej rodziny i społeczeństwa, o tyle prawdziwa Cynthia Ann nigdy – o ile nam wiadomo – nie pragnęła wrócić do swej białej rodziny i wszystko wskazuje na to, że gdy została do tego zmuszona, straciła ochotę do życia.

Historia ataku na fort Parkerów jest punktem wyjścia barwnej opowieści S. C. Gwynne'a. Trzeba to zaznaczyć od razu: barwnej opowieści, a nie rozprawy historycznej czy antropologicznej. Opowieści inspirowanej atmosferą książek Cormaca McCarthy'ego (Gwynne daje wyraz fascynacji twórczością McCarthy'ego, umieszczając na początku swojej książki motto z pysznej powieści tego autora zatytułowanej *Krwawy południk*). Różnica polega na tym, że Gwynne trzyma się historii Komanczów (co nie znaczy, że jego interpretacje zawsze zgadzają się z tezami badaczy dziejów tego ludu) i stara się pokazać, że była ona właśnie taka, jak w powieściach o Komanczach: pasjonująca, gwałtowna, krwawa i tragiczna. I jest w tym przekonujący.

Wśród atakujących fort Parkerów był Peta Nocona, wyróżniający się przywódca Komanczów, którego żoną została Cynthia Ann i z którą miał trójkę dzieci, w tym Quanaha. Quanah stał się bodaj najsłynniejszym przywódcą Komanczów, zyskując uznanie swych ludzi (czyli odłamu Quahada / Kwahadi) na początku lat siedemdziesiątych XIX wieku i zdobywając pozycję wodza wszystkich Komanczów już po osiedleniu się tego ludu w rezerwacie na Terytorium Indiańskim (dzisiejsza Oklahoma), co nastąpiło w 1875 roku. Rok wcześniej Quanah był jednym z tych, którzy powiedli Komanczów, Kiowów i Szejenów do zakończonego niepowodzeniem ataku na faktorię handlową łowców bizonich skór w Adobe Walls. Gwynne często obsadza

Quanaha w głównej roli w swej narracji o walkach, najazdach i ucieczkach Komanczów w ostatnich latach ich życia na swobodzie. Jednak Quanah zyskał rozgłos dopiero wtedy, gdy się poddał i został skutecznym liderem jednej z grup w agencji Komanczów i Kiowów, hodowcą bydła, popularyzatorem kultu pejotlu, zręcznym mediatorem między swoim ludem a amerykańską administracją w rezerwacie i wreszcie – z błogosławieństwem rządowego agenta – najważniejszym wodzem Komanczów. O tych wszystkich sprawach Gwynne także wspomina, ale świadomy istnienia biografii Quanaha, która skupia się na życiu wodza w rezerwacie (autorstwa historyka Williama T. Hagana, szczęśliwie również wydanej po polsku[1]), znacznie więcej uwagi poświęca jego działaniom (tym znanym i tym domniemanym) sprzed 1875 roku. Tu widać różnicę między warsztatem historyka (Hagan), niewychodzącym poza źródła, które uznaje za wiarygodne, a pełną pasji metodą dziennikarza (Gwynne pracował między innymi w „Texas Monthly", „Time", a ostatnio w „The Dallas Morning News"), który na użytek swej opowieści wykorzystuje każde dostępne źródło w sposób zdecydowanie mniej krytyczny niż historyk. Hagan bardzo skrótowo opisuje młodość Quanaha z tego prostego powodu, że niewiele możemy się o niej dowiedzieć. Quanah Gwynne'a to już w młodości nieustraszony wojownik, zdolny przywódca i wyśmienity strateg, a jego losy i polityczne manewry po osadzeniu w rezerwacie mają – jak się wydaje – drugorzędne znaczenie.

Jednak to nie Quanah, syn Cynthii Ann Parker i Pety Nocony, stanowi główny temat książki, ale są nim Komancze jako lud, ich dojście do potęgi i upadek.

Komancze ustępują sławą Siuksom czy Apaczom. Czytelnik, który choć w małym stopniu interesuje się Indianami Ameryki Północnej, zapewne czytał o wojnach z Siuksami i Szejenami i być może obiły mu się o uszy takie nazwy, jak Sand Creek, Little Bighorn, Wounded Knee czy Taniec Ducha, albo takie imiona, jak Siedzący Byk, Szalony Koń, Czerwona Chmura[2], Cochise czy wreszcie Geronimo. Ale kto słyszał o wojnie nad Rzeką Czerwoną, bitwach w Palo Duro Canyon i w Adobe Walls albo o takich wodzach, jak Quanah Parker, Eschiti (Isa-tai), Esahabbe czy Garb Bizona? Choć Indianie z reguły unikali otwartych starć z armią amerykańską, preferując partyzancki styl walki (Komancze w szczególności upodobali sobie najazdy na domostwa osadników), czasem do nich dochodziło, na przykład gdy zmuszeni byli do obrony swych osad przed atakiem żołnierzy. Tak właśnie zaczęła się słynna bitwa nad Little Bighorn w 1876 roku, zakończona unicestwieniem oddziału podpułkownika Custera przez broniących się Siuksów, Szejenów i Arapahów. Inne głośne wydarzenie, atak na wioskę Szejenów nad Sand Creek w 1864 roku, zakończyło się masakrą Indian, dokonaną przez pijanych ochotników. Masakra Fettermana (1866), w której Oglalowie

Czerwonej Chmury wycięli w pień oddział żołnierzy, była efektem indiańskiej zasadzki, a nie zakończeniem regularnej bitwy. Komanczom w starciach z białymi nie dane było uczestniczyć w jednorazowych rzeziach na taką skalę (choć zdarzało się, że biali wybijali stada komanckich koni, jak po bitwie w Palo Duro Canyon w 1874 roku), co może tłumaczyć ich mniejszą „sławę". Komancze przeszli więc do historii nie jako zaciekli obrońcy ojczyzny i wolności, ale jako okrutni najeźdźcy i łupieżcy, przeszkadzający w postępie cywilizacji „Euroamerykanów". W tym sensie najazd na fort Parkerów stał się dla białych Amerykanów „wydarzeniem epitomizującym" – streszczającym i upraszczającym bardziej złożony proces historyczny. Jak zauważa historyk Komanczów Pekka Hämäläinen, w powszechnym odbiorze (za co niemałą odpowiedzialność ponoszą wcześniejsi amerykańscy historycy, tacy jak Walter Prescott Webb, Rupert Norval Richardson czy T. R. Fehrenbach) stali się oni patologicznymi najeźdźcami, uosobieniem dzikiej, brutalnej siły, niemal elementem natury, groźnym jak śmiercionośna pustynia, wichura czy pożar[3]. I chociaż Gwynne stara się rysować nieco bardziej skomplikowany obraz tego ludu (wspomina o rozległej sieci handlowej, której byli częścią, o ich dyplomacji czy życiu codziennym), to wyraźnie widać, że najbardziej interesuje go militarny aspekt ich kultury i dziejów. Komancze Gwynne'a to przede wszystkim skuteczni i okrutni wojownicy, mściciele i oprawcy. Autor na szczęście próbuje choć częściowo wyjaśnić ich okrucieństwo: skutecznie hamowało postęp osadnictwa Amerykanów, a w niektórych okresach wręcz je cofało, przedłużając tym samym swobodne życie Indian na Wielkich Równinach.

Podkreślanie tego aspektu kultury „władców Równin Południowych" może jednak nieco przesłonić pełny obraz Komanczów. Bez wszechstronnych umiejętności adaptacyjnych i przemyślanej polityki zagranicznej nie mogliby stworzyć – jak twierdzi Hämäläinen – „imperium" (które to określenie przejmuje od niego Gwynne). Jeśli jakikolwiek lud indiański w XVIII i XIX wieku zasługuje na to określenie, to są nim właśnie Komancze, a nie Siuksowie czy Apacze. Wbrew złej legendzie i negatywnemu westernowemu wizerunkowi Komancze nie byli bezładną masą reagującą automatycznie agresją na zagrożenie z zewnątrz. Swoje imperium zbudowali zgodnie z innym wzorem niż ten, który znamy z imperiów europejskich – organizmów świadomie dokonujących podbojów terytoriów i wchłaniających kolejne ludy przy pomocy zastępów świetnie wyszkolonych wojowników. Różnorodne czynniki, nie tylko wojowniczość i najazdy Komanczów, sprawiły, że przez ponad sto lat, do połowy XIX wieku, faktycznie dominowali oni na Równiniach Południowych, paraliżując północne prowincje Meksyku (Nowy Meksyk i Teksas), blokując napływ amerykańskich

osadników ze wschodu i przepędzając ludy indiańskie (Osedżów, Apaczów, Nawahów, Ute i inne), wykorzystując je (na przykład Pueblo) jako źródło ważnych dla siebie towarów bądź zawierając z nimi sojusze militarne (Ute, Kiowa). Tak naprawdę nie można powiedzieć, że Komancze mieli „odwiecznych wrogów" (albo „odwiecznych przyjaciół") – nawet ze „znienawidzonymi" Tonkawami potrafili zawiązać sojusz przeciw Meksykanom, a najwierniejszych sprzymierzeńców w XIX wieku, czyli Kiowów, komanccy informatorzy jeszcze w latach trzydziestych XX wieku wspominali jako „wrogów" (którymi faktycznie byli do przełomu XVIII i XIX wieku, kiedy poszczególne grupy Komanczów stopniowo zawarły z nimi sojusz). W grę wchodziły tu czynniki obiektywne: położenie geograficzne[4], elastyczna organizacja polityczna i kultura, wprowadzenie konia, umiejętność wykorzystania tych wszystkich czynników i twórczego zaadaptowania wytworów cywilizacji anglosaskiej na własne potrzeby, a także dyplomacja i handel (końmi, skórami bizonów, niewolnikami). Wdzierając się na południową część Wielkich Równin, Komancze zajmowali terytorium między rywalizującymi potęgami: na południe i na zachód od nich znajdowały się hiszpańskie i meksykańskie osiedla Nowego Meksyku i Teksasu, a na wschód od tych terenów Francuzi i biali Amerykanie podejmowali próby kolonizacji. W zależności od potrzeb Komancze zawierali polityczne i handlowe sojusze z jednymi, kierując się przeciw drugim, i zmieniali je, kiedy przestawały im być potrzebne. Otoczeni zewsząd różnymi nacjami, zarówno tubylczymi, jak i pochodzącymi z Europy (południowe Wielkie Równiny, na które wkroczyli Komancze z początkiem XVIII wieku, już były terytorium pogrążonym w chaosie wskutek ścierania się wpływów państw kolonialnych), mieli też dostęp do wielu rozmaitych rynków handlowych, co potrafili wykorzystać lepiej niż inne półosiadłe ludy tubylcze, takie jak Apacze, Caddo czy Wichita. Zdaniem Hämäläinena działo się tak dzięki niesamowitej zdolności ich kultury do przystosowywania się: jako nomadom łatwiej przychodziło im przekształcanie strategii ekonomicznych i zwyczajów tak, aby zawsze wygrywać rywalizację z innymi.

Jak podkreśla Gwynne, najważniejszym elementem, który przyswoili i wykorzystali z zadziwiającą skutecznością, był koń, znany im już na początku XVIII wieku (odpowiedzialni za rozprzestrzenienie się koni w południowo-zachodniej części kontynentu byli Hiszpanie). Dzięki niemu piesi nomadzi przeobrazili się w konnych koczowników i pasterzy. W ten sposób wielokrotnie zwiększyli swoją efektywność w walce, powierzchnię kontrolowanych terytoriów (najazdy łupieżcze można było organizować na znacznie większą skalę i odległość), potrzebnych do wypasu coraz większych stad koni i mułów, a także uzyskali dostęp do odległych rynków. Hämäläinen zauważa, że polowanie na bizony – stanowiące podstawę wyżywienia (ale także źródło

materiału na ubrania, pokrycia namiotów zwanych tipi czy naczynia) większości ludów równinnych – w połączeniu z hodowlą koni było „najintensywniejszym systemem produkcji energii na Wielkich Równinach w historii". Konie, pasione znakomitą trawą rosnącą na pastwiskach na południe od rzeki Arkansas, znacznie ułatwiały polowanie, a większa liczba upolowanych bizonów z jednej strony wymuszała liczniejsze najazdy w celu pozyskiwania niewolników, czyli nowych rąk do pracy przy obrabianiu zabitych zwierząt, z drugiej zaś napędzała wymianę handlową, dzięki czemu Komancze uzyskiwali bogatą w węglowodany żywność: warzywa i zboża od Meksykanów i Indian Wichita oraz towary europejskie, takie jak broń, proch i wyroby z żelaza (do czasu wynalezienia i produkcji rewolwerów Colta, a zwłaszcza haubic górskich, często się zdarzało, że Komancze przeważali pod względem uzbrojenia nad swymi białymi przeciwnikami). Ich populacja rosła w oczach, ich imperium powiększało się i umacniało.

Warto jeszcze wspomnieć o organizacji społecznej i politycznej Komanczów, jednym z najistotniejszych czynników umożliwiających utworzenie komanckiego imperium. Gwynne zauważa, że nazywanie ich plemieniem „w sensie jednej politycznej całości z głównym wodzem, a także – zapewne – kadrą świeckich i wojennych pomniejszych wodzów, wykonujących jego rozkazy" jest mylące (inna sprawa, że taka definicja pasowałaby także do antropologicznej koncepcji wodzostwa). Hämäläinen w swej wszechstronnej analizie historii i organizacji społecznej Komanczów przekonuje jednak, że mieli oni skomplikowaną hierarchię ważniejszych i mniej ważnych wodzów (*paraibos*), przywódców powiązanych siecią sojuszy z innymi przywódcami: *tu̶bitsinahaitsIn̶u̶s* („prawdziwymi przyjaciółmi") oraz *~~haits~~* („formalnymi przyjaciółmi"), choć nie mieli oczywiście instytucji „naczelnego wodza" czy „króla", jak na przykład nazywali Cuerna Verdego Hiszpanie. Ich pierwszym i zarazem ostatnim głównym wodzem został Quanah Parker, i to dopiero po osiedleniu się Komanczów w rezerwacie. Niektórzy badacze uznają, że najwłaściwiej charakteryzuje Komanczów termin „wspólnota" (*community*): Komanczami byli i są wszyscy posiadający kompetencje komunikacyjne (należy do nich między innymi znajomość kontekstu społecznego i wzorów komunikowania się), pozwalające im utrzymywać regularne kontakty i więcej niż powierzchowne relacje z innymi członkami tego plemienia[5]. Inny ważny badacz Komanczów, antropolog Thomas W. Kavanagh, posługuje się określeniem „plemię" z braku – jego zdaniem – lepszego terminu, choć zaznacza, że nie należy go traktować jako zastygłej w formie jednostki organizacji społecznej. Organizacja społeczna Komanczów w istocie podlegała dynamicznym zmianom, czego najlepszym przykładem było rozbicie większych grup na liczne małe

grupy w latach trzydziestych XVIII wieku, by zapewnić coraz liczniejszym stadom komanckich koni jak najlepsze możliwości wypasu. To wtedy podstawową jednostką społeczną Komanczów stała się *nʉmʉnahkahnis* – grupa lokalna, składająca się z jednej lub więcej rodzin rozszerzonych[6]. Z „plemieniem" jest jednak inny problem: w tradycji antropologii ewolucjonistycznej z określeniem tym wiązała się cecha niższości, plemionami nazywano wszelkie ludy pozaeuropejskie, nieznające „cywilizacji" i słabiej rozwinięte niż narody europejskie. Z tego powodu właściwszym określeniem Komanczów byłby neutralny termin „lud", oznaczający wspólnotę ludzką posiadającą odrębny język, obyczaje, własną nazwę i terytorium [7]. Z tego punktu widzenia ludem są i Komancze, i Polacy i nie ma potrzeby przypisywania im konkretnych miejsc na żadnej skali rozwojowej.

Jak wyglądała organizacja społeczna Komanczów w okresie przedrezerwatowym, czyli tym, na którym skupia się Gwynne? Socjolog Morris W. Foster wyróżnia pięć jednostek społecznych: 1) rodzinę rozszerzoną (mężczyzna – głowa rodziny ze swoją rodziną oraz jego bracia z rodzinami), zamieszkującą razem; 2) grupę rezydencyjną czy lokalną (*residence/local band*) albo z hiszpańskiego rancherię – kilka rodzin rozszerzonych, skupionych wokół głównej rodziny rozszerzonej, której najważniejszy mężczyzna był zarazem przywódcą całej grupy. Zamieszkiwała ona wspólnie jakieś terytorium i mogła liczyć od czterdziestu−pięćdziesięciu do dwustu osób w połowie XIX wieku[8]; 3) odłam (*division*) – grupy lokalne zamieszkujące wspólne, większe terytorium. W przeciwieństwie do *bands* relacje między członkami tych większych jednostek najczęściej nie były bezpośrednie, a członkowie jednego odłamu nie żyli wszyscy w jednej grupie; 4) grupę, która formowała się z członków różnych grup lokalnych na określony czas w celu wykonania określonego zadania (na przykład zaatakowania silniejszego wroga), a potem się rozwiązywała; 5) wspólnotę Komanczów, czyli osób porozumiewających się tym samym językiem[9]. Najważniejszym odniesieniem dla każdego Komancza była jego grupa lokalna, to z jej członkami miał do czynienia na co dzień przez większą część roku, ale trzeba też pamiętać, że członkostwo w niej było bardzo płynne: ludzie zmieniali grupę przy zawieraniu małżeństw, na skutek różnic zdań między jej członkami, z powodu utraty autorytetu przez przywódcę grupy czy dla lepszego wykorzystania źródeł pożywienia[10]. Podobnie wielkie odłamy ulegały przekształceniom: dzieliły się lub łączyły, znikały i dawały początek nowym. Zróżnicowanie wprowadzone przez Fostera staram się stosować w tłumaczeniu niniejszej książki, zastępując angielskie *band* czy *group* określeniem „odłam" (*division*) tam, gdzie jest oczywiste, że chodzi o tę jednostkę społeczną (czyli na przykład odłamy Quahada, Penateka, Yamparika,

Kotsoteka czy Tennawish). Określenie „grupa lokalna” zachowuję dla mniejszych jednostek, czyli *bands* (Gwynne używa określenia *bands* zarówno wtedy, gdy pisze o grupach lokalnych, jak i wtedy, gdy mowa o odłamach). Jednak wszystkie grupy Komanczów były złączone poczuciem odrębności od innych (nazywali siebie Nermernuh – w ortografii komanckiej Nʉmʉnʉʉ albo *Nɜmɜnə*, wymawiane „numina” – co oznaczało „Ludzi” albo „Naszych Ludzi”), wspólnym językiem, kulturą, pokrewieństwem. Elementem łączącym były też na przykład stowarzyszenia wojowników wywodzących się z różnych grup.

Łowiecko-pasterski sposób życia Komanczów zmuszał ich do funkcjonowania w małych grupach, czy też na odwrót – małe grupy umożliwiały kontynuowanie tego sposobu życia. Stosunkowo duże odległości dzielące grupy pozwalały również na skuteczną obronę wielkiego terytorium. Przywódcy grup z różnych odłamów spotykali się regularnie w czasie wielkich zgromadzeń Komanczów[11] i wtedy podejmowali decyzje dotyczące całego ludu, związane z wojną, handlem lub dyplomacją. Taki system – z jednej strony niezależność na poziomie grup lokalnych, z drugiej ich współpraca w obrębie odłamów oraz tymczasowe koalicje poszczególnych odłamów, a nawet koalicje z innymi ludami, budowane w reakcji na konkretne wyzwania – przesądził o dominacji Komanczów w południowej części Wielkich Równin aż do momentu, kiedy ich imperium zostało ostatecznie złamane przez imperium amerykańskie (Komancze, jak pokazuje Gwynne, zostali pokonani nie tyle na polach bitew, ile ekonomicznie: masowa rzeź stad bizonów, rozstrzeliwanie stad ich koni i palenie wiosek zniszczyły podstawy ich utrzymania i zmusiły do szukania schronienia w rezerwacie).

W książce często pojawiają się takie nazwy, jak Wielkie Równiny, Wysokie Równiny, Równiny Południowe, Równiny Północne, Wschodnie Wybrzeże, Środkowy Zachód. Wszystkie one są nazwami krain kulturowo-geograficznych i dlatego pisane są wielką literą, z wyjątkiem fragmentów, w których głównym celem autora jest scharakteryzowanie krajobrazu (na przykład „wysokie równiny”), a nie wskazanie na krainę geograficzną. Określenie „Amerykański Zachód” w polskiej literaturze zapisywane jest na różne sposoby: tutaj zdecydowałem się na wielkie litery, traktując to określenie nie tylko jako wskazanie kierunku (bo oczywiście chodzi tu o dużo więcej), lecz także jako nazwę krainy – powiedzmy – geograficzno-mitycznej. A więc z jednej strony to nazwa konkretnego regionu geograficznego, a z drugiej – przestrzeni na poły mitycznej, której wyobrażenia odciskały się na pragnieniach pokoleń osadników i do dzisiaj przenikają nasze myślenie o podboju Ameryki, postawach, charakterze, sposobie życia i etosie amerykańskich pionierów – jednym słowem,

unikalnej kulturze, powstałej w zderzeniu ludzkich marzeń z surową naturą i rdzennymi mieszkańcami zachodu Ameryki. Rzeka Czerwona, znana choćby z pamiętnego filmu Howarda Hawksa z 1948 roku z Johnem Wayne'em i Montgomerym Cliftem, zachowuje tu swoje polskie brzmienie, choć być może w bardziej naukowych pozycjach ktoś mógłby się upierać przy pozostawieniu nazwy Red River.

Indianie północnoamerykańscy nazywani są coraz częściej *Native Americans*, co w polskiej literaturze oddaje się zwykle jako „tubylczy Amerykanie", czasem także „rdzenni Amerykanie". Wszystkie te trzy określenia stosowane są tu zamiennie i traktowane – podobnie jak we współczesnej literaturze indianistycznej w języku angielskim traktowane są nazwy *American Indians*, *Native Americans*, *Indians* czy *indigenous people* – jako określenia neutralne. W tekście pojawiają się też wyrażenia wzięte z dawnych koncepcji ewolucjonistycznych i dziś uznawane za pejoratywne – na przykład autor często pisze o „dzikich Komanczach", „stanie niższego barbarzyństwa" czy „nieznających cywilizacji" plemionach północnego Meksyku. Oczywiście tłumacz nie może tu ingerować: to autor bierze odpowiedzialność za dobór słownictwa.

Kultura Komanczów w książce Gwynne'a jawi się jako nieskomplikowana, pozbawiona między innymi znaczących ceremonii, stowarzyszeń wojennych, oparta na koczowniczym trybie życia oraz wojnie. Przykładem może być powtórzona za badaczami Wallace'em i Hoebelem teza o nieznajomości Tańca Słońca[12], uznawanego za jeden z najbardziej typowych obrzędów Indian Wielkich Równin (ci sami badacze wymieniają jednak szereg innych ważnych ceremonii u Komanczów). Rzecz jasna występowanie lub brak konkretnej ceremonii nie może świadczyć o poziomie „cywilizacji" danej grupy. Jak słusznie zauważa William C. Meadows, zachowało się zbyt mało danych, by przyporządkować wielkie świąteczne zgromadzenia Komanczów do antropologicznego ideału Tańca Słońca, ale wiemy, że – tak jak inne ludy Wielkich Równin – mieli własne wielkie integrujące ceremonie, pod wieloma względami tożsame z obrzędami Tańca Słońca, lepiej opisanymi u innych plemion, w których uczestniczyły całe odłamy albo części różnych odłamów tego ludu[13]. Twierdzenia o radykalnym nomadyzmie Komanczów można podważyć, zauważając, że od połowy grudnia do połowy kwietnia komanckie rancherie opuszczały otwarte równiny, łączyły się i osiedlały w zalesionych dolinach rzeki Arkansas i Rzeki Czerwonej, gdzie znajdowały stałe źródło pożywienia dla swych stad koni i mułów. Mężczyźni zajmowali się polowaniem (i jak zawsze wojaczką i najazdami), a kobiety wyprawianiem skór bizonich na handel. Połączone rancherie, jak twierdzi Hämäläinen, bardziej przypominały miasta niż tymczasowe obozy koczowników. To w nich odbywały się wielkie zgromadzenia polityczne, ceremonie religijne i tu kwitł handel

skórami, końmi, niewolnikami czy mięsem. Zimą osady Komanczów stawały się multietnicznymi centrami, w których tętniło życie, prowadzono dyplomację i biznes[14]. Zresztą sam Gwynne takie obozy kilkakrotnie opisuje: rozciągający się na milę obóz Kotsoteków pod Antelope Hills, obóz Cynthii Ann nad rzeką Pease czy liczący dwieście tipi obóz indiański, który został zaatakowany przez Mackenziego. Jeśli chodzi o stowarzyszenia wojowników, wspomniany już Meadows przedstawia zarówno dziewiętnastowieczne stowarzyszenia wojenne Komanczów, jak i ich odrodzenie w XX wieku [15].

Jednak brak analizy antropologicznej czy socjologicznej ludu Komanczów nie może być chyba zarzutem wobec książki, która jest niemal powieścią historyczną. Tu istotne są tempo, wyraźne charaktery, dramaty, żywy język narracji – to wszystko czytelnik u Gwynne'a znajdzie, a do tego sporą porcję informacji o Komanczach. Co być może najważniejsze, dzięki wprawnemu pióru autora często będzie mu się wydawało, że jest bardzo blisko opisywanych wydarzeń i w jakimś stopniu smakuje kulturę Komanczów od wewnątrz.

Fachowa polska literatura (lub tłumaczona na język polski) poświęcona Indianom nie jest zbyt okazała. Dominują opracowania encyklopedyczne (leksykony słynnych wodzów, ludów indiańskich albo ogólne opracowania dotyczące kultury poszczególnych regionów Ameryki Północnej). Publikacje łączące ważne tematy z naukową ekspertyzą należą do wyjątków, dlatego tym bardziej warto o nich wspomnieć, jak na przykład o przekładzie pracy historyka Thomasa Dunlaya o zwiadowcach indiańskich służących w armii Stanów Zjednoczonych[16] – niemało uwagi poświęcono w niej znienawidzonym (ze wzajemnością) przez Komanczów Tonkawom, o których tak często wspomina w swojej książce Gwynne. Innymi przykładami są: monografia autorstwa Donalda Worcestera poświęcona Apaczom, którzy w XVIII wieku ulegli imperialnemu naporowi o wiele mniej znanych Komanczów[17], wspomniane już biografia Quanaha Parkera pióra Williama T. Hagana oraz słynna monografia Irokezów Lewisa Morgana, czy wreszcie kolejna pozycja z klasyki antropologii, czyli *Trickster* Paula Radina[18].

Imperium księżyca w pełni to pierwsza tak szeroka monografia dziejów Komanczów w języku polskim[19]. Miejmy nadzieję, że rozpocznie ona modę na dobrą literaturę o Indianach, zbyt często mitologizowanych jako okrutna, bezmyślna masa zagrażająca „cywilizacji" lub – przeciwnie – jako bezbronne ofiary imperializmu Europejczyków[20].

Bartosz Hlebowicz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nowy rodzaj wojny

Takie chwile zapamiętują kawalerzyści: kłęby kurzu wzbijane przez juczne muły, przeszywający powietrze śpiew trąbek regimentu, parskanie koni i chrzęst uprzęży oraz stara piosenka kompanii niesiona przez wiatr: „Wracaj do domu, John! Nie siedź tam długo. Wracaj szybko do swej ptaszyny!”[1]. Był 3 października 1871 roku. Sześciuset żołnierzy i dwudziestu zwiadowców z plemienia Tonkawa zwijało obóz, rozłożony w uroczym zakolu Clear Fork – dopływie rzeki Brazos, na falistej prerii, pociętej skalistymi uskokami, porośniętej buteluą, karłowatymi dębami, szałwią i chaparralem, około stu pięćdziesięciu mil na zachód od Fort Worth[21] w Teksasie. Ruszyli w drogę i posuwali się długą zygzakowatą kolumną pośród wysokich urwisk i ruchomych piasków. Chociaż wtedy nie zdawali sobie z tego sprawy – taka myśl byłaby absurdalna – wydana tego ranka komenda „na koń” zwiastowała początek końca wojen z Indianami w Ameryce, okrągłych dwustu pięćdziesięciu lat krwawych zmagań, które zaczęły się zaraz po przybiciu pierwszego okrętu z białymi kolonistami do nieszczęsnego brzegu Wirginii. Rozbicie ostatnich wrogich grup miało nastąpić dopiero za kilka lat. Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim je osaczono, zagłodzono, pozbawiono źródeł utrzymania, dopadnięto w płytkich kanionach albo po prostu wybito co do nogi. Wciąż brakowało zdecydowania. W przeszłości zdarzało się wprawdzie, że biali wymierzali surową karę – przykładami aktów ich zemsty były barbarzyńskie masakry wiosek Szejenów[22] w 1864 i 1868 roku, dokonane przez żołnierzy Johna M. Chivingtona i George’a Armstronga Custera. Mimo to nie podejmowano jeszcze na wielką skalę poważnych prób zniszczenia ludów indiańskich – decydenci wciąż mieli przed tym pewne opory. Sytuacja jednak uległa zmianie i 3 października żołnierze czwartego pułku kawalerii i jedenastego pułku piechoty otrzymali rozkaz: wytropić i wybić Komanczów. Odrzucono resztki tolerancji, nadszedł czas ostatecznego rozwiązania.

Oddziały białych składały się z piechoty, kawalerii i dragonów, głównie weteranów wojny secesyjnej, którzy teraz znaleźli się na krańcu znanego im świata i wspinali się na spiczaste skalne wieże strzegące legendarnego Llano Estacado w zachodnim

Teksasie – nazwa ta, nadana przez Coronada, oznaczała „równinę palisadową” [23]. Krainę tę zamieszkiwali najbardziej wrogo nastawieni Indianie na kontynencie i niewielu żołnierzy amerykańskich odważyło się postawić tu stopę. Llano Estacado było absolutnym pustkowiem, olbrzymim, dziewiczym i jednostajnym oceanem trawy. Biali ludzie gubili w nim drogę i umierali z pragnienia. Gdy w czasach rozkwitu swego imperium kolonialnego pewni siebie Hiszpanie wkroczyli tu, aby polować na Komanczów, szybko się przekonali, że to oni są ściganą zwierzyną, którą czeka rzeź. W 1864 roku Kit Carson poprowadził wielki oddział zawodowych żołnierzy z Santa Fe i zaatakował grupę Komanczów przy faktorii handlowej znanej jako Adobe Walls, na północ od dzisiejszego Amarillo. Przeżył, ale na własne oczy zobaczył, jak jego trzy kompanie kawalerii i piechoty są rozbijane w puch[2].

Teraz żołnierze znowu zmierzali w te okolice, ponieważ miarka się przebrała, ponieważ „polityka pokoju” wobec resztek indiańskich ludów – powód dumy prezydenta Granta – realizowana przez łagodnych kwakrów, których sam mianował, zakończyła się całkowitym fiaskiem. Powodem było też to, że rozdrażniony generał William Tecumseh Sherman, głównodowodzący armii, wydał taki rozkaz. Dzieło zniszczenia powierzył bohaterowi wojny secesyjnej Ranaldowi Slidellowi Mackenziemu, trudnemu, porywczemu i zawziętemu młodemu człowiekowi, który naukę w West Point ukończył w 1862 roku na pierwszym miejscu w klasie, a podczas wojny secesyjnej dosłużył się imponującego tytularnego stopnia generała brygady[24]. Indianie nazywali go Wodzem bez Palców, a także Złą Ręką z powodu ramienia, które było makabrycznie powykręcane wskutek ran odniesionych na wojnie. Czekała go skomplikowana przyszłość. W ciągu czterech lat miał dowieść, że zasługuje na miano najbardziej bezwzględnego i skutecznego przeciwnika Indian w historii Ameryki. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy klęska i katastrofa generała George’a Armstronga Custera rozsławiły go na cały świat, zwycięski Mackenzie pogrążał się w zapomnieniu. Ale to on, nie Custer, miał pokazać żołnierzom, jak walczyć z Indianami. Wiodąc swych ludzi przez popękaną, poprzecinaną strumieniami ziemię, mijając olbrzymie stada bizonów i siedliska piesków preriowych, które ciągnęły się po horyzont, nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co robi i dokąd dokładnie podąża, ani nie wiedział, jak mierzyć się z Indianami Wielkich Równin na ich własnym terenie. Nie miał też najmniejszego pojęcia o tym, że poskromienie ostatnich wrogich Indian będzie w głównej mierze jego zasługą. Walki z Indianami były dla niego czymś nowym i w najbliższych tygodniach miał popełnić wiele błędów. Potrafił jednak wyciągnąć z nich wnioski.

Na razie jego zadanie polegało na wymierzeniu kary. Miał powybijać Komanczów

na Wielkich Równinach, które były ich schronieniem, ponieważ sześć lat po zakończeniu wojny secesyjnej zachodnia granica była otwartą i krwawiącą raną. Rządy prawa zostały tu zastąpione przez bezprawie i torturowanie na śmierć, a Indianie, przede wszystkim Komancze, bez przeszkód łupili osadników, pozostawiając po sobie zwęglone kominy domów i dymiące zgliszcza usłane trupami. Unia, zwycięska w niedawnej wojnie secesyjnej i po raz pierwszy w historii niezagrożona przez wrogów zewnętrznych, nie umiała sobie poradzić z garstką ostatnich ludów, które nie uległy unicestwieniu czy asymilacji i nie dały się potulnie zapędzić do rezerwatów, by jak inne plemiona szybko się nauczyć, czym są głód i nędza pokonanych. Wszystkie nieokiełznane grupy – Komancze, Kiowa, Arapahowie, Szejeni i Siuksowie Zachodni – zamieszkiwały na Wielkich Równinach: poruszały się konno, były dobrze uzbrojone i kierowała nimi chęć zemsty, a zarazem polityczna desperacja. Dla działającego na południowych preriach Mackenziego Komancze byli oczywistym celem: w całej historii podboju tych terenów przez Hiszpanów, Francuzów, Meksykanów, Teksańczyków i białych Amerykanów żaden lud, choćby w przybliżeniu, nie spowodował tyle spustoszenia i śmierci.

Jak źle się sprawy miały w 1871 roku w owej krainie, gdzie cywilizacja raptem się urywała, pokazuje liczba osadników, którzy porzucili swoją ziemię. Granica, którą przesuwano na zachód w pocie, krwi i znoju, teraz cofała się na wschód. Towarzyszący Shermanowi w wiosennej ekspedycji pułkownik Randolph Marcy spędził wiele lat w tym kraju i świetnie go poznał, ale teraz ze zdumieniem zaobserwował, że w wielu miejscach żyło mniej ludzi niż osiemnaście lat wcześniej. Pisał: „Jeśli nie ukarzemy indiańskich rabusiów, wszystko wskazuje na to, że ten kraj całkowicie się wyludni”[3]. Nie było to zjawisko zupełnie nieznane w Nowym Świecie. Komancze już w XVIII wieku zahamowali rozprzestrzenienie się na północ imperium hiszpańskiego, które wcześniej z łatwością podporządkowało i wybiło miliony Indian w Meksyku oraz swobodnie zagarniało kolejne połacie kontynentu. Teraz, po ponad stu latach nieubłaganego pochodu na zachód, cywilizacja znowu ustępowała, ale w zdecydowanie szybszym tempie. Wielkie fragmenty pogranicza zwyczajnie pustoszały, wtapiając się na powrót w bezpieczne lasy na wschodzie. Na przykład populacja hrabstwa Wise w ciągu jednego dziesięciolecia między 1860 a 1870 rokiem zmniejszyła się z 3160 do 1450 osób. W niektórych miejscach linia osadnictwa cofnęła się o sto mil[4]. Jeśli generał Sherman zastanawiał się nad przyczyną tego stanu rzeczy (w istocie raz mu się to zdarzyło), to wyprawa z Marcym u boku wszystko mu wyjaśniła. Tamtej wiosny ledwie uszli z życiem, gdy w ostatniej chwili uniknęli spotkania z grasującą w okolicy grupą Indian, głównie Kiowa. Uratowało ich

przeczucie szamana, który orzekł, że lepiej wyminąć żołnierzy i zamiast nich zaatakować wędrującą w pobliżu karawanę wozów. Taka taktyka była typowa dla gwałtownych najazdów żądnych zemsty Komanczów i Kiowa w Teksasie w pierwszych latach po wojnie secesyjnej. Nietypowe było to, jak blisko znajdował się Sherman oraz jak bardzo osobiste i dojmujące było doznanie, że on sam też mógł być ofiarą. Z tego powodu akurat ten atak Indian stał się słynny i przeszedł do historii jako masakra nad Salt Creek[5].

W ataku śmierć poniosło siedmiu mężczyzn, ale nic to nie mówi o straszliwym widoku, jaki ukazał się Mackenziemu po przybyciu na miejsce. Według jego podwładnego, kapitana Roberta G. Cartera, który także widział skutki napaści Indian, ciała ofiar były nagie, oskalpowane i okaleczone. Niektórym obcięto głowy, innym wybrano mózgi. Carter pisał: „Ich palce rąk i nóg oraz narządy intymne zostały odcięte i wepchnięte w usta, a ich ciała, absolutnie nie do poznania, leżące w płytkiej wodzie, nabrzmiałe i spuchnięte, naszpikowane były strzałami, przez co przypominały ursony[25]”. Nie było wątpliwości, że wcześniej poddano ich torturom. „Pod każdym obnażonym podbrzuszem podłożono kupę rozżarzonych węgli. […] Jeden nieszczęśnik, Samuel Elliott, najwyraźniej dostał ranę, gdy walczył do samego końca. Przywiązali go potem między dwoma kołami wozu, podłożyli ogień pod dyszel i tak powoli usmażył się na śmierć – »spalony na wiór«”[6].

Nic dziwnego, że osadnicy rzucili się na łeb, na szyję do ucieczki na wschód, zwłaszcza ci z pogranicza Teksasu, gdzie najazdy Indian były najkrwawsze. Po wielu latach skutecznych podbojów tubylców i ich ziem wydawało się niemożliwe, by pochód na zachód wywodzącej się z Europy cywilizacji utknął na preriach środkowego Teksasu. Nigdy żaden lud indiański nie zdołał przez dłuższy czas opierać się nawałnicy rozwijającej się cywilizacji amerykańskiej z jej arkebuzami, garłaczami i muszkietami, a potem ze śmiercionośnymi karabinami wielostrzałowymi i z nieprzebranymi zastępami zawziętych, głodnych ziemi osadników, a także z jej wyrafinowaną podwójną moralnością oraz całkowitą pogardą dla interesów rdzennych mieszkańców. Zaczęło się od podporządkowania Indian Penobscot, Pequot (Pekotów), Wampanoag, Pamunkey i innych ludów z wybrzeża Atlantyku; setki kolejnych plemion i mniejszych grup albo znikły z powierzchni ziemi, albo zostały przepędzone na zachód, albo też siłą je zasymilowano. Wśród nich byli wojowniczy Irokezi, którzy kontrolowali terytorium dzisiejszego stanu Nowy Jork. Niegdyś potężni Delawarowie zostali zmuszeni do wędrówki na zachód, na ziemie swoich wrogów Irokezów, a potem jeszcze bardziej na zachód, na Wielkie Równiny, zamieszkane przez jeszcze mniej przyjaznych Indian. Od połowy XVIII wieku desperacko próbowali się bronić Szaunisi znad Ohio. Wielkie

narody z Południowego Wschodu – Czikasawowie, Czirokezi, Seminole, Krikowie i Czoktawowie – obserwowały, jak zabierano ich ziemie mimo licznych traktatów, które im gwarantowały zachowanie własnych terytoriów. Zostały zmuszone do odejścia na zachód, na tereny przyznane im w kolejnych traktatach, które gwałcono, zanim jeszcze zostały podpisane. Przegnano je Szlakiem Łez na Terytorium Indiańskie (dzisiejsza Oklahoma), ziemię, na którą zsyłano i inne tubylcze grupy i którą władali Komancze, Kiowa, Arapahowie i Szejeni.

Jeszcze większe zdziwienie budził fakt, że Komancze byli tak bardzo skuteczni w czasach, gdy na zachodzie zachodziły wielkie zmiany technologiczne i społeczne. W 1869 roku ukończono budowę pierwszej linii kolejowej przez kontynent, łączącej uprzemysławiający się wschód z rozwijającym się zachodem, co sprawiło, że stare szlaki: Szlak Oregoński, Szlak Santa Fe i ich odnogi, w jednej chwili stały się bezużyteczne. Kolej oznaczała pojawienie się stad bydła, które pędzono wiele mil na północ do stacji końcowych. Zajmowali się tym Teksańczycy zbijający błyskawiczne fortuny dzięki dostarczaniu zwierząt na rynki Chicago. Z koleją przybyli też łowcy bizonów, uzbrojeni w precyzyjne sharpsy .50, którymi można było zabijać na dużą odległość. Tym ponurym, bezwzględnym oportunistom niebiosa zesłały zarówno popyt na skóry bizonów na wschodzie, jak i sposób, by je tam dostarczyć. Bizony wędrowały po równinach jeszcze w 1871 roku: na początku tego roku czteromilionowe stado zauważono niedaleko rzeki Arkansas, na południu dzisiejszego stanu Kansas. Główna część stada rozciągała się na pięćdziesiąt mil wzdłuż i dwadzieścia pięć mil wszerz[7]. Ale rzeź już trwała w najlepsze. Szybko miało się okazać, że była to największa masakra stałocieplnych zwierząt w dziejach ludzkości. W samym tylko Kansas w latach 1868–1881 sprzedano na nawóz kości trzydziestu jeden milionów bizonów [8]. Te głębokie zmiany już się dokonywały, gdy oddział Mackenziego opuszczał obóz nad Clear Fork. Naród amerykański, wreszcie zespolony przez kolej, rósł w siłę. Pozostała tylko jedna przeszkoda: wojownicze i niereformowalne ludy indiańskie, zamieszkujące pustkowia Wielkich Równin.

Najbardziej niedostępnym, dzikim i nieprzejednanym w swej wrogości był odłam Komanczów znany jako Quahada. Quahada byli koczownikami, jak wszystkie ludy równin. Polowali głównie na południowych krańcach Wysokich Równin, na obszarze, który Hiszpanie określali mianem Komanczerii i z którego musieli zresztą w niesławie uciekać. Leżące wewnątrz Komanczerii Llano Estacado było monotonnym płaskowyżem o powierzchni większej od Nowej Anglii i wznoszącym się w najwyższych obszarach na ponad pięć tysięcy stóp. Dla Europejczyków ziemia ta była niczym zły sen. W liście do króla Hiszpanii z 20 października 1541 roku

Francisco Vásquez de Coronado pisał: „Mimo że przemierzyłem ponad trzysta lig[26] po tej ziemi, nie dostrzegłem więcej punktów orientacyjnych, niż zauważyłbym, gdyby pochłonęło mnie morze. […] Nie było choćby kamienia, niewielkiego wzniesienia, drzewa, krzewu, nic, czym można by się było kierować”[9]. Północną granicę tego terytorium wyznaczała rzeka Canadian. Na wschodzie znajdowało się strome urwisko, znane jako Caprock Escarpment. Jest to próg wznoszący się od dwustu do tysiąca stóp, oddzielający wysokie równiny od niżej położonych terenów równinnych powstałych w okresie permu. Quahada czuli się tu jak w olbrzymiej i niemal nie do zdobycia warowni. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości grup Indian na równinach unikali kontaktu z białymi Amerykanami. Nie chcieli nawet z nimi handlować, zwykle wybierając meksykańskich kupców z Santa Fe, zwanych *comancheros*. Trzymali się na uboczu do tego stopnia, że nie ma o nich mowy w licznych etnografiach ludów indiańskich tworzonych od 1758 roku i opisujących różne odłamy Komanczów (było ich aż trzynaście). Pierwsza wzmianka na ich temat pochodzi z 1872 roku[10]. Z tego względu plagi cholery, które między 1816 a 1849 rokiem dziesiątkowały zachodnie ludy i spowodowały śmierć połowy populacji Komanczów, nie wyrządziły im większej krzywdy. To jedyna grupa tubylcza w całej Ameryce Północnej, która nigdy nie podpisała traktatu. Quahada byli najtwardszym, najsroższym i najbardziej nieustępliwym odłamem tego ludu, który od dawna cieszył się sławą najokrutniejszego i najbardziej wojowniczego na kontynencie. Powiadano, że gdy kończy im się woda, potrafią pić zawartość żołądka zdechłego konia, a nawet najtwardszy teksaski ranger nie byłby do tego zdolny. Bali się ich nawet inni Komancze. Quahada byli najbogatszą grupą na równinach, o czym świadczyło to, że po wojnie secesyjnej mieli około piętnastu tysięcy koni – zwierzę to było walutą, którą Indianie mierzyli bogactwo. Mieli też „nieprzebrane sztuki bydła teksaskiego”[11].

Tego bezchmurnego jesiennego dnia 1871 roku żołnierze Mackenziego polowali na Quahada. Prowadzili oni nomadyczny tryb życia, więc nie sposób było ustalić jednego miejsca ich pobytu. Co najwyżej można się było orientować ogólnie co do obszaru ich wędrówek, łowisk i ewentualnie lokalizacji starych obozów. Wiadomo było, że polowali na Llano Estacado, lubili też obozować w czeluściach Palo Duro Canyon, drugiego co do wielkości (po Wielkim Kanionie) kanionu w Ameryce Północnej. Często przebywali w pobliżu źródeł rzeki Pease i McClellan Creek, a także w Blanco Canyon – każde z tych miejsc leży mniej więcej w promieniu stu mil od dzisiejszego Amarillo w północnej części Texas Panhandle. Zwiadowcy tonkawscy znacznie wyprzedzali kolumnę Mackenziego. Tonkowie (Tonks) – jak na nich mówiono – byli członkami plemienia, które od czasu do czasu praktykowało

kanibalizm i zostało niemal doszczętnie wytępione przez Komanczów. Nieliczni, którym udało się przeżyć, pałali chęcią zemsty: wypatrywali śladów Komanczów, próbowali odnajdować trop i podążać nim do obozów wroga. Bez nich żołnierze nie mieliby nigdy cienia szansy przeciw Komanczom ani żadnym innym Indianom na otwartej równinie.

Przed północą drugiego dnia Tonkowie znaleźli trop. Zameldowali Mackenziemu, że tropią grupę Quahada prowadzoną przez błyskotliwego młodego wodza wojennego o imieniu Quanah, które w języku Komanczów oznaczało „zapach" albo „woń". Celem było odnalezienie i zniszczenie wioski Quanaha. Mackenzie miał tę przewagę, że żaden biały człowiek nigdy wcześniej nie odważył się na coś podobnego – nie na równinach Texas Panhandle i nie przeciw Quahada.

Mackenzie i jego ludzie niewiele wiedzieli o Quanahu. Nikt inny zresztą też. To prawda, że informacje na pograniczu łatwo się rozchodziły. Często wrogowie mieli zaskakująco trafną wiedzę o sobie nawzajem mimo olbrzymiego fizycznego oddalenia oraz faktu, że każda ze stron usiłowała wyeliminować tę drugą. Jednak Quanah był po prostu zbyt młody, by ktokolwiek o nim dużo słyszał albo się orientował, gdzie przebywał i czego dokonał. Nikt nie był w stanie choćby w przybliżeniu podać daty jego urodzin – uczyniono to dopiero wiele lat później – ale najprawdopodobniej był to rok 1848, z czego wynika, że tego roku, kiedy zetknął się z Mackenziem, miał dwadzieścia trzy lata, osiem mniej niż pułkownik. O Mackenziem, również z powodu młodego wieku, mieszkańcy Teksasu – czy to biali, czy to Indianie – też niewiele mogli powiedzieć. Obydwaj mężczyźni osiągnęli sławę dopiero w czasie ostatnich, krwawych wojen indiańskich w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku. Quanah był wyjątkowo młodym wodzem. Miał opinię bezlitosnego, bystrego i nieustraszonego w walce.

Wyróżniał się jednak czymś jeszcze. Był mieszańcem, synem jednego z komanckich wodzów i białej kobiety. To było coś niezwykłego, więc mieszkańcy teksaskiego pogranicza mieli szybko się o tym dowiedzieć. Owszem, wojownicy Komanczów od wieków brali do niewoli kobiety – Indianki, Francuzki, Angielki, Hiszpanki, Meksykanki i Amerykanki – i płodzili z nimi dzieci, które wychowywano na Komanczów. Ale nie sposób znaleźć w historii drugiego ważnego wodza wojennego Komanczów, który w połowie byłby biały. Matka Quanaha stała się sławna o wiele wcześniej, niż Mackenzie zaczął na niego polować w 1871 roku. Była najbardziej znaną białą porwaną przez Indian i mówiono o niej na salonach Nowego Jorku i Londynu. Nazywano ją „białą *squaw*", ponieważ za każdym razem, gdy jej proponowano powrót do swoich, odrzucała taką możliwość, podważając w ten sposób

jedno z podstawowych eurocentrycznych przekonań o kulturach indiańskich: że mając do wyboru wyrafinowaną, uprzemysłowioną chrześcijańską kulturę Europy i dziki, okrutny i moralnie zacofany sposób życia Indian, nikt o zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się na to drugie. Niewielu, poza matką Quanaha, tak uczyniło. Nazywała się Cynthia Ann Parker. Pochodziła z jednego z pierwszych ważnych rodów w Teksasie. Wydał on kapitanów teksaskich rangerów, polityków i prominentnych pastorów baptystycznych – pierwszy Kościół protestancki w stanie założyli właśnie oni. W 1836 roku, gdy miała dziewięć lat, została porwana przez Komanczów w ataku na fort Parkerów, dziewięćdziesiąt mil na południe od obecnego Dallas. Szybko zapomniała swój ojczysty język, poznała obyczaje Komanczów i w pełni stała się członkinią tego ludu. Wyszła za Petę Noconę, ważnego wodza wojennego, i miała z nim troje dzieci – Quanah był najstarszym z nich. W roku 1860, kiedy Quanah miał dwanaście lat, Cynthia Ann ponownie została uprowadzona, tym razem przez teksaskich rangerów, którzy zaatakowali jej wioskę. Poza nią samą i niemowlęciem – córeczką o imieniu Kwiat Prerii – wszyscy zostali zabici. Mackenzie i jego żołnierze najpewniej znali historię Cynthii Ann Parker – każdy na pograniczu o niej słyszał – ale nikt nie miał pojęcia, że jej krew płynęła w żyłach Quanaha. Mieli się o tym dowiedzieć nie wcześniej niż w 1875 roku. Teraz wiedzieli tylko, że Quanah jest celem największej ekspedycji antyindiańskiej od 1865 roku i jednej z największych, jakie kiedykolwiek podjęto przeciw Indianom.

Czwarty pułk kawalerii, który Mackenzie miał szybko przemienić w bezwzględnie skuteczny, lotny oddział uderzeniowy, w tym momencie składał się głównie z zaciągniętych na określony czas żołnierzy, nieprzygotowanych na spotkanie z przeciwnikiem pokroju Quanaha i z jego zahartowanymi wojownikami równin. Żołnierze poruszali się daleko poza granicami cywilizacji, w przestrzeni bez żadnego szlaku, którym mogliby podążać, bez punktów orientacyjnych, które cokolwiek by im mówiły. Wstrętem napawała ich świadomość, że ich głównym źródłem wody były doły, w których tarzały się bizony. Carter opisywał je jako „stęchłe, ciepłe, o słodkawym smrodzie powodującym mdłości, pokryte zielonym szlamem, który trzeba było odsuwać”[12]. Brak doświadczenia dał im się we znaki już pierwszej nocy na szlaku. Około północy, przy ogłuszającym huku wichury, jednej z tych, które regularnie nawiedzają zachodni Teksas, mężczyźni usłyszeli „potężny tupot oraz charakterystyczne parsknięcia i porykiwania”[13]. Odgłosy te, jak mieli się zaraz przekonać, pochodziły od pędzącego stada bizonów. Żołnierze popełnili straszliwy błąd, rozbijając obóz między wielkim stadem tych zwierząt a ich wodopojem. Mężczyźni w panice wybiegli z namiotów, krzycząc, wymachując kocami i rozpaczliwie próbując skierować

spłoszone zwierzęta w inną stronę. Udało im się, ale niewiele brakowało do katastrofy. Carter tak opisał to wydarzenie: „Setki brunatnych potworów odbiły się i pognały na złamanie karku na lewo od nas, napierając i rozpychając się. Uderzyły jednak tylko w skraj jednego z naszych stad koni. […] Ciarki przechodziły po plecach na myśl, czym mogła się skończyć ta nocna wizyta, bo chociaż konie były spętane i mocno uwiązane do pali, nic nie mogłoby uchronić ich przed paniką, którą ta nagła szarża z pewnością by wywołała, gdybyśmy w ostatniej chwili nie usłyszeli galopujących zwierząt, tak że zdążyliśmy zmusić te biegnące na przedzie do zmiany kierunku”[14].

Cudem wybrnąwszy z opresji spowodowanej własną ignorancją, żołnierze zagnali z powrotem spłoszone konie, o świcie zwinęli obóz i przez cały dzień jechali na zachód przez falistą prerię jadłoszynu, usianą siedliskami piesków preriowych. Od tych niezwykle groźnych dla koni i mułów zwierząt roiło się na Texas Panhandle. Trzeba sobie wyobrazić ciągnący się milami obszar, który pokryty był olbrzymimi kopcami zamieszkanymi przez opasłe gryzonie. Żołnierze mijali kolejne wielkie cuchnące stada bizonów, przeprawiali się przez rzeki, których woda była tak przesycona gipsem, że nie nadawała się do picia. Z zaciekawieniem spoglądali na mijane opuszczone faktorie handlowe – jamy wydłubane w ścianach skalnych, podtrzymywane słupami, które przywodziły na myśl więzienne kraty.

Drugiego dnia czekały ich jeszcze większe kłopoty. Mackenzie zarządził nocną marszrutę, mając nadzieję, że zaskoczy wroga w jego obozowiskach. Żołnierze z trudem przedzierali się przez strome wzniesienia, gęsty busz, jary i strumienie. Po wielu godzinach tego, co Carter opisał jako „nieziemskie męki i gwałtowne wymiany zdań graniczące z bluźnierstwami” oraz „dość komiczne sceny”, poobijani i wyczerpani znaleźli się na krańcu niewielkiego kanionu i musieli czekać do świtu, żeby znaleźć wyjście. Kilka godzin później dotarli do Freshwater Fork, dopływu Brazos, w głębi terytorium Indian. Rzeka płynęła przez płytką dolinę długości trzydziestu mil, o średniej szerokości półtora tysiąca stóp, poprzecinaną mniejszymi kanionami. Miejsce to znane było jako Blanco Canyon i znajdowało się blisko dzisiejszego Lubbock, nieco na wschód. Była to jedna z ulubionych lokalizacji obozowisk Quahada.

Szanse na zasadzkę dawno zostały pogrzebane. Trzeciego dnia zwiadowcy Tonkawa spostrzegli, że każdy ich ruch śledzi czterech komanckich wojowników, którzy prawdopodobnie widzieli także ich komiczne nocne błądzenie po omacku. Tonkawowie puścili się za nimi w pogoń, ale „wrogowie, dosiadający lepszych koni, szybko się oddalili i znikli za wzgórzami”. Trudno się temu dziwić: przez dwieście lat wzajemnej wrogości Tonkawowie nigdy nie zbliżyli się do kunsztu, z jakim Komancze

obchodzili się z końmi. Nie pokonali Komanczów choćby jeden raz. Tak więc kawalerzyści i dragoni nie mieli pojęcia, gdzie leżał obóz Quahada, lecz Quanah doskonale zdawał sobie sprawę z ruchów Mackenziego. Następnej nocy Mackenzie pogorszył jeszcze sytuację, pozwalając żołnierzom na luksus rozpalenia obozowych ognisk. Równie dobrze mógł kazać wymalować w kanionie wielką strzałę wskazującą ich obóz. Niektóre kompanie popełniły kolejne błędy, ponieważ nie umieściły na noc mniejszych oddziałów żołnierzy między końmi.

Około północy seria przeraźliwych wrzasków – wydawało się, że dochodziły z samego piekła – wyrwała żołnierzy ze snu. Zaraz po nich rozległy się strzały, kolejne okrzyki i nagle obóz zapełnił się galopującymi Komanczami. Szybko stało się jasne, co robili Indianie: z okrzykami i karabinowymi wystrzałami oraz ogólnym chaosem zmieszał się kolejny dźwięk, zrazu ledwo słyszalny, ale błyskawicznie przeradzający się w coś, co brzmiało jak seria grzmotów. Ku swemu przerażeniu biali pojęli, że był to odgłos spłoszonych koni. Ich koni. Sześćset spanikowanych czworonogów, stając dęba, skacząc i opadając gwałtownie na nogi, gnało przez obóz, a wokół nich rozlegały się rozpaczliwe komendy: „Każdy do swego lassa!”. Te bezładnie cięły powietrze niczym pistoletowe strzały, a żelazne końcówki palików, które kilka chwil wcześniej wbite w ziemię przytrzymywały konie, teraz świstały w powietrzu i trzaskały nad grzbietami zwierząt niczym latające szable. Żołnierze usiłowali je łapać, ale wciągnięci między wierzchowce padali na ziemię z poranionymi i krwawiącymi rękoma.

Kiedy było już po wszystkim, żołnierze zrozumieli, że Quanah i jego wojownicy porwali siedemdziesiąt spośród ich najlepszych koni i mułów, w tym wspaniałego, szybkiego jak wiatr, siwego mustanga pułkownika Mackenziego. W zachodnim Teksasie w 1871 roku utrata konia często oznaczała wyrok śmierci. Była to stara taktyka Indian, szczególnie na Wysokich Równinach: po prostu ukraść konie białym i pozwolić, by ich właściciele umarli z pragnienia czy głodu. Komancze stosowali ją z zabójczą skutecznością przeciw Hiszpanom na początku XVIII wieku. Pozbawiony wierzchowca żołnierz miał niewielkie szanse w starciu z konnym Komanczem.

Atak tej nocy był testem, jasnym przekazem od wodza Quanaha: ujęcie go i jego wojowników na ich własnej ziemi będzie trudne i niebezpieczne. Tak zaczęło się starcie zapamiętane w historii jako bitwa w Blanco Canyon, która z kolei spowodowała wybuch krwawej wojny z Indianami na wyżynach zachodniego Teksasu. Wojna miała trwać cztery lata i doprowadzić naród Komanczów do upadku. W Blanco Canyon armia amerykańska po raz pierwszy też mogła się zetknąć z Quanahem. Kapitan Carter, który za swą odwagę miał otrzymać Medal Honoru, tak opisał młodego wodza

wojennego w walce następnego dnia po nocnym ataku:

> Wielki i potężnie zbudowany wódz prowadził resztę, jadąc na czarnym jak węgiel i mknącym niczym wicher kucu. Opierając się na jego grzywie, gwałtownie ściskając piętami brzuch zwierzęcia, z wysoko uniesionym sześciostrzałowcem, wydawał się wcieleniem dzikiej brutalnej radości. Twarz wysmarowana czarną farbą wojenną przydawała mu wygląd diabła. […] Długi pióropusz z orlich piór na głowie, rozpościerający się szeroko podczas jazdy, spływający z czoła przez głowę i plecy aż na ogon konia, niemal dotykał ziemi. Wielkie mosiężne obręcze przekłuwały jego uszy, miał nagi tors, na nogach obcisłe spodnie i mokasyny, do tego przepaska biodrowa. Na jego szyi wisiał naszyjnik z niedźwiedzich pazurów. […] Dzwonki brzęczały, gdy pędził jak szalony, za nim najważniejsi wojownicy, a każdy z nich usiłował go wyprzedzić. To był Quanah, główny wódz wojenny Qua-ha-di[15].

Kilka chwil później Quanah skierował konia w stronę szeregowca Seandera Gregga i – co widzieli Carter i jego żołnierze – roztrzaskał nieszczęśnikowi głowę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Śmiercionośny raj

Tak oto Quanah Parker, syn białej kobiety, przedstawicielki cywilizacji, która wtargnęła na ziemie indiańskie, zaczął wypełniać złożone przeznaczenie. Szybko miał się stać jednym z głównych celów poszukiwań czterdziestu sześciu kompanii piechoty i kawalerii amerykańskiej. Szukało go trzy tysiące żołnierzy – największa siła, jaką wysłano kiedykolwiek do wytropienia i zniszczenia Indian. Parker miał się stać ostatnim wodzem najpotężniejszego ludu w historii Ameryki. Przedstawiona w tej książce historia Quanaha i jego rodziny ukazuje w pigułce dzieje Komanczów i białych osadników, które splotły się ze sobą. Z jednej strony sięga ona korzeniami pradawnego dziedzictwa plemiennego Komanczów, a z drugiej – nieugiętego, prześladowanego przez fatum rodu Parkerów, który dla wielu białych Amerykanów w XIX wieku symbolizował okropieństwa i nadzieje pogranicza. Obydwa dziedzictwa zetknęły się w osobie matki Quanaha, Cynthii Ann, której życie wśród Komanczów oraz nieszczęsny powrót do cywilizacji białych stanowią jedną z najsłynniejszych opowieści dawnego Dzikiego Zachodu. Wyłania się tu jeszcze inna opowieść: o rozkwicie i upadku Komanczów. Żaden lud w historii Ameryki Północnej nie miał większego wpływu na los Stanów Zjednoczonych. Quanah był uosobieniem wszystkiego, w co wierzyli, o czym marzyli i o co walczyli Komancze przez dwieście pięćdziesiąt lat. Porwanie niebieskookiej, dziewięcioletniej Cynthii Ann w 1836 roku wyznacza początek trwającej czterdzieści lat wojny białego człowieka z Komanczami, w której Quanah miał odegrać główną rolę. W pewnym sensie Parkerowie są początkiem i końcem Komanczów w historii Stanów Zjednoczonych.

Opowieść zaczyna się – nie ma innej możliwości – w Teksasie, w burzliwym i niosącym zmiany roku 1836, dwanaście lat przed tym, zanim Cynthia Ann Parker urodziła Quanaha na poletku kwiatów preriowych nad Elk Creek, niedaleko gór Wichita w południowo-zachodniej Oklahomie[16].

Tego roku generał Antonio López de Santa Anna popełnił fatalny błąd, który odmienił los Teksasu, a z nim całego północnoamerykańskiego kontynentu. 6 marca, pod

sztandarem koloru krwi, oznaczającym „nie brać do niewoli”, około dwóch tysięcy meksykańskich żołnierzy Santa Anny zgładziło kilkuset Teksańczyków w niewielkiej misji znanej jako Alamo, w okręgu San Antonio de Béxar. Choć wtedy wydarzenie to wydawało się wielkim zwycięstwem, w istocie był to katastrofalny błąd. Trzy tygodnie później Santa Anna jeszcze pogorszył sprawę, mianowicie w pobliskim mieście Goliad nakazał żołnierzom egzekucję mniej więcej trzystu pięćdziesięciu żołnierzy teksaskich, którzy się poddali. Jeńców wyprowadzono kolumnami, rozstrzelano, a ich ciała spalono. Rannych mężczyzn wywlekano na ulice *presidio* i tam ich rozstrzeliwano. Te działania stworzyły męczenników i dały początek legendom. Mordercza zaciekłość walczących pod Alamo była zaledwie preludium do innych wydarzeń. 21 kwietnia, podczas bitwy pod San Jacinto, Teksańczycy pod wodzą generała Sama Houstona wymanewrowali armię Santa Anny, zapędzili ją na bagniska i ze szczególną zawziętością unicestwili. Zwycięstwo oznaczało koniec władzy Meksyku nad terytorium na północ od Rio Grande oraz narodziny suwerennego państwa – Republiki Teksasu[17].

Wieści te napełniły osadników radością, a wiosną 1836 roku żaden obywatel nowej republiki nie miał większego powodu do świętowania niż duża, przedsiębiorcza i religijna rodzina, która przywędrowała ze wschodu. Sąsiedzi nazywali ją „klanem Parkerów”. Parkerowie wyruszyli z Illinois w 1833 roku, w karawanie trzydziestu wozów ciągniętych przez woły, zwabieni obietnicą darmowej ziemi w Teksasie. Układ, który im zaproponowano, wydawał się tak dobry, że aż trudno było w niego uwierzyć. W zamian za niezobowiązujące przyrzeczenie wierności Meksykowi (którego Teksas był częścią) kilku przywódców rodu otrzymało działki ziemi w środkowym Teksasie, nieopodal dzisiejszego miasteczka Mexia. Każda liczyła 4600 akrów. Na zawsze, bez żadnych podatków czy opłat celnych przez dziesięć lat. Połączywszy swoje działki, Parkerowie uzyskali spójne terytorium o powierzchni 16 100 akrów – istne królestwo według standardów ich ojczystej Wirginii (do działek otrzymanych od Meksyku dodali kolejne 2300 akrów, za które zapłacili dwa tysiące dolarów[18]). Ziemia była pierwszej klasy, leżała na skraju niezmiernie żyznej czarnej teksaskiej prerii, pokrytej lasami dębów gwiaździstych (*post oak*), jesionów, orzechów i ambrowców balsamicznych, poprzecinanej szerokimi falującymi łąkami. Na ich ziemiach znajdowało się też bulgoczące źródło („tryskająca fontanna” według jednego z opisów[19]) i kilka potoków. W pobliżu płynęła rzeka Navasota, ryby i zwierzyna łowna występowały w wielkiej obfitości. W 1835 roku dwadzieścia parę osób – członków sześciu rodzin Parkerów i ich krewnych – zbudowało fort o powierzchni jednego akra, a w nim cztery blokhauzy, sześć chat z pni i odporną na kule bramę wejściową. Całość była otoczona

palisadą z pni jałowca, zaostrzonych na końcach, wysokich na piętnaście stóp. Wszędzie zrobiono otwory strzelnicze, nawet w podłodze na drugim piętrze blokhauzów, a także ławki, na których mogli stać strzelcy. Fort Parkerów był małą bukoliczną utopią, przy tym świetnie ufortyfikowaną. O takim miejscu marzyła większość amerykańskich osadników.

Fort wyróżniał się czymś jeszcze: w roku zdobycia przez Teksas niepodległości był najbardziej wysuniętą osadą na pograniczu z Indianami. Na zachód od niego nie było żadnych osiedli białych Amerykanów, żadnych miasteczek, domów, żadnych trwałych budowli z wyjątkiem szałasów z trawy, wznoszonych przez Indian Wichita, czy prowizorycznych bud *comancheros* i innych handlarzy z Indianami (między fortem Parkerów a meksykańską Kalifornią znajdowały się Santa Fe oraz małe, rozproszone osady Nowego Meksyku). Ponadto fort leżał tak daleko od innych osad białych, że także wokół niego trudno było o żywą duszę. W roku 1835 populacja Teksasu nie sięgała nawet czterdziestu tysięcy[20]. Chociaż kilka miast, takich jak Nacogdoches i San Antonio, miało już bogatą przeszłość i tętniło życiem, większość ich mieszkańców żyła na farmach i plantacjach oraz w niewielkich osiedlach położonych na brzegach rzek. Prawie wszyscy byli drobnymi farmerami produkującymi na własne potrzeby i większość nie miała żadnej ochrony ze strony rządu. Oddziałów meksykańskich – wcześniej i tak niewielkich i biernych, już nie było, a krucha Republika Teksasu miała ważniejsze zajęcia niż obrona nierozważnych białych rolników, którzy się upierali, by żyć poza ostatnimi posterunkami cywilizacji. Parkerowie, razem z garstką bardzo rozproszonych sąsiadów, byli pozostawieni sami sobie w tej indiańskiej krainie bezprawia.

Jednak ten opis nie oddaje w pełni tego, jak bardzo samotni byli Parkerowie na pograniczu. Stwierdzenie, że ich fort leżał niedaleko dzisiejszego Dallas, sugerowałoby, iż cała granica z Indianami w Ameryce Północnej w tym czasie przebiegała wzdłuż prostej linii na północ, ku Kanadzie. Ale w 1836 roku jedynym pograniczem, gdzie cywilizacja białych stykała się z wrogimi ludami równin, był Teksas. Dzisiejsza Oklahoma była terytorium zamieszkiwanym wyłącznie przez Indian, miejscem, do którego siłą przeniesiono pokonane ludy z południa i północnego wschodu, często na ziemie wojowniczych ludów Wielkich Równin. Na kontrolowane przez Indian równiny na północy, które w przyszłości miały stać się częścią stanów Kansas, Nebraska, Dakota Północna i Południowa, nic, co by przypominało cywilizację, jeszcze nie dotarło. Do pierwszego starcia armii Stanów Zjednoczonych z ludem Lakotów na Równinach Północnych doszło w 1854 roku[21]. Szlak Oregoński miał dopiero powstać. Wszystkie osiedla białych, które istniały na wrogim pograniczu,

znajdowały się w Teksasie. Skrawek ziemi Parkerów można sobie wyobrazić jako niegroźny koniuszek anglo-europejskiej cywilizacji usiłujący wcisnąć się w sam środek ostatniego bastionu nieposkromionych Indian. Większość obywateli cywilizowanego wschodu nie mogła uwierzyć, by ktokolwiek, a zwłaszcza rodziny z niemowlętami i małymi dziećmi, chciał się tam osiedlić. W 1836 roku było to wyjątkowo niebezpieczne miejsce.

Dlatego trudno zrozumieć, że ciepłego, uroczego, wiosennego poranka 19 maja, mniej niż miesiąc po bitwie pod San Jacinto, która spowodowała likwidację resztek jakichkolwiek oficjalnych rządów na tym terytorium, członkowie rodu Parkerów zachowywali się, jakby od stu lat żyli na bezpiecznej farmie na zachód od Filadelfii. Dziesięciu z szesnastu zdrowych, silnych mężczyzn pracowało na polach kukurydzy poza fortem. W forcie było osiem kobiet i dziewięcioro dzieci, ale z jakiegoś powodu potężną, wzmocnioną bramę zostawiono otwartą na oścież. Mężczyźni, którzy przebywali w forcie, byli nieuzbrojeni. Chociaż Parkerowie jako pierwsi opowiadali się za utworzeniem oddziałów Teksaskich Rangerów[22] – których głównym zadaniem miała być ochrona przed zagrożeniem ze strony Komanczów[23] – miejscowy dowódca James Parker, jak sam to ujął, „rozwiązał swój oddział”[24], ponieważ nie widział zagrożenia. Później przyznał, że mógł też być inny powód takiego postępowania, mianowicie „rząd nie był w stanie utrzymywać oddziałów ochotniczych”[25], co oznaczało, że on sam nie dostawałby żadnego wynagrodzenia. Pozostaje niejasne, jak on i jego brat Silas, również kapitan rangerów, mogli dojść do wniosku, że ich osada, choćby przez chwilę, jest bezpieczna. Musieli chyba wiedzieć o ostatnich najazdach Komanczów w okolicy: w połowie kwietnia Indianie zaatakowali karawanę osadników i porwali dwie kobiety, a 1 maja nad rzeką Guadalupe napadli na rodzinę Hibbonsów. Zabili dwóch mężczyzn, a panią Hibbons i dwoje jej dzieci wzięli do niewoli. Kobieta w jakiś sposób zdołała uciec. Błąkała się, aż w końcu poobijana, krwawiąca i niemal naga w środku nocy wpadła na obóz zaskoczonych rangerów. Rangerzy zdołali też odbić dzieci z obozu Komanczów[26]. W normalnych okolicznościach mała grupka mieszkańców fortu Parkerów zdołałaby obronić się przed atakiem wielu Indian[27]. W obecnej sytuacji stanowili jednak łatwy cel.

O dziesiątej rano wielka grupa Indian (później podawano różne szacunki liczby wojowników: od stu do sześciuset, ale mniejsza liczba jest wiarygodniejsza) podjechała pod fort i zatrzymała się przed główną bramą. Wśród nich były też kobiety, które dosiadały koni jak mężczyźni. Jeźdźcy trzymali białą flagę, która być może zwiodła naiwnych osadników. Parkerowie mieszkali na zachodniej granicy zbyt krótko, by w pełni zdać sobie sprawę, kim są członkowie tej umalowanej w wojenne barwy

grupy – siedemnastoletnia Rachel Parker Plummer błędnie sądziła – albo może taką miała nadzieję – że to „Tawakoni, Caddo, Keechi, Waco” i inne osiadłe grupy ze środkowego Teksasu[28]. Jednak zetknęli się już wcześniej z innymi Indianami, dlatego szybko do nich dotarło, że popełnili katastrofalny błąd, całkowicie lekceważąc środki bezpieczeństwa. Gdyby lepiej zrozumieli, z kim będą mieli do czynienia, czyli głównie z Komanczami, ale też kilkoma Kiowa, którzy często towarzyszyli im na wojennej ścieżce, mogliby przewidzieć, jak straszny los ich czekał. Teraz zaś pozostało im jedynie próbować pertraktacji i czterdziestoośmioletni Benjamin Parker, jeden z sześciu mężczyzn przebywających w forcie, wyszedł wojownikom na spotkanie.

To, co nastąpiło potem, stało się jednym z najsłynniejszych wydarzeń w historii amerykańskiego pogranicza, po części z tego względu, że historycy uznali je za początek najdłuższej i najbrutalniejszej ze wszystkich wojen Amerykanów z pojedynczym ludem indiańskim[29]. Większość wojen przeciw tubylczym Amerykanom na wschodzie, południu i Środkowym Zachodzie trwała tylko kilka lat. Wrogie grupy sprawiały kłopoty przez krótki okres, ale biali szybko odnajdywali drogę do wiosek, palili domostwa i zbiory, a mieszkańców wybijali lub zmuszali do poddania się. Dłuższe „wojny”, na przykład z Szaunisami, były tak naprawdę seriami porażek Indian rozciągniętymi na kilka lat (sojusze z Anglikami bądź Francuzami nieco owe „wojny” komplikowały). Walki z Indianami z Równin Północnych, na przykład ze Siuksami, zaczęły się znacznie później i trwały znacznie krócej.

Kiedy Benjamin Parker dotarł do Indian – sam, pieszo i bez broni – usłyszał, że chcą krowę do zarżnięcia i wskazówki, jak dotrzeć do wodopoju. Odparł, że nie mogą dostać krowy, ale zaoferował inne pożywienie. Wrócił do fortu przez otwartą bramę, streścił swemu trzydziestodwuletniemu bratu Silasowi rozmowę z Indianami, zauważając absurdalność prośby o wskazanie drogi do wodopoju, ich konie bowiem jeszcze lśniły od wody, potem chwycił kilka produktów i odważnie wrócił do Indian mimo przestrogi Silasa, by tego nie robił. Tymczasem siedemdziesięcioośmioletni patriarcha rodziny John Parker, jego żona Sallie oraz Sarah Parker Nixon, która była siostrą Rachel Plummer, uciekali tylną, niską bramą – zbyt niską, by przeszedł przez nią koń – prowadzącą do źródełka[30]. Inny kuzyn Parkera, G. E. Dwight, również salwował się ucieczką wraz ze swoją rodziną, co skłoniło Silasa do pogardliwego pytania: „Dwight, na Boga, nie zamierzasz chyba stąd czmychać? Weź się w garść i walcz jak mężczyzna. Jeśli mamy umrzeć, sprzedamy nasze życie tak drogo, jak tylko się da”. Nie była to dobra rada. Dwight ją zignorował. Brawura Silasa na nic się nie zdała, ponieważ zostawił sakiewkę z prochem w swej chacie. Zaraz potem popełnił następny błąd, ponieważ nie polecił swojej bratanicy Rachel dołączyć do pozostałych i uciekać

z czternastomiesięcznym synem Jamesem Prattem Plummerem. Zamiast tego rozkazał: „Zostań tu i patrz, co robią Indianie, a ja tymczasem pobiegnę do domu po moją sakiewkę na proch".

Jednak wypadki potoczyły się szybciej, niż Silas Parker oczekiwał. Rachel ze zgrozą obserwowała, jak Indianie otoczyli jej wuja Benjamina i przebili go włóczniami. Otrzymał cios maczugą, przebito go z bardzo bliska strzałami z łuków, a potem, gdy prawdopodobnie jeszcze żył, został oskalpowany. Wszystko to wydarzyło się błyskawicznie. Pozostawiwszy Benjamina, Indianie zaatakowali fort. Rachel już uciekała z synem na rękach w kierunku tylnego wyjścia. Złapali ją bez trudu. Według jej własnego szczegółowego opisu „olbrzymi, posępny Indianin chwycił za motykę" i jednym ciosem powalił ją na ziemię[31]. Straciła przytomność, a kiedy ją odzyskała, pojęła, że Indianie ciągnęli ją za jej długie rude włosy, a z rany w głowie obficie lała się krew. Pisała, że kilka razy bezskutecznie próbowała się podnieść, aż wreszcie się udało. Zabrano ją w miejsce, gdzie skoncentrowały się główne siły napastników, a tam z bliska ujrzała zmasakrowane ciało wuja. Spostrzegła też swego syna w ramionach Indianina na koniu. Dwie Komanczki zaczęły ją chłostać. „Sądziłam – wspominała Rachel – że chodziło o to, abym przestała płakać"[32].

W tym czasie Indianie zaatakowali mężczyzn, którzy pozostali w forcie, zabijając Silasa i jego krewnych Samuela i Roberta Frostów. Wszyscy trzej zostali oskalpowani. Potem napastnicy oddali się zajęciu szczególnie odpowiadającemu konnym Indianom z Wielkich Równin: łapaniu uciekających i krzyczących ofiar. Starszy John Parker, jego żona Sallie i jej córka Elizabeth Kellogg, młoda wdowa, zdołali ujść trzy czwarte mili, kiedy Indianie ich dopadli. Otoczyli całą trójkę i zdarli z nich ubrania. Można sobie tylko wyobrażać przerażenie, z jakim na otwartym terenie ofiary kuliły kompletnie nagie ciała przed oprawcami. Starego mężczyznę Indianie zaatakowali tomahawkami, a starszą panią Parker, która usiłowała odwracać wzrok, zmusili do oglądania tego, co z nim robią[33]. Oskalpowali go, odcięli mu genitalia i zabili go – nigdy się nie dowiemy, w jakiej kolejności. Potem zajęli się jego żoną: przyszpilili ją do ziemi włóczniami, zgwałcili, wbili jej nóż głęboko w pierś i zostawili, by zmarła[34]. Elizabeth Kellogg wrzucili na konia i odjechali.

W całym tym zamęcie Lucy – żona Silasa Parkera – i jej czworo dzieci również rzuciły się do ucieczki przez tylną bramę w stronę pól kukurydzy. Ich też Indianie złapali, zmusili Lucy do oddania dwójki dzieci, po czym zawlekli ją i pozostałą dwójkę oraz jednego mężczyznę (L. D. Nixona) z powrotem do fortu. Tam zostali uratowani przez trzech mężczyzn, którzy nadbiegli z pól z karabinami. Imiona dwójki dzieci, które pozostały w niewoli, szybko stały się znane mieszkańcom wszystkich farm

na zachodniej granicy: Cynthia Ann, błękitnooka, dziewięcioletnia córka Silasa i Lucy Parkerów, oraz jej siedmioletni brat John Richard.

Tak zakończyła się główna część starcia. Trwało ono zaledwie pół godziny i przyniosło śmierć pięciu mężczyzn: Benjamina Parkera, Silasa Parkera, Samuela i Roberta Frostów oraz starszego Johna Parkera. Dwie kobiety zostały ranne: Lucy, matka Cynthii Ann, oraz starsza pani Parker, która cudem przeżyła. Napastnicy porwali dwie kobiety i troje dzieci: Rachel Parker Plummer i jej małego synka (był pierwszym dzieckiem urodzonym w forcie Parkerów[35]), Elizabeth Kellogg oraz dwójkę dzieci Parkerów. Przed odjazdem Indianie zabili też kilka sztuk bydła, rozgrabili fort i podłożyli ogień pod niektórymi zabudowaniami. Rozbili butelki, rozcięli grube materace i wyrzucili w powietrze pióra z ich środka oraz, jak wspominała Rachel, zabrali ze sobą wiele książek i leków jej ojca. Opisała, co spotkało kilku łupieżców:

> Wśród [leków mego ojca] była butelka sproszkowanego arszeniku. Indianie wzięli go za jakiś rodzaj białej farby i rozpuszczając we własnej ślinie, wymalowali się nim, całe twarze i ciała. Przynieśli mi butelkę, żebym im powiedziała, co w niej było. Stwierdziłam, że nie wiem, chociaż dobrze wiedziałam, ponieważ na butelce była etykieta[36].

Czterech Indian pomalowało twarze arszenikiem. Według relacji Rachel wszyscy czterej zmarli, prawdopodobnie w straszliwych męczarniach.

Dwie grupy osadników się uratowały, choć nie wiedziały o sobie nawzajem. Ojciec Rachel, James Parker, prowadził osiemnaście osób – sześciu dorosłych i dwanaścioro dzieci – przez gęsty las porastający brzeg rzeki Navasoty: gąszcz drzew, krzaków, dzikich róż i płożących się jeżyn. Cały czas bali się, że Indianie ich znajdą. Parker napisał potem: „Co kilka kroków widziałem, jak dzikie róże raniły nogi małych dzieci do krwi, która sączyła się na ziemię, przez co można było odnaleźć nasz trop”[37]. Za każdym razem, kiedy natrafiali na piaszczyste dno rzeki, Parker kazał im wracać po śladach, żeby zwieść prześladowców. Niestety, ten wybieg zmylił też drugą grupę uciekinierów, którzy ich nie odnaleźli, choć obie zmierzały do tego samego miejsca: fortu Houston, niedaleko dzisiejszego miasta Palestine w Teksasie, około sześćdziesięciu pięciu mil od fortu Parkerów[38]. Jeden z etapów marszu grupy Jamesa trwał trzydzieści sześć godzin bez przerw i bez jedzenia; włożyli coś do ust dopiero wtedy, gdy James zdołał złapać i utopić skunksa. Podróżowali przez pięć dni, ale z powodu wycieńczenia musieli się zatrzymać. James ruszył sam po pomoc, pokonując ostatnie trzydzieści sześć mil do fortu Houston w fantastycznym czasie jednego dnia. Cztery dni później druga grupa uciekinierów dotarła w to samo miejsce. Osadnicy wrócili do fortu Parkerów, żeby pochować zabitych członków rodzin, dopiero 19 lipca,

cały miesiąc po najeździe Indian.

*

Można by sądzić, że w opisie tym niepotrzebnie przytoczono krwawe szczegóły. Był to jednak typowy najazd Komanczów w owym czasie. Tak wyglądała prawdziwa, często ponura rzeczywistość pogranicza. Nic tu nie zostało ubarwione, chociaż w większości relacji z indiańskich „grabieży" (ulubiony eufemizm stosowany przez ówczesne gazety) w ogóle nie wspominano, że kobiety były gwałcone. Ale wszyscy o tym wiedzieli. Każdy osadnik na pograniczu rozumiał, że to, co spotkało Parkerów, może także przydarzyć się jego rodzinie. Wszyscy się tego obawiali. W szczegółach napad nie różnił się od tego, czego doświadczali Hiszpanie i ich następcy Meksykanie w południowym Teksasie, Nowym Meksyku i północnym Meksyku od końca XVII wieku, ani też tego, co od kilku stuleci stało się częścią życia Apaczów, Osedżów, Tonkawów i innych ludów. Na początku większość napadów w Teksasie wynikała z żądzy zdobycia koni i wszelkiego rodzaju innych łupów. Później, zwłaszcza w ostatnich dniach wojen z Indianami, głównym motywem stała się zemsta (masakra nad Salt Creek w 1871 roku była tego przykładem). Okrucieństwo tych najazdów czyni przemoc w forcie Parkerów czymś niemal łagodnym i prozaicznym.

W trakcie najazdów Komancze kierowali się prostą zasadą: zabijali wszystkich mężczyzn, przy tym każdego mężczyznę schwytanego żywcem przed śmiercią poddawano torturom, niektórych szczególnie powolnym. Pojmane kobiety zbiorowo gwałcono. Niektóre zabijano, inne torturowano. Jednak część z nich, zwłaszcza jeśli były młode, oszczędzano (choć chęć zemsty mogła w każdym wypadku prowadzić do morderstwa zakładniczek). Niemowlęta zabijano wszystkie bez wyjątku, natomiast dzieci przed okresem dojrzewania często adoptowano – brali je Komancze albo inni Indianie. Postępowano tak nie tylko z białymi czy Meksykanami, ale też równie ochoczo z przedstawicielami wrogich plemion. Najazd na fort Parkerów z pewnością uznano za sukces, mimo że zdobyto niewiele koni: Indianie nie stracili ani jednego wojownika, a schwytali pięciu białych, których można było potem oddać innym białym za konie, broń lub pożywienie.

W kontekście tego brutalnego ataku wyraźniej można dostrzec zuchwałość rodziny Parkerów. Mimo że zbudowali solidny fort, najwyraźniej ani nie uprawiali ziemi, ani nie polowali, ani nie czerpali wody w jego granicach. W związku z tym często musieli przebywać poza palisadą – nieustannie wystawieni na atak i świadomi obecności wojowniczych Indian i tego, co robili swoim jeńcom. Parkerowie wcale nie mieli złudzeń. Mimo to przetrwali, licznie się rozmnażali, wychowywali dzieci, uprawiali

pola i czcili Boga, a wszystko to w miejscu, w którym prawie każda chwila niosła śmiertelne zagrożenie.

Dla Indian z Wielkich Równin byli zupełnie nową rasą – wcześniejsze doświadczenia tubylców z Europejczykami były zupełnie inne. Kiedy imperium hiszpańskie posuwało się konsekwentnie na północ od miasta Meksyk, wybijając i podbijając po drodze tubylcze ludy, robiło to w świetnie zorganizowany i odgórnie sterowany sposób. Najpierw budowano wojskowe *presidios* oraz misje katolickie i obsadzano je ludźmi. W pierwszej kolejności przybywali żołnierze, a za nimi koloniści, którzy nie oddalali się od żołnierzy. Droga na zachód białych Amerykanów wyglądała zupełnie inaczej. Awangardę stanowili tu nie żołnierze i forty, ale zwykli farmerzy – przepojeni zagorzałą kalwinistyczną etyką pracy, pełni żelaznego optymizmu i zimnej agresywności, która zabraniała im cofać się nawet w obliczu skrajnego niebezpieczeństwa. Powiadano o nich, że czuli przed Bogiem tak wielki lęk, że nie pozostawało im tego uczucia w odniesieniu do czegokolwiek lub kogokolwiek innego[39]. Głęboko przekonani, że ziemia należy do nich, tradycyjnie lekceważyli traktaty rządu z tubylczymi Amerykanami. Nienawidzili Indian z całego serca, gdyż uważali ich za nie całkiem ludzi, a więc istoty pozbawione niezbywalnych praw do czegokolwiek. Wszelkie instytucje rządowe były daleko w tyle za tego typu ludźmi pogranicza, często pojawiały się na danych terenach znacznie później i z ociąganiem. Tacy byli Parkerowie. Stary John i jego synowie opuścili wilgotne zielone lasy wschodu i ruszyli na zachód, ku palącym bezdrzewnym preriom w głębi kontynentu. Byli zagorzałymi baptystami, wierzącymi w przeznaczenie, surowymi w swej religijności i nietolerancyjnymi dla tych, którzy wierzyli w innych bogów niż oni sami. Najstarszy syn Johna, Daniel, duchowy przywódca rodu, był jednym z najważniejszych kaznodziejów baptystycznych w swoim pokoleniu i przez całe życie podejmował doktrynerskie pojedynki z innymi duchownymi. Założył pierwszy Kościół protestancki w Teksasie. Parkerowie mieli też koneksje polityczne. Zarówno James, jak i Daniel byli członkami politycznego zgromadzenia w 1835 roku, znanego jako Konsultacja[27], którego celem było zorganizowanie tymczasowego rządu Teksasu.

Chociaż po ataku Indian ich ziemie na pewien czas zostały opuszczone, niektóre rodziny wielkiego rodu Parkerów znowu niestrudzenie sunęły na zachód. To oni – w większej mierze niż pokryte kurzem oddziały żołnierzy – złamali Indian. W tym sensie genetyczne dziedzictwo Quanaha zawierało ziarna ostatecznego upadku jego ludu. Rodzina jego matki to niemal doskonały przykład cnotliwych ludzi czynu, żyjących w głębi kraju, w chatach z klepiskiem i szczelinami w ścianach wypełnianymi błotem, grających stare melodie na skrzypcach, zabierających swe sztucery z Kentucky

do pracy w polu i ciągnących za sobą resztę amerykańskiej cywilizacji.

Podczas gdy uciekinierzy z fortu Parkerów z trudem, raniąc swe ciała, przedzierali się przez zarośla rosnące na brzegach Navasoty, Indianie, których się obawiali, pędzili na północ tak szybko, jak tylko mogli. Wlekli ze sobą pięcioro porwanych. Ostro poganiali konie i zatrzymali się dopiero po północy, rozbijając obóz na otwartej prerii. Takie ucieczki praktykowano na równinach od wieków. Tak samo robili Komancze po najazdach na wioski Paunisów, Ute czy Osedżów: spodziewali się pogoni, a więc tylko wielka odległość zapewniała bezpieczeństwo. Atak zaczął się o dziesiątej rano, a jeśli Indianie jechali przez dwanaście godzin, robiąc niewiele przerw, to mogli pokonać sześćdziesiąt mil, co oznaczałoby, że ostatecznie dotarli gdzieś na południe od dzisiejszego Fort Worth, daleko poza ostatnie osiedla białych.

W normalnych warunkach można byłoby się tylko domyślać losu, jaki spotkał jeńców, gdy grupa zniknęła w absolutnych ciemnościach nocy na pograniczu. My jednak wiemy, co się wydarzyło w kolejnych dniach, ponieważ Rachel Parker Plummer spisała swe przeżycia. W dwóch podobnych relacjach ze wstrząsającymi szczegółami opowiedziała historię swojej trzynastomiesięcznej niewoli. W owym czasie były one powszechnie czytane, po części z powodu zdumiewającej szczerości autorki i brutalnej wręcz dbałości o szczegóły, a po części dlatego, że reszta Ameryki łaknęła wieści o losie pierwszych dorosłych białych kobiet porwanych przez Komanczów. Obie relacje należą do trzonu pism o Parkerach; głównie dzięki nim najazd Indian z 1836 roku stał się tak dobrze znany.

Rachel jawi się jako interesująca i fascynująca postać. W chwili ataku Indian była siedemnastolatką. Miała czternastomiesięcznego syna, z czego wynika, że najprawdopodobniej poślubiła swego męża, L. T. M. Plummera, w wieku piętnastu lat. Na pograniczu było to czymś zupełnie normalnym. Jej relacja dowodzi także, że była bystra, przenikliwa i − jak wielu Parkerów – nieźle wykształcona. Wykazała się rozsądkiem, uporem i niezwykłą wytrzymałością, zważywszy na to, co z nią robiono. Choć nie opisuje z detalami, jak ją wykorzystywano seksualnie, to jednak nie pozostawia wątpliwości, że do tego dochodziło („gdybym próbowała opisać ich barbarzyńskie postępowanie, powiększyłabym tylko moją obecną boleść, ponieważ sama myśl o tym jest dla mnie strasznym upokorzeniem, cóż dopiero mówienie czy pisanie […]”[40]).

Gdy Indianie zatrzymali się na noc, uwiązali konie, rozpalili ogień i odtańczyli taniec zwycięstwa, w którym zainscenizowali wydarzenia dnia, chełpiąc się krwawymi skalpami swoich pięciu ofiar. Elementami tańca było też bicie jeńców łukami

i wymierzanie im kopniaków. Z Rachel i Elizabeth Kellogg zdarto ubrania. Rachel tak to opisywała: „Skrępowali mi ramiona splecionym rzemieniem, a ręce wykręcili do tyłu. Związali je tak mocno, że do dziś widać blizny. Potem zawiązali podobny rzemień dookoła mych kostek i ściągnęli razem stopy i dłonie. Później obrócili mnie twarzą do dołu […] i bili łukami po głowie. Z wielkim trudem udało mi się nie zadławić własną krwią”[41]. Cynthię Ann i Johna kopano, skakano po nich i uderzano maczugami tak samo jak dorosłych. Indianie nie oszczędzili nawet czternastomiesięcznego Jamesa Plummera. „Dzieci często płakały – odnotowywała Rachel – ale uciszały je ciosy. Nie wiem, jakim cudem zdołały to przeżyć”[42]. Dwie dorosłe kobiety były wielokrotnie gwałcone na oczach związanych dzieci. Nie ma sposobu, by wyobrazić sobie, co dziewięcioletnia Cynthia Ann z tego wszystkiego rozumiała – okrutnie bita, obolała i poraniona po długiej jeździe, teraz zmuszona do obserwowania, jak poniżano jej dorosłe kuzynki. Rachel nie spekuluje na ten temat: po prostu zakłada, że dzieci cierpiały straszliwe męczarnie.

Następnego dnia Indianie ze swoimi jeńcami powędrowali dalej na północ, znowu pędząc z nieludzką szybkością.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zderzenie światów

Najazd na fort Parkerów wyznaczał ten moment w historii, gdy pędy rodzącego się amerykańskiego imperium, które wystrzeliły najdalej na zachód, dotknęły wschodnich krańców olbrzymiego, pierwotnego i równie groźnego imperium w głębi kontynentu, władanego przez Komanczów. Nikt wtedy tego nie rozumiał. Z pewnością Parkerowie nie zdawali sobie sprawy, z kim mieli do czynienia. Amerykanie nie mieli najmniejszego pojęcia o wielkości terytorium opanowanego przez Indian, z którymi stykali się wzdłuż tej dzikiej granicy, ani o ich sile. Podobnie Indianie nie wiedzieli nic ani o sile, ani o terytorium białych. Jak się okazało, i jedni, i drudzy przez ostatnie dwieście lat zajmowali się krwawym podbijaniem i eliminowaniem tubylczych ludów. Jedni i drudzy z powodzeniem zagarniali kolejne rozległe ziemie. Różnica polegała na tym, że Komanczom wystarczało to, co zdobyli. Białym Amerykanom, dzieciom „naturalnego przeznaczenia”[28] – nie. Teraz w odosobnionym miejscu nad rzeką Navasotą niepowstrzymany pochód Amerykanów na zachód doprowadził wreszcie do zetknięcia się obu nacji. Znaczenie tego spotkania oraz to, kiedy ono faktycznie nastąpiło, stały się całkowicie jasne dopiero po pewnym czasie.

Ówczesnych osadników w Teksasie zaskoczyłaby wiedza, że komanccy jeźdźcy, którzy podjechali do głównej bramy fortu Parkerów tego majowego ranka 1836 roku, byli przedstawicielami militarnego i handlowego imperium, które liczyło mniej więcej dwieście czterdzieści tysięcy mil kwadratowych[43], czyli praktycznie całą południową część Wielkich Równin. Terytorium Komanczów obejmowało wielkie połacie pięciu współczesnych stanów: Teksasu, Nowego Meksyku, Kolorado, Kansas i Oklahomy. Przecinało je dziewięć większych rzek, spływających schodkowo od północy na południe na obszarze sześciuset mil kwadratowych przeważnie płaskich równin i prerii. Patrząc od północy, były to: Arkansas, Cimarron, Canadian, Washita, Rzeka Czerwona, Pease, Brazos, Kolorado i Pecos. Terytorium było o wiele większe, jeśli wziąć pod uwagę zasięg łupieżczych wypraw Komanczów, którzy zapuszczali się daleko w głąb Meksyku, a na północy aż do Nebraski. Nie było to imperium w tradycyjnym znaczeniu. Komanczom obce były struktury polityczne, na których

opierały się imperia europejskie. Nie ma jednak wątpliwości, że to oni rządzili tymi ziemiami. Kontrolowali około dwudziestu plemion: część z nich podbili, część wypędzili, a inne zredukowali do statusu wasali. W Ameryce Północnej – jeśli wziąć pod uwagę całkowity obszar pod kontrolą jednego ludu – dorównywali im jedynie zachodni Siuksowie, którzy władali na Równinach Północnych.

Dominacja Komanczów nie była dziełem geograficznego przypadku. Wynikała ze stu pięćdziesięciu lat przemyślanej, nieustannej walki z kolejnymi wrogami o konkretną połać ziemi, na której pasły się największe na kontynencie stada bizonów. Adwersarzami byli koloniści hiszpańscy, którzy ruszyli do Nowego Meksyku w 1598 roku, a stamtąd na terytorium Teksasu. Potem Komancze zmagali się z meksykańskimi następcami Hiszpanów, a także licznymi ludami tubylczymi, z których kilkanaście, między innymi Apacze, Ute, Osedżowie, Paunisi, Tonkawowie, Nawahowie, Szejeni i Arapahowie, uczestniczyło w rywalizacji o panowanie nad pastwiskami bizonów. Imperium Komanczów nie polegało wyłącznie na militarnej przewadze. Komancze byli też świetnymi dyplomatami i zawierali traktaty, kiedy było im to na rękę, zawsze dbając o zapewnienie sobie korzyści handlowych, zwłaszcza jeśli w grę wchodził najbardziej pokupny towar na równinach, czyli konie, których mieli więcej niż ktokolwiek inny. O dominacji Komanczów świadczyło to, że ich język, należący do rodziny szoszońskiej, stał się *lingua franca* na Równinach Południowych, tak jak łacina była językiem handlowym w imperium rzymskim.

Jeśli uwzględni się to wszystko, to może zdumiewać fakt, że biali Amerykanie w 1836 roku tak mało wiedzieli o Komanczach. Hiszpanie, którzy walczyli z nimi przez ponad sto lat[44], znali ich znacznie lepiej, choć i oni nie zdawali sobie sprawy z prawdziwych rozmiarów imperium. Jeszcze w 1786 roku hiszpański gubernator Nowego Meksyku był przekonany, że bastion Komanczów znajdował się w Kolorado, kiedy w rzeczywistości ich władza sięgała jakieś pięćset mil dalej na południe, aż do doliny rzeki San Saby w Teksasie[45]. Było tak dlatego, że umysł Europejczyka po prostu nie mógł pojąć odległości, jakie średnio pokonywali Komancze. Zasięg wędrówek koczowniczych grup Komanczów wynosił około ośmiuset mil, a zasięg ich wypraw łupieżczych – i to najbardziej dezorientowało inne nacje – czterysta[46]. Oznaczało to, że hiszpańskiemu osadnikowi czy żołnierzowi w San Antonio bezpośrednio śmiertelnie zagrażał komancki wojownik siedzący przy ognisku w miejscu, gdzie dzisiaj leży Oklahoma City. Obcym wiele lat zajęło zrozumienie, że ten sam lud, który plądrował równiny Durango w Meksyku, przemierzał także ziemie na północ od rzeki Arkansas w dzisiejszym stanie Kansas. Jednak w 1836 roku Hiszpanów oczywiście od dawna już nie było, a Meksykanie, którzy zajęli ich miejsce, ścierali się z Komanczami z jeszcze

mniejszym powodzeniem – Indianie nazywali ich pogardliwie swoimi „zaopatrzeniowcami”[47]. Ironią historii było to, że główny powód, dla którego Meksyk zachęcał Amerykanów do osiedlania się w Teksasie w latach dwudziestych i trzydziestych XIX wieku, stanowiła chęć ustanowienia buforu przeciw Komanczom, swoistej polisy ubezpieczeniowej na granicach własnego państwa. W tym sensie Alamo, Goliad, San Jacinto i narodziny Republiki Teksasu wynikały ze źle pomyślanego planu powstrzymania Komanczów. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, a już na pewno nie tacy osadnicy jak Parkerowie, którzy w rzeczywistości zostali rzuceni komanckim najeźdźcom na pożarcie.

W tym okresie do kontaktów białych z Komanczami dochodziło jeszcze bardzo rzadko. Lewis i Clark tylko o nich słyszeli[29]. Lewis pisał o „wielkim narodzie Padouca” (uważano, że Paduka to inna nazwa Komanczów), który „zajmował kraj pomiędzy górną częścią dorzecza rzeki Platte [współcześnie Nebraska] a rzeką Kansas” oraz że „dzisiaj nie pozostała nawet nazwa Paduka”[48]. Komancze byli więc pogłoską, a może nawet czymś mniej. W 1724 roku francuski handlarz Étienne Véniard de Bourgmont odwiedził Paduków i opisał ich jako „nie całkiem wędrownych – są częściowo osiadli – ponieważ mają wioski z wielkimi domami i pielęgnują jakieś uprawy”[49]. Ponieważ nigdy nie istniał lud Komanczów, który by prowadził osiadły tryb życia i mieszkał w wioskach, całkiem prawdopodobne jest, że nazwa Padukowie odnosiła się do zupełnie innej grupy (może zamieszkujących na równinach Apaczów, ale nie da się tego dowieść).

W latach dwudziestych XIX wieku pierwsza grupa białych osadników w Teksasie, kierowana przez Stephena F. Austina, zetknęła się z Komanczami, a sam Austin dostał się nawet do ich niewoli na krótki czas. Ale ogólnie robili wrażenie przyjaznych, a spotkanie nie miało żadnych istotnych następstw. W 1821 roku pierwsze karawany mułów ruszyły Szlakiem Santa Fe, łączącym Missouri z Nowym Meksykiem trasą przez Kansas, Kolorado i Oklahomę. Jednak co roku szlak ten przemierzało średnio zaledwie osiemdziesiąt wozów. Niektóre były atakowane przez Indian, ale nie można mylić białych podróżujących szlakiem w tamtych czasach z osadnikami, którzy pragnęli zapuścić korzenie na ziemi. Szlak służył tylko jako rzadko używana droga do przewozu towarów handlowych, niezagrażająca ziemiom i terenom łowieckim Indian, tak więc doniesienia o atakach Komanczów były prawdopodobnie przesadzone[50]. Kontakty były sporadyczne, poza tym handlarze z trudem rozróżniali jedną indiańską grupę od drugiej.

W 1832 roku Sam Houston, który pracował jako handlarz wśród Czirokezów, wybrał się do Teksasu, aby doprowadzić do zawarcia pokoju między Komanczami, Osedżami i Paunisami: jego wysiłek nie zdał się na nic[51]. W 1834 roku oddział dwustu

pięćdziesięciu dragonów pod dowództwem pułkownika Richarda Dodge'a zetknął się z Komanczami nad Rzeką Czerwoną. Według opisu George'a Catlina, znanego artysty i kronikarza zachodu, który towarzyszył Dodge'owi, Amerykanie byli pod wrażeniem umiejętności jeździeckich Komanczów, ich wprawy w posługiwaniu się łukiem i strzałami z grzbietu konia, a także ich sztuki ujeżdżania dzikich mustangów. Catlin – co dziś wywołuje uśmiech na twarzy – stwierdził także: „prawdopodobnie w kilka dni ich zgnieciemy"[52]. Nie miał pojęcia, o czym mówi. W bitwie Komancze zapewne bez trudu rozprawiliby się z dosiadającymi ciężkich koni i uzbrojonymi w muszkiety dragonami. (W. S. Nye napisał, że żołnierze „mieli na sobie mundury bardziej pasujące do opery komicznej niż do służby w terenie w okresie letnich upałów w Oklahomie"[53]). Tego typu kontakty nie dostarczały żadnej wiedzy na temat prawdziwego charakteru tego ludu. Catlin pisał: „Ich historia, liczba i granice wciąż nie są znane. Nic jeszcze o nich nie wiemy ze stuprocentową pewnością"[54]. Jak mało jeszcze było o nich wiadomo nawet w 1852 roku, widać wyraźnie w relacji z wyprawy do źródeł Rzeki Czerwonej, napisanej przez jej dowódcę kapitana Randolpha Marcy'ego i opublikowanej w 1853 roku. Marcy opisał ten kraj – a w tym czasie, całe szesnaście lat po najeździe na fort Parkerów, stanowił on centrum terytorium Komanczów – jako w ogóle niezbadane miejsce, „w którym biały człowiek nigdy wcześniej nie postawił stopy"[55], i nieznane Amerykanom w tym samym stopniu co dziewicze regiony Afryki.

Trzeba podkreślić, że Komancze i Kiowa, którzy zaatakowali fort Parkerów, byli konni. Dzisiaj wyobrażamy sobie Indian na koniach jako rzecz zupełnie naturalną, ale dla Amerykanów w pierwszej połowie XIX wieku było to czymś nowym. Dosiadający wierzchowców, wznoszący okrzyki i strojni w orle pióra dzikusi – to mocno zakorzeniony w powszechnej świadomości obraz Indian, ale w rzeczywistości większość Indian w Amerykach poruszała się pieszo. Na kontynencie w ogóle nie występowały konie przed wprowadzeniem ich przez Hiszpanów w XVI wieku. Rozproszenie się koni i powstanie stad dzikich mustangów nastąpiło tylko w zachodniej części Ameryki Północnej: na Wielkich Równinach i na Południowym Zachodzie, a korzyści z tego czerpali niemal wyłącznie tubylcy. Oznacza to, że żaden żołnierz czy osadnik na wschód od Missisipi, od czasów pierwszych osadników, nigdy nie zetknął się z indiańskim wojownikiem na koniu. Po prostu takich nie było. Oczywiście z biegiem czasu Indianie na wschodzie nauczyli się jeździć konno, ale nastąpiło to długo po poddaniu się białym – żaden lud na Wschodzie, Środkowym Zachodzie czy Południu nigdy nie ruszył do bitwy na koniach.

Pierwszymi osadnikami, którzy zobaczyli prawdziwych konnych Indian, byli

Teksańczycy, ponieważ to w Teksasie osady ludzkie po raz pierwszy zbliżyły się do krańców Wielkich Równin. Indianie, których spotkali biali, byli prymitywnymi koczownikami i świetnymi jeźdźcami. Niczym nie przypominali względnie cywilizowanych, w dużym stopniu rolniczych i żyjących w wioskach ludów Wschodu, które przemieszczały się i walczyły pieszo, stanowiąc dość łatwy cel dla milicji i wojsk kolonialnych. Indianie konni żyli daleko za lasami, na niekończącym się dziewiczym i niemal pozbawionym wody obszarze falujących traw, który sam w sobie przerażał białego człowieka. Więcej łączyło ich ze wspaniałymi i legendarnymi łucznikami napotykanymi w dziejach ludzkości: Mongołami, Partami czy Madziarami, niż z Algonkinami[30] czy Czoktawami.

Przybyli z wyżej położonych terenów, z miejsca, które dziś nazywamy Wyomingiem, na północny zachód od źródeł rzeki Arkansas. Mówili o sobie *Nermernuh*, co w ich szoszońskim języku oznaczało po prostu ludzi. Byli ludźmi gór: niskimi, o ciemnej karnacji i szerokich klatkach piersiowych. Ich przodkowie, pierwotni łowcy, przekroczyli pomost lądowy między Azją a Ameryką w kolejnych migracjach między jedenastym a piątym tysiącleciem przed naszą erą i w następnych milleniach w niewielkim stopniu się rozwinęli. Ich gospodarka opierała się na zbieractwie i łowiectwie. Używali do tego kamiennych narzędzi i broni: dzidami zabijali gryzonie i inne małe zwierzęta, podpalali też prerię, żeby zagnać stada bizonów nad przepaść lub do wykopanych dołów. Do podróżowania używali psich *travois*, czyli włók – konstrukcji z drewna zawieszonej między dwoma żerdziami i ciągniętej przez psa. Na takich włókach umieszczali swoje tipi robione ze zwierzęcych skór. Było ich może z pięć tysięcy i żyli w rozproszonych grupach. Rozbijali obozowiska wokół ognisk i zajadali się przypiekanym, ociekającym krwią mięsem. Walczyli, rozmnażali się, cierpieli i ginęli.

Pod wieloma względami byli typowymi łowcami i zbieraczami. Ale nawet jak na lud łowiecko-zbieracki kultura Komanczów była wyjątkowo prosta. Nie znali rolnictwa, nie karczowali lasów, nie wyplatali koszy ani nie budowali domów. Ich organizacja społeczna zapewne nie wykraczała poza grupę łowiecką[56]. Nie mieli stowarzyszeń wojowników ani klasy kapłańskiej. Nie odprawiali Tańca Słońca. Jeśli chodzi o rozwój społeczny, byli daleko w tyle za zdumiewająco zurbanizowanymi Aztekami czy Irokezami, z ich warstwami, skomplikowaną organizacją i rodami. W żadnej mierze nie przypominali ludów amerykańskiego Południowego Wschodu, które między VIII a XVI wiekiem naszej ery rozwinęły zaawansowane kultury oparte na uprawie kukurydzy, z wielkimi miastami, wodzami-kapłanami, rodami i pochodzeniem

mierzonym w linii matki[57]. Na wschodzie ich najbliższymi sąsiadami były między innymi ludy Missouri (Missouria), Omaha, Paunisów i Wichita, które wyrabiały wspaniałą ceramikę, przędły i tkały, intensywnie uprawiały ziemię i prowadziły półosiadły tryb życia, długie okresy zamieszkując w domostwach pokrytych trawą, korą lub ziemią[58]. Nermernuh nie znali żadnej z tych rzeczy. Z niewielu źródeł, jakimi dysponujemy, wynika, że byli mało znaczącym ludem[59]. Na nieprzystępne tereny na wschodnich zboczach Gór Skalistych zostali przegnani przez inne ludy, co oznaczało, że kiepsko radzili sobie także z rzemiosłem wojennym.

To, co działo się z ludem Komanczów od mniej więcej 1625 do 1750 roku, można określić jako jedną z wielkich społecznych i militarnych przemian w historii. Tylko nieliczne narody zdołały w tak błyskawicznym tempie awansować i z pariasów stać się panami. Zmiana była całkowita oraz nieodwracalna i towarzyszyło jej zupełne przetasowanie sił na amerykańskich Wielkich Równinach. Ludy, które wcześniej wyparły Komanczów w góry Wyomingu, teraz albo same znikły z powierzchni ziemi (Kansa, Omaha, Missouri), albo – jak Apacze, Ute i Osedżowie – musiały się wycofać, jeśli chciały uniknąć eksterminacji. Nermernuh byli niczym chłopiec poniewierany przez kolegów w gimnazjum, który w szkole średniej wyrasta na wielkiego i silnego mężczyznę, pałającego żądzą zemsty. A Komancze umieli się mścić i bardzo dobrze pamiętali wyrządzone im krzywdy. Tępy uczeń nagle stał się bardzo bystry, a z czasem najbystrzejszy ze wszystkich.

Przyczyną zdumiewającej transformacji był koń. Albo – mówiąc precyzyjniej – to, co z nim uczynił ten zacofany lud łowców z epoki kamienia łupanego. Rewolucyjne zmiany na Wielkich Równinach, wywołane pojawieniem się konia, można porównać z wpływem, jaki na resztę świata wywarło wynalezienie sposobów zastosowania pary i elektryczności[60].

*

Historia nieprawdopodobnego rozkwitu Komanczów zaczyna się wraz z przybyciem konkwistadorów do Meksyku na początku XVI wieku. Najeźdźcy przywieźli ze sobą pochodzące z Hiszpanii konie. Zwierzęta przeraziły tubylców, dając napastnikom oczywistą przewagę militarną, ponieważ mogli teraz przemieszczać się z łatwością nieznaną mieszkańcom Nowego Świata. Okazało się też, że hiszpańskie konie były, zupełnie przypadkowo, świetnie przystosowane do suchych i półsuchych równin i wzgórz Meksyku oraz Amerykańskiego Zachodu. Mustang iberyjski był zupełnie innym zwierzęciem niż jego większy, żywiony zbożem kuzyn z północy Europy. Był to

koń pustynny, którego odlegli przodkowie rozwijali się na płaskich i suchych stepach Azji Centralnej. W ciągu wieków rasa tych koni emigrowała do Afryki Północnej przez Bliski Wschód, łącząc się po drodze z innymi pustynnymi mieszanymi wierzchowcami. Dzięki najazdom Maurów trafiły do Hiszpanii[61]. Mniej więcej w tym okresie stały się tymi zwierzętami, które później trafiły do Ameryki: lekkimi, małymi, wytrzymałymi wierzchowcami, mierzącymi mniej niż sześćdziesiąt cali wysokości w kłębie, o wklęsłym profilu głowy konia arabskiego i zwężonym pysku. Wygląd tego konia nie robił wielkiego wrażenia, ale to było mądre, szybkie i posłuszne zwierzę, przyzwyczajone do odżywiania się trawą rozgrzanych słońcem hiszpańskich równin i pokonywania dużych odległości między źródłami wody. Ten bardzo wytrzymały koń nawet zimą potrafił znaleźć pożywienie[62].

Tak więc w Meksyku mustangi świetnie się zaadoptowały, dzięki czemu Hiszpanie mogli – w hacjendach wokół stolicy – rozwinąć ich hodowlę na wielką skalę. Już dwadzieścia lat po wylądowaniu Cortésa Coronado zdołał zgromadzić półtora tysiąca koni i mułów na swoją wielką wyprawę na północ[63]. Konie rozprzestrzeniły się wraz z hiszpańskim podbojem. Hiszpanie dobrze wiedzieli, co może się stać, jeśli tubylcze ludy nauczą się jeździć konno: jednym z ich pierwszych rozporządzeń był zakaz dosiadania koni przez Indian. Oczywiście tego zakazu nie dało się egzekwować. Hiszpanie potrzebowali Indian i *mestizos* do pracy na swoich farmach, a to oznacza, że wiedza, jak czyścić, siodłać, kiełznać i ujarzmiać konie, stopniowo wymykała się spod kontroli Hiszpanów i przechodziła w ręce tubylców. Upowszechnianie się hiszpańskiej kultury konia zaczęło się w XVI wieku w Meksyku i trwało wraz z pochodem Hiszpanów ku Nowemu Meksykowi w XVII wieku.

Była to pierwsza część konnej rewolucji. Następną było rozproszenie się koni. Na początku działo się to bardzo powoli. Pierwsze prawdziwe stado koni przybyło do Ameryki Północnej wraz z wyprawą Don Juana de Oñate do Nowego Meksyku w 1598 roku. Zabrał on ze sobą siedemset koni. Hiszpanie pokonali lokalnych Indian Pueblo, narzucili im katolicyzm, a potem zrobili z nich niewolników i kazali budować dla siebie forty i misje. Indianie zajmowali się też końmi, chociaż interesowały ich wyłącznie jako źródło pożywienia.

Pueblo nie byli jedynymi Indianami w Nowym Meksyku. Hiszpanie, dając im schronienie i pomoc, wywołali gniew okolicznych grup mówiących językiem z rodziny atapaskańskiej – Apaczów, którzy niemal natychmiast zaczęli najeżdżać ich osady. Wydarzyło się coś interesującego i dotąd niespotykanego w hiszpańskiej historii Ameryki, mianowicie Apacze przystosowali się do koni. Nikt nie wie, jak dokładnie przebiegał ten proces ani jak Apacze posiedli głęboką wiedzę Hiszpanów o koniach.

Było to błyskawiczne przejęcie technologii. Indianie najpierw ukradli konie, potem nauczyli się, jak na nich jeździć. Kultura konia została w całości skopiowana od Hiszpanów. Indianie wsiadali na wierzchowce od prawej strony, czyli tak jak Hiszpanie, którzy przejęli ten zwyczaj od Maurów. Używali też prymitywnych kopii hiszpańskich wędzideł, uzd i siodeł[64].

Koń bardzo ułatwił Apaczom polowanie i sprawił, że ich łupieżcze najazdy stały się o wiele skuteczniejsze, przede wszystkim ze względu na możliwość natychmiastowej i błyskawicznej ucieczki. Według hiszpańskich kronik Apacze dokonywali konnych najazdów na osady w Nowym Meksyku już na początku drugiej połowy XVII wieku. Jednak mimo obiecujących początków Apacze nigdy nie stali się ludem znakomitych jeźdźców. Nie walczyli na koniach i nigdy nie nauczyli się ich hodować, ani też specjalnie się o to nie starali. Używali swych hiszpańskich mustangów głównie do przemieszczania się, a poza tym aż do przesady polubili gotowane końskie mięso i zjadali większość koni, jakie mieli, zostawiając do jazdy tylko te najlepsze[65]. Od zawsze byli ludem półrolniczym, co oznaczało, że nigdy nie mogli w pełni wykorzystać wszystkich zalet konia, w przeciwieństwie do swych największych wrogów, Komanczów, którzy w przyszłości mieli zrobić z koni wszechstronny użytek. Na razie jednak Apacze mieli to, czego nie miał żaden inny lud w Ameryce.

I rzeczywiście zdołali narobić innym wiele kłopotów. Przypuścili serię bezlitosnych i krwawych ataków na pokojowych Pueblo, którzy żyli w rozproszonych osadach między Taos a Santa Fe i dalej na południe, wzdłuż Rio Grande. Po każdym ataku Apacze szybko znikali za horyzontem na zachodzie, Hiszpanie zaś nie potrafili ich ani powstrzymać, ani wytropić. Z każdym najazdem Apacze powiększali liczbę posiadanych koni. Tylko podczas jednego wypadu w 1659 roku ukradli trzysta sztuk[66]. Indianie Pueblo zrozumieli wreszcie, że Hiszpanie nie są w stanie ich chronić. Bardzo prawdopodobne jest, że to właśnie stało się głównym zarzewiem wielkiej rewolty Pueblo w 1680 roku. Zmuszanie do ciężkiej pracy fizycznej, narzucenie katolicyzmu oraz zdławienie kultury i tradycji Pueblo też się do niej przyczyniły. Pueblo zbuntowali się i w straszliwej krwawej rewolcie wyrzucili Hiszpanów z Nowego Meksyku – na dziesięć lat. Uwolniwszy się od swych imperialnych ciemięzców, powrócili do starych zwyczajów, takich jak wyrabianie ceramiki czy uprawa roli. Z koni nie mieli żadnego pożytku. Tysiące mustangów, porzuconych przez Hiszpanów, pogalopowało na otwarte równiny, bardzo przypominające ich ojczyste ziemie na Półwyspie Iberyjskim. Dzięki idealnemu przystosowaniu się do nowej ziemi konie świetnie się rozwijały i rozmnażały. Z nich wykształciły się wspaniałe stada mustangów na Południowym Zachodzie. Wydarzenie to zostało nazwane „wielkim rozprzestrzenieniem się koni”.

Upowszechnienie tak wielu koni wśród trzydziestu ludów Wielkich Równin na trwałe odmieniło układ sił w zachodniej części kontynentu. Apacze jako pierwsi Indianie w Ameryce Północnej zrozumieli, jakie korzyści daje koń w polowaniu i łupieżczych najazdach. W ich ślady poszły wkrótce inne ludy.

Koń i wiedza, jak go wykorzystywać, rozprzestrzeniły się błyskawicznie. W 1630 roku żadne plemię nie znało tych zwierząt[67]. W 1700 roku wszystkie ludy na równinach Teksasu już je miały. W połowie XVIII wieku Indianie na równinach kanadyjskich polowali już konno na bizony. Z ich punktu widzenia koń dał im fantastyczną możliwość szybkiego przemieszczania się. Po raz pierwszy mogli w pełni kontrolować bizony, podążając za stadami tych zwierząt. Mogli poruszać się szybciej niż galopujące bizony i szybko się nauczyli, jak kierować te wielkie stworzenia na otwartą prerię, rzucać włócznie, długie na ponad czternaście stóp, między ich żebra i strzelać do nich z łuków z grzbietu pędzącego konia. Umiejętności łowieckie szybko przydały się także w walce. Ludy, które nauczyły się polować z grzbietu wierzchowca, niemal natychmiast zdobyły militarną przewagę nad ludami nieposiadającymi koni, a na pewien czas w ogóle nad każdym, kto próbował się im przeciwstawić. Dzięki koniowi stali się też ekspansywnymi handlarzami, którzy oferowali nowe towary na sprzedaż i mogli łatwo docierać do nowych rynków.

Koń nie zmienił jednak ich natury. Przed jego przybyciem ich życie opierało się niemal wyłącznie na bizonie. Koń tego nie zmienił. Po prostu robili to, co zawsze, tylko o wiele lepiej. Żaden prawdziwy lud równinny nie zajmował się rybołówstwem czy uprawą roli ani przed pojawieniem się konia, ani po tym wydarzeniu. Nie wzrosło nawet ograniczone zbieractwo korzeni i jagód[68]. Pozostali względnie prymitywnymi, wojowniczymi łowcami, przy czym koń właściwie blokował możliwość przekształcenia się w bardziej cywilizowane społeczeństwa rolnicze. Postęp był jednak olbrzymi. Wojnę można było teraz prowadzić na wielkim obszarze. Konie – podstawowy miernik zamożności na równinach – można było gromadzić i utrzymywać w wielkich stadach. Sam koń miał naturalną, olbrzymią moc duchową, która zmieniła tych pieszych nieszczęśników we wspaniałych kawalerzystów. Dzięki nowej technologii karty zaczęły rozdawać grupy, które dotąd pozostawały w cieniu innych, jeśli rozważa się kulturę i organizację społeczną. Wśród nich były ludy, które miały szybko stać się słynne w całym kraju: Siuksowie, Szejeni, Kiowa, Arapahowie, Czarne Stopy (Blackfoot), Wrony (Crow) i Komancze.

Nikt nie wie dokładnie, jak i kiedy grupy Komanczów we wschodnim Wyomingu zetknęły się z koniem po raz pierwszy, ale prawdopodobnie wydarzyło się to gdzieś w połowie XVII wieku. Przed rokiem 1680 konia znali Paunisi, którzy żyli na obszarze

dzisiejszej Nebraski. Wynika z tego, że niemal na pewno i Komancze mieli już konie w tym okresie. Nie było świadków wielkiego spotkania łowców z epoki kamienia łupanego i koni, żadnego urządzenia, które by zarejestrowało tę chwilę albo utrwaliło, co takiego w duszy Komanczów sprawiło, że rozumieli konie o wiele lepiej niż wszyscy inni. Cokolwiek to było – przypadkowy przebłysk geniuszu czy szczególna, podświadoma więź między wojownikiem a koniem – musiało wzbudzić ekscytację ciemnoskórych pariasów z krainy nad rzeką Wind. Komancze przystosowali się do konia szybciej i pełniej niż jakikolwiek inny lud równin. Uznaje się ich powszechnie i bez większych dyskusji za prototypowy konny lud Ameryki Północnej. Nikt nie potrafił ich prześcignąć ani lepiej od nich strzelać z grzbietu wierzchowca. Spośród innych ludów jeszcze tylko Kiowa walczyli konno. Paunisi, Wrony, a nawet Dakoci używali koni przede wszystkim do przemieszczania się. Przyjeżdżali na miejsce bitwy, schodzili z wierzchowców i zaczynali walkę (Apacze tylko na filmach atakują konno[69]). Żaden inny lud nie posiadł sztuki hodowli koni – niezmiernie wymagającej i opartej na wiedzy umiejętności, która uczyniła z Komanczów bogaczy. Zwracali wielką uwagę na kastrowanie swoich stad; niemal wszystkie konie, których używali do jazdy, były wałachami. Niewielu innych Indian przejmowało się tą sprawą. Wojownik komancki mógł mieć sto lub dwieście koni, a wódz nawet półtora tysiąca – dla porównania wódz u Siuksów mógł mieć czterdzieści wierzchowców[70]. Komancze nie tylko byli najzamożniejsi pod względem liczby posiadanych koni, ale też odgrywali rolę pośredników, dzięki którym wszystkie pozostałe ludy zdobywały konie[71].

Pierwsi Europejczycy i Amerykanie, którzy mieli okazję obserwować sposób, w jaki Komancze zajmowali się końmi, nie mogli przeoczyć ich kunsztu. Athanase de Mézières, hiszpański agent do spraw Indian, Francuz z pochodzenia, tak ich opisywał:

> Są ludem tak licznym i hardym, że zapytani, ilu ich jest, bez wahania porównują swą liczbę do liczby gwiazd. Tak świetnie znają się na koniach, że nikt nie może się z nimi pod tym względem równać. Są tak bitni, że nigdy nie proszą o rozejm ani na niego nie przystają. Posiadają takie terytorium, a w nim rozległe pastwiska dla swoich koni oraz przechodzącą wyobrażenie liczbę [bizonów], które dostarczają im materiału na ubrania, żywność i dach nad głową, że niewiele im brakuje do posiadania wszelkich możliwych wygód na świecie[72].

Inni dostrzegali to samo. Pułkownik Richard Dodge, którego wyprawa wcześnie zetknęła się z Komanczami, uważał, że byli najlepszą lekką kawalerią na świecie, przewyższającą każdą jazdę w Europie czy Ameryce. Również Catlin widział w nich niezrównanych jeźdźców. Jak stwierdził, amerykańscy żołnierze byli oszołomieni tym, co ujrzeli. Catlin pisał:

> Gdy są pieszo, należą do najmniej atrakcyjnych i najbardziej niechlujnych ras Indian, jakie kiedykolwiek

widziałem, ale w chwili, w której dosiadają swych koni, przechodzą jakby metamorfozę. Gotów jestem, bez najmniejszych wątpliwości, twierdzić, że Komancze są najwspanialszymi jeźdźcami, jakich spotkałem we wszystkich moich podróżach do tej pory.

I kontynuował:

Jedna z rzeczy, które potrafią wyprawiać na koniu, zrobiła na mnie wrażenie większe niż wszystko, co widziałem lub spodziewałem się zobaczyć w swoim życiu, jeśli chodzi o sztukę jeździecką: manewr wojenny, którego uczą się i który ćwiczą wszyscy młodzi mężczyźni w plemieniu – umieją opuścić ciało po jednej stronie konia w chwili przejeżdżania przed wrogiem; leżąc w pozycji horyzontalnej, schowani za ciałem konia, z jedną nogą przerzuconą ponad jego grzbietem, skutecznie chronią się przed ostrzałem wroga. […] Pęd konia nie przeszkadza im w zwisaniu w tej wspaniałej pozycji, z łukiem i tarczą oraz długą na ponad czternaście stóp włócznią w ręku[73].

W takiej pozycji wojownik komancki potrafił wypuścić dwadzieścia strzał w czasie, którego żołnierz potrzebował, by załadować i wystrzelić jeden nabój z muszkietu. Każda ze strzał mogła zabić człowieka odległego o prawie trzydzieści jardów. Inni świadkowie podziwiali komancki sposób ujarzmiania koni. Komancze łapali dzikiego mustanga na lasso i zaciskali pętlę, dławiąc konia i zmuszając do położenia się. Gdy zwierzę wyglądało na półmartwe, luzowano uścisk lassa. Koń wstawał, trzęsący się i spieniony. Jego właściciel łagodnie uderzał go w nos, uszy i czoło, przykładał usta do jego nozdrzy i wdmuchiwał mu powietrze w nos. Potem Indianin zawiązywał rzemień wokół dolnej szczęki ujarzmionego konia, wskakiwał na grzbiet zwierzęcia i już mógł jechać[74]. Komancze okazali się geniuszami we wszelkich sprawach związanych z końmi: hodowli, ujarzmianiu, sprzedawaniu i jeżdżeniu. Byli też znakomitymi koniokradami. Pułkownik Dodge napisał, że Komancz potrafił wjechać do „obozu, w którym spał tuzin mężczyzn i każdy z nich miał konia przywiązanego lassem do nadgarstka, przeciąć rzemień w odległości sześciu stóp od śpiącego i uciec z koniem, nikogo nie budząc”[75].

Żaden inny lud, być może z wyjątkiem Kiowa, nie był tak bardzo uzależniony od konia. Dzieci otrzymywały własne konie w wieku czterech lub pięciu lat. Od chłopców wymagano szybkiego opanowywania różnych umiejętności, takich jak chwytanie z ziemi przedmiotów w pełnym galopie. Młody jeździec rozpoczynał naukę od podnoszenia lekkich rzeczy, potem coraz cięższych, aż wreszcie – bez niczyjej pomocy i zawsze w pełnym galopie – uczył się podnosić człowieka. Ratowanie leżącego towarzysza uważano za jeden z podstawowych obowiązków komanckiego wojownika. Wszyscy w młodym wieku uczyli się sztuki ujarzmiania koni za pomocą rzemiennego lassa. Niejednokrotnie kobiety jeździły równie dobrze jak mężczyźni. Pewien biały widział, jak dwie Komanczki wypuściły się konno z lassami i jak każda z nich,

wykonując tylko jeden rzut, w pełnej szybkości łapała biegnącą antylopę[76]. Kobiety miały własne wierzchowce, a także muły i łagodne konie służące jako zwierzęta juczne.

Kiedy nie zajmowali się kradzieżą albo rozmnażaniem koni, Komancze łapali dziko żyjące mustangi. Generał Thomas James opowiadał, że w 1823 roku widział to na własne oczy, gdy negocjował z nimi zakup koni. Obserwował, jak wielu jeźdźców kierowało stada dzikich koni do głębokiego parowu, w którym setka mężczyzn czekała konno ze zwiniętymi lassami. „Gdy przerażone dzikie konie wpadały w pułapkę", w tumanach kurzu i w wielkim chaosie jeźdźcy zarzucali im lassa na szyje lub przednie nogi. Każdy jeździec zdobył nowego konia. Tylko jednemu dzikiemu koniowi udało się wymknąć. Komancze pognali za nim i po dwóch godzinach wrócili z tym wierzchowcem, „ujarzmionym i łagodnym". W ciągu dwudziestu czterech godzin złapano około stu dzikich koni, „czemu towarzyszyło olbrzymie podniecenie", a same zwierzęta „były uległe wobec swoich panów jak konie pociągowe"[77]. Komancze potrafili gonić stado mustangów przez kilka dni albo czekać na spragnione zwierzęta przy wodopojach. Wyczerpane biegiem albo opite i ociężałe rumaki stawały się łatwym łupem. Komancze, podobnie jak inne ludy pierwotne, mieli niewiele słów na opisanie większości rzeczy, ale ich słownictwo związane z końmi było bogate i drobiazgowo opisowe. W odniesieniu do maści koni mieli odrębne słowa oznaczające kolor kasztanowaty, gniady jasny, rudobrązowy, kary, biały, stalowoszary, bułany, gniady, dereszowaty, rudy, żółty, żółtego konia z czarną grzywą i ogonem; srokacza czerwonego, gniadego i czarnego. Mieli nawet odrębne określenia koni z rudymi, żółtymi i czarnymi uszami[78].

Umiejętność obchodzenia się z końmi odgrywała ważną rolę w innej rozrywce Komanczów, mianowicie w hazardzie. O konnych gonitwach Komanczów istnieją setki opowieści. Jedna z najbardziej znanych pochodzi z teksaskiego pogranicza. Grupka Komanczów przybyła do fortu Chadbourne, gdzie oficerowie amerykańscy wyzwali ich na konny pojedynek. Wódz nie okazał entuzjazmu, ale ponieważ oficerowie nalegali, zgodził się. Zawodnicy mieli rywalizować na dystansie czterystu jardów. Najpierw wystąpił wielki tęgi wojownik na długowłosym „nędznym kucu, który bardziej przypominał owcę". Dzierżył w ręku ciężką maczugę, którą uderzał konia. Oficerowie z lekceważeniem wyprowadzili trzeciego ze swoich najlepszych koni i postawili mąkę, cukier i kawę przeciw bizonim skórom Komanczów. Ostentacyjnie wywijając maczugą, Indianin zwyciężył. Do drugiego wyścigu oficerowie wystawili drugiego ze swych najszybszych rumaków. I ten wyścig przegrali. Za wszelką cenę chcieli kolejnego pojedynku i tym razem wystawili najlepszego konia, wspaniałą klacz z Kentucky. Zakłady podwojono i potrojono. Komancze przyjmowali wszystko, co tylko żołnierze

zdołali postawić. Na znak startu wojownik wydał okrzyk, odrzucił swoją maczugę i „pognał jak wiatr”. Pięćdziesiąt jardów przed metą Indianin obrócił się w siodle i ohydnymi grymasami zachęcił rywala do przyśpieszenia. Przegrani dowiedzieli się później, że ten sam kosmaty czworonóg dopiero co został użyty do wykradzenia sześciuset koni Indianom Kickapoo (Kikapom)[79].

Pod koniec XVII wieku wprawa Komanczów w postępowaniu z końmi pozwoliła im wywędrować z nieprzystępnej, zimnej krainy nad rzeką Wind na południe, gdzie klimat był bardziej umiarkowany. Migracja ta oznaczała, że Komancze rzucali wyzwanie innym ludom, a stawką było panowanie nad stadami bizonów na Równinach Południowych – najważniejszą łowiecką zdobyczą na kontynencie.

W 1706 roku po raz pierwszy wjechali na karty historii pisanej. W lipcu tego roku hiszpański sierżant sztabowy Juan De Ulibarri dowiedział się w drodze do Indian Pueblo, których zamierzał zgromadzić i zbiorowo nawrócić na chrześcijaństwo w północnym Nowym Meksyku, że Komancze i towarzyszący im Indianie Ute szykowali się do zaatakowania puebla Taos[80]. Później miał się dowiedzieć o faktycznych atakach Komanczów[81]. Wtedy to po raz pierwszy Hiszpan, czy też biały człowiek w ogóle usłyszał o tych Indianach, którzy mieli wiele nazw. Jedna z nich, nadana przez Ute, brzmiała Koh-mats – czasami w wersji Komantcia – i oznaczała „kogoś, kto jest zawsze przeciw mnie”. Rządzący Nowym Meksykiem próbowali zapisywać ją na różne sposoby (Cumanche, Commanche), ale ostatecznie przyjęło się „Comanche”[82]. Wiele lat miało upłynąć, zanim Hiszpanie zrozumieli, kim dokładnie byli owi nowi najeźdźcy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wielka samotność

> Przedkładam te strony czytelnikom do uważnego przestudiowania i jestem pewna, że zanim zostaną opublikowane, ręka, która je napisała, należeć będzie do martwej osoby[83].

To słowa dwudziestojednoletniej Rachel Parker Plummer, napisane prawdopodobnie na początku 1839 roku. Kobieta miała na myśli swoje wspomnienia z niewoli i przepowiadała własną śmierć. Nie myliła się. Zmarła 19 marca tego samego roku. Komancze wlekli ją, czasem dosłownie, przez połowę Wielkich Równin, okrutnie nią poniewierając, a potem sama przedzierała się przez kolejne dwa tysiące mil w jednej z najbardziej dramatycznych ucieczek z rąk Indian. Pamiętnik wstrząsnął czytelnikami w tamtym okresie – i nadal wstrząsa. Niewiele dokumentów z epoki dorównuje temu zapisowi budzących trwogę krwawych doświadczeń na pograniczu w dziewiętnastowiecznej Ameryce.

Rankiem po pierwszej strasznej nocy pięcioro więźniów z klanu Parkerów – Rachel i jej czternastomiesięcznego syna Jamesa, jej ciotkę Elizabeth Kellogg (prawdopodobnie mającą trzydzieści kilka lat), dziewięcioletnią Cynthię Ann Parker i jej siedmioletniego brata Johna – znowu przywiązano do grzbietów koni za plecami komanckich jeźdźców i powieziono na północ. Przez kolejne pięć dni Komancze pędzili bez wytchnienia, mijając Cross Timbers, leśną oazę o szerokości czterdziestu mil na otwartej prerii na zachód od dzisiejszego Dallas, „pięknie ukształtowaną krainę” – pisała Rachel – z „wieloma uroczymi źródłami”. Sama jednak nie miała prawa z nich pić. W tych dniach Indianie w ogóle nie dawali swym jeńcom nic do jedzenia i tylko odrobinę wody. Każdej nocy związywano ich mocno skórzanymi rzemieniami, od których krwawiły nadgarstki i kostki; wiązano im ręce i stopy razem i kładziono twarzą do ziemi.

Rachel nie pisze zbyt wiele o Cynthii Ann – poza razami, krwią i krępowaniem rzemieniem pierwszej nocy – ale można sobie wyobrazić, jak z nią postępowano. Chociaż Komancze byli nieprzewidywalni w tych sprawach, dziewięcioletniej dziewczynce zapewne oszczędzili typowych koszmarów, jakie stawały się udziałem dorosłych kobiet. Bez wątpienia pierwsze dni i noce Cynthii Ann były straszne.

Najpierw potworne przerażenie podczas ataku Indian, później niewyobrażalny strach, kiedy jej matka Lucy posadziła ją na grzbiecie konia indiańskiego wojownika, i widok okrutnej śmierci ojca, a potem gwałtu i upodlenia kuzynki i ciotki (mimo surowego baptystycznego wychowania dorastanie na farmie z pewnością dało jej jakąś wiedzę o seksie i rozmnażaniu, ale nijak się to miało do tego, czego musiała być świadkiem w trakcie ataku Indian). Potem wyczerpująca jazda przez pogrążoną w ciemnościach prerię północnego Teksasu do obozu, w którym ją związano i bito maczugą, i pięć kolejnych dni na szlaku bez żadnego pożywienia.

Jednak dalsze losy Cynthii Ann sugerują, że bicie i surowe traktowanie ustały. Istnieje wiele relacji o zabijaniu dzieci przez Komanczów oraz gwałceniu młodych dziewcząt, ale zwykle ich los był znacznie lepszy niż dorosłych. Po pierwsze, były wystarczająco młode, by zasymilować się w społeczności, w której wskaźniki płodności były zatrważająco niskie (między innymi z powodu częstego przemieszczania się na grzbietach koni, co powodowało poronienia we wczesnym okresie ciąży) i która musiała brać do niewoli innych, żeby utrzymywać swoją populację na stałym poziomie[84]. Po drugie, mogły się okazać cenne, gdyby zapłacono za nie okup. W niektórych brutalnych najazdach komanckich młode kobiety celowo pozostawiano przy życiu i szybko przyjmowano do grupy. Dziewczęta miały więc niezłe szanse przeżycia. Z pewnością większe niż dorośli mężczyźni, których od razu zabijano lub torturowano na śmierć. Najlepszym dowodem ludzkiego potraktowania Cynthii Ann była obecność w czasie ataku na fort Parkerów Pety Nocony, mężczyzny, który później został jej mężem i wodzem wojennym. Zresztą całkiem prawdopodobne, że Peta przewodził napastnikom, i całkiem możliwe, że to na jego koniu Lucy Parker posadziła krzyczącą i stawiającą opór Cynthię Ann[85].

Szóstego dnia Indianie podzielili jeńców: Elizabeth Kellogg przehandlowano lub oddano grupie Indian Keechi (Kichai), osiadłemu plemieniu ze środkowo-północnego Teksasu, które uprawiało ziemię i było swego rodzaju wasalami Komanczów. Cynthia Ann i John dostali się do jednej z grup Komanczów środkowych, prawdopodobnie Nokoni, a Rachel i Jamesa oddano do jeszcze innej grupy Nermernuh. Rachel liczyła, że jej synowi, pobitemu i krwawiącemu, lecz cudem wciąż żywemu, pozwolą z nią zostać. Myliła się. Pisała:

> Gdy tylko zauważyli, że przestałam go karmić piersią, mimo oporu, jaki stawiałam, wyrwali go z moich objęć. Wyciągnął ku mnie ręce pokryte krwią i zawołał: „Matko, matko, o matko!”. Patrzyłam na niego, jak mi go odbierano, i zaszlochałam na cały głos. Mój mały Pratt – nigdy więcej o nim nie usłyszałam[86].

Grupa Komanczów, do której trafiła Rachel, parła ku chłodniejszym wyżynom na

północy, zapewne w dzisiejszym wschodnim Kolorado. Otaczały ich wysokie, puste równiny. Rachel odnotowała:

> Drzewa już dawno znikły z widnokręgu. Przez całe tygodnie jazdy nie widzieliśmy choćby jednej gałązki. Do rozpalenia ognia służyło wyłącznie łajno bizonów. Układano je w okrągły kopczyk. Po podłożeniu ognia paliło się tak dobrze, że można było na nim gotować, a ogień utrzymywał się przez kilka dni[87].

Znajdowali się w sercu Komanczerii, zupełnie nieznanym miejscu, przez kartografów określanym mianem Wielkiej Pustyni Amerykańskiej. W oczach tych, którzy przywykli do terenów leśnych, czyli dla niemal wszystkich białych mieszkańców Ameryki przed 1840 rokiem, równiny nie tylko w najmniejszym stopniu nie przypominały niczego, co było im znane, ale też zwyczajnie nie byli w stanie ich ogarnąć wyobraźnią: tak jakby ktoś, kto spędziwszy całe życie w wysokich górach, po raz pierwszy ujrzał ocean. W klasycznym dziele *The Great Plains* Walter Prescott Webb pisał: „Na wschód od Missisipi cywilizacja opierała się na trzech nogach: ziemi, wodzie i drewnie. Na zachód od Missisipi aż dwie z tych nóg nie istniały – woda i drewno – a cywilizacji pozostawała tylko jedna noga: ziemia. Nic dziwnego, że co rusz upadała pod własnym ciężarem”[88].

Jeśli Hiszpanie, Francuzi i biali Amerykanie w swych podbojach napotykali nieprzejednaną wrogą ludzką barierę w postaci Indian Wielkich Równin, to istniała też realna, fizyczna zapora. Ludziom żyjącym w XXI wieku trudno to sobie wyobrazić, ponieważ tutejsza ziemia dzisiaj wygląda zupełnie inaczej niż w wieku XIX. Do naszych czasów prawie całe terytorium Ameryki zostało wykarczowane, zamienione w pola uprawne, pastwiska lub zagospodarowane w inny sposób i w wielu miejscach znikły pierwotne różnice między lasem a prerią. Jednakże w swym dziewiczym stanie niemal cała Ameryka Północna, od wschodniego wybrzeża po 98 południk – linię biegnącą od północy na południe mniej więcej przez dzisiejsze miasta San Antonio, Oklahoma City i Wichita – była pokryta gęstym lasem, a kontrast między przepastnymi lasami na wschodzie a krainą na zachodzie, nad którą pochylało się „wielkie niebo”, był olbrzymi. Podróżujący na zachód przed przekroczeniem 98 południka nie widziałby choćby skrawka otwartej prerii, a po dotarciu do tej linii – w wielu miejscach – dosłownie wyglądałby z ciemnego lasu braci Grimm na bezdrzewną równinę. W tym momencie cała wiedza osadnika, który był przecież człowiekiem lasu, wiedza potrzebna mu do przeżycia, czyli jak budować dom, rozpalać ogień, doprowadzać wodę, stawała się bezużyteczna. Dlatego też równiny były ostatnią częścią kontynentu, która została zasiedlona przez białych.

Główną przyczyną były opady deszczu, a właściwie ich brak. Na zachód od

wspomnianego południka roczna suma opadów spadała poniżej dwudziestu cali; w takiej sytuacji niewiele drzew może przetrwać, a rzeki i strumienie są bardzo nieliczne. Ekologia równin związana była z ogniem: nieustanne pioruny albo wywoływane przez Indian pożary wypalały olbrzymie połacie prerii i zabijały większość młodych drzew, które nie wyrastały z dna rzek lub strumieni. Pierwsza preria, na jaką natrafiłby podróżujący, który przybywał z wilgotnej, bagnistej, nawiedzanej deszczami, pokrytej lasami sosnowymi i poprzecinanej rzekami Luizjany, znajdowała się gdzieś na południe od dzisiejszego Dallas, całkiem niedaleko fortu Parkerów. Fort Parkerów właśnie dlatego wyznaczał granicę osadnictwa białych w 1836 roku, ponieważ leżał tuż przy skraju Wielkich Równin. Była to pofałdowana ziemia, porośnięta tu i ówdzie drzewami; mocniejsze okazy wyrastały z dna rzeki Navasoty (z punktu widzenia Parkerów było to pożądane: w końcu otoczony palisadą fort zbudowali z drewna jałowca). Ale sto mil dalej na zachód drzew nie było już wcale, a podróżny, zanim dotarłby tam, gdzie dziś stoją miasta Lubbock i Amarillo, widziałby tylko płaski jak blat stołu bezmiar butelui i trawy bizoniej, przez który przedzierało się zaledwie kilka rzek o gipsowych korytach – żadna inna forma nie wyróżniała się w tym krajobrazie. Ówcześni podróżnicy nazywali tę przestrzeń „oceaniczną” i wcale nie myśleli o „pięknie”. Dla nich była pusta i przerażająca. Nazywali ją też dziewiczą, czy dosłownie „bezśladową”, co było bardzo trafnym określeniem, ponieważ jakiekolwiek ślady wozu przejeżdżającego przez trawiaste równiny znikały po paru dniach, niczym zmywane przez falę odciski stóp w piasku na brzegu morza.

Wysokie Równiny[31] nie tylko były pozbawione drzew i wody, ale również panował tam jeden z najgorszych klimatów w Ameryce Północnej. Latem nadchodziły fatalne upały i piekielny wiatr – temperatura często sięgała ponad stu stopni[32]– które w przyszłości miały niszczyć pola uprawne w kilka dni. Wiatr sprawiał, że oczy piekły, wargi pękały, a organizm odwadniał się w zatrważającym tempie. Jesienią i zimą zrywały się nagle wichury z północy, nazywane po angielsku *norther*. Często miały siłę huraganu, a towarzyszyły im zwarta płachta czarnych chmur i potężne kłęby wirującego piasku. Wiatr z północy w ciągu godziny potrafił oziębić powietrze o dziesięć stopni. „Niebieski” *norther* dodatkowo niósł lodowaty deszcz. Była to normalna pogoda na równinach.

Najgorsza ze wszystkiego była śnieżyca znana jako *blizzard*. Mieszkańcy wschodnich i zachodnich wybrzeży Ameryki mogli myśleć, że widzieli *blizzard*. Tak jednak nie było. Prawdziwy *blizzard* występuje niemal wyłącznie na Wielkich Równinach i tam właśnie zyskał swoją nazwę. Nawiewany przez wiatr śnieg jest tak

gęsty, a temperatury tak niskie, że każdy, kto w tym czasie znalazł się na nieosłoniętej równinie, mógł już uważać się za zmarłego. Nawet po zasiedleniu równin nieraz się zdarzało, że ludzie gubili się i umierali w drodze ze stajni do domu. Wyjące wiatry dęły przez kilka dni. Ogromne zaspy śnieżne były czymś normalnym, podobnie jak śnieżne mgły, kiedy nie dawało się odróżnić ziemi od powietrza. Śnieżyce na równinach pochłaniały całe oddziały żołnierzy, osady czy wioski indiańskie. Taka też była Komanczeria. Piękna i nieustająco wroga kraina, którą wybrali na swoją ojczyznę Indianie, była jednocześnie wysuniętym najbardziej na południe i obfitującym w największe stada amerykańskich bizonów pastwiskiem. Była to ostatnia część kontynentu, którą podbiło i utrzymało wojsko Stanów Zjednoczonych. Ostatnia część, której ktokolwiek pragnął, ostatnia część, która została ucywilizowana. Już sama ziemia mogła zabić. To, że zamieszkiwali ją Komancze i inni konni Indianie, sprawiało, iż obcy, który by się tu nieopatrznie zapuścił, mógł być niemal pewien śmierci.

Tu właśnie znalazła się Rachel Plummer, najprawdopodobniej pięćset mil od najbliższego skupiska osadników, w miejscu, które przed nią widziało niewielu białych. Z punktu widzenia osadnika było to tylko pustkowie, które stało się częścią Stanów Zjednoczonych na mocy zakupu Luizjany (1803)[33]: pozbawione fortów, żołnierzy czy w ogóle ludzi z wyjątkiem zabłąkanego trapera czy badacza albo nielicznych karawan mułów posuwających się Szlakiem Santa Fe. Pierwsze karawany na Szlaku Oregońskim miały się pojawić dopiero cztery lata później. To była ziemia Indian: tu żyli, polowali i walczyli o nią między sobą. Według relacji Rachel większą część z trzynastu miesięcy niewoli spędziła na Wysokich Równinach, chociaż opisuje też podróż przez Góry Skaliste: „marzłam bardziej niż kiedykolwiek w moim życiu. Rzadko mogłam nałożyć coś na stopy, i nie miałam prawie nic, czym mogłabym okryć ciało”[89].

Była niewolnicą i tak ją traktowano. Do jej zadań należało pilnowanie koni w nocy, a za dnia garbowanie bizonich skór – codziennie musiała przygotować ich określoną liczbę. Proces ten wymagał starannego zdrapywania mięsa ze skóry za pomocą ostrej kości. Potem skórę pokrywano wapnem, które wchłaniało tłuszcz, następnie na całej powierzchni rozcierano mózg bizona, aż skóra stawała się miękka[90]. Żeby nadążyć z garbowaniem skór i uniknąć bicia, oprawiała je także w czasie pilnowania koni. Oddano ją staremu mężczyźnie, musiała służyć jego żonie i córce, które źle ją traktowały.

Porwanie Rachel może wydawać się przypadkowym rezultatem przypadkowego ataku na osadę w Teksasie. W istocie jednak to, co się jej przydarzyło, miało poważne

przyczyny, związane z wysoko wyspecjalizowaną gospodarką bizonią na równinach. Skóry i futra zawsze były przydatnym towarem w handlu (handel Komanczów opierał się na koniach, skórach i jeńcach). Wartość skór stale rosła – do tego stopnia, że o ile jeden Komancz mógł zjeść tylko sześć bizonów rocznie, o tyle w tym okresie zabijał średnio czterdzieści cztery sztuki i z każdym rokiem liczba ta wzrastała. Kobiety, oczywiście, wykonywały całą dodatkową pracę, która podnosiła wartość produktu: wyprawiały skóry i ozdabiały futra. Mężczyźni szybko zrozumieli, że więcej żon to więcej wyprawionych skór, a co za tym idzie lepsze możliwości wymieniania ich na inne towary[91]. Ta prosta dedukcja ekonomiczna oznaczała doniosłe zmiany w życiu Indian mieszkających na równinach: rozwój poligamii wśród mężczyzn oraz pragnienie zdobycia i utrzymania większej liczby jeńców płci żeńskiej. U Komanczów zmiany te być może były bardziej instynktowne niż zamierzone. Dla Rachel oznaczało to, że jej dni zawsze miały być długie i ciężkie i że zawsze musiała wypełnić swój limit.

Niestety, w momencie ataku Indian na fort Parkerów była też od czterech miesięcy brzemienna i wszystkie te cierpienia musiała znosić w zaawansowanej ciąży. W październiku 1836 roku urodziła swojego drugiego syna. Dobrze wiedziała, że dziecko jest w niebezpieczeństwie. Mówiła w języku Komanczów na tyle dobrze, żeby – jak to ujęła – „nalegać, by jej pani poradziła jej, jak ocalić dziecko”[92]. Na próżno. Jej właściciel uznał, że niemowlę byłoby zbyt wielkim kłopotem, a karmiąca go Rachel traciłaby część czasu przeznaczonego na pracę. Któregoś ranka, kiedy chłopiec miał siedem tygodni, pojawiło się sześciu mężczyzn. Kilku z nich przytrzymało Rachel, a jeden ścisnął mu szyję, po czym oddał kobiecie. Ponieważ chłopiec dawał jeszcze oznaki życia, chwycili go znowu, ale tym razem okręcili mu szyję powrozem i przeciągnęli go przez kłującą opuncję, a na koniec przywiązali drugi koniec sznura do konia, który powlókł ofiarę dookoła przez kilkaset jardów. „Mój niewinny synek był nieżywy, a do tego dosłownie porozrywany na kawałki”, napisała Rachel[93].

Grupa ruszyła dalej. Mimo tragicznych przejść Rachel dawała radę wykonywać swe codzienne obowiązki. Odnotowywała szczegóły fauny, flory i topografii, które widziała. Pisała o lisach preriowych, mirażach chłodnych zimnych jezior, które jej się ukazywały, a także pradawnych morskich skamielinach na otwartych preriach. Podała informacje dotyczące społeczeństwa Komanczów, co należy uznać za pierwszy etnograficzny opis tego ludu. Indianie podejmowali wędrówkę co trzy−cztery dni. Każdej nocy mężczyźni tańczyli. Niektórzy okazywali cześć udomowionym wronom albo jeleniej skórze[34]. Przez kilka dni, każdego ranka przed wyruszeniem na bitwę, mężczyźni pili tyle wody, że wymiotowali. Jedno z tabu nie pozwalało, żeby cień

ludzki padł na gotujące się jedzenie. Kiedy Rachel znajdowała wolną chwilę, wspinała się na szczyt góry, a nawet udało jej się zbadać jedną jaskinię. Dzięki znajomości języka Indian podsłuchała ich podczas wielkiej narady nad rzeką Arkansas. Ponieważ kobiety nie miały prawa uczestniczyć w zgromadzeniach, kilka razy ją odepchnięto, nie szczędząc razów, ale, jak pisała, chętnie się temu poddała i zdołała podsłuchać, o czym rozmawiali[94]. W ten sposób dowiedziała się o planie skomasowanego ataku wielu plemion na Teksas. Po zdobyciu Teksasu i wypędzeniu jego mieszkańców Indianie zamierzali najechać Meksyk. Miało to nastąpić w 1838 albo 1839 roku.

Mimo swej zdumiewającej odporności Rachel zaczęła tracić nadzieję. Sądziła, że jej syn James jest martwy oraz że jej mąż, ojciec i matka nie przeżyli ataku na fort Parkerów. Nie wierzyła, że zdoła uciec albo chociaż zmienić swój status wśród Indian. Przybita, pragnąca śmierci, niezdolna jednak do targnięcia się na własne życie, postanowiła sprowokować swoich porywaczy, by zrobili to za nią. Odmówiła, gdy córka jej właściciela („moja młoda pani”) rozkazała jej wziąć z namiotu narzędzie do wykopywania jadalnych korzeni. Młoda kobieta krzyknęła na nią, a potem się na nią rzuciła. Rachel powaliła ją na ziemię, przytrzymała ją tam „wierzgającą i wrzeszczącą” i zaczęła bić po głowie kością bizona. Jak pisała: „oczekiwałam, że lada chwila jeden z tych Indian przeszyje mi pierś włócznią”[95]. A jeśli zamierzali ją zabić, to mogła przynajmniej poważnie zranić swą ciemiężycielkę. Po pewnym czasie zorientowała się jednak, że wokół nich zebrał się wielki tłum mężczyzn. Wszyscy krzyczeli, ale nikt jej nie tknął. Rachel wygrała walkę. W swych wspomnieniach relacjonowała: „Zmusiłam ją, żeby przestała zadawać mi ból, a gdy nie mogła prawie oddychać, zaczęła błagać o litość”. Rachel puściła obficie krwawiącą przeciwniczkę, potem ją podniosła i zawlokła do obozu, gdzie umyła jej twarz. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że kobieta zachowuje się przyjaźnie.

Co innego przybrana matka, która oznajmiła Rachel, że zamierza spalić ją żywcem (już wcześniej oparzyła ją ogniem i rozżarzonymi węglami). Kobiety rzuciły się na siebie, przetaczając się przez płonące ognisko. Obie mocno się poparzyły. Rachel dwukrotnie powaliła rywalkę i przytrzymała ją w ogniu. W ferworze walki uszkodziły konstrukcję tipi i wypadły na zewnątrz. I tym razem wokół walczących zgromadził się tłum mężczyzn. Żaden z nich nie interweniował. Rachel wygrała po raz drugi. Następnego ranka dwunastu wodzów zebrało się w „domu narad”, żeby osądzić to wydarzenie. Zeznawały wszystkie trzy kobiety. Werdykt brzmiał: Rachel musi wstawić tyczkę podtrzymującą ścianę tipi w miejsce tej, którą złamała. Zgodziła się, pod warunkiem że młodsza z kobiet jej w tym pomoże. Po tym wszystkim, wedle słów Rachel, „ponownie zapanował spokój”.

Czytając wspomnienia Rachel Plummer, nie sposób powstrzymywać się od moralnej oceny Komanczów. Torturowanie i zabicie bezbronnego niemowlęcia, i to na mocy zbiorowej decyzji, według wszelkich współczesnych kryteriów jest aktem wręcz diabelskiej niemoralności. Regularne zbiorowe gwałcenie pojmanych kobiet ociera się o kryminalną perwersję, jeśli nie o bardzo zaawansowaną formę zła. Osadnicy europejskiego pochodzenia, kolonizujący zachód kontynentu, zgodziliby się z tymi ocenami. W ich oczach Komancze byli bandytami i zabójcami, pozbawionymi tak podstawowych odruchów, jak obyczajność, współczucie i litość. Nie tylko zadawali niewyobrażalne cierpienia, ale wszystko wskazywało na to, że mieli w tym upodobanie. To było chyba najgorsze, a na pewno najbardziej przerażające. Zadawanie bólu i słuchanie krzyków torturowanych ludzi uważali za interesujące i pobudzające, tak samo jak młodzi chłopcy we współczesnej Ameryce z zaciekawieniem i satysfakcją maltretują żaby i wyrywają nogi konikom polnym. Chłopcy zapewne z tego wyrastają, natomiast w kulturze Indian stanowi to ważną i akceptowaną bez zastrzeżeń część życia dorosłych.

Pewna historia z początku lat siedemdziesiątych XIX wieku ilustruje szerszy problem. Według relacji Hermana Lehmanna, porwanego w wieku dziecięcym przez Indian, potem pełnoprawnego wojownika komanckiego, grupa Komanczów zaatakowała Tonkawów w ich obozie. Kilku zabili, a resztę zmusili do ucieczki. W opuszczonym obozie znaleźli piekące się na ogniu mięso. Okazało się, że to noga Komancza. Tonkawowie, znani ze swego kanibalizmu, przygotowywali ucztę. To wzbudziło w Komanczach żądzę zemsty i rzucili się w pogoń za Tonkawami. Doszło do zaciętej bitwy, w której zginęło ośmiu Komanczów, a czterdziestu odniosło rany. Mimo to zwyciężyli i po zakończonej potyczce zabrali się do rannych i umierających wrogów. Lehmann, który brał udział w wydarzeniu, pisał:

> Wielu pragnęło wody, ale nie słuchaliśmy ich próśb. Oskalpowaliśmy ich, odcięliśmy ramiona, nogi, języki, po czym wrzuciliśmy zmasakrowane ciała i kończyny do ich własnego ogniska, dorzuciliśmy chrustu i wepchnęliśmy żywych, umierających i nieżywych Tonkawów razem do ognia. Niektórzy zdołali wykonać kilka konwulsyjnych ruchów i poruszali się jak robaki, niektórzy dali jeszcze radę mówić i błagali o litość. Wrzuciliśmy ich znowu do ognia i zatańczyliśmy dookoła z wielką radością, obserwując, jak z ich ciał tryskają tłuszcz i krew, i z satysfakcją patrzyliśmy, jak pęcznieją, i słuchaliśmy, jak pękają ich skóry rozsadzane przez żar ognia[96].

Tego rodzaju okrucieństwo zawsze stanowi problem, gdy pisze się o amerykańskich Indianach, ponieważ biali Amerykanie są bardzo przywiązani do swego wyobrażenia tubylców jako pod wieloma względami postaci szlachetnych i bohaterskich. Rzeczywiście, Indianie byli bohaterscy i szlachetni, szczególnie gdy bronili swych rodzin. Jednak w moralnym uniwersum Zachodu – niezależnie od naszej własnej

bogatej tradycji torturowania, w tym oficjalnie sankcjonowanych tortur w Europie doby kontrreformacji lub w europejskich państwach, takich jak Rosja cara Piotra Wielkiego – osoby, która torturuje czy gwałci inną osobę albo która kradnie komuś dziecko, żeby je sprzedać, nie można postrzegać jako bohaterskiej i szlachetnej. Bez wątpienia Szalony Koń dokonywał heroicznych czynów w walce, a w codziennym życiu wydatnie pomagał innym. Ale jako Siuks Oglala uczestniczył też w najazdach łupieżczych, z którymi wiązało się między innymi znęcanie się nad jeńcami. Wielką popularność – z góry w Dakocie Południowej wykrawają właśnie jego olbrzymi kamienny wizerunek – być może w głównej mierze zawdzięcza temu, że niewiele wiadomo o wczesnych latach jego życia[97]. Może być bohaterem, bo my chcemy, żeby nim był.

Toteż niektórzy badacze przeszłości w ogóle pomijają brutalną stronę indiańskiego życia – jej istnieniu przeczą zwłaszcza ci historycy, którzy twierdzą, że przed przybyciem białego człowieka walki między Indianami były stosunkowo mało krwawe i przynosiły niewiele ofiar[98]. Jednak od faktów nie można uciec: amerykańscy Indianie byli wojowniczy z natury – wojowniczy od stuleci, na długo zanim natknął się na nich Kolumb. Oczywiście walczyli o terytoria łowieckie, ale prowadzili też liczne okrutne i krwawe wojny, które były zupełnie niepotrzebne. Zawzięty pościg Komanczów za nieszczęsnymi Tonkawami to dobry przykład takiego postępowania, podobnie jak nękanie Apaczów jeszcze długo po wypędzeniu ich z łowisk bizonów.

Wszyscy Indianie obu Ameryk tak postępowali. W rzeczywistości bardziej cywilizowane ludy rolnicze ze wschodu wymyślały znacznie bardziej wyrafinowane, długie i okrutne tortury niż Komancze i inne ludy równin[99]. Różnica polegała na odmiennym u Indian Wielkich Równin traktowaniu pojmanych kobiet i ofiar płci żeńskiej. Gwałcenie kobiet i ich maltretowanie, nie wyłączając okaleczania, istniało w czasach, gdy Indianie na wschodzie sprzedawali jeńców jako niewolników w XVII i XVIII wieku. Potem jednak zarzucili ten zwyczaj. Niektóre ludy, w tym potężni Irokezi, nigdy nie postępowały z kobietami w taki sposób[100]. Kobietę można było zabić i oskalpować, ale nie zbiorowo zgwałcić. To, co przydarzyło się pojmanym kobietom z rodu Parkerów, było możliwe tylko na zachód od Missisipi. Komancze bardziej niż inni zasłynęli z okrucieństwa i przemocy, ponieważ jako jeden z wielkich wojowniczych ludów w historii byli w stanie zadać innym o wiele więcej bólu, niż sami kiedykolwiek zaznali.

Indianie, co ważniejsze, nie widzieli nic złego w tych czynach. Zmierzający na zachód osadnicy, których olbrzymia większość wyznawała ideę absolutnego dobra i zła, a co za tym idzie, była przekonana o istnieniu uniwersalnych kryteriów moralnego

zachowania, nie mogli tego pojąć. Częściowo zachowanie Indian można wyjaśniać komancką teorią natury świata, która była całkowicie odmienna od perspektywy cywilizowanego Zachodu. Komancze nie mieli dominującej jednolitej religii ani żadnego jedynego boga. Wprawdzie kiedy się poddali, w rozmowach z antropologami często sprawiali wrażenie, że odpowiada im idea „Wielkiego Ducha", ale Ernest Wallace i E. Adamson Hoebel, badacze tego ludu, bardzo sceptycznie odnosili się do wszelkich mitów o stworzeniu świata, w których występowała tylko jedna istota duchowa albo wyłącznie jeden „zły duch"[101]. Stary Komancz o imieniu Post Oak Jim, wypytywany w latach trzydziestych XX wieku, powiedział: „Nigdy za bardzo nie zastanawialiśmy się nad historią stworzenia. Po prostu wiedzieliśmy, że tu jesteśmy. Nasze wysiłki kierowaliśmy przede wszystkim na zrozumienie duchów"[102].

Komancze żyli w świecie przepełnionym magią i różnymi tabu; duchy mieszkały wszędzie, w skałach, drzewach i zwierzętach. Dla Komanczów najważniejsze było znalezienie sposobu na wykorzystanie mocy tych duchów. Stawały się one wtedy *puha*, czyli „lekiem" (*medicine*). Nie istniały dogmaty czy kasta kapłańska, która by narzuciła uporządkowaną religię, ani też tendencja, by postrzegać świat jako coś innego niż szereg niezwiązanych ze sobą wydarzeń bez głębszego znaczenia. Oczywiście funkcjonowały wzory zachowań, na przykład mężczyzna nie mógł ukraść żony innego mężczyzny i nie ponieść za to kary. Ale nie istniało ostateczne dobro i zło: tylko czyny i ich skutki, szkody i należne zapłaty.

Wrogowie zaś byli wrogami, a zasady obchodzenia się z nimi przechodziły z pokolenia na pokolenie od tysięcy lat. Złapawszy Indianina Ute, wojownik komancki bez wahania zamęczyłby go na śmierć. Tak od zawsze robili wszyscy: identycznie postąpiłby Siuks z członkiem ludu Assiniboinów, a Wrona z Czarną Stopą. Komancz schwytany przez Indianina Ute oczekiwał dokładnie takiego samego potraktowania (w ten sposób był przerażająco wierny złotej regule wzajemności) i z tego powodu Indianie na polu walki zawsze bili się do ostatniego tchnienia, co wprawiało Europejczyków i białych Amerykanów w osłupienie. Nie było wyjątków. Oczywiście równie zawzięcie Indianie stosowali zasadę zemsty krwi. Życie wojownika zamęczonego na śmierć, o ile było to tylko możliwe, musiało być pomszczone torturami innego, najlepiej jeszcze okropniejszymi i, naturalnie, zakończonymi śmiercią ofiary. To także Indianie obu Ameryk uważali za słuszną regułę.

Co mogłoby wyjaśnić tak wielką odmienność systemów moralnych Komanczów i białych, z którymi tym pierwszym przyszło mieć do czynienia? Częściowo musiało to wynikać ze stosunkowo wolnego rozwoju cywilizacji w Amerykach w porównaniu z resztą świata. Wynalezienie rolnictwa w Azji i na Bliskim Wschodzie – mniej więcej

w tym samym czasie, czyli około sześciu i pół tysiąca lat przed naszą erą – pozwoliło koczowniczym społeczeństwom łowców i zbieraczy przejść na kolejne, wyższe stopnie cywilizacji. W Ameryce rolnictwo pojawiło się jednak dopiero dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą, całe cztery tysiąclecia później i długo po rozwinięciu się zaawansowanych cywilizacji w Egipcie i Mezopotamii. Przepaść była olbrzymia. Kiedy Indianie odkryli, jak siać nasiona i uprawiać rośliny, cywilizacje w Ameryce Północnej i Południowej rozwijały się mniej więcej w tym samym tempie co cywilizacje Starego Świata. Budowano miasta, powstawały skomplikowane struktury społeczne, projektowano piramidy, wznoszono imperia – ostatnimi były państwa Azteków i Inków (tak jak w Starym Świecie kultury koczowników i łowców-zbieraczy przetrwały obok wyłaniających się rozwiniętych cywilizacji). Jednak znajdujące się w izolacji Ameryki, bez znajomości ani konia, ani wołu, nigdy nie miały szansy zasypania tej przepaści czasowej. Ich mieszkańcy pozostawali trzy−cztery millenia za Europejczykami i Azjatami, a przybycie Kolumba w 1492 roku oznaczało, że nigdy ich nie dogonią. Nieznający rolnictwa Indianie Wielkich Równin odstawali, oczywiście, jeszcze bardziej.

Tak więc do brzemiennego w skutki starcia osadników: spadkobierców kultury Arystotelesa, świętego Pawła, Leonarda da Vinci, Lutra i Newtona, z konnymi jeźdźcami, autochtonami z równin, doszło jakby w zakrzywionej czasoprzestrzeni, jakby ci pierwsi spoglądali tysiące lat wstecz na nieznające moralności, przedchrześcijańskie, barbarzyńskie wersje siebie samych. W pewnym stopniu Komanczów można porównać do ludów celtyckich, przodków olbrzymich rzesz imigrantów do Ameryki w XIX wieku. Hekatajos z Miletu opisywał Celtów z V wieku przed naszą erą jako „zajadłych wojowników, którzy walczyli, zupełnie nie dbając o własne życie”[103]. Byli – podobnie jak Komancze – dzicy i odrażający, nosili długie włosy i wydawali okropny, przeszywający okrzyk wojenny. Świetnie jeździli konno, uwielbiali nade wszystko alkohol, a ze swoimi wrogami i jeńcami wyprawiali straszne rzeczy, na przykład ścinali im głowy, co budziło przerażenie cywilizowanych Greków i Rzymian[104]. Dawni Celtowie, przodkowie Szkotów i Irlandczyków, którzy stanowili awangardę migracji na zachód Ameryki, nie widzieliby niczego nadzwyczajnego w komanckich torturach.

Wrogowie postrzegali Komanczów jako zawziętych zabójców w budzących strach czapach zrobionych z bizonich skalpów i ozdobionych rogami, ponurych wysłanników ciemności i zniszczenia. Jednak w komanckich obozach, w których znaleźli się Rachel Parker Plummer, Cynthia Ann Parker i pozostali jeńcy, byli kimś zupełnie innym. Jak

pisał pułkownik Richard Irving Dodge, jeden z pierwszych Amerykanów, który obserwował Komanczów z bliska, w swojej wiosce przedstawiciel tego ludu „jest hałaśliwym, wesołym, uwielbiającym psoty fanfaronem, robiącym bez przerwy kawały i gotowym na każdego rodzaju ostrą rozrywkę […] każda noc niesie echa ich tańców i śpiewów, ryków i wrzasków”[105]. Typowy Komancz uwielbiał hazard i nie istniało nic, czego by nie mógł obstawiać – absolutnie nic – ale najchętniej obstawiał konie. Przepadał za grami losowymi i bez wahania zakładał się o swoją ostatnią bluzę. Uwielbiał śpiewać. Najbardziej lubił śpiewać własną osobistą pieśń, często ułożoną specjalnie dla niego przez szamana. Nierzadko budził się, śpiewając, i śpiewał też, kiedy szedł spać. Uwielbiał każdego rodzaju rywalizację, ale bardziej niż wszystko inne na świecie lubił ścigać się konno. Był próżny, jeśli chodzi o włosy – nieraz się zdarzało, że aby je przedłużyć, wplatał w nie ścięte warkocze swej żony. Owijał je w skórę bobra lub wydry. Był namiętnym plotkarzem i − według Dodge’a – przejawiał „pozytywne pragnienie, by wiedzieć, co się dzieje dookoła niego”[106].

Tańczył godzinami, a nawet całymi dniami. Swoją rodzinę kochał do szaleństwa, zwłaszcza synów; zimy spędzał w wygodzie i gnuśności, opatulony w grube bizonie skóry przy ognisku w swoim tipi – fantastycznym wynalazku architektonicznym, w którym do utrzymywania ciepła nawet w czasie surowych, smaganych wiatrem zim na równinach wystarczało małe ognisko. Komancz uwielbiał też gadać. Jak ujął to Dodge: „Gadałby bez końca z dzikim podnieceniem, chwaląc się swoimi wyczynami w miłości, na wojnie, na polowaniu i nie wahając się tych dokonań wyolbrzymiać”[107]. Komancze nosili takie imiona, jak Wielki Upadek przez Potknięcie, Marszcząca się Twarz jak przy Starzeniu się, Wagina Kojota, Ten, który Staje się Mężczyzną w Średnim Wieku, Zawsze Siadający w Niewłaściwym Miejscu, Coś Psuje albo Ta, która Zaprasza swych Krewnych[108]. Dla innych Komancze byli uosobieniem śmierci – sami siebie określali po prostu mianem „Ludzi”.

Byli bardzo typowymi reprezentantami Indian Wielkich Równin. Kultury większości ludów tej krainy opierały się na bizonie – zwierzę to stanowiło podstawę ich bytu: zapewniało pożywienie, dach nad głową (do budowy tipi używano bizonich skór), opał (wyschnięte odchody dobrze się paliły), przedmioty codziennego użytku (narzędzia z kości, sakwy na wodę z bizonich żołądków), uprząż (uzdy, rzemienie, siodła z bizoniej skóry), sznury (ze skręconego włosia tego zwierzęcia), okrycie ciała (bluzy, mokasyny i płaszcze) oraz broń (cięciwy łuków ze ścięgien oraz maczugi). Zanim w latach siedemdziesiątych XIX wieku przybyli biali łowcy bizonów, tych wielkich i szybkich zwierząt nie sposób było zliczyć. Większa część przedstawicieli tego gatunku żyła na Równinach Południowych – w Komanczerii. Były głównym powodem,

dla którego Komancze, ledwie nauczyli się jeździć konno, rozpoczęli walki o te ziemie.

Bizon był niebezpieczny dla myśliwych. Zdrowy osobnik mógł przebiec dwie mile niemal tak szybko jako koń. Indianie najczęściej nadjeżdżali na niego od tyłu, strzelając lub rzucając włócznie, lecz ranny bizon momentalnie stawał się zagrożeniem dla jeźdźca. Polegało ono, wedle słów teksaskiego rangera Ripa Forda, na tym, że „zostanie się złapanym i podniesionym, wraz z koniem, na rogach tego wielkiego zwierzęcia, podrzuconym jak pióro na dużą wysokość i rzuconym – w całkowitym zmieszaniu – wraz z twoim czworonożnym towarzyszem”[109]. Indiańskie koniki szkolono, by na odgłos zwalnianej cięciwy natychmiast odskakiwały od bizona.

Komancze cenili mięso bizonie bardziej niż jakiekolwiek inne. Jedli płaty mięsa pieczone nad ogniskiem albo gotowane w miedzianych kociołkach. Cięli tuszę na cienkie plastry, suszyli je, przechowywali na zimę i zabierali na dalekie wyprawy. Jedli nerki i żołądki. Dzieci biegły do zabitego przed chwilą zwierzęcia i prosiły o jego wątrobę i woreczek żółciowy. Następnie wyciskały słoną żółć z woreczka żółciowego na wątrobę i ją zjadały, ciepłą i ociekającą krwią. Jeżeli zabito karmiącą samicę, Komancze rozcinali wymię i pili mleko wymieszane z ciepłą krwią. Do największych przysmaków należało ciepłe zsiadłe mleko z żołądka ssącego cielaka[110]. Gdy wojownicy byli w drodze i brakowało im wody, potrafili pić ciepłą krew bizona bezpośrednio z jego żył. Czasami jedli trzewia, dwoma palcami wybierając ich zawartość. (Uciekający przed pościgiem Komancz jechał dopóty, dopóki jego koń nie padł, potem rozcinał mu brzuch, wyjmował jelita, owijał je wokół swej szyi i dosiadał świeżego konia, a zawartość jelit zjadał później)[111]. Gdy brakowało bizonów, Komancze żywili się wszystkim, co było pod ręką: żółwiami lądowymi, wrzucanymi żywcem do ognia i jedzonymi ze skorupy łyżką z rogu bizona[112], wszelkimi mniejszymi zwierzętami, a nawet końmi, jeśli musieli, chociaż nie były one ich ulubioną potrawą jak w przypadku Apaczów. Nie spożywali ryb ani ptaków, chyba że doskwierał im głód. Nigdy nie jedli serca bizona.

Komancze byli prawdziwymi Indianami Wielkich Równin także pod względem struktury społecznej. Nermernuh dzielili się na „gromady” albo grupy lokalne (*bands*) – koncept, którego biali nigdy w pełni nie zrozumieli, uparcie postrzegając Komanczów jako plemię w sensie jednej politycznej całości z głównym wodzem oraz – zapewne – kadrą świeckich i wojennych pomniejszych wodzów, wykonujących jego rozkazy. W rzeczywistości nigdy nic podobnego nie istniało wśród Komanczów – nie istniało też zresztą wśród Szejenów, Arapahów czy jakiegokolwiek innego ludu na równinach. Wszyscy Komancze mówili tym samym językiem, mniej więcej tak samo się ubierali, dzielili te same wierzenia religijne i zwyczaje oraz mieli wspólny tryb

życia, który odróżniał ich od innych ludów i reszty świata. Jednak życie to – według etnografów Wallace'a i Hoebela[35] – „nie obejmowało instytucji politycznych ani mechanizmów społecznych, dzięki którym funkcjonowaliby jako plemię"[113]. Nie było wielkiego wodza, rządzącej rady ani „narodu" komanckiego, który istniałby w konkretnym miejscu albo z którym można byłoby negocjować czy spotykać się na polu bitwy. Oczywiście z punktu widzenia białych nie miało to sensu. Nie przypominało to żadnego znanego im systemu rządów. Wszędzie na równinach biali usiłowali zawierać traktaty z przywódcami lokalnych grup – nieraz bardzo barwnymi, zdecydowanymi i wpływowymi – błędnie zakładając, że przywódcy ci występowali w imieniu całego ludu. Błąd ten popełniali nieustannie.

Ludzie z zewnątrz zawsze mieli problemy ze zrozumieniem, czym były grupy Komanczów. Nie potrafili dobrze rozróżnić poszczególnych *bands*, a nawet nie orientowali się, ile takich grup było. Ziemie znajdujące się w obrębie terytorium Komanczów nie były sztywno wydzielone, a o odrębności grup stanowiły drobne różnice kulturowe, które wymykały się niewprawnemu obserwatorowi: w jednej popularny był taki a taki taniec, w innej taki a taki element ubioru, w jednej przysmakiem był pemikan[36], w innej wymawiano słowa wolniej niż w pozostałych. Hiszpanie, którzy postrzegali sprawy z dalekiej perspektywy zachodnich granic kraju Komanczów, sądzili, że istnieją trzy grupy tych Indian. Mylili się, choć zapewne mieli do czynienia tylko z trzema. Robert Neighbors, agent do spraw Indian i jeden z najwnikliwszych badaczy Komanczów, stwierdził w 1860 roku, że jego zdaniem grup jest osiem. Inni wyróżniali nawet trzynaście: niektóre z nich ostatecznie zniknęły, zostały wchłonięte przez inne albo wybite[114].

Historycy w zasadzie się zgadzają, że na początku XIX wieku istniało pięć głównych odłamów Komanczów, i to ich dzieje są głównym tematem tej książki. Każdy odłam liczył ponad tysiąc osób, niektóre być może nawet pięć tysięcy (w szczycie rozwoju cały lud Komanczów liczył dwadzieścia tysięcy). Odłamy te to: najbardziej wysunięci na północ Yamparika (Jedzący Korzenie), zajmujący tereny na południe od rzeki Arkansas; Kotsoteka (Jedzący Bizony), którzy zamieszkiwali przede wszystkim dolinę rzeki Canadian w dzisiejszej Oklahomie i Texas Panhandle; Penateka (Jedzący Miód[37]), najliczniejsi i zajmujący najbardziej wysunięte na południe terytorium, rozciągające się w głąb Teksasu; Nokoni (Wędrowcy), Komancze „środkowi", którzy zajmowali ziemie w północnym Teksasie i współczesnej Oklahomie między ziemiami Penateka a terytoriami północnych odłamów; oraz Quahada (Antylopy) – odłam Quanaha – którzy polowali nad źródłami rzek Kolorado, Brazos oraz Rzeki Czerwonej w odległej, północno-zachodniej części Teksasu. Każdy odłam odegrał inną rolę

w historii. Penateka byli w największej mierze odpowiedzialni za przepędzenie Apaczów Lipan na tereny graniczące z Meksykiem. Oni też zaangażowali się w pierwsze walki z Teksańczykami. Kotsoteka siali postrach wśród osadników hiszpańskich w Nowym Meksyku, a Yamparika walczyli z Szejenami i Arapahami na północnych rubieżach Komanczerii. Nokoni zaatakowali fort Parkerów, a Quahada toczyli ostatnie boje Komanczów z wojskiem Stanów Zjednoczonych. Wszystkie odłamy bardzo zgodnie ze sobą współpracowały. Prawie zawsze miały te same interesy. Razem polowały i razem przeprowadzały organizowane doraźnie łupieżcze ataki; często członkowie jednej grupy przechodzili do drugiej. Odłamy Komanczów nigdy ze sobą nie walczyły[115]. Zawsze łączyły je wspólne cele, wspólni wrogowie i mimo decentralizacji działań dyplomatycznych i handlowych konsekwentnie ze sobą współdziałały. (Struktura grup u innych ludów była jeszcze trudniejsza do zrozumienia dla białych, na przykład Siedzący Byk był Siuksem, ale należał do Lakotów, czyli zachodniego odłamu Siuksów, znanego też jako Teton, a lokalna grupa, której był członkiem, nazywała się Hunkpapa).

Tak więc Komancze jako lud nie mieli centrum decyzyjnego. Ale nawet wewnątrz grupy lokalnej struktury polityczne odznaczały się wybitnym brakiem hierarchii, a przywódcy sprawowali jedynie ograniczoną władzę. W każdej grupie było zwykle dwóch głównych wodzów – jeden był wodzem wojennym, a drugi, zazwyczaj ważniejszy, kierował ludźmi w czasie pokoju. Nie miał jednak wcale absolutnej władzy nad poszczególnymi członkami grupy, a jego „rządy” w najmniejszym stopniu nie miały charakteru instytucjonalnego. Owszem, Komancze wydali kilku wpływowych przywódców, którzy zyskiwali licznych zwolenników, ale władzę utrzymywali tylko dopóty, dopóki inni byli skłonni za nimi iść. Zadanie wodza pokojowego przypominało obowiązki kwatermistrza – decydował o czasie i kierunku wędrówek grupy[116]. Razem z pozostałymi członkami grupy osądzał zgłaszane im indywidualne przypadki kradzieży, zdrady małżeńskiej, morderstwa czy innych zbrodni. Nie istniała jednak stała instytucja pilnująca przestrzegania tradycyjnego prawa, nie było też policji czy sędziów. W istocie był to system prawa prywatnego. Gdy zostało popełnione przestępstwo, wtedy pokrzywdzona strona musiała dochodzić zadośćuczynienia. W przeciwnym wypadku ten, kto wyrządził krzywdę, nie poniósłby żadnej konsekwencji. Zapłata za szkody zwykle oznaczała oddanie pewnej liczby koni[117].

Głównym wodzem wojennym zostawał świetny i sławny wojownik, ale nie oznaczało to, że stawał na czele licznych wypraw wojennych czy łupieżczych organizowanych przez Komanczów albo że decydował, kto w nich uczestniczy bądź w którym miejscu uderzą. Wyprawy takie organizowali poszczególni wojownicy,

którym przyświecały ich własne cele. W społeczeństwie Komanczów każdy mógł zostać wodzem wojennym – po prostu trzeba było mieć pomysł na to, kogo i gdzie zaatakować (na przykład meksykańskie rancza w Coahuili), i umieć przekonać do tego pomysłu wystarczającą liczbę wojowników. Wodzem wojennym zostawał ten, kto potrafił zwerbować chętnych na wyprawę wojenną. Tacy ludzie przewodzili najważniejszym najazdom, w tym atakom na potężnych wrogów. Nie kontrolowali jednak – a nawet by tego nie chcieli – przedsięwzięć militarnych poszczególnych wojowników.

Skoro na poziomie ludu i grup lokalnych brakowało dyscypliny i scentralizowanej władzy, można by przypuszczać, że ważną rolę odgrywały rodziny i rody. Ale i pod tym względem Komancze byli w dużym stopniu wolni od ograniczeń społecznych. Wprawdzie rodzina była bez wątpienia podstawowym elementem grupy lokalnej, ale grupy lokalne nigdy nie były zorganizowane wokół grupy rodzinnej, ani też rodzina nie stanowiła choćby głównego mechanizmu regulacji małżeństw. Nie istniały żadne struktury rodowe. Rodzina nie mogła powstrzymać córki lub syna od małżeństwa z członkiem innej grupy lokalnej, czy nawet powstrzymać członka rodziny od opuszczenia grupy[118]. Nie istniała żadna reguła dotycząca dziedziczenia przywództwa – zależało ono wyłącznie od dokonań jednostki.

Mężczyzna u Komanczów był więc absolutnie wolnym człowiekiem. Nie krępowały go żaden Kościół, żadna zorganizowana religia, klasa kapłańska, stowarzyszenie wojenne, państwo, policja, prawo publiczne, władczy ród czy wpływowa rodzina, żadne reguły zachowania jednostki, nic, co by mu zabraniało opuścić własną grupę i przyłączyć się do innej, a nawet nic, co by mu nie pozwalało zbiec z żoną przyjaciela, choć z pewnością musiałby potem zapłacić za swoją słabość od jednego do dziesięciu koni, o ile oczywiście zostałby złapany. Mógł sam organizować wyprawy wojenne; mógł przychodzić i odchodzić, kiedy mu się podobało. Wiele osób, zwłaszcza pisarze i poeci – począwszy od Jamesa Fenimore'a Coopera – uznawali to za typowo amerykański rodzaj wolności. Nieraz podkreślano swobodny sposób życia szlachetnego „amerykańskiego dzikusa". Właśnie wizja tego swobodnego życia, wolnego przede wszystkim od uciążliwych instytucji społecznych, wiodła licznych osadników na zachód, ku pierwotnej granicy.

*

W takiej kulturze znalazła się nagle Rachel Plummer. Nie przysługiwały jej radość, śmiech, śpiewanie i hazard, które były udziałem mężczyzn. Jako kobieta była

obywatelką gorszej kategorii, członkinią kasty, której przeznaczenie sprowadzało się do wykonywania większości ciężkich prac, nie wyłączając pilnowania zwierząt, oskórowywania, zarzynania, suszenia mięsa, przygotowywania odzienia, pakowania i naprawiania tipi. Oczywiście do kobiecych obowiązków należały też opieka nad dziećmi i dogadzanie swojej rodzinie. Jako kobieta wzięta do niewoli Rachel miała jeszcze mniej praw, a ponieważ była dorosła w chwili porwania, miała marne szanse na zwiększenie ich zakresu w przyszłości. Nosiła blizny z pierwszych dni niewoli i brutalnego traktowania (ci, którzy widzieli ją później, mówili, że blizny na jej ciele były dobrze widoczne). Była niewolnicą seksualną swego pana i każdego, z którym miał ochotę się nią dzielić, co zapewne obejmowało także członków jego rodziny. Biorąc pod uwagę wszystko to, co jeszcze musiała przeżyć – w tym tortury jednego jej dziecka i morderstwo drugiego – wykorzystywanie seksualne musiało być jedną z mniejszych krzywd jej wyrządzonych. Jak wiemy, była też służącą kobiet swego pana, które się nad nią znęcały.

Pod innymi względami Rachel stała się w pełni Komanczką. Ubiór osadniczki zamieniła na noszone przez Indian kozłowe skóry[38], a także – choć sama o tym nie wspomina – bez wątpienia stała się brudna i zawszona, jak wszyscy Komancze, którzy nawet wśród Indian słynęli z braku higieny. Ścięła swoje długie, śliczne rude włosy. Uwielbiała bizonie mięso, zasmakowała też w mięsie piesków preriowych („tłuste i dobre"), bobrów („tylko ogon") i niedźwiedzi („bardzo tłuste i pyszne jedzenie"). Prawdopodobnie nie przyjęła powszechnego u Komanczów zwyczaju iskania się i rozgniatania wszy zębami – wśród białych budziło to obrzydzenie. Zapewne jak inne kobiety usługiwała mężczyznom w czasie ich zabaw, podając wodę tańczącym. W swej relacji nie wspomniała, czy uczestniczyła w zabawach kobiet i dzieci Komanczów (*shinny* i *double-ball*[39]). Wiedziała, że nie grozi jej już śmierć z rąk Komanczów. Wiedziała też, że jeżeli z nimi pozostanie, to w jej życiu nic się nie zmieni.

Gdy plan sprowokowania Indian do skrócenia jej życia się nie powiódł, Rachel postanowiła namówić kogoś, aby ją wykupił. Na Wysokich Równinach natknęła się na grupę Meksykanów. We wspomnieniach pisała: „Starałam się nakłonić jednego z nich, by mnie kupił. Powiedziałam mu, że nawet jeśli mój ojciec i mąż są nieżywi, wiem, że posiadam w Teksasie wystarczająco dużo ziemi, aby mu w pełni to wynagrodzić. Ale nie spróbował mnie wykupić, mimo że zgodził się to zrobić"[119]. Nie porzuciła nadziei. Później, kiedy pilnowała koni należących do swej grupy, spotkała – jak ich określiła – „meksykańskich handlarzy"; niemal na pewno byli to *comancheros* z Nowego Meksyku. Kazali zaprowadzić się do jej właściciela, co też uczyniła. Tam, w obecności Rachel, zapytali go, czyby ją sprzedał. Szokująca odpowiedź brzmiała: „Si, señor".

ROZDZIAŁ PIĄTY

Skowyt wilka

Niespodziewane pojawienie się konnych Komanczów w hiszpańskim Nowym Meksyku w 1706 roku oznaczało początek ich pierwszej długiej wojny z białymi. Walki toczyły się wyłącznie na warunkach Indian. Komancze nie pokonali armii hiszpańskiej w jednej rozstrzygającej bitwie ani też nie zmusili Hiszpanów do haniebnej ucieczki przez Rio Grande. Wielkie armie w klasycznym szyku, zażarcie walczące w otwartym polu – to nie było w stylu Amerykańskiego Zachodu. Zamiast tego były najazdy i odwety oraz wojna podjazdowa. Prowadziły ją małe, ruchliwe oddziały na olbrzymim terytorium, na którym ludzie potrafili przepaść bez wieści, jakby nigdy nie istnieli. Komancze nie zadali Hiszpanom typowej klęski militarnej, lecz zafundowali im półtora wieku brutalnej i nieustającej agresji, która utopiła we krwi północną granicę, a imperium Hiszpanów pozbawiła jakiegokolwiek znaczenia. Hiszpanie przybyli do Nowego Świata jako zdobywcy, potężni niczym bogowie, tryumfalnie zadufani w swym szczególnym rodzaju zmilitaryzowanego katolicyzmu. Na północy skończyli praktycznie jako więźniowie w swoich własnych misjach i *presidios*, schwytani w pułapkę wadliwego systemu, który ani nie wabił kolonistów, ani nie nawracał skutecznie Indian, ani też w żadnym razie nie był w stanie ochronić żadnej z tych grup przed ludami konnymi. Komancze nie tyle pobili Hiszpanów, ile sprawili, że ich obecność stała się nieistotna – mogli co najwyżej obserwować wielkie zmagania o panowanie nad samym centrum kontynentu północnoamerykańskiego, w których sami nie odgrywali już decydującej roli.

Ta zmiana w równowadze sił odmieniła historię Amerykańskiego Zachodu i losy całego kontynentu. Podbój obu Ameryk przez Hiszpanów zaczął się na początku XVI wieku przygniatającymi i zdumiewająco łatwymi zwycięstwami nad potężnymi Aztekami (Meksyk) i Inkami (dzisiejsze Peru). Duża część rdzennej populacji Ameryki Łacińskiej została następnie podbita „ogniem i mieczem” albo zdziesiątkowana przez choroby, albo oba te czynniki wyniszczyły ją jednocześnie. Tubylczy Amerykanie zapłacili straszliwą cenę za podboje Hiszpanów: w środkowym Meksyku populacja indiańska w 1520 roku, czyli rok po przybyciu galeonów Hernána Cortésa, liczyła

jedenaście milionów, by w 1650 roku spaść do jednego miliona. Ci, którzy przeżyli, zostali zamienieni w niewolników w ramach systemu gospodarczego znanego jako *encomienda*; pozwalał on konkwistadorom zajmować indiańskie ziemie, nakładać podatki na mieszkańców i zmuszać ich do pracy fizycznej. W zamian *encomenderos* zapewniali „podopiecznym" katolickie nauczanie i opiekę duszpasterską, naukę hiszpańskiego języka, jedzenie i obronę. Krótko mówiąc, był to importowany feudalizm, w którym *indios* zajęli miejsce chłopów pańszczyźnianych. Ten sam mechanizm wprowadzono na pozostałych olbrzymich terytoriach zajętych przez Hiszpanów w Ameryce Południowej. Jako wstęp do kolonizacji, ujarzmienia i przymusowej asymilacji system ten działał z okrutną precyzją.

Jednak kiedy Hiszpanie spróbowali przesuwać granicę na północ od miasta Meksyk, co – jak sądzili – miało zakończyć się podbojem całej Ameryki Północnej, ten starannie opracowany system zaczął się załamywać. Ich styl kolonizacji działał najlepiej w odniesieniu do zaawansowanych, centralnie rządzonych państw Azteków czy Inków. W ogóle się nie sprawdził wśród żyjących w stanie niższego barbarzyństwa, nieznających cywilizacji i rolnictwa plemion północnego Meksyku. Długie krwawe wojny w XVI i XVII wieku, prowadzone przeciw ludom Chichimeków i Tarahumarów, ukazały dość przykrą konieczność: pełna asymilacja tych Indian była „możliwa" tylko w formie ich eksterminacji. Pod koniec XVI wieku, po pięćdziesięciu latach licznych walk, Chichimekowie zniknęli z powierzchni ziemi[120]. Inne, mniej wojownicze ludy także nie wykazały zainteresowania obietnicami ojców w brązowych habitach, którzy oferowali jedzenie i dach nad głową w zamian za pracę w polu i ścisłe przestrzeganie katolickiej moralności. Okazało się, że ludy te nie są przystosowane do takiego trybu życia.

Owa moralność obejmowała zmiany w zwyczajach seksualnych, które Indianie uznali za dziwaczne i niezrozumiałe (monogamia ogólnie nie była znana Indianom). Nieszczęśni *indios* często uciekali. Łapano ich i karano, czasami karę – a była nią chłosta – wymierzał ksiądz. To z kolei nieraz prowadziło do rewolt. Okres łatwych podbojów się skończył, a miały nadejść jeszcze cięższe czasy. Chichimekowie, jakkolwiek dzicy i hardzi, nie równali się z ludźmi, których Hiszpanie mieli napotkać na północ od Rio Grande. Tamtejsi Indianie, znajdujący się na etapie niższego barbarzyństwa, również nie znali cywilizacji i – większość z nich – rolnictwa. Podobnie jak Chichimekowie, i oni nie mieli zamiaru pochylić się poddańczo przed Królem Katolickim. Tych *indios* różniło jednak to, że dysponowali nowym zabójczym orężem. Konkwistadorzy nigdy dotąd nie mieli do czynienia z Indianami na koniach.

W czasach, gdy wspomniana wcześniej mała grupka Komanczów zjawiła się

w Taos w lipcu 1706 roku, Nowy Meksyk był główną częścią hiszpańskiego imperium na północy. Jego największym miastem i stolicą terytorialną było Santa Fe, założone w 1610 roku, kiedy Hiszpanie właściwie przemknęli przez kilka tysięcy mil obcego terytorium, aby wbić w ziemię swoją flagę daleko na północy (faktyczne przesunięcie granicy do tego miejsca miało nastąpić o wiele później). Pozostała część populacji – kilka tysięcy białych Hiszpanów, Metysów (ludzi o mieszanej indiańsko-białej krwi) i Indian Pueblo, którzy zostali podbici przez Hiszpanów – żyła w osadach nanizanych niczym koraliki wzdłuż potoków i wąskich dolin Rio Grande. Hiszpanie wynieśli lekcję z niełatwego podboju północnego Meksyku: teraz wokół nowych fortów miały być wznoszone palisady, a o *encomiendas* należało zapomnieć. System imperialny na nowych ziemiach opierał się na *presidios* obsadzonych dobrze uzbrojonymi żołnierzami, misjach kierowanych przez katolickich księży pragnących nawrócić pogańskich Indian oraz *ranchos* prowadzonych przez kolonistów, głównie Metysów, którzy przybyli na północ. Imperium mogło tu przetrwać, o ile zdołałoby nawrócić Indian i zachęcić kolonistów; rozrzucone pośrodku niezaludnionej ziemi forty ze zdemoralizowanymi żołnierzami nie miały żadnego znaczenia.

Plan ten mógł dobrze wyglądać na papierze, zwłaszcza z tego względu, że Hiszpania nie miała prawdziwych rywali w przeraźliwie pustym wnętrzu kontynentu. Ale na równinach i płaskowyżach Amerykańskiego Zachodu zawiódł na całej linii. Problemy zaczęły się około 1650 roku. Wtedy to różne grupy Apaczów, od niedawna dosiadające hiszpańskich koni i rwące się do walki, zaczęły najeżdżać osady Nowego Meksyku. Nic, co Hiszpanie widzieli lub czego doświadczyli w Meksyku, nie przygotowało ich na te ataki. I wcale nie dlatego, że byli bezbronni. Ich wojsko składało się z uzbrojonych po zęby dragonów, w stalowych zbrojach, z wielkokalibrowymi arkebuzami ładowanymi dolufowo i zamkami miquelet, z pikami i lśniącymi szablami. Może dzisiaj wydawaliby się śmieszni, ale w rzeczywistości byli świetnie przygotowani do prowadzenia europejskich wojen z podobnie uzbrojonymi europejskimi armiami. W regularnej bitwie byli naprawdę groźni.

Jednak Indianie nie walczyli w ten sposób – przynajmniej nie wtedy, gdy mieli wybór. Nigdy nie poruszali się w batalionowym szyku na otwartych terenach. Nigdy nie przypuszczali bezpośredniej szarży, a sami w obliczu szarży wroga rozpraszali się i znikali. Nigdy nie atakowali fortu z żołnierzami. Ich ulubioną taktyką było zaskoczenie, dzięki któremu zdobywali przewagę. Atakowali i palili całe wioski, gwałcąc, torturując i zabijając mieszkańców. Młode kobiety pozostawiali z wnętrznościami na wierzchu, mężczyzn palili żywcem, niemowlęta przebijali włóczniami, a młodych chłopców i dziewczęta brali w niewolę. A potem

błyskawicznie uciekali na swych hiszpańskich mustangach, zostawiając w tyle świetnie uzbrojonych dragonów, którzy brnęli za nimi ociężale. Ten styl walki doprowadziły później do perfekcji jeszcze agresywniejsze ludy równin, mające o wiele lepszych jeźdźców niż Apacze. Najazdy trwały kolejne pięćdziesiąt lat i Hiszpanie z pewnością zabili wielu Apaczów, ale tak naprawdę nic się nie zmieniło. Hiszpańskie osady wciąż były bezbronne w obliczu indiańskich ataków.

Potem jednak wydarzyło się coś niezwykłego. Począwszy od mniej więcej 1706 roku, władze hiszpańskie w Santa Fe zaczęły dostrzegać uderzającą zmianę w zachowaniu swych znienawidzonych wrogów[121]. Wydawało się, że po prostu znikają, a w każdym razie przemieszczają się – ogólnie mówiąc – na południe i zachód. Ich najazdy skończyły się jak ręką odjął. Było tak, jakby zawarto traktat pokojowy, ale nic takiego się nie zdarzyło. Hiszpańskie władze cywilne i wojskowe zrozumiały, że Apaczów spotkała jakaś katastrofa, chociaż jej rozmiarów nie udawało się ocenić jeszcze przez wiele lat. W 1719 roku wyprawa wojskowa na północny wschód od Santa Fe napotkała kilka większych i dawniej groźnych grup Apaczów – Jicarilla, Carlana i Cuartelejo. Wyglądało na to, że na dobre porzucały swe ziemie[122].

Co takiego się działo? Hiszpanie nie byli zupełnie nieświadomi sytuacji geopolitycznej. Zdawali sobie sprawę z tego, że Komancze i Apacze znajdują się w stanie wojny. Problem jednak sprawiało im odróżnienie jednych od drugich, nie mówiąc już o rozumieniu, na czym polega wojna między ludami toczącymi na obszarze setek mil kwadratowych niewidzialne bitwy, których rezultatów nie sposób było odgadnąć. Byli pewni tylko tego, że ich wrogowie znikali.

Wyczuwali jednak z daleka, że zagładzie ulegał cały lud Apaczów. To nie była drobna sprawa. W sensie ludzkim i geograficznym Apaczeria była olbrzymią całością. Pięć czy sześć większych odłamów Apaczów zamieszkiwało terytorium rozciągające się od gór Nowego Meksyku do równin dzisiejszych stanów Kansas i Oklahoma oraz prosto na południe do rzeki Nueces w południowym Teksasie[123]. Apaczeria powstała w wyniku innej wielkiej migracji na południe, której dokonały ludy atapaskańskie. Wyruszyły one z dzisiejszej Kanady w XV wieku i wędrowały wzdłuż wschodniego pasma Gór Skalistych, niszcząc lub asymilując inne ludy łowiecko-zbierackie[124]. Najpewniej Komancze nie planowali wybicia całego ludu, ale też nie chodziło jedynie o przegnanie Apaczów z ich terenów łowieckich. Komancze żywili trwałą i głęboką nienawiść do Apaczów i to, co im uczynili, w dużej mierze było zemstą za przelaną przez nich krew. Tak czy inaczej, Komancze parli nieubłaganie na południe, a Apacze stali im na przeszkodzie.

Historia przechowała niewiele wzmianek o tych pełnych przemocy latach. Ogólnie

mówiąc, znaczyły je najazdy na osiedla ludów atapaskańskich, które zgubiło zamiłowanie do rolnictwa – jak na ironię wyższej formy cywilizacji niż ta, którą Komancze kiedykolwiek zdołali osiągnąć. Uprawy oznaczały przywiązanie do miejsca i półosiadłe wioski, a to z kolei – że grupy Apaczów można było dopaść i wyrżnąć. Komancze jako koczownicy nie byli obarczeni tą wadą. Bez wątpienia przebieg najazdów był przerażający. Apacze, którzy walczyli pieszo, stali się łatwym celem dla konnych, spadających jak burza Komanczów, ubranych w przepaski biodrowe i pomalowanych czarną barwą wojenną (czerń była kolorem śmierci, a także pasowała do ich minimalistycznej garderoby; w przyszłości Komancze mieli przejąć od innych ludów, zwłaszcza z Równin Północnych, pióropusze, inne kolory barw wojennych i tatuaże, ale w tym okresie obywali się bez ozdób i ograniczali do rzeczy podstawowych: byli czystą maszyną wojenną[125]). Rzadko brali jeńców. Zwykle palili całe wsie. Dzieci brali w niewolę. Tortury jeńców, jak wszędzie na Wielkich Równinach, były normą.

Hiszpanie dostrzegali tylko strzępy tych wydarzeń. Zanotowali krwawy atak na apacką rancherię w 1723 roku. W następnym roku Komancze najechali grupę Jicarilla z drastycznym skutkiem: uprowadzili połowę kobiet, a resztę grupy, z wyjątkiem sześćdziesięciu dziewięciu osób, wybili[126]. Jicarilla wkrótce poprosili Hiszpanów o ochronę – i ją otrzymali. Inni Apacze, w tym Mescalero, również uciekali na zachód przed komancką nawałą. W 1724 roku, według gubernatora Teksasu Dominga Cabella, Apacze Lipan zostali zmieceni z Równin Południowych w czasie dziewięciodniowej bitwy, którą stoczono w miejscu zwanym przez Hiszpanów El Gran Cerro del Fierro (Wielka Góra z Żelaza) – sądzi się, że chodzi o miejsce nad rzeką Wichitą w południowo-zachodniej części dzisiejszej Oklahomy[127]. Pod koniec lat dwudziestych XVIII wieku bestialskie ataki na Apaczów stały się tak dotkliwe i powszechne, że niektórzy z nich szukali schronienia w hiszpańskim pueblo w Pecos, niedaleko Santa Fe. Reakcją Komanczów był atak na pueblo.

Hiszpanie spróbowali nawet ocalić resztki Apaczów – co zresztą leżało w ich interesie. W 1726 roku dali im ziemię niedaleko Taos, mając nadzieję, że w ten sposób stworzą zaporę przed Komanczami. W 1733 roku nad Rio Trampas założyli misję dla Jicarilla. Ani jedno, ani drugie nie przyniosło pozytywnych skutków; były to raczej próby spowolnienia odwrotu, który ostatecznie dokonał się w 1748 roku. Jicarilla zostali wypędzeni ze swych ojczystych ziem, podobnie jak inne grupy zajmujące terytoria, po których wędrowały bizony w zachodnim Teksasie i dzisiejszym zachodnim Kansas, zachodniej Oklahomie i wschodnim Kolorado. Opuścili nawet schronienie w misji w Taos. W tym czasie już niemal wszystkie grupy Apaczów zostały wygnane

z Równin Południowych i wszystkie grupy, których istnienia Hiszpanie byli świadomi, przeniosły się na południowy zachód – ich nową ojczyzną stały się pustynie i płaskowyże Arizony i Nowego Meksyku oraz pogranicze z Meksykiem (wśród tych grup byli Chiricahua – z nich właśnie wywodzili się Geronimo i Cochise, dwaj wodzowie, którzy mieli zyskać sławę, walcząc na tych zagubionych pustkowiach pod koniec XIX wieku). Wśród tych, którzy nie zostali przegnani na zachód, byli Apacze Lipan – zamieszkali na suchych jak pieprz, porośniętych karłowatymi drzewkami ziemiach Teksasu na zachód od Pecos. Wiele grup Apaczów zniknęło po prostu z kart dziejów, jak na przykład zamieszkujące równiny grupy Faraone, Carlana czy Paloma[128]. W latach sześćdziesiątych XVIII wieku Komancze przepędzili Apaczów już na drugą stronę Rio Grande, do Meksyku.

Apacze nie byli jedynymi ofiarami Komanczów. Gdy Komancze napływali na południe, przekraczając rzekę Arkansas, napędzani własną fantastyczną biegłością w jeździe konnej i błyskawicznie doskonaloną umiejętnością prowadzenia walki na koniach, odkryli w sobie coś jeszcze: ich wojownicy byli w stanie pokonywać olbrzymie odległości, kierując się wyłącznie wskazówkami podsuwanymi przez krajobraz. Potrafili też robić to nocą. Nikt inny nie mógł się równać z nimi w tej sztuce. Przed wyruszeniem wojownicy zbierali się, aby otrzymać od starszych wskazówki dotyczące drogi, a obejmowały one rysowanie na piasku map przedstawiających wzgórza, doliny, wodopoje i rzeki. W ten sposób planowano każdy dzień kampanii, a wojownicy biorący udział w wyprawie po raz pierwszy musieli to wszystko zapamiętać. Dodge zanotował, że jedna grupa najeźdźców – żaden z jej członków nie miał więcej niż dziewiętnaście lat i żaden nigdy wcześniej nie był w Meksyku – zdołała wyprawić się z Brady’s Creek w Teksasie, niedaleko dzisiejszego San Angelo, do Monterrey w Meksyku, czyli pokonać ponad trzysta pięćdziesiąt mil, ani razu nie myląc drogi i mając do dyspozycji wyłącznie instrukcje od starszych[129].

Grupy Komanczów były zatem w stanie uderzać o każdej porze w dowolnym punkcie na Wielkich Równinach lub ich obrzeżach. Atakowali Paunisów w Kansas, Ute we wschodnim Kolorado i wschodnim Nowym Meksyku, Osedżów w Oklahomie, Czarne Stopy w Wyomingu, Kiowa i Kiowa-Apaczów w Kansas i Kolorado, Tonkawów w Teksasie. Po 1750 roku niewiele plemion odważało się postawić stopę na Równinach Południowych bez pozwolenia Komanczów. Silne ludy z północy, wśród nich Szejeni, trzymały się na północ od rzeki Arkansas (ostre walki w tym regionie miały się toczyć znowu pod koniec lat trzydziestych XIX wieku). Jak zawsze u Komanczów polityka mieszała się z wojną: w 1790 roku zawarli doniosły w skutkach

pokój z Kiowami, dający im potężnego sojusznika, z którym dzielili swoje tereny łowieckie. Pokój z Wichitami otworzył przed nimi wspaniałe perspektywy uczestnictwa w handlu z Francuzami w Luizjanie. Niektóre grupy, na przykład Waco i Tawakoni ze środkowego Teksasu, potrafiły po prostu egzystować w harmonii z Komanczami, a w każdym razie z nimi nie walczyły. Oczywiście byli też wrogowie, tacy jak Tonkawowie, Apacze czy Ute – jak się wydawało, mieli być wrogami po wsze czasy. Wcześniej także zdarzały się fale migracji w Ameryce Północnej, przykładem jest potężna Liga Irokezów, która w nieubłaganym pochodzie na zachód w XVII wieku unicestwiła ludy Huronów i Erie i wygnała ludy algonkińskie, zajmując dolinę rzeki Ohio[130][40].

Nikt w drugiej połowie XVIII wieku (ani też sto lat później) nie zdawał sobie w pełni sprawy z zajścia tych ważnych zmian w układzie sił. Hiszpanie – praktycznie jedyni kronikarze Komanczów przed XIX wiekiem – zazwyczaj widzieli tylko skutki[131], a zresztą i tak nie byli w stanie nakreślić spójnej mapy militarnej swych północnych prowincji. W istocie Komancze do 1750 roku uformowali zjednoczony militarnie i dyplomatycznie naród z bardzo precyzyjnymi granicami, które ustanawiali z całą bezwzględnością i których pilnie strzegli. Robili to z wielkim okrucieństwem, które na zawsze zmieniało ich kulturę. W kolejnych dekadach polowanie na bizony już im nie wystarczało. Jak starożytni Spartanie, szybko przekształcili się w społeczeństwo całkowicie skoncentrowane na wojnie, w którym status jednostki w grupie zależał wyłącznie od sprawności na polu walki, tę zaś niezmiennie mierzono liczbą skalpów, jeńców i zdobytych koni. Charakter Komanczów, tak jak go oceniali Hiszpanie, podsumował celnie brygadier Pedro de Rivera y Villalón w raporcie z objazdu północnych prowincji Nowej Hiszpanii w 1726 roku:

> Co roku o tej samej porze przybywa do tej prowincji naród Indian bardzo barbarzyński i wojowniczy. Nazywają się Komancze. Nigdy nie pojawiają się w liczbie mniejszej niż półtora tysiąca. Nie wiadomo, skąd pochodzą, ponieważ zawsze poruszają się w szyku bojowym, jako że prowadzą wojny ze wszystkimi narodami. […] Po skończeniu wymiany, z której powodu tu przyszli – oferują garbowane skóry, bizonie futra i tych młodych Indian, których porywają (ponieważ starszych zabijają) – wycofują się, kontynuując swoją wędrówkę aż do następnego razu[132].

W ten sposób przedstawiała się Hiszpanom Komanczeria – terytorium od dawna znane im wyłącznie jako Apaczeria. Komancze w ciągu kilku dziesięcioleci stali się nowym głównym zagrożeniem hiszpańskich rządów w Nowym Meksyku i Teksasie (Apacze nadal wywoływali pewne niepokoje na pograniczu, ale nigdy już nie stanowili poważnego problemu). Relacje z Komanczami okazały się o wiele bardziej złożone niż z Apaczami. Jednym z powodów było to, że władze hiszpańskie jako pierwsze

dostrzegły istnienie „komanckiej bariery” i pożytek, jaki sami mogli z niej mieć. Hiszpanie nadal żywili ambicje posiadania wielkich terytoriów i bardzo obawiali się ekspansji Francuzów z Luizjany na zachód, a także zalewu angielskich osadników ze wschodu.

W tym sensie kraj Komanczów, olbrzymi kawał równin amerykańskich, stał się cenniejszy dla Hiszpanii od wszystkich jej wojsk na północ od Rio Grande[133]. Skoro Komancze stanowili – jak się wydawało – żelazną barierę na drodze ekspansji Hiszpanów, gwarantowali też, że tak samo nie pokonają jej Francuzi i Anglicy. Francuzi prowadzili zupełnie inną politykę kolonialną, unikając bezpośrednich podbojów na rzecz powiększania wpływów, zawierania sojuszy i szczególnej dyplomacji handlowej – obejmującej przede wszystkim broń, ale też i inne towary – prowadzonej przy pomocy finansowanych przez państwo kupców, często bardzo skutecznej. Francuzi stali za masakrą wszystkich uczestników hiszpańskiej ekspedycji, zgotowaną przez Paunisów w 1720 roku, mimo że ani jeden Francuz nie pociągnął za spust[134]. Teraz mieli chrapkę na otwarcie rynków dla spółek handlowych z Luizjany, a ich kupcy parli wzdłuż Rzeki Czerwonej na zachód już w 1718 roku. Niestety, popełnili błąd, dając broń wrogom Komanczów, czyli Apaczom i Jumano – mieli później słono zapłacić za błędny wybór sojuszników[135]. Szybko stali się niemile widzianymi gośćmi na ziemiach Komanczów, co praktycznie oznaczało koniec francuskich marzeń o Teksasie. Osadnictwo anglosaskie zaczęło docierać do Teksasu dopiero po 1820 roku, ale i tak potrzebowało pół wieku, by przełamać barierę Komanczów. Elementem nowych relacji Hiszpanów z Komanczami był handel. Biegli w sztuce wojennej Komancze okazali się wspaniałymi kupcami i handlarzami. Mieli więcej dóbr w postaci koni, skór, mięsa i jeńców niż jakiekolwiek inne plemię na równinach. Wymiana i sprzedaż trwały nieformalnie przez lata i na taką skalę, że w 1748 roku Komanczów oficjalnie dopuszczono do udziału w targach w Taos.

Relacje handlowe wcale nie prowadziły do zakończenia walk. W latach dwudziestych XVIII wieku wojny Hiszpanów z Komanczami dopiero się zaczynały. Zawsze powtarzał się ten sam mechanizm: nieustanne najazdy prowokowały Hiszpanów do wysyłania ekspedycji karnych. Żołnierze często mylili drogę, zwłaszcza jeśli wypuszczali się zbyt daleko na wschód, za bardzo w głąb Komanczerii, a więc na monotonne, pozbawione drzew Wysokie Równiny. Niektórzy nigdy nie wracali. Wiele razy Komancze po prostu płoszyli intruzom konie, co skazywało żołnierzy na śmierć z pragnienia lub głodu. Częściej żołnierze zabijali pierwszych Indian, jakich napotkali po opuszczeniu *presidio*, i wracali. Wielu nie potrafiło odróżnić jednego plemienia od drugiego – często zresztą nie miało to dla nich znaczenia. Odnotowano wiele takich

ataków, na przykład najazd Komanczów z 1720 roku, zakończony kradzieżą półtora tysiąca koni. W 1746 roku zaatakowali z wielką siłą pueblo Taos, rok później Abiquiu. W dość dużym pueblo Pecos w 1748 roku Komancze zabili sto pięćdziesiąt osób[136]. Hiszpanie przeprowadzili wielkie akcje odwetowe w 1716[137], 1717, 1719, 1723, 1726 i 1742 roku[138].

Nie wszystkie skończyły się niepowodzeniem. W 1751 roku trzystu konnych Komanczów zaatakowało pueblo Galisteo w Nowym Meksyku. Gubernator prowincji Vélez Cachupin wysłał za nimi żołnierzy, którzy ścigali Indian wzdłuż rzeki Arkansas, możliwe, że aż do dzisiejszego Kansas. Hiszpanie dopadli ich w małym zagajniku, podpalili go, zabili stu jeden Indian, a resztę wzięli do niewoli. Hiszpańska prowincja Teksasu, którą Komancze nękali od połowy XVIII wieku, przechodziła to samo, choć jeszcze rzadziej odnoszono tu sukcesy w walce z Indianami. Najazdy Komanczów nie ustawały. Wysyłano karne ekspedycje, a Komancze coraz bardziej rośli w siłę. Może o tym świadczyć trasa, jaką w XVIII wieku obierały wyprawy Hiszpanów, żeby dotrzeć z Santa Fe do San Antonio. Prowadziła ona przez granicę Teksasu, daleko w głąb Meksyku i ponownie zawracała na północ. Można z tego wywnioskować, że Hiszpanie bali się zapuszczać na terytorium Komanczerii, nawet z żołnierzami. Opisana trasa pozwalała ominąć ziemie Komanczów, jak gdyby należały do obcego państwa. To się nigdy nie zmieniło. Kiedy w 1821 roku Hiszpania ostatecznie zrzekła się swych posiadłości w Nowym Świecie na rzecz Meksyku, ich faktycznymi władcami byli Komancze. Ich imperium rosło, ich indiańscy wrogowie zostali przegnani daleko na terytoria hiszpańskie. Większość misji w Teksasie i wiele w Nowym Meksyku zamknięto; niegdyś pewni siebie żołnierze hiszpańscy potrząsnęli tylko szablami i schowali się w swych domach[139].

Hiszpanie popełnili wiele błędów w północnych prowincjach swego imperium, a czynili to z metronomiczną regularnością przez cały okres kolonialny, który trwał dwieście lat. Choć nie zawsze cechowały ich okrucieństwo i nieudolność, to jednak wykazywali te cechy wystarczająco długo, by sprowadzić na siebie wielkie kłopoty, a do tego nieuchronnie paraliżowała ich militarna i cywilna biurokracja, która w dzikim kraju pustych płaskowyżów i horyzontu bez końca usiłowała funkcjonować na sposób europejski. Ogólne założenie ekspansji na północ, czyli właściwie rzucenie się na łeb, na szyję, z zamkniętymi oczami i nieuzasadnionym optymizmem w sam środek terytorium należącego do kulturowo prymitywnych, poruszających się konno i niezmiennie wrogich Indian było fatalnym błędem. Jednak w czasach tragicznych w skutkach błędnych decyzji najgorsza podjęta została w 1758 roku. Chodzi

o makabryczną rzeź, która przeszła do historii pod nazwą Masakry nad San Sabą. Wydarzyło się to w Teksasie, w uroczym zakolu wapiennej rzeki, w górzystej krainie porośniętej polnymi kwiatami, około stu dwudziestu mil na północny zachód od San Antonio. Rzeź ta przyczyniła się do największej klęski militarnej Hiszpanów w Nowym Świecie. Za jedną i drugą stali Komancze. Na owe wydarzenia złożyło się wiele czynników, między innymi postawa licznych oficerów hiszpańskich. Jednak człowiekiem, któremu historia przypisze odpowiedzialność, był oficer Don Diego Ortiz de Parrilla. Nie ma znaczenia to, że od początku był skazany na klęskę, że nie miał szczęścia i nie zasłużył na większość krytyki, jaka go potem spotkała. Historia Parrilli dobrze pokazuje, czym była osamotniona, nękana przez Komanczów Nowa Hiszpania w połowie XVIII wieku.

Historia zaczyna się w 1749 roku. Wtedy to kilka grup Apaczów, w tym liczni Lipanowe, wjechało do San Antonio, żeby podpisać traktat pokojowy. Obwieścili też osłupiałym ze zdumienia zakonnikom, że szczerze pragną rozpocząć życie w misji i stać się pokornymi i wiernymi poddanymi króla Hiszpanii[140]. Była to wspaniała i zadziwiająca wiadomość. Przecież byli to ci sami bezlitośni zabójcy, którzy regularnie, z furią, najeżdżali osady w Teksasie od momentu założenia San Antonio w 1718 roku, wynajdując coraz to bardziej wyszukane sposoby torturowania, okaleczania i patroszenia obywateli hiszpańskich. Wydawało się, że przybysze nie kłamali. Przez kilka kolejnych lat ponawiali bardzo kuszącą ofertę dla „brązowych habitów": chcieli pokoju, chcieli własnej misji i *presidio*, a także by zostały one wybudowane na ich ziemi, która – zgodnie z ich słowami – leżała w pobliżu rzeki San Saby, niedaleko dzisiejszego miasteczka Menard w Teksasie.

Pomysł chwycił. Mimo że żołnierze i miejscowi osadnicy powątpiewali w szczerość Apaczów, duchowni, którzy nie posiadali się ze szczęścia, nie tracili czasu. Nikt nie miał wątpliwości, że pokój z Apaczami jest absolutnie potrzebny. Jednakże przyjęcie przez nich chrześcijaństwa było czymś w rodzaju mistycznej wizji. Wśród Apaczów nigdy nie założono żadnej misji. Gdyby teraz udało się to osiągnąć, byłoby to czymś w rodzaju podwójnego uderzenia hiszpańskiego imperium: rzadko spotykane zwycięstwo duchowe połączone z sukcesem świeckim, ukazującym skuteczność polityki kolonialnej Hiszpanii na północy. Wiele na ten temat dyskutowano, ale idea przyjmowała się bardzo wolno w politycznych i religijnych kręgach Nowej Hiszpanii XVIII wieku. W 1753 i 1755 roku wysłano ekspedycje, by wyszukały odpowiednie miejsce[141]. Toczyła się gra polityczna; zaufania nie wzbudzali posępni i niezdradzający ochoty do współpracy Apacze, którzy zjawiali się z rzadka i tylko po to, aby zażądać prezentów. Świeckie władze, pełne wątpliwości, stopniowo dały się

przekonać, częściowo z powodu opowieści poszukiwaczy o fantastycznych złożach złota i srebra w górzystej krainie[142]. Terenów z rzekomymi kruszcami nie zbadano ze względu na obecność wrogich Indian. Księża zaś dowodzili, że tylko misje mogą powstrzymać zapędy przebiegłych i podstępnych Francuzów w stosunku do Teksasu. Francuski straszak zawsze był skuteczny. W 1756 roku idea znalazła nawet swego głównego orędownika – bajecznie bogatego filantropa z Meksyku, Don Pedra Romera de Terrerosa, który zobowiązał się do pokrywania kosztów dwóch misji dla Apaczów przez trzy lata. Jego warunki brzmiały następująco: misje mają być wzniesione w kraju Apaczów i ma nimi zawiadować jego kuzyn, przymilny i tryskający optymizmem ojciec Alonso Giraldo de Terreros[143]. Urzędnicy wicekróla, trzymający w ręku kontrakty obu panów Terreros, a oczyma duszy widzący kopalnie złota i potulnych Apaczów, zatwierdzili projekt.

Nadzorować go miał pułkownik Parrilla. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że jest to idealny wybór: zadanie miał wykonać żołnierz ze zdecydowanie większym doświadczeniem i znajomością pogranicza niż większość nowicjuszy i wyperfumowanych arystokratów, których Hiszpania wysyłała od lat do tropienia Indian. Parrilla znał się na rzeczy. Wcześniej był gubernatorem prowincji Sonory i Coahuily, a także prowadził skuteczne kampanie przeciw grupom Apaczów w rejonie rzeki Gila w Nowym Meksyku. Dobrze znał pogranicze i styl walki Indian. Powierzenie kontroli nad przedsięwzięciem komuś takiemu jak Parrilla świadczy o tym, jak było ono ważne. Jeszcze wymowniejszy był fakt, że Parrilla podlegał nie gubernatorom Teksasu czy Nowego Meksyku, ale bezpośrednio wicekrólowi rezydującemu w mieście Meksyk[144]. Parrilla natychmiast wykazał się swymi kompetencjami, sprawnie nadzorując budowę misji i *presidio*, organizując transport stada tysiąca czterystu krów i siedmiuset owiec, zasiew upraw oraz sprowadzając grupę ochrzczonych Tlaxcallanów z północnego Meksyku – mieli pomóc z Apaczami, na których konwersję tak bardzo liczono.

Mimo to Parrilla był bardzo sceptyczny, a z czasem jego podejrzenia tylko się pogłębiały. Jeszcze przed wyruszeniem nad San Sabę napisał wicekrólowi, że jego zdaniem Apacze wcale nie zmienili swej zdradzieckiej natury i że ich zachowanie wskazuje na to, iż nie mają zamiaru dotrzymać obietnicy. Garstka Lipanów co jakiś czas pojawiała się w San Antonio, by potwierdzić zamiar zostania wiernymi poddanymi króla (i niezmiennie też domagała się hojnych darów w postaci krów, koni, fasoli, soli, cukru, tytoniu, kapeluszy, koców, noży, uprzęży, garnków, wstążek i koralików), ale to nie rozwiało nieufności pułkownika[145]. Najczęściej Indianie trzymali się z daleka. W wigilię przenosin do misji, kiedy powinni byli mdleć

w oczekiwaniu na przyjęcie Jezusa i jednoczesne oddanie się hiszpańskiemu królowi, znikli jak kamień w wodę. Parrilla opóźniał przeprowadzkę tak długo, jak tylko mógł, ale ostatecznie uległ naciskowi nieopanowanego ojca Terrerosa. W pewnym momencie wręcz odmówił budowania misji, ale potem znowu poddał się politycznej presji. 18 kwietnia 1757 roku czterech księży stawiło się w misji na południowym brzegu San Saby. Po drugiej stronie, kilka mil dalej, zbudowano otoczone palisadą *presidio* dla setki żołnierzy.

Ostatecznie wszystko więc było gotowe, z wyjątkiem jednego: wciąż nie było Apaczów. Jednego z ojców wysłano, żeby ich sprowadził, ale i tym razem żadnego nie znaleziono. Wreszcie w czerwcu pełni nadziei księża mogli pomyśleć, że cudowny moment nadszedł. Wtedy to zauważyli około trzech tysięcy Indian, którzy rozłożyli się obozem w pobliżu misji. Przekraczało to ich najśmielsze marzenia. Gdy jednak misjonarze szykowali się do przyjęcia nowych podopiecznych, poznali prawdziwy powód zgromadzenia: doroczne polowanie na bizony. Mówiono co prawda o wyprawie na północ, by walczyć z innymi Indianami, ale ani słowa o wprowadzeniu się do misji. Indianie szybko zniknęli.

Parrilla, teraz już pewny, że go oszukano, napisał wicekrólowi: „Wasza Wysokość musi zrozumieć, jak trudnym przedsięwzięciem jest utworzenie misji dla pogańskiego narodu Apaczów, a także że przychylne raporty, które wysyłano w tej kwestii do Kapitanatu Generalnego, wynikały bezpośrednio z nierzetelności, jaka zawsze charakteryzowała misjonarzy i mieszkańców prowincji Teksasu w każdej sprawie ich dotyczącej”[146]. Tymczasem trzech z czterech księży straciło wiarę w powodzenie przedsięwzięcia, czyniąc z ojca Terrerosa jego samotnego orędownika. „Nie widzimy powodu – pisał jeden z nich – dalszego wspierania projektu, który naszym zdaniem od samego początku był zły i nie miał szans powodzenia. […] Dobrze poznawszy pragnienia Indian, nie znajdujemy żadnej innej przyczyny [ich przyjaźni] niż nadzieja na otrzymywanie prezentów”[147]. Parrilla bezskutecznie próbował porzucić cały projekt misji, proponując przeniesienie *presidio* na północ, tak aby chroniło kopalnie. Jego olbrzymia frustracja i niepokój spowodowany kierowaniem placówką tak bardzo wysuniętą poza granicę nie miały jednak znaczenia: liczyły się rozkazy wicekróla.

Zresztą było już za późno. Jesienią tego roku kilka wędrownych grup Apaczów poinformowało księży, że wielka armia najeźdźców – *Norteños* – już się zbliża, by na nich uderzyć. Armia tak wielka, że Apacze nie mogą się łudzić, iż Hiszpanie ich ochronią. („Ludźmi z północy” Apacze nazywali Komanczów, ponieważ Komancze zawsze atakowali ich, nadchodząc z północy)[41]. Wprawdzie musiało się to wydawać Parrilli równie nieprawdopodobne jak wszystkie inne informacje i obietnice Apaczów,

tym razem jednak mówili prawdę. Prawda ta miała bardzo szybko odsłonić rzeczywisty powód dziwnego zachowania Apaczów.

Propozycja utworzenia dla nich misji, tak jak podejrzewał Parrilla, w istocie była wybiegiem. Lipanie i inne grupy nigdy nie mieli zamiaru przyjąć chrześcijaństwa. Ale ani Parrilla, ani żaden urzędnik hiszpański nie rozumieli powodu tego oszustwa, a tym samym nie mieli pojęcia o rozmiarach zdrady, jakiej się wobec nich dopuszczono. W rzeczywistości zaś wtedy, gdy ojcowie zakonni zajęci byli polerowaniem naczyń liturgicznych, imperium Komanczów – obszar o wiele, wiele większy niż Hiszpanie sobie wówczas wyobrażali – znalazło się u ich wrót[148]. Hiszpanie zostali sprytnie wywabieni daleko poza granice ziem Apaczów. Kraina nad San Sabą wcale nie była ich ojczyzną: należała do Komanczerii, a wybudowanie tu fortu potraktowano jako deklarację wojny. I właśnie wojny chcieli Apacze: pragnęli, by ich straszliwi wrogowie zostali unicestwieni. Albo przynajmniej, by zatrzymano ich nieubłagany pochód na południe.

Pod wieloma względami był to świetny plan. Jednak nie zadziałał. Wiosna 1758 roku przyniosła nad San Sabę zimne deszcze i morze kwiatów polnych. Jak oczekiwali Apacze, przyniosła też Komanczów, mknących w blasku księżyca w pełni (tak wiele najazdów przeprowadzono przy jasnym świetle księżyca, że w Teksasie wiosenną lub letnią pełnię do dziś nazywa się „pełnią Komanczów"). Rankiem 2 marca księża w misji zauważyli, że Apacze zniknęli[42]. Potem usłyszeli okrzyki zza murów misji. Grupa Indian ukradła sześćdziesiąt dwa konie – wszystkie, jakie były w misji. Myśląc, że ma do czynienia tylko z koniokradami, Parrilla wysłał w pościg piętnastu żołnierzy. Ci szybko się zorientowali, że problem jest poważniejszy, i ze strachem wrócili do fortu, gdzie przekazali informację, iż całe wzgórza pokryte są wrogami.

Parrilla pojechał do misji, w której trzech księży i garstkę Indian oraz służących chroniło pięciu żołnierzy, aby namówić ojca Terrerosa do przeniesienia się do fortu dającego o wiele lepsze schronienie. Terreros odmówił, twierdząc, że Indianie nigdy by nie zrobili mu krzywdy. Mylił się. 16 marca 1758 roku, z samego rana, przenikliwe okrzyki Indian zakłóciły mszę. Kiedy księża rzucili się do okien, ich oczom ukazał się przerażający widok: misja ze wszystkich stron była otoczona przez mniej więcej dwa tysiące wojowników, wielu z nich pomalowanych na czarno i czerwono, uzbrojonych i w wojennych strojach. Większość z nich stanowili Komancze, ale jak w wielu ich najazdach towarzyszyli im również inni Indianie. Tym razem byli z nimi Wichitowie, z którymi Komancze niedawno zawarli pokój (w latach następnych ich rolę najczęściej przejmowali Kiowowie; tak czy inaczej, zwykle dowodzili Komancze). Mieli łuki, włócznie i muszkiety. Przez chwilę udawali przyjaźń, mówiąc, że przybyli, aby

zaoferować swe usługi Hiszpanom. Wysoki, powściągliwy wódz Komanczów przyjął nawet dary, choć uczynił to z taką wzgardą, jakby ofiarodawcy nie zasługiwali na jego zainteresowanie. I wtedy zaczęły się grabież i zabijanie.

Pierwszy zginął ojciec Terreros, który padł od kuli z muszkietu. Następny był żołnierz, który go ochraniał. Inni także zostali zastrzeleni albo zarąbani. Indianie podłożyli ogień pod budynki misji. Zabitych księży rozebrano, zwłoki zmasakrowano. Ojcu Santiestebanowi odcięto głowę. Napastnicy jednocześnie plądrowali pełne magazyny, zabijali bydło i zamieniali misję w piekło. Kiedy Parrilla w oddalonym o dwie mile forcie dowiedział się o ataku, wysłał na pomoc oddział dziewięciu żołnierzy. Sam, mając w *presidio* ponad trzysta osób, głównie kobiety i dzieci (rodziny żołnierzy), nie śmiał bardziej uszczuplić liczby obrońców. Oddział nigdy nie dotarł do celu. Żołnierze natychmiast zostali zaatakowani i wszystkich dosięgły włócznie i kule. Dwóch zginęło na miejscu, a pozostali, przerażeni i ranni, wycofali się do fortu. Była to ostatnia podjęta przez Parrillę próba przyjścia misji na pomoc. Księża, którzy wbrew jego rozkazom zdecydowali się pozostać w misji, byli teraz zdani na siebie. Tylko kilku jej mieszkańców przeżyło, schowali się bowiem w jednym z niespalonych budynków. Indianie urządzili sobie trzydniową orgię, wyjadając misyjne zapasy, a Parrilla i jego żołnierze tkwili trwożnie i bezsilnie w *presidio*, schowani za palisadą z wysokich pni. Indianie nigdy ich nie zaatakowali. Czwartego dnia Parrilla wreszcie uznał, że można bezpiecznie oszacować straty. Widok był straszny: niemal cała misja była zniszczona[43]. Zginęło dziesięć osób, w tym trzech duchownych.

To, co nastąpiło później, można określić jako masową panikę na północnej granicy Nowej Hiszpanii. Przyczyną owej paniki była świadomość, że hiszpańskie *presidios* i misje są bezbronne w obliczu ataków Komanczów – wcześniej było to nie do pomyślenia. W największy popłoch wpadli mieszkańcy San Antonio: sądząc, że Indianie kierują się teraz ku stolicy prowincji, natychmiast się zabarykadowali, mimo że mieli zapasy tylko na tydzień. Byli tak przerażeni, że porzucili wszystkie swoje stada – w sumie około dwóch tysięcy sztuk – ponieważ nie znalazł się nikt odważny, kto by ich pilnował. Mieszkańcy innych osad zareagowali równie chaotycznie albo jeszcze gorzej. Po masakrze Parrilla poprosił o wsparcie z innych fortów. Nikt się nie zjawił. Pułkownik odwołał się do wicekróla, który wysłał odpowiednie rozkazy do hiszpańskich fortów w Meksyku. To też nic nie dało. Kolejne trzy zestawy rozkazów wicekróla nie przyniosły pożądanego skutku. Parrilla dostał jedynie kilku dodatkowych żołnierzy, ale w tym czasie najeźdźcy byli już daleko.

Wieści o ataku na misję nad San Sabą oraz zabiciu księży i zbezczeszczeniu zwłok

rozeszły się błyskawicznie po hiszpańskich osadach. O ile pierwszą reakcją był ślepy strach, o tyle później ustąpił on miejsca wściekłej furii i żądzy krwawej zemsty, przejawianym głównie przez administrację wicekróla w Meksyku. Garnizony w Teksasie, które odmówiły wysłania oddziałów na pomoc Parrilli, otrzymały teraz rozkaz natychmiastowego dostarczenia ludzi i zapasów dla ekspedycji karnej, na której czele miał stanąć sam Parrilla. Szybko przygotowano oddział sześciuset mężczyzn, składający się z hiszpańskich regularnych żołnierzy i gromady pomocników indiańskich, w tym Indian Coahuilteca i stu trzydziestu czterech Apaczów. W zamierzeniu była to największa siła, na jaką było stać Hiszpanów. Nigdy wcześniej nie wystawiono tylu ludzi celem ukarania Indian. Oddział wyruszył na poszukiwanie Komanczów w sierpniu 1759 roku. Parrilla, jak większość hiszpańskich oficerów przed nim, zwłaszcza tych, którzy wiedzieli, co robią, nie próbował zapuszczać się w głąb terytorium Komanczów na Wielkich Równinach, mimo że indiańscy zwiadowcy zapewniali, że tam właśnie są Komancze. Zamiast tego pułkownik trzymał się lesistych terenów na wschodnich obrzeżach równin. Szli wiele dni, zanim wreszcie znaleźli obóz Indian.

Byli nimi Tonkawowie. Mimo że Parrilla niemal na pewno wiedział o tym – od indiańskich zwiadowców – uczynił to, co wielu jego poprzedników zwykło w takich przypadkach robić. Zemsta to zemsta, a Indianie to przecież Indianie. Kazał więc swym sześciuset żołnierzom otoczyć i zaatakować wioskę Tonkawów – zabito siedemdziesięciu pięciu z nich, a do niewoli wzięto sto pięćdziesięcioro kobiet i dzieci. Miały zostać odstawione do San Antonio, a tam nawrócone na chrześcijaństwo i poddane przymusowej asymilacji. Nie wiadomo, czy Parrilla zdawał sobie sprawę, że Tonkawowie są zaciekłymi wrogami Komanczów (w XIX wieku bardzo skutecznie wspomagali białych żołnierzy w walce z nimi, zwłaszcza w roli zwiadowców)[44]. Oddział ruszył dalej na północ.

W październiku 1759 roku znalazł się około osiemdziesięciu mil na północny zachód od dzisiejszego Fort Worth, nad Rzeką Czerwoną, która wyznaczała północną granicę Teksasu. Tam, w pobliżu współczesnego Ringgold, natknął się na kolejne wielkie skupisko Indian. Chociaż jak zwykle paranoiczni Hiszpanie podejrzewali, że w ataku na misję San Saba maczali palce Francuzi, nie ma na to żadnych dowodów[45]. Jednak ta budząca grozę grupa na ich drodze, zbudowane *ad hoc* przymierze paru tysięcy Komanczów, Wichitów, Osedżów, grup Caddo znad Rzeki Czerwonej[46] i innych, skrytych za wałami ziemi, niemal na pewno miała jakiś związek z francuskimi namowami. To, że Komancze byli dominującą siłą w tej części świata, nie oznacza, że nie zawierali sojuszy, kiedy było im to na rękę, zwłaszcza jeśli sprawa dotyczyła

Apaczów lub Hiszpanów. Z Osedżami byli w stanie wojny, ale nie przeszkadzało im to wspólnie szykować się na Parrillę.

To, co nastąpiło później, mogło być jedną z największych rzezi w historii Amerykańskiego Zachodu, gdyby nie to, że ludzie Parrilli prawie natychmiast zrejterowali. Wprawdzie zawodowi żołnierze pułkownika oddali na jego komendę jedną salwę, ale reszta armii okazała się całkowicie bezużyteczna. Większa jej część się ulotniła. Odwrót zamienił się w panikę, a panika w ucieczkę na łeb, na szyję. Z jakiegoś powodu Indianie – możliwe, że tak bardzo ukontentowało ich zagarnięcie wszystkich zapasów wielkiego oddziału Hiszpanów – nie ścigali przerażonej, pierzchającej armii. Dzięki temu oddział Parrilli poniósł niewielkie straty, co stanowiło niewygodną okoliczność, z której Parrilla musiał się gęsto tłumaczyć przed nieufnymi przełożonymi w San Antonio, a potem w stolicy – Meksyku.

Była to szokująca klęska – największa, jaką ponieśli Hiszpanie w Nowym Świecie. Rzucili na Komanczów i ich sojuszników wszystko, czym dysponowali, i zostali upokorzeni. Nigdy już nie zorganizowali żadnej ekspedycji przeciw Komanczom w Teksasie; nie założyli już żadnej nowej misji we wrogim kraju. Co ważniejsze, zarówno dla Indian, jak i Hiszpanów to, co się wydarzyło, miało równie duże znaczenie. W zamęcie wojny co do tej jednej rzeczy nie było wątpliwości. Walka przy Forcie Hiszpańskim[47] potwierdziła zasadniczą zmianę sił, która zapowiadała początek długiego krwawego okresu dla Teksasu i północnego Meksyku. W ciągu kilku lat panowanie Komanczów w Teksasie stało się niemal absolutne. Chociaż Hiszpania utrzymała niektóre misje i *presidios* jeszcze przez sześćdziesiąt lat, to jedyną możliwością, jaka pozostała tym placówkom, była obrona. Parrilla został wysłany do Meksyku, gdzie zajął się nim sąd wojenny. Postanowił kłamać. Powiedział, że znalazł się naprzeciw sześciu tysięcy Indian, dowodzonych przez francuskich oficerów powiewających francuskimi flagami. Sąd nie znalazł żadnego dowodu na udział Francuzów, czy jako dowodzących oficerów, czy jako uzbrojonych żołnierzy. Parrilla okrył się hańbą.

Decydenci w Nowej Hiszpanii nie zawsze byli tak zagubieni, gdy przychodziło im mierzyć się z komanckim problemem. Kilku gubernatorów i generałów okazało się zręcznymi i zaradnymi dowódcami, a Hiszpania wydała przynajmniej jednego gubernatora geniusza, który zrobił to, czego przez dwieście lat nie potrafili osiągnąć inni zarządzający tymi terenami, a później całe zastępy polityków, agentów do spraw Indian i armie amerykańskie, mianowicie udało mu się zawrzeć prawdziwy pokój z Komanczami. Nazywał się Don Juan Bautista de Anza. Był gubernatorem prowincji

Nowy Meksyk w latach 1777–1787 i być może nikt w całej historii zmagań z wrogimi Indianami nie wykazał się większą błyskotliwością. Gdyby mieszkańcy Teksasu po rewolucji albo władze federalne po wojnie z Meksykiem przestudiowały czyny Anzy, historia otwarcia Amerykańskiego Zachodu mogła być zupełnie inna.

Anza, zahartowany uczestnik walk z Indianami w Kalifornii i Sonorze, odziedziczył po wszystkich swoich poprzednikach ten sam przykry „problem indiański". Komancze byli coraz silniejsi, Apacze, choć wycofali się do niedostępnych kryjówek, wciąż pozostawali groźni, niespokojni byli Nawahowie i Ute na zachodzie. Wszyscy sprawiali kłopoty, ale najgorszą sławą cieszył się w owym okresie wódz komancki znany jako Cuerno Verde (Zielony Róg), przywódca odłamu Kotsoteka[48]. Jego ojciec został zabity w bitwie przez Hiszpanów, a żądza zemsty syna miała przejść do legendy[149]. Cuerno Verde był – jak pisał Anza do głównodowodzącego kontynentalnymi prowincjami Nowej Hiszpanii – „zmorą królestwa, zlikwidował wiele puebli, zabijając lub biorąc do niewoli setki ludzi, których potem składał w ofierze z zimną krwią"[150]. Ledwie Anza został gubernatorem, już przedstawił zuchwałą, wcześniej nie do pomyślenia strategię pokonania Komanczów: zaatakować ich na ich własnym terenie w tym samym momencie, kiedy będą najeżdżać mieszkańców Nowego Meksyku. Hiszpanie zawsze myśleli defensywnie, co najwyżej zdobywając się na ekspedycje karne. Anza chciał sięgnąć do samego korzenia problemu i go wyrwać.

15 sierpnia 1779 roku nowy gubernator zebrał sześciusetosobową armię, w której znalazło się dwustu pięćdziesięciu dziewięciu Indian, i wyruszył, by dopaść Cuerna Verdego. Nie chcąc, aby wróg go wypatrzył, Anza obrał inną, bardziej górzystą trasę niż ta, którą podążały wszystkie poprzednie wyprawy hiszpańskie[151], i przekroczył wschodnie pasmo Gór Skalistych w okolicach South Park. Potem skierował się na północ i wschód, na wyżyny we wschodniej części dzisiejszego Kolorado, gdzie natknął się na obóz indiański. Mimo że nie było w nim większości wojowników i wodza, Anza zaatakował, a Indianie uciekli. Hiszpanie ścigali ich przez dziewięć mil, a gdy się z nimi zrównali, walka toczyła się na dystansie kolejnych trzech mil. Ostatecznie Indianie musieli się poddać. Hiszpanie zabili osiemnaście osób – prawdopodobnie starych mężczyzn, chłopców i kobiety – i wzięli trzydzieści kobiet i trzydzieścioro czworo dzieci w niewolę. Pochwycili też wszystkie konie Komanczów – pięćset sztuk. Od jeńców Anza dowiedział się, że Cuerno Verde jest właśnie na wyprawie łupieżczej w Nowym Meksyku, ale miał rychło wrócić na wielką ucztę i świętowanie.

Anza na niego zaczekał, przygotowując zasadzkę na szlaku w Kolorado, niedaleko

miejsca do dziś nazywanego Greenhorn Peak (Szczyt Żółtodzioba). Dzięki świetnej bitewnej taktyce odniósł jedno z najwspanialszych zwycięstw Hiszpanów w Ameryce Północnej. Wtargnął do samego serca Komanczerii, gdzie tylu innych straciło życie i gdzie Komancze nigdy nie zostali pobici w większej bitwie, i odniósł olśniewające zwycięstwo. Anza pisał później, że jego zdaniem sukces zawdzięczał po części arogancji Cuerna Verdego. Komancz na czele pięćdziesięciu wojowników zaatakował ustawionych w szyku sześciuset żołnierzy hiszpańskich, co Anza podsumował w ten sposób: „jego śmierć wynikała z jego nieustraszoności i pogardy, jaką chciał okazać naszym ludziom, zaślepiony licznymi zwycięstwami, które zawsze nad nami odnosili dzięki swemu nieregularnemu stylowi walki. […] Z tego wynikała jego arogancja, zuchwałość i duma, które cechowały tego barbarzyńcę i które okazywał do samego końca na wiele sposobów, nie nabijając nawet swego muszkietu […]”[152]. Tylko kilku wojowników uniknęło schwytania lub śmierci. Hiszpanie stracili zaledwie jednego żołnierza. Lansjerzy Anzy przeprowadzili kolejne ataki na terenie Komanczerii i choć żaden z nich nie był tak skuteczny jak starcie z Cuernem Verdem, gubernator szybko zwrócił na siebie uwagę Komanczów.

Jego kolejne posunięcie było równie niekonwencjonalne. Inni gubernatorzy, upojeni podobnym zwycięstwem, najpewniej próbowaliby zmiażdżyć pozostałych Komanczów, niezależnie od tego, że na równinach było ich ponad dwadzieścia tysięcy[153] (a według zawyżonych szacunków Anzy trzydzieści tysięcy). Ale Anza nie usiłował pobić Komanczów, tylko wystraszyć ich na tyle, by możliwe stało się porozumienie dyplomatyczne. Wziąwszy pod uwagę to, co wydarzyło się w Nowym Meksyku i co jeszcze wtedy działo się w Teksasie, stawiał sobie zupełnie niewiarygodny cel: chciał zrobić z nich przyjaciół i sojuszników.

I to właśnie uczynił. Zebrał wodzów Komanczów na rokowania pokojowe, żądając rozmowy z każdą grupą, która działała na ziemiach sięgających zachodnich obrzeży równin, a potem wręcz wymusił wybór jednego wodza, który by występował w imieniu wszystkich grup[49] – rzecz bez precedensu w historii tego ludu. Anza potraktował Komanczów jak równych sobie, nie zagroził odebraniem ich terenów łowieckich i nie miał zamiaru deklarować nad nimi swojej władzy. Zaproponował im handel. Spodobał się im i obdarzyli go szacunkiem. W jednym z najdonioślejszych posunięć dyplomatycznych, do jakich kiedykolwiek doszło na pograniczu, Anza wymyślił zuchwałe rozwiązanie wszystkich swoich problemów. W jakiś sposób zdołał przekonać Komanczów nie tylko do podpisania traktatu pokojowego, ale także do zawarcia sojuszu z ich wrogami Ute oraz Hiszpanią przeciw ich najbardziej zatwardziałym wrogom, Apaczom. Aby nie pozostawić wątpliwości, poprowadził tę

wieloetniczną armię do Nawahów, chcąc i ich zmusić do przyłączenia się.

Traktat Anzy, co jeszcze dziwniejsze, zadziałał. W całej historii Amerykańskiego Zachodu zaledwie parę traktatów między białymi a Indianami przetrwało dłużej niż kilka lat. Większość przestawała mieć znaczenie tego samego dnia, w którym je podpisano. Historia zna setki traktatów z Indianami, spreparowanymi przez rządy, które nie miały środków, żeby wcielić je w życie. Traktat Anzy był wyjątkiem. Stroną był tylko Nowy Meksyk i prawdopodobnie traktat uchronił Nowy Meksyk od wielu krwawych lat najazdów komanckich, które nieprzerwanie dręczyły Teksas i północny Meksyk. Zawieszenie broni z Indianami Ute zostało zerwane dość szybko, ale z Nowym Meksykiem przetrwało próbę czasu. Dlaczego? Leżało to w najlepszym interesie Komanczów. Nowy Meksyk był wyśmienitym miejscem do handlowania, a dokładnie do sprzedawania koni i jeńców. Pokój Anzy zapoczątkował nową, szczególną formę relacji merkantylnych między zachodnimi odłamami Komanczów a Nowym Meksykiem. Miejsce terroru zajął handel, prowadzony przez zupełnie nową rasę: bezwzględnych pośredników mieszańców, których nazywano *comancheros*.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Krew i dym

Mirabeau Buonaparte Lamar był poetą. Jego najbardziej znanymi pracami – wszystko wskazuje na to, że cieszył się popularnością w pewnych kręgach literackich dziewiętnastowiecznej Ameryki – były *Thou Idol of My Soul, Adieu!* [Pani, bogini mej duszy, żegnaj!] i *Monody. Written at Evening, on the Banks of the Chatahoochee* [Wieczór nad brzegiem Chatahoochee. Monodia]. Był też świetnym fechmistrzem, jeźdźcem i historykiem amatorem, uprawiał także malarstwo olejne, odnosząc pewne sukcesy i wykazując się wrażliwością. Kiedy w 1838 roku wybrano go na prezydenta suwerennego państwa zwanego Republiką Teksasu, jego krytycy szydzili, że jest lepszym poetą niż prezydentem.

Może była to prawda, a może nie. Jednakże wszyscy się zgadzali co do jednego: w tym niespokojnym, pełnym przemocy roku Lamar był – nawet jak na standardy pogranicza – niebezpiecznym, wrednym i bezkompromisowym sukinsynem. Istnieje słynna fotografia z lat czterdziestych XIX wieku, na której wygląda nie tyle jak poeta, ile jak facet od mokrej roboty na usługach mafii. Ręce trzyma skrzyżowane w sposób wyzywający i defensywny, pogłębiając zmarszczki w i tak już mocno pogniecionym garniturze z czarnego sukna. Odgarnięte z czoła do tyłu włosy wyglądają tak, jakby potrzebowały umycia i uczesania. Kąciki wąskich warg są mocno wygięte w dół – wydaje się, że ich właściciel zaraz zacznie warczeć. Trudno zrozumieć, jak dusza poety i malarza zamieszkała w ciele dzikiego zabójcy Indian i niedoszłego twórcy imperium[154].

Wyniesienie na urząd prezydenta zawdzięczał zarówno heroizmowi w czasie bitwy pod San Jacinto – ratując życie dwóch towarzyszy broni, popisał się zapierającą dech w piersiach brawurą, która skłoniła żołnierzy wroga do oddania mu salwy honorowej – jak i kompletnej porażce swego poprzednika, Sama Houstona, alkoholika i błyskotliwego męża stanu, w rozwiązywaniu „indiańskiego problemu”. W kolejnych latach po bitwie pod San Jacinto i ataku Indian na fort Parkerów biali wlewali się do Teksasu tysiącami, gnając przez wschodnie obszary Komanczerii. Komancze nie zamierzali pozostawać bierni i skąpali pogranicze we krwi. Houston przyjął postawę

ugodową. Odrzucił nakazane przez Kongres tworzenie oddziałów wojskowych, a także wznoszenie fortów na pograniczu. W przeszłości spędził wśród Indian wiele czasu jako agent, zabiegał także o prawa Czirokezów w Waszyngtonie. Lubił Indian i sądził, że ich rozumie. Często stawał po ich stronie i zawsze bronił prawa Indian do własnego terytorium. Kiedy wódz Komanczów poprosił go, żeby wyznaczył granicę białego osadnictwa, odparł sfrustrowany: „Gdybym mógł zbudować mur od Rzeki Czerwonej do Rio Grande, tak wysoki, że żaden Indianin nie zdołałby się na niego wdrapać, biali zrobiliby wszystko, byleby tylko znaleźć sposób na jego obejście”[155]. Prowadził z Komanczami rozmowy pokojowe, ale bez skutku.

Tymczasem osadnicy ze wschodu sunęli niczym przypływ, niosąc swe wymyślne narzędzia, które „kradły ziemię”. Zachęcało ich udostępnienie przez Kongres Teksasu (mimo weta Houstona) wszystkich ziem Indian białym osadnikom. W dolinach rzek Kolorado, Guadalupe i Brazos wznoszono kolejne gospodarstwa, a Komancze coraz częściej je najeżdżali. Tylko podczas pierwszych dwóch lat pracy administracji Houstona Komancze uprowadzili ponad stu jeńców. Większość, jak mała dziewięcioletnia Cynthia Ann Parker, po prostu znikła, łamiąc serca bliskim. Nie było sensu prosić rząd o pomoc, szukać zadośćuczynienia, pozostawał tylko rozdzierający, pusty ból setek rodzin, które nie mogły się dowiedzieć, co się stało z ich ukochanymi na wysokich, smaganych wiatrem równinach Komanczerii. Po rajdzie na fort Parkerów - James, wuj Cynthii Ann, a ojciec Rachel, dwukrotnie błagał Sama Houstona o sfinansowanie ekspedycji ratunkowej w celu odbicia pięciorga zakładników[156]. Houston zdecydowanie odmówił. Śmierć i przemoc niepodzielnie panowały na tym skrwawionym krańcu zachodniej granicy – a przykładów na to było o wiele więcej, niż historycy zdołali odnotować – i Houston nie mógł pozwolić sobie na przeznaczenie skromnych środków, jakimi dysponował, na poszukiwania jednej grupy jeńców, nawet jeśli ich historia poruszała serca.

Pod koniec 1838 roku nowa republika osiągnęła temperaturę wrzenia. Wtedy właśnie Mirabeau Buonaparte Lamar został wybrany prezydentem. Twardy Lamar był absolutnym przeciwieństwem ostrożnego, dyplomatycznie nastawionego Houstona, którym pogardzał w takim samym stopniu, w jakim nienawidził nowego miasta na bagnach we wschodnim Teksasie, noszącego jego imię. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił Lamar, było przeniesienie stolicy z mokradeł wschodniego Teksasu o sto pięćdziesiąt mil na zachód do nowego miasta o nazwie Austin, leżącego u samych stóp Balcones Escarpment – innymi słowy, tuż przy granicy z krajem Komanczów[157]. Ruch na zachód odpowiadał poglądom tego zuchwalca, zwolennika niewolnictwa, który nie chciał żadnej unii ze Stanami Zjednoczonymi. Marzył, by przesunąć granice młodej

republiki aż do złocistych brzegów Pacyfiku. Austin znalazłoby się u zbiegu głównych szlaków handlowych, stając się swego rodzaju Konstantynopolem pierwotnego Zachodu, siedzibą rozległego imperium o nazwie Teksas, która by rywalizowała o supremację z aglomeracjami wschodnich stanów, znanych jako Stany Zjednoczone Ameryki. Chociaż większość Teksańczyków oczekiwała, że po zwycięstwie pod San Jacinto zostaną niemal automatycznie obywatelami Stanów Zjednoczonych, Lamar mógł liczyć na wielu mu podobnych marzycieli. Jednym z nich był James Parker, który zaproponował Kongresowi, że w glorii poprowadzi cztery tysiące ludzi i zdobędzie z nimi Santa Fe i cały Nowy Meksyk, za co każdy z nich miałby dostać trzysta sześćdziesiąt akrów w nagrodę. Kongres Teksasu odrzucił ten plan[158].

Mimo pustego państwowego skarbca i niemal bezwartościowej waluty[159] Lamar nie rozumiał, dlaczego nie miałby budować swego zachodniego imperium. Oczywiście najpierw należało pozbyć się Indian. Uważał, że należy usunąć ich z Teksasu albo po prostu powybijać. Miał na myśli wszystkich Indian – od Komanczów na zachodzie, przez Indian Waco w regionach centralnych, po Szaunisów, Delawarów i Czirokezów na wschodzie. W przemowie inauguracyjnej ujął to dobitnie, na wypadek gdyby ktoś miał jakiekolwiek wątpliwości. Przypomniawszy o okrucieństwach popełnianych przez Indian, wezwał do „wojny eksterminacyjnej", która „nie ugięłaby się pod żadnym kompromisem, a zakończyłaby się dopiero wraz z wytępieniem albo wyrzuceniem ich wszystkich"[160]. Kongres Republiki Teksasu skwapliwie poparł ten plan. Tego samego miesiąca przegłosował utworzenie pułku, liczącego ośmiuset czterdziestu żołnierzy i składającego się z pięćdziesięciu kompanii, który miał działać przez trzy lata. Na jego utworzenie przeznaczono milion dolarów.

Taki więc był okrzyk bojowy Lamara: eksterminacja albo wypędzenie. Zakrawało to oczywiście na publiczne wezwanie do ludobójstwa, co rzadko się zdarza w historii współczesnej. Jednak choć brzmi to bulwersująco, w istocie Lamar, który miał do czynienia z Krikami w Georgii, był tylko brutalnie szczery w kwestii praw Indian – jak niemal żaden inny biały człowiek przed nim lub po nim. Sednem jego polityki była czysta agresja, co nie jest niczym niezwykłym, ale nie towarzyszyły jej typowe kłamstwa i wykręty. Chciał absolutnego podporządkowania się Indian warunkom Teksańczyków – nie będzie niekończących się renegocjacji niemających znaczenia granic – i bez ogródek wyłuszczył, co oznaczałaby ich niezgoda. Jak stwierdził historyk T. R. Fehrenbach: „Nie proponował ani nie robił niczego, co już nie było dobrze utrwalone w strategii działania białych. Ludzie i sądy uznali, że prawdziwy pokój między białymi a czerwonymi ludźmi nie jest możliwy dopóty, dopóki Indianie nie porzucą swego świata albo dopóki Amerykanie nie zrezygnują z idei, która im

przyświecała: utworzenia nowego państwa na tym kontynencie”[161]. Ponieważ dwieście lat obłudy i rozlewu krwi dowiodło, że żaden z tych dwóch warunków nigdy nie zostanie spełniony, oświadczenie Lamara wyrażało tylko to, co wydawało mu się oczywistością.

Postawa Lamara była wyjątkowa z tego względu, że – jak wcześniej żaden inny wysokiej rangi przedstawiciel rządu któregokolwiek z sąsiednich zjednoczonych stanów Ameryki – otwarcie odmówił Indianom w Teksasie prawa do posiadania ziemi w ogóle. W każdym traktacie zawartym z nimi zawsze była mowa o tym, że zachowają przynajmniej kawałek ziemi na swoich warunkach. I rzeczywiście, w 1825 roku rząd Stanów Zjednoczonych utworzył Kraj Indiański (dzisiejsza Oklahoma), aby zagwarantować – jak ujął to James Barbour, sekretarz Departamentu Wojny – że „ludy te będą miały ziemię, na której nikt nie będzie ich niepokoić”[162]. Lamar i większość mieszkańców nowego suwerennego państwa mieli odmienną opinię. W pewnym sensie to, co Lamar proponował, było lepsze niż stopniowa destrukcja, która stała się udziałem Indian na wschodzie. W innym sensie była to zachęta do natychmiastowej rzezi ludów tubylczych. Kongresowi Teksasu bardzo się podobała nowa polityka wobec Indian. W 1839 roku dwa tysiące rozochoconych, patriotycznych i spragnionych przygód Teksańczyków zgłosiło się do walki z Indianami[163].

Rzucili się na nich jak wilki. Lamar jako prezydent niemal natychmiast doprowadził do wojny z wszystkimi Indianami w Teksasie. Latem 1839 roku podjęto jedną z najokrutniejszych kampanii przeciw tubylczym Amerykanom w historii. Pierwszym celem stali się Czirokezi, których wcześniej bezwzględnie przepędzono z ziem ojczystych w Karolinie Północnej i Karolinie Południowej[50]. Po kilku dekadach wędrówki na zachód wielu z nich osiadło w sosnowych lasach i na piaszczystych brzegach rzek wschodniego Teksasu, przy granicy z Luizjaną, gdzie przez prawie dwadzieścia lat żyli przeważnie w pokoju z białymi. Byli jednym z pięciu „cywilizowanych plemion” i faktycznie szybko przyswajali kulturę białego człowieka: ubierali się jak biali, uprawiali ziemię, robili interesy, mówili po angielsku. Pretekstem do pozbycia się ich z Teksasu było fałszywe oskarżenie, iż uczestniczyli w szykowanym przez Meksykanów spisku zmierzającym do wyrzucenia białych z Teksasu. Niemal na pewno było to kłamstwo, ale Lamar i jego sekretarz wojny nie potrzebowali więcej.

Przywódca Czirokezów, Wódz Bowles, na żądanie natychmiastowego opuszczenia stanu zgodził się, ale pod warunkiem, że rząd zapłaci jego ludowi za wszystko, co do tej pory na tej ziemi zrobili. Teksańczycy w zasadzie na to przystali, lecz nie zaoferowali prawie nic i negocjacje szybko zostały zerwane. A potem, zgodnie

z planem, do akcji wkroczyli żołnierze. Było ich dziewięciuset. 15 lipca 1839 roku zaatakowali wioskę Czirokezów[164]. Następnego dnia zapędzili pięciuset Indian w gęste zarośla na bagnach, gdzie zabili większość mężczyzn, w tym Wodza Bowlesa. Dwa dni później żołnierze spalili indiańskie wioski, domy i pola.

To dopiero był początek wojny. Upojony zwycięstwem nad Czirokezami, teksaski dowódca generał Kelsey Douglass poprosił o pozwolenie na wyczyszczenie „gniazd szczurów" innych, w większości pokojowo nastawionych grup indiańskich we wschodnim Teksasie. Nastąpiły kolejne rzezie, kolejne pożary. Pod koniec lipca kukurydziane pola i wioski wszystkich Czirokezów, Delawarów, Szaunisów, Caddo, Kikapów, Krików, Muskogee[51] i Seminoli we wschodnim Teksasie zostały spalone. Nie miało znaczenia to, że byli niewinni. To, czy konkretne morderstwo popełnił Indianin Kiowa, Caddo, Wichita czy Krik, obchodziło Teksańczyków coraz mniej. Większość wypędzonych Indian zabrała swoje obdarte, głodujące rodziny i powędrowała na północ, do wyznaczonego Terytorium Indiańskiego[52]: tutaj około dwudziestu tysięcy oficjalnie przeniesionych Indian[165] musiało teraz tłoczyć się z ludami z równin – był to ostatni przystanek na Szlaku Łez, jak go później nazwano[53]. Część Czirokezów, w tym syn Wodza Bowlesa, usiłowała zbiec do Meksyku. Jakby na dowód absolutnej konsekwencji nowej polityki wobec Indian Teksańczycy gonili ich przez kilkaset mil, zabijając po drodze mężczyzn, a kobiety i dzieci biorąc do niewoli[166]. Tylko dwóm grupom, Alabama i Coushatta, pozwolono zostać – ale i je przeniesiono z żyznych ziem na znacznie gorsze tereny. W ten sposób tysiące akrów świetnej ziemi pod uprawę udostępniono białym farmerom, którzy zajęli je od razu, z radością i zapewne czystym sumieniem.

Jednakże to byli osiadli, w pewnej mierze ucywilizowani, raczej niezbyt wojowniczy, pokonani, wypędzeni, poruszający się pieszo i zajmujący się uprawą roli Indianie ze wschodniego Teksasu. Inne osiadłe grupy, między innymi Wichita, Waco, Tawakoni, Keechi, Tonkawa, żyły poza granicą Teksasu, dzięki czemu na jakiś czas uniknęły czystki w płomieniach. Ale o ile masakrowanie i wypędzanie dość bezbronnych i złamanych Krików czy Seminoli mogło dawać przyjemność i satysfakcję, o tyle prawdziwe problemy, czyli większość indiańskich najazdów łupieżczych, przychodziła nie ze wschodu, ale z zachodu. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Mimo całej buty, nadętej wojennej gadki i nienasyconej żądzy ziemi Teksańczycy niewiele mogli zdziałać na olbrzymim obszarze, w skład którego wchodziła większa część Teksasu, a który znajdował się pod kontrolą Komanczów.

Aby zrozumieć problem ówczesnych Teksańczyków, wystarczy spojrzeć na

współczesną mapę tego stanu. Poprowadźmy linię od San Antonio, przez Austin i Waco, do Dallas w rozwidleniu rzeki Trinity. To jest mniej więcej zachodnia – innymi słowy komancka – granica z lat trzydziestych XVIII wieku, choć w okolicach obecnego Dallas było niewielu osadników. Większość żyła rozproszona wokół Austin i San Antonio. Linia ta pokrywa się też niemal idealnie z 98 południkiem długości zachodniej, co oznacza, że od tego miejsca drzewa występują coraz rzadziej, a od 100 południka, w okolicy dzisiejszego Abilene, już ich prawie nie ma. Na obszarze, na którym leżą Austin i San Antonio, granica biegnie obrzeżem Balcones Escarpment, strefy uskokowej, gdzie wielkie, faliste i porośnięte drzewami wapienne wzgórza wyrastają z żyznej niziny nadbrzeżnej (wznoszą się one tak stromo, że ich kamienne naturalne szańce przypominały Hiszpanom balkony w teatrze, stąd nazwa). Linię tę przecinają w trzech miejscach rzeki Brazos, Kolorado i Guadalupe. Wyobraźmy je sobie jako trasy najeźdźców, spadających na Teksas z północnego zachodu i celujących w samo serce teksaskiego pogranicza.

Oczywiście rzeki te stanowiły też szlaki prowadzące w drugą stronę – na wyżyny Komanczerii, jeśli ktoś był na tyle odważny czy głupi, by się tam wybierać. Problem polegał na tym, że z perspektywy białych na zachód od tej linii roztaczała się olbrzymia, tajemnicza, przerażająca, spieczona słońcem kraina, zamieszkana przez dzikich i prymitywnych ludzi, którzy potrafili szybciej jechać konno, celniej strzelać i lepiej tropić niż nieproszeni goście, a do tego umieli też pokonywać wielkie odległości z budzącą grozę łatwością. Ponadto Indianie walczyli konno, co stawiało ludzi Zachodu, z ich ciężkimi końmi, nawykiem walczenia pieszo oraz nieporęcznymi, ładowanymi dolufowo karabinami w zdecydowanie niekorzystnej sytuacji. Indianie nie mieli stałych wiosek, dlatego zwykle nie można było ich namierzyć, a jeśli komuś się udało, to zazwyczaj tego żałował.

Teksańczycy jednak próbowali. W tych pierwszych latach istnienia republiki rozmaite oddziały: milicji, rangerów, ochotników i regularnych żołnierzy, systematycznie wypuszczały się, usiłując dopaść komanckich najeźdźców. Czasem udawało im się zabić paru Indian, czasem udawało im się przeżyć, ale zwykle nie mieli tyle szczęścia. Najczęściej dostawali od górujących nad nimi Indian lekcję rzemiosła wojennego, a wielu z nich umierało bolesną i powolną śmiercią. Teksańczycy starali się o tym nie pamiętać.

Jednym z najlepszych przykładów tych wczesnych konfliktów było starcie Komanczów z milicją pułkownika Johna Moore’a. Moore obdarzony był tą samą cechą, która sprawiała, że osadnicy w ogóle chcieli stawiać domy w najdzikszych i najbardziej nieprzyjaznych regionach kraju, gdzie ich rodziny cały czas narażone były

na gwałty i tortury, a był nią lekkomyślny i niczym nieuzasadniony optymizm. Indian postrzegał jako podludzi, których należało zniszczyć. Słynął z tego, że podczas kazań w swoim kościele stał obok kaznodziei, srogim wzrokiem omiatając wiernych, by mieć pewność, że żaden z nich nie uśnie[167]. Najwięksi wrogowie Komanczów, Apacze z odłamu Lipan, poinformowali go, że grupa Komanczów obozuje na prerii na północ od Austin. Lipanowie, wybici niemal co do nogi przez Komanczów, zawsze byli gotowi donieść na swych odwiecznych oprawców, zwietrzyć ich i biec z tym do władz. Sami bali się walczyć z Komanczami, ale poświęcili wiele czasu, zachęcając białych do ścigania swoich wrogów. Zgłosili się też do udziału w wyprawie. Moore, który nie miał pojęcia, jak szukać Komanczów w dębowych gąszczach i pośród wapiennych wzniesień o płaskich szczytach (*mesas*) górzystej części Teksasu, wziął Lipanów ze sobą. Trzeba wspomnieć, że – z kilkoma wyjątkami – biali żołnierze mieliby niewielkie szanse na znalezienie Komanczów bez pomocy ich starych wrogów, zwykle Tonkawów albo Lipanów. Odnosi się to do wszystkich konfliktów z Komanczami. Ekspedycja Moore'a była jedną z pierwszych, w trakcie której wykorzystano indiańskich zwiadowców. Później stało się to zasadą w Teksasie, a także zwyczajem wszystkich białych żołnierzy (Custer popełnił błąd nad Little Bighorn, nie posłuchał bowiem ostrzeżeń swych indiańskich tropicieli). Wśród białych zdarzali się dobrzy tropiciele – jednym z nich był ranger Ben McCulloch, innym Kit Carson – ale przeważnie biali żołnierze nie potrafili odczytywać skutecznie znaków w pierwotnym terenie, nawet jeśli teoretycznie wiedzieli, jak to robić. Indiańscy tropiciele w tym samym stopniu co biali podwładni słynnych generałów – George'a Crooka, Nelsona A. Milesa i Ranalda Mackenziego – odpowiadają za zagładę Indian Równin. Filmowemu wyobrażeniu kawalerii, pokrytej kurzem i wyjeżdżającej z fortu z powiewającym sztandarem, często brakuje jednego ważnego elementu, mianowicie indiańskich zwiadowców.

A zatem pułkownik Moore wyruszył. Z sześćdziesięcioma trzema zwerbowanymi w pośpiechu ochotnikami i czternastoma Lipanami z wodzem Castro skierowali się ku wapiennym przełomom rzeki San Gabriel na północ od Austin, prawdopodobnie w okolice dzisiejszego Georgetown[168]. Kiedy dotarli do obozowiska, okazało się, że Komanczów już w nim nie ma. Pozostawili ślad prowadzący w górę rzeki. Zanim żołnierze podjęli trop, z północy nadeszła wielka burza preriowa. Aby przeczekać siekący śnieg i deszcz, żołnierze skryli się w zagajniku. Ich ciała przeszywało przeraźliwie zimne powietrze. Trwali tak trzy dni. Noah Smithwick, uczestnik wyprawy, jeden z kapitanów rangerów, pisał: „Niektóre konie zamarzły na śmierć, a Indianie, nie cierpiąc widoku marnującego się dobrego mięsa w takich ilościach,

jedli je na surowo”[169]. Kiedy poprawiła się pogoda, oddział podążył za Komanczami na północny zachód – tam, gdzie łączą się nurty rzek Kolorado i San Saba, w miejscu dzisiejszego miasta San Saba, około siedemdziesięciu pięciu mil poza granicą z Teksasem. Według ówczesnych standardów oznaczało to zapuszczenie się daleko w głąb kraju Komanczów. Tam zwiadowcy Lipanów dostrzegli obozowe ognie. Smithwick, który był razem z nimi, opisał uczucie towarzyszące białemu tropiącemu Indian w sercu Komanczerii.

> Jadąc w ciemnościach, usłyszeliśmy wycie wilka za nami. Mój przewodnik [Indianin Lipan] zatrzymał się natychmiast i zaczął nasłuchiwać w specjalnej pozycji. Po kilku chwilach inny głos odpowiedział, daleko z prawej. Indianin nadal wsłuchiwał się tak intensywnie, że jego ciało pozostawało idealnie nieruchome. Wtedy usłyszeliśmy skowyt z lewej strony. „Uff, lobo”, orzekł Lipan z ulgą. Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek podziwiał muzykę wilków, i z pewnością nigdy nie była tak pozbawiona melodii jak wtedy, ale gdy zrozumiałem, że nawet indiańskie uszy nie były pewne, czy był to wilk, czy Komancz, poczułem, jak przechodzi mnie zimny dreszcz[170].

Okazało się, że Teksańczycy dotarli do wioski zamieszkanej przez ponad pięćset osób. Byli to Penateka – Jedzący Miód – południowi Komancze, którzy czuli się tak beztrosko bezpieczni w warowni swojej ojczyzny, że nie wystawili wartowników, i tak bardzo byli nieświadomi zagrożenia z zewnątrz, że tego zimnego poranka 15 lutego wszyscy spali w swoich tipi, otuleni ciepłymi futrami bizonów. Jednocześnie ochotnicy – którzy zaczynali nazywać siebie „rangerami” – trzęśli się przemarznięci w lodowatych ciemnościach i w oczekiwaniu na świt wsypywali proch i wkładali kule do swych starych jednolufowych, ładowanych odprzodowo muszkietów.

Wydarzenia następnej godziny stanowią świetny przykład tego, co się działo, kiedy biali, niemający pojęcia, jak walczyć z Indianami Wielkich Równin, natrafiali na Indian, którzy nie wyobrażali sobie, że mogliby kiedykolwiek zostać zaatakowani przez białych na swojej ziemi. Spotkanie tych dwóch sił zapowiadało długie lata nieustannej wojny na pograniczu. Z punktu widzenia białych bitwa, która nastąpiła, była serią rażących błędów, niemal prowadzących do katastrofy.

Pierwszym był rozkaz Moore’a, nieuleczalnego optymisty, by żołnierze zsiedli z koni około mili od obozu Komanczów i podeszli do niego po cichu. Była to znakomita taktyka ataku z zaskoczenia, gdyby ją realizować w Appalachach sto lat wcześniej. Ale to był Zachód. A naprzeciw stali Komancze. Moore pozostawił konie bez opieki – być może najgorszy błąd, jaki dowódca może popełnić na równinach.

Szybko miał za to zapłacić. O brzasku żołnierze ruszyli do obozu, kierując się od razu do tipi i strzelając na oślep, gdy tylko ktoś się pojawił. Spokojna zimowa scena przerodziła się w totalny chaos: wśród krzyków kobiet i dzieci Teksańczycy „otwierali

wejścia do wigwamów[54] lub wywracali całe domostwa i mordowali wrogów w ich posłaniach". Psy szczekały, mężczyźni wrzeszczeli, huczały wystrzały karabinowe. Jeden z rangerów, Andrew Lockhart, który sądził, że jego nastoletnia córka Matilda była przetrzymywana w niewoli u Komanczów, wysunął się do przodu, krzycząc: „Matilda, jeśli tu jesteś, biegnij do mnie!". Nigdy jej nie znalazł. (Później się okazało, że w istocie była tam i słyszała ojca, ale jej krzyki zostały zagłuszone przez hałas i ogień karabinów)[171].

Komancze, zamiast dotrzymać pola i walczyć, jak zapewne uczyniliby biali na ich miejscu, zrobili to, co robili zawsze w podobnej sytuacji: rozpierzchli się niczym przepiórki i popędzili po swoje konie. Na tym polegał drugi błąd Moore'a – również nie do pomyślenia w niespodziewanym ataku na Indian Wielkich Równin: zapomniał o stadzie koni Komanczów. Nie pomyślał, że trzeba je spłoszyć[55]. Oznaczało to, że w ciągu paru sekund wielu Komanczów dosiadło wierzchowców. I wtedy zrobili to, co wszystkie ludy tych ziem robiły automatycznie, gdy dano im szansę, mianowicie wydostali się z uścisku napastników i przegnali ich konie. To sprawiło, że oblicze bitwy całkowicie się odmieniło.

Moore znalazł się teraz sam ze swymi żołnierzami i indiańskimi sojusznikami w opustoszałym obozie, nie miał do kogo strzelać, większość jego żołnierzy była pieszo w dzikim i nieznanym terenie, a dookoła roiło się od Indian na koniach. Gdy Moore to pojął, wpadł w popłoch. Jak ujął to Mike Cox, historyk teksaskich rangerów, Moore „odciął sobie większy kawałek tytoniu, niż był w stanie przeżuć"[172]. Nakazał odwrót do leśnego parowu, żeby tam szukać osłony[173]. Teraz to Komancze zebrali się i uderzyli, ale celny ogień muszkietów odrzucił ich kilka razy. Wprawdzie wśród skał i drzew jaru Moore znalazł dobre schronienie, ale jego błyskotliwy atak z zaskoczenia przerodził się w desperacką obronę. O wiele liczniejsi Indianie mogli wybić wszystkich żołnierzy[174]. Nigdy jednak w historii Ameryki Indianie nie podejmowali bitwy po to, aby za cenę wielu ofiar zdobyć pozycję. Tak walczyli biali, przykładami są ataki na Little Round Top, Iwo Jima czy Gallipoli, które miały nastąpić w przyszłości. Powszechna u Indian Wielkich Równin niechęć do maksymalnego wykorzystywania przewagi była z punktu widzenia taktyki jedną z ich większych słabości. Dzięki niej tysiące białych zachowało życie.

Tak więc Indianie ostatecznie się wycofali. Castro, zniesmaczony nieudolną taktyką Moore'a, jego dziwacznym i tchórzliwym rozkazem odwrotu i niezrównaniem z ziemią wioski Komanczów, odszedł ze swymi ludźmi. Moore musiał zarządzić długi i upokarzający odwrót, przewędrować pieszo sto pięćdziesiąt mil wzdłuż rzeki Kolorado do Austin, niosąc sześciu rannych i cały czas obawiając się ataku Indian[175].

W swej niczym niezmąconej, optymistycznej pewności siebie był przekonany, że wygrał bitwę. W istocie wszystko, czego dokonał, to uniknięcie katastrofy. Komancze, których zaatakował, natychmiast wzięli odwet, topiąc we krwi osady białych nad Kolorado.

Gdyby Komancze wynieśli jakąś nauczkę z tego, co wydarzyło się nad San Sabą – choć najwyraźniej tego nie uczynili – byłaby nią wiedza, że zasady gry całkowicie się zmieniły. Teksańczycy nie przypominali Hiszpanów czy Meksykanów. Byli twardsi, bardziej bezwzględni, nie zniechęcali się, w każdej chwili mogli podjąć szalone ryzyko, by zagwarantować sobie skrawek lichej ziemi, mieli też odpowiednie usposobienie, by bez mrugnięcia okiem likwidować tubylcze ludy. Nie polegali na nieskutecznej państwowej armii, przesadnie uzbrojonej, przesadnie zbiurokratyzowanej; woleli załatwiać sprawy na własną rękę przy pomocy ochotników, którzy nie tylko nie bali się Indian, ale też w rzeczywistości lubili na nich polować i ich zabijać. Prezydent Teksasu nie zawracał sobie głowy – jak czyniła większość urzędników rządowych od niepamiętnych czasów – nudnymi, przesadnie sformalizowanymi traktatami, które gwarantowały Indianom granice i ziemie w zamian za obietnice zwrotu jeńców czy powstrzymania się od ataków na białych. Lamar mówił o unicestwieniu. Eksterminacji. Taki był cel nieudanej wyprawy Moore'a, a także niecodziennych działań wiosną i latem 1840 roku w San Antonio i południowym Teksasie. Stanowiły one pierwsze wielkie starcie między prącymi na zachód Teksańczykami a władcami Równin Południowych, które odbiło się szerokim echem.

9 stycznia 1840 roku bicie dzwonu katedry San Fernando w San Antonio oznajmiło przybycie trzech wodzów Komanczów. San Fernando to jeden z najwspanialszych kościołów hiszpańskich, jakie wzniesiono w Ameryce Północnej. Jego dzwon jest archetypicznym dzwonem misyjnym starego, amerykańskiego Zachodu. Dzwonił na mszę poranną dla hiszpańskich, a potem meksykańskich *padres*, począwszy od 1749 roku, alarmował przed atakami Apaczów i Komanczów. Na wapiennej dzwonnicy tego kościoła meksykański generał Santa Anna wywiesił jaskrawoczerwoną flagę, która oznaczała „nie oszczędzać nikogo" i dała sygnał do ataku na Alamo. W epoce Teksasu na dźwięk dzwonu do boju z Meksykanami i Indianami ruszali żołnierze.

Pogodny ranek 9 stycznia nie zapowiadał niebezpieczeństwa, lecz coś zupełnie niezwykłego. Komancze przybyli, aby rozmawiać o pokoju. Niepokoił ich fakt, że biali wkraczają na terytorium Komanczerii, i chcieli to powstrzymać. Nigdy wcześniej nie zawarli żadnego traktatu z Teksańczykami, ale Sam Houston jako prezydent nieustannie

ich do tego namawiał. Teraz uznali, że może nie jest to wcale taki zły pomysł. Nie podobali im się zwłaszcza mierniczy, zdeterminowani mężczyźni uprawiający czarną, niezrozumiałą magię, która miała pozbawić Indian ich ziem. Co gorsza, wyglądało na to, że ta czarna magia jest skuteczna. Komancze zabijali ich w okrutny sposób, kiedy tylko nadarzała się okazja.

Dowódca miejscowego garnizonu, pułkownik Henry W. Karnes, przyjął ich uprzejmie. Wciąż zmagał się z raną biodra, odkąd został ugodzony komancką strzałą w bitwie stoczonej latem 1838 roku[176]. Oświadczył wprost, że nie będzie pertraktował, dopóki Komancze nie oddadzą wszystkich białych jeńców. Wodzowie, najwyraźniej zrozumiawszy słowa Karnesa, skinęli głowami na znak zgody i odeszli, obiecując, że powrócą. Tymczasem Karnes otrzymał bardzo szczególne rozkazy, niemające precedensu w Teksasie, a zapewne i w amerykańskiej historii w ogóle. Pochodziły od sekretarza wojny Alberta Sidneya Johnstona, wysokiego, pewnego siebie żołnierza (miał zginąć jak bohater w szarży na armię Granta w czasie bitwy pod Shiloh w 1862 roku[177]). Johnston poinstruował Karnesa, nie wdając się w subtelności, że „rząd przyznał sobie prawo – dotyczy to wszystkich plemion indiańskich – […] określenia, kto i na jakiej ziemi może mieszkać". Jakby wyjął te słowa Lamarowi z ust. W tym samym duchu oświadczył też, że teksascy obywatele „mają prawo wprowadzać się na wszelką niezajętą ziemię należącą do rządu i Komancze nie mogą im w tym przeszkadzać"[178]. Oznaczało to, że ziemie Komanczów zostały po prostu skonfiskowane. Co więcej, powiedział Johnston, jeśli Indianie nie przyjdą z jeńcami, to należy wziąć ich jako zakładników – w świetle cywilizowanych standardów jest to bulwersujący sposób potraktowania wroga, który odpowiada na zaproszenie negocjowania pokoju.

Komancze – trzydziestu pięciu wojowników – przybyli 19 marca. Byli w uroczystym, radosnym nastroju. Razem z nimi były trzydzieści dwie kobiety, dzieci i starcy. Nie spodziewali się żadnych problemów. Być może myśleli o starych czasach, kiedy wystraszeni i ostrożni Hiszpanie, a potem Meksykanie pozwalali im na swobodne poruszanie się po mieście. I mężczyźni, i kobiety byli pomalowani w wyszukany sposób i wystrojeni w najlepsze stroje ze zwierzęcych skór, ozdobione koralikami i piórami. Mieli ze sobą wielki zapas futer oraz małe stado koni i najwyraźniej nastawiali się na dobry handel. Obecność tych towarów sugeruje, że być może w ogóle nie zrozumieli słów Karnesa. Usiedli na ulicy i czekali. Chłopcy indiańscy bawili się dziecięcymi łukami i strzałami, a biali mężczyźni przymocowywali monety do drzew, żeby mogli do nich celować[179]. Zebrał się tłum mieszkańców San Antonio: gapie nie zdradzali oznak wrogości, byli tylko ciekawi.

Nie mogli jednak nie zauważyć, że Indianie przyprowadzili ze sobą tylko jedną porwaną osobę. Była nią Matilda Lockhart, ta sama dziewczynka, której ojciec bezskutecznie szukał podczas bitwy pułkownika Moore'a nad San Sabą rok wcześniej. Została porwana w ataku w 1838 roku razem z młodszą siostrą (inni członkowie rodziny zostali zabici). Miała piętnaście lat i jej obecność na placu w San Antonio wstrząsnęła ludźmi, którzy ją zobaczyli. Jedna z obecnych – Mary Maverick, żona znanego w okolicy kupca – tak to opisała: jej „głowa, twarz i ramiona były posiniaczone i obolałe, a nos miała spalony aż do kości: z całej mięsnej części zrobił się wielki strup na końcu kości. Nozdrza były otwarte i pozbawione ciała"[180]. Matilda powiedziała, że była torturowana przez komanckie kobiety. Nie tylko jej twarz została zdeformowana. Całe jej ciało było poznaczone bliznami po poparzeniach. Na stronie dziewczynka zdradziła białym kobietom, że zdarzyły się jej jeszcze gorsze rzeczy. Wyznała, że została „krańcowo upodlona", używając określenia oznaczającego gwałt, „i nie może już chodzić z podniesioną głową".

Komancze w ogóle nie zauważyli wrażenia, jakie widok dziewczynki wywarł na Teksańczykach. Wielu z nich zdawało sobie wprawdzie sprawę z istnienia tortur u takich ludów ze wschodu jak Czoktawowie czy Czirokezi, którzy też stosowali w nich ogień. Ale niemal zawsze ofiarami byli mężczyźni. Ludy te o wiele rzadziej niż plemiona z Wielkich Równin porywały, gwałciły i torturowały białe kobiety[181]. Widok Matildy wstrząsnął nawet ludźmi przyzwyczajonymi do okrucieństw Indian. Jakby chcąc jeszcze pogorszyć sytuację, Matilda – inteligentna, bystra dziewczyna, która szybko nauczyła się języka Komanczów – powiedziała Teksańczykom, że słyszała o kolejnych jeńcach przetrzymywanych w innych obozach indiańskich. Jej zdaniem takich osób było piętnaście[56].

Wszystko to stanowiło preludium do spotkania, które odbyło się w parterowym budynku władz miejskich – miał on przejść do historii jako dom narad (Council House). Budynek wzniesiono z wapienia, miał płaski drewniany dach i klepisko[182]. Trzech wyznaczonych komisarzy teksaskich wskazało miejsca dwunastu Indianom z odłamu Penateka, nazywanym „wodzami" lub „ważniejszymi mężami". W imieniu Indian przemawiał Mówiący z Duchami (podawane są różne wersje jego komanckiego imienia: Muguara albo Mukewarrah), pogodny i najwyraźniej pokojowo nastawiony człowiek z upodobaniem do whisky, który niedawno przez trzy miesiące gościł w swym obozie rangera Noaha Smithwicka – pewnego razu nawet obronił go przed grupą Indian Waco, która usiłowała go zabić[183]. Smithwick polubił Mówiącego z Duchami i odbywszy z nim „wiele długich, poważnych rozmów", uznał za inteligentnego i szczerego człowieka. Usłyszał od niego wiele na temat niszczenia przez

białych indiańskich terenów łowieckich:

> Biały człowiek przychodzi i ścina drzewa, stawiając domy i ogrodzenia, a wystraszone bizony odchodzą i nigdy nie wracają, Indianie zaś przymierają głodem, a jeśli idziemy za zwierzyną, to wkraczamy na pola łowieckie innych plemion i dochodzi do wojny. […] Gdyby biali ludzie nakreślili linię ograniczającą ich roszczenia i trzymaliby się po jednej jej stronie, czerwoni ludzie zostawiliby ich w spokoju[184].

Jeżeli zabrzmiał jak Indianin wyuczony przez białych, to warto pamiętać, że był też przywódcą grupy, która najechała na farmę Matildy Lockhart, czyli tej samej, która zabiła członków jej rodziny, a ją i jej młodszą siostrę wzięła do niewoli, torturowała Matildę i gwałciła. To wioskę Mówiącego z Duchami zaatakował pułkownik Moore nad San Sabą.

Wewnątrz budynku Teksańczycy natychmiast przystąpili do sprawy. Zażądali wyjaśnienia, dlaczego Komancze przyprowadzili tylko jedną porwaną. Mówiący z Duchami odparł, że w istocie jest więcej jeńców, ale znajdują się w obozach, nad którymi on nie ma władzy. Bardzo prawdopodobne jest, że mówił prawdę. Nikt jednak mu nie uwierzył. Potem wyjaśnił, że jego zdaniem wszystkich porwanych da się wykupić. Oczywiście, dodał uczynnie, okup będzie musiał być wysoki, w postaci towarów, amunicji, koców i cynobru. Ale wszystko da się wynegocjować. Potem zlustrował zebranych i zakończył mocnym akcentem: „Jak wam się podoba ta odpowiedź?”.

Może sądził, że jest sprytny albo rozsądny, albo że ucina sobie pogaduszki z białymi. A może źle przetłumaczono jego słowa. Tak czy inaczej, zupełnie nie zrozumiał słuchających. On i jego ludzie uważali się za honorowych wojowników. Porywanie ludzi było według nich godnym sposobem prowadzenia walki; tak samo surowe traktowanie jeńców. Dla Mówiącego z Duchami Matilda była przedmiotem grabieży, nie całkiem istotą ludzką, czymś, czym można było handlować. Teksańczycy zaś uważali Indian za okrutnych, pozbawionych sumienia zabójców. Makabrycznym i jednoznacznym dowodem było to, jak traktowali wzbudzającą żałość, pozbawioną nosa dziewczynkę. Cokolwiek Mówiący z Duchami miał na myśli lub cokolwiek chciał powiedzieć, były to ostatnie słowa, jakie wyrzekł w swoim życiu.

Pułkownik William Fisher, jeden z teksaskich komisarzy, odpowiedział ostro: „Nie podoba mi się twoja odpowiedź. Powiedziałem ci, żebyś tu więcej nie przychodził bez twoich jeńców. Przyszedłeś wbrew mojemu rozkazowi. Twoje kobiety i dzieci mogą odejść w pokoju. […] Kiedy zostaną zwróceni jeńcy, obecni tu twoi wodzowie też będą mogli odejść wolno. Do tego czasu będziecie naszymi zakładnikami”[185]. W tym samym momencie oddział żołnierzy wkroczył do budynku

władz miejskich i zajął pozycje z przodu i z tyłu. Kiedy zdumieni Komancze wreszcie zrozumieli słowa pułkownika, przełożone przez przerażonego tłumacza, w popłochu rzucili się do drzwi.

Żołnierze zwarli szeregi. Mówiący z Duchami, który pierwszy dopadł do drzwi, dobył swego noża i zadźgał żołnierza. Wtedy żołnierze otworzyli ogień, kładąc trupem Mówiącego z Duchami i innych Indian, a także kilku swoich ludzi. Oddali drugą salwę. Pomieszczenie wypełniło się hałasem, dymem, krwią i odbijającymi się rykoszetem kulami. Jednego z żołnierzy, Matthew „Old Paint" Caldwella, zabłąkana kula trafiła w nogę. Kulejąc, wyrwał jednemu z wodzów muszkiet, strzelił mu w twarz, a potem użył broni niczym pałki i zatłukł na śmierć następnego. Walka na całego toczyła się również na zewnątrz, na placu. Czekający tam Indianie – mężczyźni, kobiety i dzieci – rzucili się na gapiów, z których wielu było uzbrojonych. Ludzie, którzy widzieli walkę, mówili potem, że indiańskie kobiety i dzieci walczyły tak dzielnie jak mężczyźni[186]. Jeden chłopiec wypuścił „dziecięcą" strzałę prosto w serce sędziego okręgowego, zabijając go na miejscu. Ale Komancze na starcie nie mieli żadnych szans. Chociaż wszystko zaczęło się od ulicznej walki, to szybko zamieniło się w masakrę, a skończyło na czymś, co przypominało zawody w strzelaniu do indyków, w których Komancze grali niezbyt znaną im rolę uciekających, przerażonych ofiar.

Po półgodzinie było po „walce". Teraz był już tylko żądny krwi i zemsty motłoch polujący na Komanczów na ulicach San Antonio. Nie był to przyjemny widok. Indianie, którzy zdołali dobiec do rzeki, zostali co do jednego wystrzelani, kiedy próbowali przez nią przepłynąć[187]. Żaden nie zdołał uciec. Pogoń od domu do domu była zawzięta i okrutna. Kilku Indian schroniło się w kamiennych domach i zablokowało drzwi[188]. Mary Maverick, która to wszystko widziała, napisała, że grupa białych mężczyzn wdrapała się na dach budynku i podpaliła go za pomocą „kawałka materiału zamoczonego w terpentynie". Spośród dymu i ognia szybko wyłoniło się dwóch Komanczów: jednemu siekierą rozpołowiono czaszkę, drugiego zastrzelono.

Gdy już było po wszystkim, na ulicach San Antonio leżały trupy trzydziestu wojowników, trzech kobiet i dwojga dzieci. Trzydzieścioro dwoje Indian wzięto do niewoli, w tym wielu ciężko rannych. Zginęło siedmiu Teksańczyków, dziesięciu było rannych (jedyny chirurg w mieście, niemiecki imigrant, przez całą noc ratował białych; Indianami nikt się nie zajmował)[189]. Żołnierze wsadzili pozostałych przy życiu Komanczów do więzienia za budynkiem władz miejskich, z klepiskiem zamiast podłogi. Następnego dnia kobieta, która wyszła z walk bez szwanku, dostała konia i zapas żywności – kazano jej jechać do swoich i opowiedzieć im, co się stało. Miała też przekazać ultimatum: ci, co przeżyli, zostaną zabici, jeżeli Komancze nie oddadzą

piętnastu jeńców, o których powiedziała Matilda Lockhart. Kobieta miała wrócić w ciągu dwunastu dni – w tym czasie miało panować całkowite zawieszenie broni. W przeciwnym razie „więźniowie zostaną zabici, bo zrozumiemy, że wy zabiliście naszych porwanych przyjaciół i krewnych”[190]. Jeżeli Teksańczycy sądzili, że mogą sobie pozwolić na stawianie żądań, to szybko przekonali się, jak bardzo się mylili.

W normalnych okolicznościach nie dowiedzielibyśmy się nigdy, jak te wieści zostały przyjęte w komanckich wioskach. Ale dysponujemy wstrząsającą relacją młodego jeńca, Bookera Webstera, którego później puszczono wolno. Kiedy kobieta przybyła z okropną nowiną, Komancze zareagowali przerażeniem, rozpaczą i zimną furią – mniej więcej w tej kolejności. Kobiety wrzeszczały i zawodziły. Pocięły swoje ramiona, twarze i piersi, poodcinały końcówki palców. Niektóre nawet zadały sobie śmiertelne rany. Mężczyźni jęczeli i biegali w tę i we w tę, niektórzy ścięli włosy. Stado należące do zabitych wodzów było tak wielkie, że wybicie i spalenie wszystkich koni – zgodnie z komanckim zwyczajem – zajęło dwa dni.

Potem, w dymie palonego mięsa końskiego, Komancze wyładowali swoje uczucia głębokiej rozpaczy i gniewu na jeńcach. Zgodnie z opisem Bookera Webstera „zebrali amerykańskich jeńców, w sumie trzynaście osób, i spalili oraz posiekali na śmierć, z wielkim okrucieństwem”[191]. Trudno sobie wyobrazić, jakie powolne tortury im zadano. Wśród jeńców były dzieci, w tym także sześcioletnia siostrzyczka Matildy Lockhart.

Indianie nigdy nie odpowiedzieli na ultimatum. W rzeczywistości byli strasznie rozbici, pozbawieni przywódców i nie wiedzieli, co robić. W misternym świecie Komanczów, w którym oznaki, duchy, magia i uzdrawiające moce były ważnymi instrumentami podejmowania decyzji, takie wydarzenie musiało być potężnym ciosem w wymiarze duchowym, zupełnie niezrozumiałym przesunięciem *puha* przywódców grupy. Gdyby Indianie mieli mentalność białych, mogliby po prostu spalić San Antonio albo przynajmniej przejechać przez nie, siejąc strach i zniszczenie. Ale nic takiego nie uczynili. Zamiast tego kilka dni później trzystu wojowników pod wodzą Isimaniki przyjechało do misji San Jose, leżącej zaraz na południe od miasta, gdzie zażądali zwrotu jeńców i wyzwali Teksańczyków do walki. Ci odmówili oddania więźniów i − co brzmi bardzo dziwnie – odpowiedzieli, że z powodu dwunastodniowego zawieszenia broni nie mogą walczyć. Możliwe, że dowódca po prostu bał się opuścić mury misji. Tak uważało wielu jego żołnierzy. Była to dziwna scena – w przyszłości rzadko, jeśli w ogóle, dochodziło do czegoś podobnego na Wielkich Równinach: Indianie, w wielkiej liczbie, usiłujący bezskutecznie sprowokować białych żołnierzy do walki. Jeden z oficerów, Lysander Wells, zarzucił tchórzostwo dowódcy,

kapitanowi Williamowi D. Reddowi. To natychmiast doprowadziło do pojedynku między nimi, w którym nawzajem się pozabijali. Chociaż jeńcy indiańscy pozostali w więzieniu, większość z nich ostatecznie zdołała uciec. Kobiety, z których kilka oddano obywatelom San Antonio jako niewolnice, także zbiegły. Co dziwniejsze, potem nastąpiła wymiana jeńców i w ten sposób chłopiec – Booker Webster – i pewna młoda dziewczyna zostali zwróceni cywilizacji. Dziewczynka była pokryta bliznami prawie tak samo jak Matilda Lockhart. Nie zabito ich, ponieważ Komancze wcześniej ich zaadoptowali.

Tak skończyła się słynna walka w domu narad (Council House Fight), jak ją nazwano w kronikach Teksasu. Wielu Teksańczyków brało ją za dowód, że Teksas za rządów Lamara nie będzie szedł na żadne kompromisy z Indianami. Mieli rację. Teksańczycy popełnili jednak okropny błąd, który spowodował natychmiastowe tortury i śmierć pozostałych jeńców, zalew najazdów na osady, a z nimi śmierć dziesiątków białych, i na lata zniszczył wszelką wiarę, jaką mogli mieć Komancze w uczciwość rządu Teksasu. Można tylko zapytać, co Andrew Lockhart, którego urocza, nastoletnia córka była powoli przypalana żywcem w zemście za masakrę, sądził o tej strategii. I chociaż biali chełpili się, że zabili dwunastu „głównych wodzów", nic tego nie potwierdza[192]. Z relacji Smithwicka wynika, że Mówiący z Duchami był przywódcą stosunkowo niewielkiej grupy w odłamie Penateka. Wśród zabitych nie było Isimaniki, najniebezpieczniejszego z wodzów i o wiele potężniejszego od Mówiącego z Duchami, ani też Isawaconiego, który uważał się za głównego wodza Penateków. W San Antonio zabrakło również innych ważnych wodzów: Pah-hah-yuca, Starej Sowy, Małego Wilka i Garbu Bizona[193]. Mężczyźni, których zabito, bez wątpienia byli liderami, ale nie wielkimi wodzami. I wreszcie, jak się później okazało, niewiele wskazywało na to, iż Komancze, którzy myśleli, że w budynku władz miejskich będą negocjować, brali udział w ostatnich najazdach na osady teksaskie[194]. Zresztą w czasie ataku Isimanica najprawdopodobniej odwiedzał inne grupy, namawiając je do zawarcia pokoju z białymi[195].

Tak to biali w południowym Teksasie, zamiast zapewnić sobie pokój, sprowokowali najazd najliczniejszej armii Komanczów w historii.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wizje senne i apokalipsa

Według legendy, ale też zgodnie z historycznymi przekazami Penatekowie (Pen-’ah-took-uh) byli największym i najpotężniejszym odłamem Komanczów. Przegnali Apaczów do Meksyku, a Hiszpanów zablokowali w Teksasie. Kiedy tylko mieli na to ochotę, zapuszczali się w głąb Meksyku, łupiąc i mordując. Zdominowali ludy środkowego Teksasu. Byli też jedynym wielkim odłamem Komanczów, który wszedł w bliski i stały kontakt z najeźdźcami i kolonistami. Inne główne odłamy – Yamparika, Kotsoteka, Quahada i Nokoni – nadal trzymały się z dala od osadników i żołnierzy, od ich kultur i niewidocznych chorób białego człowieka. Pozostawały w odleglejszych częściach Wielkich Równin, podążając za stadami bizonów. Quahada prowadzili ożywiony handel z kupcami z Santa Fe, ale tylko za pośrednictwem *comancheros*.

Bliskość białych głęboko odmieniła Penateków. Jak powiedział Mówiący z Duchami, widzieli odejście bizonów, które nigdy już nie powróciły na południowe kresy Wielkich Równin. Polowali więc na inne, coraz mniejsze gatunki zwierząt. Na koniec, gdy ich populacje bardzo zmalały, Penatekowie musieli zdobywać żywność, handlując z białymi albo rolniczymi ludami, takimi jak Wichita i Waco. W kolejnych latach mieli coraz więcej kontaktów z białymi i nie zawsze były to wrogie relacje. Żebrali o jedzenie i kradli drobne przedmioty, których potrzebowali lub które im się podobały. Większość z nich nauczyła się mówić po hiszpańsku, a niektórzy nawet po angielsku. Odkryli, że ubrania z bawełny lub wełny są cieplejsze zimą, a latem pozwalają na lepszy przepływ powietrza niż tradycyjne stroje ze skór zwierzęcych. Podobnie jak członkowie Pięciu Cywilizowanych Plemion zaczęli nosić ubrania białych. Metalowe kociołki okazały się praktyczniejsze od naczyń z gliny, a gdy się zużywały, można było robić z nich groty do strzał. Fabryczne koraliki były jaśniejsze od tych, które robili własnoręcznie z muszelek[196]. Każdy kolejny najazd powiększał ich zasób przedmiotów białego człowieka: naczyń, narzędzi, broni. Było to coś w rodzaju kulturowego skażenia, niemożliwego do powstrzymania. W ten sposób rozwinęła się przypadkowa bliskość między kulturami, która jednocześnie przeplatała się z rozlewem krwi, przemocą i wrogością.

Bliskość tę można dostrzec w opowieści z gór, pochodzącej z nieco późniejszego okresu. Jedna z niemieckich osadniczek opisywała typowe spotkanie z Komanczami: „Któregoś dnia, kiedy byłam w domu, pojawił się wielki, dorodny Indianin. Dopiero co upiekłam chleb, z którego byłam bardzo dumna. […] Ten wielki skurczybyk potoczył wzrokiem dookoła, spostrzegł mój bochen, chwycił go i sobie z nim poszedł […]". Przypadek ten zawiera interesujący i niemal zabawny element bezceremonialności: nie zdziwiłoby, gdyby kobieta złapała za wałek i zdzieliła nim Indianina po głowie. Inni mieszkańcy tej osady narzekali, że Komancze przychodzili w czasie posiłku, oczekując szczodrego ugoszczenia i kradnąc drobne przedmioty z gospodarstwa[197]. Dla Yamparików, żyjących w wiosce daleko na północ, nad rzeką Arkansas, taka scena byłaby nie do wyobrażenia.

Teksańczycy także zaczęli dostrzegać tę zmianę. 30 maja 1838 roku „Houston Telegraph and Texas Register" opublikował następującą relację z wizyty delegacji Komanczów zaproszonych przez prezydenta Sama Houstona:

> Wszyscy spodziewali się spotkania z bandą srogich, tęgich wojowników o muskularnych kończynach i gigantycznych barach, ale jakież było ich zdziwienie, gdy po przybyciu do Pałacu Prezydenckiego zobaczyli paradujących tam dwudziestu pięciu niepozornych, odrapanych, półnagich, wynędzniałych dzikusów, uzbrojonych w łuki i strzały, dosiadających paskudnych koni i mułów! Wszelki podziw wyparował, a nasi obywatele patrzyli na nich teraz z litością przemieszaną z pogardą. […] ich *squaws* i dzieci porozłaziły się po całym mieście, zbierając stare naczynia cynowe, żelazne obręcze, puszki, szkło z rozbitych butelek i inne śmiecie, które wydawały im się bardzo cenne. […]
>
> Pan Legrand, który przez kilka lat żył wśród Komanczów, twierdzi, że ta grupa należy do odłamu plemienia zwanego „Komanczami z lasu". Żyją oni na górzystym obszarze na północny wschód od Bexar [San Antonio]. Są biedni, zdegenerowani i w niczym nie przypominają Komanczów z prerii[198].

Pod wieloma względami jest to znamienna relacja. Uderza już jej szydercza, otwarcie rasistowska niechęć do Indian, a także prostoduszne zdumienie, że prawdziwi Indianie nie wyglądają jak bohaterowie powieści Jamesa Fenimore'a Coopera. Ponadto – pominąwszy anglocentryzm – obserwacje autora są celne. Jak wynika z niemal wszystkich relacji świadków, Komancze byli niewysocy i fizycznie niepozorni. W istocie chodzili półnago (w Houston było lato, więc mieli na sobie zwykłe przepaski biodrowe) i naprawdę dosiadali małych mustangów, niepodkutych, chudych i – według standardów europejskich – nieefektownych. Ich główną bronią były łuki i strzały. Bez wątpienia w oczach przeciętnego Teksańczyka byli biedni: nie mieli domów, nieruchomości i kont w banku. I oczywiście uwielbiali wygrzebywać z odpadków cynę i żelazo, ponieważ używali ich do robienia strzał, noży i włóczni.

Autor relacji miał też rację w szerszym sensie. Wskutek wielu lat kontaktów

międzykulturowych Penatekowie stali się podupadłą, zdegenerowaną wersją prawdziwie dzikich Komanczów z równin. Bliskość białych miała też na nich fizyczny wpływ. Epidemia ospy zabrała wielu Penateków w 1816 roku, a potem znowu w 1839 (większość tych, którzy przeżyli, pokonała cholera w 1849 roku). Z powodu napływu osadników ich tereny łowieckie opustoszały do tego stopnia, że szybko głód zajrzał im w oczy. W istocie stali się Komanczami z Lasu, a ich przetrwanie zależało teraz od obcych ludzi. W tym samym czasie inne grupy Komanczów nadal swobodnie i dziko przemierzały Wysokie Równiny. W rzeczywistości, kiedy Penatekowie na skutek absorbowania innej kultury tracili tożsamość i wymierali, dziesiątkowani przez choroby białego człowieka, wszystko wskazywało na to, że Komancze z Wysokich Równin byli u szczytu swojej potęgi[199]. Autor relacji mylił się co do jednego: gdy sugerował, że te zdegradowane wersje pierwotnych wojowników równin nie stanowiły poważnego zagrożenia militarnego. Mylił się, i to bardzo. Ci wzbudzający żałość, półnadzy ludzie nadal byli najlepszą lekką kawalerią na świecie – w tamtych czasach tylko garstka amerykańskich czy teksaskich żołnierzy mogła się z nimi mierzyć.

Garb Bizona miał wizję. Przyszła do niego w nocy. Był to gwałtowny, mistyczny, wszechobejmujący i apokaliptyczny rodzaj wizji sennej, w której kłamliwi i zdradliwi Teksańczycy, sprawcy masakry w domu narad, zostali zaatakowani i zepchnięci do morza. Garb Bizona był wodzem Penateków. Jeszcze do niedawna był jednym z mniej ważnych przywódców – takim, który mógł kaptować wojowników na tę czy inną wyprawę łupieżczą, ale nie miał pozycji wielkiego wodza ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny. Teraz jednak wielu *paraibos* nie żyło. Niektórych zgładziła fatalna epidemia ospy z 1816 roku, która przetoczyła się przez wioski Komanczów, Wichita i Caddo i zabiła cztery tysiące Komanczów[200], czyli połowę całej populacji według szacunków z początku XIX wieku. Przynajmniej czterech ważnych wodzów zmarło podczas kolejnej epidemii ospy w 1839 roku; dwunastu kolejnych wodzów wojennych zabito podczas walki w domu narad. Garb Bizona przeżył, był charyzmatycznym przywódcą, który płynnie mówił po hiszpańsku i miał wziąć udział w wielu kampaniach, nawet wtedy, gdy większość jego ludzi wyginęła. Był też bratankiem Mówiącego z Duchami[201]. Po raz pierwszy zetknął się z białymi kolonistami, *taibos*, w 1828 roku nad Barton Springs, w dzisiejszym Austin, gdzie rozmawiał z nimi po hiszpańsku, oczarował ich i został opisany jako „wspaniały okaz dzikiego mężczyzny”[202]. Komancze jeszcze wtedy nie wiedzieli, jak nieprzyjaźni i zachłanni okażą się Teksańczycy anglosaskiego pochodzenia. Niemiecki badacz, który widział Garb Bizona w latach czterdziestych XIX wieku, opisał go następująco:

> Czysty, niesfałszowany obraz północnoamerykańskiego Indianina, który, w przeciwieństwie do reszty swego ludu, gardził jakimkolwiek elementem ubrania europejskiego. Goły, z bizonim futrem na biodrach, sznurem koralików na szyi, mosiężnymi obręczami na ramionach, ze zwisającymi długimi i czarnymi jak węgiel włosami, siedział z poważnym wyrazem twarzy północnoamerykańskiego Indianina, niezdradzającym – jak się wydawało – zainteresowania Europejczykami[203].

Nie istnieje żadna fotografia Garbu Bizona, ale zachowało się jedno zdjęcie jego syna, o którym mówiono, że wyglądał identycznie. Pokazuje ona uderzająco przystojnego młodego mężczyznę, być może dwudziestoletniego, z włosami do ramion, mądrymi, spokojnymi oczyma, kobiecymi rysami i „tysiącjardowym" spojrzeniem, które Indianie zawsze demonstrowali przed aparatem fotograficznym[57]. Garb Bizona nosił jedno z tych komanckich imion – było ich całe mnóstwo – które pruderyjni biali bali się wymawiać. Dokładna transliteracja z języka, którym mówili Nermernuh, to Po-cha-na-quar-hip, co oznaczało „erekcję, która nie ma końca"[204].

Wizja senna Garbu Bizona miała niezwykłą moc. W tygodniach gniewu i żałoby, które nastąpiły po masakrze w San Antonio, w potwornym upale samego środka teksaskiego lata, kiedy jeźdźcy roznosili wieści po całej Komanczerii, miała potężny, świeży wydźwięk. Wizja – jak wiele wizji wodzów wojennych – ukazywała najazd. Ale nie miał to być zwykły najazd. Wypędzenie Teksańczyków do morza oznaczało taką wyprawę wojenną, jaką Komancze rzadko organizowali.

Przez cały lipiec 1840 roku Garb Bizona szykował armię. Wysłał ludzi do odległych grup odłamów Yamparika, Kotsoteka i Nokoni, ale wśród nich udało mu się zebrać tylko garstkę wojowników. Północne grupy nieufnie podchodziły do tego pomysłu, zarówno z powodu choroby, której siłę można było wytłumaczyć tylko złą magią i która dopiero co zdziesiątkowała ich południowych kuzynów, jak i z powodu śmierci wielu wodzów wojennych. Na południu złej magii było stanowczo za dużo. Miały też własne problemy: Szejeni i Arapahowie weszli z północy aż na pastwiska bizonów między rzekami Arkansas i Canadian, co było jawnym pogwałceniem granic Komanczerii. Być może Komancze północni zaczynali też dostrzegać to, co później mieli zrozumieć aż za dobrze: że Penatekowie – przebywając blisko białych – przestali być tradycyjnymi Komanczami. Stawali się czymś innym, czymś gorszym.

Ale większość innych wodzów Penateka, w tym Isimanica[58], Mały Wilk i Santa Anna, odpowiedziała na wezwanie Garbu Bizona. Stawiła się też grupa Kiowów. Kiowom zwykle z trudem przychodziło rezygnowanie z szansy na porządną walkę. Z Komanczami łączyło ich coś w rodzaju mistycznej więzi, mimo że mówili innym językiem, a ich kultura była bardziej złożona. W połowie lata Garb Bizona dysponował ponad czterystu wojownikami i mniej więcej sześciuset osobami, które podążały za

nimi z obozem. Byli to chłopcy i kobiety – ich obecność była potrzebna, ponieważ wpędzenie wszystkich Teksańczyków do morza i obserwowanie, jak ich krew wlewa się do błękitnych wód Zatoki Meksykańskiej, musiało zająć więcej niż kilka tygodni. To miała być wojna z Tejanos[59] i Garb Bizona potrzebował wsparcia logistycznego.

1 sierpnia tysiąc ludzi zjechało z twardych, poprzecinanych strumieniami wapiennych tarasów Balcones Escarpment i powędrowało wzdłuż porośniętych cypryśnikami brzegów i krystalicznych sadzawek Rio Blanco aż do miejsca, w którym łączyła się z zasilaną licznymi źródłami rzeką San Marcos, a potem dalej, do czarnoziemów południowo-środkowego Teksasu[205]. Ich celem były miasta i osiedla nad rzekami i strumieniami płynącymi na południe ku trawiastym równinom i płytkim zatokom teksaskiego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Kiedy znaleźli się głębiej na południu, poruszali się tylko nocą. 4 sierpnia jechali w świetle wschodzącego księżyca w pełni – „komanckiego księżyca" – penetrując terytorium daleko poza granicą, gdzie dokoła mieli tylko osiedla białych Teksańczyków.

Gdy ranger Ben McCulloch przekroczył ich szlak dwa dni później w pobliżu miasta Gonzales, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Tysiąc jeźdźców przemknęło niemal niezauważenie przez tereny, które wprawdzie nie były gęsto zaludnione, ale znajdowało się tam wiele gospodarstw i osad. Nikt w południowym Teksasie nie widział wcześniej niczego podobnego. Większość tych, którzy zauważyli najeźdźców, była martwa. Niejaki Tucker Foley natknął się na watahę dwudziestu siedmiu wojowników. Dopadli go przy wodopoju, złapali na lasso i pociągnęli, a później odcięli podeszwy stóp, przez jakiś czas zabawiali się, każąc mu chodzić po gorącej prerii, potem go zabili i oskalpowali[206]. McCulloch i mały oddział ochotników podążali za Indianami, którzy okazali się zdecydowanie zbyt liczni, by z nimi walczyć.

To, co nastąpiło potem, Teksańczycy nazywają dziś „wielkim najazdem na Linnville". Historycy zwykle łączą go z wydarzeniem, do którego doprowadził, znanym jako bitwa nad Plum Creek. Dzieliły je dwa tygodnie. Razem stanowią wyjątkowy i nieco surrealistyczny fragment historii Teksasu, erupcję gniewu i przemocy w rzadko spotykanej na Amerykańskim Zachodzie skali. Był to najwspanialszy – i najgorszy – czas Garbu Bizona, a także jedna z pierwszych chwil prawdziwej wielkości ludzi, którzy zaczynali nazywać siebie „teksaskimi rangerami" i mieli wkrótce – na tych samych wzgórzach i preriach, nauczywszy się od Komanczów walczyć – zmienić charakter wojny pogranicznej w Ameryce Północnej.

6 sierpnia 1840 roku, o czwartej po południu, niespełna pięć miesięcy po walce w domu narad, armia Garbu Bizona runęła na miasto Victoria, położone mniej więcej sto mil na południowy wschód od San Antonio i dwadzieścia pięć mil od brzegu

morza. Nikt nie ostrzegł mieszkańców i Indianie weszli do miasta bez problemów. Zabili kilkanaście osób, wzbudzili panikę na ulicach, zmuszając obywateli do wycofania się na dachy i do okien; rozpoczęła się strzelanina. Zanosiło się na masową rzeź, ale w pewnym momencie, jak zwykle, magiczne leki (*medicine*) Komanczów odwiodły ich od zabijania. Zamiast otoczyć miasto i przystąpić do wybijania, dom po domu, wszystkich mieszkańców Victorii, Indianie objechali je dookoła, jakby mieli do czynienia ze stadem bizonów, ukradli konie i bydło, porwali małą murzyńską dziewczynkę i ogólnie narobili szkód. Od głównego celu odwrócił ich uwagę widok wielkiej liczby koni – dzisiaj efekt ten moglibyśmy porównać do widoku wachlarza tysiącdolarowych banknotów nagle pozostawionych przed czyimś nosem. Nie byli materialistami – z wyjątkiem sytuacji, w których chodziło o konie. Te cenili ponad wszystko – ze względu na nie same, jak i na to, na co je można było wymienić. Mieszkańcy Victorii zyskali czas na wzniesienie barykad. Komancze zaatakowali jeszcze raz rankiem, ale powstrzymał ich ogień z karabinów. Pobrzęczeli przez chwilę jak szerszenie na obrzeżach miasta, ukradli półtora tysiąca czy dwa tysiące koni i − pozostawiwszy trzynastu zabitych białych i wielu rannych – pognali ku drodze na wybrzeże. Nie mieli dokładnego pojęcia, dokąd zmierzali, realizowali tylko wizję Garbu Bizona. Jechali w stronę morza i pędzili ze sobą trzy tysiące koni.

Komancze utopili we krwi wielką część niziny nadbrzeżnej, grabiąc, zabijając i paląc wszystko na swej drodze do zatoki Matagorda, zagarniając do tego stada koni z całego terytorium[207]. Porywali też ludzi, w tym niejaką Nancy Cosby, wnuczkę Daniela Boone'a[60], wraz z jej nowo narodzoną córeczką. Nancy nie udawało się uciszyć dziecka, więc zabili je, przebijając włócznią na oczach matki[208]. 8 sierpnia komancka armia, otoczywszy nadbrzeżne miasteczko Linnville, wlała się doń w imponującym półksiężycowym szyku. Wydawało się, że wizja Garbu Bizona się spełniła. Mieszkańcy Linnville w panice uciekali przed indiańską nawałnicą w jedynym możliwym kierunku – ku morzu, szukając schronienia na łodziach żaglowych, których kilka było zakotwiczonych na mieliźnie sto jardów od brzegu[209]. Wielu Komancze dopadli już w wodzie, na przykład majora H. O. Wattsa, młodego celnika, który dopiero co się ożenił. Schwycili też jego żonę – według świadka „świetnie wyglądającą kobietę"[210]. Kiedy próbowali zedrzeć z niej ubrania – od tego zwykle zaczynali zabawę z każdym jeńcem – napotkali tajemniczą i poważną przeszkodę w postaci fiszbinowego gorsetu, którego nie potrafili rozpiąć. Sfrustrowani, przywiązali ją do grzbietu konia i zabrali ze sobą. Wielu mieszkańców schroniło się na dość dużym szkunerze, również zacumowanym niedaleko brzegu.

Tymczasem Indianie odkryli fantastyczną zawartość magazynów: ubrania, tkaniny

i materiały, parasolki, kapelusze i przedmioty z metalu. Linnville było ważnym portem; stąd wysyłano towary do San Antonio i na handel z Meksykanami. Indianie wynieśli ze składów tyle, ile zdołali, a potem je podpalili. Mieszkańcy miasteczka obserwowali z łodzi – tego dnia nie było nawet najlżejszego podmuchu wiatru, więc ich łodzie stały bez ruchu – jak ich domy, miejsca pracy i wszystkie składy z wyjątkiem jednego padają pastwą płomieni[211]. Gdy pożar pochłaniał miasto, Indianie wydawali okrzyki, tańczyli i zapędzali bydło do zagród, gdzie wybili je ciosami siekier i strzałami. Poniższy opis pochodzi od Johna J. Linna, mieszkańca Victorii w okresie komanckich najazdów[61]:

> Indianie ci robili z osiedlem, co tylko chcieli, w wielkim pośpiechu, pośród wrzasku i skrzeku ich *squaws* i „małych *Injuns*", niczym demony podczas pijanych saturnaliów, z kapeluszami Robinsona [miejscowy handlarz] na głowach i parasolkami Robinsona kiwającymi się na wszystkie strony jak młode podpite balony[212].

Po spaleniu miasta – a uległo ono tak doszczętnemu zniszczeniu, że nigdy go nie odbudowano – Indianie odjechali, wracając tą samą trasą, którą przybyli[213]. Jeśli ich „figle" w miasteczku wydawały się złym snem, to późniejsze wydarzenia zakrawały na czysty obłęd. Prawda była taka, że Garb Bizona stracił kontrolę nad swoją armią. Zemsta zamieniła się w coś, co bardziej przypominało czystą zabawę. Zaczęło się od koniokradzkiej orgii w Victorii – nawet dla Komanczów trzy tysiące koni było olbrzymim łupem. Potem było zdumiewające odkrycie magazynów Linnville, wypełnionych szatami mieszczańskiego świata. Nermernuh przybyli do miasta w bluzach ze skór zwierzęcych i przepaskach biodrowych. Wyjechali w cylindrach, wysokich butach z wyprawionej skóry i drogich frakach ze lśniącymi mosiężnymi guzikami, założonych tył na przód, a więc zapiętych z tyłu[214]. Zabrali ze sobą perkal i kolorowe wstążki, którymi przyozdobili włócznie, wpletli je także koniom w ogony. Grupa, która opuszczała Linnville i kierowała się znowu w stronę Victorii, wyróżniała się malowniczością – niczym kropla jaskrawego koloru w morzu ciernistych krzewów południowego Teksasu. Co więcej, Indianie byli objuczeni ciężkimi łupami, jakie tylko zdołali unieść: wieźli między innymi żelazne obręcze i lżejsze przedmioty z metalu, nadające się do przerobienia na broń. Wszystko to załadowali na konie i muły. Nie wiadomo, czy Garb Bizona wierzył, że jego wizja się spełniła. Cokolwiek o tym sądził, projekt długiej i przynoszącej chwałę wojny przeciw Tejanos zastąpiła nagła chęć, by wrócić do domu z niewyobrażalną ilością łupów.

Teksańczycy świetnie zdawali sobie z tego sprawę. Trudno było nie zauważyć karawany o takich rozmiarach, obładowanej ukradzionymi towarami, tipi, z kobietami i dziećmi, a nawet paroma starcami, poruszającej się niezdarnie przez otwartą burą prerię. Szkoda też było zaprzepaścić okazję do ataku, jaką dawała ta sytuacja.

Utworzono trzy oddzielne kompanie do walki z najeźdźcami. Jedna z nich – składająca się ze stu dwudziestu pięciu rekrutów z osiedli położonych nad rzeką Guadalupe i dowodzona przez kapitana Johna J. Tumlinsona – zagrodziła drogę armii Komanczów w pobliżu Victorii. Biali zrobili to, co większość żołnierzy *taibo* w tej epoce była nauczona robić, czyli zsiedli z koni i zaczęli szykować się do walki. W starciu z Komanczami zejście z konia na otwartym terenie równało się podpisaniu na siebie wyroku śmierci. Piesi mężczyźni stający naprzeciw jeźdźców, którzy pokonywali dwadzieścia−trzydzieści mil na godzinę i potrafili wystrzelić dwanaście strzał w czasie potrzebnym na przeładowanie karabinu i oddanie jednego strzału – to była gwarancja nierównej walki. Jedyną wątpliwość mogło budzić to, jak długo zdołają przeżyć mężczyźni bez koni i czy dadzą radę zestrzelić z siodeł paru Komanczów. Ludzie Tumlinsona zostali szybko okrążeni przez wirującą grupę napastników. Powinni byli zginąć na miejscu, ale tego dnia Komancze mieli co innego na głowie – zależało im przede wszystkim na obronie uginającej się od ciężarów karawany. Biali wycofali się tak szybko, jak potrafili, a Indianie odjechali, bardziej zajęci swymi kobietami i obładowanymi końmi niż żałosnym atakiem Tumlinsona.

Komancka armia posuwała się dalej na północ, ku górzystemu terenowi, w palącym żarze, który większą część prerii wyprażył na brąz. W trakcie typowego rajdu, zwłaszcza na większą skalę, Komancze po ataku rozdzieliliby się na małe grupki i pogalopowaliby bez wytchnienia w głąb kraju. To był stary, wypróbowany zwyczaj wśród konnych ludów Wielkich Równin. Jednak tym razem nie uczynili żadnej z tych rzeczy; w swej arogancji pociągnęli najbardziej oczywistym szlakiem. Możliwe, że uciekając z tak obfitymi łupami, nie mieli wyboru. 12 sierpnia zwiadowcy białych spostrzegli ich niedaleko dzisiejszego Lockhart, jak szli na północny zachód wśród wysokich traw i ciemnych gliniastych piasków jednej z najurokliwszych prerii Teksasu. John Henry Brown, który obserwował ten pochód, napisał, że przed jego oczami roztaczał się:

> widok całej kawalkady Indian przesuwającej się na ukos przed nami, oddalonej o jakąś milę. Śpiewali i kręcili się wkoło na przeróżne groteskowe sposoby, okazując swój wielki triumf, zupełnie nieświadomi zagrożenia. Do tego czasu stracili zaledwie jednego wojownika, a zabili dwadzieścia osób[215].

Czekano na nich. Do wszystkich swoich błędów w roli przywódcy Garb Bizona dołożył grzech absolutnej przewidywalności. Biali wiedzieli, w którym miejscu będzie przekraczał Guadalupe i inne rzeki. Czekało więc na niego dwustu mężczyzn, którzy spontanicznie skrzyknęli się z miast Gonzales, Lavaca, Victoria, Cuero i Texana (ludzie Tumlinsona nie wzięli udziału w bitwie). Żaden z nich nie był żołnierzem w normalnym

znaczeniu tego słowa. Wśród nich było wielu młodych mężczyzn, którzy do Teksasu przybyli po bitwie pod San Jacinto, żądni przygód, krwi i sławy. Nie byli farmerami, którzy zarzucali na plecy długie flinty tylko w obliczu niebezpieczeństwa. Byli spostrzegawczymi, zuchwałymi i nieustraszonymi dwudziestoparolatkami, którzy niezupełnie zdawali sobie sprawę z własnej śmiertelności i przejawiali szczególne upodobanie do walki. Mary Maverick pisała w swoim pamiętniku: „Zachód przyciągnął ich dzikością, niebezpieczeństwem i wyzwaniami życia na pograniczu”[216]. Niczego nie pragnęli bardziej, niż wytropić Indian i ich powybijać, i z radością to robili, nie licząc na zapłatę ani na nagrody. Komancze oczywiście nigdy nie mieli do czynienia z takim gatunkiem ludzi. Byli też Tonkawowie, jak zawsze liczący na zemstę. Wszystkimi dowodził generał major Felix Huston, szef milicji stanowej, żołnierz starej szkoły, który kiedyś stoczył pojedynek z sekretarzem Departamentu Wojny Albertem Sidneyem Johnstonem (poszło o awans wojskowy)[217].

Jednak teraz to Huston popełnił olbrzymi błąd. Być może było to do przewidzenia: taki sam zrobił Tumlinson dwa dni wcześniej. Nakazał swym ludziom zsiąść z koni na otwartej równinie i ustawić się w czworobocznym szyku bojowym. Tak samo jak w poprzedniej potyczce konni wojownicy otoczyli białych, wypuszczając strzały i osłaniając się twardymi tarczami ze skór bizonów (całkiem zresztą skutecznie). Mężczyźni bez koni odnosili rany, ginęły konie. Według Browna:

> to był najgorszy błąd tego dnia. Byliśmy tam unieruchomieni przez trzydzieści czy czterdzieści cennych minut i w tym czasie wojownicy zręcznie nas angażowali, podczas gdy ich *squaws* i nieuzbrojeni mężczyźni pchali olbrzymią kawalkadę obładowanych zwierząt i luźno biegnących koni ku górom nad Rio Blanco i San Marcos. Jednocześnie ich strzelcy wyborowi siali wśród nas i naszych koni wielkie spustoszenie[218].

Kiedy sprawy zaczęły przybierać coraz gorszy obrót, bardziej doświadczeni od generała majora Hustona wojownicy, tacy jak Ben McCulloch i Matthew Caldwell, zaprawieni w walkach z Indianami, zaczęli nalegać, żeby zarządził konną szarżę. Kiedy Huston rozważał swoje coraz trudniejsze położenie, wydarzyło się coś ważnego: jeden z wodzów wojennych Komanczów, który znacznie zbliżył się do Teksańczyków, z wielką wprawą używając swej tarczy, został trafiony kulą i spadł z konia. Dwóch Indian natychmiast go pochwyciło i uniosło poza teren walki. To był moment, kiedy impet ataku Komanczów nieco osłabł. Z ich szeregów uniósł się przeszywający dźwięk przypominający wycie wilka. Być może, jak się czasem zdarzało, Indianie byli przekonani, że *puha* wojownika uczyni go odpornym na kule – teraz jednak ich magiczne leki przestały działać.

W pełni pojmując wagę chwili, Caldwell wrzasnął do Hustona: „Teraz, generale!

Atakujmy ich! Są nasi!”. I być może po raz pierwszy w historii wielka grupa lekkozbrojnych mężczyzn, nieumundurowanych i na koniach, pomknęła, by zetrzeć się z konnymi wojownikami Wielkich Równin na ich własnych warunkach i walczyć tak jak oni. Co ważniejsze, był to pierwszy atak, w którym przedstawiciel tradycyjnego stylu walki – generał Huston – ustąpił w kwestii taktyki bitewnej ubranym w zwierzęce futra ludziom pogranicza, zaprawionym w bojach z Indianami, takim jak McCulloch i Caldwell. Bitwa nad Plum Creek – pod tą nazwą przeszła do historii – była początkiem zmiany stylu wojowania, który w ciągu następnych kilku lat doprowadzili do perfekcji ochotnicy zwani Teksaskimi Rangerami. Warto wspomnieć, że jednym z mężczyzn walczących za Teksas nad Plum Creek był John Coffee Hays – jeden z tych nieustraszonych młodych ludzi, którzy przybyli tu w poszukiwaniu przygód. Miał się stać najbardziej legendarnym rangerem w dziejach[219].

Dosiadłszy koni i wrzeszcząc jak Komancze, Teksańczycy runęli na długą kolumnę Indian, wstrzymując ogień do ostatniej chwili, by potem oddać salwę, która położyła trupem piętnastu Komanczów. Teksańczycy rozpędzili stado luźno biegnących koni, które wpadły szerokim łukiem na zwierzęta objuczone łupami. Wiele z nich było mocno obciążonych przedmiotami z żelaza i teraz zapadło się w błotnistej ziemi. Rozpętało się piekło, a wojownicy komanccy, już porządnie wystraszeni śmiercią wodza, która oznaczała nieskuteczność ich magii, nie mogli wykonać żadnego manewru. W panice rzucili się do ucieczki. Teraz walka toczyła się na przestrzeni piętnastu mil między umykającymi Komanczami a goniącymi ich Teksańczykami. Była krwawa. Indianie zatrzymali się na tyle czasu, ile potrzebowali, by zabić jeńców, w tym wnuczkę Daniela Boone’a, Nancy Crosby, którą przywiązali do drzewa i przeszyli serią strzał. Pani Watts miała więcej szczęścia. Ją także przywiązano do drzewa i do niej strzelano, ale strzały odbijały się od jej fiszbinowego gorsetu. Kobieta przetrwała koszmary tego dnia, z powierzchowną raną i strasznym oparzeniem słonecznym[220]. Biali żołnierze potrafili być równie bezwzględni. Widziano, jak jeden z nich przydusił butem umierającą Komanczkę, a potem przebił ją indiańską włócznią.

Teksańczycy sądzili, że odnieśli wielkie zwycięstwo. Czy mieli rację, do dziś trudno powiedzieć, głównie dlatego, że – jak zwykle – Indianie nigdy nie przedstawili swojej wersji wydarzeń. Historycy się zgadzają, że Teksańczycy zaatakowali, a Indianie rzucili się do ucieczki, oraz że zginął jeden Teksańczyk, a siedmiu odniosło rany, ale trudno znaleźć wiarygodne informacje na temat tego, ilu Indian zginęło, a także w jakiej mierze powiodła im się ucieczka. Podawano rozmaite liczby zabitych Indian: 25, 50, 60, 80 i 138, choć odnaleziono od 12 do 25 ciał.

Istnieją jednak dowody na to, że odwrót Indian był w rzeczywistości świetnie

przeprowadzony z punktu widzenia taktyki. Komanczom najbardziej zależało na ochronie swoich żon i dzieci. Wydaje się, że to się im udało. Chociaż stracili wiele łupów, to jednak zachowali większość koni. Według Linna, który bez zastrzeżeń przyjmował wersję pełnego chwały zwycięstwa białych, „odzyskano kilkaset sztuk koni i mułów”[221]. Pamiętajmy, że z trzech tysięcy. Wskazuje to, że zwycięstwo prawdopodobnie nie było tak wspaniałe, jak podaje się w podręcznikach historii rangerów i innych źródłach przychylnych Teksańczykom. Zdaniem historyków Jodye i Thomasa Schilzów strategia Komanczów w czasie bitwy polegała na serii markowanych ataków, przeprowadzanych w ogromnej prędkości przez wojowników na koniach: dezorientowały one białych, osłaniały Indian zajmujących się transportem i w ten sposób umożliwiły im bezpieczną ucieczkę.

> Pokaz barwnych strojów i umiejętności jeździeckich skutecznie odwrócił uwagę białych, dzięki czemu kobiety i dzieci zyskały czas na pogonienie skradzionych zwierząt na północny zachód, poza zasięg żołnierzy. […] Garb Bizona wprawdzie odniósł ciężkie straty, ale pokierował najazdem przez cały Teksas aż do wybrzeża i bezpiecznie przyprowadził z powrotem większość swych ludzi. […] Bitwa nad Plum Creek była taktycznym remisem[222].

Po bitwie Tonkawowie, którzy – według większości relacji – wzięli na siebie znaczny ciężar walki, dokonując w ten sposób krwawej wendety za odwieczne krzywdy, rozpalili wielki ogień i zgromadzili się wokół niego. Zaczęli śpiewać. Potem kilku mężczyzn przyciągnęło do ognia zabitego Komancza. Wycięli z jego ciała małe kawałki mięsa, nadziali na kije, wsadzili w ogień, upiekli i zjedli. Obserwujący to wydarzenie niejaki Robert Hall odnotował, że po kilku kęsach „zaczęli się zachowywać, jakby byli pijani. Tańczyli, poruszali się, jakby ich ciałami targały konwulsje, wyli i śpiewali, a mnie chcieli poczęstować plasterkiem Komancza. Powiedzieli, że dzięki temu stanę się bardzo odważny”[223].

O ile nadal istnieją wątpliwości co do rozmiarów zwycięstwa Teksańczyków nad Plum Creek, to interpretacje tego, co się wydarzyło dwa miesiące później nad górnym biegiem Kolorado, są jednakowe. Pułkownik John Moore, wciąż boleśnie wspominający upokorzenie nad San Sabą w 1839 roku, przekonał przełożonych, że Komancze nie ponieśli wystarczającej kary za zbrodnie popełnione podczas najazdów na Victorię i Linnville, dzięki czemu pozwolono mu zebrać oddział ochotników na kolejną ekspedycję odwetową. 5 października dziewięćdziesięciu białych i dwunastu Apaczów z grupy Lipan wyruszyło pod jego wodzą na północny zachód, w górę rzeki Kolorado. W połowie października znajdowali się mniej więcej trzysta mil na zachód od Austin, co oznacza, że dotarli dalej na zachód niż którykolwiek biały Teksańczyk

przed nimi. Tam Lipanowie wytropili obóz Komanczów: sześćdziesiąt tipi (zwykle w jednym żyło osiem−dziesięć osób). W niektórych relacjach pojawia się informacja, że był to obóz Garbu Bizona[224]. Żołnierze rozłożyli swoje obozowisko w odległości kilku mil. Była czysta, zimna noc październikowa; szron wybielił ziemię.

Ruszyli o świcie, a ponieważ Moore odrobił lekcję z San Saby, tym razem byli na koniach. I tym razem Indianie, przekonani, że *taibos* nie mogą zaatakować ich w samym sercu Komanczerii, byli zupełnie nieprzygotowani. Kiedy Teksańczycy wpadli do wioski, rozpętała się rzeź, nie bitwa. Indianie, którym udało się wybiec z płonących tipi, znaleźli się naprzeciw rzeki Kolorado. Wielu zginęło, próbując się przez nią przeprawić. Tych, którzy zdołali dotrzeć na drugą stronę, żołnierze i tak dopadli – niektórych gonili nawet przez cztery mile – i zastrzelili[225]. Wielu zostawiono na śmierć w palących się tipi. Zginęło tylko dwóch żołnierzy, co świadczy o tym, że większość Komanczów nie chwyciła nawet za broń. Moore tym razem nie bawił się w subtelności i zrezygnował z tradycyjnej formułki o unikaniu zabijania kobiet i dzieci (stały refren w wojskowych raportach), chełpiąc się później, że pozostawił „wszędzie ciała mężczyzn, kobiet i dzieci – rannych, umierających i zabitych”. Twierdził, że zabił stu trzydziestu ludzi w ciągu pół godziny, i nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Wziął trzydziestu czterech jeńców, złapał pięćset koni i doszczętnie spalił wioskę. W ten sposób Linnville i Victoria zostały pomszczone. Ale wielka wojna dopiero się zaczynała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Biała *squaw*

Istnieje historia oparta na twardych, udokumentowanych faktach; historia ubarwiona pogłoskami, spekulacjami i kłamstwem; oraz historia, która funkcjonuje w – można by rzec – odmętach wyobraźni. Ta trzecia odmiana historii oddaje istotę wielu dziewiętnastowiecznych relacji o porwaniu Cynthii Ann Parker, legendarnej „białej *squaw*", która wybrała czerwonego człowieka zamiast białego oraz wolała życie w zacofanym barbarzyństwie od wygód „cywilizacji". Większość z nich opiera się na pełnym zdumienia niedowierzaniu, że ktoś – a szczególnie kobieta – mógłby chcieć czegoś takiego. W rezultacie często otrzymujemy dziwaczną i absurdalną próbę zaszczepienia romantycznych ideałów europejskich na gruncie kultury epoki kamienia łupanego, jak w tej opowieści z 1893 roku, stworzonej przez byłego agenta rządowego do spraw Indian:

> Wraz z upływem lat w Cynthii Ann wykształcił się urok zniewalającej kobiecości i serce niejednego posępnego wojownika zostało przeszyte odyseuszowymi strzałami jej śmiejących się oczu oraz kaskadami jej srebrzystego głosu i kazało składać u jej stóp trofea polowań[226].

Można znaleźć mnóstwo literatury tego rodzaju i duża jej część zawiera przesłanie, że nie istniało coś takiego jak kultura Indian. Przypomina to historię Tristana i Izoldy. Cynthia Ann zakochuje się, wędruje po pachnących, ukwieconych polach, omawia ze swym oblubieńcem, dzielnym wojownikiem, perspektywy małżeńskiego szczęścia i tak dalej. (W innej zupełnie zmyślonej „historycznej" relacji, która pojawiła się w wielu miejscach, jej młodszy brat John Parker, który również został porwany, zaleca się do „azteckiej" piękności o „kocich oczach", spędzając leniwe godziny na miłosnych pogaduszkach. Później, gdy młodzieniec zapada na ospę, ukochana go kuruje, a potem odjeżdżają razem ku zachodzącemu słońcu)[227]. W innych wersjach życie Cynthii Ann wyglądało skrajnie odmiennie – miała to być brutalna rzeczywistość, w której cierpiała i doświadczała „poniżenia". Ale w tej wersji wszystko działo się wbrew jej woli. W subtelnym kodzie epoki wiktoriańskiej oznaczało to oczywiście, że zmuszono ją do seksu z zatłuszczonymi, ciemnoskórymi podludźmi, Indianami, ponieważ

wykluczone było, by sama tego chciała. Jak pisano w jednej z gazet z północnego Teksasu: „Nasze umysły nie potrafią wyobrazić sobie sytuacji choćby w połowie tak przerażającej jak ta, która stała się udziałem tej nieszczęśliwej młodej damy”[228].

Obydwa podejścia wyrosły na tym samym fundamencie niewiedzy: nikt naprawdę nie miał pojęcia, co się przydarzyło dziewczynce ani co naprawdę myślała. W związku z tym ludzie do woli dawali się ponieść własnym uprzedzeniom. Chociaż w podaniach, legendzie i historii stała się najsłynniejszą porwaną tej epoki, prawda jest taka, że w wieku dziewięciu lat zniknęła bez śladu na Wielkich Równinach – przestrzeni, której ogrom trudno było sobie wyobrazić. Porwani zazwyczaj byli zabijani albo wykupywani w ciągu kilku miesięcy lub lat. „Biała *squaw*” była z Komanczami przez dwadzieścia cztery lata – wystarczająco długo, by zapomnieć niemal wszystko, co kiedyś znała, w tym ojczysty język, wyjść za mąż i mieć troje dzieci oraz żyć pełnym, złożonym i wysoko wyspecjalizowanym życiem Indian Wielkich Równin. Biali widzieli ją dwa razy, i to przelotnie: pierwszy raz dziesięć lat po jej uprowadzeniu, drugi raz pięć lat później. Prawie każda chwila z tego okresu jest – z konwencjonalnej perspektywy historycznej – zupełnie niejasna. Indianie Wielkich Równin nie pisali listów, nie prowadzili dzienników, nie rejestrowali oficjalnych działań, nie przechowywali nawet kopii traktatów – historia nie miała dla nich żadnej wartości.

Nie znaczy to jednak, że Cynthia Ann stała się całkowicie postacią z legendy. Zrozumienie jej życia wymaga bliższego przyjrzenia się sytuacji Indian w połowie XIX wieku, odrobiny historycznego śledztwa korzystającego z dobrodziejstwa stu sześćdziesięciu lat refleksji. Można wskazać, w których grupach Komanczów przebywała, gdzie te grupy żyły, kiedy i w którym miejscu dopadły je epidemie białego człowieka, kiedy wygrały lub przegrały bitwy. Wiemy też, kim był jej mąż, oraz znamy imiona oraz przybliżoną datę narodzin trojga jej dzieci.

Być może najważniejsze jest to, że wiemy, jaka była generalnie postawa tego ludu wobec – nazwijmy to – „kochanego więźnia”. Dla ofiar okrucieństwa Komanczów było chyba niewyobrażalne, by takie zjawisko mogło istnieć. A jednak istniało, i wcale nie było takie wyjątkowe. Kobiety komanckie miały kłopoty z płodnością, a mężczyźni statystycznie bardziej niż inni byli narażeni na przedwczesną śmierć – to sprawiało, że nie wybrzydzali, decydując, kogo wcielić do swego ludu. Porywali Meksykanów, Hiszpanów, członków wielu innych grup indiańskich (nie wyłączając znienawidzonych wrogów, takich jak Ute i Apacze), białych różnych nacji, a także dzieci niewolników. Badania przeprowadzone w XX wieku wykazały, że ich krew była wybitnie „nieczysta” w porównaniu z innymi ludami. Zwykle adoptowali dzieci, które nie osiągnęły jeszcze wieku dojrzewania. Dorosłe kobiety albo zabijali, albo – jak w przypadku Rachel

Plummer – zamieniali ich życie w udrękę, robiąc z nich niewolnice i wykorzystując seksualnie. Z niektórymi obchodzili się naprawdę strasznie, czego dowodzi los Matildy Lockhart. „Kochane więźniarki" były czymś zupełnie innym. Akceptowano je, dbano o nie i traktowano jak pełnoprawnych członków rodziny. To był przypadek Cynthii Ann.

Cynthia Ann nie powiedziała na ten temat ani słowa, ale na szczęście istnieje kilka relacji osób, które znalazły się w podobnej sytuacji. Najpełniejsza jest opowieść o życiu Bianki „Banc" Babb, porwanej jako dziesięciolatka przez Komanczów w sierpniu 1866 roku z domu w Decatur (na północny zachód od dzisiejszego Dallas) i wykupionej siedem miesięcy później. Do niewoli wzięli ją ci sami Komancze – Nokoni – którzy porwali członków rodziny Parkerów. Jej kronika jest jedyną spisaną w pierwszej osobie opowieścią porwanej dziewczynki, traktującą o okresie spędzonym wśród Indian z Równin Południowych[229]. Dużo tu podobieństw z niewolą Cynthii Ann Parker, począwszy od przerażających okoliczności porwania Banc. Jej matkę, trzymającą Banc za rękę, cztery razy przebito rzeźnickim nożem[230]. Na oczach dziewczynki Indianie przeszyli strzałą pierś kobiety, a potem zdjęli jej skalp, gdy jeszcze żyła (znaleziono ją później z niemowlęciem – siostrzyczką Banc – które próbowało ssać pierś umierającej matki[231]). Banc widziała też, jak Sarah Luster, piękna dwudziestosześcioletnia kobieta, którą porwano razem z nią, stawała się – wedle opisu brata Banc – „bezbronną ofiarą niewyobrażalnej przemocy, doświadczając potwornego upokorzenia i poniżenia"[232].

Podobnie jak porwani Parkerowie Banc, jej brat i pani Luster zostali przywiązani za jeźdźcami do końskich grzbietów i zabrani w szaleńczą galopadę na północ. Dostawali niewiele do jedzenia i nie mogli zsiadać z koni. W którymś momencie Indianie dali Banc kawał krwawiącego mięsa, wyciętego z krowy zabitej przez wilki. Zjadła go, i to ze smakiem. Przyczepiona do grzbietu konia, nie mogła zapanować nad swymi jelitami i przez to otrzymała niefortunne imię indiańskie: „Śmierdzi, gdy przechodzisz obok". Po czterech dniach bólu mięśni i otartego ciała, straszliwego pragnienia i oparzeń słonecznych dotarli do indiańskiej wioski. Tutaj Komancz, z którym jechała, podarował ją swej siostrze – jej mąż zginął dzień przed najazdem na dom rodziny Babb. Wdowa nie miała własnych dzieci[233].

I wtedy wszystko się zmieniło. Banc stała się członkiem grupy rodzinnej – blisko związanych ze sobą trzydziestu pięciu osób, obozujących razem w ośmiu tipi ze ścianami z bizonich skór. Ona i jej komancka matka, Tekwashana, żyły w tym samym tipi. Jak wspominała Banc:

> Ta kobieta zawsze była dla mnie dobra, to znaczy nigdy na mnie nie krzyczała i w ogóle bardzo rzadko mnie karała. […] Naszym łóżkiem była kupa zeschniętej trawy, z rozłożonymi na niej kocami i wyprawionymi bizonimi skórami. W chłodne zimowe noce moja indiańska (*squaw*) matka kazała mi stawać przed ogniskiem, obracając [mnie] dookoła od czasu do czasu, żebym się dobrze poczuła i rozgrzała, potem zawijała mnie w futro bizona i układała do łóżka blisko zewnętrznego brzegu, blisko ściany namiotu, tak aby mi było wygodnie i ciepło. […] Wydawało się, że […] dbała o mnie tak, jakbym była jej własnym dzieckiem[234].

Świat opisywany przez Banc czasami jawi się jak dziecięcy raj. W istocie: wspominała, że każdy dzień zdawał się jej świętem. Bawiła się radośnie z innymi dziećmi. Uwielbiała nieformalność posiłków: jadło się zwykle, stojąc wokół parującego kotła, nadziewając mięso na zaostrzone patyki. Lubiła smak mięsa, chociaż mówiła, że jego przeżucie wymagało wiele czasu. Tekwashana nauczyła ją pływać, przekłuła jej uszy i podarowała długie srebrne kolczyki ze srebrnymi łańcuszkami oraz mosiężne bransolety na ramiona. Kobiety komanckie mieszały bizoni łój z węglem drzewnym i wcierały w jej jasne blond włosy, żeby stały się ciemniejsze. Uwielbiała tańce wojenne. Języka nauczyła się szybko i tak dobrze, że po zaledwie siedmiu miesiącach niewoli (sądziła, że były to dwa lata) z trudem przyszło jej „przestawić język z powrotem", żeby mogła „znowu mówić po angielsku z rodziną i przyjaciółmi"[235]. Miała dwa stroje i żaden z nich nie był zrobiony ze skóry zwierzęcej; jeden był z perkalu, a drugi z prześcieradła w biało-niebieskie pasy.

Banc opisała też znój i dni, które wcale nie przypominały świąt. Jej porywacze byli w końcu nomadami, zbieraczami-łowcami − ich życie w najlepszym razie cechowała niepewność. Jedzenia nigdy nie wystarczało. Czasami jej grupa rodzinna dostawała tylko małe porcje suszonego mięsa; zdarzało się, że dziewczyna nie dostawała nic do jedzenia przez dwa dni. Banc pisała: „Kiedy kończył się nasz zapas suszonego mięsa, żywiliśmy się gotowaną kukurydzą, a kiedy i ona się wyczerpywała i wszyscy byliśmy głodni, zabijali tłustego konia lub muła i wtedy mieliśmy ucztę, która trwała tak długo, dopóki całego nie zjedliśmy". Twierdziła, że jej rodzina miała trzysta sztuk koni, co sugeruje, iż nie znosili koniny i jedli ją tylko w ostateczności albo nie mogli ścierpieć myśli o zjedzeniu tak użytecznego i pokupnego towaru. Grupa przenosiła swój obóz co trzy tygodnie – typowe dla koczowników, którzy potrzebowali wielkich przestrzeni na pastwiska dla koni – co oznaczało ciężką pracę dla każdego, w tym Banc. Nosiła wodę, zbierała drewno i ładowała dobytek na konie i muły, gdy grupa szykowała się do wyruszenia w drogę, pomagała też we wszystkich innych sprawach związanych z przygotowaniami do podróży, także w pilnowaniu psów. W którymś momencie pogwałciła tabu, gdy niosąc wodę, przeszła przed tipi mężczyzn. Za karę stara kobieta poszczuła ją psami. Później ta sama kobieta zaatakowała ją siekierą, zabijając jednak

zamiast niej małą indiańską dziewczynkę, która znalazła się na jej drodze. Jak napisała Banc, kobietę natychmiast zabito.

W kwietniu 1867 roku Banc została wykupiona za 333 dolary. Tej nocy Tekwashana, ze złamanym sercem, zabroniła jej wejść do namiotu. Później serce jej zmiękło i przekonała Banc, by spróbowały razem uciec. Zrobiły to, a Tekwashana niosła dziewczynkę na plecach. Był to czyn niezwykły, brutalnie karany, i jasno dowodził, jak bardzo ta kobieta kochała swą przybraną córkę. Obie zostały wytropione i schwytane następnego dnia. Banc szybko oddano jej białej rodzinie, a dziewczynka zdała sobie sprawę, że zapomniała angielskiej mowy.

Inna relacja, nie tak kompletna, ale pod wieloma względami podobna, pochodzi od dziewczynki, która żyła w środkowym Teksasie. Jeden z najkrwawszych najazdów Komancze przeprowadzili w dolinie potoku Legion, niedaleko dzisiejszego Llano, w 1868 roku. Porwali siedem osób, ale w ciągu pierwszych kilku dni zabili pięć z nich – w tym niemowlę i trzyletnie dziecko, pozostawiając przy życiu tylko uroczą, długowłosą ośmioletnią Malindę Ann „Minnie" Caudle i siedmioletniego chłopca imieniem Temple Friend. Minnie została natychmiast adoptowana przez grubą Komanczkę, z którą odjechała do obozu indiańskiego. Jej nowa matka spała z nią, by zapewnić jej ciepło, i starała się uchronić ją przed okrucieństwami pierwszej nocy: dwie ciotki Minnie szlochały i modliły się głośno, gdy je gwałcono i torturowano[236]. Następnego dnia porywacze zdecydowali, że obie kobiety sprawiają zbyt wiele kłopotu. Gdy je zabijali, komancka matka Minni zakryła jej głowę kocem, żeby dziewczynka tego nie oglądała[237]. Podobnie jak Banc Babb również Minnie Caudle traktowano z wielką życzliwością. Nowa matka opowiadała jej różne historie przy ognisku. Komanczki nie pozwalały mężczyznom jej krzywdzić. Gotowały dla niej mięso w sposób, który lubiła, a kiedy przechodziły obok słonych lizawek, zawsze brały trochę soli, żeby dziewczynka mogła przyprawiać nią swoje jedzenie. Ubierały ją w stroje z futer zwierzęcych i natłuszczały ciało łojem, dzięki czemu pozostawało suche podczas opadów deszczu czy śniegu[238]. I tak jak Banc, Minnie przetrzymywano przez pół roku, a potem oddano za okup. Jej historię znamy z jednej opublikowanej rozmowy z dziewczyną oraz późniejszych wywiadów z jej potomkami[239].

Mamy więc dwie historie, które prawdopodobnie były bardzo podobne do losów Cynthii Ann Parker, z wyjątkiem okupu i powrotu. Można tylko spekulować. Przez resztę życia Banc i Minnie broniły Komanczów. Minnie Caudle „nie dałaby powiedzieć złego słowa o Indianach", wspominała jej prawnuczka. Jej wnuk twierdził: „Zawsze ujmowała się za Indianami. Mówiła, że na swój sposób są dobrymi ludźmi. Kiedy ich zaatakowano, nie spuszczali głów i bronili się[240]". Uważała tak mimo

okrutnych wydarzeń z jej życia, do których należało obserwowanie, jak porywacze gwałcą i mordują pięcioro członków jej rodziny. Banc Babb, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i pamięci, postrzegała sprawy tak samo. W 1897 roku poprosiła o oficjalne przyjęcie do ludu Komanczów. Obydwie dziewczynki widziały w prymitywnych, znajdujących się na etapie niższego barbarzyństwa Komanczach coś, czego nie dostrzegał prawie nikt inny, nawet Rachel Plummer, która żyła wśród nich nieco dłużej. Dot Babb, brat Banc, tak opisał własne odczucia: „rodzaj uczuciowej więzi niemal tak świętej jak więzi rodzinne. Ich dobroć dla mnie była olbrzymia i niezmienna, a w zamian moja przyjaźń i przywiązanie głębokie i szczere”[241]. Wszystkie te dzieci czuły, że w głębi duszy Komancze – nieprzejednani i okrutni zabójcy – zachowali głęboką i trwałą czułość. Być może powinno to być oczywiste, byli przecież istotami ludzkimi. Ale absolutnie nie było to oczywiste dla białych osadników na zachodnim pograniczu w połowie XIX wieku.

W kwietniu 1846 roku komisarze federalni do spraw Indian postanowili skontaktować się z wodzem Komanczów Pah-hah-yu-kiem. Zadanie odszukania go powierzyli agentowi do spraw Indian z Teksasu, Leonardowi H. Williamsowi. Pah-hah-yuco nie był pierwszym lepszym *paraibo*. Był – obok przebiegłego, niepozornego Mopechucope (Stara Sowa) – największym z pokojowych wodzów Penateków[242]. Cieszył się posłuchem u współplemieńców, o czym świadczy sytuacja z 1843 roku, gdy zapobiegł torturom i egzekucji trzech komisarzy teksaskich, wysłanych do Indian z odszkodowaniem za walkę w domu narad – większość członków jego grupy pragnęła spalenia emisariuszy. Taki posłuch miał Pah-hah-yuco. Był tęgim dostojnym mężczyzną, ważył ponad dwieście funtów, miał kilka żon oraz – jak ujął to jeden ze świadków – „ujmującą twarz, pogodne usposobienie i jowialność”[243]. Jego imię tłumaczono jako „Kochliwy”, ale można podejrzewać, że w języku komanckim miało bardziej lubieżne znaczenie[244]. Pułkownik Williams, którego ekspedycja liczyła jedenaście osób, miał za zadanie zaprosić wodzów na rozmowy o traktacie, pierwszym w historii kontaktów tego ludu ze Stanami Zjednoczonymi, których Teksas właśnie został częścią. Miał się też wywiedzieć, czy w obozie są biali jeńcy, oraz spróbować ich wykupić.

Williams odszukał Pah-hah-yuca nad rzeką Washitą w dzisiejszej Oklahomie, prawdopodobnie niedaleko miejsca, w którym wpada ona do Rzeki Czerwonej, jakieś siedemdziesiąt pięć mil na północ od współczesnego Dallas. Nie jest jasne, jak Williams odnalazł wioskę w ogromnym dzikim świecie niezbadanych terytoriów indiańskich, ale na pewno musiał użyć indiańskich zwiadowców, którzy utrzymywali z Komanczami przyjacielskie stosunki, zapewne Delawarów lub Wichitów.

Momentowi, kiedy członkowie tej niewielkiej ekspedycji wjechali, niezapowiedzianie, do wielkiej komanckiej wioski, z licznymi tipi, ogniskami i wijącymi się całymi milami wzdłuż brzegów rzeki konstrukcjami, na których suszyło się bizonie mięso, musiało towarzyszyć przyśpieszone bicie serc oraz zastrzyk adrenaliny. Pojawienie się białych wywołało w obozie natychmiastowe wrzenie. Kilku młodych wojowników od razu zaczęło szeptać o ich zabiciu. Na szczęście Williams dowiedział się o tym od jeńca – meksykańskiego chłopca – i poprosił Pah-hah-yuca o ochronę. Według słów Williamsa wódz „z trudem zdołał uspokoić i powstrzymać swych ludzi”[245].

Ledwie uniknąwszy śmierci, agent odkrył ze zdumieniem, że w indiańskiej wiosce jest niebieskooka, jasnowłosa Cynthia Ann Parker, ostatnia ofiara straszliwej masakry w forcie Parkerów, o której losach nie było nic wiadomo – mała dziewczynka o blond włosach, która nigdy nie wróciła. Nie wiadomo dokładnie, jak się o tym dowiedział, ponieważ na pewno to nie ona mu powiedziała, poza tym wcale nie miała ochoty zostać „ocalona”: odwrócenie jej rzekomo ponurego i przerażającego losu było wyłącznie pomysłem białych, a nie jej własnym. Miała dziewiętnaście lat. Pułkownik Williams spotkał ją już wcześniej, ponieważ znał rodzinę Parkerów w ich pierwszych latach w Teksasie. Kiedy Williams ponownie ją zobaczył, jej historia była już tak dobrze znana, że natychmiast wysłał gońca z nowiną do urzędu gubernatora w Austin.

I od razu spróbował kupić ją od Indian. Kupowanie i sprzedawanie jeńców było normalnym elementem handlu w tym okresie. Odkąd Komancze dosiedli koni po raz pierwszy, stanowiło to źródło ich dochodów. Prowadzili ożywiony handel jeńcami apackimi i meksykańskimi, często korzystając z pośrednictwa wymyślnie wytatuowanych Wichitów z północno-środkowego Teksasu. Jeńcy często trafiali, przewożeni niczym bale bawełny, na targi w Luizjanie. Teraz wydawało się, że biznes koncentruje się wokół składów nad Rzeką Czerwoną, w których rozmaici wyrachowani handlarze i inne nędzne, pozbawione skrupułów typy z najdalszych rubieży parały się czymś w rodzaju spekulacji żywym towarem, kupując jeńców od Indian i z zyskiem odsprzedając ich rodzinom. Był to niecny proceder, wymagający ciągłego kłamania i wprowadzania w błąd. Byli jeńcy, których „wybawcy” okazywali się najgorszymi oszustami.

Williams szybko jednak zrozumiał, że tym razem było inaczej. Indianie zwyczajnie nie mieli zamiaru negocjować. Według jednej z relacji pułkownik zaoferował za nią „dwanaście mułów oraz towary mieszczące się na kolejnych dwóch mułach”, zawrotną sumę jak za jednego zakładnika. Indianie odrzucili ofertę, mówiąc (jak podawała jedna z gazet), że „prędzej umrą, niż ją oddadzą”[246]. Zgodnie z inną wersją zaproponowano im „wielką górę towarów i czterysta−pięćset dolarów w gotówce”[247]. W każdym razie

odpowiedź Indian była odmowna. Istnieje kilka relacji opisujących zachowanie Cynthii Ann. Według jednej uciekła i schowała się przed Williamsem i resztą jego grupy. W innej „zaczęła natychmiast szlochać", zapewne na myśl o tym, że Komancze mogliby ją oddać. W trzeciej wersji pułkownikowi Williamsowi pozwolono z nią porozmawiać. Podeszła do niego, usiadła pod drzewem i wbiła wzrok przed siebie, nie wypowiadając jednego słowa ani nawet nie zdradzając w żaden sposób, że rozumie, co on do niej mówi. W dziewiętnastowiecznej opowieści Jamesa T. DeShieldsa, niemal na pewno podkolorowanej na użytek wrażliwych czytelników, „niepokój jej umysłu zdradziło dostrzegalne drżenie warg, pokazujące, że nie była obojętna na uczucia wspólne rodzajowi ludzkiemu"[248].

List napisany cztery miesiące później przez komisarzy Pierce'a Butlera i M. G. Lewisa do komisarzy do spraw Indian w Waszyngtonie wyjaśnił tajemnicę. Zasugerowali, że problem był nie z Pah-hah-yukiem czy innymi przywódcami, którzy z wielką chęcią sprzedaliby ją za odpowiednią sumę. Chodziło o to, że „jeden z Komanczów uważa tę młodą kobietę za żonę. To wpływ jej rzekomego męża albo postawa jej samej są powodem, że nie chce opuścić ludzi, wśród których przebywa"[249]. Najwyraźniej była to miłość, nawet jeśli światu białych zaakceptowanie tego faktu przychodziło z trudem. Tak czy inaczej, kobieta nie zamierzała nigdzie iść i żadne pieniądze nie mogły tego zmienić.

W pewnym momencie Cynthia Ann i Peta Nocona zaczęli żyć wśród Penateków, choć nigdy nie poznamy dokładnej daty. Przyjmuje się, że Komanczami, którzy najechali fort Parkerów, byli Nokoni. Ale dowody na to są w najlepszym razie kruche, tak samo jak płytka była ogólna wiedza *taibos* o grupach indiańskich. Mogli równie dobrze być Penatekami. A nawet należeć do Tennawish, mniej znaczącego odłamu, który obozował, polował i najeżdżał razem z Penatekami. Mogli nawet pochodzić z różnych grup. Według jednej relacji Cynthia Ann przebywała u Yamparików z dalekiej północy, ale niemal na pewno nie było to możliwe. Rozróżnienie jest jednak ważne. Dostępne źródła wskazują, że grupą, w której Cynthia Ann żyła przez większą część lat czterdziestych, byli Penatekowie: południowy odłam Komanczów pod wodzą Pah-hah-yuca.

Nie oznaczało to nic dobrego. Obojętnie, jak do nich trafiła, znalazła się w samym środku wielkiej społecznej i kulturowej katastrofy. Użyjmy porównania z mniej odległej przeszłości: byłoby to niczym zaadoptowanie przez żydowską rodzinę w Berlinie w 1932 roku. Nie rokowało szczęśliwej przyszłości. Cynthia Ann w ten sposób stała się bezbronną ofiarą wielkich ścierających się procesów historycznych,

na które oczywiście nie miała wpływu. W wyniku tego starcia Penatekowie, jako spójna organizacja społeczna, w latach czterdziestych XIX wieku przestali istnieć. Ich upadek był stopniowy, a oni sami nie poddali się bez walki – w agonii siali wręcz więcej terroru niż zwykle, szczególnie w czasie najazdów w Meksyku – ale nigdy się z niego nie podnieśli. Większość, która zdołała przetrwać, głodująca i zdemoralizowana, pogardzana nawet przez innych Komanczów, wycofała się w 1855 roku do małego rezerwatu.

Zaledwie dziesięć lat wcześniej coś podobnego byłoby nie do pomyślenia. W czasie rajdu na fort Parkerów, kiedy szlochająca Lucy Parker wsadzała swą przerażoną córkę na grzbiet komanckiego mustanga, Komancze, a w szczególności Penatekowie, znajdowali się u szczytu swej historycznej potęgi i wpływów. Pobili Europejczyków, zastraszyli Meksykanów i opanowali najbardziej południową część Wielkich Równin do tego stopnia, że inne ludy przestały stanowić zagrożenie. Mieli wystarczająco wielu wrogów, by utrzymywać sprawność bojową i stały napływ olbrzymich liczb koni. Ale żadnego wroga nie musieli się naprawdę obawiać. Wielkie stada bizonów, będących źródłem ich pożywienia i utrzymania, przemierzały równiny i wciąż można je było upolować w każdym zakątku Komanczerii. Niski wskaźnik urodzin praktycznie gwarantował Komanczom nieustanną samowystarczalność ich koczowniczego sposobu życia, opartego na ciągłej wędrówce za bizonami. Wydawało się więc, że ich świat istniał dzięki idealnej, mającej trwać wiecznie równowadze między ziemią, wiatrem, słońcem i niebem. Imperium pod jasnym, letnim księżycem. Tym, którzy obserwowali zmianę z subiektywnej perspektywy, jak Cynthia Ann i jej mąż, tempo, w jakim ich idealny świat ulegał rozpadowi, musiało wydawać się zawrotne. Ona – córka osadników, z wielką mocą naciskających na dawno zakorzenioną barierę w postaci Komanczów, którzy rozprawili się z wszystkimi innymi grupami intruzów, zaadoptowana do powoli ginącej kultury – była symbolem tej zmiany.

W jakiś sposób ona i jej mąż, Peta Nocona, przeżyli kataklizm. Będąc nomadami, nieustannie się przemieszczali. Można ją sobie wyobrazić w czasie jednej z tych wędrówek, na koniu, posuwającą się powoli przez trawiastą równinę wśród setek innych jeźdźców – z wojownikami na czele – ku szerokiemu zamglonemu horyzontowi, który białym wydawałby się totalną pustką. Były to długie karawany ciężko obładowanych mułów i koni, a także wszechobecnych komanckich psów. Konie ciągnęły *travois*, na których umieszczono wielkie pale namiotowe oraz sterty bizonich skór. Ciągnione nosze żłobiły ziemię – doskonale równoległe linie jakby wyrysowane na prerii, wtapiające się w bladoniebieskie teksaskie niebo i w nim znikające. Za karawaną podążało olbrzymie stado koni, źródło zasobności Komanczów. Musiał to

być niezwykły widok. Cynthia Ann miała trudne życie. Komanckie kobiety wykonywały nieludzko ciężką pracę, w tym większość czynności związanych z przenoszeniem obozu. Pracowały od świtu do zmierzchu, prowadziły krótkie wyczerpujące życie i nie narzekały na nie; zajmowały się wszystkim z wyjątkiem polowania i walki[62].

Miejsca, gdzie rozkładali się obozem, pokazują, jak daleko docierali. Obozy Pah-hah-yuca widywano w 1843 roku na północ od Rzeki Czerwonej i na południe od dzisiejszego Lawton w Oklahomie, nad potokiem Cache (obóz znajdował się na otwartej prerii nad brzegiem potoku i ciągnął się pół mili)[250]. W 1844 roku grupa obozowała na Salt Plains w dzisiejszej północno-środkowej Oklahomie, nad Salt Fork – dopływem rzeki Arkansas[251], daleko na północ od Washity, gdzie Williams odnalazł ją w 1846 roku. W 1847 roku wioskę Pah-hah-yuca widziano sto mil na północ od Austin, na falistej, lekko zalesionej prerii – było w niej sto pięćdziesiąt tipi[252]. W tym samym roku grupa obozowała też pośród *mesas* za zachód od Austin. W 1847 roku Cynthia Ann najpewniej żyła wśród Tennawishów, którzy często zatrzymywali się tam, gdzie Penatekowie (z którymi często łączono Pah-hah-yuca). Całkiem możliwe jest, że z praktycznych względów w 1845 roku obie grupy się połączyły. Obozy te leżały daleko na zachodzie Teksasu, nad źródłami Rzeki Czerwonej. Według niektórych relacji Cynthia Ann nosiła „strój z perkalu pochodzącego ze splądrowanego Linnville" i była wśród uciekających „w nieładzie Komanczów w górę rzek Guadalupe i Kolorado"[253], co by oznaczało, że była w grupie Garbu Bizona podczas rajdu na Teksas. Ale nie da się udowodnić tych przypuszczeń.

Migracje te pasują do tego, co wiemy o Penatekach. Po walce w domu narad przenieśli swoje obozy na północ, gdzie nie sięgały agresywne rządy Lamara. W połowie dekady, po zmianie klimatu politycznego, rozpoczęli wędrówkę na południe, z powrotem na swoje tradycyjne terytoria. Była z nimi Cynthia Ann. Zasięg wędrówek jej grupy obejmował trzysta mil. Jednak gdziekolwiek by się znalazła, miała pecha przebywać wśród tych Komanczów, których wioski i tereny łowieckie pierwsze znajdowały się na drodze niecierpliwego i zawziętego pochodu cywilizacji białych.

Ostrze antyindiańskiej polityki (1838–1841) Lamara skierowało się przede wszystkim ku Penatekom. Pokonano ich w walce w domu narad, nad Plum Creek i nad górnym biegiem Kolorado. Dwa z tych starć zakończyły się masakrą. Aby nie było wątpliwości – Penatekowie również odnosili zwycięstwa nad żołnierzami, między innymi nad San Sabą i Bird's Creek, a także – znacznie częściej, nawet jeśli nie odnotowały tego żadne kroniki – nad milicją i oddziałami rangerów, musieli jednak mieć poczucie, że więcej stracili, niż wygrali, szczególnie w konflikcie z wrogiem, który, jak się wydawało, miał ograniczone możliwości ze względu na swoją

liczebność, a także środki finansowe. Tylko w latach 1836–1840 Penatekowie, jak obliczano, stracili jedną czwartą swych wojowników[254].

Przy tak skromnych zasobach ludzkich w normalnej sytuacji odzyskanie równowagi wymagałoby wielu lat, ale Penatekowie już i tak przegrywali wyścig z czasem. To nie wojenna polityka Lamara, przy całym jej okrucieństwie, ani nawet nie tragiczne w skutkach zniknięcie zwierzyny ze wschodnich kresów imperium zabijały ich nieubłaganie i skutecznie. Zniszczenia dokonało to samo, co zdziesiątkowało większość populacji niemal każdego innego ludu w obu Amerykach, począwszy od Azteków, mianowicie choroby białego człowieka. Nie był to pierwszy raz, kiedy ludy konne dotknęła choroba. Uważa się, że przed 1820 rokiem około trzydziestu epidemii o różnych rozmiarach przetoczyło się przez Wielkie Równiny: odra, malaria, koklusz, grypa zebrały wśród tubylczych ludów żniwo, którego rozmiarów nie sposób oszacować[255]. Penatekowie otrzymali bardziej druzgocący cios niż jakakolwiek inna grupa w tym regionie. Najazdy na Meksyk w 1816 roku przyniosły nie tylko tradycyjne łupy, ale też czarną ospę i inną straszliwą oraz łatwo przenoszącą się chorobę: syfilis. W 1839 roku ospa znowu ich zaatakowała, tym razem przywleczona przez Kiowów, którzy z kolei zarazili się nią od Mandanów nad Missouri. Indianie ginęli tysiącami.

Nie umieli się bronić przed tą straszliwą, niewidoczną magią. O ile potrafili leczyć w dość wymyślny sposób zwykłe dolegliwości – na przykład skutecznie leczyli ból zęba rozgrzanym grzybem rosnącym na drzewach, wypełniali też ubytki suszonymi grzybami; z miazgi drzewa wierzbowego wytwarzali środek przeczyszczający; stosowali mechaniczne opaski hamujące utratę krwi, a nawet przeprowadzali prymitywne operacje w przypadku ran od kul[256] – o tyle przeciw tym siejącym spustoszenie duchom byli w stanie przywołać jedynie modlitwy i zaklęcia, wymalowane magiczne znaki na ciele i rytuały oczyszczające. Przykładem takiego rytuału, rzekomo mającego leczyć ospę, była sauna parowa, po której chory zanurzał się w zimnym strumieniu – leczenie to często kończyło się śmiercią.

W 1849 roku nadszedł najbardziej fatalny cios: cholera. Epidemia wybuchła w delcie rzeki Ganges w Indiach na początku XIX wieku. Do Europy dotarła w 1830 roku, przekroczyła Atlantyk dwa lata później i błyskawicznie rozprzestrzeniła się w Ameryce. Na zachód została przywleczona przez karawany *forty-niners*[63], którzy wędrowali do złotonośnych pól Kalifornii. Jechali oni takimi szlakami, jak Szlak Santa Fe, ale wytyczali też nowe, w tym trasę wzdłuż rzeki Canadian, która przecinała Oklahomę i Teksas, a więc i sam środek kraju Komanczów. Tylko w 1849 roku trzy tysiące osadników przeszło tą trasą. Była to brudna, nikczemna zbieranina, mająca niewiele lepsze pojęcie o higienie niż Indianie – opętani myślą

o złocie prostacy z biedniejszych części Wschodu i regionu między Appalachami a Missisipi. Nieśli ze sobą śmierć (byli też zarażeni ospą), którą rozprzestrzenili w setkach wiosek indiańskich.

Cholera nie wdawała się w subtelności: zabijała szybko i z potworną siłą. Okres jej inkubacji wynosił od dwóch godzin do pięciu dni, co oznaczało, że od momentu infekcji mogła zabić – i faktycznie często to robiła – zdrową dorosłą osobę w ciągu kilku godzin. Jej objawy to ostra biegunka i wymioty, zaraz po nich skurcze nóg, ogromne odwodnienie, potworne pragnienie, niewydolność nerek – potem następuje śmierć[257]. Był to straszny sposób umierania i straszliwy widok. Choroba przenosiła się przez spożycie odchodów – bezpośrednio lub przez skażoną wodę czy jedzenie. Wyobraźmy sobie wioskę zamieszkaną przez pięciuset ludzi pierwotnych niemających właściwie pojęcia o zasadach higieny, w której kilkaset osób dostaje potężnej, niekontrolowanej biegunki. Źródła wody szybko ulegają zakażeniu, później wszystko inne, tworząc coś w rodzaju mikrobowego koszmaru. Nie rozumiejąc, co powoduje chorobę, Komancze nie mieli żadnych szans. Ponieważ Nermernuh postrzegali chorobę przez pryzmat przesądów, chorych zwykle zostawiano, by umierali samotnie. Rozdarte bólem rodziny zostawiały swoje umierające matki, ojców czy dzieci i uciekały, szukając „schronienia” w innych wioskach, w rezultacie przenosząc tam zakażenie. Choroba zdziesiątkowała też pozostałe ludy Wielkich Równin. Pochłonęła połowę populacji Kiowów – pięćdziesiąt lat później pamiętali to jako najstraszliwsze doświadczenie w swej historii[258]. Zginęła też połowa Szejenów Południowych – około dwóch tysięcy osób, w tym całe wioski. Wśród Kiowów i Arapahów zdarzały się też powodowane chorobą samobójstwa[259].

Nikt nie wie, ile tysięcy Komanczów zabrała epidemia cholery w 1849 roku (wyniszczyła też niektóre północne grupy, w tym Kotsoteków). Sądzi się, że zmarła połowa tych Penateków, którzy przeżyli poprzednie epidemie. To by oznaczało, że liczebność ich populacji spadła z ośmiu do dwóch tysięcy w ciągu mniej niż trzydziestu lat, aczkolwiek dokładne szacunki nie są możliwe. Większość ważnych przywódców obozowych zmarła w 1849 roku. To, co na początku było stopniową dezintegracją, teraz wyglądało na całkowity rozpad. Pah-hah-yuco zdołał to wszystko przetrwać, ale szybko wycofał się daleko na północ. Na jego następcę wybrano Garb Bizona, ale pozycja przywódcy nie miała teraz żadnego znaczenia, ponieważ od tego czasu Penatekowie nie mieli jednego wspólnego wodza[260]. Niedobitki Penateków czekał kolejny cios: bizony przestały docierać na południe, na ich terytoria, znikła też większość innej zwierzyny. W tym czasie podpisali kilka traktatów, które oczywiście nie mogły ich uchronić przed zagładą. Porozumienia te wytyczyły granice, których

Indianie nie mogli przekroczyć, nawet po to, by zapolować, natomiast biali wysyłali na zachód mierniczych, przekraczających te same wyobrażone granice z ziemiami Indian. Na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku wielu Penateków głodowało. Ketumseh, jeden z ich wodzów, mówił tak:

> Z tego olbrzymiego kraju, gdzie przez setki lat nasi przodkowie wędrowali i nikt nie podważał ich władzy nad nim, co nam zostało? Zwierzyna, nasze podstawowe źródło utrzymania, jest wybijana i wypędzana, a my musimy cofać się do najbardziej jałowych i opustoszałych części kraju i głodować. Przed nami tylko eksterminacja i czekamy na nią ze stoickim spokojem. Dajcie nam kraj, który moglibyśmy nazwać naszym własnym, gdzie moglibyśmy pochować naszych ludzi w spokoju[261].

Teraz możemy dostrzec to wszystko: pełną historię Jedzących Miód, narodziny ich potęgi, długotrwałe migracje na południe, wojny z Apaczami i Meksykanami, dominację na Równinach Południowych, przekleństwo kontaktów z białymi osadnikami i to, co z nimi zrobiła cholera. Obserwujemy ich załamanie, rozpad, cierpienie, proces upadku. Ale to wszystko widzimy tylko z perspektywy czasu.

W tamtym okresie nikt na pograniczu albo w Houston czy Waszyngtonie nie rozumiał żadnego z tych elementów. Nie wątpiono, że Teksańczycy wygrali walkę w domu narad i starcia nad Plum Creek i górnym biegiem Kolorado. Ale nikt nie wiedział dokładnie, co to oznaczało i której części ludu Komanczów dotyczyło. Biali nie mieli pojęcia o istnieniu odłamu Quahada, dzikiej i niezależnej kilkutysięcznej grupie ze stadem piętnastu tysięcy koni, która obozowała w Palo Duro Canyon. Nie mogli nawet w przybliżeniu ich sobie wyobrazić. Teksańczycy nie wiedzieli też, ilu Komanczów zginęło w epidemii cholery albo ospy – wcześniejszej, z 1839 roku. Były to niewidzialne katastrofy, a z ich rozmiarów i znaczenia jeszcze przez wiele lat nie zdawano sobie w pełni sprawy. Komanczeria wciąż jawiła się jako ciemna, nieprzenikniona i śmiercionośna kraina – w nie mniejszym stopniu niż w przeszłości. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by wyszykować wielki oddział kawalerii i wysłać go w celu podbicia dalekich, północno-zachodnich obszarów tego terytorium. W każdym razie *taibos* rozumieli przynajmniej tyle.

W mętnym świecie fragmentarycznej wiedzy i niepewnych szacunków nie sposób było również dostrzec istotnego skutku ubocznego polityki wojennej Lamara. Mimo że wypędził południowych Komanczów na północ od Rzeki Czerwonej, zaprowadzając tym samym pokój na jakiś czas, nie zmienił ich natury. Ich kultura opierała się na wojnie: młodzi mężczyźni nadal musieli walczyć i zabijać, i wracać z nowymi końmi. Zamiast najeżdżać granicę z Teksasem, który teraz postrzegali jako niebezpieczne miejsce, Penatekowie wybierali się na zachód, starym Szlakiem Komanckim, który

wiódł do meksykańskich stanów Tamaulipas, Coahuila, Nuevo León i Chihuahua. Formalne rządy były tu prawie nieobecne – spuścizna długiego, powolnego upadku potęgi imperium hiszpańskiego i brak woli Meksyku, by ścigać Indian grasujących po jego północnych prowincjach. Osiemdziesięciotysięczna armia tego kraju stacjonowała na południu i używano jej głównie do utrzymywania w ryzach własnych obywateli. Jedynym poważnym przeciwnikiem Komanczów mogli być uzbrojeni *vaqueros*. Dzięki temu Meksyk był rajem dla najeźdźców.

Teraz więc Garb Bizona, Santa Anna i inni wodzowie Penateków utopili wschodnie prowincje Meksyku we krwi. Zostawiali długi szlak wzdętych i zwęglonych zwłok oraz spalonych wiosek. Zamęczyli na śmierć setki tysięcy ludzi – nigdy nie dowiemy się ilu. Wzięli do niewoli dziesiątki dzieci, porwali wiele krów i koni, a w letnie miesiące widziano tę niezwykłą procesję zmierzającą z powrotem na północ Szlakiem Komanckim, przez dzisiejszy Fort Stockton – długi, zakurzony sznur krów, koni i jeńców, łupy z całego sezonu najazdów. Na południe od Rio Grande komanccy najeźdźcy zabili o wiele więcej ludzi – licząc w tysiącach – niż kiedykolwiek w Teksasie. Główną część roboty wykonali Penatekowie, choć okres, w którym to czynili, dzisiaj historia postrzega jako ich schyłek.

Iluzją był też pokój w Teksasie. To, jak bardzo biali nie rozumieli Komanczów, widać na przykładzie traktatu pokojowego z 1844 roku, efektu trzech lat pracy Sama Houstona, który w 1841 roku ponownie został prezydentem republiki, wnosząc do polityki swoje pacyfistyczne idee. Mimo że Teksańczycy pertraktowali tylko z częścią Penateków – traktat podpisali jedynie Stara Sowa i Garb Bizona (nie było tam Pah-hah-yuca i Santa Anny) – niezmiennie mówili o „plemieniu Komanczów” i „narodzie Komanczów”, jak gdyby wszystkie komanckie grupy uczestniczyły w negocjacjach. Sam Houston, choć świetnie znał Indian, trwał w błędnym przekonaniu, że wodzowie Penateków mieli wpływ na inne grupy, a także na Kiowów[262]. Dzięki temu mogli, jak sądził, podpisać traktat, którego posłusznie mieliby przestrzegać wszyscy Komancze, od wschodniego Kolorado i zachodniego Kansas po granicę z Meksykiem. Koncepcja ta była niedorzeczna. Sami wodzowie poszczególnych grup Penateków z trudem potrafili znaleźć wspólny język. Niebezpieczni Komancze – wciąż wolni, niepokonani i nieskrępowani – nadal galopowali po bardziej oddalonych preriach, wciąż niezniszczeni przez wojnę czy chorobę. Oni nie podpisali żadnego traktatu.

Ale nikt w Teksasie w połowie XIX wieku nie mógł tego wiedzieć. Ani też wyobrazić sobie, że pozbycie się Komanczów zajmie kolejne trzydzieści lat wojny.

Wizyta pułkownika Williamsa w obozie Komanczów sprawiła, że rodzina Parkerów

wróciła na pierwsze strony gazet – w tym samym stopniu z powodu odkrycia, że kości Cynthii Ann nie bieleją gdzieś w alkalicznym potoku, co ze względu na fakt, że odmówiła powrotu. 1 czerwca 1846 roku w „Houston Telegraph and Texas Register" opublikowano relację ze spotkania. „Pani Parker poślubiła wodza indiańskiego – głosił artykuł z rzeczowością typową dla wiadomości towarzyskich – i jest tak przywiązana do indiańskiego sposobu życia, że nie chce wracać do swych białych krewnych". Napisano też, że podjęto wszelkie możliwe próby jej odzyskania, ale żadna nie przyniosła skutku. W gazecie z żalem podsumowano: „Nawet gdyby przywrócono ją tutejszej rodzinie, prawdopodobnie wykorzystałaby pierwszą okazję, by uciec do dzikiego kraju na północy Teksasu".

Nie każdy był gotów zaakceptować ten stan rzeczy. Wśród jego przeciwników wyróżniał się Robert Neighbors, zdolny agent do spraw Indian, który w owym czasie był komisarzem indiańskim w Teksasie. Przekonany, że dziewczyna jest jedyną porwaną białą, która nadal żyje wśród Indian Wielkich Równin, latem 1847 roku nie ustawał w wysiłkach sprowadzenia Cynthii Ann. Wysyłał do wiosek komanckich kolejnych ludzi z prezentami i podarunkami. Nie odniósł lepszego skutku niż pułkownik Williams. „Ostatniego lata użyłem wszelkich dostępnych mi środków, by skłonić tych Indian do przyprowadzenia jej w zamian za liczne dary – napisał 18 listopada 1847 roku w raporcie do rządowego komisarza do spraw Indian – ale zaprzyjaźnieni wodzowie Komanczów twierdzą, że musiałbym użyć siły, aby skłonić grupę ją przetrzymującą do oddania kobiety".

Stwierdził też coś interesującego. Odnotował, iż kobieta „była wśród grupy Komanczów, która nazywała się Ten-na-wish […] z którymi nie mamy żadnych lub prawie żadnych stosunków. Żyją w górnym biegu Rzeki Czerwonej[263]". Jeśli miał rację – a całkiem prawdopodobne, że tak było – to Cynthia Ann i jej mąż zmienili grupę, przez co dotarli daleko na zachód od zwykłych szlaków Penateków. Pah-hah-yuca czasami wiązano z grupą Tennawish[264], co mogłoby wyjaśniać tę zmianę. Jakakolwiek była przyczyna, stanowiła ona oczywistą próbę ucieczki przed kłopotami, przed śmiertelnymi drgawkami Penateków. Cynthia i Peta Nocona uciekali z pogranicza teksaskiego. Byli uchodźcami. W ciągu następnego roku para jeszcze raz zmieniła grupę. Obozowali jeszcze dalej na północ, nad Elk Creek, na południe od gór Wichita na Terytorium Indiańskim (dzisiaj Oklahoma).

Tam, gdy dookoła walił się świat południowych Komanczów, Cynthii Ann i Pecie Noconie urodził się syn. Jego potomkowie mówili później, że rodzice nazwali go Kwihnai – Orzeł. Jeżeli to prawda, to imię Quanah było przydomkiem. Jego znaczenie też wcale nie jest jasne. Baldwin Parker w późniejszym wywiadzie podał, że pochodzi

od komanckiego „kwaina”, które oznacza „pachnący”[265]. Chociaż zwykle jego imię tłumaczy się jako „woń”, „zapach” czy „aromat”, szoszoński rdzeń *kwanaru*, oznaczający „śmierdzący”, może sugerować prawdziwe pochodzenie imienia. Według tej teorii zmieniono jego oryginalne imię tak, aby oznaczało „smród”[266]. W ciągu następnych dwóch lat Cynthia Ann urodziła drugiego syna, któremu dała na imię Orzeszki (Peanuts). Z późniejszych wywiadów z Quanahem możemy się dowiedzieć, iż wzięło się ono stąd, że matka czule wspominała z dzieciństwa jedzenie orzeszków ziemnych przy ognisku w forcie Parkerów[267]. Obydwa imiona są nietypowe i sugerują, że Cynthia Ann, która wedle rodzinnej legendy była „bardzo energiczną *squaw*”, i jej mąż postąpili wbrew komanckiemu zwyczajowi, sami nadając imiona dzieciom[268].

Po raz pierwszy usłyszano o tych wydarzeniach w 1851 roku, kiedy grupa handlarzy, prowadzona przez niejakiego Victora Rose’a, który później pisał opowieści o tej epoce, widziała Cynthię Ann w wiosce Komanczów. Gdy zapytali ją, czy chce odejść, pokręciła przecząco głową i wskazała na dzieci, mówiąc: „Jestem szczęśliwą żoną. Kocham mojego męża, który jest dobry i życzliwy, i moje małe, które są także jego, i nie mogę ich opuścić”. Rose opisał Petę jako „wielkiego, tłustego, leniwego byka”[269]. W relacji tej pobrzmiewa fałsz. Rose na pewno widział Cynthię Ann, ponieważ był pierwszym, który doniósł o istnieniu dzieci, ale nie jest prawdopodobne, by wypowiedziała te superpoprawne gramatycznie zdania. Warto zwrócić uwagę na czas. Istnienie dwóch braci bawiących się u jej stóp potwierdzałoby, że Quanah urodził się przed 1850, a może nawet już w 1848 roku. Tak czy inaczej, Cynthia Ann była szczera. Teraz była „Nautdah” – „Kimś Odnalezionym”. Imię to nadał jej Peta Nocona, którego imię z kolei oznaczało „Ten, który Podróżuje Samotnie i Powraca”[270].

Ostatnią osobą na pograniczu, która słyszała o Cynthii Ann w latach pięćdziesiątych XIX wieku, był niezmordowany odkrywca kapitan Randolph Marcy, wiarygodny kronikarz pogranicza. Pisał: „Wśród środkowych Komanczów przebywa biała kobieta, która została porwana razem z bratem, kiedy byli małymi dziećmi, z domu ich ojca w zachodniej części Teksasu”. Marcy potwierdzał tym samym, że Cynthia Ann przeszła do innej grupy, Nokoni albo Kotsoteka, którzy znani byli jako środkowi Komancze. „Kobieta ta przyjęła wszystkie zwyczaje i cechy Komanczów: ma indiańskiego męża i dzieci, i nie można jej namówić do ich opuszczenia”[271].

Wtedy jeszcze żyła swobodnie – tak jak zawsze żyli Komancze. Takie życie nie mogło już być udziałem nieszczęsnych Penateków. Przebywała na otwartej równinie, po której wciąż wędrowały miliony bizonów, a potęga Komanczów była niepodważalna; tam, gdzie biali nie śmieli jeszcze się zapuścić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ścigając wiatr

Losy pozostałych zakładników z rodziny Parkerów – Rachel Plummer, Elizabeth Kellogg, Johna Richarda Parkera i Jamesa Pratta Plummera – były zupełnie inne. Każde z nich w jakiś sposób było związane z ojcem Rachel i zarazem wujkiem Cynthii Ann, Jamesem W. Parkerem – człowiekiem, którego zdumiewający brak rozeznania sprowadził katastrofę na cały ród w maju 1836 roku. Jak wielu innych członków rodu Parkerów, James był barwną postacią. Ale to za mało powiedziane. Był jednym z najbezczelniejszych, najbardziej radykalnych, obsesyjnych, ambitnych, agresywnych, nieuczciwych, moralnie skompromitowanych, zuchwałych i śmiałych typów na pograniczu teksaskim w pierwszych latach jego istnienia. Miał w sobie więcej sprzeczności, niż można spamiętać: prominentny obywatel, którego w różnych okresach oskarżano o morderstwa, fałszerstwa, oszustwa, pijaństwo, kradzież koni i rozboje. Z powodu kłamstw i pijaństwa wyrzucono go z dwóch różnych Kościołów. A jednak przy tym wszystkim bywał wybierany na sędziego pokoju, był jednym z pierwszych teksaskich rangerów, uczestnikiem legendarnej Konsultacji, która przygotowała grunt pod teksaską rewolucję, a także przyjacielem Sama Houstona i Mirabeau B. Lamara. Był też kaznodzieją, który w przeszłości miał swój własny Kościół, i skutecznym biznesmenem posiadającym młyn i tysiące akrów ziemi. Mimo że oskarżenia o nadużycia, oszustwa i sprzeniewierzanie się obowiązkom urzędowym ciągnęły się za nim przez całe życie, nigdy nie został skazany. Niektórzy sąsiedzi Parkera uważali, że to jego podejrzane interesy sprowadziły atak Indian. Twierdzili, że kupił od Indian skradzione konie, płacąc sfałszowanymi pieniędzmi, i że prawdziwym powodem ataku była zemsta[272]. Nigdy tego nie udowodniono, a sam James żarliwie bronił swego honoru w opublikowanym własnym sumptem pamflecie[273]. Przyznał, że zabił pięcioro ludzi, ale wszyscy byli Indianami, a przecież w Republice Teksasu nie istniały kary kryminalne za morderstwa czerwonoskórych.

To jednak nie z tych względów James Parker był najbardziej znany. Nie jego hańba i perypetie uczyniły go sławnym na całym Zachodzie. Zyskał sławę jako ten, który poszukiwał porwanych Parkerów. Człowiek, który nie chciał się poddać.

W latach 1836–1837 pięciokrotnie wyruszył na ziemie Indian, kierując się głównie pogłoskami o młodych białych kobietach, które – jak jego córka Rachel – zostały uprowadzone przez Indian. Między 1841 a 1844 rokiem wyprawił się tam jeszcze cztery czy pięć razy, opierając się na informacjach, które – jak sądził – miały zaprowadzić go do bratanicy Cynthii Ann Parker, bratanka Johna Richarda Parkera i wnuka Jamesa Pratta Plummera[274]. Przebył około pięciu tysięcy mil, w większości samotnie. W historii Ameryki jedynym poszukiwaczem porwanych, który by choć w niewielkim stopniu przypominał Jamesa Parkera, był były niewolnik Britt Johnson – od 1864 roku pięć razy wyprawiał się do dzikiej krainy Indian, szukając swej żony i dzieci, także uprowadzonych przez Komanczów[275]. (Historia Jamesa pewnie zaczyna brzmieć znajomo, co nie powinno dziwić, ponieważ zainspirowała wspaniały western Johna Forda *Poszukiwacze*, z bohaterem wzorowanym na Jamesie Parkerze, granym przez Johna Wayne'a, i Natalie Wood w roli jego bratanicy, filmowej wersji Cynthii Ann).

Pierwsza wyprawa Parkera w poszukiwaniu rodziny do Nacogdoches we wschodnim Teksasie zakończyła się wielkim, zdumiewającym sukcesem. Jego bratowa Elizabeth Kellogg została kupiona przez Delawarów, którzy przywieźli ją do tego miasta na handel. Delawarowie, prawdopodobnie podwyższając cenę, którą sami zapłacili za kobietę Indianom Keechi (ci zaś mieli ją od Komanczów), zażądali stu pięćdziesięciu dolarów. James nie posiadał się ze szczęścia, ale też – co często przydarzało mu się w życiu – nie miał ani centa. W jakiś sposób zdołał namówić swego starego przyjaciela Sama Houstona do wyłożenia tej sumy.

Tak więc Elizabeth została wykupiona 20 sierpnia 1836 roku, trzy miesiące po ataku Indian. Historia milczy na temat jej dalszych losów, ale wiadomo, że porwane kobiety, które przywracano społeczeństwu, w dziewiętnastowiecznej Ameryce były skompromitowane. Ludzie nie mieli złudzeń w kwestii tego, co takie osoby spotykało w niewoli. Bardzo dokładnie wiedzieli, co Indianie Wielkich Równin robili dorosłym kobietom, a tym, które odbito od Indian, można było jedynie współczuć. Ich mężowie nie przyjmowali ich z powrotem. Niezamężnym kobietom, które wracały z niewoli, udawało się czasem znaleźć męża mimo doświadczeń z Indianami, o ile były wystarczająco majętne. Elizabeth prawdopodobnie dożyła swoich dni z dala od ludzi, w cichym wstydzie, być może w domu któregoś z krewnych z rodu Parkerów. Krępowałaby wszystkich: może dlatego tak niewiele dowiadujemy się o niej od samego Jamesa.

Większość czasu między sierpniem 1836 a październikiem 1837 roku Parker spędził na poszukiwaniach. Starał się przede wszystkim odnaleźć swoją córkę Rachel,

ponieważ w tym okresie jego informatorzy – handlarze znad Rzeki Czerwonej, która stanowiła północną granicę Teksasu – słyszeli opowieści tylko o młodych kobietach, nic natomiast o dzieciach przetrzymywanych w osadach indiańskich. Jego wędrówki to szereg kolejnych wyrzeczeń, nieraz o mały włos zakończonych katastrofą. Podczas pierwszej wyprawy okazało się, że jego koń nie daje rady przepłynąć przez wezbrane wody Rzeki Czerwonej, więc przedostał się na drugi brzeg sam, porzucając konia, i pieszo podjął wędrówkę ku ziemiom Indian – wtedy podobny akt uważano za równoznaczny z samobójstwem. Przetrwał potężną burzę, która zalała prerię na wysokość dwóch stóp, a po niej „niebieski" *norther*, czyli wiatr z północy, wiejący z kanadyjskich równin, który zamroził wodę. James był pewien, że umrze, ale w końcu udało mu się rozniecić ogień – wepchnął kawałek swej bawełnianej koszuli do pistoletu i wystrzelił go w kawał drewna, który cudem pozostał suchy, unosząc się na wodzie. W następnej podróży do krainy dzikich nie miał przy sobie broni – znowu jakby pragnął popełnić samobójstwo. Tym razem szedł przez sześć dni bez jedzenia; przerwał post, gdy udusił i zjadł skunksa. Następnym razem spędził cały miesiąc, czając się przy obozie Komanczów i zostawiając wiadomości po angielsku nad strumieniami w okolicy. Wiedział, że Indianie zmuszali jeńców do noszenia wody, i miał nadzieję, że w ten sposób zwróci uwagę swej córki, chociaż wydawało się, że szansa na to była mniejsza niż jeden na milion. Wszystkie wyrzeczenia na darmo. Żadna z pogłosek, które do niego docierały, ani na jotę nie przybliżyła go do córki.

W październiku 1837 roku powrócił z czwartej wyprawy, zniechęcony i schorowany. Kiedy wracał do zdrowia, wysłał swego zięcia Lorenza Nixona (który był mężem siostry Rachel) do faktorii handlowych nad Rzeką Czerwoną, żeby sprawdził, czy tam nie ma jakichś wieści o porwanych kobietach. Tym razem szczęście uśmiechnęło się do Jamesa. W jednej z faktorii Nixon dowiedział się, że pani Plummer przybyła do Independence w Missouri, położonego obok dzisiejszego Kansas City. Nixon odnalazł ją kilka tygodni później. Kiedy go zobaczyła, jej pierwsze słowa brzmiały: „Czy mój mąż i ojciec żyją?". Mężczyzna powiedział, że tak. Wtedy zapytała: „Czy moja matka i dzieci żyją?" – także na to pytanie odpowiedź była twierdząca.

Tak jak wszystko, co przydarzyło się rodzinie Parkerów w tych pierwszych latach teksaskiego pogranicza, historia powrotu Rachel Parker Plummer jest dziwną i epicką opowieścią, której akcja toczy się na przestrzeni kilku tysięcy mil pogranicza. Kobieta została zakupiona od swego komanckiego porywacza w sierpniu 1837 roku przez grupę *comancheros*. W tym czasie przebywała prawdopodobnie gdzieś na wysokich równinach wschodniego Kolorado. Posadzono ją na koniu i zabrano – zgodnie z jej opisem – w „bardzo ciężką" siedemnastodniową podróż do Santa Fe, które wtedy

jeszcze należało do Meksyku. *Comancheros*, którzy w istocie nazwę tę otrzymali pięć czy sześć lat później, stanowili jedną z najbardziej interesujących kultur na Zachodzie. Swoje istnienie zawdzięczali pokojowi z 1786 roku, zawartemu przez gubernatora Nowego Meksyku Don Juana Bautistę de Anzę z Komanczami, gdy pokonał wodza Cuerna Verdego w Kolorado. Od tego czasu Komancze mogli swobodnie przybywać do hiszpańskich osiedli na handel, a handlarze z Nowego Meksyku bezpiecznie prowadzić interesy na równinach Komanczerii. W amerykańskich relacjach *comancheros* często przedstawiani są jako „odszczepieńcy" albo „kundle"[276] – to drugie określenie odnosiło się do krwi komanckiej, która rzekomo miała płynąć w ich żyłach. I faktycznie byli kundlami, czyli mieszańcami, ale taka była niemal cała populacja Nowego Meksyku. Byli Metysami (*mestizos*) – mieszała się w nich krew hiszpańska z indiańską, jak u większości współczesnych Meksykanów. Byli bardziej biznesmenami niż odszczepieńcami, choć słynęli z twardych charakterów i czasem towarzyszyli Komanczom i Kiowom w rajdach łupieżczych po konie i bydło. Komancze wymieniali u nich skradziony żywy inwentarz, zwierzęce skóry oraz jeńców na koraliki, noże, barwniki, tytoń, garnki i rondle, perkal i inne materiały, metalowe kolce, z których robili strzały, kawę, mąkę i chleb. Handel odbywał się w konkretnych miejscach, takich jak Palo Duro Canyon w Texas Panhandle czy różnych punktach północno-wschodniego Nowego Meksyku.

Z upływem lat handel prowadzony przez *comancheros* coraz bardziej skupiał się na broni, amunicji i whisky, a także kradzionym bydle, które sprzedawali kupcom, a ci z kolei niejednokrotnie odsprzedawali je pierwotnym właścicielom – często jednym z nich było wojsko[277]. *Comancheros* byli ważni dla Komanczów z wielu powodów, ale być może najważniejsze było to, że pozwalali nadal dziko żyjącym grupom – Quahada, Yamparika, Nokoni i Kotsoteka – trzymać się z dala od osiedli białych, z dala od pokus cywilizacji, od chorób, które niszczyły ich południowych kuzynów (na wschodzie, czyli na Terytorium Indiańskim, wytworzyła się podobna sieć handlowa, obejmująca Kikapów, Delawarów i Szaunisów, dająca Komanczom takie same możliwości)[278]. *Comancheros* umożliwili też Indianom handel porwanymi. Na przełomie XVIII i XIX wieku handlarze zajmowali się głównie obrotem jeńcami z różnych plemion, których kupowano do pracy w kopalniach lub do służby w domu. Ale od 1821 roku wszystko uległo radykalnej zmianie za sprawą anglosaskich osadników w Teksasie. Kiedy stało się jasne, że Teksańczycy płacą hojnie za porwanych, rynek gwałtownie rozkwitł (kiedy Zachary Taylor, generał armii Stanów Zjednoczonych, ogłosił w 1842 roku, że rząd amerykański zapłaci za każdego porwanego przyprowadzonego do fortu Gibson w dzisiejszej wschodniej Oklahomie, rynek zwariował, a porwania

stały się codziennością)[279]. *Comancheros* natychmiast rozwinęli energiczny handel również białymi jeńcami.

Mężczyźni, którzy wykupili Rachel Plummer, nie byli spekulantami; działali z polecenia Williama i Mary Donohów, bogatego małżeństwa z Santa Fe, którzy kazali im płacić każdą cenę za białe kobiety. Byli to ludzie niezwykli, zwłaszcza Mary. Sądziło się o niej, że jako pierwsza kobieta przebyła Szlak Santa Fe (stało się to w 1833 roku). Była też pierwszą kobietą – obywatelką amerykańską – która zamieszkała w Santa Fe, a jej dwoje dzieci było pierwszymi białymi dziećmi tu urodzonymi[280]. Donohowie zajęli się Rachel i umieścili w najlepszym hotelu w mieście, który miał podłogi z ubitej ziemi – to tam Rachel po raz pierwszy od piętnastu miesięcy spędziła noc w łóżku. Państwo Donohowie traktowali ją wyjątkowo uprzejmie i zapewnili, że uczynią wszystko, aby mogła powrócić do swej rodziny. Mieszkańcy Santa Fe również przyjęli ją życzliwie mimo jej upodlenia. Zebrali sto pięćdziesiąt dolarów, które miały jej pomóc w powrocie do domu.

Ale limit nieszczęść Rachel się nie wyczerpał. Pieniądze zostały natychmiast skradzione przez nieuczciwego księgowego, któremu powierzono je na przechowanie. A potem na ulicach Santa Fe wybuchła krwawa rebelia. Dwa tysiące Indian Pueblo zaskoczyło dwustu rządowych milicjantów i rozpoczęła się rzeź. Indianie ścięli gubernatorowi głowę, nasadzili ją na pal i paradowali z nią po ulicach. Sędziego okręgowego zakuli w dyby, obcięli mu ręce i pomachali mu nimi przed twarzą[281]. Na koniec ustanowili własnego gubernatora.

Tego było za wiele dla Donohów, którzy zaczęli się bać o własne bezpieczeństwo. Oboje uciekli na wschód, do swego domu w Missouri, zabierając ze sobą nieszczęsną Rachel: dwumiesięczna podróż, mniej więcej osiemset mil przez sam środek Komanczerii. W swym pamiętniku Rachel bagatelizowała podróż – niewielu białych Amerykanów przed nią zdobyło się na podobny wyczyn – jako drobną niewygodę:

> Droga wiodła przez szeroką prerię, wynosiła prawie tysiąc mil. Dla wielu byłoby to niesamowitym przedsięwzięciem, jak zawsze w przypadku jazdy przez kraj Indian. Ale dotarliśmy bezpiecznie do Independence, gdzie otrzymałam od mieszkańców liczne oznaki sympatii[282].

Połączywszy się ze swym szwagrem, wraz z nim podjęła podróż do Teksasu, a był sam środek mroźnej zimy. Podróż była długa, zimna i ponura – kolejne tysiąc mil. 19 lutego 1838 roku Rachel dotarła do domu ojca niedaleko Huntsville w Teksasie, na północ od Houston. Niewiarygodna, dziewiętnastomiesięczna odyseja przez olbrzymią część kontynentu wiele ją kosztowała. James ocenił, że „jej zdrowie jest w bardzo złym stanie”, i dodał:

> Jej wygląd budził wielką żałość; jej straszliwie wychudzone ciało było pokryte bliznami, śladami dzikiego barbarzyństwa, któremu była poddana w czasie niewoli[283].

James, co ciekawe, nic nie pisze na temat jej życia po powrocie do domu. Zamiast tego wspomina o „przewlekłej chorobie", w czasie której modliła się za swego syna Jamesa Parkera oraz o swoją spokojną śmierć.

> Często mówiła, że jej życie nie miało dla niej żadnego uroku i że jej jedynym życzeniem było dożyć momentu, w którym jej syn zostanie przywrócony przyjaciołom. […] Mniej więcej rok po powrocie do ojcowskiego domu w spokoju wydała ostatnie tchnienie, zwracając swą duszę Temu, od którego ją otrzymała, a przyjaciele złożyli jej ciało w cichym grobie.

Ta dziwnie wybiórcza relacja pomija większość ważnych wydarzeń z ostatniego etapu jej życia. James nie wspomina na przykład o ciąży Rachel, która była przecież czymś niezwykłym. Jej trzecie dziecko zostało poczęte niedługo po powrocie, co oznaczało, że jej mąż, L. T. M. Plummer, poradził sobie z tym, z czym wielu nie potrafiło, a więc z faktem, że żona była gwałcona przez Indian. Zakładali nową rodzinę. James przemilcza też inny doniosły fakt: pod koniec ciąży Rachel jego rodzina musiała uciekać z domu z powodu zagrożenia, jakim była grupa samozwańczych milicjantów, którzy zaprzysięgli mu śmierć.

Ludzie ci byli przekonani, że zamordował niejaką panią Taylor i jej córkę, najpewniej w czasie włamania. W liście z prośbą o pomoc, adresowanym do prezydenta – i jednocześnie swego przyjaciela – Mirabeau B. Lamara, James pisał, że ta sama grupa urządzała udawane procesy, które kończyły się wieszaniem ludzi[284]. Wysłali Jamesowi notę, że zamierzają zabić i jego, i L. T. M. Plummera, a także zniszczyć ich posiadłość. James zaczął się ukrywać i naciskał, by jego rodzina, licząca mniej więcej dwanaście osób, pojechała do Houston, oddalonego o mniej więcej siedemdziesiąt mil. Obawiając się, że samozwańczy milicjanci mogą spróbować zabić także ich, unikali bitej drogi i przedzierali się – w lodowatym deszczu i przenikliwym zimnie – przez gęste zarośla i las sosnowy, często błądząc. Podróż zajęła prawdopodobnie tydzień. Spali pod gołym niebem, mając tylko te ubrania, które zgarnęli w pośpiechu, gdy opuszczali dom. Rachel najprawdopodobniej była w tym czasie w dziewiątym miesiącu ciąży.

W opublikowanej opowieści Jamesa nie ma o tym ani słowa. Pisze tylko o „przewlekłej chorobie" i większość historyków na tej informacji poprzestaje. Jednak przyczyną jej śmierci była ucieczka z Huntsville do Houston. W liście do Lamara, napisanym w dniu śmierci Rachel, a w każdym razie w tym okresie, James podaje najpełniejsze wyjaśnienie tego, co się wydarzyło:

Kazałem mojej rodzinie udać się do Houston, kiedy z powodu nacisków tych wyrzutków musiałem ich unikać; ale z taką mściwą czujnością ci uzurpatorzy prawa nas obserwowali, że moja rodzina, aby ich uniknąć, była tak wystawiona na zimny deszcz i niepogodę, iż nie tylko życie ich wszystkich było zagrożone, ale w istocie czwórka moich ukochanych odeszła do krainy wiecznego spoczynku (wśród nich była moja córka, pani Plummer)[285].

Rachel zmarła 19 marca. Jej synek Wilson P. Plummer, urodzony 4 stycznia 1839 roku, przeżył ją zaledwie o dwa dni[286]. Jak na ironię, po wszystkich przebytych cierpieniach i przewędrowanych milach, zmarła pośrednio z winy własnego ojca w miejscu, które powinno być bezpiecznym schronieniem, czyli w rodzinnym domu.

W 1841 roku James podjął poszukiwania na nowo, teraz koncentrując się na wciąż nieodnalezionych porwanych: swojej bratanicy Cynthii Ann, bratanku Johnie i wnuku Jamesie. Jego relacja z następnych czterech lat poszukiwań również obfituje w opisy brawurowych wyczynów i o włos unikniętych katastrof. Pod koniec 1842 roku usłyszał, że do fortu Gibson przyprowadzono dwóch chłopców. Gdy dotarł tam w styczniu 1843 roku, zastał swego wnuka i bratanka. James Pratt Plummer miał teraz osiem lat, a John Richard Parker trzynaście. Nie mówili po angielsku. Pierwszą reakcją Jamesa była ucieczka i trzeba go było namawiać do powrotu. Cała trójka zdołała wrócić do domu, w mrozie i deszczu, przez pewną część drogi na piechotę i bez odpowiednich strojów na zimę (z Jamesem nic nigdy nie przychodziło łatwo), przez terytorium Indian i z powrotem do Teksasu.

W spisanej opowieści James sugeruje proste i szczęśliwe zakończenie historii chłopców. Ale tak naprawdę było ono bardziej złożone. John najprawdopodobniej powrócił do swej matki, Lucy, która ponownie wyszła za mąż w 1840 roku i zaraz potem się rozwiodła, a potem przez cztery lata borykała się z uporządkowaniem spraw związanych z majątkiem zabitego męża Silasa Parkera. W 1850 czy 1851 roku Lucy (która zmarła w 1852) wysłała Johna, by spróbował odnaleźć Cynthię Ann i sprowadził ją z powrotem. W jakiś sposób zdołał ją odszukać – historia tych poszukiwań również była niezwykła – ale nie odniósł większego sukcesu niż pułkownik Williams, Robert Neighbors czy Victor Rose.

W relacji z wyprawy do źródeł Rzeki Czerwonej w 1852 roku kapitan Randolph Marcy pisał, że spotkał Johna Parkera mniej więcej w tym czasie i z nim rozmawiał:

Brat tej kobiety, który został wykupiony przez handlarza i sprowadzony do domu, do swej rodziny, został wysłany z powrotem przez matkę, aby spróbował przekonać siostrę do opuszczenia Indian i powrotu do rodziny. Powiedział mi jednak, że gdy się tam pojawił, kobieta nie chciała go słuchać, twierdząc, że jej mąż, dzieci i wszystko, co było dla niej najważniejsze, znajduje się wśród Indian, i że zostanie ona z nimi[287].

Nikt nie wie, co stało się z Johnem. Pojawiło się wiele domysłów. Cynthia Ann

sądziła – jak później powiedziała, gdy ją o to pytano – że umarł na ospę. Myliła się, przynajmniej w kwestii momentu jego śmierci. Mówiono, że w czasie wojny secesyjnej służył pod pewnym pułkownikiem w oddziale Strzelców Teksaskich (Texas Rifles). Według najbardziej popularnej opowieści John wrócił do Komanczów. W wersji tej, jak już wspomnieliśmy, zachorował na ospę i został porzucony przez Indian – wyzdrowiał pielęgnowany przez również porwaną Meksykankę (ową „aztecką" piękność o „kocich oczach"). Potem został ranczerem w Meksyku, dożył sędziwego wieku i zmarł w 1915 roku. Wersję tę podawały gazety z tego okresu. Takie właśnie są legendy Zachodu.

Los Jamesa Pratta Plummera był bardziej prozaiczny. Kiedy przebywał u Indian, jego owdowiały ojciec, L. T. M. Plummer, ożenił się powtórnie i miał dwójkę dzieci. Starszy James po powrocie do Teksasu zrobił coś, co było zarówno dziwaczne, jak i w pełni zgodne z jego nieprzewidywalnym charakterem. Nie pozwolił, by L. T. M. wziął do siebie Jamesa Pratta. Powody nie są zbyt jasne, ale zapewne chodziło o pieniądze, których chciał James. W którymś momencie twierdził, że za tych dwóch chłopaków zapłacił tysiąc dolarów, co było oczywistym kłamstwem, za które później został wyrzucony ze swego Kościoła. Usiłował część tej sumy wyłudzić od L. T. M. Być może chciał po prostu zatrzymać swego wnuka, nie mogąc się oprzeć temu, że tak bardzo przypominał mu jego ukochaną córkę Rachel. Nie zdoławszy zdobyć opieki nad synem, L. T. M. Plummer zwrócił się o pomoc do Sama Houstona, który znowu był prezydentem Republiki Teksasu. Houston odpowiedział gniewnie:

> Szanowny Panie,
> dotarł do mnie Pański list w sprawie przetrzymywania Pańskiego syna przez pana Jamesa W. Parkera. […]
> W przypadku takim jak ten, kiedy próbuje się oszukać zbolałego ojca, wykorzystując fakt, że jego syn przez długi czas był zaginiony, naciągacz zasługuje na najsurowszą karę. Chociaż miałem pewne powody, by podejrzewać pana Parkera o niecne czyny, to – dopóki nie dowiedziałem się o tym przypadku – nie sądziłem, że byłby zdolny do tak skandalicznego oszustwa kosztem swych krewnych i znajomych. […] Domaganie się przez niego zwrotu dwustu dolarów itd. jest całkowicie bezpodstawne. Proszę więc zabrać swego syna do domu[288].

Niewiele więcej wiemy o życiu Jamesa Pratta. Ożenił się dwukrotnie, miał czwórkę dzieci i zmarł 17 listopada 1862 roku na zapalenie płuc, w czasie służby w armii konfederacyjnej w Little Rock, w Arkansas[289].

Ostatnią podróż w poszukiwaniu Cynthii Ann James Parker podjął w 1844 roku. Później prawdopodobnie dowiedział się o spotkaniu z nią pułkownika Williamsa i zrezygnował z dalszych prób. Wyrzucono go z kolejnego Kościoła, tym razem za pijaństwo. Wiodło mu się dobrze. Wybrano go sędzią pokoju w hrabstwie Houston.

Umarł w 1864 roku, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, przeżywszy większość swych dzieci i rodzeństwa. W tym czasie Parkerowie byli już jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodów w Teksasie. Brat Jamesa Daniel przed śmiercią w 1845 roku założył dziewięć kongregacji, co uczyniło go najważniejszym duchownym w Teksasie. Inny z braci, Isaac, był wpływowym politykiem, należał do grona uczestników pierwszego Kongresu Teksasu w 1836 roku. Później został posłem i senatorem stanowym. Kolejny brat, Joseph Allen Parker, był wielkim właścicielem ziemskim i ważnym obywatelem miasta Houston. Chociaż wiodło im się tak dobrze, nigdy nie wrócili do fortu Parkerów, który szybko przestał istnieć. Niektórzy mówią, że w ciągu kilku lat został rozebrany, a jego potężnych pali z jałowca użyto do budowy domów w rejonach położonych bardziej na północ, gdzie życie było mniej niebezpieczne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niewinne oblicze śmierci

Niewielu historyków zgodziłoby się, że traktat w Guadalupe Hidalgo, podpisany przez pokonaną Republikę Meksyku 2 lutego 1848 roku po wojnie zdominowanej przez jedną stronę, był tak doniosłym wydarzeniem w historii Ameryki jak podpisanie siedemnaście lat później kapitulacji w Appomattox Courthouse. A jednak na swój sposób miało ono równy wpływ na dalsze losy kontynentu. Appomattox na powrót zespoliło naród. Pokazało, że bezsensownie podzielone w czasie wojny secesyjnej stany w istocie stanowią jeden naród o wspólnych interesach, łączących go po wsze czasy: jednolita idea polityczna obejmowała teraz zarówno rząd federalny z prerogatywami, których ojcowie założyciele nie mogliby nawet sobie wyobrazić, jak i miliony uwolnionych niewolników, których dobrobyt i wolność były teraz jego obciążeniem i obowiązkiem.

Guadalupe Hidalgo utworzyło państwo w sensie fizycznym. Przed traktatem Amerykański Zachód składał się z nabytych podczas zakupu Luizjany ziem, które wznosiły się od ujścia Missisipi, pięły z biegiem Missouri i opierały o skaliste, pokryte mgłą wybrzeża Północnego Zachodu. Była to częściowa próba wypełnienia mitu narodowego. Traktat w Guadalupe Hidalgo, na mocy którego Meksyk zrzekł się roszczeń do terenów na północ od Rio Grande, uczynił nagle sen Amerykanów czymś absolutnie realnym. Dodał Stanom Zjednoczonym rozległe i wypalone słońcem dawne terytoria hiszpańskie, które rozciągały się w poprzek Południowego Zachodu. Należały do nich dzisiejsze stany Arizona, Kolorado, Utah, Nowy Meksyk, Kalifornia i Nevada, a także – w pewnym sensie – Teksas, choć on został włączony do Stanów Zjednoczonych już w 1845 roku. Aneksja Teksasu przez Stany Zjednoczone była celem wojny z Meksykiem i zwycięstwo Amerykanów załatwiło tę sprawę na zawsze. W sumie Stany Zjednoczone Ameryki zdobyły 1,2 miliona akrów, co oznaczało nagłe powiększenie terytorium o sześćdziesiąt sześć procent. To tak, jakby – przy zachowaniu proporcji – Francja dokonała zaboru Niemiec. Nastąpiło całkowite przeobrażenie narodu. Jeden prosty cel – prostolinijne konkwistadorskie pragnienie zawładnięcia wszystkimi ziemiami, do których się zbliżał, oraz usunięcia lub zniszczenia wszystkich

tubylczych ludów je zamieszkujących, coraz większa żądza władzy – mógł teraz zostać zrealizowany bez przeszkód, rozciągając się „od morza do lśniącego morza”[64]. Zdecydowanie było to wypełnienie „naturalnego przeznaczenia”.

Traktat zmienił na Zachodzie wszystko. Zmienił świat poza 98 południkiem dla każdego i na zawsze, ale być może w sposób najbardziej radykalny dla ludów tubylczych, które zamieszkiwały surowe, odkryte wnętrze kontynentu. W czasie wojny z Meksykiem były to wciąż tajemnicze, niebezpieczne, nieuczęszczane ziemie. Większa ich część – od Kanady po południowy Teksas – nie była tknięta stopą białego człowieka, szczególnie okolice źródeł wielkich rzek płynących przez Komanczerię. Serce kontynentu przecinały dwie trasy: jedną był Szlak Oregoński, który zaczynał się w Missouri i piął się przez kontynent wzdłuż Platte Północnej i Południowej, docierając do Kolumbii; drugą – Szlak Santa Fe, który zaczynał się w tym samym miejscu, lecz potem wił się od zachodniej Missouri do Nowego Meksyku, częściowo biegnąc wzdłuż rzeki Arkansas. Ale były to tylko drogi, którymi podróżowało i tak niewiele osób. Nie przyciągały osadników: przecież pionierzy zmierzający na zachód nie zatrzymywali się na Szlaku Oregońskim i nie decydowali, że tam zbudują chatę. To nigdy nie było ich celem, a gdyby było – równałoby się samobójstwu. Wysokie Równiny, w tym dwieście czterdzieści tysięcy mil kwadratowych Komanczerii, pozostały nienaruszone, tak samo jak stada bizonów, ludy dosiadające koni, szlaki handlowe i przybliżone granice.

Problem Komanczów polegał na tym, że kiedyś stanowili strefę buforową między dwoma imperiami o wielkich powierzchniach, teraz zaś stali bezpośrednio na drodze rozwijającego się narodu amerykańskiego. Zostali otoczeni przez jeden polityczny organizm. Po przyłączeniu Teksasu do Stanów Zjednoczonych nie mieli już do czynienia z dziwaczną, prowincjonalną republiką o skromnych zasobach, ze zdewaluowanym pieniądzem i nieregularnymi oddziałami uzbrojonych obywateli; teraz byli głównym problemem rządu federalnego, z jego wizjami, regularną armią, skarbcami pełnymi pieniędzy z podatków oraz skomplikowanymi, często chybionymi, upolitycznionymi projektami postępowania z Indianami. Żadna z tych rzeczy nie wydawała się oczywista tuż po zakończeniu wojny z Meksykiem. W istocie panowało kuriozalne *status quo*. Do końca lat czterdziestych XIX wieku Teksas pozostawał jedyną częścią cywilizowanej Ameryki, którą władały ludy dosiadające koni. Na Terytorium Indiańskim dobiegło końca przesiedlanie Indian ze wschodu: około dwudziestu tysięcy osób, członków kilkunastu ludów, rozmieszczono w różnych miejscach współczesnej Oklahomy; razem z nimi stłoczono Indian z Wielkich Równin[65]. Ale białych tam nie było – jeszcze. Na Równinach Północnych, w kraju

Siuksów, Arapahów i Szejenów, Indianie mieli do czynienia z żołnierzami, czasem dochodziło do starć, ale nie istniały tam granice między populacjami.

Ten stan rzeczy miał się szybko zmienić. W latach trzydziestych i czterdziestych biali stopniowo utorowali sobie drogę wzdłuż rzek Kolorado, Guadalupe, Trinity i Brazos w Teksasie, nieubłaganie naruszając granice terytorium Komanczów. Niedługo potem ten sam proces odbył się na północy: osiedla białych powstawały wzdłuż rzek Kansas, Republican i Smoky Hill, bezpośrednio na terenach łowieckich Szejenów, a nawet na „terytoriach indiańskich", przeznaczonych przez rząd federalny wyłącznie dla Indian. W 1849 roku runęła lawina. Gorączka złota była pierwszym wielkim zachłyśnięciem się Ameryki nową wolnością i przestrzenią. Ludzie wręcz wlewali się na Zachód – podobna liczba jeszcze rok wcześniej była nie do wyobrażenia.

Jednak pielgrzymi, ludzie spragnieni ziemi, wieśniacy, *forty-niners* – i w ogóle naród z rozbuchaną potrzebą ekspansji – nie stanowili jedynego problemu Komanczów w tym okresie. W latach istnienia Republiki Teksasu zdarzyło się coś jeszcze, co fundamentalnie zmieniło charakter ich stosunków z białymi. Potęga Komanczów od dawna opierała się po prostu na przewadze militarnej nad innymi: w starciu twarzą w twarz z białymi demonstrowali lepsze umiejętności strzeleckie i jeździeckie. Tak było od pojawienia się Hiszpanów. Teraz po raz pierwszy rzucono im poważne wyzwanie, a naprzeciw nich stanęli brudni, zarośnięci, gwałtowni i niezdyscyplinowani mężczyźni w strojach ze zwierzęcych futer, *serape*, czyli wełnianych meksykańskich szalach, czapkach ze skóry szopa, sombrerach i innych dziwnych strojach, którzy nie należeli do żadnej armii, nie nosili żadnych insygniów i mundurów, rozbijali na prerii obozy bez ognisk i tylko sporadycznie otrzymywali zapłatę. Powodem ich istnienia było zagrożenie ze strony Komanczów, a stosowane przez nich metody walki – bardzo podobne do metod Komanczów – miały zmienić styl wojowania na pograniczu w Ameryce Północnej. Nazywano ich różnie: „szpiegami", „ochotnikami na koniach", „rewolwerowcami" i „rewolwerowcami na koniach"[290]. Dopiero w połowie lat czterdziestych otrzymali nazwę, co do której wszyscy mogli się zgodzić: rangerzy.

Aby zrozumieć, skąd się wzięli i dlaczego, trzeba zdać sobie sprawę z tego, w jak niezmiernie trudnej sytuacji – niemal bez wyjścia – znajdowała się młoda Republika Teksasu pod koniec lat trzydziestych XIX wieku.

Teksas nigdy nie miał być suwerennym państwem. Po zwycięstwie pod San Jacinto większość Teksańczyków sądziła, że ich terytorium zostanie natychmiast wchłonięte przez Stany Zjednoczone. Byli wprawdzie tacy, co marzyli o budowie własnego

imperium, jak Mirabeau B. Lamar i James Parker (który zgłosił się na ochotnika do wypełnienia spektakularnej wizji Lamara, nawołującego do podboju Nowego Meksyku). Większość jednak chciała, żeby Teksas został kolejnym stanem. Mieli się szybko rozczarować, ponieważ z dwóch przyczyn tak się nie stało. Po pierwsze, Meksyk nigdy nie uznał niepodległości swej zbuntowanej północnej prowincji. Gdyby Stany Zjednoczone zagarnęły Teksas, ryzykowałyby wojnę z Meksykiem, a na to w 1836 roku nie były przygotowane. Po drugie, nie byłoby im łatwo przyjąć terytorium niewolnicze.

Na dziesięć lat pozostawiono więc Teksas samemu sobie, biedny i pozbawiony siły militarnej, z dwoma nieprzejednanymi wrogami: Meksykiem na południu i narodem Komanczów na zachodzie i północy. Nowo powstałe państwo nigdy nie miało zaznać spokoju. Meksyk atakował bez przerwy i w 1842 roku jego wielkie armie dwa razy zdobyły miasto San Antonio. Najazdy nie ustawały, podobnie jak grabieże dokonywane przez bandytów przedostających się przez granicę. Tymczasem zachodnią granicę Teksasu nieustannie nękali Komancze. Warto zwrócić uwagę na szczególną pozycję Teksasu: żaden z wrogów nie miał zamiaru zaakceptować pokoju na warunkach oferowanych przez młodą republikę. Co jeszcze bardziej znaczące: żaden z nich nie przyjmował kapitulacji. Armia meksykańska konsekwentnie nie brała do niewoli pokonanych, czego najsłynniejszym przykładem jest Alamo, gdzie wszyscy bojownicy teksascy zostali od razu rozstrzelani. A w języku Nermernuh nie było nawet słowa oznaczającego „poddanie się”. W wojnach na równinach nigdy nic takiego nie istniało: walka zawsze była na śmierć i życie. W tym sensie Teksańczycy nie dysponowali zwykłym arsenałem środków dyplomatycznych. Musieli walczyć[291].

O ile Meksykanie się przyczaili: wysyłali oddziały na północ od rzeki Nueces i wyczekiwali szansy na odzyskanie utraconej prowincji, o tyle Komancze byli stałym, śmiertelnym i niepowstrzymanym zagrożeniem; zabili tysiące Teksańczyków więcej niż Meksykanie w całej historii. Choć Teksańczyków cechowały zawziętość, upór i nieustraszoność, to jednak byli zupełnie nieprzygotowani i niewłaściwie wyposażeni do konfrontacji z Komanczami – do tego stopnia, że w początkach istnienia ich republiki zanosiło się na to, że podzielą los Hiszpanów i Meksykanów. W pierwszej fazie wojen z Komanczami to Komancze mieli zdecydowaną przewagę pod każdym względem.

Pierwszą sprawą było uzbrojenie: podstawową bronią Teksańczyków, przybywających z Tennessee, Alabamy i innych miejsc na wschodzie, był „sztucer z Kentucky”. Z wielu powodów był to porządny produkt. Długi, z ciężką lufą, krótką kolbą i bardzo celny, bywał zabójczo skuteczny, gdy używał go osłonięty strzelec

w pozycji leżącej. Znakomicie nadawał się do polowania, ale nie do walki, a już na pewno nie do walki konnej. Na jego załadowanie potrzeba było dużo czasu. Należało odmierzyć i wsypać proch, a kulę wepchnąć do lufy za pomocą długiego pręta (pobojczyka). Potem należało nasypać trochę prochu na panewkę, odwieść zamek kurka, żeby umożliwić uderzenie skałki, czyli krzemienia, o metalową płytkę i tym samym wykrzesać iskry zapalające proch na panewce[292]. To wszystko zabierało przynajmniej minutę, co mogło oznaczać wyrok śmierci, wykonywany przez jadącego na koniu i strzelającego z łuku Komancza. Dla kogokolwiek walczącego z Komanczami jeszcze gorsze było to, że aby móc użyć długiego sztucera, strzelający musiał zsiąść z konia. Strzelanie ze sztucera z siodła sprawiało, że tracił on swoją podstawową zaletę, jaką była celność. Teksańczycy mieli też pistolety, wiekowe jednostrzałowce używane do pojedynków[293], równie kłopotliwe w ładowaniu i strzelaniu i równie niepraktyczne w walce konnej.

Z tego wynikało, że w pierwszych latach istnienia republiki Teksańczycy zwykle walczyli pieszo. W tej pozycji, w obliczu wściekłego ataku wroga, siedzącego na koniu i strzelającego z łuku, mieli dokładnie trzy strzały, z których dwa trzeba było oddać z małej odległości. Potem musieli zdążyć przeładować broń albo liczyć na to, że osłonią ich towarzysze. Stara indiańska sztuczka – i typowa taktyka stosowana w napadach na karawany – polegała na przeczekaniu, aż biali opróżnią swe karabiny, i zaatakowaniu, zanim zdążą je przeładować. W walce na krótkim dystansie biali mogli wykorzystywać siekiery i tomahawki, ale ich przydatność była niewielka.

Komancze dysponowali o wiele skuteczniejszą bronią, sprawdzoną w bitwach: okrągłymi tarczami ze skóry bizonów, włóczniami (mogły mieć nawet do czternastu stóp długości), łukami wzmocnionymi zwierzęcymi ścięgnami oraz kołczanami ze strzałami o żelaznych grotach. To, co wyczyniali z łukiem i strzałami, przeszło do legendy. W 1834 roku pułkownik Richard Dodge, który powątpiewał w prawdziwość opowieści o ich męstwie, potrafił jednak zaobserwować, że Komancz „może chwycić pięć−dziesięć strzał w lewą rękę i wypuszczać je tak szybko, że ostatnia będzie już leciała, zanim pierwsza opadnie na ziemię, i z taką siłą, że każda śmiertelnie rani człowieka z odległości dwudziestu−trzydziestu jardów”[294]. Stwierdził też, że o ile z jakiegoś powodu Indianin ma problemy z trafianiem do konwencjonalnych celów, o tyle „umieściwszy pięciocentówkę w rozszczepionym patyku, dzięki umiejętnemu podkręcaniu strzały sprawi, że niemal za każdym razem, zmierzając pozornie obok, w ostatniej chwili skręci i trafi monetę”[295]. Celność Komanczów strzelających z grzbietu konia wprawiała większość białych w osłupienie.

Najgorsze rany zadawały strzały z żelaznymi trójkątnymi grotami, które Indianie po

prostu wykrawali z obręczy beczek albo innych cienkich metali nabywanych od handlarzy. Często zginały się lub zaklinowywały, gdy trafiały na kość, powodując olbrzymie wewnętrzne obrażenia, a wyjęcie grotu było potwornie bolesne[296]. Tarcze Indian Wielkich Równin, robione z twardej, wielowarstwowej skóry bizonów, zaskakująco skutecznie chroniły przed kulami i pod odpowiednim kątem mogły zatrzymać każdą kulę z muszkietu, a nawet – już w późniejszym okresie – z karabinu[297]. Szczególnie zabójcze były ich giętkie włócznie: Indianie używali ich do przebijania od tyłu ważącego trzy tysiące funtów bizona – zawsze od prawej strony, między ostatnim żebrem a miednicą[298] – a robili to w pełnym galopie, co oznaczało, że spędzali wiele czasu na doskonaleniu tego sposobu zabijania zwierząt. Biali w walce na małą odległość nie mogli przeciwstawić włóczniom żadnej broni. Zdaniem pułkownika Dodge'a „były one wyjątkowo śmiercionośne"[299].

Indianie mieli też broń palną, chociaż zdecydowanie przecenia się jej użycie w walce z białymi przed wynalezieniem powtarzalnych karabinów w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Tubylcy przeważnie dysponowali nabywanymi u handlarzy tanimi muszkietami, które były niedokładne, łamały się, a gorsza jakość prochu, jaki do nich stosowano, sprawiała, że kula w lufie przemieszczała się wolno i zdarzało się często, że przy wilgotnym powietrzu lub w czasie deszczu w ogóle nie dawało się z nich wystrzelić[300]. Kiedy się łamały, co również nie należało do rzadkości, Indianie nie potrafili ich naprawić (w traktatach nieraz żądali zapewnienia usług rusznikarza). W lasach na wschodzie, gdzie można było znaleźć osłonę, starannie wycelować i strzelić, taka broń była nieco bardziej przydatna. Na równinach owi nieliczni Indianie, którzy posiadali muszkiety, zwykle oddawali z nich jedną salwę i natychmiast zastępowali je łukiem, strzałami i włócznią[301].

Jednak największą przewagę nad Teksańczykami zapewniały Indianom ich wierzchowce oraz sztuka jeździecka. Amerykańskie konie były najczęściej wysłużone, ociężałe i niezdolne dotrzymać kroku rączym, twardym i zwinnym kucom indiańskim. Ludzie na pograniczu też mieli konie z dobrych hodowli, ale większość z nich była zbyt delikatna, aby pokonywać z jeźdźcem na grzbiecie wiele mil trudnego terenu[302]. Na krótkich odcinkach żaden biały jeździec nie miał szans dogonić komanckiego mustanga, a na długich dystansach konie indiańskie osiągały przewagę dzięki temu, że były żywione paszą (w tym korą topoli) i trawą w przeciwieństwie do koni osadników, które karmiono zbożem.

W dodatku biali – nawet gdy dosiadali odpowiednich koni – nie dorównywali umiejętnościami jeździeckimi Komanczom. We wschodnich lasach nie jeździli wiele, ponieważ odległości były o wiele mniejsze niż w Teksasie, i na pewno nie mieli

pojęcia, jak walczyć z siodła i strzelać celnie z biegnącego wierzchowca. Komancze walczyli wyłącznie z grzbietu konia i w taki sposób, jakiego żaden żołnierz czy obywatel w Ameryce Północnej nigdy nie widział. Przypomnijmy, jak wyglądał klasyczny atak na nieruchomego wroga. Wojownicy formowali grupę w kształcie klina, która potem z wielką precyzją i szybkością przybierała formę olbrzymiego koła o obwodzie składającym się z jednej lub kilku ruchomych linii wojowników: współśrodkowych okręgów. Wallace i Hoebel tak to opisali:

> Pierścień, kręcący się dookoła z maszynową regularnością, przysuwał się coraz bliżej z każdym obrotem. Kiedy wojownik docierał do punktu okręgu znajdującego się najbliższej wroga, gwałtownie pochylał się i zza szyi swego wierzchowca wypuszczał strzały. Jeśli jego koń padał trafiony kulą, Indianin zwykle lądował na obu nogach[303].

Amerykanie czy Teksańczycy na swoich powolnych koniach nie byli w stanie się przeciwstawić takiemu atakowi, zresztą niewiele grup indiańskich to potrafiło. Komancze walczyli w ten sposób od dwustu lat. Ten styl walki był też ich sposobem życia, a stawali naprzeciw niebezpiecznych i bardzo ruchliwych wrogów. Wojna była ich głównym zajęciem i na niej opierał się status społeczny. Dokonany w ciągu jednego pokolenia podbój Apaczów wprowadził ogromną zmianę w życiu Komanczów. Wcześniej polowanie było najważniejszym celem ich istnienia. Teraz stała się nim wojna i Nermernuh nigdy nie mieli jej dość[304]. Biali widzieli tylko niewielką część wojen Komanczów, ale istnieje kilka relacji z epoki, które przypominają, co robili Komancze, kiedy nie najeżdżali osad białych. Ich były jeniec Herman Lehmann opowiadał o bitwie Apaczów z Komanczami, która prawdopodobnie pod wieloma względami była typowym starciem między Indianami – toczyła się przez cały dzień, a po obu stronach padło wielu zabitych. Pierwszego dnia Apacze stracili dwudziestu pięciu wojowników, Komancze pewnie jeszcze więcej. Następnego dnia Komancze przypuścili kolejny wściekły atak na koniach, tym razem zabijając czterdziestu wojowników i wyrzynając wszystkie apackie kobiety i dzieci[305]. Inny były jeniec mówił, że pewnego razu tysiąc ośmiuset wojowników Czarnych Stóp starło się z tysiącem dwustoma konnymi Komanczami w sześciogodzinnej bitwie, polegającej na zażartej walce wręcz. Komancze pobili przeciwników i odzyskali trzy tysiące koni, które Czarne Stopy im ukradli[306].

Był to rodzaj bezlitosnej wojny wymierzonej teraz w nieszczęsnych białych osadników na zachodniej granicy, których jedyna szansa obrony sprowadzała się do ustawienia wozów albo koni w koło i nadziei, że zdołają zabić wystarczającą liczbę Indian, by dalsza walka wydała się im nieopłacalna. Jednak rzadko ten plan przynosił

osadnikom ocalenie.

Rozwiązanie wymyślone przez Teksańczyków – lotne kompanie (*ranging companies*) – nie miało precedensu w historii militarnej Zachodu. Było tak dlatego, że według wszelkich kryteriów oddziały te nie miały najmniejszego sensu. Przeczyły wszystkim zasadom wojskowego sposobu działania i organizacji, każdemu standardowi hierarchii, dzięki któremu tradycyjna armia mogła w ogóle funkcjonować. Rangerzy nie pasowali do żadnej znanej kategorii: nie byli ani policją, ani armią regularną, ani milicją. Oficjalnie oddziały rangerów utworzono w 1835 i 1836 roku, a do ich powstania w ogromnym stopniu przyczyniły się płomienne przemowy Daniela Parkera, wuja Cynthii Ann, który był ich głównym orędownikiem[307]. Miały zapełnić lukę powstałą, gdy zabrakło żołnierzy, którzy walczyli pod San Jacinto (do 1837 roku większość z nich odeszła ze służby). Na papierze plan wyglądał dobrze. Sześciuset konnych strzelców – w ustawie przygotowanej przez Parkera nazwanych „rangerami", co było pierwszym oficjalnym użyciem tego słowa – miało za zadanie tropić Indian i bronić granicy[308]. Ale w rzeczywistości mały i pozbawiony środków rząd nie mógł zapewnić ani karabinów, ani ludzi, ani wierzchowców[309], nie mówiąc o mundurach, prowiancie czy koszarach. Liczba rangerów nigdy nie zbliżyła się do sześciuset; częściej liczba mężczyzn, których można by nazwać rangerami, wynosiła pięćdziesiąt, czasami rosła do stu. A ponieważ nie mieli formalnej, politycznej organizacji, nie było nikogo, kto mianowałby oficerów. Wybierano ich na bieżąco, za zgodą reszty i wyłącznie za zasługi. Pozycję zawdzięczali szeregowym bojownikom. Nie mając racji żywnościowych, sami polowali i nieraz ruszali w teren tylko z wodą i mieszanką cukru oraz prażonej kukurydzy, którą nazywali „zimną mąką"[310]; niekiedy dostawali mąkę od społeczności, których bronili. Czasami kradli kurczaki. Jedyną rzeczą, na jaką mogli liczyć ze strony rządu, była amunicja.

Wygląda na to, że nie brakowało chętnych do służby, co może zaskakiwać, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, iż niemal niczego im nie zapewniano. W tamtych czasach w zachodniej części Teksasu aż kłębiło się od młodych, nieustraszonych i nieżonatych mężczyzn, lubujących się w otwartych przestrzeniach, niebezpieczeństwach i ostrych przygodach[311]. Niemal wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat i przybyli do San Antonio w poszukiwaniu czegoś innego niż wygodne, osiadłe życie na farmie. Podobał się im pomysł zabijania Komanczów i Meksykanów. Większość słynnych kapitanów rangerów zakończyła służbę przed ukończeniem trzydziestego drugiego roku życia. Nie posiadali nic poza koniem, rzadko miewali stałą pracę. Bez nich projektu lotnych oddziałów nigdy nie udałoby się wcielić w życie. Z radością decydowali się na

pozostawanie w terenie przez trzy do sześciu miesięcy (tyle zwykle wynosił okres ich służby); to właśnie ten półosiadły charakter odróżniał ich od milicji. Zgodnie z tym pozornie nieracjonalnym modelem w latach 1836–1840 stworzono w Teksasie pierwsze, prymitywne oddziały do zwalczania Indian. Rangerzy byli po prostu tym, czego potrzebowano, i uformowanie się ich oddziałów stanowiło naturalną kolej rzeczy.

Zajęli się patrolowaniem granicy, by szukać i zabijać Komanczów. Byli niedoświadczonymi młodymi mężczyznami, a ponieważ nie mieli innego wzorca, szybko przystosowali się do groźnego, nowego świata koni, uzbrojenia i indiańskiej taktyki. Jednak niewystarczająco szybko, by uniknąć druzgocących klęsk. Nigdy w pełni nie zrozumiemy historii tych pierwszych nieformalnych prób przeciwstawienia się Komanczom, ponieważ większość z nich nie została odnotowana. Nowi mieszkańcy pogranicza, a zwłaszcza rangerzy, byli niepiśmienni, nie byli też myślicielami. Rzadko informowali o swoich zwycięstwach (choć biali zawsze chwalili się swoimi wyczynami na Zachodzie, nawet jeśli jedyne, czego dokonali, to uniknięcie katastrofy), nie mówiąc o porażkach. Rangerzy byli zresztą tylko grupą brudnych, obdartych, niedożywionych nieformalnych bojowników. Nie pisali listów i nie prowadzili dzienników. Rzadko pisali jakiekolwiek raporty; często nikomu nie mówili o tym, co robili. Pod ręką nie było też żadnych dziennikarzy, takich jak ci, którzy ze szczegółami i znaczną przesadą opisywali bitwy z Indianami w latach siedemdziesiątych. Reporterzy (jeszcze wtedy nieliczni) w miastach wschodniego Teksasu – Houston, Richmond i Clarksville – nie pojmowali, kim byli rangerzy, co osiągnęli ani jak odmienili sposób walki Amerykanów, dopóki nie wybuchła wojna z Meksykiem w 1846 roku. Szczątkowa wiedza o tym, co działo się na pograniczu w okresie istnienia Republiki Teksasu, pochodzi od garstki uczestników tych wydarzeń, którzy spisali swe wspomnienia później.

Z istniejących źródeł wynika jednak, że wielu młodych ludzi zginęło, walcząc z Komanczami w bitwach, które musiały być rozpaczliwie jednostronne. Ranger John Caperton ocenił, że „mniej więcej połowa rangerów ginęła każdego roku” i że „ci, którzy idą do tej służby, przeżyją najwyżej rok czy dwa”[312]. Napisał też, że w 1839 roku ze stu czterdziestu młodych mężczyzn z San Antonio „stu zginęło w walkach z Indianami i Meksykanami”[313] (większość jednak straciła życie w starciach z Indianami). To bardzo wysoka liczba jak na miasto z dwoma tysiącami mieszkańców. Kiedy się czyta relacje dotyczące bitwy nad Plum Creek albo późniejszego krwawego rajdu Moore’a, można odnieść wrażenie, że Teksańczycy szybko opanowali sztukę walki z Komanczami. To nieprawda. Plum Creek było

porażką Indian wynikającą w równej mierze z brawury teksaskich bojowników co z nieudolności Garbu Bizona, który nie umiał pokierować armią indiańską i powstrzymać wojowników przed plądrowaniem. Zwycięstwo nad rzeką Kolorado Moore zawdzięczał wyłącznie temu, że Komanczów udało się zaskoczyć – wtedy byli jeszcze przekonani, że biały człowiek nie odważy się zapuścić za nimi na ich ziemie ojczyste.

Pierwszy atak pułkownika Moore'a na obóz komancki – niemal zakończony katastrofą – lepiej ukazuje, jak mogła wyglądać większość wczesnych starć z Komanczami. Za przykład może też posłużyć licząca trzydziestu jeden rangerów wyprawa zwiadowcza kapitana Johna Birda, która opuściła fort Milam nad rzeką Brazos (w pobliżu Belton, w Teksasie) 27 maja 1839 roku. Polując na indiańskich „rabusiów", natknęli się na grupę dwudziestu siedmiu Indian oprawiających bizona. Biali, podekscytowani świetną okazją, ruszyli na nich, a Komancze oczywiście rzucili się do ucieczki, bo nie mieli w zwyczaju czekać na szarżę wroga[314]. Rangerzy kontynuowali pościg przez trzy mile. Jak zwykle ich konie nie potrafiły dogonić komanckich wierzchowców. Rangerzy zrezygnowali i rozpoczęli odwrót do fortu, ale natychmiast zrozumieli, że zawrócili także Komancze. Nagle ofiara stała się myśliwym. Według opisu jednego z oficerów „strzały spadały ze wszystkich stron"[315]. Indian było czterdziestu. Wtedy Bird popełnił błąd, na który doświadczeni w walkach z Indianami żołnierze nigdy by sobie nie pozwolili, mianowicie próbował czmychnąć jak wystraszony zając. Na otwartej prerii mogło to oznaczać koniec jego oddziału, zwłaszcza że liczba ścigających go Indian, prowadzonych przez ni mniej, ni więcej tylko Garb Bizona, wzrosła do około trzystu[316].

Bird miał jednak szczęście. Na drodze żołnierzy pojawił się parów, który dał im schronienie. Następne wydarzenia były typowe dla starć rangerów w tym czasie: biali się ukryli, Indianie atakowali, ludzie ginęli po obu stronach. Ostatecznie Indianie się wycofali, nie chcąc ponosić strat, które byłyby konieczne, żeby wypłoszyć z kryjówki białych, skutecznie broniących się za pomocą swych sztucerów z Kentucky. Typowe było również przedstawienie faktów przez białych: Bird nie czuł oporów przed ogłoszeniem swojego zwycięstwa, mimo że były to jego ostatnie słowa przed śmiercią. Zginęło też sześciu jego żołnierzy. Inni odnieśli rany. Straty w ludziach wynosiły co najmniej trzydzieści procent. W rzeczywistości tylko parów ocalił ich od rzezi. Można sobie wyobrazić wiele takich zapomnianych przez historię momentów na prerii, gdy pościg walecznych rangerów zamieniał się w rozpaczliwą ucieczkę i gdy nie udawało się znaleźć żadnego jaru i wszyscy szybko ginęli albo – jeśli nie mieli wystarczająco szczęścia, by umrzeć szybko – kończyli życie w powolnych torturach z użyciem ognia

i innych akcesoriów. Był to kolejny element edukacji rangerów. Sądzono powszechnie, że ludzie zaprawieni w walkach z Indianami zachowywali dla siebie jedną kulę, chociaż istnieje tego tylko jeden odnotowany przypadek: w 1855 roku Sam Cherry, oficer piechoty Stanów Zjednoczonych, został przygnieciony podczas walki z Komanczami przez swego padającego konia. Nie mógł się wydostać, więc spokojnie wystrzelił pięć razy w stronę napastników, a potem, otoczony przez triumfujących Indian, przyłożył rewolwer do skroni i wystrzelił po raz ostatni[317].

Rangerzy byli ostrymi typami. Tęgo pili i lubili zabijać, walczyć na pięści, na noże oraz eliminować ludzi, których uważali za bandytów lub wrogów. Z czasem, gdy wielu z nich zginęło, co było swojego rodzaju naturalną selekcją w ich szeregach, zrobili się jeszcze twardsi, bardziej brutalni i agresywni. I tak też wyglądali. Chociaż wyidealizowany ranger nosił skórzany kapelusz z wywiniętym rondem, chustę na szyi, bawełnianą koszulę i proste bryczesy, to rzeczywistość była inna. Nosili wszystko, co im się podobało. Mógł to być kolorowy meksykański wełniany szal *serape* i sombrero z szerokim rondem, czasami futrzane czapy, krótkie kurtki czy brudne kapelusze typu panama. Często cały strój był zrobiony wyłącznie z futer jeleni albo z kawałków futra bizona. Niektórzy chodzili nadzy od pasa w górę, nosząc odpowiednik indiańskiej przepaski biodrowej i nogawki[318]. Wielu z nich było mężczyznami o wielkiej, imponującej posturze i muskularnych ramionach, z długimi włosami i brodami. Określano ich mianami w rodzaju „Wielka Stopa” Wallace (faktycznie był ogromny, a do tego zawzięty w boju), „Aligator” Davis (zmagał się bowiem z aligatorem w rzece Medinie) czy „Stara Farba” Caldwell (ponieważ jego skóra była tak odbarwiona w wielu miejscach, że przypominała łuszczącą się farbę). Bardziej cywilizowane kręgi społeczeństwa dziewiętnastowiecznej Ameryki umieszczały ich na tym samym poziomie co bandytów i wyrzutków. Z kimś takim lepiej było nie wdawać się w bójkę w knajpie na pograniczu.

Niezwykłe więc było to, że ta banda brutalnych, niepokornych zbirów z pogranicza, do tego często analfabetów, w pełni i bezgranicznie słuchała spokojnego, szczupłego dwudziestotrzylatka (a wyglądał na jeszcze młodszego) o gładkiej chłopięcej twarzy, smutnych oczach i cienkim głosie. Nazywał się John Coffee Hays, mówiono na niego „Jack”. Komancze, którzy bardzo się go bali, mówili na niego „Kapitan Yack”[319], podobnie jak Meksykanie, którzy wyznaczyli za jego głowę wysoką cenę. Był „nadrangerem”, kimś, do kogo każdy chciał być podobny, odważniejszym, bardziej przebiegłym i niewzruszonym w obliczu ataku wroga niż wszyscy pozostali rangerzy. Był jednym z najlepszych dowódców wojskowych, których wydała Ameryka w swoich

dziejach. Pod koniec lat trzydziestych XIX wieku sądzili tak mieszkańcy San Antonio, ale reszta świata przekonała się o tym dopiero podczas wojny z Meksykiem, kiedy okrzyknięto go bohaterem narodowym, a jego budzący strach rangerzy niemal natychmiast stali się mitem. Chociaż na pograniczu teksaskim i w Meksyku walczył niecałe dwanaście lat, to jednak odcisnął niezatarte piętno nie tylko na Teksaskich Rangerach – organizacji powstałej niejako na jego wzór – ale na całym Amerykańskim Zachodzie.

Fotografia Haysa z 1865 roku, kiedy miał czterdzieści osiem lat, mówi o nim wszystko. Twarz dość przystojna, wciąż chłopięca, gęste włosy zaczesane do tyłu, rysy regularne – ogólne wrażenie dość przeciętne, z wyjątkiem jednego absolutnie uderzającego elementu – oczu. To oczy głębokie, mądre, śmiertelnie poważne, odrobinę smutne; przykuwające uwagę, nawet z perspektywy stu czterdziestu lat. To oczy człowieka, który niczego się nie boi[320]. Hays był pierwszym wielkim bojownikiem, który stawił czoło Indianom na równinnym pograniczu; był legendą, która dała początek tysiącom innych legend, powieściom groszowym (*dime novels*) i hollywoodzkim filmom.

Urodził się w Little Cedar Lick, w Tennessee, w 1817 roku, w zamożnej rodzinie wojskowych. Jego dziadek służył wraz z Andrew Jacksonem w czasach wojen z Indianami, a później sprzedał Jacksonowi swoją słynną posiadłość, nazwaną potem Hermitage. Ojciec Haysa także służył pod Jacksonem, a syna nazwał na cześć jednego z najbardziej zaufanych oficerów Jacksona, Johna Coffee[321]. Tak jak wielu innych młodych i spragnionych przygód mężczyzn (szczególnie dużo było ich w Tennessee), młody Jack postanowił pojechać do Teksasu po bitwie pod San Jacinto. Przybył do San Antonio prawdopodobnie w 1838 roku, gdzie szybko znalazł pracę jako mierniczy. W tym okresie miernictwo było właściwie środkiem, za którego pomocą osadnicy zdobywali Zachód, zagarniając ziemie Indian. Po zdobyciu niepodległości Teksas przyznał nowym osadnikom swego rodzaju nadziały ziemskie, znane jako „prawo pierwokupu” (*head right*). Aby dać ludziom pełne prawo do ziemi, ktoś musiał pójść w teren z poziomicą, łańcuchami i kompasami mierniczymi i potwierdzić roszczenie. Oczywiście Penatekowie nienawidzili takich ludzi i ich zwalczali. Prawdopodobnie mierniczy mieli najniebezpieczniejszą pracę w Ameryce Północnej. W roku, w którym przybył Hays, Indianie wymordowali już większość z nich[322].

Mimo to praca mierniczego pociągała Haysa, który pragnął przygód tak samo jak płacy. Grupy wysyłane w teren składały się nie tylko z mierniczych, ale także z mających ich chronić uzbrojonych strażników oraz z żądnych przygód indywiduów, ludzi, którzy po prostu lubili być tam, gdzie coś się działo, odkrywać dla siebie nowe

ziemie, polować i – jeśli się dało – ustrzelić jakiegoś Indianina[323]. San Antonio było w owym czasie dobrym miejscem dla ludzi nieustraszonych, bez zobowiązań, gotowych w każdej chwili przystąpić do działania. Kraina na skraju Balcones Escarpment była wyjątkowo piękna: łagodne sawanny z wiecznie zielonymi dębami, wiosną wybuchające tęczą polnych kwiatów. W obfitości występowała tam zwierzyna łowna: dziesiątki tysięcy bizonów, niedźwiedzi, wapiti, antylop, dzikich indyków, żurawi kanadyjskich, kojotów i wilków. Płynące w wapiennych korytach krystalicznie czyste rzeki, takie jak Llano, Guadalupe, Pedernales czy San Marcos, były pełne ryb[324].

Wielu tych młodych ludzi spotkała w tym nowym raju brutalna śmierć. Był wśród nich kuzyn Haysa. Sam Hays pozostawał nieugięty. Wymierzył szmat ziemi: tylko w 1838 roku udało mu się wytyczyć granice siedemdziesięciu sześciu parceli objętych prawem pierwokupu[325]. Zaczął też zdobywać sławę jako ktoś, kto skutecznie walczy z Indianami, a szczególnie jako ten, kto potrafi utrzymać swych ludzi żywych. Pewien znający go autor pisał: „Ten mały człowiek z Tennessee, słysząc okrzyk »Indianie«, stawał się innym człowiekiem. Wskakiwał na konia i wyglądał wtedy jak jakaś inna istota. Z nim to dopiero był atak i prawdziwa walka na śmierć i życie – Indianie dostawali łupnia za każdym razem, gdy atakowali jego oddział”[326]. Podobnie jak Granta w czasie wojny secesyjnej, również Haysa bardziej interesowało to, jakie straty może zadać wrogowi, niż to, co wróg może mu zrobić. I tak jak Grant myślał tylko o atakowaniu. W rozmowie był łagodny i taktowny; w walce – zimny jak lód i stanowczy w dowodzeniu ludźmi, szybko też zdobywał ich zaufanie. Tchnąwszy nową energię w działania mierniczych, zajął się patrolowaniem razem z nowymi lotnymi oddziałami, często składającymi się z tych samych ludzi, którzy strzegli wypraw mierniczych. Jest pewne, że walczył nad Plum Creek i że uczestniczył w niefortunnej ekspedycji Moore’a w 1839 roku, z której zhańbieni żołnierze musieli wracać pieszo[327]. Niewiele więcej wiadomo na temat pierwszych lat jego służby.

Na pewno jednak musiał się wyróżnić. W roku 1840, w wieku dwudziestu trzech lat, Hays został kapitanem posterunku oddziału rangerów w San Antonio, oficjalnie utworzonego przez Republikę Teksasu, choć rangerzy musieli sami sobie zorganizować broń, wyposażenie, konie, a nawet jedzenie. Na początku pracowali za darmo, później ustalono wynagrodzenie w wysokości trzydziestu dolarów miesięcznie, aczkolwiek nie zawsze je wypłacano[328]. Początkowo część funduszy pochodziła z donacji zwykłych obywateli. (Rangerów jako organizację powoływano do życia tylko doraźnie i często między jedną a drugą autoryzacją Kongresu rozwiązywali się, a potem znów formowali oddział). Biorąc pod uwagę oczekiwaną długość życia w nowej służbie – w najlepszym razie dwa lata – nie każdy rwał się do walki z Indianami. Jednak zmiany,

które miały przechylić szalę rywalizacji, już się dokonywały. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż Hays. Jedną z przyczyn było to, że nowy gatunek rangerów – rangerzy Haysa – potrafił jeździć konno. Dosiadali zwinnych i szybkich wierzchowców, będących lokalną krzyżówką mustangów z wierzchowcami z Kentucky, Wirginii oraz z arabami. Konie te były cięższe niż rumaki indiańskie, ale mogły biec tak szybko jak one i dotrzymywać im kroku na długich dystansach. Mówiło się, że Hays nie przyjąłby żadnego rekruta, którego koń byłby wart mniej niż sto dolarów.

Pod wodzą Haysa oddziały lotne, rzadko liczące więcej niż piętnastu−dwudziestu ludzi, zaczęły działać mniej więcej tak jak ci, na których polowały. Caperton pisał o nich, że: „Pokonywali prerię tak lekko jak Indianie i żyli tak jak oni, bez namiotu, z siodłem służącym za poduszkę nocą”[329]. Zwłaszcza sam Hays pilnie obserwował swych komanckich wrogów, a od współpracujących z nim apackich zwiadowców z grupy Lipan uczył się jeździć konno, walczyć, tropić, rozbijać obóz. Każdy ranger miał karabin, dwa pistolety i nóż; za siodłem przymocowywano meksykański koc oraz małą saszetkę, w której trzymano sól, zimną mąkę i tytoń[330]. Nic więcej. Podobnie jak Komancze rangerzy często podróżowali przy świetle księżyca, kierowali się biegiem rzek i Gwiazdą Polarną, obywali się zupełnie bez ognisk, rozbijali „zimne obozy” i jedli suchary lub inny niegotowany prowiant[331]. Ludzie Haysa spali w ubraniach i w pełnym uzbrojeniu, gotowi do walki w każdej chwili. Przekraczali rzeki nawet przy mroźnej pogodzie, płynąc obok swych koni[332]. Takie postępowanie nie miało precedensu w militarnej historii Ameryki. Żadni inni kawalerzyści nie potrafiliby założyć uzdy i osiodłać konia szybciej niż rangerzy.

Częściowo umiejętności te przychodziły młodym mężczyznom same, ale inne był efektem treningu. Hays kazał swoim ludziom ćwiczyć zarówno strzelanie, jak i jazdę konną. Do jednego z zadań ustawiano dwa pale wysokie na sześć stóp i oddalone od siebie o czterdzieści jardów. Ranger miał pędzić konno w ich kierunku z pełną szybkością, strzelając z karabinu do pierwszego słupa, a z pistoletów do drugiego. W ten sposób rangerzy szybko uczyli się trafiać w umieszczoną na palu obręcz o rozmiarach głowy ludzkiej[333]. Co ważne, ludzie ci atakowali i strzelali konno – pomysł całkowicie przejęty od Indian Wielkich Równin. Zaczęli to robić prawdopodobnie między 1838 a 1840 rokiem, ale obojętnie, kiedy to nastąpiło, ważne, iż była to bezpośrednia imitacja stylu Komanczów, stanowiąca olbrzymi postęp w stylu walki z Indianami. Rangerzy byli jedynymi białymi w Ameryce, którzy umieli strzelać z siodła, i byli absolutnie jedynymi, którzy potrafili to wykorzystać w czasie bitwy. Wynikało to z czystej konieczności: z pewnością nikt, kto walczył z Komanczami, nie sądził, że podejmowanie z nimi walki pieszo i na otwartej przestrzeni daje jakieś

korzyści.

Ćwiczenie jazdy konnej było jeszcze bardziej wyszukane. Tak to opisywał jeden z ludzi Haysa:

> Po trzech czy czterech miesiącach ćwiczeń staliśmy się tak dobrzy, że potrafiliśmy, pędząc na naszych koniach, czasem nawet z pełną szybkością, podnieść z ziemi kapelusz, kurtkę, koc czy sznur, a nawet srebrną dolarówkę, stanąć w siodle, zawisnąć całym ciałem po jednej stronie konia, tak że widać było tylko jedną stopę i dłoń, i strzelać z naszych pistoletów spod szyi konia, znowu się wyprostować i zrobić to samo po drugiej stronie, i tak dalej[334].

Hays przede wszystkim pojął, jak ważna jest czysta zuchwałość, wzbudzenie strachu i paniki w sercach wroga. Jeśli chodzi o broń, Indianie nadal zdecydowanie przeważali, ponieważ każdy ranger miał tylko trzy strzały, po których musiał przeładować karabin, co było bardzo trudne do zrobienia na grzbiecie konia. Dlatego ludzie Haysa uderzali szybko i mocno, często z zasadzki i często nocą, nadrabiając swe braki brawurową szarżą. „Była tylko jedna możliwość – pisał Victor Rose, świadek tamtych wydarzeń – błyskawicznie i bez żadnego odgłosu zbliżyć się do wrogów, uderzyć, kiedy spali, i skarcić ich, rozgnieść!” Jesienią 1840 roku Hays z dwudziestoma rangerami natknął się na grupę dwustu Komanczów w okolicy San Antonio, przy brodzie na rzece Guadalupe. Komancze wcześniej ukradli wiele koni. Hays tak przedstawił sytuację swoim ludziom: „Chłopaki, tam są Indianie i tam są nasze konie. Indianie są mocni. Ale możemy im złoić skórę. Co wy na to?”.

Rangerzy odpowiedzieli: „Do przodu”. Jak zawsze wiedzieli, że to Hays ich poprowadzi. „Pójdziemy za tobą, nawet jeśli jest ich tam tysiąc”[335]. Indianie – najpewniej nie dowierzając, że biali będą na tyle szaleni, by rzucić się na dziesięć razy liczniejszego, dosiadającego koni wroga na jego własnym terenie – ustawili się w linii bojowej i czekali na atak grupki rangerów. Teksańczycy natarli z furią, każdy oddał trzy strzały, a szeregi Indian „się zachwiały”. W czasie walki trafiony i zabity został przywódca Komanczów, reszta uciekła.

W ten sposób Hays i jego małe oddziały uderzały w Penateków w środkowym Teksasie – wiele tych starć nie zostało odnotowanych w kronikach. Ulubioną metodą Haysa było zaskoczenie – zabijanie wrogów dokładnie tak jak postępowali Komancze, czyli podczas snu w ich wioskach. Hays dobrze opanował podstawową lekcję wojowania na równinach: możliwe było albo zwycięstwo, albo śmierć. Indianie nie oszczędzali wroga i rangerzy też rzadko to robili. Nikt nie oczekiwał honorowego poddania się. Hays nie zawsze wychodził zwycięsko ze starć, chociaż zdumiewająco skutecznie udawało mu się chronić życie swych ludzi. W jednej walce miał pod sobą

stu dwudziestu rangerów i piętnastu−dwudziestu Lipanów, a naprzeciw stała o wiele liczniejsza armia Komanczów. Hays stracił dwudziestu−trzydziestu ludzi[336]. Innym razem zabrał ze sobą pięćdziesięciu Teksańczyków i dziesięciu Lipanów i wdał się z silniejszym przeciwnikiem w bitwę, podczas której jedni ścigali drugich przez półtorej godziny. Konie białych osłabły, a potem padły, niezdolne dotrzymać kroku indiańskim wierzchowcom. Część jego ludzi była ranna. W swoim raporcie Hays napisał, że „nie mieli prowiantu i musieli wytrwać, żywiąc się własnymi padłymi końmi, nim dotarli do Bexar [San Antonio]”[337].

Szybko też nauczył się czegoś, co dało mu wielki atut w starciach z Komanczami, mianowicie, że Indianie są bardzo przewidywalni. Nigdy nie zmieniali swoich metod. Ich poczynania były głęboko zdeterminowane przez zwyczaj, a także przez ich wyobrażenia o magii. Reagowali na konkretne sytuacje – takie jak zabicie wojennego wodza lub szamana – zawsze dokładnie w ten sam sposób. Z perspektywy białych łatwo ich było wystraszyć. Ludziom, którzy nie umieli tak jak Hays kalkulować swych szans, wydawał się on człowiekiem niewiarygodnie odważnym i w istocie był – trzeba to przyznać – niewiarygodnie odważny.

Hays miał też inne przymioty – był wyjątkowo ostrożny, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo jego ludzi, a jeśli któryś z nich był ranny, to otaczał go niemal matczyną opieką. Kiedy on i jego rangerzy obozowali, był niezwykle pracowity: nosił drewno i wodę, przywiązywał i pętał konie, przyrządzał jedzenie. Ale „gdy chodziło o własne bezpieczeństwo, jego brawura ocierała się o nierozważność”. Miał żelazne zdrowie, które – zdawało się – czyniło go odpornym na niewygody, niską temperaturę czy brak snu. John Wesley Wilbarger tak opisywał Haysa:

> Często widziałem go, jak siedział przy ognisku nocą w jakimś nieosłoniętym miejscu, kiedy było urwanie chmury albo w uszy wiał mu zimny wiatr z północy z bryłkami lodu lub śniegiem. Wyglądało, że nie zdawał sobie sprawy z takiej niewygody, jak gdyby siedział w jakimś przytulnym pokoju w hotelu pierwszej klasy w dużym mieście. A do tego na kolację zjadał może z garść orzeszków albo żuł kawałek twardego rzemienia[338].

Mimo że wyczyny wojenne Haysa były znane, zanim jeszcze został mianowany kapitanem w 1840 roku, sławę na pograniczu zdobył dzięki dwóm bitwom stoczonym w 1841 roku. W pierwszej walczył z Meksykanami. Mając dwudziestu pięciu ludzi, pobił większy oddział kawalerii niedaleko Laredo, wziął dwudziestu pięciu jeńców i zagarnął dwadzieścia osiem koni. Zrobił to z zimną krwią, każąc swym ludziom zsiąść z koni, zbliżyć się do wroga i wstrzymać z oddaniem salwy o wiele dłużej, niż ktokolwiek inny by się odważył. Jak zawsze sam prowadził atak. Zaczęli wreszcie strzelać, gdy dystans wynosił sześćdziesiąt jardów (ich celne sztucery z Kentucky miały

zasięg stu jardów). Meksykanie rzucili się do ucieczki, a rangerzy, nie tracąc czasu na przeładowywanie broni, wskoczyli na konie pozostawione przez Meksykanów i ruszyli za nimi w pościg[339]. Porażka wywołała panikę w Laredo, gdzie wielu mieszkańców wskoczyło do Rio Grande w obawie o życie. Kiedy Hays zbliżył się do miasta, jego alkad wyszedł mu na spotkanie z białą flagą, by błagać rangerów o pozostawienie miasta w spokoju[340]. Zgodzili się. Nie zawsze byli tacy spolegliwi. Pewnego razu, w 1847 roku, w mieście Meksyk dokonali egzekucji osiemdziesięciu ludzi, mszcząc się w ten sposób za śmierć jednego kompana[341].

W drugiej bitwie Hays zmierzył się z Komanczami, wrogiem, z którym walczył najczęściej. Latem 1841 roku komancka wyprawa wojenna zaatakowała osady w okolicy San Antonio, grabiąc, zabijając i kradnąc konie. Hays – trzymając w ręku dokument z jednym z tymczasowych przydziałów Kongresu Teksasu – zebrał oddział trzynastu mężczyzn i pognał za Indianami, tropiąc ich na dystansie około siedemdziesięciu mil na zachód od San Antonio, do wlotu Uvalde Canyon. Hays odnalazł Indian dzięki sztuczce, której się nauczył od Lipanów: podążał po prostu za wielkim stadem sępów, które krążyły nad odpadkami zostawianymi przez Komanczów. W pobliżu obozu Hays spostrzegł dwunastu Komanczów i natychmiast doszło do starcia: rangerzy zaatakowali, a Indianie skryli się w gęstym zagajniku.

Hays szybko zrozumiał, co to posunięcie oznaczało dla samych Indian: w takim miejscu ich strzały nie będą skuteczne. Rozkazał swym ludziom okrążyć zarośla i zastrzelić każdego, kto z nich wychynie. Chociaż miał ranną dłoń, wziął ze sobą dwóch ludzi i weszli w zarośla – potem dołączył do nich jeszcze jeden ranger. Stoczyli tam czterogodzinną bitwę z Indianami, zabijając dziesięciu z nich. Hays sam napisał raport do teksaskiego sekretarza wojny. To wyjątkowy dokument, a zawarta w nim na pozór zwykła relacja mrozi krew w żyłach:

> Indianie mieli tylko jeden karabin, a z powodu zbyt gęstych zarośli nie mogli skutecznie używać swych strzał, walczyli więc, będąc na straconej pozycji. Kontynuowali jednak walkę do ostatniego człowieka, nie ustając w śpiewaniu pieśni wojennych, aż wszystkich uciszyła śmierć. Otoczeni przez jeźdźców, gotowych ich zgładzić, gdy tylko opuszczą zagajnik, i niezdolni do skutecznego używania swych strzał, wiedzieli, jaki los ich czeka, i przyjęli go jak bohaterowie[342].

W nagrodę za ten zdumiewający dowód zręczności wojownika Hays został awansowany na majora. Nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat.

*

Mimo skuteczności w walce z Komanczami wielkim problemem Haysa pozostawała

broń rangerów: jednostrzałowe karabiny, trudne do przeładowania, oraz staromodne pistolety, które z góry zmniejszały szanse jego ludzi w konfrontacji z Komanczami, noszącymi w swych kołczanach po dwadzieścia strzał. Nic z tym nie można było zrobić. Hays próbował przystosować długie karabiny do użytku w czasie jazdy konnej – i rzeczywiście udało mu się dokonać pomniejszych cudów – ale wciąż była to nieporęczna broń, której najlepiej było używać na ziemi – zarówno strzelać, jak i przeładowywać. To nadal była ta sama stara flinta z pensylwańskiej puszczy, która dotarła do Teksasu przez Kentucky. Rangerzy Haysa w olbrzymim stopniu rekompensowali ograniczenia tej broni agresją i furią w walce. Pozostawanie w jednym miejscu wystawiało ich na lawinę strzał z żelaznymi grotami. Szaleńczy atak, niezależnie od wszelkiego wiążącego się z nim ryzyka, pozostawał znacznie bezpieczniejszym wyborem.

Tymczasem na cywilizowanym, uprzemysłowionym Wschodzie postępowały prace, które miały szybko rozwiązać problem Haysa, a tym samym odmienić świat. Jednak nikt jeszcze o nich nie wiedział, a poza tym wciąż obarczone były błędami i niepowodzeniami. W 1830 roku pewien szesnastolatek, Samuel Colt, obdarzony talentem do skomplikowanej mechaniki i pełen wspaniałych pomysłów, wyrzeźbił z drewna swój pierwszy model rewolweru z obracającym się wokół własnej osi bębenkiem. Sześć lat później uzyskał patent na swój wyrób. W 1838 roku firma w Paterson w New Jersey zaczęła produkcję opatentowanych rewolwerów Colta. Wśród nich był rewolwer .36, z obrotowym bębenkiem z pięcioma komorami, oktagonalną lufą i spustem w osłonie, który opadał, kiedy broń była odbezpieczona[66]. Nie był to pierwszy tego typu projekt, ale uważano, że pierwszy, który przeznaczono do powszechnej produkcji.

Istniał tylko jeden problem z nową bronią. Nikt jej nie chciał. Jej zdawałoby się naturalny nabywca, czyli rząd Stanów Zjednoczonych, nie uważał jej za potrzebną i nie zamierzał jej subsydiować. Wydawało się, że rewolwer nadawałby się dla kawalerzystów jako broń noszona u boku, ale w tym okresie armia Stanów Zjednoczonych nie miała kawalerii. Nowa broń nie wzbudziła też zainteresowania zwykłych obywateli. Był to zgrabny, ale nieco niepraktyczny produkt. I co dziwne, jedyni ludzie, którzy go chcieli, znajdowali się w egzotycznej i odległej Republice Teksasu. W 1839 roku prezydent Mirabeau B. Lamar nakazał, by flota Teksasu – jakby to akurat było jej najżywotniejszą potrzebą – zamówiła sto osiemdziesiąt pięciostrzałowych rewolwerów Colta od spółki z Paterson (Patent Arms Manufacturing Company). Później wojsko teksaskie zamówiło kolejne czterdzieści sztuk[343]. Rewolwery zostały wysłane, zapłata uiszczona. Nie ma dowodów na to, że marynarze

czy ktokolwiek inny na służbie rządu Teksasu kiedykolwiek ich użył. Wydawało się, że jest to dziwna i niepraktyczna broń, przeznaczona dla dziwnej i nieistotnej części armii Teksasu – a owa flota rzeczywiście taka była. I tam rewolwery Colta popadły w zapomnienie.

Nikt nie wie dokładnie, w jaki sposób broń ta trafiła do Jacka Haysa i jego rangerów. W każdym razie na pewno znalazła się w ich rękach. W późniejszej korespondencji z Coltem Samuel Walker, jeden z najsłynniejszych poruczników Haysa, twierdził, że stało się to około 1843 roku[344]. Faktycznie mogło tak być, ponieważ w tym samym roku Sam Houston rozwiązał flotę[345]. Obojętnie, kiedy do tego doszło, rangerzy natychmiast dostrzegli wartość nowej broni. Dla nich mechanizm colta był objawieniem: wielostrzałowa broń, z której można było strzelać z grzbietu konia i w ten sposób nareszcie wyrównać szanse. Choć nie zachowały się żadne relacje na ten temat, Hays i jego ludzie musieli spędzić wiele godzin, ćwicząc użycie nowej broni i ustalając, jak ją najlepiej wykorzystać. I z pewnością spędzili wiele nocy przy ognisku, rozmawiając o zaletach i wadach rewolweru.

A nowy rewolwer Colta miał wiele wad. Był kruchy. Pasowały do niego naboje małego kalibru, a bardziej potrzebny był większy – przynajmniej .44. Rewolwery nie były zbyt celne, o ile nie używano ich z niewielkiej odległości. Wymagały uprzedniego załadowania komór, co oznaczało, że ranger z dwoma rewolwerami i czterema bębenkami do każdego z nich miał do dyspozycji czterdzieści strzałów. Ale zmienianie bębenków okazało się niełatwe, a kiedy były już puste, nie można ich było przeładować podczas walki. To jednak nie zmieniało podstawowego, zdumiewającego faktu, że był to rewolwer z obracającym się bębenkiem. Hays i reszta rangerów, na czele z Benem McCullochem i Samuelem Walkerem, byli przekonani o jego wartości. Wiosną 1844 roku byli gotowi sprawdzić niepopularny i dziwaczny rewolwer w walce.

Sprawdzian ten przeszedł do historii pod nazwą bitwy nad Walker’s Creek – była to drobna potyczka, która stała się jednym z najważniejszych momentów w dziejach Teksasu i Amerykańskiego Zachodu. Można stwierdzić, że przed przybyciem Jacka Haysa do San Antonio Amerykanie na Zachodzie poruszali się przede wszystkim pieszo i posługiwali sztucerami z Kentucky. Kiedy Hays odchodził w 1849 roku, każdy, kto wyprawiał się w tamte strony, miał wierzchowca, a w kaburze trzymał sześciostrzałowy rewolwer. Walker’s Creek było początkiem tych zmian.

Na początku czerwca 1844 roku Hays z czternastoma ludźmi patrolował górne biegi rzek Pedernales i Llano. Przebywali w górzystym terenie, na zachód od Austin i San Antonio, na ziemiach Penateków. Nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, zawrócili

do domu. 8 czerwca zatrzymali się nad Walker’s Creek, dopływem rzeki Guadalupe, około pięćdziesięciu mil na północ od San Antonio, żeby wybrać miód z drzewa zamieszkanego przez rój pszczół. Hays jednocześnie wysłał dwóch ludzi na tyły z zadaniem upewnienia się, czy nie są śledzeni. Była to stara taktyka indiańska, a Hays poznał wiele takich indiańskich zwyczajów. Obaj mężczyźni w wielkim pośpiechu wrócili do obozu i bez tchu zameldowali, że znaleźli ślady dziesięciu koni indiańskich. Rangerzy szybko osiodłali konie i zawrócili w kierunku Indian. Gdy się zbliżyli, trzech czy czterech rzekomo zaskoczonych Indian uderzyło na alarm i rzuciło się do rozpaczliwej ucieczki. Kolejna stara sztuczka indiańska. Hays nie dał się na nią nabrać i nie podjął pościgu[346].

Niebawem nadciągnęła pozostała część oddziału Penateków – siedemdziesięciu pięciu wojowników. Teksańczycy zbliżyli się powoli, a Indianie wycofali się na szczyt stromego wzgórza, który stanowił świetną redutę na nierównym, skalistym terenie porośniętym wiecznie zielonymi dębami. Stąd zachęcali drwiąco rangerów, krzycząc po hiszpańsku i angielsku: „Atakujcie! Atakujcie!”.

Hays zastosował się do wezwania, choć niekoniecznie w sposób, jakiego oczekiwali Komancze. Zdawał sobie sprawę z tego, że będąc u stóp wzgórza, razem ze swoimi czternastoma ludźmi pozostanie przez pewien czas niewidoczny dla Indian. Nakazał więc odwrót w pełnym galopie, a gdy ujechali dwieście−trzysta jardów, skręcili i objechali wzgórze od drugiej strony, by wyłonić się za plecami Indian i natrzeć ze skrzydła[347]. Komancze jednak zdołali się szybko otrząsnąć z zaskoczenia. Rozdzielili się i − głośno krzycząc – zaatakowali Teksańczyków z dwóch stron. W normalnej sytuacji taka szarża rozerwałaby szyk bitewny rangerów i skończyłaby się ich klęską. Ale rangerzy dali niezwykły popis sztuki jeździeckiej i brawury mrożącej krew w żyłach, utworzyli krąg i w ten sposób, na koniach stojących zad przy zadzie, przyjęli szarżę Komanczów.

To, co się potem wydarzyło – siedemdziesięciu pięciu Penateków przeciw piętnastu rangerom, strzały i włócznie kontra powtarzalne rewolwery – było istnym krwawym pandemonium. Kilku rangerów zostało paskudnie rannych. Jednocześnie ich rewolwery zrzucały Indian z wierzchowców w zastraszającym tempie. Ten etap walki trwał piętnaście minut. Potem Indianie ustąpili i zaczęli uciekać. Obie strony walczyły teraz na pędzących koniach – bitwa-gonitwa toczyła się przez ponad godzinę na ponad dwóch milach nierównego terenu. Zagrzewani do boju przez ich bohaterskiego wodza Indianie nacierali bez przerwy, przegrupowywali się, ale za każdym razem ustępowali pod ogniem wypluwanym przez colty rangerów. Czterdziestu Indian zostało zabitych lub rannych. Zginął jeden ranger, czterech odniosło rany. Walka toczyła się dalej,

ponieważ przywódca Indian raz po raz wiódł swoich ludzi do ataku.

Wtedy dała o sobie znać główna wada pięciostrzałowca – ludziom Haysa skończyła się amunicja, a dokładniej zostały opróżnione bębenki, których w czasie walki nie sposób było przeładować, nikt nie miał zaś innej broni niż rewolwery. Rangerzy znaleźli się teraz na łasce pozostałych trzydziestu pięciu Indian. Albo tak by było, gdyby Indianie się zorientowali, że białym skończyła się amunicja. W tym momencie Hays, nie tracąc zimnej krwi, skrzyknął swoich ludzi i zapytał, czy komuś zostały jeszcze jakieś naboje. Jeden człowiek, Robert Gillespie, wysunął się do przodu i powiedział, że ma jeszcze kilka. Hays rozkazał mu zsiąść z konia i zastrzelić wodza. Tak właśnie uczynił Gillespie: z odległości trzydziestu kroków zrzucił strzałem wodza z konia. Reszta Indian „w dzikim przerażeniu, spowodowanym utratą swego przywódcy […], rozbiegła się we wszystkich kierunkach w pobliskich zaroślach”[348].

Kiedy opadł dym, na ziemi leżało dwudziestu zabitych Komanczów. Kolejnych trzydziestu odniosło rany. Hays miał jednego zabitego i trzech ciężko rannych. Jeden z jego głównych poruczników, Samuel Walker, został przebity komancką włócznią. Rangerzy rozbili w miejscu bitwy obóz, żeby zająć się rannymi. Trzy dni później pokazało się czterech Komanczów – być może chcieli zabrać zabitych kompanów. Hays zaatakował znowu i zabił trzech z nich.

Chociaż ludzie na pograniczu potrzebowali czasu, żeby zrozumieć, co się stało nad Walker’s Creek, a rząd Stanów Zjednoczonych czekał z tym aż do wojny z Meksykiem, to jednak nastąpiła fundamentalna zmiana, obalająca dotychczasowy paradygmat. Indianie mieli teraz do czynienia z wrogiem potrafiącym zestrzeliwać ich z grzbietów wierzchowców przy użyciu broni, której amunicja zdawała się niewyczerpana. Biali mogli teraz walczyć ze swoimi wrogami, nie zsiadając z koni i wykorzystując broń, z której można było strzelać z prawie taką samą częstotliwością jak z indiańskich łuków. Szanse się wyrównały, albo wręcz przechyliły na korzyść białych. Jak w 1846 roku Samuel Walker pisał w liście do Samuela Colta: „Do tego momentu ci odważni Indianie zawsze sądzili, że mają nad nami przewagę, jeden na jednego, na koniu. […] Starcie to porządnie ich wystraszyło, a nam pozwoliło podjąć z nimi walkę jak równy z równym”[349].

Jednak nikt poza mieszkańcami Republiki Teksasu nie dostrzegał tego, czego dokonał Sam Colt. W 1844 roku, pełne sześć lat po rozpoczęciu produkcji powtarzalnych rewolwerów, jego wynalazek zdawał się niepowodzeniem. Fabryka w Paterson, w New Jersey, zbankrutowała w 1842 roku. Colt zdołał zachować swe patenty, ale niewiele więcej. Wszystkie modele, prototypy i projekty sześciostrzałowców zaginęły

lub zostały zniszczone. On sam przez pięć lat żył w biedzie.

Ale była jeszcze nadzieja i Colt o tym wiedział. Wieści o tym, co Hays i jego ludzie wyprawiają z pomocą jego rewolweru, dotarły do niego na Wschodnie Wybrzeże. Był tym tak podekscytowany, że jesienią 1846 roku napisał do Samuela Walkera w Teksasie:

> […] z kilkoma pytaniami dotyczącymi Pańskiego doświadczenia z moją powtarzalną bronią oraz Pańskiej opinii na temat jej zastosowania przez żołnierzy w wojnie z Meksykiem. Tyle słyszałem o płk. Haysie i waszych wyczynach z bronią będącą moim wynalazkiem, że od dawna pragnąłem poznać Pana osobiście i usłyszeć z Pańskich ust prawdziwą wersję różnych przypadków, kiedy moja broń okazała się przydatna w stopniu większym niż przeciętny[350].

Pełen entuzjazmu Walker natychmiast odpisał, informując, jak skuteczne okazały się rewolwery podczas bitwy nad Walker's Creek. Swój list zakończył słowami: „Sądzę, że z pewnymi udoskonaleniami staną się najbardziej idealną bronią na świecie dla formacji konnych"[351]. Od tego momentu przyszłość projektów Sama Colta zaczęła się przedstawiać w o wiele jaśniejszych kolorach.

Wojna w Meksyku już trwała i Teksascy Rangerzy brali w niej udział na ochotnika, otrzymawszy zgodę generała Zachary'ego Taylora. Niebawem znaleźli się w ogniu walk po południowej stronie granicy. Wywarli wielkie wrażenie na żołnierzach amerykańskich w Meksyku. Nikt nie widział wcześniej czegoś podobnego. Nie nosili żadnych mundurów, mieli własną broń i wyposażenie i zawsze poruszali się na koniach. W przeciwieństwie do niemal wszystkich w armii woleli walczyć konno. Służyli głównie jako zwiadowcy, skutecznie przenosząc styl wojowania, którego nauczyli się od Komanczów, na ziemie na południe od granicy. Opowieści o ich odwadze, nieustępliwości i pomysłowości rozeszły się z Meksyku na cały świat. Brawurowy rajd Samuela Walkera z siedemdziesięcioma pięcioma ludźmi przez tereny, na których znajdowało się półtora tysiąca kawalerzystów meksykańskich, oraz brawura i zawziętość pułkownika Haysa w czyszczeniu dróg z meksykańskich partyzantów stały się tematem niekończących się rozmów w salonach od Chicago po Nowy Jork. Generał Taylor narzekał na ich samowolę, ale faktem było, że siali popłoch w szeregach wroga. Wszyscy się ich bali.

Największe wrażenie robiła broń rangerów. Pięciostrzałowe colty oraz umiejętność posługiwania się nimi z tak zabójczą skutecznością z grzbietu konia były przedmiotem podziwu wojskowych. Do tego stopnia, że armia zapragnęła teraz więcej rewolwerów, a dokładnie chciała ich tysiąc – wystarczającą liczbę do uzbrojenia wszystkich rangerów i innych Teksańczyków w Meksyku. Był tylko jeden problem. Colt od pięciu

lat nie stworzył żadnego rewolweru, żadnego modelu. Nie miał pieniędzy i nie miał fabryki, w której mógłby je produkować. Nie miał nawet jednego działającego egzemplarza któregokolwiek ze swych rewolwerów. Próbując zdobyć przynajmniej jedną sztukę, dał nawet ogłoszenie w nowojorskiej prasie – nadaremnie. Mimo to zaproponował armii sprzedaż tysiąca sztuk w cenie dwudziestu pięciu dolarów za sztukę. Z kontraktem w ręku w styczniu 1847 roku przekonał swego przyjaciela Eliego Whitneya do produkcji rewolwerów. Jemu samemu pozostało tylko zaprojektować nową broń.

I wtedy wydarzyło się coś brzemiennego w skutki. Colt poprosił Samuela Walkera, który akurat czasowo stacjonował w Waszyngtonie, o pomoc w przygotowaniu projektu. Colt napisał:

> Uznałem, że pański przyjazd do mnie byłby wskazany, zanim rozpocznę konstrukcję tej broni. […] Proszę zdobyć z departamentu nakaz przybycia do Nowego Jorku i pokierowania konstrukcją tej broni z uwzględnieniem udoskonaleń, które Pan zaproponuje[352].

Tak oto tych dwóch mężczyzn – zahartowany ranger z teksaskiego pogranicza i ambitny młody jankes z Connecticut – zostali współpracownikami. Walker miał mnóstwo pomysłów. Wyjaśnił Coltowi, że rewolwer musi mieć większy kaliber i powinien być cięższy, mocniejszy, mieć dłuższą lufę oraz dłuższą i pełniejszą rękojeść. Niektóre jego sugestie były bardzo szczegółowe: w liście do Colta z 19 lutego 1847 roku zalecił, by „tylna część była bardziej subtelna, a przednią zrobić z niemieckiego srebra[67] i nadać jej zupełnie inną formę”[353]. Colt zaś wymyślił sześć komór zamiast pięciu.

Rezultat, czyli colt Walkera, był jednym z najskuteczniejszych i najbardziej śmiercionośnych wytworów technologii, jaki kiedykolwiek wymyślono, i niebawem miał posłużyć do uśmiercenia większej liczby ludzi w walce niż jakakolwiek broń boczna od czasów krótkiego miecza rzymskiego[354]. Była to mała armata: miała olbrzymią dziewięciocalową lufę i ważyła cztery funty i dziewięć uncji[68]. W obrotowych komorach mieściły się stożkowate naboje .44, a każdy z nich ważył dwieście dwadzieścia granów[69]. Ładunek – pięćdziesiąt granów czarnego prochu – sprawiał, że nowy colt był równie śmiercionośny co karabin użyty z odległości do stu jardów[355]. Na lufie była wygrawerowana – prezent Sama Colta dla rangerów – scena z bitwy nad Walker’s Creek, tak jak mu ją opisał Samuel Walker. Widok rangera na koniu, trzymającego colta w dłoni, jest jednym z najsłynniejszych symboli wojny meksykańskiej. Oczywiście rewolwer pozwolił Coltowi podnieść się z upadku. Mimo że na tym zleceniu stracił kilka tysięcy dolarów, później stał się jednym z najbogatszych

ludzi w kraju. Samuel Walker zginął jako bohater od kuli snajpera 9 października 1847 roku w Huamantla, w Meksyku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wojna na śmierć i życie

Pewnego rześkiego i przyjemnego październikowego dnia na wysokiej prerii, nad krystalicznym potokiem, w miejscu, gdzie nigdy nie postała stopa *taibo,* kobieta imieniem Nautdah zabierała się do ćwiartowania bizonów, z których każdy ważył półtora tysiąca funtów. Ta ciężka praca była zadaniem kobiet, podobnie jak niemal wszystkie czynności związane z tym zwierzęciem, poza tropieniem i zabijaniem. Komanczki kroiły mięso na pasy, które potem suszyły. Garbowały skóry i wyprawiały futra, wyjmowały żwacz[70], ścięgna oraz szpik z kości i mózg (później go rozgniatały), a także wszelkie inne części tego olbrzymiego zwierzęcia, które stanowiło podstawę egzystencji Nermernuh. Jak się wydaje, kobiety wykonywały też wszystkie inne codzienne prace: gotowały, opiekowały się dziećmi i zajmowały końmi, zwijały obóz, kiedy konie wyjadły całą trawę w okolicy albo kiedy zbliżali się wrogowie. Brały również udział w walce, zwykle tylko w obronie; towarzyszyły wojownikom w wyprawach wojennych. Nautdah także robiła to wszystko.

Nie sposób osądzić, czy Nautdah była szczęśliwa albo czy szczęście zajmowało w ogóle jakieś miejsce wśród jej życiowych oczekiwań. Jej życie było niekończącą się serią ciężkich zadań, zawsze tych samych. Miewała też powody do radości, na przykład dzieci. Miała ich trójkę. Najstarszy, wysoki i silny chłopiec o imieniu Quanah, liczył dwanaście lat. Jego brat, Orzeszki, był o kilka lat młodszy. Najmłodsza była śliczna dziewczynka Toh-tsee-ah, czyli Kwiat Prerii, która dopiero uczyła się chodzić. Jeśli na surowym, brutalnym pograniczu istniało coś takiego jak szczęście, to bardzo prawdopodobne, że owa kobieta znajdowała je również w małżeństwie. Jej mąż, Peta Nocona, olbrzymi, ciemnoskóry, muskularny mężczyzna, był ważnym wodzem wojennym. Odpowiadał jej wysoki status społeczny męża. Korzystała z efektów jego polowań. Był świetnym jeźdźcem i miał wiele koni, co według standardów obowiązujących na Wielkich Równinach czyniło go bogatym. Musiała dzielić go tylko z jedną żoną, pełnej krwi Komanczką.

Był październik 1860 roku. Chociaż obywatele Stanów Zjednoczonych za miesiąc mieli wybrać Abrahama Lincolna na prezydenta, w ten sposób uruchamiając lawinę

wydarzeń politycznych, która rozerwała naród na dwie części i doprowadziła do przelania krwi miliona ludzi, to żadnej z tych rzeczy ani Nautdah, ani jej rodzina nie byli świadomi. Ona i jej lud dostrzegali jednak oznaki obecności białych. Świetnie wyczuwali dynamikę i nasilenie się osadnictwa, obecność obcych wojsk i zagrożenie z ich strony. Rozumieli, co oznacza to, że zwierzyna nie wraca na tereny łowieckie. Wszystko to widzieli jednak ze swych odległych równin, będących nadal olbrzymią połacią środkowej części amerykańskiego kontynentu, na której – co zdumiewające – życie nie podlegało zmianom. Życie, które Nautdah wiodła ze swoją rodziną, nie różniło się od życia komanckiej kobiety w 1760 roku albo – pod wieloma względami – w roku 1660. Nadal były bizony. Komancze nadal prowadzili wojny. Dziewięćdziesiąt pięć procent ich terytorium nadal niepodważalnie należało do nich.

Czytelnik ma prawo się zastanawiać, skąd wiadomo, jak wyglądał obóz Komanczów na dalekich równinach, w miejscu, gdzie biali ludzie ani nie mieszkali, ani nie podróżowali. Przedstawiony opis nie jest jednak wcale fikcyjny. Mimo że trudno było odszukać Cynthię Ann – a wraz z upływem czasu stawała się ona coraz słabszym wspomnieniem na szybko zmieniającym się pograniczu – istnieje sporo informacji na temat tego, co robiła w październiku 1860 roku. Wiemy dokładnie, gdzie przebywała, z kim była i co robiła, a także z dokładnością do kilkuset jardów znamy położenie obozowisk. Okoliczności te są znane za sprawą wydarzeń z dwóch kolejnych miesięcy i krwawej katastrofy, która miała na nią niebawem spaść. To oraz fakt, że została porwana przez Indian podczas ataku w 1836 roku, sprawiło, że kobieta urodzona jako Cynthia Ann Parker stała się jedną z najnieszczęśliwszych osób na świecie.

Ona sama nie przeczuwała tego, co miało nastąpić. Robiła to, co zawsze, i jeszcze przez kilka miesięcy mogła się cieszyć takim życiem, jakie od wieków wiodły kobiety Nermernuh. Żyła w wielkim, liczącym pięćset osób obozie Komanczów. Był on jednak czymś więcej niż obozem koczowniczym. Spełniał raczej funkcję bazy operacyjnej i magazynu zapasów dla różnych grup wojowników wyprawiających się na rajdy łupieżcze, był czymś w rodzaju stacji przeładunkowej, przez którą przechodziły towary, a także łupy, bydło i konie w drodze na różne rynki zbytu. Tutaj też przetrzymywano ukradzione konie[356]. Była to indiańska logistyka na wielką skalę – zgromadzono tu olbrzymie ilości wszelkich dóbr, od koni po buty i kiełbasy, co zdradzało poziom planowania i organizacji, o jaki Komanczów nie podejrzewano. Oto, co później znaleziono w obozie:

> […] wielką ilość suszonego wołowego i bizoniego mięsa, skóry bizonów […], olbrzymią liczbę bizonich mat, naczyń do gotowania, siekier, noży, tomahawków, narzędzi do oprawiania skóry, drewnianych misek, mokasynów, osełek, skórzanych toreb wypełnionych szpikiem z kości i mózgami, małych worków z zupą,

kiełbasami, zwierzęcymi wnętrznościami wymieszanymi z łojem i mózgiem i wiele innych rzeczy […][357].

Obóz Komanczów rozbito niedaleko rzeki Pease, która ma swoje źródła w Texas Panhandle, wije się na wschód wzdłuż północnego korytarza Teksasu i wpada do Rzeki Czerwonej. Tuż przed połączeniem się rzek, na południe od dzisiejszego miasteczka Quanah i około dziesięciu−dwunastu mil na północny wschód od miasteczka Crowell, krystaliczny, zasilany źródłami potok o nazwie Mule Creek wpada do rzeki Pease w długiej dolinie otoczonej poszarpanymi wzgórzami i porośniętej dębami, topolami i wiązowcami. Wioska Nautdah ciągnęła się kilkaset jardów w topolowym zagajniku wzdłuż potoku, jedną milę od miejsca, gdzie krystaliczna woda Mule Creek mieszała się ze słonawymi i przesyconymi gipsem wodami Pease. Była to ładna, rozległa kraina: szeroka, wyżynna preria poprzecinana rzeką i wzgórzami oraz strome skały wystające z potoku. Wioska Komanczów leżała mniej więcej sto dwadzieścia pięć mil na zachód od linii osadnictwa, jesienią 1860 roku przebiegającą tuż na zachód od Fort Worth.

Nautdah pracowała w krwi i brudzie. Czasami była pokryta od stóp do głów bizonim tłuszczem, krwią, szpikiem i tkanką – tak bardzo, że jej naturalnie jasne włosy i skóra stały się niemal czarne[358]. Teraz trudno byłoby zauważyć, że była białą kobietą w obozie indiańskim. Podczas pracy pilnowała też swoich dzieci. Wciąż karmiła piersią Kwiat Prerii. Jej synowie bawili się, ale byli też już na tyle duzi, by brać udział w polowaniach, czasami towarzyszyli też ojcu, Pecie Noconie, w jego wyprawach. On sam spędzał czas przede wszystkim na polowaniu i grabieży.

Jego łupieżcze zwyczaje są również znane. Przez całe lato i wczesną jesień prowadził serię szeroko zakrojonych niszczycielskich rajdów w hrabstwach między dzisiejszym Fort Worth a Wichita Falls w Teksasie. Jak na ironię, jeden z celów jego ataków, hrabstwo Parker, nosiło nazwę na cześć wuja jego żony, Isaaca Parkera, kolejnego z wybitnych Parkerów, który żył w Weatherford, stolicy hrabstwa[359]. Parker przybył do Teksasu w 1833 roku ze swoim ojcem Starszym Johnem oraz braćmi: Danielem, Silasem i Jamesem, oraz resztą rodu Parkerów. Służył Teksasowi jako wybierany poseł lub senator niemal bez przerwy od 1837 do 1857 roku. Odegrał pierwszorzędną rolę w uchwaleniu aktu założycielskiego nowego hrabstwa w 1855 roku[360]. Był bogatym i bardzo przystojnym mężczyzną o wyrazistych rysach twarzy. Znano go jako gawędziarza. Oczywiście Peta Nocona nie miał o tym wszystkim pojęcia.

Teraz przybył grabić dzieło swego powinowatego. Z lokalnych relacji wynika, że większość rajdów Nocony odbyła się nocą, podczas – już wtedy powszechnie używano tego określenia – pełni Komanczów. Tak wspomina to Hilory Bedford, mieszkaniec

hrabstwa Parker: „Podczas tych nocy, gdy świecił księżyc, ludzie byli potwornie przerażeni. Dobrze pamiętam czas, kiedy piękne noce z pełnią księżyca, zamiast być źródłem przyjemności, przeciwnie, budziły trwogę jak największe zło”[361]. Całe rodziny i osady zostały zgładzone. Rodziny Youngbloodów czy Rippych – na zawsze stracone dla historii – przestały istnieć. Pozostały po nich „pomniki” w postaci dymiących zgliszcz chat i zmasakrowanych nie do poznania ciał. Najeźdźcy uprowadzali bydło i konie – to był nieodłączny element większości najazdów w tym okresie. Bedford przypisywał ataki Pecie Noconie. Okolica ta była dawnym terenem łowieckim Nocony i jego wojowników, świetnie ją zatem znali. Schwytanie tych poruszających się nocą najeźdźców było prawie niemożliwe[362].

Najazdy te miały wielkie znaczenie także z tego względu, że – jak się wydawało – sterroryzowani biali na tym cyplu osadnictwa na zachód od Fort Worth nie potrafili nic zrobić, aby je powstrzymać. W marcu 1860 roku gubernator Sam Houston nakazał pułkownikowi Middletonowi T. Johnsonowi utworzenie pułku rangerów, by ukarać Indian na północnej i północno-zachodniej granicy stanu[363]. Rip Ford wprawdzie odniósł błyskotliwe zwycięstwo pod Antelope Hills dwa lata wcześniej i nadal chciał ścigać Komanczów na ich ziemi, tym razem jednak nie otrzymał wsparcia finansowego. Nadeszła kolej Johnsona, który zebrał pięć kompanii. Żołnierze pojechali na północ od fortu Belknap, który potraktowali jako swoją bazę. Nie jest do końca jasne, kogo Johnson zwerbował ani według jakich kryteriów, ale na pewno jego ludzie nie byli rangerami Haysa. Czekając z nadzieją na indiańskie rajdy, pogrążyli się w nudzie. Zaczęli pić i walczyć ze sobą na pięści i noże, grać w pokera i polować na bizony. Pułkownik Johnson w którymś momencie wziął długi urlop, żeby się ożenić w Galveston z uroczą bywalczynią salonów Louisą Power (po pierwszym mężu Givens). W czerwcu jeden pijany ranger postrzelił i ranił drugiego. O innym mówiono, że został zamordowany przez miejscowych wyrzutków albo zdezerterował. Trudno powiedzieć, co było prawdą. Mężczyźni organizowali tańce, podczas których odgrywali role zarówno mężczyzn, jak i kobiet[364].

Kiedy wreszcie w sile trzystu ludzi wyruszyli w teren, nie umieli znaleźć żadnych Indian. Przez całe lato Johnson i jego ludzie dawali się wodzić za nos, wyprzedzać i ogólnie upokarzać na różne sposoby, które zdumiewałyby starych rangerów. Według jednej relacji po którymś z nieudanych rekonesansów postanowili wracać do domu. Nie potrafili odszukać Pety Nocony, ale najwyraźniej on nie miał problemów z odnalezieniem białych. Nocą Indianie zaatakowali obóz rangerów i przegonili ich konie, zmuszając białych do odbycia drogi powrotnej przez równiny pieszo[365]. Innym razem, kiedy rangerzy jechali na północ w stronę Oklahomy, Indianie objechali ich od

południa i w ciągu czterech dni szaleńczych ataków zabili kilku osadników i ukradli siedemdziesiąt pięć koni. Rangerzy zawrócili, przyrzekając „zmieść Indian z powierzchni ziemi". Tymczasem Indianie podpalili prerię, niszcząc źródło pożywienia koni i zmuszając białych do powrotu do fortu Belknap[366]. Porażka oddziału Johnsona potwierdziła starą prawdę o Zachodzie – otóż wiedza, jak walczyć z Komanczami, rozchodziła się po pograniczu w najlepszym razie sporadycznie i nierównomiernie. O tym, o czym Jack Hays wiedział w 1839 roku, większość rangerów nie miała pojęcia jeszcze dwadzieścia lat później.

Mieszkańcy pogranicza byli wściekli. John Baylor, ekstrawagancki, zajadle antyindiański wydawca gazety „The White Man" w Weatherford, obrażał rangerów, określając ich jako „całkowicie nieszkodliwych" i twierdząc, że ich zatrudnienie było „najbardziej zdumiewającym oszustwem, jakiego dopuszczono się wobec mieszkańców pogranicza", oraz że wszystkie ich oczekiwania „skończyły się na pożeraniu przez rangerów wołowiny – w cenie jedenaście centów za funt – w ilościach dwukrotnie przekraczających ich wagę […], piciu brudnej wody i przeklinaniu dnia, w którym, w poszukiwaniu chwały żołnierskiej, dali się zwerbować do służby, a wszystko to podczas kampanii, która przyniosła śmierć dwóch obywateli oraz ślub dowódcy tego pułku". Baylor pisał dalej, że jeśli on i jego ludzie dorwą któregoś z rangerów, zwłaszcza Johnsona, to go powieszą[367]. Johnson zaś wydawał się bardziej zainteresowany swoim kwitnącym małżeństwem z Louisą Power[368]. Jego zakończone niepowodzeniami letnie ekspedycje dobrze pokazują, co się działo, kiedy to biali pisali historię wojen z Indianami. Johnsona prawie nie wymienia się w opowieściach o rangerach, a o jego ekspedycjach wspomina się tylko ogólnikowo. Dlaczego został zlekceważony bez mrugnięcia okiem? Nikt nie chce czytać o totalnym upokorzeniu instytucji Teksaskich Rangerów. Gdyby to Indianie pisali o północno-zachodnim pograniczu Teksasu w 1860 roku, prawdopodobnie określaliby ataki Pety Nocony jako imponującą z punktu widzenia taktyki walkę partyzancką i pewnie przypominałoby to słowa, jakimi późniejsi historycy opisywali wyczyny konfederackiego bojownika Nathana Bedforda Forresta.

Nocona, opromieniony zwycięstwami i zasobny w skalpy, bydło i konie, powrócił do swego obozu nad Mule Creek oraz do żony i trojga dzieci. Pod koniec listopada wyprawił się znowu na pogranicze, na wschód, prowadząc pięćdziesięciu pięciu wojowników. Tym razem najazdy były gorsze, okrutniejsze, zacieklejsze niż te z początku jesieni. Najeźdźcy uderzyli na zachód od Mesquiteville (dziś Jacksboro), wdzierając się gwałtownie na tereny zamieszkane przez osadników i zabijając każdego, kogo napotkali. W pobliżu Weatherford napadli na gospodarstwo Johna

Browna; ukradli jego konie, a jego samego zabili, wbijając mu włócznie w całe ciało i odcinając nos. Potem odjechali otwartą równiną w ulewnym deszczu i dotarli do miejsca zwanego Stagg Prairie, na zachodnim krańcu hrabstwa Parker[369]. Do tego najniebezpieczniejszego miejsca w Teksasie, najdalej wysuniętego skrawka pogranicza, gdzie rozlew krwi był na porządku dziennym, żółtodziób Ezra Sherman, niemający nawet rewolweru, postanowił sprowadzić swoją żonę Marthę i troje dzieci. 26 listopada siedemnastu wojowników z grupy Nocony pojawiło się przed domem Shermana. Rodzina Shermanów jadła właśnie obiad. Indianie weszli do środka, wymienili nawet uścisk dłoni z domownikami i poprosili o coś do jedzenia[370]. Shermanowie byli wystraszeni i nie rozumieli, co się dzieje, ale poczęstowali Indian. Posiliwszy się, Komancze kazali rodzinie wyjść, przy czym cały czas wykonywali przyjazne gesty. „Wynoście się – powiedzieli – wynoście się, nic się wam nie stanie". Siedmioletni syn Shermanów uciekł i ukrył się. Pozostali zaczęli uciekać tak szybko, jak tylko mogli, potykając się w siekącym deszczu, gdy biegli przez pole do najbliższej farmy[371].

Nie byli wystarczająco szybcy. Gdy przebiegli pół mili, Indianie znowu się pojawili. Schwycili Marthę, która była w dziewiątym miesiącu ciąży. Ezra z dwójką dzieci uciekali nadal, Indianie zaś zawlekli Marthę z powrotem w kierunku chaty, zatrzymali się jakieś dwieście jardów od domu, po czym ją zgwałcili. Kiedy skończyli, przeszyli kobietę kilkoma strzałami, a potem zrobili coś wyjątkowo okrutnego, nawet jak na nich. Oskalpowali ją żywcem, robiąc głębokie nacięcia pod uszami i zdzierając całą skórę z górnej części głowy. Jak później wyjaśniła, Indianie mieli z tym problem, dlatego zajęło im to wiele czasu. Krwawiąca Martha zdołała doczołgać się do domu – którego z powodu ulewy Indianie nie zdołali spalić – i tam ją odnalazł mąż. Żyła jeszcze cztery dni, podczas których była na tyle świadoma, by opowiedzieć sąsiadom, co ją spotkało. Urodziła martwe niemowlę. Zmarła prawdopodobnie na zapalenie otrzewnej: Komancze wiedzieli, co to było, i często celowali strzałami w pępek ofiary. Pół wieku później ranczer w hrabstwie Palo Pinto wspominał, że oskalpowana kobieta przedstawiała „straszliwy widok"[372]. Była jedną z dwudziestu trzech osób, które zginęły z rąk najeźdźców Pety Nocony w ciągu rajdu trwającego od 26 do 28 listopada.

Mieszkańcy pogranicza postrzegali śmierć Marthy Sherman jako przypadkowy i bezsensowny mord, dokonany na chrześcijance przez przedstawicieli ludu, który prymitywna, bezbożna i nieludzka natura popychała do takich czynów. Pani Sherman nikogo nie skrzywdziła. Nie miała nic wspólnego z wojowaniem. Jednak jej śmierć nie była ani przypadkowa, ani bezsensowna. Kobieta była w tym samym stopniu ofiarą

strzał i noży ludzi Pety Nocony, co starcia szerszych politycznych i społecznych procesów. Jej śmierć miała znaczenie. Była rezultatem bezprecedensowej inwazji białych osadników na Komanczerię, która dokonywała się pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku. Ziemia, na której żyła Martha Sherman, nie była jałowymi wzgórzami Edwards Plateau na zachód od Austin i San Antonio, gdzie rzadko spotykało się bizony. To była urodzajna, otwarta, porośnięta wysoką trawą preria poza Cross Timbers w północnym Teksasie, obejmująca pradawne pastwiska bizonów obfitujące w tę zwierzynę – Komancze walczyli o nie od początku XVIII wieku. Osadnicy stopniowo napierali na zachód, poza linię fortów zbudowanych na rozkaz rządu na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku. Wielki pęd nastąpił jednak pod koniec dekady, kiedy białe osadnictwo gwałtownie przesunęło się o pięćdziesiąt mil ku linii południka, który przebiega przez dzisiejsze Wichita Falls: o wiele dalej niż kiedykolwiek wcześniej biali ośmielili się zapuścić.

Świeżo wykończone chaty w hrabstwie Parker były widomym znakiem tej coraz silniejszej obecności białych. I choć Martha Sherman bez wątpienia była pełną dobrych chęci, pobożną kobietą, ona i Ezra byli elementem tej natarczywej, chaotycznej i bezczelnie agresywnej inwazji na terytorium wroga. Tak to postrzegali Komancze, ponieważ z ich perspektywy nie można było postrzegać tego inaczej. Tej jesieni bizony powędrowały na południe, zderzając się z osiedlami białych, co oznaczało, że Komancze żyjący dalej od granicy cierpieli głód. Krwawy nalot Pety Nocony na północny Teksas był więc aktem politycznym i przyświecały mu polityczne cele. Taki też charakter miała decyzja Shermanów – nawet jeśli nie w pełni sobie z tego zdawali sprawę – o zbudowaniu domu w zachodniej części hrabstwa Parker. Obie strony chciały tej samej ziemi, każda pragnęła, by druga ustąpiła, i żadna nie miała zamiaru dać niczego wartościowego w zamian. Rajdy Pety Nocony w 1860 roku były otwartą wojną o terytorium (wydarzenia w forcie Parkerów były przy tym niczym drobna potyczka między grupami zwiadowców). Na szalę rzucono wszystko. Rzeczywistość zmieniała się pod każdym względem[373].

Być może lepiej byłoby stwierdzić, że rzeczywistość eksplodowała. Kiedy w 1836 roku porwano Cynthię Ann Parker, populacja Teksasu liczyła około piętnastu tysięcy ludzi. Do roku 1860 wzrosła do 604 215 (w tym 182 921 to niewolnicy)[374]. Tylko w latach pięćdziesiątych przybyło mniej więcej czterysta tysięcy ludzi. W 1860 roku dokładnie 42 422 osoby mieszkające w Teksasie pochodziły spoza stanu. San Antonio było wówczas szybko rozwijającym się miastem z 8235 mieszkańcami[375]. Galveston, Houston i Austin rozkwitały, zmieniając się z błotnistych zaułków, po których biegały świnie, w coś, co zaczynało przypominać cywilizację miejską.

W 1836 roku w Teksasie istniało tylko kilka piaszczystych dróg, po których mogły poruszać się wozy. W roku 1860 takie drogi miały już tysiące mil długości, a do tego położono szyny kolejowe o długości dwustu siedemdziesięciu dwóch mil[376]. W momencie, kiedy porwani członkowie rodu Parkerów znikali na równinach, wydawano trzy gazety; teraz ukazywało się ich siedemdziesiąt jeden[377]. Mimo to ludność Teksasu była w większości wiejska, a mieszkańcy stanu zazwyczaj byli farmerami produkującymi na własne potrzeby. Ci, którzy żyli najbliżej granicy, budowali prymitywne podwójne chaty[71] albo szałasy z darniny, wszystko – z wyjątkiem narzędzi i broni – wytwarzali sami i wyszarpywali ziemi ciężkie i skromne życie. Przetrwali wiele koszmarów, które osadnicy na pograniczu Appalachów musieli wycierpieć sto lat wcześniej. I niezależnie od tego bez przerwy przybywali kolejni osadnicy – z Alabamy, Tennessee i innych miejsc na wschodzie. Tysiącami zbierali się na obrzeżach równin, które dotąd przez tyle lat były nienaruszalną barierą.

Jak pokazał najazd Pety Nocony, problem polegał na tym, że Komancze nadal ich patroszyli, torturowali, gwałcili i brali w niewolę, a niewiele wskazywało na to, by ktokolwiek w Urzędzie do spraw Indian w Waszyngtonie miał choćby blade pojęcie, co z tym zrobić. Trudno było to pojąć, skoro już dwadzieścia jeden lat wcześniej Jack Hays i jego rangerzy zaczęli walczyć z Indianami nowymi metodami. Co jakiś czas wysyłano oddziały żołnierzy z chwalebnym zadaniem złamania potęgi Komanczów na zawsze. Czasem nawet owi żołnierze odnajdowali Komanczów i wielu z nich zabijali. Ale z wypraw tych nigdy nic nie wynikało. Niczego nie powstrzymały. Niezmiennie brakowało determinacji, by ścigać wrogów aż do wnętrza ich mrocznej ojczyzny i tam zniszczyć.

Tak więc ataki Indian trwały, a po 1857 roku stały się jeszcze krwawsze. Przeprowadzali je głównie Komancze Yamparika, Kotsoteka, Nokoni i Quahada, którzy niezmiennie cieszyli się swobodą w swych siedzibach na dalekiej północy albo dalekim zachodzie. Indianie Kiowa, tak samo niedosięgli na północ od rzeki Canadian, również najeżdżali osadników, często razem z Komanczami. Stare wzory utrwalały się, tylko odrobinę zmodyfikowane, i nic tak naprawdę się nie zmieniało. Wielka fala amerykańskich osadników przelała się ze wschodnich wybrzeży przez Appalachy, a potem przez Missisipi. W krótkim okresie nadziei i optymizmu przekroczyła 98 południk – byli wśród nich Shermanowie i wielu innych. I wtedy nagle rozbiła się znowu o tę samą olbrzymią, dojmująco fizyczną barierę, która powstrzymała Hiszpanów, Francuzów, Meksykanów i pierwszych Teksańczyków: Wielkie Równiny. Tam – ciągnąc się aż do Kanady – zakotwiczone były potężne machiny wojenne

w postaci Siuksów, Arapahów, Komanczów, Kiowów i Szejenów.

Zanim w 1849 roku Jack Hays opuścił Teksas, by szukać szczęścia w Kalifornii, dowiódł – wielu powiedziałoby, że ostatecznie – iż Komanczów da się odszukać, ścigać aż do ich wiosek, walczyć z nimi za pomocą ich własnych metod i pokonać. Wynalazł nową formę prowadzenia wojny, a także niewiarygodnie skuteczne narzędzie zniszczenia: lekko uzbrojonych mężczyzn na lekkich i szybkich koniach, którzy nosili stare filcowe kapelusze, mieli niechlujne brody, spluwali tytoniem i nic sobie nie robili z przewagi liczebnej wroga. Hays przysposobił broń, której nie chciał nikt inny, i zamienił ją w podstawową broń boczną na pograniczu; dzięki niej Amerykański Zachód stał się zupełnie innym miejscem dla jego mieszkańców. Zanim jeszcze zakończyła się wojna z Meksykiem, przypadkowy obserwator mógł uznać, że fortuna odwróciła się od Indian i że Komancze, zamknięci teraz wewnątrz pulsującego amerykańskiego imperium i stojący naprzeciw zdeterminowanych ludzi, którzy wiedzieli, jak z nimi walczyć, szybko podzielą los wielu innych ludów tubylczych.

Nic takiego się nie stało. Jak gdyby nikt nie pamiętał, w jakim celu tylu młodych ludzi przelało swą krew. Nikt w Waszyngtonie nie pytał rangerów o zdanie. O Haysie, który w czasach gorączki złota ruszył na zachód i szybko został szeryfem w hrabstwie San Francisco, prawie wszyscy zapomnieli, przynajmniej na jakiś czas, podobnie jak o jego zaprawionych w boju towarzyszach. Teksaskich Rangerów rozwiązano i zastąpiono oddziałami armii Stanów Zjednoczonych. Oddziały rangerów nadal zwoływano od czasu do czasu, co zwykle oznaczało, że jakiś dowódca zbierał grupę ludzi na ekspedycję w niewielkim stopniu finansowaną przez stan – tak było w 1850, 1852, 1855, 1857 i 1858 roku. Jednak większość tych wypraw rzadko docierała do Indian. Czasem zdarzyła się niewielka potyczka z Lipanami, którzy najeżdżali osady na dalekim południu Teksasu. Sporadycznie dochodziło do walk z Komanczami. Jedna z tych wypraw zakończyła się zbiorową zdradą, kiedy jej uczestnicy przyłączyli się do feralnej ekspedycji pod wodzą pewnego okrytego złą sławą awanturnika, który zamierzał obalić rząd Meksyku. Eskapada skończyła się spaleniem meksykańskiego miasta pogranicznego Piedras Negras i hańbą, jaką ściągnęli na siebie owi rangerzy[378]. Walter Prescott Webb pisał, że rekruci z 1857 roku „praktycznie nie zostawili żadnego śladu obecności na pograniczu”. Jedna kompania zdołała odnaleźć małą grupkę Indian, „ale została zupełnie wyprowadzona w pole i pobita”[379]. Chwalebnym wyjątkiem była ekspedycja Ripa Forda z 1858 roku na północ od Rzeki Czerwonej, ale o niej będzie jeszcze dalej mowa.

Nieskuteczność rangerów w czasach po odejściu Haysa bladła jednak

w porównaniu z nieskutecznością wojska Stanów Zjednoczonych, któremu przez ponad dekadę udało się doprowadzić do zdumiewającego regresu. Okrutna, powolna śmierć Marthy Sherman jesienią 1860 roku miała też inne znaczenie: była wynikiem dziesięciu lat niekompetencji, głupoty i rozmyślnej ślepoty politycznej rządu.

Upadek przybrał wiele form. W 1848 i 1849 roku armia wysłała inżynierów do zbudowania linii pięciu fortów, od fortu Worth (był jednym z nich) po San Antonio. Pożytku z nich nie było żadnego, ledwie bowiem je wzniesiono, linia osadnictwa już je przeskoczyła.

Problem był też z ludźmi, których wyznaczono na załogi tych fortów. Po wycofaniu swych wojsk z Meksyku Stany Zjednoczone wysłały siedem kompanii żołnierzy regularnych, którzy zastąpili oddziały stanowe. Nowe wojsko składało się z różnych jednostek piechoty. Biorąc pod uwagę postęp w walce z Indianami na pograniczu teksaskim, jakiego dokonano w ciągu poprzednich dziesięciu lat, była to symptomatyczna decyzja. Mogli ją podjąć tylko mężczyźni w fularach i kamizelkach, którzy spożywali lunche w modnych hotelach i żyli dwa tysiące mil od granicy. Co więcej, byli to ludzie, którzy nie chcieli wojen z Indianami, a więc i zawodowych zabójców w rodzaju Bigfoota Wallace'a, polujących na czerwonoskórych na ich własnym terytorium. Niemal pod każdym względem nowi ludzie mający walczyć z Indianami stanowili antytezę ludzi Haysa.

Najlepszym przykładem była nowa „elita" armii, którą pchnięto na Zachód, mianowicie dragoni – uzbrojeni po zęby żołnierze piechoty, którzy na miejsce bitwy podjeżdżali konno, ale do walki zsiadali z wierzchowców. Bez wątpienia byli skuteczni, gdy stawali naprzeciw tak samo wyposażonego wroga, ale na pograniczu teksaskim stanowili szokujący anachronizm, jak gdyby przeniesiono ich wprost z dworu Ludwika XIV. Ubrani byli w „niebieskie kurtki w stylu francuskim, pomarańczowe furażerki, białe pantalony i nosili gęste wąsy"[380]. I tak jak muszkieterowie Ludwika XIV byli pełni galanterii, która mogła budzić śmiech.

Ich broń Hiszpanie i Meksykanie dawno temu uznali za bezużyteczną w starciu z konnymi wojownikami, a były to jednostrzałowe pistolety (najwyraźniej wojsko, w przeciwieństwie do ofiar amerykańskiej wojny z Meksykiem, nie całkiem pojęło znaczenie i wartość colta Walkera), błyszczące szable – równie nieskuteczne w walce z Indianami uzbrojonymi we włócznie długości czternastu stóp i łuki umożliwiające błyskawiczne wypuszczanie strzał – i najbardziej kuriozalny z tego wszystkiego karabinek kawaleryjski Springfielda, model 1842, wyjątkowo kiepska broń, która zawodziła z każdej odległości[72]. Ustawieni w imponującym szyku żołnierze piechoty nie byli jednak prawdziwymi kawalerzystami; zbyt ciężcy w siodle z trudem ujeżdżali

dwadzieścia pięć mil dziennie w pościgu za Indianami. Często musieli iść obok swych koni, żeby ich nie wyczerpać. Wojownicy, których ścigali – a pościg nigdy nie przynosił wojsku na Zachodzie rewelacyjnych rezultatów – mogli przejechać pięćdziesiąt mil w siedem godzin i sto mil bez przystanku. Powolni, ociężali dragoni nie mogli uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Pewien teksaski ranger zauważył, że żołnierze ci mogliby zagrozić Indianom tylko w jeden sposób: swym absurdalnym wyglądem i nieporadnością na koniu wywołując u Indian konwulsyjny śmiech, od którego ci by poumierali[381]. Jeden z dowódców rangerów napisał: „Posadzenie na koniach żołnierzy piechoty – a wielu nigdy wcześniej nie dosiadało wierzchowców – i wysłanie do walki z najlepszymi jeźdźcami w Stanach Zjednoczonych, Komanczami, było zupełnie chybionym eksperymentem. Mimo to armia Stanów Zjednoczonych tego spróbowała”[382]. Można tylko wyobrazić sobie, ile czasu potrzebowaliby rangerzy dowodzeni przez Haysa, Walkera albo McCullocha na rozniesienie w pył takich żołnierzy. Nie może więc zaskakiwać to, że nigdy nie złapali żadnego Indianina.

A i tak byli o wiele skuteczniejsi od piechoty stanowiącej największą część armii na pograniczu. Posłanie na zachód tego typu formacji było czymś osobliwym, ponieważ żołnierz piechoty walczący z szybkim konnym wrogiem w olbrzymim, otwartym kraju mógł co najwyżej strzelać z otworu w palisadzie. Taka defensywna taktyka była rozsądna w miejscach bardziej cywilizowanych niż zachodnie pogranicze. Okazała się jednak bezużyteczna w walce z Indianami na koniach, którzy nigdy nie byli tak głupi czy zdesperowani, by atakować federalne forty. Szybko nauczyli się je omijać. Jeszcze zanim ukończono budowę posterunków, mieszkańcy niektórych osad wzywali rangerów do ochrony. W 1849 roku jedna z gazet w Teksasie napisała, że „pomysł odpierania konnych Indian, najlepszych ekspertów w jeździe konnej na świecie, za pomocą żołnierzy piechoty jest idiotyczny”[383]. Sytuacji nie polepszał fakt, że większość tych ludzi pochodziła z ziem niemieckich lub Irlandii, wielu było kryminalistami, wiodło żałośnie demoralizujące życie i zmagało się bezskutecznie z chorobami, brakiem higieny i alkoholizmem.

Taka jednak polityka płynęła z Waszyngtonu. Cechowała ją głęboka ambiwalencja. W 1849 roku Departament Spraw Wewnętrznych (Home Department, później przemianowany na Department of the Interior) przejął od armii Urząd do spraw Indian. W zasadzie była to słuszna idea. Ale w rzeczywistości doprowadziła do tego, że powstały dwa konkurujące ze sobą ośrodki władzy. Głównym celem Urzędu do spraw Indian było uniknięcie wojen z Indianami na Zachodzie. Funkcjonariusze urzędu nie ufali wojsku i niespecjalnie przejmowali się obawami białych osadników w przekonaniu, że sami są sobie winni problemów z tubylcami. Popierali zaś

zawieranie traktatów z Indianami – im więcej, tym lepiej. Podobała się im idea trwałego pokoju niezależnie od galopującego najazdu osadników na terytoria indiańskie. A osadnicy chcieli pokoju, o ile miałby oznaczać całkowitą kapitulację Indian. Wojsko orientowało się lepiej, ale nic nie mogło zrobić. Do tego Urząd do spraw Indian toczyła głęboka korupcja; roiło się w nim od agentów, którzy nie widzieli niczego zdrożnego w wyłudzaniu prezentów, rocznych opłat i racji żywnościowych dla Indian – takie postępowanie często prowadziło do rozlewu krwi. W rezultacie od 1849 do 1858 roku prowadzoną politykę charakteryzowała zdumiewająca pasywność. Żołnierze nie mogli walczyć z Indianami, jeśli sami nie zostali zaatakowani albo jeśli nie mieli jednoznacznych dowodów, że Indianie byli zamieszani w przestępstwo.

Podejście rządu było całkowicie defensywne. Dlatego też nowe forty, zbudowane w linii stu mil na zachód i gotowe w 1852 roku[384], nie były skuteczniejsze niż poprzednie. A przynajmniej nie od razu. Chociaż samo ich wzniesienie wiele kosztowało, to na ich funkcjonowanie przeznaczano zazwyczaj zbyt małe pieniądze i obsadzano je zbyt skromnymi garnizonami. Żołnierzom piechoty właściwie pozostawało ćwiczenie musztry na dziedzińcu. Pościg pieszych oddziałów za Komanczami na koniach był bezcelowy. Forty zbudowano w celu powstrzymywania najazdów Indian na teksaskie pogranicze i na północny Meksyk, ale przez większą część lat pięćdziesiątych były nieskuteczne. Jak napisali Wallace i Hoebel, „oficerowie i żołnierze w zdumiewającym stopniu nie mieli pojęcia o podstawach prowadzenia wojny przez Indian na równinach”[385].

Nieudolność władz federalnych dotyczyła też traktatów, które nie różniły się od wszystkich poprzednich niedotrzymanych umów, które rząd Stanów Zjednoczonych zawierał od samego początku istnienia państwa. Pewien historyk wyliczył, że rząd zawarł i złamał w sumie trzysta siedemdziesiąt osiem traktatów[386]. Skutek niemal każdego traktatu był ten sam: cywilizacja białych dokonywała kolejnego kroku naprzód, cywilizację tubylców niszczono, podbijano, wypychano. Rząd składał obietnice, których nigdy nie był w stanie dotrzymać i nigdy zresztą nie zamierzał, a Indianie ginęli. To ponura historia. Pięć Cywilizowanych Plemion przegnano na zachód za pomocą serii traktatów, przy czym w każdym gwarantowano, że tym razem rząd dotrzyma swych obietnic i że nie będzie kolejnego Szlaku Łez[73]. Niektóre z negocjacji były zwykłą hipokryzją, inne – jak te, za które odpowiadał teksaski agent do spraw Indian Robert Neighbors – prowadzono uczciwie i w dobrej wierze, co wynikało z naiwności. Indianie zawsze chcieli porozumień, które trwałyby wieczność, a na pewno żaden biały, który kiedykolwiek podpisał jakikolwiek traktat, nie wierzył, że rząd mógłby coś takiego obiecać.

Na zawieranie bezsensownych traktatów z Komanczami zużyto wiele energii. Wystarczy krótki przegląd, by to sobie uświadomić. Pierwszy traktat zawarto w 1847 roku z Penatekami, którzy oczywiście nie mogli narzucić jego postanowień żadnej innej grupie. Warunki były takie jak zwykle: Indianie mieli oddać porwanych oraz zagrabione mienie, poddać się władzy Stanów Zjednoczonych i handlować wyłącznie z licencjonowanymi handlarzami. W zamian rząd przyrzekał, że żaden biały nie będzie mógł wkroczyć na terytorium Indian bez specjalnego pozwolenia podpisanego osobiście przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, że rząd przyśle im kowali, którzy zajmą się naprawą ich karabinów i narzędzi, oraz prezenty wartości dziesięciu tysięcy dolarów[387]. Oczywiście biali nigdy nie dotrzymali warunków traktatu. Można tylko się dziwić, że ktoś w ogóle wpadł na idiotyczny pomysł, by prezydent James K. Polk podpisywał przepustki dla każdego osadnika, który zamierzał wkroczyć na tereny Indian. Indianie zaś, jak zwykle, nie mogli przekraczać wyznaczonej granicy. Biali tymczasem żądali coraz więcej. Podobny traktat zawarto w 1850 roku, ale nie ratyfikował go Senat, co oznaczało, że wszystkie obietnice złożone przez Urząd do spraw Indian straciły znaczenie.

Traktat z 1853 roku był zwykłym oszustwem dokonanym przez obie strony. W myśl tego porozumienia, podpisanego przez „przedstawicieli" Komanczów z północnych odłamów, Kiowów i Kiowa-Apaczów, którzy nie mieli żadnego upoważnienia do godzenia się na cokolwiek w imieniu Komanczów, Stany Zjednoczone mogły budować drogi na ziemiach Indian, zakładać stacje przeładunkowe i forty oraz strzec imigrantów. W zamian agenci obiecali Indianom coroczne dostawy towarów o wartości osiemnastu tysięcy dolarów. Indianie zobowiązali się do zaprzestania ataków na terenach Stanów Zjednoczonych i Meksyku oraz do oddania wszystkich jeńców[388].

Żadna strona nie dotrzymała przyrzeczeń ani wcale nie miała takiego zamiaru. Obiecane coroczne dostawy towarów nie zostały zrealizowane, choć z pewnością ktoś w Urzędzie do spraw Indian zrobił na tym świetny interes. Indianie, którzy zapewne już dobrze orientowali się w sposobach działania białych, nigdy nie mieli zamiaru dotrzymać złożonych obietnic. Podobała im się perspektywa otrzymania prezentów i chcieli sprawdzić, ile zdołają dostać. Biali, co było do przewidzenia, odnieśli z tych traktatów pewną korzyść, ponieważ mogli teraz przedstawiać Indian jako tych, którzy łamią traktaty. Podpisali przecież dokument stanowiący, że nie będą najeżdżać osadników i oddadzą porwanych, a potem okazali się oszustami i nie dotrzymali zobowiązania (nie miało znaczenia, że zlekceważyli je też osadnicy, tak jak każdy inny traktat). „Naturalne przeznaczenie" – jako idea i jako projekt rozszerzenia imperium – oznaczało, że ziemia, cała ziemia, należała do białego człowieka. I biały człowiek

zrobił to, co robił od momentu, kiedy wylądował w Wirginii w XVII wieku: wdzierał się tak daleko w głąb terenów zamieszkanych przez Indian, jak tylko pozwalała mu na to jego odwaga albo indiańscy wojownicy. Wyobraźmy sobie alternatywę: rząd amerykański wysyłający wojska, by strzelały do bogobojnych osadników, którzy po prostu chcieli swojego kawałka amerykańskiego snu. Nic takiego oczywiście nigdy się nie stało.

Najlepsze, co zdołał wymyślić rząd Stanów Zjednoczonych, to osadzenie czterystu głodujących Penateków i tysiąca innych niedobitków z grup Wichita, Caddo i z nimi spokrewnionych w rezerwatach nad rzeką Brazos w 1855 roku[74]. Plan powstał w głowie Jeffersona Davisa, nowego sekretarza wojny w administracji prezydenta Franklina Pierce'a. Penatekowie – zdziesiątkowani kolejnymi falami chorób, przebywający na terenach, które opuściła zwierzyna, z kulturą skażoną przez kontakt z białymi najeźdźcami – dosłownie umierali z głodu. Inni, którzy nie zdecydowali się pójść do rezerwatów, ulegali coraz silniejszemu naporowi białych.

Plan ten pociągnął też za sobą konsekwencje przeciwne do zamierzonych. Komanczom kazano zamieszkać na dwudziestu tysiącach akrów nad Clear Fork, dopływie Brazos, między dzisiejszymi miastami Abilene i Wichita Falls. Dla koczowniczych łowców był to absurdalnie mały skrawek ziemi – zbyt mały, by hodować bydło, i w większości niezdatny do uprawy. Z tysiąca dwustu pozostałych przy życiu Penateków stawiło się tu tylko czterystu; pozostali, wystraszeni pogłoskami, że zostaną zabici, uciekli na północ od Rzeki Czerwonej wraz z niezmordowanym Garbem Bizona. Ci, którzy pozostali w rezerwacie, mieli zamienić się w szczęśliwych, przystosowanych rolników. Ale żaden Komancz nigdy nie marzył o sianiu i sadzeniu. Agentowi do spraw Indian Robertowi Neighborsowi rozkazano dać im bydło. Reakcja Sanaco, jednego z wodzów, którzy przybyli do rezerwatu, zdradza gorzką rezygnację Penateków:

> Przybyliście do mojego kraju i wybraliście mały kawałek ziemi, wokół którego poprowadziliście linię, i mówicie nam, że Prezydent daje go nam w prezencie, żebyśmy na nim żyli, choć każdy wie, że cały ten wielki kraj, od Rzeki Czerwonej po Kolorado, jest nasz i był nasz od niepamiętnych czasów. Myślę jednak, że jeśli Prezydent każe nam zamknąć się w tych wąskich granicach, będziemy musieli to zrobić[389].

Główny problem z teksaskimi rezerwatami wiązał się jednak z białymi, którzy mieszkali po sąsiedzku. Do 1858 roku rezerwaty zostały otoczone farmami i ranczami białych, którzy natychmiast zaczęli oskarżać Indian z rezerwatów o ataki przeprowadzane tak naprawdę przez grupy Komanczów z północy. Jesienią 1858 roku na pogranicze spadła cała seria krwawych najazdów – osiedle położone dwadzieścia

pięć mil od Fredericksburga zostało zrównane z ziemią. Osadnicy pod wodzą wspomnianego wcześniej Johna Baylora, nienawidzącego Indian wydawcy gazety, zorganizowali się i zagrozili wybiciem wszystkich Indian w obu rezerwatach. 27 grudnia 1858 roku grupa siedemnastu pokojowo nastawionych Indian z rezerwatu – z grup Anadarko i Caddo – została w czasie snu zaatakowana przez białych. Biali oddali w ich kierunku salwę, zabijając czterech mężczyzn i trzy kobiety. Odnaleziono sześciu morderców, ale nigdy nie przedstawiono im zarzutów. Panowało przekonanie, że żaden sąd nie skaże tych osób, a ich aresztowanie mogłoby doprowadzić do wielkiej rewolty na pograniczu. Baylor nie ustawał w prowokowaniu zamieszek. Posunął się nawet do oświadczenia, że zabije każdego żołnierza, który będzie próbował stanąć na jego drodze. Wiosną 1859 roku na terenach wokół rezerwatu zapanował terror. Wszędzie krążyły uzbrojone grupy białych polujące na tubylców. W maju kilku białych otwarło ogień w stronę grupy Indian. Zanosiło się na to, że jeśli Indianie tam pozostaną, to wybuchnie regularna wojna albo – co bardziej prawdopodobne – dojdzie do regularnej rzezi.

31 lipca agent Neighbors i trzy kompanie oddziałów federalnych wyprowadzili długą, dziwną i barwną procesję Indian z rezerwatów nad Brazos. Indianie mieli tam już nigdy nie powrócić. Widok był jednocześnie wspaniały i żałosny. Trzystu osiemdziesięciu czterech Komanczów i tysiąc stu dwunastu Indian z innych grup[390] poruszało się wolno w drgającym, rozgrzanym powietrzu prerii, ciągnąc ze sobą *travois*, tak jak to robili przez setki lat. Przekroczyli Rzekę Czerwoną 8 sierpnia, a 16 dotarli do nowego rezerwatu nad rzeką Washitą w pobliżu dzisiejszego Fort Cobb w Oklahomie. Następnego dnia Neighbors wrócił do Teksasu, by złożyć raport. Kiedy przebywał w Fort Belknap, Edward Cornett, który nie zgadzał się z polityką Neighborsa wobec Indian, podszedł do niego i strzelił mu w plecy.

Pod każdym względem John Salmon „Rip” Ford był jedną z najniezwyklejszych postaci na Zachodzie. Bywał lekarzem, wydawcą gazety, posłem i senatorem stanowym, zawziętym zwolennikiem Konfederacji i eksploratorem; przetarł szlak z San Antonio do El Paso, który potem nazwano jego imieniem. Był burmistrzem Brownsville, delegatem na Konwencję Konstytucyjną w 1875 roku oraz dyrektorem stanowej szkoły dla głuchoniemych. Był też rozjemcą. Raz bronił Indian z rezerwatu nad Brazos przed fałszywymi oskarżeniami ze strony miejscowych białych, potem jednak odmówił – mimo nakazu sędziego okręgowego Teksasu – aresztowania człowieka odpowiedzialnego za zabicie niewinnych Indian z grup Caddo i Anadarko[391]. Rip Ford był człowiekiem o wielu obliczach i każde z nich było bardzo wyraziste.

Najbardziej jednak zasłynął z walk z Indianami i Meksykanami. Wstąpił do nowo formujących się rangerów Jacka Haysa w 1836 roku i doszedł do stopnia porucznika. Ponownie służył pod Haysem jako jego adiutant w czasie wojny z Meksykiem – wtedy też zyskał swój przydomek. Do jego zadań należało wysyłanie rodzinom informacji o śmierci żołnierzy i często dodawał pod spodem *Rest in Peace* („Niech spoczywa w pokoju"). Ponieważ musiał pisać dużo takich listów, zaczął stosować skrót „R.I.P". Wiele osób było przekonanych, że te inicjały oznaczały wszystkich Indian, których zabił. Po wojnie ponownie przyłączył się do rangerów, awansował na kapitana i zajął się ściganiem meksykańskich bandytów oraz Indian na granicy. Choć był wykształcony i miał ogładę, wyglądał na twardziela; można go było sobie wyobrazić w obozie bez ogniska, rozbitym pośród wapiennych skał górzystego kraju z Haysem, McCullochem i innymi rangerami, budzącego się w mroźny poranek, żeby tropić i zabijać Komanczów. Miał szeroką twarz z głęboko osadzonymi oczami, zagiętym nosem, odstającymi uszami i wąskimi, zaciętymi ustami. Lubił nosić strój z futer zwierzęcych oraz długą, wąsko przystrzyżoną brodę. Czasami wkładał cylinder. Znany był z aplikowania żołnierzom ostrej musztry.

W styczniu 1858 roku, kiedy Teksas pozbierał się po ostatniej fali komanckich najazdów, jakie spadły na hrabstwa Erath, Brown i Comanche, przed Fordem niezwłocznie postawiono zadanie wybawienia pogranicza. Teksas miał dość porażającej niekompetencji rządu federalnego i nieudolności w powstrzymywaniu ataków Indian. Czarę goryczy przelała decyzja armii z 1857 roku, aby wysłać znaczącą część oddziałów federalnych z Teksasu – większość drugiego pułku kawalerii – na północ, do stanu Utah, w celu poskromienia rewolty mormonów[392]. Komancze świetnie pojęli znaczenie tego ruchu i ich ataki jeszcze bardziej się nasiliły.

Tego już było za wiele. Teksańczycy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Wydzielono sumę siedemdziesięciu tysięcy dolarów i zwerbowano stu mężczyzn na sześciomiesięczną służbę. Dowodzić nimi miał Ford, który przyjął nominację na starszego kapitana rangerów[75]. Ich zadanie było bardzo nietypowe. W ostatnich latach każda znacząca ekspedycja militarna przeciw Komanczom była odpowiedzią na konkretne najazdy. Należało złapać i ukarać napastników – chodziło po prostu o wymierzenie sprawiedliwości. Ford i jego ludzie mieli zaś przejść na północ przez Rzekę Czerwoną, zapuścić się daleko na terytorium Komanczów i zadać im potężny cios. Gubernator Teksasu Hardin Runnels oznajmił Fordowi: „Podkreślam, że konieczne jest działanie, i to stanowcze. Idźcie za każdym śladem wrogich albo podejrzanych Indian, na jaki tylko natraficie, i jeśli tylko się da, dogońcie ich i – jeśli będą zachowywać się nieprzyjaźnie – skarćcie ich"[393]. Przekaz był całkiem klarowny.

Runnels wzywał w istocie do regularnej wojny z Indianami, otwarcie lekceważąc politykę rządu. Rozkazy gubernatora przywodziły na myśl działania Jacka Haysa dwadzieścia lat wcześniej, kiedy przeczesywał górzysty kraj w poszukiwaniu Indian i atakował każdego, kto mu się nawinął. Teksańczycy nie dbali już o to, czy rangerzy złapią jakichkolwiek Indian na gorącym uczynku. Teraz chodziło o to, żeby wyprowadzić solidne zapobiegawcze uderzenie. Trzeba ich było ścigać daleko w głąb ich ojczyzny, aż do ich obozów.

Z takim nastawieniem miał działać Ford. Zwerbował najlepszych ludzi, jakich zdołał znaleźć, każdego uzbroił w dwa rewolwery i karabin i podszkolił ich w strzelaniu i taktyce[394]. Mieli zachowywać się tak jak dawni rangerzy: stosować nieprzyjemne, ostre i brutalne metody – metody Haysa. Ford wziął też stu trzynastu przyjaznych Indian, głównie Tonkawów pod wodzą Placida, oraz Indian Caddo i Anadarko, na czele których stał Jim Pockmark. Przyłączyło się nawet kilku Szaunisów. Podobnie jak Hays Ford często korzystał z pomocy Indian, o których później napisał, że „są ludźmi o ponadprzeciętnej inteligencji, posiadającymi drobiazgową wiedzę o geografii i topografii tego kraju”[395]. 29 kwietnia 1858 roku, jadąc za szerokim wachlarzem indiańskich wojowników i zwiadowców („szpiegów” według ówczesnej nomenklatury), Ford i jego kolumna przekroczyli Rzekę Czerwoną, lawirując między olbrzymimi połaciami ruchomych piasków. Fakt, że nie mieli żadnego prawa do działania poza Teksasem, był dla nich bez znaczenia[396]. 10 maja zwiadowcy przynieśli dwie strzały, które Indianie natychmiast rozpoznali jako należące do Komanczów z odłamu Kotsoteka. 11 maja wytropili mały obóz Komanczów nad rzeką Canadian. Ford poruszał się jak ranger: zachowując ciszę, nie rozpalając ognisk albo pozwalając na to bardzo rzadko, rozsyłając zwiadowców w promieniu dwudziestu mil. W oddziale rangerów nie było też oczywiście zgiełku, dumnej ostentacji i ciągłego dęcia w żołnierską trąbkę, elementów charakteryzujących ekspedycje regularnego wojska. Armia uczyła się stylu pierwszych rangerów, ale robiła to bardzo powoli. Żołnierze zawodowi nadal stąpali po prerii tak, że cała okolica o tym wiedziała.

12 maja Tonkawowie Forda zaatakowali i szybko zniszczyli obóz, zabijając kilku Indian, a innych biorąc do niewoli. Dwóch Komanczów uciekło w pełnym galopie, kierując się w stronę rzeki Canadian. Rangerzy i Indianie z rezerwatu pognali za nimi i ścigali ich w pełnym galopie przez trzy mile. Przemknęli przez rzekę i niebawem zatrzymali się naprzeciw wielkiego obozu Kotsoteków, który rozciągał się na długość mili wzdłuż strumienia. Był to uroczy zakątek: krystalicznie czysty strumień wpadał w dolinę rzeki; za północnym brzegiem wznosiły się malownicze Antelope Hills, skąpane w świetle wschodzącego słońca. Tutaj, w sercu swego terytorium, Komancze

nie spodziewali się ataku. Biali mieli przed sobą nie łatwo przemieszczający się obóz wojenny, ale prawdziwą wioskę – z kobietami i dziećmi oraz mięsem bizonów suszącym się na drewnianych konstrukcjach przed tipi. Dwustu trzynastu ludzi stało naprzeciw czterystu wojowników Kotsoteka.

Ford posłał najpierw swych indiańskich sojuszników. Chodziło o to, aby – jak sam to ujął – „wywołać wśród Komanczów wrażenie, że będą mieli do czynienia wyłącznie z Indianami oraz łukami i strzałami”[397].

Podstęp najwyraźniej się udał. Główny wódz Komanczów Pobishequasso, czyli Żelazna Kurtka, wysunął się z kłębiącej się masy jeźdźców i podjechał do przodu. Żelazna Kurtka był nie tylko wodzem wojennym, ale też wielkim szamanem. Zamiast skórzanej bluzy nosił stalową kolczugę, element wiekowej zbroi hiszpańskiej. Miał łuk i włócznię, a na głowie pióropusz z długimi, czerwonymi flanelowymi wstążkami. Na twarzy miał też wymalowany wyszukany wzór[398]. Jego koń – według opisu Forda – był okryty „wspaniałym czaprakiem”[399]. Gdy podjeżdżał do napastników, wzywał na pomoc swą magiczną moc, prowadząc konia w kółko i wydając na koniec głębokie westchnienie. Mówiono o nim, że potrafił dmuchnięciem powstrzymać strzałę zmierzającą do celu. Kule i strzały się od niego odbijały; Żelazna Kurtka miał być niepokonany. I faktycznie przez krótką chwilę tak się wydawało. Rangerzy i Indianie strzelali do niego, ale bezskutecznie. Jeden z uczestników bitwy wspominał potem, że salwy z pistoletów „odbijały się [od jego zbroi] jak kulki gradowe od blaszanego dachu”[400]. Wódz wykonał jeszcze jedno kółeczko i ruszył do przodu. Ale teraz Indianie Forda, uzbrojeni w sześciostrzałowe rewolwery i karabiny z Missisipi, zdołali trafić do celu. „Powietrze rozdarło około sześciu wystrzałów – pisał Ford – koń wodza skoczył do przodu jakieś sześć stóp i padł. Rozległa się kolejna salwa i już było po szamanie Komanczów”[401].

Efekt był do przewidzenia i nie trzeba było na niego długo czekać. Komancze z głównego obozu krótko stawiali opór, a potem rzucili się do ucieczki, wystraszeni nieskutecznością magii swojego wodza. Teraz walczono w pędzie: znacznie lepiej uzbrojeni, goniący rangerzy i ich indiańscy sprzymierzeńcy wyłuskiwali Kotsoteków na koniach, uciekających przez otwartą prerię i nadrzeczne zarośla. Bitwa rozciągała się na obszarze osiemnastu mil kwadratowych i szybko przerodziła się w serię pojedynczych starć, w których wielokrotnie przeładowywane sześciostrzałowce .45 i odtylcowo ładowane karabinki dawały rangerom olbrzymią przewagę nad Komanczami dysponującymi łukami i włóczniami. Indianie też mieli broń palną, ale były to stare jednostrzałowe muszkiety, z których można było wypalić tylko raz. Indianie walczyli mężnie. Koncentrowali się na osłanianiu odwrotu kobiet i dzieci.

Kobiety ginęły razem z mężczyznami. Ford zauważa, że „nie było łatwo odróżnić indiańskich wojowników od *squaws*”, co ma znaczyć, że rangerzy nieświadomie zabijali kobiety. To nieprawda. Kobiety potrafiły jeździć równie dobrze jak mężczyźni i świetnie strzelały z łuków. Często ginęły, uczestnicząc w walce (tak samo jak sto lat później kobiety w czasie wojny wietnamskiej), poza tym zawsze potencjalnie mogły się do walki włączyć. Oczywiście Tonkawowie, Szaunisi i inni Indianie nie mieli podobnych skrupułów w odniesieniu do zabijania kobiet. Wojna na Wielkich Równinach zawsze była walką na śmierć i życie. W bitwie-pogoni zginęło siedemdziesięciu sześciu Komanczów, a wielu więcej zostało rannych. Straty rangerów wyniosły zaledwie dwóch zabitych i trzech rannych. Liczba zabitych „przyjaznych” Indian nie została nigdy odnotowana.

W tym momencie wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Z jarów i pobliskiego zagajnika naprzeciw ludzi Forda wyłoniła się inna grupa Komanczów, tak samo wielka albo jeszcze większa niż pierwsza. Legenda mówi, że na jej czele stał Peta Nocona, ale brak na to dowodów. To, co nastąpiło, było odwieczną rytualną walką, jaką biali rzadko mogli obserwować. Komancze – pojedynczo, w pełnym rynsztunku – wyjeżdżali do przodu na równinę, wykrzykując obelgi pod adresem rezerwatowych Indian i wyzywając ich na pojedynki. Skutecznie. Ford tak o tym pisał:

> Scena ta nie daje się opisać. Przypominała brutalne i honorowe czasy błędnych rycerzy. O podobieństwie świadczyły tarcze, włócznie, łuki i pióropusze, wierzgające wierzchowce i wiele innych elementów. A kiedy walczący ruszyli na siebie, wyzywając się nawzajem, jedynie ogłuszający huk karabinów odróżniał to wydarzenie od średniowiecznej bitwy. Tak upłynęło pół godziny i żadna ze stron nie odniosła poważniejszych strat[402].

Zaraz potem wróciły nowe czasy. Rangerzy natarli, wszyscy naraz, huknęły strzały i linia Komanczów została przerwana. Walka i pogoń toczyły się na dystansie trzech mil, bez ofiar po żadnej stronie. Konie Forda były wyczerpane. Komancze wycofali się, by lizać rany.

Walka Forda zapisała się w historii Teksasu jako bitwa pod Antelope Hills i zyskała sławę z kilku powodów. Potwierdziła wyższość Teksańczyków nad Komanczami i uwypukliła niekompetencje wojska i Urzędu do spraw Indian. Przypieczętowała sławę Ripa Forda i, co najważniejsze, przypomniała sprawdzone, ale z jakichś powodów zapomniane metody Jacka Haysa. Ford pisał potem do Runnelsa: „Komanczów można śledzić, dogonić i pobić, pod warunkiem że ścigający będą wytrwali, czujni i gotowi do poświęceń”. Krótko mówiąc, należało się zachowywać i walczyć jak rangerzy z przełomu lat trzydziestych i czterdziestych.

Bitwa pod Antelope Hills zwróciła też uwagę na drażliwy problem polityczny: kto lepiej nadaje się do patrolowania pogranicza – żołnierze federalni czy Teksańczycy? W tym samym roku Sam Houston oznajmił z nieskrywaną pogardą na forum Senatu Stanów Zjednoczonych, że Teksas nie chce więcej oddziałów federalnych: „Dajcie nam tysiąc rangerów i sami weźmiemy odpowiedzialność za obronę naszej granicy. Teksas nie chce oddziałów federalnych. Wycofajcie je". Z ripostą pośpieszył Jefferson Davis, senator z Missisipi i sekretarz wojny, przywołując problemy wojska z dyscypliną wśród rangerów podczas wojny z Meksykiem. Davis rzekł: „Gdyby generał poszedł dalej i przypomniał, że nieregularna kawaleria [rangerzy] zawsze prowokowała niepokoje w okolicach obozu, byłoby to tylko potwierdzeniem moich obserwacji"[403].

Jednak udana wyprawa Forda boleśnie użądliła armię, ponieważ wskazywała – a nawet dowiodła – że Houston miał rację. Ford uczynił to, czego nikt inny w wojsku amerykańskim nigdy nie zrobił, czyli tropił Komanczów na ich własnym terytorium. To sprawiło, że armia wydała drugiemu pułkowi kawalerii rozkaz powrotu z Utah: teraz to on miał się wyprawić na Komanczów na północ od Rzeki Czerwonej.

Ekspedycja od początku miała charakter polityczny. Rajd Forda skłonił głównodowodzącego wojskami federalnymi w Teksasie, zażywnego, lubiącego ziemskie przyjemności generała Davida Twiggsa, do uzyskania pozwolenia od naczelnego dowództwa armii w West Point na porzucenie obronnej taktyki, którą armia była zmuszona stosować od 1849 roku. Zorganizowano więc oddział odwetowy w forcie Belknap pod dowództwem eleganckiego, jasnowłosego i egoistycznego Earla Van Dorna z Missisipi, który później wsławił się jako generał major Konfederacji. Do pięciu kompanii żołnierzy dołączyło stu trzydziestu pięciu przyjaznych Indian pod wodzą zdecydowanego, ambitnego dwudziestolatka, studenta college'u Sula Rossa. Wyruszyli na północ 15 września 1858 roku. Tropili Garb Bizona, wodza Penateków, który wydawał się niezniszczalny i odmówił pójścia do rezerwatu, a teraz przeprowadzał rajdy z innymi grupami Komanczów. Zwiadowcy z plemienia Wichita szybko znaleźli wielką wioskę Komanczów rozłożoną niedaleko wioski Wichitów. Komancze byli zupełnie nieświadomi zagrożenia.

Było tak, ponieważ dopiero co zawarli traktat z kapitanem Williamem E. Prince'em, dowódcą pobliskiego fortu Arbuckle położonego nieco na wschód. Kiedy zawzięty Van Dorn szykował się w forcie Belknap do zadania Komanczom śmiertelnego ciosu, - Prince spędzał wśród nich miło czas i negocjował pokój z wodzami tej samej grupy: Garbem Bizona, Włosami Ściętymi z Jednej Strony i Za Wzgórzami. Ani Van Dorn, ani Prince nie wiedzieli nawzajem o swoich poczynaniach[404]. Wichitowie i Komancze,

zadowoleni, że – jak się wydawało – przynajmniej przez jakiś czas będzie pokój i nie nastąpią ataki, takie jak ten niedawny Ripa Forda, biesiadowali, handlowali, uprawiali hazard i ogólnie niczym się nie przejmowali. Nie mieli pojęcia, że nadciągają żołnierze i współpracujący z nimi Indianie Van Dorna i Rossa. Włosy Ścięte z Jednej Strony kilkakrotnie był informowany o ich pozycji i sile, ale przemyślawszy sprawę, uznał, że biali nigdy by ich nie zaatakowali zaraz po zawarciu z nimi traktatu. Duchy nie słały żadnych znaków ostrzegawczych. Byli bezpieczni. Poszli spać.

Następnego dnia o poranku żołnierze Van Dorna przypuścili wściekły atak. Ross i jego Indianie przepędzili konie Komanczów, co sprawiło, że większość wojowników musiała walczyć pieszo. Była to bardziej masakra niż walka. Dwustu żołnierzy znalazło się w wiosce, strzelając do tipi, podczas gdy Indianie rozpaczliwie próbowali – jak zawsze – osłonić odwrót swych rodzin. Zginęło siedemdziesięciu Indian, nie wiadomo, ilu odniosło rany. Garb Bizona zdołał uciec z większością swych wojowników. Rangerzy mieli czterech zabitych, dwunastu rannych, w tym Van Dorna, któremu strzała przebiła brzuch, oraz Rossa z dwoma ranami postrzałowymi. Obydwaj musieli pozostać na miejscu bitwy przez pięć dni, żeby wrócić do zdrowia[405]. Żołnierze spalili sto dwadzieścia tipi, a także cały zapas amunicji Komanczów, naczynia do gotowania, ubrania, wygarbowane skóry zwierzęce, zapasy kukurydzy i innego pożywienia. Ci Komancze, którzy zdołali uciec, uratowali tylko to, co mieli na sobie, i wielu wędrowało pieszo, ponieważ żołnierze pochwycili także trzysta komanckich koni[406].

Chociaż to, co spadło na Komanczów, można określić mianem okrutnego podstępu, armia ogłosiła chwalebne zwycięstwo. Teksaskie gazety wcale nie były tego pewne. Jedna z nich opublikowała opinię, że starcie – które zaczęto nazywać bitwą o wioskę Wichita – „zapewne na jakiś czas powstrzyma najazdy łupieżcze na osady na pograniczu”, ale utrzymywała, że „koniec wojny przyniesie dopiero uderzenie, po którym nastąpią szybkie, zdecydowane działania”[407]. Na te działania długo jeszcze trzeba było poczekać. 5 listopada 1858 roku, zaledwie siedem tygodni później, sam Sul Ross stwierdził, że od czasu bitwy Komancze ukradli ponad sto koni z osad w północnym Teksasie. Gwałtowne najazdy indiańskie z jesieni 1858 roku, które spowodowały wojnę Johna Baylora z rezerwatowymi Indianami, przynajmniej częściowo stanowiły zemstę za atak Van Dorna[408].

Mimo to zarówno akcja Forda, jak i Van Dorna zawierały jasne przesłanie. Przede wszystkim jedna i druga miały całkowicie ofensywny charakter. Po raz pierwszy zademonstrowały wolę przekroczenia Rzeki Czerwonej w pościgu za Komanczami oraz pokazały, że taka taktyka pozwala przynajmniej na zabicie Indian. Miało się dopiero okazać, czy to wystarczy do powstrzymania indiańskich najazdów. Obie

kampanie dowiodły też, że ulepszenie broni, szczególnie wykorzystanie sześciostrzałowców i odtylcowo ładowanych karabinków, radykalnie zmieniło stosunek sił. Skoro dwustu ludzi było w stanie zmierzyć się z dwukrotnie liczniejszą grupą Komanczów i pobić ją, to o czymś to świadczyło. Jack Hays oczywiście udowodnił to w 1844 roku nad Walker’s Creek. Ale do tej pory nikt o tym nie pamiętał.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Biała królowa Komanczów

Morderstwo Marthy Sherman – nawet jak na rok 1860 jedno z najkrwawszych na pograniczu – było wstrząsające. Może dlatego, że padła ofiarą zbiorowego gwałtu i tortur, będąc w zaawansowanej ciąży. Może też z powodu poronienia albo dlatego, że w ciągu kilku dni, które zdołała przeżyć, sama opowiedziała o tym, co się jej przytrafiło, a okrutne szczegóły błyskawicznie rozeszły się po hrabstwach Parker, Jack i innych. Jakakolwiek była przyczyna, zaraz po najeździe Komanczów na domostwo Shermanów rozpętało się piekło. Ludzie wpadli w panikę. Uciekali z pogranicza najszybciej, jak tylko mogli. W swym dzienniku pod datą 28 listopada dwudziestoośmioletni nauczyciel Jonathan Hamilton Baker zapisał: „Wszystko wskazuje na to, że nasze hrabstwo szybko się wyludni”[409]. Karawany wozów już ruszały, hrabstwa pustoszały. W ciągu kilku dni pozostawiono w okolicy około stu gospodarstw. Większość ludzi żyjących na zachód od Weatherford uciekła na wschód, opuszczając, jak to ujął jeden z ranczerów, „najdalszą placówkę na pograniczu”[410].

Ale nie każdy wyjeżdżał. Niejaki Charles Goodnight, dwudziestoczterolatek, który w przyszłości miał się stać jednym z najsłynniejszych hodowców krów w Teksasie i jednym z organizatorów wielkich spędów bydła, gnał na swym koniu zimną deszczową nocą, zwołując ludzi do pościgu za napastnikami. Znalazł ośmiu śmiałków, którzy spotkali się następnego ranka w domu pewnego starego człowieka, Isaaca Lynna. Córka i zięć Lynna zostali niedawno brutalnie zamordowani przez Komanczów. Kiedy Goodnight wszedł do domu, zastał gospodarza „siedzącego przy wielkim ognisku rozpalonym w staroświeckim kominku z bierwionami, w ręku trzymał długi rozwidlony dereniowy drąg, na który był wbity skalp jakiegoś Indianina, obficie nasolony. Włosy były wsadzone do środka. Gdy obracał go powoli dookoła ognia, skapywał z niego topiący się tłuszcz. […] Spojrzał przez ramię, powiedział: »Dzień dobry«, i wrócił do przypiekania skalpu. Nie sądzę, abym kiedykolwiek widział smutniejszą twarz”. Od śmierci córki Lynn stał się kolekcjonerem skalpów i prosił ludzi o przynoszenie mu wszelkich indiańskich skór, jakie mieli. Podpiekał je, żeby się nie zepsuły. Pogrążał się w nienawiści i rozpaczy, podobnie jak wielu innych na ociekającym krwią

pograniczu[411].

Goodnight i jego ludzie wyruszyli natychmiast, by odnaleźć trop Pety Nocony. Nie było to trudne, ponieważ Indianie uprowadzili także sto pięćdziesiąt wierzchowców. Komancze, którzy zwykle bardzo się pilnowali, żeby nie wykryto ich śladów, rozpraszając swe stada, gdy docierali do twardego, skalistego albo pokrytego żwirem terenu, szybko przekroczyli linię, poza którą ścigający indiańskich grabieżców biali nigdy dotąd nie odważyli się zapuścić. W tym momencie stracili czujność i – według słów Goodnighta – „zaczęli jechać razem". Goodnight i jego ludzie pokonali co najmniej sto dwadzieścia mil na otwartych preriach, przekraczając bystre, zimne rzeki. Padało bez przerwy. Nie mieli jedzenia ani nic, na czym mogliby spać, a w którymś momencie zorientowali się, że zbliżają się do wielkiego obozu Indian, w którym jest o wiele więcej ludzi niż w grupie Pety Nocony. Była to wioska Nautdah nad Mule Creek, wielki skład i punkt przeładunkowy towarów z najazdów łupieżczych na pogranicze. Zadowoleni, że znaleźli kryjówkę Indian, a także świadomi tego, że nie mieliby szans w starciu z mieszkańcami wioski, Goodnight i reszta zawrócili[412].

Szybko przygotowano wielką ekspedycję. 13 grudnia w forcie Belknap zebrało się czterdziestu rangerów, dwudziestu jeden regularnych żołnierzy z drugiego pułku kawalerii z fortu Cooper i około siedemdziesięciu ochotników – okolicznych mieszkańców, wśród których był Goodnight w roli zwiadowcy. Wszystkimi dowodził Sul Ross, który – jak pamiętamy – ponad dwa lata wcześniej zwerbował zwiadowców indiańskich do wyprawy Van Dorna, będąc jeszcze studentem Florence Wesleyan University w Alabamie. Ross wykazał się odwagą w czasie bitwy pod Antelope Hills, odniósł wtedy ciężką ranę i w ten sposób zyskał sławę. Wybrał go osobiście gubernator Sam Houston, zastępując niekompetentnego i pochłoniętego amorami Middletona Johnsona, pod którym Ross wcześniej służył. Powierzenie zadania Rossowi okazało się świetnym posunięciem zarówno dla niego, jak i dla Houstona, i przekonało ludzi, że gubernator stara się jakoś rozwiązać problem z Komanczami. Ross wykorzystał to jako odskocznię do wspaniałej kariery. W przyszłości miał zostać najmłodszym generałem Konfederacji, lubianym gubernatorem Teksasu, dwukrotnie wybieranym na ten urząd, a także dyrektorem Uczelni Rolniczej i Mechanicznej w Teksasie (Agricultural and Mechanical College, dzisiaj Texas A&M). Teraz jednak miał wielu wrogów, zwłaszcza wśród podżegaczy Johna Baylora, którzy uważali go za przyjaciela Indian i grozili mu powieszeniem, jeśli go tylko dopadną. Sam Ross mierzył wysoko. W napisanym później liście, zawierającym więcej niż szczyptę pychy, twierdził:

> Za wszelką cenę chciałem podjąć próbę powstrzymania tych zuchwałych i nieprzejednanych wrogów Teksasu. […] Planowałem osiągnąć to, podążając za nimi do ich twierdzy i przenosząc wojnę do ich własnych domów, tam, dokąd Indianie ci, najgroźniejsi najeźdźcy na całym pograniczu, wycofywali się z jeńcami i łupami, do ich dzikich kryjówek wśród wzgórz i dolin pięknych rzek Canadian i Pease[413].

Można by pomyśleć, że w jego głowie już kotłowały się przemówienia i slogany na użytek kampanii politycznych.

Kawalkada podążała na północ w dojmującym zimnie, przez pokryte jadłoszynem prerie poprzecinane jarami i wapiennymi graniami. Był to otwarty teren, bury i zimny. Młody nauczyciel Baker, który przyłączył się do ochotników, pisał później o „jałowych wyżynnych preriach z nie najgorszymi dolinami wzdłuż potoków, gdzie trawa była dobra. Na naszej trasie nie było żadnych drzew czy krzewów, z wyjątkiem małych wiązowców w dolinach i karłowatych jadłoszynów na preriach”[414]. Widzieli tysiące bizonów. Woda w rzekach Big Wichita i Pease była „słona i zasadowa” i miała okropny smak. Nocą ściskał mróz: mężczyźni otuleni kocami i futrami bizonów trzęśli się przy małych ogniskach. Przekraczali rzeki po śladach bizonów, żeby uniknąć grząskiego gruntu[415]. 17 grudnia nadciągnęły deszcze, gęste mgły i na krótko cieplejsze powietrze, a 18 grudnia nocą szalała burza z piorunami. Następnego ranka Goodnight znalazł poszewkę na poduszkę z paskiem małej dziewczynki i Biblią Marthy Sherman w środku. Dlaczego Indianie mieliby zabrać Biblię? Zdaniem Goodnighta tarcze Komanczów, zrobione z dwóch warstw najtwardszej niewyprawionej skóry z karku bizona utwardzonej w ogniu, były niemal nie do przebicia kulami, jeśli dodatkowo wypchano je papierem. Komancze podczas plądrowania domów zawsze zabierali wszystkie książki, jakie tylko znaleźli[416].

19 grudnia rangerzy i żołnierze z drugiego pułku kawalerii, jadący przed ochotnikami długą doliną flankowaną pasmem piaskowych wzgórz, zauważyli obóz indiański, który wcześniej widział Charles Goodnight ze swymi ludźmi. Mieli szczęście: nadszedł porywisty wiatr z północy – taki, z jakich słynęły równiny – a wraz z nim pojawiły się kłęby piasku, które przesłoniły pozycje żołnierzy[417]. Goodnight za pierwszym razem obliczał, że Indian w obozie mogło być pięciuset, ale teraz było ich o wiele mniej. Nieliczni, których teraz biali mogli dostrzec, ładowali dobytek na konie i muły, szykując się do odjazdu, nieświadomi obecności wrogów. Widząc to, Ross rozkazał sierżantowi obejść z grupą żołnierzy obóz od drugiej strony, żeby zablokować Indianom możliwość ucieczki.

Następnie na czele sześćdziesięciu ludzi zaatakował Indian, których według późniejszych szacunków było zaledwie piętnastu. Wielu z nich zginęło, zanim w ogóle zdołali sięgnąć po broń. Inni ruszyli prosto na zaczajonych żołnierzy, którzy rozprawili

się z nimi w kilka sekund. Znalazłszy się wśród Indian w obozie, biali zorientowali się, że większość z nich stanowią kobiety. Było też paru starców i kilku wojowników. Z raportu Goodnighta wynika, że rangerzy pozostawili przy życiu większość kobiet (choć nie wszystkie), na które się natknęli. Żołnierze zaś zabijali każdego Indianina, jaki im się nawinął, nie zważając na płeć. Goodnight opisał to następująco:

> Sierżant i jego ludzie [z drugiego pułku kawalerii] rzucili się na *squaws*, a było ich sześć−osiem, które nigdy nie zdołały przekroczyć pierwszego zakrętu rzeki. Były tak bardzo obładowane mięsem, tyczkami do namiotów i ekwipunkiem obozowym, że ich konie nie były w stanie biec. Wydawało się nam, że niosły około tysiąca funtów bizoniego mięsa będącego w różnych stadiach wędzenia. Sierżant i jego ludzie zabili je wszystkie, wyglądały jakby zwalone na stos[418].

Starcie trwało tylko kilka minut i właściwie należałoby je nazwać rzezią, a nie regularną walką. Uczestnicy zapamiętali kilka interesujących szczegółów. Nieliczni wojownicy, którzy pozostali w obozie, użyli swych koni jako osłony, stojąc za nimi, kiedy i one stały, a kiedy zostały zastrzelone, padając[419]. W którymś momencie kilkanaście obozowych psów zaatakowało żołnierzy, zaciekle próbując obronić swych panów. Niemal wszystkie zostały zastrzelone.

Bitwa skończyła się krótką pogonią. Ross i porucznik Tom Kelliheir ścigali ostatnich trzech Indian, którzy wskoczyli na dwa konie. Po przejechaniu mili dogonili jednego z nich, jadącego na wspaniałym stalowoszarym ogierze. Ross już miał strzelić, kiedy Komancz, a właściwie Komanczka – jak się okazało – trzymająca na ręku małe dziecko, zatrzymała konia i − zależnie od tego, której wersji wierzyć – albo rozchyliła nakrycie z bizoniej skóry, żeby pokazać piersi, albo krzyknęła „Americano! Americano!”. Być może zrobiła jedno i drugie. Tak czy inaczej, przyniosło to skutek: Ross nie strzelił. Kazał Kelliheirowi zostać z kobietą i dzieckiem, a sam pomknął za pozostałymi dwoma Indianami jadącymi na jednym koniu. Szybko ich dogonił i wypalił ze swego wojskowego colta, trafiając siedzącego z tyłu jeźdźca, który także okazał się kobietą. Padając, pociągnęła za sobą drugiego jeźdźca. Był to wielki mężczyzna, w pełni uzbrojony. Z jego wcześniejszego zachowania i sposobu, w jaki wykrzykiwał polecenia, wynikało – jak ocenił Ross – że był głównym wodzem, i tak właśnie wyglądał. Był nagi do pasa w górę i ciało miał pokryte jaskrawymi barwnikami. We włosach miał dwa orle pióra, nosił naszyjnik z bitego złota z wytłoczonym wzorem żółwia, szerokie złote obręcze na ramionach i nogawki ze skóry młodej sarny wykończone puklami ludzkich włosów[420]. Zdołał wylądować na obu nogach, chwycił za łuk i wypuścił kilka strzał. Ross tak opisywał dalsze wypadki:

> Mój koń, pędzący w zawrotnym tempie, już prawie był na [tym człowieku], kiedy trafiła go strzała, która

wstrząsnęła jego ciałem, i tylko z wielkim trudem zdołałem utrzymać się w siodle, jednocześnie cudem uchylając się przed kilkoma strzałami, które wódz wypuszczał szybko jedna za drugą. […] Zabiłby mnie, gdyby nie przypadkowy wystrzał z mojego pistoletu, który roztrzaskał mu ramię na wysokości łokcia, całkowicie go unieszkodliwiając. Mój koń wyzionął ducha, a ja strzeliłem do wodza jeszcze dwa razy. Zareagował na to, wchodząc na małe drzewo, jedyne w okolicy, i opierając się na nim, zaczął śpiewać dziką, dziwaczną pieśń. […] Ponieważ wyglądało na to, że wolał śmierć od życia, kazałem meksykańskiemu chłopcu zakończyć jego cierpienie strzałem z karabinu[421].

Inne relacje ukazują nieco bardziej złożoną wersję dramatu: Ross i wódz mieli rozmawiać przez tłumacza, wódz powiedział: „Poddam się, kiedy umrę, nie wcześniej", a nawet, używając zdrowej ręki, próbował rzucić w Rossa włócznią. Tak czy inaczej, Indianin szybko zmarł. Petę Noconę rozpoznał w nim człowiek o imieniu Anton Martinez, służący Rossa. Martinez jako dziecko został porwany przez Komanczów i twierdził, że był niewolnikiem w rodzinie Pety Nocony. Ostateczny rachunek bitwy to dwunastu zabitych Indian, trzech schwytanych. Trzecim był dziewięcioletni chłopiec. Straty Komanczów, którzy odchodzili do swych zimowych obozowisk, były szokujące: sześćdziesiąt dziewięć mułów obładowanych mięsem bizona – ponad piętnaście tysięcy funtów – oraz trzysta siedemdziesiąt koni[422].

Teraz Ross wrócił do miejsca, w którym Kelliheir pilnował kobiety i jej dziecka. Kobieta była brudna, pokryta odpadkami i tłuszczem z powodu zajmowania się olbrzymią ilością krwawiącego mięsa. Ale ku swemu zdumieniu Ross zauważył, że ma niebieskie oczy. Dostrzegł też, że pod grubą warstwą brudu jej krótko obcięte włosy są jaśniejsze od czarnych włosów indiańskich. Była biała! Nie dowierzając swemu odkryciu, zabrał ją z powrotem do tego, co zostało z jej wioski, plądrowanej zawzięcie przez żołnierzy, którzy zdejmowali też skalpy zabitym Indianom, mężczyznom i kobietom. Skalpowanie stało się już normalną praktyką po obu stronach. Prawo do skalpu Pety Nocony rościło sobie dwóch mężczyzn, więc zdecydowali się przeciąć go na pół[423].

„Białą *squaw*" następnie zabrano do miejsca, w którym zabito Petę Noconę. Zalała się łzami i zaszlochała nad jego zwłokami. Żołnierze nie pozwoli jej tam zostać. Zaprowadzili ją z powrotem na miejsce bitwy i pozwolili przejść między zmasakrowanymi zwłokami. Cały czas trzymała na ręku dziecko i szeptała coś w języku Komanczów. Zawyła głośno tylko wtedy, gdy zobaczyła ciało młodego wojownika, który wyglądał na białego. Kiedy mówiący po komancku Martinez zapytał, kto to jest, odparła tajemniczo: „Jest moim chłopcem i nie jest moim chłopcem". Później wyjaśniła, że był synem innej białej dziewczyny porwanej przez Indian, która została żoną jednego z nich. Kobieta zmarła, ale wcześniej poprosiła Nautdah, żeby się

zaopiekowała chłopcem, jakby był jej własnym synem.

Potem opowiedziała Meksykaninowi, jak się tu znalazła. Wedle relacji rangera Franka Gholsona w czasie ataku była z dwoma chłopcami – tłumacz podał ich imiona jako Quanah i Orzeszki (Grassnut). Uciekli razem z innymi kobietami i dziećmi. „Gdy ujechałam kawałek drogi – opowiadała Martinezowi – zorientowałam się, że nie ma obu moich chłopców. Wróciłam, żeby ich odnaleźć, zbliżając się, jak tylko mogłam, do miejsca bitwy. W ten sposób mnie złapano. Jestem zrozpaczona. Boję się, że zostali zabici”[424]. Ross, którego ludzie nie zabili nikogo, kto by tak wyglądał, zapewnił ją, że obaj żyli. Nie przestawała szlochać. Przecież już po raz drugi w swoim życiu musiała patrzeć na zmasakrowane i oskalpowane ciała swych bliskich. Po raz drugi została wzięta do niewoli przez obcych jej ludzi, których języka nie rozumiała.

Przez Martineza powiedziała Rossowi, że pamięta, jak jej ojciec zginął w bitwie wiele lat wcześniej, a ona sama z bratem została porwana. Te i inne szczegóły kazały Rossowi podejrzewać, że kobieta może być „dawno temu zaginioną Cynthią Ann Parker”. Potem kobieta zamilkła. Gholson napisał też, że „sprawiła im wiele kłopotów, próbując uciec”. W którymś momencie Jonathan Baker zauważył na ziemi mały, misternie wyszyty koralikami mokasyn. Podniósł go i zaczął go oglądać, kiedy zauważył, że Nautdah bacznie go obserwuje. Wtedy zorientował się, że jej dziecko nie ma jednego buta. Dziewczynka przydreptała do niego, a on podał jej mokasyn[425]. Nautdah miała ciężkie życie, ale znalazła czas i energię, żeby zrobić ten kunsztowny bucik. Następnego dnia mężczyźni spalili wszystko, czego nie mogli zabrać, i ruszyli w drogę powrotną.

Zabrali kobietę ze sobą do fortu Belknap, a stamtąd do fortu Cooper, gdzie zajęła się nią żona dowódcy placówki. Ranger A. B. Mason, który towarzyszył jej w tej podróży, zapamiętał, że po przybyciu „siedziała jakiś czas bez ruchu, zatracona w głębokiej medytacji, obojętna na wszystko dookoła, jej ciałem co jakiś czas wstrząsały konwulsje, powodowane jakby potężnymi emocjami, które próbowała okiełznać”[426]. Mason spisał relację z tego, co Cynthia Ann powiedziała urzędnikom w forcie Cooper – ukazała się 5 lutego w „Galveston Civilian”. Nie ma wątpliwości, że jego tekst został odpowiednio zredagowany, ale przedstawił jej słowa następująco:

> Pamiętam, że jako mała dziewczynka spędzałam wiele czasu w domu ogrodzonym dookoła płotem ze sztachetami; pewnego dnia jacyś Indianie przybyli do domu. Mieli białą szmatę na kiju. Mój ojciec wyszedł, żeby z nimi porozmawiać, otoczyli go i zabili. Moją matkę i czwórkę jej dzieci wzięli do niewoli; wieczorem matkę i dwójkę jej dzieci odebrał jakiś biały człowiek. Mój brat zmarł wśród Indian na ospę, żyłam z Indianami na północ od Santa Fe. Mam troje dzieci[427].

Myliła się, twierdząc, że to jej ojciec rozmawiał z Indianami – w istocie wyszedł do nich wuj Benjamin. Myliła się też w kwestii rzekomej śmierci na ospę swego brata Johna; rodzina wykupiła go z powrotem we wrześniu 1842 roku. Ale wszystko inne zapamiętała drobiazgowo. Być może zdezorientowała ją gwałtowność ataku, ale pamiętała go całkiem dobrze. Pamiętała widok umierającego ojca.

Ross posłał natychmiast po wuja Cynthii Ann Isaaca Parkera. Tymczasem kobiety z fortu Cooper postanowiły ją umyć – wydarzenie to dostarczyło nieco zabawnego wytchnienia w całej tej tragedii. Znalazły dla niej ubrania, wezwały „starą nianię – Murzynkę", żeby ją wyszorowała mydłem i gorącą wodą. Potem uczesały jej włosy i podsunęły lustro. „Najwyraźniej poddawała się temu wszystkiemu bez protestów, dopóki nie pojawiła się możliwość wydostania się z tego pomieszczenia – pisał Gholson w swych wspomnieniach. – Kiedy tylko nadeszła sposobna chwila, rzuciła się do drzwi i wyminęła Murzynkę". Skierowała się ku swemu namiotowi, który był oddalony o dwieście czy trzysta jardów, zdzierając w biegu ubrania, aż prawie nic na niej nie zostało, za nią zaś biegła niańka, rozpaczliwie wymachując myjką, trzy oszołomione żony oficerów przyglądały się przedstawieniu, a niemowlę, „na które nikt nie zwracał specjalnej uwagi", dreptało za nimi[428]. Nautdah dotarła do namiotu, w którym znalazła swoje stare ubranie, i czym prędzej je włożyła. Żony oficerów dały za wygraną i odtąd nie próbowały już jej upiększać.

Kiedy przybył Isaac Parker, kobieta siedziała na sosnowej skrzynce, z łokciami na kolanach i głową opartą na rękach. Nie zwracała uwagi na zebranych mężczyzn do momentu, gdy Parker wymówił jej imię. Na ten dźwięk wstała, spojrzała prosto na niego, dotknęła swej piersi i powiedziała: „Ja Cincee Ann". Powtórzyła to i znowu usiadła. Zgodziła się odpowiedzieć na pytania o atak na fort Parkerów. Źle podała niektóre szczegóły, ale dobrze pamiętała, że porwanych zostało pięć osób: dwie dorosłe kobiety i troje dzieci. Potem poproszono ją, żeby opisała fort Parkerów. Odpowiedziała za pomocą patyka, którym zrobiła szkic, stawiając kropki i kreski. Potem nabrała w usta wody z manierki i zaznaczyła nią strumień, który płynął za fortem. „Panowie – orzekł Isaac Parker – sam nie mógłbym zrobić równie dobrego rysunku starego fortu"[429].

Bitwę nad rzeką Pease, jak górnolotnie nazwano tę małą potyczkę, Teksańczycy od dawna uważają za jedno z ważniejszych wydarzeń historycznych. Powrót legendarnej „białej *squaw*" oznaczał dla białych w pełni satysfakcjonujące zakończenie wielkiej epickiej opowieści. Biedna Cynthia Ann, dziewczynka, która stoczyła się w stan pogańskiej dzikości, została wreszcie przywrócona swej kochającej i bogobojnej

rodzinie. W kolejnym stuleciu o niezwykłej historii niewoli Cynthii Ann Parker u Komanczów będzie się nauczać w teksaskich szkołach.

Po bitwie doszło jeszcze do kilku interesujących wydarzeń, które miały wielkie znaczenie dla przyszłości. Quanahowi i jego bratu udało się je przetrwać. Po walce Goodnight zorientował się, że dwóch Indian uciekło na grzbiecie konia. Młody ranger z dziesięcioma zwiadowcami dotarli za nimi do obozu Komanczów w Texas Panhandle. Chociaż Goodnight nigdy nie poznał ich tożsamości, niemal na pewno byli to Quanah i Orzeszki[430]. Inne dziecko uczestniczące w walce, dziewięcioletni komancki chłopiec, zostało zaadoptowane przez Sula Rossa i jego żonę. Nazwali go Pease. Opiekował się koniem generała Rossa podczas stu trzydziestu pięciu starć wojny domowej, poślubił byłą niewolnicę, został szanowanym obywatelem Waco i zmarł w 1883 roku[431].

Starcie nad Pease zaczęto też niesłusznie postrzegać jako punkt zwrotny w wojnie z Komanczami. W jednej z ówczesnych pełnych uniesienia relacji stwierdzono: „Tak potoczyła się wielka bitwa nad rzeką Pease z wielkim wodzem Komanczów Petą Noconą: naprzeciw licznych zastępów Indian stanął dzielny kapitan Ross z sześćdziesięcioma rangerami. W walce zabito większość wojowników – nigdy wcześniej nie odniesiono podobnego zwycięstwa nad tymi Komanczami”[432]. W opisie samego Rossa bitwa przyjmuje niemal mityczne rozmiary. „Owoców tego ważnego zwycięstwa nigdy nie da się przeliczyć na dolary i centy – pisał później. – Wielka konfederacja Komanczów została złamana na zawsze, uderzenie było decydujące, ich znamienity wódz odszedł do krainy swych ojców, a wraz z nim większość jego nieustraszonych wojowników”[433].

Była to wierutna bzdura. W 1864 roku nastąpiła zmasowana fala najazdów Komanczów – pod tym względem właśnie on był najgorszym rokiem w historii Stanów Zjednoczonych. Lata 1871 i 1872 również były fatalne. W roku 1874 wojsko Stanów Zjednoczonych wysłało trzy tysiące żołnierzy przeciw Komanczom – największą armię, jaką kiedykolwiek przyszykowano do ścigania wrogich Indian. Chociaż Ross wykazał się wielką osobistą odwagą w pojedynku z Petą Noconą, indiańscy wrogowie w bitwie nad rzeką Pease składali się głównie z kobiet, które zastrzelono, gdy próbowały uciec na obładowanych koniach. H. B. Rogers pisał w swych wspomnieniach: „Uczestniczyłem w walce nad rzeką Pease, ale nie jestem z tego zbyt dumny. To w ogóle nie była bitwa, ale zabijanie *squaws*. Zabiliśmy jednego czy dwóch mężczyzn oraz szesnaście *squaws*. Indianie szykowali się właśnie do drogi, kiedy na nich napadliśmy”[434].

W następnych tygodniach i miesiącach „bitwę” szeroko opisywano w teksaskich

gazetach. Żadna z nich nie zająknęła się na temat ofiar. Zważywszy na ówcześnie panującą antyindiańską histerię, mało prawdopodobne jest to, by kogokolwiek one obchodziły. Interesująca była jednak powszechna wiara Teksańczyków, że Sul Ross, bohater tej bitwy i przyszły gubernator, ocalił biedną, nieszczęsną Cynthię Ann od tragicznego losu. Przekonanie to miało przez wiele lat zabarwiać opowieści o tym wydarzeniu.

Nigdy się nie dowiemy, co czuła Cynthia Ann Parker w miesiącach po schwytaniu przez Sula Rossa. Istnieje niewiele porównywalnych wydarzeń w historii Ameryki. Jednak od samego początku aż nazbyt oczywiste było to, że prawdziwą tragedią w jej życiu była nie pierwsza niewola, ale druga. Biali nigdy tego naprawdę nie zrozumieli. Wydarzeniem, które złamało jej życie, nie był atak na fort Parkerów w 1836 roku – było nim cudowne i wysławiane „uratowanie" nad Mule Creek w 1860 roku. To drugie wydarzenie przyniosło śmierć jej męża, rozdzieliło ją na zawsze z ukochanymi synami i umieściło w kulturze, w której była więźniem w stopniu większym niż kiedykolwiek u Komanczów. Przed atakiem Rossa wiodła tak samo prymitywne życie jak wszyscy Indianie Wielkich Równin. Pakowała na muły tysiące funtów bizoniego mięsa, pokryta od stóp do głów krwią i tłuszczem, dosłownie zanurzona w pierwotny świat, który nigdy na dobre nie wyszedł z epoki kamienia łupanego – świat nieustannego znoju, głodu, walk i śmierci, która nadchodziła wcześnie. Ale był to też świat czystej magii, ceremonii bobra i tańców orła, duchów, które zamieszkiwały w źródłach, drzewach, skałach, żółwiach i wronach; miejsce, w którym ludzie tańczyli całą noc i śpiewali pieśni magii niedźwiedziej, w którym magia wilcza chroniła człowieka przed kulami, wizje senne dyktowały politykę grupy, a duchy poruszały się wraz z wiatrem. Na trawiastych równinach i w lesistych dolinach rzek od Kansas po Teksas Cynthia Ann – Nautdah wędrowała w mistycznych cyklach pór roku, żyjąc w tym chaotycznym, przerażająco krwawym i intensywnie pełnym życia miejscu, gdzie to, co naturalne, i to, co nadprzyrodzone, stapiały się w jedno.

I nagle wszystko to znikło. Obozy, niezmienione od czasów epoki kamienia łupanego, pogrążone w magii, tabu i wonnym dymie z jadłoszynowych ognisk rozpalanych w tipi, zostały zastąpione przez bawialnie z krzesłami w taftowych narzutach na dalekich obrzeżach rewolucji przemysłowej. Teraz siedziała na jednym z takich krzeseł, przepytywana przez uprzejmego, nierozumiejącego jej białego mężczyznę, który wierzył w jedynego Boga i absolutnie racjonalny wszechświat, gdzie wszystko dawało się wyjaśnić. Ta nowa kultura była jej dokładnie tak samo obca jak ta, w której się znalazła po tragicznych wydarzeniach w forcie Parkerów. Było tak, jak

gdyby znowu przeszła przez drzwi do innego świata, uporządkowanego w tym samym stopniu jak ten, który opuściła, i we wszystkich zadziwiających szczegółach całkowicie odmiennego.

Isaac Parker szybko zyskał przekonanie, że kobieta, którą schwytał Ross, jest jego od dawna zaginioną bratanicą Cynthią Ann. Natychmiast postanowił zabrać ją i jej córkę Kwiat Prerii z powrotem do swego domu w Birdville (dzisiaj Haltom City), przylegającym od północy do Fort Worth. Oboje jej rodzice nie żyli. Silas oczywiście zginął w czasie najazdu Indian na fort Parkerów. Jej matka Lucy zmarła w 1852 roku, po życiu wypełnionym nieudanymi małżeństwami (po Silasie miała jeszcze trzech mężów), słabym zdrowiem i wycieńczającą pięcioletnią batalią prawną o majątek męża[435]. Silas Junior i Orlena – brat i siostra Cynthii Ann – przeżywszy trudne dzieciństwo (jak na ironię dzieciństwo Cynthii Ann prawdopodobnie było lepsze), mieszkali ze swymi współmałżonkami w Teksasie. Ale to brat Silasa Isaac postanowił zaopiekować się bratanicą (James, wujek Cynthii Ann, dawny jej poszukiwacz, żył jeszcze, ale – co może dziwić – w ogóle nie uczestniczył w tych sprawach; być może dał za wygraną, kiedy się dowiedział, że dziewczyna wcale nie chciała, by ją ratowano). Wyruszyli szybko, towarzyszyło im dwóch rangerów, a także były jeniec komancki Anton Martinez, który służył za tłumacza. Po drodze zatrzymali się w forcie Belknap, gdzie skuteczniej udało się wymyć matkę i córkę i gdzie Kwiat Prerii bawiła się radośnie z innymi dziećmi. We wszystkich relacjach dziewczynka jest opisywana jako pewne siebie i żywe dziecko. Miała ciemną skórę i była śliczna. Wszyscy ją lubili. Cynthia Ann była solidnie zbudowana, miała krótkie brązowe włosy i szeroko rozstawione, niezwykle jasne niebieskie oczy; jej usta – wydawało się – zawsze wyrażały gniew albo rezygnację, albo jedno i drugie. Nie była ładna, ale nie była też szczególnie nieatrakcyjna – w stroju z perkalu bardzo przypominała typową białą osadniczkę z tamtej epoki, nieco grubawą i wyglądającą na bardziej strudzoną życiem niż ówczesne mieszkanki miast w jej wieku. Wygląd nie pozostawiał również wątpliwości, że należała do rodu Parkerów. Według jednego opisu miała pięć stóp i siedem cali wzrostu i ważyła sto czterdzieści funtów, co czyniłoby ją olbrzymką wśród komanckich kobiet. Wraz ze swym wielkim, muskularnym mężem musieli stanowić wyróżniającą się parę w obozach komanckich, podobnie jak później wyróżniał się jej syn Quanah.

Minęli Weatherford – stolicę hrabstwa Parker, w którym Peta Nocona dokonywał najkrwawszych najazdów – i zatrzymali się w Fort Worth, gdzie Cynthię Ann natychmiast potraktowano jak sławną osobistość. Nie wiadomo, dlaczego zatrzymali się akurat tutaj. Według niektórych relacji chodziło o to, by zrobić zdjęcie, ale

najstarszą znaną fotografię (a dokładniej ferrotypię) Cynthii Ann wykonano miesiąc później w Austin[436]. Jakikolwiek był powód, jej przybycie spowodowało wielkie zamieszanie, ponieważ mieszkańcy hrabstwa Tarrant (w owym roku było to 6020 osób) bardzo chcieli zobaczyć słynną porwaną i jej dziecko. Jej przybycie uważano za tak ważne wydarzenie, że miejscowym dzieciom pozwolono wyjść ze szkół. Mieszkańcy przybywali w grupach, żeby gapić się na przerażone ofiary, wystawione na widok gawiedzi przed sklepem w centrum Fort Worth. Przypominało to gabinet osobliwości: związaną sznurem Cynthię Ann postawiono na wielkim pudle, tak żeby każdy mógł ją sobie obejrzeć. Można się tylko zastanawiać, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim jej wuj – a przy okazji polityk – Isaac. Tak to opisywał jeden ze świadków:

> Nie miała na sobie indiańskiego stroju, lecz podartą suknię z perkalu. Jej włosy zbrązowiały na słońcu. Miała ogorzałą twarz i sprawiała żałosne wrażenie, stojąc tam i patrząc na tłumy, które zbierały się wokół niej. Łzy płynęły jej po twarzy i mruczała coś po indiańsku[437].

Teksańczykom ciągle było mało. Gazety opisywały w nieskończoność jej powrót – wszystkie bez wyjątku obsesyjnie formułowały ten sam przekaz o ślicznej dziewięcioletniej dziewczynce z rodziny pobożnych baptystów, zamienionej w pogańską dzikuskę, która spółkowała z czerwonoskórym, urodziła mu dzieci i zapomniała rodzimą mowę. Była więc, zgodnie z ówczesną moralnością, potwornie zhańbiona. Musiała porzucić cnoty chrześcijańskie na rzecz wszeteczności Indian. Taki przekaz był atrakcyjny. We wszystkich tych opowieściach zakładano, że do robienia tych rzeczy była zmuszana. Że strasznie się nad nią znęcano, batożono ją i bito oraz że jej egzystencja naznaczona była rozpaczliwą samotnością. Ludzie po prostu nie mogli uwierzyć, że biała kobieta, chrześcijanka, godziła się na to wszystko dobrowolnie. W jednej z gazet, „Clarksville Northern Standard", zauważono później, że „jej ciało i ramiona noszą ślady okrutnego traktowania"[438]. Jednak żadne źródła nie wskazują na to, żeby obchodzono się z nią okrutnie – z wyjątkiem kilku pierwszych dni niewoli opisanych przez jej kuzynkę Rachel Plummer. Była pod opieką wodza, a potem została jego żoną. Blizny mogły brać się stąd, że komanckie kobiety, opłakując śmierć bliskich, miały zwyczaj się kaleczyć – zwykle ramiona i piersi. Najwyraźniej żaden biały nie chciał dopuścić do siebie myśli, że urocza dziewczynka imieniem Kwiat Prerii, mieszaniec, uwielbiana przez matkę, mogła być owocem miłości.

Po tym jarmarcznym interludium podróżni dotarli do Birdville. Isaac żył tutaj w obszernym podwójnym domu, który przez wiele lat uważano za najokazalszą posiadłość w hrabstwie Tarrant. Nie jest do końca jasne, czego się spodziewał. Być może po prostu robił to, co uważał za swój rodzinny obowiązek. Być może uważał się

za wybawcę Cynthii Ann, wyobrażając sobie dzień, w którym z wdzięcznością i we łzach bratanica przyjmie Jezusa i porzuci swe dzikie zwyczaje.

Nic takiego się nie wydarzyło. Przeciwnie, repatriacja Cynthii Ann okazała się katastrofą. Nie tylko nie okazywała skruchy, ale też była wręcz agresywna i wrogo nastawiona do swych nowych gnębicieli. Wielokrotnie usiłowała razem z córką uciec, czasami docierając daleko w głąb lasu, skąd dopiero grupy poszukiwaczy ściągały ją z powrotem. Tak bardzo chciała uciec, że Isaac musiał ją zamykać w domu, kiedy sam był poza nim. Jako jej prawny opiekun miał do tego prawo. Cynthię Ann traktowano jak szaloną: zupełnie „wolną" białą kobietę, mającą trzydzieści trzy lata i pochodzącą z wpływowej rodziny, trzeba było siłą powstrzymywać przed powrotem do jej synów i do kultury, w której się wychowała. Jej rodzina sądziła, że z powodu życia, w którym – jak mniemali – była wykorzystywana seksualnie, bita i służyła jako niewolnica, nie potrafiła rozróżnić, co jest dla niej dobre. W rzeczywistości jednak Cynthia Ann zawsze bardzo jasno i wyraźnie postrzegała to, co jest dla niej dobre. Takie traktowanie ze strony białych musiało być dla niej koszmarem.

Nie potrafiła albo nie chciała mówić po angielsku, chociaż i tak mogła co najwyżej pamiętać tylko strzępy tego języka. Całymi godzinami siedziała na szerokim ganku przed domem Isaaca, płacząc i zajmując się Kwiatem Prerii. Nie zamierzała porzucić swych pogańskich praktyk. Jeden z krewnych opisał jej rytuał modlitwy:

> Wybrała kawałek ziemi o równej powierzchni, wyczyściła go starannie i nakreśliła na nim krąg i krzyż. Na krzyżu zbudowała ognisko, spaliła odrobinę tytoniu, a potem nacięła swoją pierś w jednym miejscu i pozwoliła, by krew skapnęła do ognia. Potem zapaliła fajkę i wydmuchała dym ku słońcu, przyjmując pozycję absolutnego religijnego oddania. Następnie powiedziała przez tłumacza, że jest to jej modlitwa do wielkiego ducha, żeby pomógł jej zrozumieć i docenić fakt, iż jest wśród rodziny i krewnych[439].

Rodzina i sąsiedzi zrewanżowali się żądaniem, żeby Cynthia Ann i Kwiat Prerii przestały nosić indiański strój i żeby Kwiat Prerii nauczyć Pisma Świętego[440]. Cynthia Ann nie zareagowała. Sprawy przybierały zły obrót.

Pod koniec stycznia 1861 roku, trochę ponad miesiąc od starcia nad rzeką Pease, Isaac Parker zabrał swoje podopieczne do Austin, zamierzając przekonać parlament Teksasu, aby wyznaczył im rentę – jako pewnego rodzaju zadośćuczynienie za cierpienia, które je spotkały. Był to sprytny pomysł, lecz wymagał zręcznego politycznego lawirowania, a Isaac należał właśnie do tej kategorii ludzi, którzy umieli to robić. Spędziwszy całe życie jako polityk i obierany urzędnik, Isaac znał każdego w stolicy. Był starym przyjacielem Sama Houstona, ówczesnego gubernatora Teksasu. Walczyli razem w wojnie 1812 roku. Później Houston wysłał nawet Isaaca jako

emisariusza do Waszyngtonu, żeby szukać wsparcia dla teksaskiej rewolucji.

Parkerowie przybyli do Austin w zimny styczniowy dzień – w mieście akurat wrzało w przededniu secesji. Minionej jesieni Abraham Lincoln został wybrany na prezydenta i w całym Teksasie narastała nienawiść do Unii. Austin było jej epicentrum. Przez kolejne dni stycznia secesjoniści maszerowali tam i z powrotem szeroką, piaszczystą Congress Avenue, główną ulicą miasta, przy której niedawno wybudowano nowe, solidne budynki z wapienia. Ulica pięła się łagodnie od rzeki Kolorado ku imponującemu, nowemu trzypiętrowemu i zwieńczonemu kopułą budynkowi władz stanu, który od frontu miał marmurowe kolumny jońskie i olbrzymi portyk. Secesjoniści byli w swoim żywiole. Była to niezdyscyplinowana banda, niosąca pochodnie i napisy potępiające Lincolna i jego „abolicjonistyczny" rząd. Organizowali parady i marsze jak na zawołanie. W jednej takiej imprezie uczestniczyła głośna orkiestra dęta, długa linia powozów z damami powiewającymi flagami Teksasu oraz hałaśliwa grupa mężczyzn na koniach, wiedziona przez rangera Ripa Forda, który paradował główną aleją na białym ogierze[441]. Wszędzie powiewały flagi teksaskie, przebąkiwano nawet o drugiej republice. Powietrze było zimne i rześkie, a Teksańczycy mieli podniosłe nastroje.

Podczas konwencji dotyczącej secesji, która rozpoczęła się 28 stycznia, odbyły się wręcz olimpijskie zmagania między Samem Houstonem, przeciwnikiem oderwania Teksasu od Stanów Zjednoczonych, a niemal całą resztą, która tego chciała. Wiekowy mąż stanu wygłosił jedną z najbardziej płomiennych przemów w swym życiu, przekonując, że „wcale nie jest słabością zatrzymać się na chwilę i przynajmniej spróbować zapobiec katastrofie". Ludzie wysłuchali go z szacunkiem. A potem zagłosowali za oderwaniem się, stosunkiem głosów sto siedemdziesiąt jeden do sześciu[442]. Stało się to 1 lutego 1861 roku. 12 kwietnia artyleria Konfederacji rozpoczęła bombardowanie fortu Sumter w porcie Charleston i tak wybuchła wojna secesyjna.

W trakcie jednej z tych burzliwych debat na sali pojawiła się Cynthia Ann Parker, umyta i stosownie ubrana przez dwie wpływowe mieszkanki Austin, które się nią zajęły z wielkim animuszem. Pokazywały jej wspaniałości świata białego człowieka. Cynthia Ann weszła przez masywny portyk i wspięła się po kamiennych schodach na galerię na pierwszym piętrze, gdzie usiadła i słuchała mężczyzn dyskutujących o sprawach, których nie miała szans zrozumieć, nie pamiętając języka. Mimo to wyglądała na bardzo zaniepokojoną. Nagle chwyciła swoją córkę i rzuciła się do drzwi. Gdy ją złapano i przyprowadzono z powrotem – w tych dniach zawsze ją łapano i przyprowadzano z powrotem – towarzyszące jej osoby zorientowały się, że Cynthia

Ann była przekonana, iż mężczyźni na sali obrad zgromadzenia ustawodawczego debatują nad wyrokiem w jej sprawie. Myślała, że decydują, czy skazać ją na śmierć czy nie[443].

Także w tym miejscu Cynthia Ann i jej córka wzbudziły wielką ciekawość. W jednej z gazet podano, że „odwiedziło ją wiele osób", co oznacza, że przyszły wielkie tłumy, żeby się na nią gapić. Była ewidentnie wzburzona. Mówiła niewiele i tylko przez tłumacza. W którymś momencie powiedziała, że jest dla niej zaskoczeniem to, iż Komancze nie są – jak przypuszczała – „najliczniejszym i najpotężniejszym ludem na świecie"[444]. Tak przynajmniej usłyszał jeden z reporterów. Będąc w Austin, pozowała też do ferrotypii – wczesnego rodzaju fotografii. Powstały wizerunek zdradza, że kobietę przebrano i że nie czuła się dobrze w nowym ubraniu. Jej włosy zaczesano do tyłu i opasano czymś w rodzaju siatki. Ma na sobie wzorzystą bawełnianą bluzkę i spódnicę w pasy oraz coś, co przypomina wełniany pled zapięty pod szyją. Niezwykle duże i zniszczone pracą ręce trzyma złożone na kolanach. Patrzy prosto przed siebie, błagalnie i bardzo żałośnie[445].

Pominąwszy cierpienie Cynthii Ann, plan Isaaca był skuteczny. Dwa miesiące po wizycie parlament Teksasu przegłosował przyznanie Cynthii Ann renty na pięć lat w wysokości stu dolarów rocznie, a także ligę ziemi (4428 akrów). Ale i w tym wypadku potraktowano ją jak osobę specjalnej troski. Pieniądze i ziemia nie miały należeć do niej, ale mieli nimi zarządzać w jej imieniu kuzyni Isaac Duke Parker i Benjamin Parker – jak gdyby byli opiekunami nieletniej albo umysłowo niestabilnego dorosłego, który nie mógł za siebie decydować[446].

Po powrocie do Birdville Cynthia Ann nadal nie mogła się pogodzić z życiem w domu Isaaca. Płakała, próbowała uciekać, odmawiała współpracy. Nic się nie zmieniło. Tak więc, w nadziei że może znajdzie więcej szczęścia gdzie indziej, a także – być może – żeby zdjąć problem z głowy Isaaca, wysłano Cynthię Ann w długą i dziwną tułaczkę po domach różnych krewnych, co w praktyce oznaczało odsyłanie jej za każdym razem coraz bardziej na wschód Teksasu, coraz dalej od Wielkich Równin, a tym samym od jakiejkolwiek nadziei, że wróci kiedyś do swego ludu.

Pierwszy przystanek w tej podróży był najbardziej dziwaczny ze wszystkich. Dowiedziawszy się o jej żałosnym życiu u Isaaca, William Parker – kuzyn Cynthii Ann – oraz jego żona, którzy żyli dwie mile na południe od posiadłości Isaaca, zaoferowali, że wezmą ją do siebie. Ich szczodrość wydawała się niewinna. Ale jak się okazało, William nie kierował się miłością bliźniego. Miał bardzo konkretny i egoistyczny cel, zapraszając Cynthię Ann i Kwiat Prerii do swego domu.

Zaraz po przybyciu Cynthii Ann i Kwiatu Prerii kuzyn William wysłał list do pewnego Teksańczyka, niejakiego Coho Smitha. Coho naprawdę nazywał się John Jeremiah Smith. Jego przydomek wziął się od rany włócznią, którą kiedyś otrzymał. Po hiszpańsku *cojo* oznacza „chromy". Był jednym z tych barwnych drugoplanowych typów, którzy żyli na pograniczu teksaskim w dawnych czasach. Swe przygody spisał w książce, którą opatrzył także własnymi rysunkami i obserwacjami – „cohographami" – i taki też dał jej tytuł: *Cohographs*. Był samoukiem i płynnie posługiwał się kilkoma językami, w tym komanckim. Jako chłopiec przez rok żył w niewoli u Komanczów. W czasie, kiedy otrzymał list od Parkera (mniej więcej pod koniec 1861 roku), pracował jako agent bawełniany Konfederacji, choć był także nauczycielem i rzemieślnikiem wyrabiającym kabinety. W liście Parker wyjaśniał, że Cynthia Ann miała teraz u niego mieszkać, i błagał Smitha, aby przyjechał do jego domu – do pokonania był dystans stu osiemdziesięciu dziewięciu mil – i służył jako tłumacz. Napisał, że on i jego żona bardzo chcieliby porozmawiać ze swoim nowym gościem, który nie zna angielskiego. Nie wiemy, dlaczego Smith się zgodził, ale faktem jest, że szybko stawił się w domu Parkerów. Kiedy zapytał, gdzie jest Cynthia Ann, Parker odpowiedział: „Widziałem ją, jak wychodziła poza bramę jakieś pół godziny temu. Chodźmy, poszukajmy jej. Zwykle wałęsa się nieszczęśliwa po tym zagajniku"[447]. Znaleźli ją sto jardów od domu – siedziała na pniu drzewa z „łokciami na kolanach i twarzą w dłoniach". Na głowie miała stary bonet chroniący od słońca. Kwiat Prerii bawiła się na ziemi. Zbudowała małe ogrodzenie z patyków i mówiła do siebie w języku komanckim. William, przykładając rękę do ust, pokazał kuzynce, że obiad jest gotowy. Cynthia Ann rzuciła Smithowi krótkie, niechętne spojrzenie, a potem podążyła za nimi do domu. Żona Williama wyjaśniła Smithowi: „Tak wielu ludzi przychodzi, żeby ją oglądać, że to ją rozdrażniło. Dlatego spojrzała na ciebie ze złością". Wciąż wzbudzała ciekawość innych, wciąż dokuczali jej gapie.

Gdy znaleźli się w domu, Smith odezwał się do niej w języku Komanczów. „Ee-wunee keem" – powiedział, co oznacza: „podejdź tu". Wedle słów Smitha kobieta zareagowała natychmiast i niemal agresywnie. „Podskoczyła z krzykiem i zrzuciła ze stołu prawie połowę naczyń, co wystraszyło panią Parker. […] Podbiegła do mnie i padła na ziemię, złapała za kostki, krzycząc po komancku: »Ee-ma mi mearo!«, co znaczy: »Idę z tobą«".

Energia jej nie opuszczała. Siedząc na krześle obok Smitha, trzymała go za ramię, „mówiąc cały czas po komancku i hiszpańsku, mieszając nieustannie oba języki". Jej hiszpański był zaskakująco dobry. Nie jadła, tylko mówiła cały czas. „Och, przestań jeść – powiedziała w komanckim. – Porozmawiajmy. Och, przyjacielu, koniecznie

porozmawiajmy”.

Potem przeszła na hiszpański i powiedziała coś, co nie miało żadnego sensu. „Chcę wrócić do moich dwóch chłopców i Billy tutaj powiedział mi na migi, że i on chce iść do moich ludzi. Powiedziałem: »Billy, chcesz iść do Komanczów?« Odparł: »Tak, chcę. I dlatego posłałem po ciebie, żebyś tłumaczył, tak się rzeczy mają«”.

Skonsternowany Smith zapytał Williama Parkera, co Cynthia Ann miała na myśli. Parker wyjaśnił wyczerpująco. Powiedział Smithowi, że służył w armii konfederackiej. Kula żołnierza Unii roztrzaskała mu kość udową i uczyniła go częściowo kaleką. Jednak nie na tyle, by uniknąć ponownego wysłania na wojnę przez urzędników werbunkowych, których Parker określał mianem „cholernych gzów bydlęcych”. Perspektywa ta wprawiała go w przerażenie, podobnie jak myśl, że w przypadku dezercji zostałby powieszony lub zastrzelony. Tak jak tysiące innych młodych mężczyzn w stanach Konfederacji w 1861 roku, Parker pośpieszył do punktu werbunkowego, spodziewając się krótkiej i przynoszącej chwałę wojny. Teraz chciał się z tego wykręcić. Był zdesperowany.

I miał plan. Powiedział Smithowi: „Chcę, żebyś zabrał mnie i Cynthię Ann do Komanczów. Mogę zostać u nich, dopóki ta okrutna wojna się nie skończy”.

Pomysł był absurdalny: jak gdyby Parker postrzegał Komanczów jako dom do wynajęcia, gdzie mógłby się zatrzymać na kilka lat. W jakiś sposób Cynthia Ann świetnie pojęła ten plan oraz powód wezwania Smitha. Dwoje kuzynów najwyraźniej znalazło sposób, żeby się porozumieć.

Smith, który nie miał interesu w takim przedsięwzięciu – mógł za to zawisnąć – podał kiepską wymówkę, że nie mają koni. „Konie – wykrzyknęła Cynthia Ann – to nie problem! Tutaj biega kilka pierwszej klasy koni […], nie myśl o nich nawet przez chwilę. Och, powiem ci, mi corazon estan llorando todo el tempo por mis dos hijos. [Moje serce płacze bez przerwy za moimi dwoma synami]”. Potem, przechodząc z powrotem na komancki, powiedziała: „En-se-ca-sok bu-ku-ne-suwa? [Czy chcesz całe stado koni?]”. Następnie znowu po hiszpańsku: „No mas lleba mi. [Tylko mnie zabierz]”. Oferowała Smithowi wszystkie dziewczęta i kobiety, na jakie tylko miałby ochotę. Zaoferowała dziesięć karabinów, dziesięć koni, dziesięć żon. Smith napisał, że Cynthia Ann naciskała tak aż do wczesnych godzin porannych.

Kiedy Smith zapytał, dlaczego ona i Billy nie mogą pojechać sami, odpowiedziała, że przypuszcza, iż on zostałby zabity, a z niej zrobiono by niewolnicę. Sądziła, że Coho jest twardszy niż William Parker, kuternoga i tchórz. Prawdopodobnie miała rację. No i oczywiście Smith mówił po komancku. Następnego dnia Parker zabrał Smitha, żeby pokazać mu swą nielegalną destylarnię, którą zbudował według wskazówek z książki

pod tytułem *One Thousand Things Worth Knowing* [Tysiąc rzeczy, które warto umieć], potem jeszcze raz spróbował go przekonać do pomocy, proponując mu ponad połowę swoich osiemdziesięciu akrów. „Nigdy nie wezmą mnie do wojska jeszcze raz – zadeklarował. – Prędzej się zabiję". I tym razem Smith odmówił. Później dowiedział się, że Parker i tak zdołał wymknąć się do Illinois, w ten sposób uciekając przed wojną. Ostatnie słowa, jakie Smith zapamiętał z ust Cynthii Ann, brzmiały: „Si le doy o mi gene si le doy, todos las muchachas que si quire, pero bonito y buen mosas. [Dam ci albo moi ludzie dadzą ci wszystkie dziewczęta, które zechcesz, ładne i dobrze zbudowane]". Tej oferty też nie przyjął. Musiało to złamać jej serce.

*

Coho Smith zdołał uchwycić Cynthię Ann jak nikt inny. Wszyscy inni postrzegali ją jako ponurą, posępną, oporną, obojętną. Przybitą. Nawet szaloną albo przynajmniej głęboko, nieodwracalnie pogrążoną w barbarzyństwie. W relacji Smitha jawi się jako osoba bystra, agresywna, zdeterminowana, o silnej woli i niezwykle praktyczna. Była w pełni świadoma tego, czego chciała i – przynajmniej przez ten krótki czas – jak to osiągnąć. Jej tragedia polegała na tym, że kobieta taka jak ona nie miała najmniejszych szans odmienić swego losu, zgotowanego jej przez pełną dobrych zamiarów rodzinę.

Na początku 1862 roku Cynthia Ann i Kwiat Prerii przeniosły się kolejny raz, tym razem do domu jej młodszego brata Silasa Juniora. On także – podobnie jak troje jego rodzeństwa – był w forcie podczas najazdu Indian. Z jakiegoś powodu Indianie wzięli Cynthię i Johna, a zostawili Silasa Juniora i Orlenę. Silas i jego żona Ann żyli z trójką dzieci w hrabstwie Van Zandt, głęboko w iglastych lasach wschodniego Teksasu, dwadzieścia siedem mil na północny zachód od Tyler. Jeśli Cynthia Ann traciła nadzieję na powrót do domu, kiedy żyła w Birdville, to teraz znajdowała się ponad sto mil dalej na wschód. Nie mieszkała już ani na pograniczu, ani nawet w jego pobliżu. Musiała to zrozumieć podczas jazdy: opuszczali prerie, kierując się ku terenom porośniętym wysokimi lasami. Musiała zdawać sobie sprawę, że nigdy już się nie wydostanie.

Życie nie obeszło się lepiej z Silasem, który miał wówczas dwadzieścia osiem lat i się jąkał. Nie układało mu się z żoną, która karała Kwiat Prerii (często zwracano się do niej Topsannah albo Tecks Ann) za każdym razem, kiedy wołała mamę jej komanckim imieniem[448]. Cynthia Ann nie ustawała w próbach ucieczki: za każdym razem, kiedy ją zostawiano samą, oddalała się z córką drogą (mówiła, że „idzie do domu, po prostu do domu"[449]). Często kaleczyła sobie ramiona i piersi nożem, powodując krwawienie. Prawdopodobnie czyniła to na znak żałoby po śmierci męża.

Albo po prostu był to wyraz cierpienia. Któregoś razu chwyciła nóż rzeźnicki i ścięła nim włosy.

Mniej więcej w tym czasie zrobiono zdjęcie Cynthii Ann i Kwiatu Prerii, które miało się stać dobrze znane na pograniczu i poza nim. Cynthia Ann i jej córeczka udały się na „zwiedzanie" Fort Worth w towarzystwie Silasa – zapewne kazano mu im towarzyszyć, żeby nie uciekły – i w jakiś sposób (być może za namową Silasa) trafiły do studia fotograficznego niejakiego A. F. Corninga[450]. Efektem jest wspaniały i wyjątkowy portret matki i córki: Cynthia Ann ma na sobie zwykłą bawełnianą bluzkę z chustą luźno zawiązaną na szyi. Jej proste jak drut, brązowe włosy są krótko obcięte (może właśnie tym rzeźnickim nożem). Jej oczy są jasne, niemal przezroczyste, a spojrzenie rozbrajająco bezpośrednie. Także na tym zdjęciu widzimy jej wielkie, muskularne ręce oraz grube nadgarstki. Jednak najniezwyklejsze w tej fotografii jest to, że Cynthia Ann ma odsłoniętą prawą pierś, którą ssie czarnowłosa, opatulona i urocza Kwiat Prerii. Prawdopodobnie tego rodzaju zdjęcie nie miało precedensu na teksaskim pograniczu. Białe kobiety nie fotografowały się z odsłoniętymi piersiami. A nawet jeśli fotograf zrobiłby takie zdjęcie, żadna gazeta by go nie opublikowała. Z tym zdjęciem było inaczej. Stało się wizerunkiem Cynthii Ann, który miały oglądać kolejne pokolenia uczniów. Nadal jest powszechnie znane. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że Cynthię Ann postrzegano i traktowano jako dzikuskę, mimo że była tak samo biała jak wszyscy inni Szkoto-Irlandczycy na Południu. Podwójny standard przypomina podejście „National Geographic Magazine" z połowy XX wieku do fotografii nagich Afrykanek. Pismo nigdy nie rozważało pokazania na swych łamach piersi białej kobiety. Wyjaśnia to przynajmniej częściowo fascynację Cynthią Ann – owo poczucie, że niezależnie od białego koloru jej skóry coś ciemniejszego i bardziej pierwotnego czaiło się pod powierzchnią. W kwietniu 1862 roku Silas wstąpił do armii Konfederacji, pozostawiając ciężarnej żonie opiekę nad trojgiem swych dzieci, a także zadanie pilnowania Cynthii Ann i Kwiatu Prerii[451]. Ann szybko przerwała tę sytuację i Cynthia Ann z Kwiatem Prerii zostały znowu wyekspediowane, tym razem do jej siostry Orleny, która także mieszkała w okolicy Tyler, z mężem J. R. O'Quinnem. Matka i córka zostały umieszczone w oddzielnym domu[452].

Teraz, być może coraz lepiej rozumiejąc, że nigdy nie wróci do Komanczów, Cynthia Ann starała się przystosować. Wojna secesyjna zabrała większość silnych mężczyzn, których role musiały odgrywać kobiety. Cynthia Ann zaczęła się uczyć angielskiego od nowa i według jednej z relacji doszła do tego, że mogła mówić w tym języku, kiedy miała na to ochotę. Nauczyła się sprawnie prząść, tkać i szyć. Dzięki pobytowi wśród Komanczów umiała wyprawiać skóry i stała się najlepszą garbarką

w hrabstwie. Zdaniem sąsiada T. J. Catesa:

> Była tęga i ważyła około stu czterdziestu funtów, solidnie zbudowana i lubiła pracować. Miała dziki wyraz twarzy i kiedy ludzie na nią patrzyli, spuszczała wzrok. Posługiwała się siekierą tak dobrze jak mężczyzna i nie lubiła tych, którzy wymigiwali się od pracy. Świetnie się znała na garbowaniu skór z sierścią, a także splataniu i wiązaniu powrozów i biczów. Sądziła, że jej dwóch synów zaginęło na prerii, […] była przez to bardzo nieszczęśliwa[453].

Elementem przystosowania się była też jej reintegracja z Parkerami. W okolicy żyło wielu jej kuzynów i widywała ich dość regularnie. Miała również przyjaciół (w pewnym sensie), czyli ludzi, z którymi przynajmniej mogła rozmawiać. Niektórych pamiętała nawet z dzieciństwa. Każdej niedzieli któryś z nich zabierał do siebie Kwiat Prerii. Dziewczynka szybko nauczyła się angielskiego i zaczęła mówić nim częściej niż po komancku[454]. Zapisano ją nawet do pobliskiej szkoły. Tom Champion, jeden z kuzynów, napisał, że Cynthia Ann miała „pogodne usposobienie", a T. J. Cates, że była „serdeczną, dobrą kobietą, zawsze gotową pomagać innym"[455]. Większość ludzi postrzegała ją jednak inaczej. Widziano, jak płakała na ganku albo ukrywała się przed gapiami – a tych nigdy nie brakowało – spragnionymi widoku osławionej „białej *squaw*". I nie było nic pogodnego w jej odmowie porzucenia wielu zwyczajów indiańskich, na przykład cięcia nożem swego ciała za każdym razem, kiedy umierał członek rodziny, albo zawodzenia wysokim głosem komanckich pieśni żałobnych. Nigdy nie zapomniała, tylko się dostosowała; prawdopodobnie przestała wierzyć obietnicom powtarzanym do samego końca przez Parkerów, że będzie mogła znowu zobaczyć swoich synów. To zawsze były puste obietnice. Według T. J. Catesa często mówiła o utracie swych dwóch chłopców.

> Dobrze pamiętam Cynthię Ann Parker i jej małą Taocks [sic!]. W owym czasie żyła około sześciu mil na południe od [miasta] Bena Wheelera, ze swym szwagrem Ruffem O'Quinnem, opodal Slater's Creek. […] Sądziła, że jej dwóch synów zaginęło na prerii po tym, jak sama została złapana. […] Chwytała za nóż i raniła nim swą pierś aż do krwi – potem polewała tą krwią tytoń i opłakiwała utratę swych synów[456].

Champion odniósł takie samo wrażenie. Pisał:

> Nie sądzę, żeby kiedykolwiek myślała co innego niż to, że jej synowie zostali zabici. Słuchanie, jak opowiadała o szczęśliwych czasach tańców indiańskich, oraz widok podniecenia i czystej radości na jej twarzy, gdy o tym wspominała, przekonały mnie, że biali ludzie wyrządzili jej większą krzywdę, trzymając ją z dala od nich, niż Indianie, porywając ją wcześniej[457].

Jakakolwiek szansa na odnalezienie spokoju ducha przez Cynthię Ann przepadła w 1864 roku, kiedy Kwiat Prerii zachorowała na grypę, a potem zapalenie płuc i zmarła[458]. Śmierć małej dziewczynki wstrząsnęła Cynthią Ann. Teraz z jej

komanckiego życia nie zostało nic poza wspomnieniami. Niewiele wiadomo o tym, jak wyglądało jej życie w kolejnych latach. Komancze mają na ten temat jednoznaczną opinię: biali złamali jej ducha i zrobili z niej odmieńca. Niewola uczyniła ją zgorzkniałą, odmówiła przyjmowania posiłków i na koniec zagłodziła się na śmierć[459]. Żyła jeszcze sześć lat po śmierci córki, a w 1870 roku zmarła na grypę, całkiem prawdopodobne, że spotęgowaną przez głodzenie się. Krewni zbili dla niej trumnę, spięli jej włosy kościaną szpilką i pochowali ją na Foster Cemetery, cztery mile na południe od miasta Poyner (dziś Poynor), które leży między większymi miejscowościami Tyler i Palestine. Być może do osoby, która musiała przetrwać tyle zmian wbrew swojej woli, pasuje to, że zanim wreszcie znalazła miejsce wiecznego odpoczynku, była chowana trzy razy na trzech różnych cmentarzach.

Kim była Cynthia Ann? Białą kobietą z urodzenia, ale i reliktem starej Komanczerii, przemijającego imperium wysokich traw, księżyca w pełni i stad bizonów, które czerniły się na horyzoncie. Dobrze poznała, czym są śmierć i chwała. Była żoną wodza. Żyła swobodnie na wysokich niekończących się równinach, tak jak jej przybrana rasa – w ostatnim miejscu w Ameryce Północnej, gdzie każdy mógł swobodnie żyć i wędrować. Umarła w gęstym lesie sosnowym, gdzie nie było horyzontu i gdzie absolutnie nic nie było widać. Las był niczym innym jak więzieniem. O ile nam wiadomo, umarła, nie rozumiejąc nawet w najmniejszym stopniu, jakie większe siły się sprzysięgły, by wyrwać ją ze starego życia.

Oto Cynthia Ann, malutka postać na bezmiarze równiny, w stroju ze zwierzęcej skóry, pochylona nad krystalicznie czystym strumieniem – pracuje. Jest późna jesień, koniec sezonu walk i polowań na bizony. Nad nią wznosi się samotna wierzba, jasnożółta o tej porze roku, z liśćmi i gałęziami oplatającymi granatowe niebo. Być może kobieta podnosi głowę, żeby popatrzyć na dzieci i psy bawiące się w trawie prerii oraz na kłęby dymu za nimi, zbierające się o zmierzchu ze stu domowych ognisk. I może myśli, choć przez chwilę, że wszystko na tym świecie jest tak, jak być powinno.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Droga Quanaha do wielkości

Było po bitwie i dwaj chłopcy znaleźli się sami nad wąską rzeką Pease, wśród topól, wiązowców, orzechów włoskich i falistych piaszczystych pagórków. Drżeli z zimna na tym samym mroźnym wietrze z północy, który zsyłał trąby pyłu na białych żołnierzy. Chłopcy byli młodzi – mieli dwanaście i dziesięć lat – ale wystarczająco dojrzali, żeby zrozumieć tragedię, która ich spotkała. Kiedy dostrzeżono żołnierzy, podniósł się wielki alarmujący krzyk i obydwaj – Quanah i Orzeszki – uciekli z wioski. Ich matka Nautdah była z nimi, ale potem w jakiś sposób stracili ją z oczu[460]. Trwała strzelanina, powietrze rozdzierały wrzaski, gdy żołnierze roznosili w puch wioskę, zabijając każdego, kogo dostrzegli, nawet kobiety z obładowanymi mułami, nawet psy. Potem nastała cisza. I wtedy chłopcy zostali sami. Nie wiadomo, czy widzieli śmierć swego ojca, Pety Nocony, ale niemal na pewno zdawali sobie sprawę z tego, że ich matkę oszczędzono. A także, że zginęli wszyscy inni. Dlatego uciekli.

Dwunastoletni komancki chłopiec nie był zupełnie bezradny w naturalnym środowisku. Na pewno miał o wiele większe szanse na przeżycie niż biały chłopiec urodzony na pograniczu. Na pewno był – jak wszyscy chłopcy z tego ludu – świetnym jeźdźcem. Na pewno wiedział, jak upolować drobną zwierzynę. Na pewno umiał rozpalić ogień. Znał się trochę na jadalnych korzeniach i jagodach. Ale w kulturze Komanczów chłopcy w wieku Quanaha nie mogli brać udziału w bitwie ani zapewne choćby uczestniczyć w polowaniach na bizony czy sarny. Nigdy by im nie pozwolono oddalić się za bardzo od obozu. Na pewno nigdy by ich nie zostawiono samotnie pośrodku przepastnych Równin Południowych, bez jedzenia i broni, bez wiedzy, gdzie jest ich grupa.

Następne wydarzenia wymknęły się kronikarzom historii Komanczów przede wszystkim dlatego, że sam Quanah w późniejszych latach zdecydowanie zaprzeczał, że był obecny na miejscu bitwy nad rzeką Pease albo że jego ojciec w niej zginął. W jednym i drugim przypadku mijał się z prawdą, próbując zetrzeć straszliwą plamę z honoru Pety Nocony: Komancze postrzegali starcie nad rzeką Pease jako klęskę i hańbę, a przecież to on był tam wodzem. Wiemy, że Quanah i Orzeszki znajdowali się

w obozie, ponieważ tak twierdziła ich matka. Fakt ten doprowadzał ją do szaleństwa. Wiemy też, że dwóch jeźdźców – i tylko dwóch – przeżyło walkę i zdołało się wymknąć[461]. Wiemy to, ponieważ Charles Goodnight i dziesięciu ludzi pod jego komendą tropiło ich od zbiegu rzek Pease i Mule Creek do wielkiego kanionu przed Llano Estacado, siedemdziesiąt pięć czy sto mil na zachód. Nigdy nie zobaczył ich twarzy, widział jedynie ślady ich koni.

Goodnight i jego ludzie dotarli do wielkiego obozu indiańskiego – to tam miało ostatecznie trafić całe bizonie mięso i inne zapasy, które żołnierze znaleźli nad Mule Creek. Zwiadowcy zdołali podejść bardzo blisko obozu. Tak to opisał Goodnight:

> Indianie nie zauważyli, jak się zbliżamy. Nie pojmuję, dlaczego nie zachowywali większej czujności […] po tym, jak szpiedzy [jeźdźcy indiańscy] dotarli do obozu i poinformowali o bitwie. W obozie było około tysiąca Indian. […] Zawróciliśmy kanionem, gdzie natrafiliśmy na ostry zakręt. W tym miejscu mogli nas zobaczyć tylko przed tym zakrętem. Kazałem tam moim ludziom czekać do zmroku, bo bałem się, że nas zauważą, i zdawałem sobie sprawę, że w takiej sytuacji nie mielibyśmy szans ujść z życiem[462].

Goodnight pisze, że później Quanah podał mu taką wersję tego, co zaszło w obozie:

> Kiedy dwaj indiańscy zwiadowcy, którzy uciekli z grupy wybitej przez Rossa, dotarli do głównej grupy Indian, powiedzieli, że było nas dziesięć tysięcy. […] Jak tylko główna grupa Indian była gotowa, poszli na północ, gdzie spędzili zimę między rzeką Washitą a górami Wichita. Brak zapasów dał im się mocno we znaki, znajdowali się bowiem daleko na północ od jakichkolwiek stad bizonów[463].

Quanah znał te wszystkie szczegóły, ponieważ sam był jednym z dwóch jeźdźców, którzy dotarli do obozu i przekazali straszliwe wieści, w tym – z naiwną przesadą dwunastolatka – informację, że było tam dziesięć tysięcy żołnierzy[464]. Tylko dziecko mogło pomylić mały nieregularny oddział rangerów i zawodowych żołnierzy z pełną dywizją.

Tak czy inaczej, ten dwunastolatek dokonał czegoś niezwykłego. Pozostawiony sam w grudniowym chłodzie, bez jedzenia, ścigany przez grupę mężczyzn rozochoconych dopiero co dokonaną krwawą rzezią i zdeterminowanych, by go dopaść, obciążony młodszym bratem, potrafił odnajdywać ślady swych ludzi, którzy opuścili wioskę nad Pease dwa lub trzy dni wcześniej, i podążać za nimi na olbrzymiej przestrzeni nieregularnej, falistej prerii zachodniego Teksasu. Prawdopodobnie przynajmniej część tej drogi pokonał nocą, żeby zachować dystans dzielący go od Goodnighta, który w tym okresie był jednym z niewielu białych potrafiących tropić jeźdźców na dzikich obszarach. Gdyby chłopcy popełnili jakiś błąd albo nie odnaleźli wioski, Goodnight z pewnością by ich dopadł. Zresztą później sam opowiadał, że dwaj jeźdźcy spowodowali wielkie poruszenie, kiedy przybyli do wioski Komanczów. Rzecz jasna,

musiało tak być. Nie tylko z tego względu, że przynieśli straszliwe wieści o bitwie i utracie wszystkich zapasów na zimę. Drugim powodem było to, że Quanah i jego młodszy brat dokonali czegoś absolutnie wyjątkowego, wręcz niewiarygodnego – nawet jak na standardy Komanczów.

Kiedy w 1848 roku Quanah przyszedł na świat w tipi niedaleko gór Wichita w dzisiejszej południowo-zachodniej Oklahomie, biali byli wciąż bardzo daleko. Zderzeni z linią osadnictwa w środkowym Teksasie Penatekowie stopniowo chylili się ku upadkowi, ale żaden biały nie odważył się jeszcze przekroczyć Rzeki Czerwonej w pościgu za Komanczami. Straszliwa plaga *forty-niners* wraz z ich chorobami nie nadciągnęła jeszcze Szlakiem Santa Fe i innymi drogami. Miliony bizonów wciąż wędrowały po równinach.

W tym świecie, nadal wolnym od spustoszenia, które dopiero miało nadejść, Komancze robili to co zawsze. Rozmnażali się, polowali i − co najważniejsze – prowadzili wojny z innymi ludami indiańskimi. Kilka tygodni po urodzeniu Quanaha przez Cynthię Ann wojownicy z jej grupy – Nokoni, czyli Wędrowcy – wyruszyli do walki z grupą znajdujących się na wojennej ścieżce Nawahów. Wrogość między Komanczami a Nawahami sięgała dawnych czasów, kiedy to Nermernuh przybyli z kraju nad Wind River, rzucając wyzwanie Apaczom w Nowym Meksyku. Gdy Nawahowie odkryli, że wioska jest bez obrony, zaatakowali. Była to stara taktyka indiańska. Myśleli, że dokonają szybkiej masakry mieszkańców wioski, ale napotkali wściekły opór ze strony mężczyzn, którzy w niej pozostali. Nawahowie uciekli, zabierając ze sobą dwieście koni Komanczów. Szybko zostali wytropieni – Komancze zabili trzech z nich i odbili konie. Kiedy zwycięscy Komancze powrócili, radosne śpiewy i tańce ciągnęły się przez cztery dni, a skalpy trzech Nawahów obnoszono na palu[465]. Takie było indiańskie życie na Wielkich Równinach: odwieczne i przeważnie niedostrzegalne dla białych. Gdyby sprawy potoczyły się nieco inaczej, niemowlę o imieniu Quanah mogłoby zginąć przebite włócznią Nawaha. To oczywiście sprowokowałoby atak odwetowy, ten zaś kolejną reakcję wrogów i krwawa zemsta zapewne rozlałaby się po całych równinach. Zamiast tego jedną z pierwszych rzeczy, jakie ujrzał Quanah, był taniec zwycięstwa.

Śmierć ojca i porwanie matki całkowicie odmieniły życie Quanaha. Przez pierwsze dwanaście lat swego życia był synem ważnego wodza wojennego, bardzo wpływowego człowieka, właściciela wielu koni i dobrego myśliwego. Szczegółów tego życia nie znamy, ale według standardów Komanczów było ono więcej niż dobre. Rodzina cieszyła się szczęściem, a Quanah później wielokrotnie czule wspominał

matkę i ojca. Peta Nocona tak bardzo obawiał się utraty żony, że kiedy *comancheros* albo inni handlarze odwiedzali jego obóz, często smarował jej twarz popiołem i kazał się chować[466] (co częściowo tłumaczy fakt, że z upływem lat wzrok Cynthii Ann uległ pogorszeniu).

Quanah dorastał jak większość komanckich chłopców. Przed ukończeniem czwartego roku życia pewnie umiał już dosiadać starego jucznego konia. Rok później radził już sobie ze swoim własnym kucem. W wieku sześciu lat jeździł na oklep na młodych źrebakach, a niedługo potem musiał pomagać w pilnowaniu koni. Jak wszyscy komanccy chłopcy, zapewne nauczył się świetnie łapać konie na lasso. Od tego momentu spędzał w siodle mnóstwo czasu; jego wierzchowiec szybko stał się – podobnie jak dla wszystkich Komanczów, niezależnie od płci – przedłużeniem jego samego.

Po opanowaniu sztuki jeździectwa chłopiec komancki uczył się obchodzić z bronią, zwykle pod okiem swojego dziadka lub innego starszego mężczyzny. Sześciolatkowi dawano łuk i strzały i uczono strzelać. Chłopiec szybko zaczynał polować przy użyciu prawdziwych strzał, strzelając z kolegami do ptaków. W kulturze Komanczów chłopcy cieszyli się niezwykłą swobodą. Nie wykonywali żadnych niewdzięcznych prac. Nie nosili wody ani drewna. Nie musieli pomagać przy ładowaniu czy rozładowywaniu podczas licznych przeprowadzek grupy. Zamiast tego włóczyli się razem, siłując się między sobą, pływając i ścigając konno. Często śledzili ptaki i owady, strzelali do kolibrów specjalnymi strzałami bez grotów, z rozpołowioną wklejką. Strzelali do koników polnych, a ich nogi zjadali. Czasami związywali razem dwa koniki polne za pomocą krótkiej nici i obserwowali, jak usiłują skakać. Robili zakłady. Przegrywał ten owad, który pierwszy upadał na plecy. Czasem bawili się też z dziewczynkami. Jedna z takich zabaw nazywała się „niedźwiedź grizzly": w wytyczonym kręgu było jedno dziecko – „niedźwiedź" – które usiłowało złapać dzieci stojące poza kręgiem i bronione przez „matkę". Dzieci wbiegały do środka kręgu, starając się ukraść trochę „cukru"[76] należącego do „niedźwiedzia". Nocą mali Komancze słuchali przerażających opowieści starszych o Piamempits, Wielkiej Sowie-Kanibalu, mitologicznej istocie, która mieszkała w jaskini w górach Wichita i przychodziła nocą, żeby zjadać niegrzeczne dzieci[467].

Zapewne Quanah – tak jak inni chłopcy – chodził nago do ukończenia dziewiątego roku życia, z wyjątkiem naprawdę mroźnych dni. Potem nosił przepaskę biodrową, nogawki i mokasyny. Nogawki miały frędzle, co było charakterystyczne dla Komanczów. Zimą nosił ciężkie futro zrobione z bizona zabitego późną jesienią, kiedy na zwierzęciu wyrosła już ciemnobrązowa sierść, gruba nawet na dwadzieścia cali[468].

Biali mieszkańcy równin i żołnierze twierdzili, że jedno takie futro grzeje lepiej niż cztery ciężkie, wełniane koce wojskowe.

Gdy chłopiec wkraczał w wiek dojrzewania, jego życie natychmiast nabierało powagi. Ostatecznie były to wysokie i puste równiny, a jego lud prowadził trudne i brutalne życie koczowników, w którym nic nie było pewne. Tylko biegłość w polowaniu umożliwiała przetrwanie, więc od mężczyzn oczekiwano ćwiczenia się w strzelaniu z łuku. Komancze cieszyli się sławą wyśmienitych łuczników, strzelających równie dobrze z grzbietu konia, jak i pieszo. Z odległości pięćdziesięciu jardów wojownik pewnie trafiał w cel wielkości gałki u drzwi. Z odległości dziesięciu−piętnastu jardów potrafił wystrzelić długą na dwadzieścia−trzydzieści cali strzałę z taką siłą, że w całości przebijała się przez ciało ważącego dwa tysiące funtów bizona, o ile nie trafiła na kość. Komancki chłopiec musiał nauczyć się rozpalania ognia: w tamtych czasach robiło się to, pocierając świdrem[77] o patyk z miękkiego drewna, owinięty w materiał oblepiony prochem strzelniczym (wcześniej za podpałkę służył mech hiszpański [78] albo ptasie gniazda). Musiał zdobyć podstawowe umiejętności potrzebne do życia w naturze, takie jak rozpoznawanie, czy obserwowane zwierzę idzie w stronę wody, czy się od niej oddala (przykładem był ptak zwany *dirt dauber* – jeżeli jego dziób był pusty, obserwujący wiedział, że ptak zmierza prosto do wody[469][79].

Z wkraczaniem w wiek dojrzewania wiązały się także rytuały, które w oczach grupy zmieniały chłopców w mężczyzn. Jednym z nich było poszukiwanie wizji praktykowane w różnych formach przez większość ludów indiańskich Ameryki Północnej. U Komanczów poszukiwanie wizji zaczynało się od kąpieli w rzece lub strumieniu, co było formą oczyszczenia. Następnie młody człowiek odziany tylko w opaskę biodrową i mokasyny udawał się w odosobnione miejsce, gdzie nie miałby z nikim kontaktu. Zabierał ze sobą bizonie futro, kościaną fajkę, tytoń i narzędzia do rozpalania ognia. Po drodze do obranego miejsca zatrzymywał się cztery razy, za każdym razem paląc tytoń i prosząc w modłach o moc. Szukał znaków w otaczających go skałach i drzewach, w napotkanych zwierzętach. Pościł (w przeciwieństwie do niektórych ludów z Równin Północnych Komancze nie stosowali samookaleczenia). Zazwyczaj trwało to cztery dni i noce, ale chodziło przede wszystkim o to, by młody mężczyzna pozostał w tym miejscu, dopóki nie otrzyma wizji. Nie wiemy dokładnie, co zobaczył Quanah. Później mówił o wizji niedźwiedzia. Jego „lekiem” (*medicine*) w wieku dojrzałym była moc niedźwiedzia, co oznaczało, że zwierzę to stanowiło źródło jego mocy, jego *puha*. Dorastający Komancze poszukiwali także nadprzyrodzonej mocy poprzez rytuał Tańca Orła, podczas którego tancerze-wojownicy przechodzili do pobliskiego obozu, by

„schwytać” dziewczynę, a zwykle była to przebywająca u nich porwana kobieta. Po powrocie wszyscy śpiewali, bębnili, a młodzi mężczyźni tańczyli i naśladowali krzyk orła. Byli jak młode orły próbujące opuścić swoje gniazdo[470].

Po bitwie nad rzeką Pease życie Quanaha uległo głębokiej i nieprzyjemnej zmianie. Wygoda i status wynikające z bycia synem wodza natychmiast znikły. Quanah stał się sierotą w kulturze, która niełatwo akceptowała sieroty. Najpierw opiekowała się nim indiańska żona jego ojca. Ale zmarła w następnym roku, pozostawiając Quanaha i jego brata bez bliskich krewnych, którzy by się nimi zajęli. Quanah wspominał później: „Często traktowano nas bardzo okrutnie, tak jak tylko u Indian traktuje się sieroty”. Potem zmarł Orzeszki (z nieznanej przyczyny). Quanah został sam. „Wydawało mi się wtedy, że od tego momentu nie miałem żadnych przyjaciół – wspominał. – Często musiałem żebrać o jedzenie i ubranie i rzadko udawało mi się kogoś uprosić, by zrobił mi ubranie czy zaszył, jeśli było porwane. Zrozumiałem też, że traktowano mnie bardziej okrutnie niż inne sieroty, ponieważ miałem w sobie krew białych”[471].

Mimo tych ciężkich doświadczeń Quanah stał się pełnoprawnym wojownikiem w wieku piętnastu lat[472]. Był dużym chłopcem o długich kończynach, znacznie wyższym i silniejszym niż przeciętny Komancz. Jako dorosły mierzył dobre sześć stóp, niemal o głowę przewyższając wielu swoich rówieśników. Na zdjęciach z lat późniejszych widać jego wielkie bicepsy i ramiona. Jeśli w jakimś okresie traktowano go okrutnie, musiało to się skończyć, gdy stał się młodym mężczyzną: nie warto go było zaczepiać. Był też uderzająco przystojny: miał ciemną karnację jak Komancze, ale i klasyczny, prosty, północnoeuropejski nos, wysokie kości policzkowe i przeszywające, jasnoszare oczy – błyszczące i przejrzyste jak oczy jego matki. W pewien sposób wyglądał zupełnie jak Indianin, ale bez cech azjatyckich, i mógł być wspaniałym ucieleśnieniem wyobrażeń białych o tym, jak szlachetny dzikus powinien wyglądać – oczywiście pewne znaczenie miało też to, że nieco ich przypominał. Świetnie strzelał z łuku i wyróżniał się na polowaniu. Jako młody człowiek i jako wojownik stał się znany z „beztroskiej, szaleńczej odwagi, całkowicie odmiennej od ostrożnego, zabójczego sposobu walczenia Indian”[473]. Był też – jak dobitnie miał pokazać w przyszłości – niezwykle inteligentny.

Quanah był z natury agresywny, bezpośredni i nieustraszony, a cechy te wykazywał już w młodym wieku. Gdy miał zaledwie siedem lat, otrzymawszy któregoś wieczoru mały kawałek mięsa na obiad, oznajmił, że to niesprawiedliwe, iż przebywający u nich gość, dorosły, dostaje większy kawałek. Zaskoczony gość oddał chłopcu swój kawałek, ale Quanah nie dał rady go zjeść w całości. Został potem ukarany przez matkę, Cynthię

Ann, która wepchnęła mu do gardła resztę mięsa na siłę[474]. „Umiar” nie pasuje do opisu Quanaha – ani na wojnie, ani w czasach pokoju. W latach po walce nad rzeką Pease wyróżniało go coś jeszcze: nieprzejednana nienawiść do białych. Baldwin Parker, syn Quanaha, pisał później: „Chciał pomścić swą krzywdę. Zdawał też sobie sprawę, że biali są odpowiedzialni za śmierć jego ojca”[475].

Jego pierwszą próbą była wyprawa w grupie trzydziestu wojowników, którzy wyruszyli z obozu w południowo-zachodnim Kansas i pojechali na zachód, przez Oklahomę, aż do San Antonio. Wydaje się, że w tym wypadku chodziło o konie, a nie o zemstę. Oddali się typowym dla Komanczów wybrykom: ukradli trzydzieści osiem koni oraz zabili i oskalpowali dwóch białych – nieszczęśników, którzy akurat znaleźli się na ich drodze. Jak często było w takich sytuacjach, biali rzucili się za nimi konno w pościg. Komancze jechali bez wytchnienia przez trzy dni, zostawiając białych daleko w tyle, i triumfalnie wrócili do domu z nowym wielkim stadem i dwoma skalpami. Na ich cześć odtańczono taniec wojenny.

Drugi najazd, w którym uczestniczył Quanah, był bardziej interesujący. Tym razem wyjechał razem z sześćdziesięcioma wojownikami z obozu w dzisiejszej zachodniej Oklahomie. Skierowali się na zachód i na południe, do Nowego Meksyku, by dotrzeć do rzeki Penasco we wschodniej części terytorium. W pewnym momencie zauważyli oddział amerykańskiej kawalerii, zmierzający w innym kierunku. Zamiast zostawić żołnierzy w spokoju, jak bez wahania postąpiłaby większość Komanczów, przywódca wyprawy zdecydował, że warto by ukraść wojskowe muły. I tak uczynili. Kawalerzyści nie odpuścili, szybko doganiając Indian, którzy mieli kłopoty z popędzaniem opornych mułów. Quanaha i dwóch innych wysłano, by poprowadzili muły w góry, tymczasem reszta wojowników zajęła pozycje obronne na górskiej przełęczy. Doszło do dwugodzinnej strzelaniny, bez ofiar po obu stronach. Zapadła noc i żołnierze wycofali się do swego obozu, a Indianie, jak zwykle, pomknęli bez wytchnienia do domu. Jechali całą noc, cały dzień, znowu całą noc i dopiero wtedy się zatrzymali, i usnęli w kręgu dookoła swych mułów. Byli tak wyczerpani, że gdy się obudzili, zauważyli, że wiele ich cennych zdobyczy odeszło pół mili od obozu. Kiedy wreszcie wrócili ze skradzionym stadem, na ich cześć odtańczono kolejny wspaniały taniec zwycięstwa[476].

W 1868 roku dwudziestoletni wówczas Quanah wziął udział w długiej wyprawie do Meksyku z dziewięcioma wojownikami, wiedzionymi przez Tohausana, wodza Kiowów, który zasłynął podczas bitwy w Adobe Walls w 1864 roku, kiedy to połączone siły Komanczów i Kiowów bliskie były pobicia oddziału armii Stanów Zjednoczonych, pod wodzą legendarnego Kita Carsona. Łupieżcza wyprawa na teren Meksyku była dla Komanczów (i Kiowów) czymś zwykłym, jednym ze sposobów,

w jaki młodzi, ambitni mężczyźni tradycyjnie zdobywali sławę i bogactwo. W 1852 roku kapitan Randolph Marcy opisywał ten fenomen, który oddalał wojowników od domu nawet na dwa lata:

> Sześciu czy dziewięciu młodych mężczyzn postanawia podjąć jedną z takich wypraw, a jedyny potrzebny im ekwipunek to koń. Ich uzbrojenie składa się z łuków i strzał, włóczni i tarczy, czasem karabinu. Tak przygotowani wyruszają w długą, liczącą tysiąc lub więcej mil podróż przez zupełnie dziki i pusty kraj, żywiąc się tylko tym, co zdołają upolować po drodze. Ich celem są północne prowincje Meksyku[477].

Czasy jednak się zmieniły. Teraz o wiele trudniej było przemierzać beztrosko południowo-zachodnią część kontynentu w poszukiwaniu łupów i chwały. Komancze nadal byli potężni i nadal panowali nad terytorium na zachód od 98 południka oraz na wschód od Kordylierów i Gór Skalistych. Znaleźli już jednak godnych rywali. Na szlaku od San Antonio do El Paso wzniesiono linię fortów, które miały z jednej strony chronić karawany osadników, a z drugiej przeszkadzać tradycyjnym najazdom Komanczów na Meksyk. Na przykład fort Stockton wybudowano w pobliżu obfitych wód Comanche Springs, jednego z największych źródeł w Teksasie i przez sto lat głównego przystanku na drodze najeźdźców zmierzających do Meksyku. W tej suchej krainie wodopój był ważnym miejscem. Teraz Quanah i jego towarzysze stracili do niego dostęp; nigdy już nie mieli pić jego krystalicznej, orzeźwiającej wody.

Wyprawa Tohausana nie przyniosła chwały. Szybko nadchodził koniec czasów wielkich i owocnych najazdów na Meksyk. Komancze nie mogli już sobie pozwalać na krwawe, trwające całe lato rajdy, podczas których pustoszyli olbrzymie regiony w północnym Meksyku i całe stany zamieniali w zgliszcza, a setki lub nawet tysiące porwanych koni ciągnęły za nimi długim sznurem, gdy Szlakiem Komanckim wracali przez Teksas na północ. Wyprawa wojenna, w której uczestniczył Quanah, przebywała poza domem wiele miesięcy. Dwukrotnie przez dwa dni byli zupełnie bez wody. W Chihuahua przymierali głodem. Okazało się, że meksykańskie osady są przygotowane, a ich mieszkańcy – agresywni, dlatego Komanczom udało się ukraść tylko parę koni. Quanah i jego towarzysz stracili swoje muły w trakcie długiej wędrówki powrotnej przez północny Meksyk i Teksas. Do domu dotarli na piechotę. Jak Quanah sam przyznał, wyprawa zakończyła się kompletnym fiaskiem. Nikt nie tańczył tańca zwycięstwa po jego powrocie. Gdyby nie był tak młody, beztroski i zapalczywy, być może dostrzegłby, że czas Komanczów się kończy. Ale takie myśli pojawiły się o wiele później.

W 1868 roku Quanah uczestniczył w kilku najazdach w górzystej części Teksasu; zapisały się one w historii jako szczególnie zaciekłe i krwawe. Jednym z nich był

przerażający atak na gospodarstwo białych w dolinie strumienia Legion, w pobliżu dzisiejszego Llano. Komancze porwali i zabili siedem osób, w tym niemowlę i trzyletnie dziecko[80], oraz uprowadzili Minnie Caudle[478]. Nie ma dowodu, że Quanah brał udział w wydarzeniach, które dla białych były niewyobrażalnymi potwornościami. Jednak tego rodzaju najazdy w odchodzących czasach równinnego imperium Komanczów były typowym zajęciem młodych mężczyzn z tego ludu, a o Quanahu wiedziano, że rwał się do zemsty na ludziach, którzy zabili mu ojca i porwali matkę i siostrę. Działania Indian dzisiaj nazwalibyśmy terroryzmem politycznym. Poza tym kradzież koni wciąż była sposobem na zmianę statusu w grupie. Wszyscy Komancze wiedzieli, że jedyne, co gwarantuje odsunięcie pogranicza, to torturowanie, gwałcenie i zabijanie wszystkich jego białych mieszkańców. Tak więc z czasem najazdy zyskały czysto polityczny charakter i były ku temu ważne powody. Wiele świadczyło o tym, że ta strategia przynosi efekty.

Quanah został wodzem wojennym w bardzo młodym wieku. Dokonał tego w tradycyjny sposób: demonstrując w bitwie, że jest odważniejszy, mądrzejszy, bardziej nieustraszony i opanowany w obliczu ognia przeciwnika niż jego rodacy. Przeobrażenie nastąpiło w czasie dwóch bitew. Obie stoczono pod koniec lat sześćdziesiątych i obie pozwoliły mu wyrobić sobie pozycję. Pierwsza była uwieńczeniem wyprawy łupieżczej, która wyruszyła z obozu w Llano Estacado. Prowadził ją wódz o imieniu Ucho Niedźwiedzia. Quanah dorastał głównie wśród Nokonów, ale naradom, na których omawiano tę wyprawę, przewodniczył Słyszący Wschód Słońca, wódz Yamparików (Zjadaczy Korzeni) – ich terytorium tradycyjnie znajdowało się na północ od rzeki Canadian. Obecny był też Esahabbe, czyli Droga Mleczna, przywódca Penateków, który nie poszedł do rezerwatu jak większość jego grupy. Żona Esahabbego należała z kolei do odłamu Yamparika[479]. Takie pomieszanie wskazuje na zacieranie się przynależności grupowej, i w istocie to właśnie się działo. Od 1868 do 1872 roku Quanah przez większość czasu przebywał wśród Quahada, odłamu, który – jak wszystko na to wskazuje – oderwał się od Kotsoteków w latach pięćdziesiątych XIX wieku[480]. Być może powodem takiego postępowania było pragnienie zachowania czystości poprzez trzymanie się z dala od obcych na Wysokich Równinach. Często żył też u Kotsoteków. Członkowie jego wypraw wojennych pochodzili z różnych grup. Wraz z naporem białych i zmniejszaniem się terenów łowieckich dawne podziały na grupy zanikały.

Wyprawa Ucha Niedźwiedzia ruszyła na wschód z wysokich, płaskich równin, przez skalne tarasy, zjeżdżając ku falistym, poprzecinanym uskokami i rzekami preriom, by na koniec uderzyć na pograniczne osady, których linia stale się odsuwała z powrotem na

wschód niczym fala w odpływie: teraz przebiegała bardziej na wschód niż w 1860 roku, czyli w czasach najazdów Pety Nocony. Najeźdźcy runęli na rancza i farmy w okolicach Gainesville (pięćdziesiąt mil na północ od Fort Worth). Prawdopodobnie zabijali ludzi, ale nie wspomina się o tym w kronikach. Na pewno udało im się ukraść wielkie stado koni, potem zawrócili do domu. Dotarli do Rzeki Czerwonej, kiedy drogę przeciął im oddział żołnierzy, wysłany z fortu Richardson (w pobliżu Jacksboro), aby ich odnaleźć.

Wywiązała się krwawa walka, w czasie której zginął Ucho Niedźwiedzia. Jak widzieliśmy, śmierć wodza, oznaczająca nieskuteczność jego magii, zwykle odwracała losy bitwy na korzyść białych. Pozbawieni ducha walki i przywódcy Indianie często unosili zwłoki wodza i uciekali. Ale nie tym razem. Rolę Ucha Niedźwiedzia przejął Quanah. Krzyknął do pozostałych wojowników: „Rozproszcie się! Zawróćcie konie na północ, ku rzece". Oznaczało to porzucenie pierwotnego planu Ucha Niedźwiedzia. Pośpieszani przez Quanaha Komancze popędzili stado przez nierówną ziemię ku rzece. Uciekającego razem ze wszystkimi Quanaha ścigał jeden żołnierz, który w pewnym momencie do niego strzelił. Zamiast zmuszać konia do szybszego biegu, Quanah zawrócił i stanął ze swym przeciwnikiem twarzą w twarz. Zaatakował i − jak w średniowiecznych pojedynkach – obaj walczący natarli na siebie z wyciągniętą bronią. Żołnierz wypalił z rewolweru. Kula otarła się o udo Quanaha, a jednocześnie strzała Komancza trafiła żołnierza w ramię – ten upuścił swą broń, zawrócił konia i uciekł. Teraz jednak Quanah był wystawiony na ogień pozostałych żołnierzy. Przechylił się, kryjąc się za swoim wierzchowcem w stary komancki sposób, i z kulami świszczącymi mu nad uchem pomknął za resztą wojowników. Jakoś zdołali przepłynąć rzekę wraz z ukradzionymi końmi. Żołnierze zaprzestali pogoni. Tej nocy przy obozowym ognisku wojownicy wybrali Quanaha na swojego przywódcę[481].

Druga bitwa odbyła się w 1869 roku. Quanah i sześćdziesięciu trzech Indian oraz „pewna liczba Meksykanów" wyruszyli z obozu w Santa Fe. Pojechali na wschód w stronę rancz hodowców bydła, które leżały wokół dzisiejszego San Angelo. W tym roku były to najbardziej na zachód wysunięte osiedla białych w Teksasie, nieprzypadkowo założone w pobliżu fortów wojskowych Chadbourne (powstał w 1852 roku) i Concho (wzniesiony w 1867 roku). Jak wspominał później Quanah, parę mil od fortu Concho z kilkoma towarzyszami odkryli obóz kowbojów oraz niewielkie stado koni. Indianie skryli się między skałami i w krzakach, doczekali zmroku, po czym rozpędzili konie białych, łapiąc dla siebie najlepsze. Kowboje zaczęli strzelać w ciemnościach, ale nikogo nie trafili[482]. Indianie ruszyli na południe. Wędrowali nocą, aż dotarli do górzystego regionu na południe od San Antonio, gdzie

zabili człowieka, który poganiał parę wołów. Wieści o zabójstwie szybko się rozeszły wśród osadników. Trzydziestu mężczyzn ruszyło w pogoń za najeźdźcami.

Szybko dogonili Indian i doszło do starcia. Według relacji Quanaha biali mieli karabiny o dużym zasięgu, prawdopodobnie do polowań na bizony. Indianie przegrywali i zaczęli się wycofywać. Quanah jednak nie podążył za innymi. Schował się w zaroślach na uboczu trasy, którą uciekali Komancze, a kiedy nadjechało pierwszych dwóch białych, wynurzył się i zabił obu włócznią. Pozostali wojownicy, widząc ten brawurowy wyczyn, przegrupowali się i natarli na Teksańczyków, zmuszając ich do szukania schronienia. Wywiązała się krótka strzelanina, która nie przyniosła rozstrzygnięcia. Indianie się wycofali, gdy skończyła się im amunicja. Tej nocy, podczas narady nad San Sabą, ponownie wybrali Quanaha na przywódcę.

Niezwykła odwaga Quanaha na polu walki sprawiła, że w młodym wieku dołączył do wąskiej, elitarnej grupy mężczyzn, którzy prowadzili wyprawy łupieżcze i wojenne Komanczów w ostatnich latach ich wolności. Świat Nermernuh wyraźnie się kurczył. Następnego roku przy życiu pozostało mniej niż cztery tysiące Komanczów. Spośród nich zaledwie tysiąc odmówiło zamieszkania w rezerwacie[483].

Najbardziej dramatyczna historia z młodzieńczego okresu Quanaha wiąże się z jego małżeństwem. W późniejszych latach miał wiele żon, ale żaden z jego związków nie był tak gwałtowny jak jego małżeństwo z drugą żoną, która nosiła imię Weckeah (wszystko wskazuje na to, że pierwsza żona Quanaha była Apaczką z odłamu Mescalero; niewiele o niej wiadomo). Małżeństwo zawarli najprawdopodobniej na początku lat siedemdziesiątych[484]. Tak czy inaczej, historia zaczęła się typowo. Razem dorastali, a Quanah zakochał się w Weckeah. Ona odwzajemniała uczucie. Wyszywała mu mokasyny i kołczan na strzały. Chcieli się pobrać. Był tylko jeden problem: ich związkowi sprzeciwiał się ojciec dziewczyny, Stary Niedźwiedź (Żółty Niedźwiedź). Po pierwsze, w żyłach Quanaha płynęła biała krew, a po drugie, jako sierota, a tym samym nędzarz, nie miał żadnej pozycji w grupie[485]. Sprawę komplikowało jeszcze pojawienie się drugiego zalotnika, niejakiego Tannapa, syna Eckitoacupa, który był bogatym wodzem. Tannap wcale nie podobał się Weckeah[486]. Głównym problemem Quanaha były konie, najważniejszy wskaźnik zamożności u Komanczów. Ojciec Tannapa, który miał stado stu koni, zaoferował dziesięć z nich za rękę Weckeah dla swojego syna. Quanah mógł ofiarować tylko jednego konia.

Mimo to Weckeah nalegała, by Quanah spróbował wyrównać ofertę Tannapa. Quanah zdał się więc na przyjaciół i z ich pomocą zdołał zebrać dziesięć wierzchowców. Przygnał je do tipi Starego Niedźwiedzia, żeby podarować ojcu

ukochanej. Niestety, Eckitoacup usłyszał o jego planie wcześniej i podwoił swoją ofertę.

Niezrażony Quanah wpadł na nowy pomysł. Powiedział Weckeah, że teraz ich jedyną nadzieją jest wspólna ucieczka. Było to dość typowe rozwiązanie w kulturze Komanczów: niezamożny zalotnik często nie miał innego wyboru niż uciec z narzeczoną. Wallace i Hoebel w klasycznym studium etnograficznym Komanczów pisali:

> Kiedy dziewczyna dowiaduje się, że bogaty zalotnik, którego nie chce poślubić, szykuje się do oświadczyn, może zdecydować się na ucieczkę z mężczyzną, którego kocha. Od czasu do czasu zdarzało się, że pary uciekały, gdy chłopak był biedny i dostarczenie wystarczającej liczby koni czy innych wartościowych przedmiotów, by usatysfakcjonować rodziców dziewczyny, przekraczało jego możliwości. W takim wypadku krewni i przyjaciele chłopca mogli zgromadzić odpowiednią liczbę koni, żeby zmyć hańbę, która spadła na rodziców żony[487].

Quanah nie miał takiej rodziny, co oznaczało, że uciekając z Weckeah, ryzykował śmierć, ona zresztą też. Rodziny komanckie potrafiły być bardzo nieprzejednane w tych sprawach, a wódz o pozycji Eckitoacupa nie miałby problemu ze zwerbowaniem ochotników na wyprawę w celu ukarania młodego człowieka, który tak bardzo pogwałciłby przyjęte zwyczaje.

Ale Quanah miał na myśli coś więcej niż zwykłą ucieczkę. Wcześniej przygotował sobie coś, co można by przyrównać do polisy ubezpieczeniowej: grupę dwudziestu jeden młodych wojowników. Razem popędzili na południe, przez siedem godzin nie zwalniając tempa, z wyjątkiem tych momentów, kiedy musieli przekraczać strumienie[488]. Szybciej Komancze nie mogli już podróżować, a taką prędkość można było osiągnąć tylko wtedy, gdy każdy jeździec dysponował wieloma końmi. Uciekinierzy tak bardzo obawiali się pościgu, że przez dwie noce z rzędu jechali bez przerwy, wielokrotnie rozdzielając się i łącząc ponownie. Zjechali się pod Double Mountain w pobliżu dzisiejszego Snyder w zachodnim Teksasie. Zatrzymali się ostatecznie nad rzeką North Concho niedaleko miasta San Angelo i − jak ujął to Quanah – „wyprawili się, by kraść konie”.

Zostali tam ponad rok, a w tym czasie ich obóz stał się fortecą Quanaha. Ich głównym zajęciem była kradzież koni. Quanah potem wspominał: „Kradliśmy konie w całym Teksasie”. Na pewno zabijali też ludzi. Z czasem kilku jego młodych i odważnych towarzyszy wróciło do głównego obozu, opowiedziało o wielkich łupach i przygodach, przywództwie Quanaha, po czym ponownie przyjechało nad North Concho ze swymi ukochanymi i żonami, a także innymi młodymi mężczyznami, którzy chcieli przemierzać równiny razem z Quanahem. Pod koniec roku grupa Quanaha

liczyła kilkaset osób[489]. Dorobili się też wielkiego stada koni.

Jednak ucieczka Weckeah nie dawała spokoju Eckitoacupowi, który postanowił wreszcie zorganizować wyprawę, żeby ją odzyskać. Teraz wszyscy wiedzieli, gdzie jest Quanah. Eckitoacup wybrał się na południe na czele grupy wojowników i dotarł do obozu buntowników nad rzeką. Nie jest jasne, czego się spodziewał, ale na miejscu okazało się, że on i jego ludzie mają przed sobą całą grupę Quanaha – uzbrojoną, wymalowaną i gotową do bitwy. Zdumiony ich liczbą, Eckitoacup zaczął się obawiać o własne bezpieczeństwo. Zamiast walczyć, postanowił się dogadać: czterech przywódców z każdej strony spotkało się na neutralnym terenie. Porozumienie wymagało długich godzin palenia fajki i targów. Eckitoacup miał otrzymać dziewiętnaście najlepszych koni ze stada Quanaha. W zamian Quanah dostał pozwolenie na powrót do głównej grupy (Quanah stwierdził po zawarciu umowy, że zna jedno ranczo, z którego w ciągu kilku godzin może ukraść dziewiętnaście podobnych koni). Umowa została przypieczętowana całonocnym ucztowaniem i tańcami. Grupa Quanaha zanadto się rozrosła, by pozostawiono ją w spokoju w tej części Teksasu, dlatego też następnego dnia udał się za Eckitoacupem z powrotem do domu, gdzie odkrył, że uznawany jest za pełnoprawnego wodza wojennego[490].

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Barbarzyńskie wojny

Rok 1863, w którym Quanah stał się wojownikiem, był najkrwawszym rokiem w historii Ameryki, choć większość przelanej krwi nie miała nic wspólnego z ambitnym chłopakiem, swobodnie galopującym po zachodnich równinach, kradnącym konie i zdzierającym skalpy. Za śmierć i zniszczenie na wielką skalę odpowiadała wojna secesyjna. W tym roku na zawsze zamieniła się ze stosunkowo krótkiego, ograniczonego, regionalnego konfliktu – a większość ludzi spodziewała się, że właśnie takim konfliktem będzie – w złowrogi, ciągnący się i obejmujący cały kontynent proces, który groził podzieleniem kraju na zawsze. Rok 1863 był rokiem Chancellorsville i Chickamaugi, Vicksburga i Chattanoogi, rokiem, w którym Robert E. Lee powiódł siedemdziesiąt pięć tysięcy konfederackich żołnierzy w sam środek Pensylwanii, bastionu Północy, a tam, pod Gettysburgiem, stoczyli nierozstrzygnięty bój, który przyniósł makabryczne żniwo pięćdziesięciu jeden tysięcy zabitych.

Wojna secesyjna właściwie nie dotknęła bezpośrednio zachodniego pogranicza. Do wszystkich głównych starć doszło na wschód od Missisipi, a w związanych z nią wydarzeniach w Teksasie, Kansas, Nowym Meksyku i na Terytorium Indiańskim nie uczestniczyły żyjące na wolności ludy konne. Ale i tak wojna zdołała rozedrzeć to pogranicze. Nie uczyniła tego przy pomocy armii i wozów z amunicją, lecz po prostu przez zaniedbanie. Rządy Unii i Konfederacji były zajęte wojną, a zresztą i tak nie miały środków do walki z Indianami, więc jedynym wyjściem okazało się pozostawienie Zachodu samemu sobie. Oznaczało to, że nagle zniknęła większość ludzi broniących granic w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XIX wieku: zabrakło rangerów, drugiego pułku kawalerii, rozmaitych oddziałów milicji stanowej. Ludzie, którzy dowodzeni przez Forda zwyciężyli pod Antelope Hills, przez Van Dorna – w wiosce Wichitów, a przez Rossa – nad rzeką Pease, teraz walczyli na wschodzie. Razem z nimi odeszła wiedza, jak ścigać Komanczów na ich ojczystych ziemiach, a także wola, by to robić.

Ich miejsce zajęły milicje stanowe i terytorialne – żałosny, gorszy gatunek żołnierzy pod dowództwem słabych oficerów, którzy unikali poważniejszych walk. Ich

uzbrojenie było kiepskie. Używali własnej broni, często w rozpaczliwym stanie. Mieli bardzo mało ołowiu, a część prochu, którym dysponowali, była tak słabej jakości, że „nie zabiłby on człowieka w odległości dziesięciu stóp od wylotu lufy”[491]. Źle jedli, upijali się, cierpieli z powodu odry i chorób jelit, poza tym nie byli ani wystarczająco odważni, ani dostatecznie przebiegli, żeby wygrywać starcia z Komanczami, Szejenami czy Kiowami (jeden pułk, oficjalnie ścigający Indian, pogalopował do innego fortu, gdzie żołnierze oddali się grze w pokera).

Mieli na głowie inne problemy, w tym własną zminiaturyzowaną wersję wojny. W 1861 roku milicja teksaska weszła na Terytorium Indiańskie, zajęła kilka fortów i zmusiła oddziały Unii do wycofania się na północ, do niedawno utworzonego stanu Kansas. Przez całą wojnę na Terytorium Indiańskim dochodziło do niewielkich potyczek – najważniejszą z nich było starcie nad Honey Springs w 1863 roku, w którym trzy tysiące żołnierzy Unii z Kansas pokonało sześć tysięcy Teksańczyków i Indian. Jednak wydarzenia te rozgrywały się daleko na wschód od pogranicza, które zlekceważono i pozostawiono bez obrony.

Ten nagły brak zainteresowania zmienił wszystko. Chociaż niezrozumiale pasywna polityka rządu federalnego w latach pięćdziesiątych pociągnęła za sobą setki indiańskich ataków, dekada zakończyła się przebłyskiem siły i determinacji białych. Podjęta w 1858 roku ekspedycja Ripa Forda była przełomowym wydarzeniem, które nie miało wielu precedensów (były wśród nich dokonania błyskotliwego Don Juana Bautisty de Anzy – jedynego hiszpańskiego gubernatora, który powstrzymał terror Komanczów – w pościgu za Cuernem Verdem na równinach wschodniego Kolorado w 1779 roku). I o ile zwycięstwo Sula Rossa nad rzeką Pease w 1860 roku nie było tak chwalebne, jak je najczęściej opisywano, o tyle przynajmniej pokazywało, że teraz *taibos* naprawdę są gotowi się bronić. Pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku wydawało się nawet – podobnie jak pod koniec lat trzydziestych i znowu pod koniec lat czterdziestych – że potęga Komanczów w szybkim tempie się zmniejsza, że koniec swobodnych najazdów i grabieży nastąpi niebawem, tak jak ostateczne osadzenie w rezerwacie. A jednak wszystko to było złudzeniem. Historię Komanczów należy rozumieć jako naprzemienne narastanie i słabnięcie potęgi ścierających się sił. Wzrost potęgi władz stanowych i federalnych pod koniec lat pięćdziesiątych robił wrażenie. Komancze musieli szukać bezpiecznego schronienia w Llano Estacado, a ich upadek zbliżał się szybkimi krokami. Zostało ich zbyt mało, by temu zapobiec.

Potem nadeszła wojna secesyjna, która zabrała Teksańczyków na inne fronty. Wkrótce całe Południe pokryło się ich zwłokami, chowanymi w płytkich grobach. Gdy patrzy się wstecz, zadziwia to, jak dużo czasu zajęło Komanczom zrozumienie, że

pogranicze pozostało bez ochrony, jak dużo czasu potrzebowali, by dostrzec tę wielką zmianę w układzie sił. Po części było tak dlatego, że zarówno Unia, jak i Konfederacja, jednakowo osłabione na zachodnich terytoriach, szybko zawierały z Indianami nowe traktaty, z pozoru bardzo dla nich korzystne. Porozumienia były w istocie wersjami starych, fałszywych i bezużytecznych obietnic. Ale zdołały na jakiś czas zmylić Indian. Konfederaci obiecali Komanczom prezenty i zapasy, a oni z ochotą zgodzili się osiąść w wyznaczonym im rezerwacie, nauczyć się uprawiać ziemię i przestać atakować tak białych, jak i czerwonych ludzi – obietnice, których nie mieli zamiaru dotrzymać. Traktat podpisali Komancze, którzy już żyli w rezerwacie, głównie Penatekowie, a także wodzowie dzikich grup Komanczów, należących do odłamów Nokoni, Yamparika, Kotsoteka i niedobitków Tennawish. Odłam Quahada, jak zawsze dumnie trzymający się z dala, nie podpisał niczego. Rząd federalny również zawarł traktat, powtarzając po prostu postanowienia traktatu z 1853 roku (te same obietnice rocznych rent i zapasów) i żądając w zamian tych samych absurdalnych rzeczy.

Pierwsze z przerażających wydarzeń, będących skutkiem zaniedbania, miało niewiele wspólnego z białymi. Chodzi o wojny między Indianami, toczone na Terytorium Indiańskim, ziemiach na północ od Rzeki Czerwonej i na południe od Kansas, które w przyszłości miały zostać stanem Oklahoma. Większość podbitych i przesiedlonych ludów ze Wschodu, Południa i Środkowego Zachodu została osadzona właśnie tutaj – proces ten zaczął się na początku XIX wieku. W roku 1830 Kongres uchwalił Ustawę o przesiedleniu Indian (*Indian Removal Act*), która zmuszała większość ludów do porzucenia ich terenów na Wschodzie i Środkowym Zachodzie w zamian za kawałek ziemi na Terytorium Indiańskim, dany im rzekomo na zawsze. W latach sześćdziesiątych XIX wieku Terytorium Indiańskie było skomplikowaną mozaiką tubylczych kultur – każda miała własny rezerwat. Największe rezerwaty przeznaczono dla Pięciu Cywilizowanych Plemion (Krików, Czoktawów, Czirokezów, Czikasawów i Seminoli), a także wspólnie dla Komanczów, Kiowów i Apaczów, Szejenów i Arapahów oraz Wichitów i ich sojuszników (Caddo, Anadarko, Tonkawa, Tawakoni, Keechi i Delawarów). Mniejsze obszary należały do Kikapów, Sauków i Foxów, Osedżów, Paunisów, Potawatomich i Szaunisów, Iowa, Peoriów, Quapaw, Modoków, Ottawów, Wyandotów, Seneków, Ponków oraz Oto (Otoe) i Missouri. Było to niezwykłe nagromadzenie tubylczych interesów i antagonizmów, odgórną decyzją Kongresu upchniętych razem na falistych równinach i leśnych terenach na północ od Rzeki Czerwonej.

Dla wielu tych grup wojna secesyjna okazała się taką samą katastrofą, jaką później

stała się dla białych farmerów we wschodniej Georgii. Problemy zaczęły się w 1861 roku, zaraz po rozpoczęciu wojny, kiedy Stany Zjednoczone wycofały swoje wojska z Terytorium Indiańskiego[492]. Wprawdzie pozostało tu kilka rozproszonych luźnych oddziałów konfederackich, ale rolnicze ludy nie były chronione przed atakami dzikich plemion konnych, które nienawidziły rolników za wkraczanie na ich tereny łowieckie oraz – jak to postrzegały – ułatwianie adaptacji białym. Wśród pozbawionych choćby namiastki ochrony rolniczych plemion Komancze (głównie dzikie grupy, ale brali w tym czasem udział także Penatekowie z rezerwatu) siali straszliwy terror. Głównym celem ataków byli Czikasawowie, ale innych też nie pozostawiono w spokoju. Komancze atakowali ich gospodarstwa i osady tak samo, jak najeżdżali pogranicze teksaskie. Ich ofiarami były grupy poruszające się pieszo, mieszkające w domach i uprawiające ziemię. Wielu Czikasawów musiało uciekać z Terytorium Indiańskiego do Kansas. Zaatakowani zostali także Czoktawowie i Krikowie oraz mieszkańcy rezerwatu Wichitów, których część z wielkim powodzeniem skopiowała osiadły, rolniczy tryb życia cywilizowanych plemion. Komancze szybko poradzili sobie z ich farmami, bydłem i zbiorami. Wyrzynali całe osady, brali jeńców. Trzeba zaznaczyć, że nie zawsze „cywilizowani” Indianie byli bezbronnymi ofiarami. Często zaciekle walczyli i zdarzało się, że dawali odpór prześladowcom[493].

Jednak najazdy Komanczów to tylko część tragedii. Wojny toczyły między sobą także plemiona będące sojusznikami pogrążonych w bratobójczej walce Unii i Konfederacji. Byli Indianie „konfederaci” i Indianie „unioniści”. Wielu członków Pięciu Cywilizowanych Plemion miało niewolników, co budziło gniew wśród Indian popierających Północ, a także powodowało głębokie podziały w ich własnych społecznościach. Wynikiem tego były liczne masakry i akcje odwetowe – większość z nich nieznana jest historii. To, co o nich wiemy, wskazuje, że były krwawe i powszechne. Terytoria Czirokezów, Krików i Seminoli stały się scenerią bitew między zwolennikami obu stron. Domy i farmy, bydło rozpłodowe i narzędzia rolnicze niszczono albo rozkradano. Pokaźnym odłamom tych plemion wojna przyniosła głód i nędzę i kolejny raz ich przetrwanie zostało uzależnione od pomocy rządu[494]. W 1862 roku tylko w jednym ataku zginęło stu Tonkawów. Owe napaści prawie doprowadziły do ich eksterminacji[495]. Rzekomym powodem był ich kanibalizm, który napawał wstrętem innych Indian, ale najprawdopodobniej chodziło o to, że od dawna służyli Teksańczykom jako zwiadowcy w wyprawach przeciw koczownikom[496]. Wojna domowa dała liczne okazje do wyrównania rachunków.

Wojny te – podobnie jak wielka wojna domowa – pociągały za sobą masowe

przesiedlenia ludności. W ostatnim tygodniu grudnia 1861 roku liczna grupa „lojalnych” Indian (między innymi Krików), której przewodził wódz Krików Opothle Yahola, została kilkakrotnie zaatakowana przez połączone siły Indian konfederackich i teksaskiej kawalerii. Przerażeni zwolennicy Unii porzucili wszystko i uciekli na północ. Wielu z nich zamarzło na przenikliwym zimnie, a ich ciała zostały zjedzone przez wilki. Dzieci rodziły się na śniegu i szybko umierały z wyziębienia[497]. Według jednej relacji w atakach lub z powodu zimna zmarło siedmiuset Krików[498]. Kiedy uciekinierzy dotarli do Kansas, zebrali się w obozie dla uchodźców, gdzie sytuacja była niewiele lepsza. Ludzie spali na zamarzniętej ziemi, okryci zaledwie skrawkami ubrań: chustami czy fartuchami, które rozwieszano na niewysokich drzewach, by choć nieco osłonić się przed równinnymi śnieżycami. Zróżnicowanie populacji w początkach istnienia tego obozu dużo mówi o tym, jaki wpływ wywarła wojna secesyjna na Terytorium Indiańskie. W obozie przebywało 3168 Krików, 53 niewolników należących do Krików, 38 „wolnych Murzynów, wcześniej niewolników Krików” (*free Creek negroes*), 777 Seminoli, 136 Quapawów, 50 Czirokezów, 31 Czikasawów i kilku Kikapów. W kwietniu 1862 roku mieszkało tam 7600 uciekinierów, wśród których byli członkowie grup Keechi, Hainai, Biloxi i Caddo – wszyscy pozbawieni całego swego dobytku[499].

Kiedy na wschodzie szalała wojna, na pograniczu osadnictwa raz po raz dochodziło do krwawych mordów. Zaczęło się na północy, gdzie w 1862 roku wybuchło powstanie Indian na preriach Minnesoty. Tego roku Siuksowie Santee (wschodni Siuksowie, znani też jako Dakoci[81]) wszczęli rewoltę w swoim rezerwacie nad rzeką Minnesotą. Walki rozprzestrzeniły się poza rezerwat. Indianie zabili aż ośmiuset białych osadników, co przed zamachem z 11 września 2001 było największą w historii Stanów Zjednoczonych liczbą zabitych cywilów podczas działań wojennych. Kolejne czterdzieści tysięcy osadników uciekło w śmiertelnej panice na wschód. Przechodzące ludzkie pojęcie, niemal bezmyślne okrucieństwa popełniane przez Santee wynikały po części z postawy rządu federalnego, który nie zdołał dostarczyć obiecanych rocznych rent i zapasów żywności, a po części z braku wojsk federalnych. W przeciwieństwie do Teksańczyków, których większość wywodziła się z pokolenia osadników i zdawała sobie sprawę z okrucieństw będących nieodłącznym elementem wojen indiańskich, a zwłaszcza wojen z Komanczami, mieszkańcy Minnesoty byli zwykłymi rolnikami. Większość pochodziła z Europy. Ich reakcją był paniczny strach, który jeszcze się pogłębił, gdy doświadczyli tego, co osadników na północy nigdy wcześniej nie spotkało, mianowicie systematycznego gwałcenia i torturowania wziętych do niewoli

kobiet.

Kiedy żołnierze ochotnicy wreszcie stłumili bunt Santee, wściekłe tłumy wrzeszczały na schwytanych Indian, których trzymano w klatkach. Kilku wpadło w ręce białych i zostało wykastrowanych. Osadnicy żądali śmierci wszystkich buntowników. Gdyby prezydent Lincoln nie zainterweniował, zginęłyby setki Indian. Ostatecznie powieszono trzydziestu ośmiu, co i tak było największą przeprowadzoną jednego dnia egzekucją w amerykańskiej historii. W następnym roku wszystkich Santee wyrzucono z Minnesoty i zlikwidowano ich rezerwaty[500]. Tak oto Siuksowie, wielka potęga na północy, zderzyli się z napierającą linią osadnictwa – podobny proces w Teksasie trwał od lat dwudziestych XIX wieku.

Pod koniec 1863 roku większość wolnych konnych ludów na Równinach Południowych zrozumiała, że nie ma już żołnierzy, którzy mogliby ich powstrzymać. Latem 1864 roku Indianie dokonywali krwawych najazdów na osady od Kolorado po południowy Teksas, atakując zuchwale zarówno osadników, jak i żołnierzy, niewiele sobie robiąc z ewentualnego odwetu. Wielkie połacie ziemi, zasiedlone jeszcze w latach pięćdziesiątych, teraz się wyludniły. Ataki Komanczów praktycznie powstrzymały ruch na Szlaku Santa Fe. Poczta lądowa porzuciła swe stacje na odcinku czterystu mil. Ustał przypływ ludzi. Najazdy Szejenów odcięły dostawy do obozów górniczych w Kolorado – ludzie przymierali w nich głodem. Cena worka mąki w odizolowanym Denver sięgnęła czterdziestu pięciu dolarów. Granica znowu się cofnęła, w niektórych miejscach o sto−dwieście mil, co oznaczało przekreślenie dwóch dziesięcioleci zdobywania Zachodu[501]. Przez krótką i przerażającą chwilę wydawało się, że najazdy Indian zablokowały niezachwiane parcie Ameryki ku Oceanowi Spokojnemu. A przecież warunkiem realizacji „naturalnego przeznaczenia” był podbój środkowej części kontynentu.

Jednym z najlepszych przykładów tego nowego zalewu niepowstrzymywanej przemocy był najazd na dolinę Elm Creek. W październiku 1864 roku siedmiuset wojowników, Komanczów i Kiowów, oraz towarzyszące im trzysta kobiet, dzieci i starców pod wodzą Komancza Małego Bizona, wyjechało z obozu na Red Bluff, nad rzeką Canadian[502]. Uczestnicy wyprawy – największej, jaką dotąd przedsięwzięli wspólnie Komancze i Kiowowie – przekroczyli Rzekę Czerwoną dziesięć mil powyżej fortu Belknap i zaatakowali osadę składającą się z sześćdziesięciu domów, leżącą w dolinie strumienia, który od południa zasilał rzekę. Nie było nikogo, kto mógłby ich powstrzymać: ani rangerów, ani regularnych oddziałów, ani dowódców, takich jak Hays czy Ford, którzy mogliby ruszyć za nimi w pościg. W przeciwieństwie do Santee ci Indianie nadal byli koczownikami, dzięki czemu mogli w każdym miejscu Wielkich

Równin znaleźć kryjówkę. Puścili osadę z dymem, zabili część mieszkańców, zabrali ich bydło i konie, a grupkę przerażonych osadników zmusili do ucieczki do niewielkiego fortu Murrah.

W tym momencie nadjechała kawaleria, ale w niczym to nie pomogło. Wręcz przeciwnie. Czternastu milicjantów stanowych dziarsko wypadło z fortu Belknap i popędziło na kłębiący się tłum trzystu konnych wojowników. Pięciu żołnierzy zginęło na miejscu, paru innych zostało rannych. Pozostali rzucili się do ucieczki, czasem dwóch na jednym koniu. Większość krwawiła obficie z licznych ran od strzał. Schronili się w forcie Murrah, gdzie razem z innymi drżeli ze strachu przed kolejnym atakiem. Brakowało im odwagi, by pojechać po pomoc. Zamiast nich wyruszyło kilku śmielszych osadników – i ledwie uszli z życiem. Wynik starcia: jedenastu osadników i pięciu żołnierzy zabitych, siedem kobiet i dzieci uprowadzonych. Najeźdźców nikt nie ścigał. Tego typu najazdy powtarzały się wielokrotnie tego roku na całym pograniczu. Biali nie mieli w nich szans, podobnie jak podczas wielu innych starć, gdy Indianom próbowały przeciwstawić się ochotnicze oddziały samoobrony.

Jednak odwet za przemoc Indian był nieunikniony. Pod koniec 1864 roku generał brygady James H. Carleton, najwyższy stopniem oficer armii Stanów Zjednoczonych na terytorium Nowego Meksyku, postanowił rozwiązać ten problem. Carleton był konserwatywnym, pochodzącym z Nowej Anglii, zadufanym i wszystkowiedzącym uparciuchem z wielkim ego i zadziwiającym wachlarzem talentów, wśród których znalazły się: wspinaczka górska, zbieranie nasion, tańczenie walca, archeologia, historia wojskowości, projektowanie łodzi oraz studiowanie meteorytów[503]. Bezkarność, z jaką Komancze atakowali podlegające mu terytorium, dotykała go do żywego. Wcześniej tego roku wraz z legendarnym zwiadowcą, pułkownikiem Christopherem „Kitem” Carsonem, poprowadził zakrojoną na szeroką skalę kampanię przeciw Nawahom w Nowym Meksyku – ostatecznie dopadł ich w Canyon De Chelly, zniszczył zbiory, wybił stada i zmusił osiem tysięcy ludzi do zamieszkania w rezerwacie[504].

Jego pech polegał na tym, że rezerwat leżał na obrzeżach Komanczerii. Zachodnie grupy Komanczów potrzebowały niewiele czasu, by dostrzec, jak dotkliwie bezbronni są ich dawni wrogowie w swej nowej ojczyźnie. Nermernuh napadali na nich wczesnym rankiem, atakując nawahijskie wsie, kradnąc owce, konie, kobiety i dzieci – jednym słowem, rujnując pięknie obmyślane plany Carletona[505]. Gniew Carletona był tym większy, że Komancze raz po raz atakowali także karawany z zapasami dla armii na Szlaku Santa Fe. W rabowanych wozach była zarówno żywność, która miała pomóc Nawahom przetrwać, jak i poczta, będąca jedynym kontaktem generała z oficerami na

wschodzie. Carleton faktycznie znalazł się w izolacji. Wszystko, co znajdowało się na wschód od jego biura w Santa Fe, wydawało mu się chaosem i zniszczeniem.

W listopadzie 1864 roku wysłał pułkownika Carsona z wyprawą odwetową do najodleglejszej i dotąd nienaruszalnej części Komanczerii, położonej na wysokości trzystu pięćdziesięciu stóp krainy w Texas Panhandle. Te płaskie, przypominające powierzchnię oceanu przestworza traw, przerywane poszarpanymi skalistymi kanionami i pradawnymi rzekami, były zamieszkane przez najdziksze i najbardziej niedostępne grupy Komanczów. Na te tereny wcześniej zapuszczali się tylko *comancheros* z Nowego Meksyku. Zaledwie kilku białych kiedykolwiek tu dotarło – byli to przeważnie handlarze. I żaden Teksańczyk, ranger czy ktokolwiek inny nigdy nie zdobył się na tyle odwagi, by tropić Komanczów na Llano Estacado. Od dawna takie przedsięwzięcie uznawano za pewną śmierć: w roli jej pomocnika występowały albo dzikie, pozbawione wody równiny, albo Komancze. Dla żołnierzy na koniach przekroczenie Rzeki Czerwonej, wspięcie się na ascetycznie piękne góry Wichita w pościgu za najeźdźcami było aktem prawdziwej odwagi, a wkroczenie na przepastne, wysokie równiny na zachodzie zakrawało już na samobójstwo. Co dziwne, Komancze, którzy od handlarzy dowiedzieli się o planach Carletona, spróbowali doprowadzić do zawieszenia broni. W tym celu do fortu Bascom we wschodnim Nowym Meksyku wybrała się grupa dziesięciu Komanczów i Kiowów, na czele z Dziesięcioma Niedźwiedziami, wodzem Komanczów[506]. Carleton rozkazał jednak komendantowi fortu przekazać im, żeby „nie przychodzili więcej z białą flagą, o ile nie zamierzają oddać bydła, które tego roku ukradli naszym ludziom, a także dostarczyć tych spośród nich, którzy zabili naszych bez powodu i bez żadnej prowokacji”[507]. Ekspedycja przeciw Komanczom posuwała się naprzód. Jeśli w tym kraju był ktoś, kto mógł poprowadzić tak niebezpieczną wyprawę, to był to Kit Carson.

Carson był jedną z najsławniejszych postaci na Amerykańskim Zachodzie, jeszcze za życia opiewany w tanich powieściach awanturniczych (tak zwanych *blood and thunder*). Był traperem, myśliwym i zwiadowcą, a także jednym z pierwszych białych, którzy weszli na dzikie obszary rozpościerające się za 100 południkiem zachodnim. Służył jako zwiadowca w słynnych wyprawach Johna C. Frémonta na zachód od Gór Skalistych w latach 1842–1846 i stał się bohaterem narodowym dzięki opublikowanym raportom Frémonta. Drobny, małomówny, z trudem posługujący się piórem, o niezbyt zajmującej osobowości – mimo to był bardzo ważną postacią na zachodnim pograniczu. Miał kilka indiańskich żon, płynnie znał liczne języki tubylcze i służył jako agent do spraw Indian w Nowym Meksyku. Skutecznie też walczył z Indianami: poprowadził zakończone sukcesem kampanie przeciw Nawahom i Apaczom

Mescalero. Przez wiele lat potykał się też z Komanczami. Wiedział, co robi.

12 listopada 1864 roku, cztery dni po reelekcji Abrahama Lincolna i dzień po spaleniu Atlanty przez Williama Tecumseha Shermana, Carson wyjechał ze swego obozu na równinach wschodniego Nowego Meksyku. Było z nim czternastu oficerów, trzystu dwudziestu jeden żołnierzy, a także krążących z przodu kolumny siedemdziesięciu dwóch indiańskich zwiadowców (Apaczów i Ute). Ute byli od dawna zażartymi wrogami Komanczów i nie robiła na nich wrażenia – w przeciwieństwie do białych – przeraźliwa pustka bizonich równin. Co więcej, Carson nie musiał im płacić; obiecał tylko, że będą mogli zachować wszelkie łupy i skalpy Komanczów. Podobnie jak inni biali dowódcy indiańskich zwiadowców musiał po prostu zaakceptować – i próbować pohamować – ich najgorsze skłonności: do torturowania, gwałcenia, bezwzględnego zabijania cywili oraz do innych czynów, które biali, przynajmniej teoretycznie, uważali za ohydne. Ute i Apacze doprowadzali też białych żołnierzy do szału swymi tańcami wojennymi – okropne wycia i wrzaski często trwały niemal do świtu.

Wyruszyli późną jesienią. O tej porze roku Indianie, którzy wiosną i latem mieli zwyczaj grasować w małych i bardzo rozproszonych grupkach, zmierzali do swych zimowych obozów. Skupiali się w wioskach, w których tipi pokryte wypłowiałymi od słońca skórami bizonów wiły się milami wzdłuż brzegów kilku ulubionych strumieni. Carleton sądził, że Komancze i Kiowowie rozłożyli się obozem nad rzeką Canadian, w północnej części Texas Panhandle. To terytorium należało rzecz jasna do Konfederacji, choć spotkanie konfederackich oddziałów na tych wysokich i dzikich równinach było właściwie czymś nieprawdopodobnym. Poprzedzany przez zwiadowców oddział Carsona posuwał się na wschód, przedzierając się przez sięgające końskich brzuchów i ciągnące się po horyzont trawy. Powietrze było rześkie i mroźne[508].

W tych czasach widok Komanczów i Kiowów obozujących, polujących i grabiących razem był tak powszechny, że więź łącząca tych koczowników wymaga pewnego wyjaśnienia. Chociaż trudno powiedzieć, dlaczego oba ludy łączyła tak głęboka relacja, to miały pewne cechy wspólne. Kiowowie, tak jak Komancze, przybyli w XVII wieku na obfitujące w bizony Równiny Południowe z gór na północy. Jedni i drudzy dostrzegli olbrzymią przewagę, jaką dawały konie. Jedni i drudzy byli wyjątkowymi jeźdźcami, nawet jak na równiny, gdzie wszystkie ludy świetnie jeździły konno. Jedni i drudzy byli wyjątkowo wojowniczy, nawet jak na okrutne standardy wojenne na równinach. W przeszłości przez wiele lat ze sobą walczyli, ale w 1790 roku zawarli pokój, jednorazowo i definitywnie. Były też między nimi różnice.

Kultura Nermernuh była praktyczna i minimalistyczna, natomiast Kiowowie mieli hierarchiczne rozbudowane stowarzyszenia wojenne, bogatą tradycję sztuki przejawiającą się w misternych piktogramach i drobiazgowych chronologicznie kalendarzach, a także o wiele bardziej złożoną religijną mitologię z Tańcem Słońca na czele. Tym, co najbardziej ich różniło, była niewielka liczebność Kiowów. W przeciwieństwie do Komanczów nigdy nie dysponowali nieograniczoną siłą wynikającą z wielkości populacji. Społeczność Kiowów i blisko z nimi związanych Kiowa-Apaczów (albo Apaczów Równinnych, będących bardzo małym plemieniem, należącym do atapaskańskiej rodziny językowej[82]) nigdy nie przekraczała tysiąca ośmiuset osób, co stanowiło tylko ułamek w porównaniu z liczebnością Komanczów w szczytowym okresie ich potęgi[509].

Po dwunastu dniach jazdy zwiadowcy Carsona wreszcie znaleźli obóz Komanczów i Kiowów; leżał nieco na południe od dzisiejszego miasta Borger w Teksasie. Tej nocy mężczyźni w ciszy i ciemności zjechali w dolinę Canadian, z absolutnym zakazem rozmawiania i palenia. Zsiedli z koni i stanęli. Trzęsąc się z zimna na siarczystym mrozie i trzymając konie za uzdy, czekali na pierwsze szare smugi świtu na wschodniej stronie nieba[510]. Ruszyli o brzasku, z indiańskimi zwiadowcami na przedzie i ciągnąc ze sobą dwie górskie haubice – taszczenie ich przez wysokie brązowe trawy i dryfujące rzeką Canadian drewno przysporzyło im zresztą wiele kłopotów.

Nie był to przypadkowy wybór broni. Haubice wyglądały jak skrócone, miniaturowe armaty. Miały krótką lufę, wielki kaliber i toczono je na wielkich kołach ze szprychami. Ładowano je dwunastofuntowymi kulami. Ich zaletą było to, że można je było bardzo sprawnie przemieszczać. Potrafiły też zrobić wielkie spustoszenie, szczególnie gdy używano ich przeciw większym tłumom. Stosowano do nich dwa rodzaje amunicji: szrapnele i kartacze. Szrapnel składał się z pojedynczej stalowej skorupy wypełnionej osiemdziesięcioma dwoma kulami muszkietowymi obtoczonymi w siarce i małym, prochowym ładunkiem wyrzucającym. Za sprawą kartaczy działo to stawało się czymś w rodzaju wielkiego obrzyna, wyrzucającego sto czterdzieści osiem ołowianych pocisków .69 przy każdym wystrzale. Działa te w ograniczonym stopniu wykorzystano już wcześniej przeciw Indianom – przede wszystkim w 1862 roku podczas walk z Siuksami Santee w Minnesocie. Żaden z żołnierzy Carsona nie zdawał sobie sprawy, przeklinając i ciągnąc małe zgrabne działka przez wysokie trawy, że to one przesądzą o ich życiu i śmierci, zwycięstwie bądź klęsce ekspedycji[511].

Rankiem niebo było bezchmurne, powietrze krystalicznie czyste. Około ósmej trzydzieści oddział Carsona natarł na wioskę Kiowów liczącą sto siedemdziesiąt sześć tipi. Atak zaskoczył Indian, którzy stawili desperacki opór, by osłonić odwrót kobiet

i dzieci, po czym sami pobiegli w dół rzeki. W starciu zginęło tylko kilka osób, w tym czterech ślepych i kalekich starych Kiowów, którym kobiety Ute rozpłatały głowy siekierami. Prawdopodobnie kobiety zostały zabrane na wyprawę do pomocy mężom w dokonywaniu – jak by to ujęli biali – wojennych okrucieństw. Tymczasem główna część oddziału Carsona parła ku znacznie większemu obozowi Komanczów, leżącemu cztery mile dalej, i zatrzymała się ostatecznie przy ruinach faktorii handlowej, znanej na pograniczu jako Adobe Walls. Tutaj, około dziesiątej rano, starli się z mniej więcej tysiącem sześciuset Komanczami i Kiowami. Bitwa nie trwała długo. Haubice, które zaciągnięto na szczyt pobliskiego symetrycznego, stożkowatego wzgórza wysokości trzydziestu stóp, załadowano i wystrzelono z nich pociski. Prawie natychmiast Komancze i Kiowowie, którzy nacierali z furią, zatrzymali się, unieśli w strzemionach i obserwowali, jak wybucha szrapnel i zaraz za nim następny. Na wysokich równinach nigdy nie widziano takiej broni. Indianie szybko znaleźli dla niej nazwę: „karabin, który strzela dwa razy". Według relacji kapitana George'a Pettisa, który był z Carsonem w Adobe Walls, przeciwnicy „wpatrywali się przez chwilę ze zdumieniem, a potem, odwracając od nas łby swych koni i wydając wspólnie jeden przeciągły krzyk, rzucili się do szalonej jazdy ku swej wiosce. […] Kiedy rozległ się czwarty wystrzał, w najdalszym zasięgu rażenia haubic nie było już choćby jednego wroga"[512].

Jednak zamiast ścigać Indian, biali postanowili się zatrzymać. Rozkazy Carsona mogą dziwić, ale jego ludzie od trzydziestu godzin byli na nogach, maszerując lub walcząc. Odpoczęli i zjedli, co tylko zdołali zapakować wcześniej do swych chlebaków: suchary, surowy bekon czy soloną wieprzowinę, pili – jak to opisał Pettis – z „najwspanialszego strumienia czystej zimnej wody, jaki kiedykolwiek napotkałem na Zachodzie", i opowiadali o heroicznych dokonaniach tego dnia. Ich konie pasły się spokojnie w obfitej, nieścinanej trawie. Carson zdecydował, że po odpoczynku pojadą ku wioskom Komanczów i je zniszczą. Plan wydawał się całkiem rozsądny. W rzeczywistości jednak szybko się okazało, że mógł to być przepis na rzeź w rodzaju tej, która nastąpiła dwanaście lat później nad Little Bighorn.

Minęło mniej niż pół godziny, zanim Indianie ponownie zaczęli się zbierać na otwartej przestrzeni przed ruinami starego budynku z cegieł *adobe*. I znowu żołnierze usłyszeli „ostry, szybki świst kul z indiańskich karabinów". A także coś bardzo dziwnego: dźwięk trąbki wojskowej od czasu do czasu niosący się z szeregów wroga, wygrywający przeciwieństwo tego, co sygnalizowała trąbka wojskowa. Gdy trąbki żołnierskie wygrywały „naprzód", ta odpowiadała komendą „odwrót". I tak dalej. Trębacz indiański był pod każdym względem równie dobry jak biali sygnaliści i za każdym razem, gdy trąbił, żołnierze nie mogli powstrzymać się od śmiechu[83].

Bitwa rozgorzała na nowo z pełną mocą i żołnierze niebawem się przekonali, że Komancze i Kiowowie przynajmniej częściowo zrozumieli, na czym polega zabójczy mechanizm haubic. Wodzowie kazali swym wojownikom się rozproszyć. Jak pisał Pettis: „Ich taktyka polegała na działaniu w pojedynkę i unikaniu zbijania się w grupy". Zadziałało i żołnierze wystrzelili z haubic jeszcze tylko kilka razy.

> Jeden pocisk przeszedł bezpośrednio przez ciało konia, na którym z pełną prędkością pędził Komancz. Pocisk przeleciał jeszcze jakieś dwieście czy trzysta jardów, zanim wybuchł. Po uderzeniu koń opuścił łeb do ziemi, wyrzucając swego jeźdźca – jak się wydawało – na dwadzieścia stóp w powietrze, z rozłożonymi rękoma i nogami[513].

Indianie przypuścili gwałtowny szturm. Wielu z nich zsiadło z koni i korzystając z osłony wysokich traw, prowadziło morderczy ostrzał, z przodu zaś atakowali jeźdźcy, strzelając spod szyi swoich wierzchowców. Wczesnym przedpołudniem bitwa wciąż trwała, a Carson i jego oficerowie obserwowali, jak z położnej w dole rzeki i widocznej z pola bitwy wielkiej wioski Komanczów przybywają kolejni wojownicy. Nadjeżdżali bez przerwy, w grupach pięćdziesięcioosobowych i większych. W pewnym momencie, prawdopodobnie około trzeciej, Pettis ocenił, że skromny drugi pułk kawalerii pułkownika Carsona miał przed sobą armię złożoną z trzech tysięcy Indian, dowodzoną przez legendarnego Dziesięć Niedźwiedzi, głównego wodza odłamu Yamparika w latach sześćdziesiątych, człowieka, który był nawet w Waszyngtonie w 1863 roku, gdzie otrzymał medal pokoju[514] (w bitwie wyróżniał się również Tohausan, wódz Kiowów). Chociaż to oszacowanie siły wroga bez wątpienia jest bardzo wysokie – liczba ta równałaby się prawie wszystkim wojownikom Komanczów i Kiowów w 1864 roku – żołnierze zaczęli się bać o własne bezpieczeństwo; choćby z tego powodu, że karawany z zapasami pilnowało zaledwie siedemdziesięciu pięciu ludzi, a Carson zauważył wielką liczbę Indian, która szykowała się do obejścia żołnierzy od tyłu.

Należy oddać Carsonowi, że mniej więcej wpół do czwartej, gdy opierał się Indianom już od prawie pięciu godzin, dał rozkaz do odwrotu. Mimo iż większość oficerów gwałtownie sprzeciwiła się tej decyzji, uważając, że żołnierze powinni ruszyć do przodu i zająć wioskę, przywódcy Apaczów i Ute sugerowali wycofanie się. Carson posłuchał Indian. Wysłał harcowników do przodu, do tyłu i na oba skrzydła, po czym bardzo ostrożnie rozpoczął odwrót, cały czas odpierając ataki ze wszystkich stron. Carson chciał wrócić do małej wioski Kiowów, spalić ją, a potem zupełnie się wycofać. Oddział dotarł do wioski tuż przed zachodem słońca. Była pełna Indian. W tym momencie Carson i jego ludzie byli otoczeni przez wszystkich wojowników

wroga, co oznaczało, że Indianie mieli przewagę dziesięć do jednego. Carson nie powinien był tego przeżyć, jak Custer nie przeżył swego katastrofalnego – i nie tak bardzo odmiennego – błędu, popełnionego parę lat później.

Biali przetrwali wyłącznie dzięki swym śmiercionośnym małym haubicom. Carson kazał wtoczyć działa na szczyt małego piaskowego wzniesienia w pobliżu wioski Kiowów. Szrapnele i kartacze wyrzuciły Indian z wioski i pozwoliły wejść do niej żołnierzom. Splądrowali ją – tipi były pełne wspaniałych futer bizonów – potem spalili, a kartacze przeszywały powietrze w zapadającym zmroku. Jeden z pocisków trafił w sam środek grupy liczącej trzydziestu lub czterdziestu jeźdźców. Nastała ciemność i żołnierze kontynuowali wycofywanie się. Indianie przez jakiś czas podążali za ludźmi Carsona, zmuszając ich do niemal nieustannej jazdy przez cztery dni, ale ani razu nie ponowili ataku. Dopiero co stoczyli jedną z największych bitew w historii Wielkich Równin.

Relacja dotycząca bitwy w Adobe Walls w źródłach wojskowych jest godna uwagi ze względu na całkowitą niezgodność z faktami. Według raportu Carson i jego oddział:

> zaatakowali wioskę Kiowów z mniej więcej stu pięćdziesięcioma namiotami, znajdującą się w pobliżu fortu z *adobe* nad rzeką Canadian w Teksasie, i po ciężkiej walce zmusili Indian do ucieczki, zabijając lub raniąc sześćdziesięciu z nich[515] [szacowano, że zabito trzydziestu i tylu raniono].

Carson nikogo nie pobił. Z wielkim trudem uniknął masakry własnego oddziału, co sam niejednokrotnie przyznawał. Bez haubic „niewielu pozostałoby przy życiu, by opowiedzieć, co się wydarzyło”, mówił później. Jego straty nie były nieistotne: siedmiu zabitych (sześciu białych i jeden Indianin) i dwudziestu jeden rannych (siedemnastu białych i czterech Indian). Wycofał się pod osłoną ciemności. Kapitan Pettis, który rozmawiał później z meksykańskim handlarzem, znajdującym się w obozie Komanczów w czasie bitwy, opisał to następująco:

> Indianie twierdzili, że gdyby biali nie mieli ze sobą „karabinów, które strzelają dwa razy”, mając na myśli pociski haubic górskich, nigdy nie pozwoliliby choćby jednemu człowiekowi ujść żywcem z doliny Canadian, i mogę powiedzieć, bez zarozumiałości, że to samo często mówił pułkownik Carson[516].

Ekspedycja Carsona nie była jedyną w 1864 roku. Cztery dni później i kilkaset mil na północ niejaki John M. Chivington, były kaznodzieja metodystów, który został oficerem armii ochotniczej, dokonał najbardziej krwawej i zdradzieckiej oraz najmniej usprawiedliwionej rzezi Indian w historii Ameryki. Przeszła ona do legendy i okryła się niesławą jako masakra nad Sand Creek. Ofiarami byli Szejeni.

Chivington był dzieckiem swych czasów. Ten wysoki, imponujący człowiek

z szeroką klatką piersiową i grubym karkiem spędził wiele czasu na zakładaniu szkółek niedzielnych w obozach górniczych w Kolorado. Kiedy wybuch wojny na wschodzie spowodował pustkę w kadrach, awansował na generała brygady w amerykańskiej armii i objął dowództwo nad wielką, niegodną zaufania i często pijaną zgrają żołnierzy drugiej kategorii, bo z takich ludzi składały się ochotnicze oddziały na terytorium Kolorado. Ataki Szejenów i Komanczów latem i jesienią wywołały dziką panikę wśród mieszkańców Denver. Biali byli zdesperowani, niektórzy wręcz popadali w histerię; każdy znał choćby jedną osobę, która znajdowała się wśród zaatakowanych lub zabitych. Znikła wszelka sympatia, jaką kiedykolwiek mogły wzbudzać konne ludy Wielkich Równin. Teraz myślano tylko o ich całkowitym wytępieniu w zemście za to, co zrobiły, i po to, by zapobiec przyszłym atakom. Chivington był dla tych przerażonych ludzi wyrocznią. Żywił przekonanie, że Bóg jest po ich stronie. „Niech piekło pochłonie każdego, kto sympatyzuje z Indianami! – mówił. – Przybyłem, żeby zabijać Indian, i wierzę, że słuszne i honorowe jest używanie wszelkich środków na tej bożej ziemi, żeby zabijać Indian”[517]. Aby zachęcić do wstępowania do ochotniczych oddziałów, obok tablicy wzywającej rekrutów wystawił na pokaz zmasakrowane ciała czteroosobowej rodziny. Z entuzjazmem mówił o „zdzieraniu skalpów” i „nurzaniu się we krwi”[518]. Jego instrukcje dla podkomendnych, które później stały się szeroko znane, były jednoznaczne: „Zabijajcie i skalpujcie wszystkich, dużych i małych. Z gnid wyrastają wszy”.

O ósmej wieczorem, 28 listopada 1864 roku, pod rozgwieżdżonym zimowym niebem, Chivington na czele siedmiuset żołnierzy oddziałów terytorialnych wyruszył z fortu Lyon na terytorium Kolorado. Jechali w czteroosobowych kolumnach. Następnego ranka zaatakowali wioskę Szejenów wodza Czarnego Kotła, którzy dopiero co zawarli rozejm z białymi żołnierzami. Ale Chivingtonowi chodziło wyłącznie o zabijanie Indian i to właśnie zrobił. Najpierw rozkazał zbombardować indiańskie namioty rozpadającymi się szrapnelami wypluwanymi z czterech górskich dział. Potem jego ludzie wjechali do wioski (wielu z nich było pijanych albo na kacu po całonocnym piciu), tnąc szablami i strzelając na oślep. W chwili ataku w obozie było około sześciuset Indian, w tym nie więcej niż trzydziestu pięciu wojowników. Większość mężczyzn wyjechała polować na bizony. Nie ma sensu opisywać szczegółowo tego, co się działo. Dzieci zabijano strzałami z bliska, niemowlęta przekłuwano bagnetami. Najsmutniejszy był widok Indian, którzy zbili się wokół wielkiego amerykańskiego sztandaru okrywającego tipi Czarnego Kotła. Zebrali białe flagi, którymi powiewali, a kobiety uniosły swe koszule, żeby żołnierze rozpoznali ich płeć. Czekali cierpliwie, aż żołnierze się przekonają, że Indianie są przyjaźni – liczyli,

że wtedy biali zaprzestaną mordowania. Wszyscy Indianie zostali zabici. Kiedy opadł dym i ucichły krzyki zarzynanych, na ziemi leżało trzystu martwych Szejenów. Wszyscy zostali oskalpowani, wiele ciał zmasakrowano. Któryś żołnierz odciął intymne narządy jednej z Szejenek i obnosił je umocowane na kiju[519].

O masakrze szybko zrobiło się głośno, ponieważ wielu żołnierzy Chivingtona było oburzonych tym, co się wydarzyło, i opowiedziało swoją historię prasie, ale także z tego powodu, że zwycięzcy nie wstydzili się chełpić się swym wyczynem, z którego byli tak dumni, przynajmniej na początku. Powrót Chivingtona do Denver był triumfalny, a gazety publikowały peany na jego cześć. Sam Chivington ogłosił: „Potomni będą mówili o mnie jako o wielkim człowieku, który zwalczał Indian. Przyćmiłem Kita Carsona". (Carson tak to skomentował: „Pomyśleć tylko o tym kundlu Chivingtonie i jego brudnych psach nad Sand Creek. Jego ludzie zabijali kobiety i miażdżyli czaszki niewinnym dzieciom. Ktoś nazywa takich żołnierzy chrześcijanami?")[520]. W sali teatru w Denver ochotnicy z Kolorado obnosili swoje trofea przed wiwatującymi tłumami: sakiewki na tytoń zrobione z moszen, palce, skalpy, torebki z narządów płciowych Szejenek[521]. Gdy te szczegóły stały się znane, fala obrzydzenia ogarnęła wpływowe osoby i decydentów w Nowym Jorku, Filadelfii i Waszyngtonie. Masakra nad Sand Creek wywarła olbrzymi i długotrwały wpływ na politykę wobec Indian, którą w tych miejscach obmyślano. Interesujące jednak jest to, że potworny wstyd i obrzydzenie były powszechne tylko na wschodzie kraju. Zabijanie kobiet w ogóle nie wywołało protestu na Zachodzie, gdzie każdy wiedział, że indiańskie kobiety często same uczestniczyły w walce (choć nie w tym przypadku). Na pograniczu nie oburzano się też – tak jak na wschodzie kraju – z powodu użycia haubic górskich przeciw śpiącej wiosce[522]. Wielu ludzi z zachodniej części kraju, w tym także zawodowi żołnierze, uważało, że należało uczynić właśnie coś takiego, co zrobił Chivington. Wojskowych oburzały raczej styl i okrucieństwo jego prymitywnych podkomendnych – ostatecznie zaatakował wioskę, która zawarła rozejm. Jednak reakcja mieszkańców surowego pogranicza pokazała wyraźnie, że czas, kiedy zabijanie indiańskich kobiet i dzieci uważano za niemoralne, dawno minął.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pokój i inne okropności

Koniec wojny domowej i upadek Konfederacji, które nastąpiły wiosną 1865 roku, przypieczętowały chaos panujący na pograniczu. Wcześniej istniały przynajmniej pozory porządku. Teraz nie było nic. Z ziem federalnych zniknęły milicje. Można powiedzieć, że przez kilka miesięcy w Teksasie w ogóle nie było żadnego rządu, żadnej organizacji, żadnej władzy. Komanczom musiało się wydawać, że powróciły stare dobre czasy, że wojna Wielkiego Ojca uczyniła coś dziwnego, trwałego i magicznego, co usunęło starych wrogów z ich granic. Populacja Komanczów nadal była niewielka – musimy pamiętać, że zachodniej cywilizacji przeciwstawiało się około czterech tysięcy ludzi – ale Nermernuh w dużej mierze odzyskali dawną siłę, a wraz z nią dawną zuchwałość. Centralnym elementem ich organizacji społecznej nadal był status wojownika – w istocie nie istniała żadna inna forma awansu społecznego – a wyznacznikiem ich zamożności pozostawała liczba skradzionych koni, przy czym teraz znowu mieli nieograniczone możliwości prowadzenia wspaniałych wojen na granicach, i to zarówno z białymi, jak i z Indianami.

Osobliwe zakrzywienie czasu trwało: jako nastolatkowie Quanah i inni Komancze w jego wieku żyli, polowali i organizowali łupieżcze wyprawy tak jak ich ojcowie i dziadkowie, jakby nie istniały setki tysięcy białych gotowych zagarnąć ich ziemie przy pierwszej oznace słabości czy przy pierwszej sposobności. Komancze zajęli się też nowym kwitnącym biznesem: do sprzedawania skradzionych koni i porwanych jeńców doszła sprzedaż kradzionego bydła. W tym okresie w Teksasie zainicjowano wielkie przedsięwzięcia związane z bydłem. Na zachodzie Quahada zajęli się przemytem wołowiny. Kradli bydło w Teksasie – Charles Goodnight ocenił, że w czasie wojny domowej ukradli oszałamiającą liczbę trzystu tysięcy sztuk – i za pośrednictwem *comancheros* zbywali je dostawcom rządowym w Nowym Meksyku, którzy z kolei sprzedawali je amerykańskiemu wojsku[523], a konkretnie generałowi Carletonowi. Czasem sprzedawali Carletonowi jego własne bydło. W zamian Komancze dostawali broń i amunicję – coraz częściej były to rewolwery i świetnej jakości karabinki – których użyli w walce z Kitem Carsonem podczas bitwy w Adobe

Walls. Interes szedł tak dobrze, że przystąpiło do niego paru bogatych białych, zapewniając meksykańskim handlarzom fundusze[524]. Carleton wiedział o tym pomysłowym handlowym dwutakcie i doprowadzał go on do wściekłości.

To, co się wydarzyło, można opisać następująco: jednostki milicji stanowej i terytorialnej, podstawa ochrony pogranicza przez cztery lata, po prostu przestały istnieć. Na terytoriach Konfederacji zostały rozwiązane siłą, ale zniknęły też z terenów Unii. Były po temu polityczne i organizacyjne powody. W trakcie wojny rząd, korzystając ze swych nadzwyczajnych uprawnień, powoływał pod broń rzesze ochotników. Taki charakter miały oddziały Carsona i Chivingtona. Po zakończeniu wojny nieliczni chcieli na stałe pozostać na służbie, a zatem większość ochotników zwolniono. Jednocześnie gwałtownie malała liczba żołnierzy regularnych w wojsku amerykańskim – w 1866 roku spadła do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, a osiem tysięcy żołnierzy, których Ulysses S. Grant wysłał do Teksasu jako armię okupacyjną, miało pełne ręce roboty innej niż walka z Indianami. Gubernator Teksasu usiłował później wypełnić tę militarną pustkę oddziałami stanowymi, ale rząd federalny się na to nie zgodził. Priorytetem w epoce „rekonstrukcji" była demilitaryzacja Południa i Waszyngton nie zamierzał pozwolić rebelianckiemu Teksasowi na ponowne budowanie własnej armii. Również Kongres, przygnieciony ogromnym długiem wojennym, nie miał najmniejszej ochoty wydawać pieniędzy na kosztowne kampanie przeciw stosunkowo niewielkim grupom dzikusów, którzy bezpośrednio nie zagrażali państwu.

Jeszcze inna przyczyna stała za owym brakiem woli, by powstrzymać najazdy indiańskie na zachodnim pograniczu. A było nią osobliwe i głębokie przekonanie wielu ludzi na cywilizowanym wschodzie, że winę za wojny z Indianami ponoszą przede wszystkim biali. Dominowała opinia, że Komancze i inne sprawiające kłopoty ludy żyłyby w pokoju, gdyby tylko odpowiednio je traktowano – im dalej od krwawej granicy znajdowali się zwolennicy tej tezy, tym mocniej w nią wierzyli. Był to odwieczny spór między wojskowymi, którzy wiedzieli lepiej, a zajmującymi się sprawami Indian pięknoduchami z administracji federalnej, którzy nazywali swych umundurowanych przeciwników „rzeźnikami, opojami zdeterminowanymi, by wyrżnąć szlachetnych czerwonoskórych i wywołać wojny wyłącznie po to, żeby mieć zajęcie"[525]. Jak podsumował to później generał John Pope, armia znalazła się w sytuacji, w której nie miała szans na zwycięstwo: „Jeśli jest skuteczna, to mamy do czynienia z masakrą Indian; jeżeli jest nieskuteczna, to zarzucają jej bezużyteczność i imbecylizm, i te osądy wojsko napotyka w każdej gazecie, każdym przemówieniu w Kongresie i w każdym innym możliwym miejscu – osądy autorstwa ludzi, którzy nie

mają zielonego pojęcia o tym, co mówią”[526]. Raporty dotyczące rzezi dokonanej przez Chivingtona i okrucieństwa białych w Minnesocie zdawały się dowodzić racji krytyków armii.

Myśl, że problemy z Indianami Wielkich Równin wynikały wyłącznie z postawy białych, była tragicznie błędna. Ludzie, którzy ją głosili – wielu z nich było członkami Kongresu, pracownikami Urzędu do spraw Indian i innymi wpływowymi osobami – w historycznej perspektywie nie pojmowali specyfiki Komanczów, nie orientowali się, że istotą egzystencji tego ludu była wojna i że tak było od dawna. Nikt, kto wiedział, że przez sto lat przypuszczali okrutne ataki na północny Meksyk lub że systematycznie niszczyli Apaczów, Ute czy Tonkawów, na pewno nie mógłby twierdzić, iż lud ten miłuje pokój albo jest bez winy. Chyba że w bardzo ogólnym sensie. Komancze pierwsi pojawili się na tej ziemi, o ile to miało jakiekolwiek znaczenie, a prący na zachód biali byli jawnymi agresorami. Gdyby *taibos* zechcieli zatrzymać pochód swej cywilizacji dokładnie na 98 południku, a osadników z Zachodniego Wybrzeża powstrzymać od przekraczania Gór Skalistych na wschód[84], gdyby zaprzestali budowania transkontynentalnych kolei oraz zabronili osadnikom przemierzania Wielkich Równin Szlakiem Santa Fe i Szlakiem Oregońskim, wtedy można by myśleć o trwałym pokoju z Komanczami. Ale ci sami zwolennicy Indian za nic w świecie nie podważyliby fundamentalnego prawa białych Amerykanów do całkowitego zawładnięcia ich kontynentem.

Tego typu pobożne marzenia o pokoju połączone z nieustannymi, okrutnymi najazdami Komanczów w Teksasie i na Terytorium Indiańskim doprowadziły do ostatniego i najbardziej wszechstronnego traktatu, jaki kiedykolwiek podpisano z Indianami na Równinach Południowych. Narada, której był on owocem, odbyła się w październiku 1867 roku w miejscu, gdzie Kiowowie odprawiali swoje lecznicze tańce, mniej więcej siedemdziesiąt pięć mil na południowy zachód od dzisiejszego miasta Wichita w Kansas. Miejsce to znane było jako Medicine Lodge Creek. W spotkaniu uczestniczyli członkowie komisji pokojowej rządu Stanów Zjednoczonych oraz przedstawiciele Komanczów, Szejenów, Arapahów, Kiowów i Kiowa-Apaczów. Narada była ostatnim wielkim zgromadzeniem wolnych Indian na Amerykańskim Zachodzie. Było to wydarzenie wspaniałe, surrealistyczne, naznaczone fatum, absurdalne i dziwaczne, było też z pewnością jednym z największych pokazów prawdziwego folkloru Zachodu. Dziewięć gazet wysłało na miejsce obrad swych korespondentów[527].

Narada zaczęła się – jak wiele spotkań traktatowych – od usilnych starań

podejmowanych przez strony, by na sobie nawzajem wywrzeć wrażenie. Amerykańska komisja pokojowa, w której skład wchodzili komisarz do spraw Indian[85] oraz William Tecumseh Sherman [86], głównodowodzący armii na Zachodzie, przybyła z tyloma osobami towarzyszącymi, że do ich transportu potrzebna była karawana wozów i piętnaście−dwadzieścia wojskowych ambulansów[87]. Pilnowało ich pięciuset świetnie uzbrojonych żołnierzy w mundurach galowych, którzy ciągnęli ze sobą śmiercionośne haubice górskie z lufami skierowanymi ku górze. Biali przywieźli też olbrzymie ilości prezentów i ustawili wielkie kuchnie polowe, aby każdy mógł się najeść. Zaraz zresztą wysłano rozkaz, żeby natychmiast przysłano dodatkowe zapasy: piętnaście tysięcy funtów cukru, sześć tysięcy funtów kawy, dziesięć tysięcy funtów twardego chleba i trzy tysiące funtów tytoniu[528]. Szacowano, że w wydarzeniu uczestniczyło cztery tysiące Indian[88], a sami tylko Komancze rozbili się w stu namiotach[529].

Kiedy żołnierze zatrzymali się przed obozem Indian, stało się coś niezwykłego. Zachował się opis sporządzony przez Alfreda A. Taylora, późniejszego gubernatora stanu Tennessee, który wtedy pracował jako reporter:

> W tym czasie widać tysiące konnych wojowników zbierających się i formujących w jednolitą masę o kształcie klina – jego koniec był wymierzony w nas. W tym szyku, ze wszystkimi swoimi wojennymi parafernaliami, końmi pomalowanymi wojennymi barwami, jeźdźcy przystrojeni w wojenne pióropusze i z pomalowanymi na czerwono twarzami ruszyli w naszym kierunku pełnym galopem. […]
>
> W odległości mniej więcej mili od czoła naszej kolumny klin, bez hamowania czy zatrzymywania się, szybko zmienił się w wielki pierścień lub koło bez piasty i szprych, którego krawędź składała się z pięciu wyraźnych rzędów tych dzikich, nieszkolonych, ale zarazem niezrównanych jeźdźców. Pierścień, obracający się bez przerwy z regularnością i precyzją świeżo naoliwionej maszynerii, z każdym obrotem coraz bardziej się zbliżał. Dotarłszy z zawrotną prędkością na odległość stu jardów od nas, olbrzymie koło, czy też pierścień, przestało się obracać i nagle się zatrzymało[530][89].

Manewr ten wywołał wielkie wrażenie na białych, głównie z tego względu, że był testem ich zaufania. Olbrzymia formacja złożona z wirujących, współśrodkowych pierścieni była znakiem rozpoznawczym sztuki wojennej na Wielkich Równinach, a widok wirującego i zbliżającego się tworu musiał przywoływać złowieszcze obrazy w głowach żołnierzy, którzy ustawili swe konie w długiej linii szyku paradnego. Cała ta pompa i ceremoniał miały też gorzki posmak i wielu uczestników to wyczuło. Celem narady było przecież zakończenie raz na zawsze tego typu zachowań albo przynajmniej sprawienie, że ich charakter stanie się nieistotny czy dekoracyjny. Faktycznie, podobne pokazy miano zobaczyć jeszcze tylko kilka razy, zanim na zawsze przeszły do sfery mitologii, historii i rozrywki w formie cyrków objazdowych z podrabianymi

przedstawieniami, takimi jak show Buffalo Billa.

Narada zaczęła się od rytualnego wypalenia fajki pokoju, po czym członkowie komisji pokojowej[90] przystąpili do zwyczajowego łajania zgromadzonych Indian. Koczownikom przypomniano, że – haniebnie łamiąc traktaty – wszczynali wojny z białymi. Senator John B. Henderson, przewodniczący komisji do spraw Indian, stwierdził, że to „bardzo smuci serca naszego narodu". Wspomniał też jednak, że „bardzo się radujemy, widząc naszych czerwonych braci tak przychylnie nastawionych do idei pokoju". Jedynym pragnieniem Wielkiego Ojca – wyjaśniał cierpliwie senator, jakby przemawiał do dzieci – było ofiarowanie Indianom ziemi na własność z dala od białych osadników. Mieliby też dostać narzędzia i nasiona. Nauczono by ich uprawiać ziemię. Stolarz pokazałby im, jak budować domy. Wybudowano by dla nich szkoły, żeby nauczyli się czytać i pisać. Jednocześnie Wielki Ojciec co roku zapewni im ubrania i inne potrzebne rzeczy o wartości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów – przez kolejne trzydzieści lat. W zamian Indianie będą musieli powstrzymać się od jakichkolwiek ataków, osiąść na wskazanych ziemiach i obiecać, że nie będą przeszkadzać w funkcjonowaniu dróg, kolei, fortów i innych inwestycji białych[531].

Indian poproszono o opowiedzenie własnej wersji historii, co skwapliwie uczynili. Pierwszy mówca, wódz Kiowów Satanta, nadał ton pozostałym przemówieniom. Najpierw wytarł ręce w piasek. Uścisnął dłonie uczestników narady siedzących w kręgu[532], po czym oświadczył, że nie interesuje go idea pokoju białych. Powiedział:

> Całe to budowanie domów nie ma dla nas sensu. Nie chcemy, żebyście cokolwiek dla nas budowali. Wszyscy od tego pomrzemy. Spójrzcie na Penateków. Kiedyś byli potężni, ale teraz są słabi i biedni. Chcę całej mojej ziemi, aż od Arkansas na południe do Rzeki Czerwonej. Moja ziemia i tak jest już mała. Jeżeli zbudujecie domy, to jeszcze się zmniejszy. Dlaczego się przy tym upieracie? Co dobrego może z tego wyniknąć?

Następnie wypowiedział się wódz Tosawa (Srebrna Brosza[91]), reprezentujący Penateków, który dobrze wiedział, co działo się z Indianami, gdy zamieszkali w rezerwacie, a jeszcze do niedawna galopowali na koniach. Przemawiając – jak opisał jeden ze świadków – „spokojnym, przekonującym głosem", ostro skrytykował plan białych[533]:

> Dawno temu Penatekowie byli najpotężniejszym odłamem narodu Komanczów. Wielki Ojciec wysłał do nas wielkiego wodza i obiecał leki, domy i wiele innych rzeczy. Bardzo wiele lat minęło, ale te rzeczy nigdy nie zostały przysłane. Moja grupa kurczy się bardzo szybko. Młodzi ludzie w mojej grupie spotykają się z drwinami i wyzwiskami ze strony innych narodów. Poczekam do przyszłej wiosny, żeby sprawdzić, czy te rzeczy będą nam dostarczone; jeśli nie, to wrócę z moimi młodymi ludźmi do naszych dzikich braci, by żyć na prerii[534].

Największe wrażenie wywołała przemowa Dziesięciu Niedźwiedzi, starzejącego

się wodza Yamparików, który walczył z Kitem Carsonem w Adobe Walls. Jego wystąpienie, które wywołało długi aplauz innych Indian, należy do najefektowniejszych przemówień indiańskich w dziejach. Niezwykłe wspomnienie czasów przemocy, piękna, a na koniec cierpienia i straty wprawiło w osłupienie białych uczestników spotkania, dla których zostało przetłumaczone. Dziesięć Niedźwiedzi opisał między innymi swoje odczucia związane z bitwą stoczoną w 1864 roku, przedstawiając punkt widzenia, który by zdumiał jego wrogów, przekonanych, że Indianie nie potrafią czuć tego samego co oni. Zanim rozpoczął przemowę, włożył na nos okulary w drucianych oprawkach, które nadały mu dziwny wygląd mola książkowego, choć był przecież analfabetą[535].

Moje serce jest przepełnione radością, kiedy widzę was tutaj – zaczął – tak jak potoki wypełniają się wodą, gdy śniegi topnieją na wiosnę; i czuję zadowolenie tak jak konie, kiedy młoda trawa zaczyna rosnąć na początku roku. […]

(Ludzie moi nigdy nie podnieśli łuku ani karabinu przeciwko białym. Lecz na granicy powstały nieporozumienia i moi młodzi mężczyźni odtańczyli taniec wojenny. Ale to nie my zaczęliśmy. To wy wysłaliście pierwszego żołnierza. […]

Dwa lata temu przybyłem tu, idąc śladem bizonów, żeby moje żony i dzieci miały pulchne policzki i ciepłe ciała. Lecz żołnierze zaczęli do nas strzelać […]. Tak było nad Canadian River). Nie tylko ten jeden raz zmuszono nas do płaczu. (Ubrani na niebiesko żołnierze i Indianie Ute nadeszli w nocy […] i rozpalili ogniska z naszych domów. Zamiast polować na zwierzęta, wybili mych wojowników, a ci, którzy ocaleli, obcięli swe włosy na znak żałoby.

Tak było w Teksasie. Z ich powodu żal wszedł do naszych obozów, a my wybiegaliśmy z namiotów podobni do bizonów, których samice zostały zaatakowane. Gdy znaleźliśmy tych, którzy na nas napadli, pozabijaliśmy ich, a skalpy ich wiszą w naszych namiotach. Komancze nie są słabi ani ślepi jak) siedmiodniowe (szczenięta psów. Są silni i dalekowzroczni jak dorosłe konie. Wzięliśmy przykład z naszych wrogów: poszliśmy tą samą drogą). Teraz to białe kobiety płakały, a nasze się śmiały.

(Lecz są pewne rzeczy, które mi powiedziałeś i które mi się nie podobają. Nie są one słodkie jak cukier, lecz gorzkie jak tykwy. Powiedziałeś, że chcesz umieścić nas w rezerwacie, budować domy i święte miejsca. Nie chcę ich. Urodziłem się na prerii, gdzie wiatr wieje spokojnie i nic nie zasłania słońca. Urodziłem się, gdy nie było jeszcze ogrodzeń i gdy wszystko oddychało swobodnie. Chcę umrzeć tam, a nie wśród ścian. Znam każdy strumień i każdy las między rzekami Rio Grande i Arkansas. Polowałem i żyłem w tym kraju. Żyłem, jak żyli moi ojcowie przede mną, i podobnie jak oni żyłem szczęśliwie.

Gdy byłem w Waszyngtonie, Wielki Biały Ojciec powiedział mi, że cała ziemia Komanczów jest nasza i że nikt nie powinien nas tam niepokoić. Dlaczego więc każesz nam opuścić te rzeki, słońce i wiatr i żyć w domach? Nie zmuszaj nas, byśmy zamienili bizony na owce. Nasi młodzi ludzie usłyszeli o tym i to ich zasmuciło i rozgniewało. Nie mów już o tym więcej). Uwielbiam przypominać sobie słowa Wielkiego Ojca. Kiedy otrzymuję towary i prezenty, ja i moi ludzie jesteśmy zadowoleni, ponieważ pokazuje to, że o nas pamięta.

(Gdyby mieszkańcy Teksasu pozostawali z dala od mego kraju, mógłby w dalszym ciągu panować pokój. Lecz ta ziemia, o której mówisz, że mamy na niej żyć, jest dla nas za mała. Mieszkańcy Teksasu zabrali nam ziemię, na której rosła najgęstsza trawa i rodziło się najlepsze drewno. Gdyby ziemia ta w dalszym ciągu do nas należała, moglibyśmy zrobić to, o co prosisz. Lecz teraz już za późno. Biali zabrali kraj, który kochaliśmy,

jedynym naszym życzeniem jest wędrować po prerii aż do śmierci)[92].

Nawet na to było za późno i Indianie wiedzieli o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Biali nie zamierzali pozwolić żadnemu ludowi na swobodne wędrówki. Pełna uniesienia retoryka Dziesięciu Niedźwiedzi miała w najlepszym razie elegijny wydźwięk. Na pewno nie sądził, że biali zamierzają zaoferować mu cokolwiek więcej ponad to, co już zaoferowali. Chociaż narady nad Medicine Lodge Creek oficjalnie miały być negocjacjami, w rzeczywistości niczego tu nie negocjowano. Biali stawiali ultimatum, niespecjalnie to ukrywając. Słowa generała Shermana, który uczestniczył w naradach jako komisarz pokojowy, mimo że tak naprawdę był orędownikiem operacji militarnych w odniesieniu do wrogo nastawionych grup, nie przyniosły ulgi ani pocieszenia[93]. Było dla niego oczywiste, choć może jeszcze nie dla rzeszy decydentów w Waszyngtonie, że stare rozwiązania nie miały już zastosowania. Indian nie można było wygnać czy przesiedlić na zachód. To była stara metoda zastosowana wobec Krików, Seminoli, Delawarów, Irokezów i innych ludów ze wschodnich części kraju. Indianie Wielkich Równin mieszkali w samym centrum ziem stanowiących ostatnią granicę i ich terytoria były potrzebne nie tylko jako droga tranzytowa dla pociągów i karawan zmierzających na zachód. Biali pożądali samej Komanczerii. Sherman powiedział Indianom, że będą musieli porzucić stare zwyczaje i nauczyć się uprawiać ziemię. I nic nie mogą na to poradzić – oznajmił im otwarcie człowiek odpowiedzialny za rzeź o rozmiarach, których Indianie nie potrafiliby sobie nawet wyobrazić. „Nie możecie tego powstrzymać, tak jak nie możecie powstrzymać słońca czy księżyca – powiedział Sherman. – Musicie się podporządkować i robić, co się da w tej sytuacji”[536].

I Indianie tak uczynili, podpisując gigantyczną abstrakcję, opartą na pojęciu własności, zasadach kartografii, idei migracji na zachód oraz nadrzędnej idei „naturalnego przeznaczenia” – żadnej z tych rzeczy nigdy w pełni nie rozumieli i nie mieli zrozumieć. Biały człowiek tachał potem swój traktat z powrotem do Wielkiego Ojca, a tam umieszczał go w lesie granitu i marmuru i w jakiś sposób uskuteczniała się jego niewidoczna, straszliwa magia. Indianom w najmniejszym stopniu nie podobało się to, co zmuszeni byli zrobić. Nie było tu nic dobrego – tylko zniszczenie i upadek, chociaż dla większości z nich udobruchanie białych zgodą na kolejny traktat (zwłaszcza że wiązały się z nim prezenty) wydawało się znacznie lepszym rozwiązaniem niż odmowa, która oznaczałaby spuszczenie z łańcucha takich podżegaczy wojennych jak Sherman. 21 października 1867 roku wodzowie ze wszystkich plemion postawili swoje znaki na traktacie, którego oczywiście nie umieli odczytać[537]. Wśród nich byli

przywódcy Yamparików (Dziesięć Niedźwiedzi, Pomalowane Usta, Słyszący Wilka, Mały Róg, Psi Tłuszcz i Żelazna Góra) i Penateków (Tosawa, Stojące Pióro)[538]. Jedna trzecia Komanczów nie była reprezentowana podczas narady. Większość nieobecnych stanowili Kotsotekowie i Quahada, dwa najdalej żyjące odłamy, które często obozowały razem na Llano Estacado. Kotsotekowie podpisali traktat wcześniej, w 1865 roku, ale nigdy nie przestrzegali jego postanowień. Quahada nigdy nic nie podpisali – ani wcześniej, ani później. Dla komisji pokojowej Stanów Zjednoczonych nie miało to znaczenia: uznano, że cały lud podpisał dokument i że wiązał on wszystkich Komanczów. Struktura polityczna Komanczów nie obchodziła już nikogo.

Członkowie niereformowalnego odłamu Quahada byli jednak obecni nad Medicine Lodge Creek, a wśród nich był też osiemnastoletni Quanah. Nie wiadomo, dlaczego tam się pojawił. Z jego własnego opisu wynika, że przyczyna była prozaiczna. Mówił, że był wtedy na wojennej ścieżce z Nawahami. Podczas pobytu w wiosce Szejenów usłyszał, że biali żołnierze przybywają na wielką konferencję i przynoszą ze sobą wołowinę, cukier i kawę. „Pojechałem tam i słuchałem, co mówią – opowiadał Quanah. – Było tam wielu żołnierzy. Narada nie była taka jak zwykle, było wiele rzędów. Wódz żołnierzy powiedział: »Oto dwie propozycje. Możecie żyć nad Arkansas i walczyć albo przenieść się w góry Wichita i wtedy wam pomogę. Ale musicie pamiętać o jednym i się mocno tego trzymać: musicie przestać walczyć. Którą wybierzecie?«. Wszyscy wodzowie zdecydowali przenieść się tutaj [do rezerwatu]”[539].

Dla każdego, kto wierzył, że Indianie szczerze podpisywali traktat nad Medicine Lodge Creek, jego postanowienia mogły się wydawać przełomowe. Traktat wymagał ni mniej, ni więcej tylko tego, by wielkie ludy władające środkowymi i południowymi równinami natychmiast i w całości przeniosły się do rezerwatów i rozpoczęły tam nowe, skromne życie, godząc się na agencje, szkoły i farmy, rządowych nauczycieli, kowali, stolarzy i instruktorów rolnictwa, czyli na wszystkie te rzeczy, których nie chciały i które wielokrotnie odrzucały[540]. Indianom pozwalano opuszczać rezerwat, żeby polowali na południe od rzeki Arkansas. Ale traktat zmuszał ich tak naprawdę do zaprzestania walk i tropienia bizonów, co z kolei oznaczało, że będą musieli przestać być Indianami z Wielkich Równin; że będą musieli przeorientować całą swą strukturę społeczną i oprzeć ją na zestawie wartości i zasad, które nadal w wielkim stopniu były dla nich niepojęte. Komancze i Kiowowie mieli zamieszkiwać wspólnie w rezerwacie o powierzchni 2,9 miliona akrów w regionie, który dziś jest południowo-zachodnią Oklahomą: na północ i wschód od Rzeki Czerwonej i jej północnego rozwidlenia, na

południe od Washity i na zachód od 98 południka[94]. W rzeczywistości była to bardzo dobra ziemia, obfitująca w zwierzynę i nadająca się pod uprawę, z dość licznymi źródłami wody, a poza tym leżała wewnątrz tradycyjnego terytorium władanego przez Komanczów i obejmowała Medicine Bluffs oraz inne święte miejsca. Był to jednak zaledwie mały fragment Komanczerii, która w szczytowym okresie potęgi tego ludu obejmowała prawie dwieście milionów akrów! Poza rezerwatem pozostały też najlepsze dawne tereny łowieckie, czyli teksaskie równiny, po których wędrowały bizony. W tym samym czasie Szejeni Południowi i Arapahowie Południowi zgodzili się zamieszkać w rezerwacie przylegającym do rezerwatu Komanczów od północy.

Z perspektywy stu pięćdziesięciu lat traktat zawarty nad Medicine Lodge Creek wydaje się cynicznym dokumentem. Ale ani ówcześni twórcy prawa na wschodzie kraju, ani członkowie komisji pokojowej, którzy podpisali ten dokument, tak go nie postrzegali. Ich starania dawały wielką nadzieję, że traktat ostatecznie rozwiąże problem indiański na Równinach Południowych. Wiarę tę podtrzymywano mimo stanowczego oporu Indian i głębokiego sceptycyzmu armii na Zachodzie. Przecież wschodnie ludy indiańskie przestawiły się na rolniczy tryb życia. Cywilizowane ludy, po tragicznych doświadczeniach Szlaku Łez, zdołały się zmienić. Mogli więc i Indianie Wielkich Równin. Wielu ludziom traktat wydawał się uczciwym i rozsądnym rozwiązaniem starego i trudnego problemu.

Byli w błędzie. W rzeczywistości ten traktat przygotowywał grunt pod ostatnią wielką zdradę Indian, jakiej dopuścił się rząd, który zdradzał i okłamywał tubylcze ludy więcej razy, niż dałoby się zliczyć. Narzędziem zdrady był Urząd do spraw Indian, jedna z najbardziej skorumpowanych, sprzedajnych i niekompetentnych rządowych agencji w historii Stanów Zjednoczonych. Nowa era zaczęła się od dziwacznej decyzji J. H. Leavenwortha, wyznaczonego na agenta Komanczów i Kiowów i głośno opowiadającego się za pokojem, o umieszczeniu podlegającej mu agencji w położonym nad rzeką Washitą forcie Cobb, który stał na terenie rezerwatu Wichitów i sprzymierzonych z nimi grup, daleko na północ od terytoriów Komanczów i Kiowów. Nieprzemyślana decyzja Leavenwortha oznaczała, że agresywni, dosiadający koni Komancze znaleźli się bardzo blisko rolniczych, żyjących w domach Indian. Był to bardzo zły pomysł, co tak boleśnie pokazały lata wojny secesyjnej.

Błąd okazał się jeszcze większy, kiedy kilka tysięcy Kiowów i Komanczów przybyło do agencji zimą 1867–1868, czyli zrobiło dokładnie to, czego chcieli Leavenworth i jego przełożeni. Z jakiegoś powodu urzędnicy jednak nie pomyśleli, że Indianie będą potrzebować jedzenia. Co szokujące, w traktacie podpisanym nad Medicine Lodge Creek nie przewidziano racji żywnościowych dla Indian, a więc rząd

nie miał im co dać. Nie miał też obiecanych corocznych towarów (zapewniono je dopiero latem 1868 roku, kiedy Kongres ratyfikował traktat). Leavenwortha nie można za to winić, ale ogólnie biali popełnili niewybaczalny błąd, oznaczający klęskę pierwszego po traktacie sprawdzianu ich przyjaźni i szczerości.

Indianie byli oburzeni i wściekli. Byli przekonani, że biali ich oszukali. Byli też głodni, ponieważ trwała zima, i liczyli, że rządowe jedzenie pomoże im przetrwać trudne czasy. Leavenworth rozpaczliwie próbował ratować sytuację, wydając im wszystko, co miał. Pozwolił im zjeść bydło przeznaczone do rozpłodu, a nawet kupował dla nich towary na kredyt, na co nie miał zezwolenia. Ale wszystko to było za mało, by wyżywić wynędzniałych i rozdrażnionych Komanczów. Zaczęli więc sami rozwiązywać problem w dobrze im znany sposób, mianowicie najeżdżali Wichitów i inne okoliczne grupy. Kradli bydło, konie i muły, a jeśli ktoś stawał na ich drodze, to ginął i tracił skalp. W 1868 roku najazdy stały się tak intensywne, że ludy rolnicze musiały porzucić uprawę ziemi, aby móc strzec swoich koni, mułów i bydła.

Kryzys z jedzeniem pogłębił się jeszcze bardziej, kiedy podjęto kolejną szalenie krótkowzroczną decyzję: Urząd do spraw Indian, w swym umiłowaniu pokoju i stuprocentowym przekonaniu, że ci Indianie zawsze byli łagodni, o ile nie prowokowali ich biali, zabronił wojsku stacjonować w siedzibie agencji w forcie Cobb. Była to kolejna katastrofalna pomyłka, która nie tylko dała Komanczom swobodę w pustoszeniu kraju Indian, ale również zapewniła bezpieczną bazę, z której wyprowadzali liczne ataki na Teksas.

Leavenworth, który gorąco wspierał strategię pokojową, szybko zaczął tego gorzko żałować.

> Zalecam wstrzymanie rocznych rent [dla Kiowów], a także Komanczów, i przekazanie wszystkich tych środków sierotom, które straciły rodziców z ich rąk. Zgodnie z naszymi traktatami winnych należy ukarać. I jeżeli nie zostaną nam wydani, to powinno się nimi zająć wojsko […] i szybko się z nimi rozprawić[541].

W ten sposób Leavenworth, wyzbyty swojego dawnego idealizmu, musiał się teraz zmagać z tysiącem nieprzyjaznych, rozczarowanych Komanczów, którzy wrócili do starych zwyczajów: najazdów, kradzieży i okrucieństw. Nie potrafiąc udźwignąć ciężaru odpowiedzialności, po prostu odszedł ze służby wiosną 1868 roku. Od maja do października, w jednym z najbardziej krytycznych okresów w dziejach relacji Indian Wielkich Równin z rządem amerykańskim, rezerwat Komanczów i Kiowów w ogóle nie miał federalnego zwierzchnictwa. Handlarze i inni biali uciekli z obawy o własne życie. Jedyny biały, jaki pozostał w agencji i miał jej strzec, mógł tylko liczyć najazdy na Teksas oraz skalpy, z którymi wracali jeźdźcy[542]. Panowały chaos i anarchia.

Towary, które wreszcie przysłano, były fatalnej jakości. Indianie mogli więc poznać kolejną cechę Urzędu do spraw Indian: jego skorumpowanie. Ubrania były używane i przypominały łachmany. Wszystkie spodnie były jednego rozmiaru: każda para zmieściłaby ważącego dwieście funtów mężczyznę. Niewielu Komanczów osiągało tę wagę. Otrzymane nakrycia głowy przypominały kapelusze pielgrzymów[95]. Większość Komanczów rozpruła ubrania i użyła ich do innych celów. Także przysłane jedzenie było złej jakości. Zamiast świeżego mięsa – które zawsze było podstawą ich diety – dostali zjełczały bekon albo soloną wieprzowinę. Dano im też olbrzymią ilość mąki kukurydzianej, która wydawała im się paskudna i którą karmili swoje konie.

Żadnym z tych błędów nie można obarczać pogmatwanej biurokracji rządowej. Wynikały one z endemicznej korupcji i łapownictwa, które w latach sześćdziesiątych XIX wieku słusznie okryły Urząd do spraw Indian niesławą. Członkowie indiańskiej komisji pokojowej z 1867 roku do tego stopnia byli oburzeni tym, co zobaczyli w różnych agencjach, że napisali:

> Istnieje mnóstwo dowodów, że agenci przywłaszczyli sobie fundusze przyznane przez rząd, doprowadzając Indian do głodu. Nie ma wątpliwości, że to leży u podstaw wojen z Indianami. […] Przez długi czas urzędników tych wybierano według nieobiektywnych kryteriów, nie tyle ze względu na ich uczciwość i kwalifikacje, ile przez wzgląd na oddanie interesom partyjnym i gotowość użycia pieniędzy Indian do wspierania egoistycznych przedsięwzięć lokalnych polityków[543].

Z upływem czasu okazało się, że agenci są nie tylko skorumpowani, ale też głupi. Jak na ironię, jedynym towarem skutecznie przez nich dostarczanym Kiowom i Komanczom była broń. Indianie podali szereg argumentów za przydzieleniem im lepszych karabinów: bez nich nie mogli polować dość skutecznie, a to oznaczało większe uzależnienie od rządu. O ile argument ten miał sens, o tyle było również oczywiste, że Komancze atakowali gospodarstwa w Teksasie i farmy Wichitów. Zdumiewać może tylko to, iż Urząd do spraw Indian zdołał przekonać Departament Spraw Wewnętrznych – łamiąc prawo zabraniające uzbrajania Indian – by dostarczono kilkanaście ton broni i amunicji ludom równinnym, w tym Komanczom. I nie były to wcale zużyte karabiny. Podczas gdy standardowym wyposażeniem żołnierzy amerykańskich wciąż były jednostrzałowce, Indianie otrzymywali między innymi powtarzalne karabiny oraz sztucery Spencera i Henry'ego[544].

Jednocześnie podstawowy cel traktatu zawartego nad Medicine Lodge Creek, czyli przekształcenie Komanczów i pozostałych konnych ludów z koczowniczych łowców-zbieraczy w mieszkających w domach rolników – stawał się coraz mniej realny. Nowego zajęcia próbowała garść od dawna ujarzmionych Penateków, ale ogólnie

komanccy mężczyźni po prostu nie mieli najmniejszego zamiaru mieć cokolwiek wspólnego z uprawą roli. Kiedy Leavenworth zatrudnił białego farmera wiosną 1868 roku, żeby pokazał, jak się sieje nasiona, Komancze rzucili się na pola, ogałacając je, zanim jeszcze dojrzały zbiory. Zjedli zielone arbuzy, od czego bardzo się pochorowali. Indianie chcieli wyłącznie wołowiny i ostatecznie zmusili agenta, by wydał na nią większość budżetu, przez co na zakup nasion i narzędzi rolniczych zostawało niewiele lub zgoła nic.

Wszystkie te starania przekonały Komanczów, że lepiej będzie im poza rezerwatem. 30 czerwca 1869 roku oszacowano, że mieszka w nim dziewięciuset szesnastu Komanczów, ale żaden z nich nie był samodzielnym rolnikiem. Wszyscy żyli w tipi i utrzymywali się z kilku źródeł: polowania, rządowego jedzenia i rządowych pieniędzy (na które nie zawsze można było liczyć), a także najazdów na Teksas i rezerwaty innych plemion. Wielu odeszło z ziem przyznanych przez rząd i połączyło się z wrogimi grupami w Llano Estacado. Od tej pory zimą zjeżdżali się do rezerwatu, gdzie domagali się wołowiny, innych rodzajów jedzenia i obiecanych corocznie towarów[96], a na wiosnę wracali na równiny, gdzie pasły się bizony, a oni sami przyłączali się do wypraw grabieżczych na teksaskie pogranicze. Sytuacja ta nieustannie się zmieniała, co było bardzo dezorientujące. Pewne było jedynie to, że mimo wielkiego wysiłku ze strony rządu Komancze pozostali Komanczami. Ich starych przyzwyczajeń nadal nie wyrugowano.

Nie mogło to dłużej trwać. Pierwszą ofiarą stał się znienawidzony Urząd do spraw Indian. W 1869 roku Kongres go zlikwidował, powołując w zamian Biuro do spraw Indian, które szybko wypracowało – jak się wydawało – genialny kompromis. Poszczególne agencje indiańskie miały być zarządzane przez osoby mianowane przez wspólnotę religijną, co miało zmniejszać do minimum ryzyko korupcji. A jeśli udałoby się przy okazji nawrócić Indian na chrześcijaństwo, to tym lepiej. Projekt ten zapamiętano jako „politykę pokojową” prezydenta Granta, a jego realizację wśród Komanczów powierzono łagodnym i miłującym pokój kwakrom. Wybór właśnie tej sekty religijnej był czymś zdumiewającym.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Anty-Custer

Ranald Slidell Mackenzie pochodził z jednej z tych cieszących się nadzwyczajnym powodzeniem rodzin ze Wschodniego Wybrzeża, które – jak się wydawało – w głęboki i niewytłumaczalny sposób były powiązane z każdym, kto coś znaczył we wpływowych sferach. Jego dziadek John Slidell był dyrektorem banku na Manhattanie i ważnym pośrednikiem politycznym w Nowym Jorku. Jego wuj John Junior stał się najważniejszym politykiem w Luizjanie, senatorem i głównym doradcą prezydenta Jamesa Buchanana. Ciotka Mackenziego, Jane, wyszła za komandora Matthew Perry'ego, człowieka, który otworzył Japonię dla Zachodu. Inna ciotka, imieniem Julia, poślubiła kontradmirała. Wuj Thomas został Prezesem Sądu Najwyższego Luizjany. Jego ojciec, Alexander Mackenzie Slidell, który zmienił kolejność swojego drugiego imienia i nazwiska na życzenie wuja ze strony matki, był zarówno ważnym komandorem marynarki, jak i popularnym autorem książek historycznych i podróżniczych, zasłynął również tym, że stanął przed sądem wojskowym za powieszenie syna sekretarza Departamentu Wojny, co było karą za bunt. Matka Ranalda także miała znamienitych przodków: jej ojciec był zastępcą sekretarza skarbu, kiedy stanowisko to piastował Alexander Hamilton.

Mackenzie dorastał więc w wyższych sferach społeczeństwa, chociaż śmierć jego ojca – Ranald miał wtedy osiem lat – skazała rodzinę na permanentne problemy finansowe. Był słabowitym, drobnym, chorowitym chłopcem o bladej cerze i przezroczystych oczach swych szkockich przodków, miał też wadę wymowy, którą jedni określali jako seplenienie, a inni jako lekkie jąkanie się. Uczęszczał do Williams College w Massachusetts z nadzieją, że zostanie prawnikiem. Jednak ograniczone finanse rodziny nie pozwoliły mu ukończyć studiów. Po dwóch latach przeniósł się do West Point, gdzie poza darmowym kształceniem oferowano także pensję. Został przyjęty na studia w akademii wojskowej w 1858 roku.

Wbrew oczekiwaniom rodziny poszło mu świetnie, a studia ukończył na pierwszym miejscu spośród dwudziestu ośmiu kadetów w jego klasie. Wielu kolegów z klasy uważało go za najbardziej utalentowanego ze wszystkich pod każdym względem[545].

Nigdy specjalnie nie urósł – jako dorosły mężczyzna miał pięć stóp i dziewięć cali wzrostu (do kawalerii nie przyjmowano wyższych), pozostał szczupły, ale stracił część swej nieśmiałości, łatwiej znajdował przyjaciół, robił psikusy innym i zadawał się z wesołym towarzystwem. Talent matematyczny zapewnił Ranaldowi pozycję asystenta profesora, gdy był jeszcze studentem. W małym zamkniętym świecie akademii wojskowej na pewno poznał najbardziej zarozumiałego i sprawiającego najwięcej kłopotów młodego człowieka, studiującego w grupie o rok starszej, który nazywał się George Custer, choć nie mamy żadnych danych na temat stosunków między nimi. Trudno o dwóch bardziej różnych oficerów. Custer był żywiołowy, zadufany w sobie i ekstrawagancki. Mackenzie był pochmurny i skomplikowany, głęboko introwertyczny i nigdy nie robił nic dla poklasku. Custer był okropnym studentem i słowo „zdolny" nie było pierwszym, jakie przychodziło na myśl tym, którzy go opisywali. Raczej „lubieżnik i alkoholik"[546]. Kiedy ukończył studia w 1861 roku, był trzydziesty czwarty na trzydziestu czterech kadetów w swojej klasie i „osiągnął" najwięcej, bo siedemset dwadzieścia sześć przewinień. Niezależnie od przepastnej różnicy obu mężczyzn paradoksalnie czekał bliźniaczy los. Kolejne etapy życia tych urodzonych w odstępie mniej niż jednego roku ludzi były lustrzanie podobne – od niezrealizowanego ze względu na brak środków pragnienia studiowania prawa, przez okres studiów na West Point, po heroizm i przyśpieszone dojrzewanie podczas wojny secesyjnej, w której brali udział w tych samych kampaniach, aż wreszcie po walki z Indianami na Zachodzie. Linie ich kariery przecięły się tylko kilka razy, ostatni raz po katastrofie nad Little Bighorn, kiedy Mackenzie został wysłany na północ, żeby zaprowadzić porządek tam, gdzie Custer zasiał chaos. Mackenzie ukończył studia w 1862 roku, czyli w samym środku wojny secesyjnej, i przez następne trzy lata awansował w zawrotnym tempie. Służył w wojskach inżynieryjnych w bitwach pod Manassas (drugiej), Fredericksburgiem, Chancellorsville i Gettysburgiem, otrzymując kolejne tytularne stopnie, które szybko wyniosły go do rangi majora (stopień tytularny – *brevet* – był tymczasowy, często przyznawany na polu bitwy, żeby zwiększyć liczbę oficerów w nagłej sytuacji; chodziło o to, aby w czasie pokoju armia nie pęczniała od oficerów[97]). Nudziła go jednak praca inżynieryjna – chciał dowodzić. Doczekał się tego w trakcie bitwy pod Cold Harbor w czerwcu 1864 roku, kiedy nadano mu tytularny stopień podpułkownika i powierzono dowództwo nad drugim pułkiem artylerii ochotników z Connecticut. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Szybko dowiódł, że świetnie się nadaje do tej roli, a także że jest szaleńczo odważny. Jeden z żołnierzy pisał o nim, że w bitwie pod Winchester, w której walczył i Custer, „wydawało się, że przez cały dzień kusi los. Z kapeluszem zatkniętym na czubku szabli[98] galopował przez

pole wielkości czterdziestu akrów tak bezkarnie, jakby był duchem”[547]. W którymś momencie pocisk artylerii Konfederacji trafił jego wierzchowca, przecinając go na pół. Sam Mackenzie został ranny w udo. Obwiązał ranę i kontynuował walkę.

Na kilka miesięcy przed zakończeniem wojny powierzono mu dowodzenie jego pierwszym większym oddziałem: dywizją kawalerii Armii James[99]. W czasie bitwy pod Appomattox miał stopnie tytularne generała brygady armii regularnej oraz generała majora armii ochotniczej[100], co czyniło go najwyższym rangą oficerem z klasy, która ukończyła West Point w 1862 roku. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. W ciągu niespełna trzech lat otrzymywał coraz wyższe stopnie tytularne siedem razy, co było niemal niespotykanym w armii tempem awansu i przewyższało pięć tytularnych awansów Custera, aczkolwiek na koniec obaj mieli ten sam stopień[548]. Co więcej, Mackenzie należał do ulubieńców Granta. „Postrzegałem Mackenziego jako najbardziej obiecującego młodego oficera w armii – pisał później w swych wspomnieniach Grant. – Ukończywszy West Point w drugim roku wojny, jeszcze przed jej zakończeniem wywalczył sobie dowodzenie armią. Osiągnął to tylko dzięki własnym zasługom, bez pomocy innych”[549].

Jednak wojna wpłynęła w jeszcze inny sposób na Mackenziego. Jak wielu innych młodych ludzi, musiał zrobić się twardy. Stracił swą życzliwość, figlarność i wiele ze swej pogody ducha. Bez wątpienia w jakiejś mierze wynikało to z bezpośredniej styczności z rozlewem krwi i cierpieniem w latach 1862–1865. Ale istotniejszą przyczyną były liczne i okropnie wycieńczające rany, które odniósł i z których nigdy w pełni się nie wyleczył. Był ranny sześć razy, przy różnych okazjach. Pod Manassas kula przeszyła mu obie łopatki. Była to straszliwa rana wewnętrzna i tylko cudem Mackenzie wywinął się śmierci. Zanim go uratowano, dwadzieścia cztery godziny przeleżał w miejscu, w którym upadł. Pod Winchester dostał pociskiem artyleryjskim w nogę, a później szrapnel ranił go w pierś. Inny pocisk artyleryjski urwał mu dwa palce prawej ręki. Ból nigdy nie opuścił Mackenziego i go zmienił.

Jego pierwszy oddział boleśnie odczuł skutek tej zmiany. Drugi pułk z Connecticut, kiedy Mackenzie obejmował jego dowodzenie, był pobitą, lekceważoną i zdemoralizowaną jednostką. Po Cold Harbor Mackenzie musztrował ich bezlitośnie i często karał. Ludzie go znienawidzili. Był dla nich tak twardy, że niektórzy nawet nosili się z pomysłem zastrzelenia go podczas następnej bitwy[550]. Jeden z poruczników pisał: „Zanim dotarliśmy do doliny Shenandoah, był już tak niebezpieczny dla innych oficerów i zwykłych żołnierzy, że baliśmy się go bardziej niż kartaczy Early’ego[101]”[551]. Pod Winchester pułk Mackenziego walczył mężnie i poniósł większe straty niż pozostałe pułki uczestniczące w bitwie, a żołnierze widzieli też niezwykłą

odwagę swego dowódcy. Odtąd ustały rozmowy o buncie. Podwładni nie lubili Mackenziego. Wielu się go bało. Jednak tak jak wszyscy jego podkomendni w kolejnych oddziałach, którymi dowodził, byli przekonani, że pod jego wodzą mają większe szanse w bitwie, niż gdyby kierowali nimi inni oficerowie. Nie należał do tych ludzi, których studenci West Point określali mianem służbistów. Nie był ani próżny, ani arogancki, ani chimeryczny. Był po prostu bezwzględnie wymagający – szef z piekła rodem.

Po zakończonej wojnie Mackenzie pozostał w armii, wracając do swego stałego stopnia kapitana (tak jak Custer) i budując umocnienia portu w Portsmouth, w New Hampshire. W 1867 roku dostał awans na pułkownika i objął dowodzenie czterdziestym pierwszym pułkiem piechoty złożonym z czarnoskórych żołnierzy, który szybko został przeniesiony do Teksasu. Stacjonował w różnych fortach i właśnie w Teksasie po raz pierwszy miał do czynienia z Indianami – staczał z nimi drobne potyczki w 1869 i 1870 roku. Wiele czasu spędził w San Antonio jako sędzia sądu wojskowego. W 1871 roku otrzymał swoją wielką szansę. Powierzono mu dowodzenie czwartym pułkiem kawalerii na pograniczu, co było bezpośrednią konsekwencją rosnącego zniecierpliwienia prezydenta Granta „polityką pokoju". Nieprzypadkowo człowiek, którego prezydent uważał za najbardziej agresywnego i skutecznego oficera, został umieszczony wprost na drodze komanckich wojowników.

Historie oficerów federalnych na pograniczu w tym okresie pokazują, jak śmiertelnie niebezpiecznym miejscem wciąż był Zachód, nawet dla „niebieskich kurtek" na koniach. W 1864 roku Kit Carson cudem uratował się podczas bitwy z Komanczami i Kiowami w Adobe Walls. Van Dorn i Chivington urządzili swoje masakry, ale to, co w 1866 roku spotkało energicznego i egocentrycznego kapitana Williama Fettermana, lepiej unaoczniało prawdziwe ryzyko, na jakie byli wystawieni dowódcy na zachodnich rubieżach kraju. Fetterman – zaślepiony własną pewnością siebie i spragniony zabijania dzikusów – 21 grudnia poprowadził osiemdziesięciu ludzi z fortu Phil Kearny w Wyomingu, żeby ochronić karawanę drwali atakowaną przez Siuksów Oglala Czerwonej Chmury. Dwukrotnie ostrzeżono go, by ograniczył swoje działania do bezpiecznego sprowadzenia drwali z powrotem do fortu. Zamiast trzymać się rozkazów, Fetterman ruszył dalej, szukając Indian, do których mógłby postrzelać. Dostrzegł małą grupę wojowników. Siuksowie wydali mu się łatwym celem i rzucił się za nimi w pościg. Szybko się przekonał, że mała grupka odegrała rolę przynęty. Wjechał w sam środek pułapki. Nie wiadomo, ilu dokładnie Indian wzięło udział w ataku, ale byli wystarczająco liczni, by wybić osiemdziesięciu żołnierzy w czasie

krótszym niż dwadzieścia minut. W raporcie do przełożonych komendant fortu Henry Carrington wymienił pewne rzeczy, które następnego dnia znalazł na miejscu bitwy: wydłubane oczy ułożone na skałach, odcięte dłonie i stopy, poodcinane genitalia. Wyglądało na to, że Oglalów wyjątkowo rozgniewali dwaj mężczyźni uzbrojeni w nowiutkie powtarzalne szesnastostrzałowce Henry'ego. Prawdopodobnie przed śmiercią zdołali zabić wielu Indian. Teraz ich twarze były krwawą miazgą, a w ciele jednego z nich tkwiło ponad sto strzał[552].

Dwa lata później inny oddział armii został unicestwiony w czasie bitwy nad Washitą, która pod każdym innym względem była masakrą Indian. W listopadzie 1868 roku pułkownik George Custer, po raz pierwszy dowodzący siódmym pułkiem kawalerii, zaatakował wioskę Szejenów Czarnego Kotła nad rzeką Washitą, w zachodniej części dzisiejszej Oklahomy. Zastosował strategię, która osiem lat później przyniosła mu śmierć. Podzielił swój oddział, po czym ruszył w nieznanym terenie w stronę wroga, którego sił także nie znał, a następnie zarządził podwójne okrążenie – manewr, który wymaga miażdżącej przewagi liczebnej. Tym razem miał szczęście, przynajmniej na początku. O świcie jego żołnierze wdarli się do małej wioski złożonej z pięćdziesięciu jeden tipi. Zaskoczyli Indian i zmusili do wybiegnięcia z namiotów. Czarny Kocioł popełnił błąd, nie dając wiary swoim zwiadowcom, ale ten sam błąd popełnił Custer i szybko miał za niego zapłacić. Ludzie Custera równali z ziemią pokryty śniegiem obóz, zabijając przy tym każdego, kto im się nawinął[553]. Kobiety i dzieci, które schroniły się pod futrami bizonów, zostały wyciągnięte z tipi i zastrzelone przez Osedżów, służących u Custera jako zwiadowcy. Custer podał w raporcie, że zabił stu trzech wojowników, ale w istocie zabił tylko jedenastu. Pozostałymi ofiarami były kobiety, dzieci i starcy. Na koniec żołnierze splądrowali wioskę, a potem puścili ją z dymem.

Tymczasem zaginął oddział pod dowództwem majora Joela Elliota, ostatnio widziany w trakcie gorączkowego pościgu za Indianami. Później odkryto, że Elliot nabrał się na ten sam nieśmiertelny podstęp, który przyniósł śmierć Fettermanowi. Żołnierze gonili grupkę szejeńskich chłopców. W pewnej odległości od wioski chłopcy jakby się rozpłynęli, a zamiast nich pojawiło się kilkuset uzbrojonych Indian na koniach. Biali żołnierze natychmiast spróbowali się ukryć w wysokich trawach, łamiąc tym samym podstawową zasadę walki defensywnej, bo pozbawili się czystego pola ostrzału[554]. Większość z nich została zastrzelona tam, gdzie leżała. Ich ciała znaleziono później na południowym brzegu rzeki, zamarznięte i straszliwie okaleczone. Uważano, że zabili ich Arapahowie.

Co robili Arapahowie w pobliżu obozu Szejenów? Odpowiedź pokazuje, jak

wielkie szczęście miał Custer. W niewielkiej odległości od wioski Czarnego Kotła, w dolnym biegu rzeki Washity, na długości piętnastu mil ciągnął się wielki zimowy obóz południowych odłamów Szejenów i Arapahów. Razem z nimi obozowali Komancze i Kiowowie. Fakt ten odkryto, kiedy pluton, który poszedł w dół rzeki, aby zebrać konie, nagle został otoczony przez wojowników z dalej położonych obozów. Pod żołnierzami ugięły się nogi. Za Indianami dostrzegli setki tipi w dolinie rzeki. Pod osłoną ognia z najwyższym trudem zdołali wycofać się do zniszczonego obozu Szejenów, gdzie bez tchu przekazali wieści swojemu dowódcy. Custer był przerażony. Jego ludzie byli zmęczeni, kończyła im się amunicja, a oddział był sam we wrogim środowisku, w temperaturze poniżej zera. Karawanę z zapasami zostawili w odległości wielu mil pod opieką zaledwie kilku strażników. Pojąwszy, że nie da rady zabrać ze sobą ośmiuset schwytanych koni indiańskich, kazał je wystrzelać. Żołnierze użyli do tego celu pistoletów, a widok był ponury. Konie, do których strzelano, wyrwały się i krwawiąc w śniegu, rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Wtedy Custer się wycofał. Tak bardzo obawiał się ataku Indian, że nie zatrzymywał się przez całą noc[555].

Jednym z Komanczów w obozach w dole rzeki był dwudziestojednoletni Quanah. „Kiedy usłyszeliśmy o walce – wspominał później – wszyscy nasi mężczyźni tam pośpieszyli, ale generał Custer wycofał się, gdy zobaczył, że tylu nas nadciąga. Nie zbliżyliśmy się wystarczająco blisko, żeby z nim walczyć. Po kilku nierozstrzygniętych utarczkach wróciliśmy do naszego obozu i przenieśliśmy się na równiny”[556]. Nigdy nie wyjaśnił, w jaki sposób się tam znalazł, ale Washita w całości płynęła przez kraj Komanczów.

Custer nie tylko o włos uniknął losu Fettermana, ale bardzo niewiele brakowało, by starł się z może największą grupą wrogich Indian, jaka kiedykolwiek zebrała się w jednym miejscu. Później rzeczywiście stanął naprzeciw największej grupy wrogich Indian kiedykolwiek zebranych w jednym miejscu i tym razem nie miał tyle szczęścia.

Kiedy Mackenzie przybył do fortu Concho (w dzisiejszym San Angelo), pokojowa polityka prezydenta Granta była realizowana już od dwóch lat. Jej celem było wyrugowanie łapownictwa, korupcji i obojętności panujących wśród urzędników zajmujących się Indianami i zastąpienie ich stanowczą, ale życzliwą uprzejmością. Wymiana wyrachowanych urzędników Urzędu do spraw Indian na kwakrów miała odbudować zaufanie Indian. Ich roczne renty miały być wypłacane na czas, a obietnice – dotrzymywane. Indianie okazaliby szacunek Wielkiemu Ojcowi, przychodząc do rezerwatów, składając broń i rozpoczynając nowe życie spokojnych

rolników, tak jak to przewidywano w traktacie zawartym nad Medicine Lodge Creek. Były to pobożne życzenia – żadna z tych rzeczy nigdy nie stała się rzeczywistością. Kiedy agent Lawrie Tatum, kwakier, przybył do agencji Komanczów i Kiowów w 1869 roku, była tam zaledwie jedna trzecia wszystkich Komanczów. Pozostali dokonywali większości najazdów na osady w Teksasie i Meksyku.

Niemal od samego początku plan ten był katastrofą, bardziej zaproszeniem do otwartej wojny niż spójnym projektem. Jego główną wadą było to, że polityka pokoju nagradzała agresję i karała za dobre sprawowanie. Indianie zauważyli, że ich najbrutalniejsze ataki zawsze kończyły się jakimś traktatem, któremu niezmiennie towarzyszyły liczne cenne dary i oznaki przyjaźni oraz zaufania. Byli więc przekonani, że najłatwiejszym sposobem na zdobycie pieniędzy i dóbr było – jak to ujął Tatum – „na jakiś czas wejść na wojenną ścieżkę, zabić paru białych, ukraść wiele koni i mułów, a potem zawrzeć traktat, a wtedy dostaną wiele prezentów i nieskończoną ilość zapasów na jesień”[557]. Traktaty zwykle pozwalały im zachować wszystkie skradzione konie i muły. Kiedy zaś sprawowali się dobrze i ograniczali grabieże, nie otrzymywali nic. Świetnie zdawali sobie z tego sprawę. Ponadto wyglądało na to, że *taibos* karzą tych, którzy z nimi współpracują. W 1868 i 1869 roku całkiem pokaźna liczba Komanczów – głównie z odłamów Yamparika i Nokoni – faktycznie przyszła do rezerwatu. Ich zachodni pobratymcy nie przerywali jednak łupieżczych najazdów, więc wszelkie wypłaty za 1869 rok cofnięto i przekazano na pokrycie strat przez nich wyrządzonych – w ten sposób „dobrzy” Indianie zostali ukarani, co było dla nich zupełnie niezrozumiałe.

Co gorsza, zakazując żołnierzom wstępu do rezerwatów, rząd stworzył swoisty azyl dla komanckich wojowników wyprawiających się na osady białych. Był to prawdopodobnie najbardziej zgubny skutek polityki pokojowej. Oznaczał, że nie istniało nic, co by powstrzymywało Indian od przychodzenia i odchodzenia, kiedy im się tylko podobało, albo od używania ich liczącego dwa miliony akrów rezerwatu jako bazy do ataków na osadników w Teksasie. Z łatwością potrafili wymknąć się pościgowi kawalerii, zachowując przy tym ukradzione bydło i konie – po prostu przekraczali Rzekę Czerwoną. Rezultat był taki, że sam Tatum, kwakier pacyfista, nabrał przekonania, iż zmuszenie Komanczów do pozostania w rezerwacie będzie wymagało użycia siły.

Do takiego nielogicznego i niespokojnego świata odległego komanckiego pogranicza przybył Mackenzie w 1871 roku. Granica wciąż się cofała, przekreślając dziesięciolecia postępu. Pustoszały hrabstwa na zachód od Fort Worth i w stronę Waco oraz górzystej części regionu. Nie było wyjścia: należało wstrząsnąć polityką

pokojową i na tym właśnie polegało zadanie Ranalda Slidella Mackenziego. Po masakrze nad Salt Creek (gdy generał Sherman z trudem uniknął śmierci) i procesie wodzów Kiowa, którzy za nią odpowiadali, Mackenzie napisał list do Shermana, proponując szeroko zakrojoną kampanię: „Kiowowie i Komancze są całkowicie poza kontrolą i jest tak od dawna. […] Pan Tatum rozumie sytuację. […] Bardzo mu zależy, aby Kiowowie i Komancze, obecnie zupełnie swobodni, zostali objęci nadzorem. To może zrobić tylko armia. […] Nie ma większego znaczenia, do kogo się zabierzemy najpierw: do tych, co mieszkają na równinie palikowej, czy tych w rezerwacie”[558]. Sherman się zgodził – nie tylko na kampanię, ale także na danie wojsku wolnej ręki w kwestii ścigania wrogich Indian na północ od granicy osadnictwa. Nic oficjalnie się nie zmieniło, lecz w ten sposób polityka pokoju dobiegła kresu.

Tak więc jesienią tego roku Mackenzie, nie całkiem jeszcze zdając sobie sprawę z tego, co robi, poprowadził ku Blanco Canyon pułk niewyrobionych żołnierzy, których nie miał jeszcze czasu przećwiczyć. Sześciuset żołnierzom towarzyszyło dwudziestu pięciu zwiadowców Tonkawów. To wtedy Mackenzie popełnił upokarzające błędy, których zwieńczeniem było sprytne uprowadzenie w nocy przez Quanaha i pozostałych wojowników sześćdziesięciu sześciu koni, w tym siwka należącego do Mackenziego. Warto wspomnieć o tym wydarzeniu, ponieważ tego typu zachowanie Indian prawdopodobnie nie miało precedensu na równinach. Zwykle unikali oni żołnierzy; niemal wszystkie ich bitwy z regularnymi oddziałami miały charakter obronny, nie wyłączając tych stoczonych z ludźmi Fettermana w Wyomingu i Custera nad Washitą. Widok wielkich oddziałów wojska z długimi karawanami zapasów był sygnałem do zniknięcia, co zwykle Indianom nie sprawiało szczególnych trudności. Dlatego tak wiele oddziałów armii Stanów Zjednoczonych spędziło mnóstwo czasu, błąkając się po preriach w przeważnie nieskutecznym poszukiwaniu Indian. Nieznajdowanie Indian było główną działalnością kawalerii amerykańskiej na Zachodzie przez długie lata.

Armia Mackenziego była olbrzymia jak na równinne standardy: była największą armią, jaką kiedykolwiek wysłano, by tropić Indian. Ale to właśnie do obozu tego wielkiego zbiorowiska ludzi i broni – wszyscy żołnierze mieli rewolwery Colta i powtarzalne sztucery Spencera oraz po kilkaset nabojów – nocą 10 października 1871 roku wjechał Quanah. On i jego ludzie nie rozpędzili po prostu koni pasących się z dala od oddziału. Wpadli w sam środek obozu pełnego śpiących żołnierzy. Prawie przejechali przez namiot Mackenziego, bez przerwy krzycząc, strzelając i dzwoniąc krowimi dzwonkami[559]. Czy popchnęła ich do tego wyłącznie zuchwała odwaga młodych ludzi? Desperacja? Odruchowa reakcja obronna wywołana przez obecność niespotykanie wielkiej liczby niebieskich kurtek tak daleko na bizonich równinach –

coś w rodzaju bokserskiej gardy? W udzielanych później wywiadach Quanah powiedział, że zamierzał pozbawić żołnierzy koni[560]. Gdyby mu się to udało, katastrofa białych byłaby bardzo prawdopodobna.

Uniknęli jej, biegnąc szybko w ciemności wśród spłoszonych koni i śmiertelnie niebezpiecznych wirujących żelaznych palików. Zdołali złapać większość swoich wierzchowców, choć sześćdziesięciu sześciu kawalerzystów pozostało bez koni. Z takimi żołnierzami niewiele można było zrobić na dalekich wysokich równinach zachodniego Teksasu: jedynym wyjściem był nakaz marszu na wschód, z powrotem do obozu z zapasami. Upokorzeni kolejnymi błędami swego dowódcy, człowieka, którego nazywali Trzypalcym Jackiem, żołnierze czwartego pułku kawalerii przedarli się przez skłębioną masę koni, arkanów i żelaznych kołków, by następnego dnia o świcie wyruszyć na poszukiwanie Komanczów, którzy ich zaatakowali. Mackenzie nie miał pojęcia, że natknął się nie na jedną z wiosek Quahada, ale na ich główny obóz liczący kilkaset tipi. Chociaż za głównych wodzów Quahada uważano Niedźwiedzia[102] i Dzikiego Konia, wioską dowodził znacznie młodszy Quanah. Świetna taktyka zastosowana w czasie tego dość długiego starcia była wyłącznie jego pomysłem[561]. Pstrykający kikutami swych palców Mackenzie (ten irytujący zwyczaj miał go już nie opuścić) w ogóle się nie zorientował, że właśnie zaczynała się szalona, ryzykowna gonitwa przez czterdzieści mil Llano Estacado. Żadne oddziały na zachodnim pograniczu nigdy czegoś podobnego nie doświadczyły.

Dzień zaczął się od kolejnego błędu białych żołnierzy, tym razem znacznie poważniejszego. Gdy tylko pierwszy promień słońca przedarł się na wschodniej stronie nieba, dwa oddziały przeczesujące dolinę w poszukiwaniu zbiegłych koni napotkały dwunastu Komanczów prowadzących ze sobą taką samą liczbę koni. Podnieceni dobrą okazją żołnierze, dowodzeni przez kapitana E. M. Heyla, ruszyli za Indianami, błyskawicznie się do nich zbliżając, tak że mieli ich teraz w zasięgu pistoletów. Indianie porzucili zwierzęta i wydawało się, że uciekają: przebiegli przez jeden z jarów w kanionie i wdrapali się na pobliskie wzniesienie, skąd ku szczytom ścian kanionu pięło się strome zbocze. Żołnierze, których też było dwunastu i w tej chwili znajdowali się trzy mile od swego obozu, pędzili za nimi. Zbliżając się do szczytu, dostrzegli w czystym powietrzu poranka, że uciekający Indianie zawracają i pędzą prosto na nich. Różnica była taka, że na wzniesieniu było teraz o wiele więcej Indian. Heyl dał się nabrać na ten sam podstęp, który zwiódł Fettermana i Elliota. Jak pisał Robert G. Carter, nagle preria „zaroiła się od Indian, a wszyscy byli na koniach i galopowali ku nam z okrzykami wojennymi i mrożącymi krew w żyłach wrzaskami, które powodowały, że uchodziło z nas całe powietrze. To było jak porażenie prądem.

Wszyscy chyba zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji”[562]. Ze szczytów ścian kanionu nad nimi rozległo się upiorne i przenikliwe zawodzenie komanckich kobiet, które patrzyły w dół na swych mężczyzn i zagrzewały ich do walki[563].

I tym razem na czele pędził dwudziestotrzyletni Quanah, olśniewający w czarnych barwach wojennych i naszyjniku z niedźwiedzich pazurów, uzbrojony w dwa sześciostrzałowce. W Carterze jego wygląd budził przerażenie i − biorąc pod uwagę wzrost i olbrzymią muskulaturę Quanaha – nie ma się czemu dziwić. Quanah rozkazał swym wojownikom oskrzydlić dwunastu żołnierzy: pętla się zaciskała. Atakowani biali, rozumiejąc, co się może za chwilę z nimi stać, zsiedli z koni i zaczęli się powoli wycofywać w stronę jaru, cały czas się ostrzeliwując. Nagle siedmiu z nich, w tym Heyl, odwróciło się i puściło biegiem, zostawiając resztę kompanów w rękach Indian. Ci znowu wydali okrzyk wojenny i zbliżyli się. Pięciu pozostawionych żołnierzy, w tym jeden raniony w rękę, kontynuowało odwrót. Kiedy dotarli na skraj jaru, odbezpieczyli magazynki i oddali kilka salw, odrzucając Indian na jakiś czas, co pozwoliło im dosiąść koni. Jednak kiedy się odwrócili i ruszyli w stronę jaru, osłabły koń niosący szeregowego Seandera Gregga potknął się.

Carter przedstawia interesujący i rzadki opis starcia z Indianami na krótkim dystansie, do którego wtedy doszło. Widząc problem Gregga, Quanah natychmiast skierował się w jego stronę, zmuszając swego konia do biegu zygzakiem i traktując Gregga i jego potykającego się wierzchowca niczym tarczę. Tak kierował koniem, że Carter i inni żołnierze nie mogli do niego strzelić, nie trafiając Gregga. Kiedy Quanah się zbliżył, żeby zadać śmiertelny cios, Gregg spróbował użyć swego sztucera, ale w panice nie zdołał pociągnąć dźwigni przeładowywania wystarczająco mocno, przez co zaciął się zamek. Carter krzyknął, żeby użył swojego sześciostrzałowca, ale było za późno. Quanah już go miał. Wypalił Greggowi w głowę z odległości jednej stopy lub mniejszej. Powinien był go oskalpować, ale tym razem obrócił się i z resztą swych ludzi pogalopował z powrotem, po czym wspiął się na górę po ścianie kanionu. Zdumiony Carter obrócił się i zrozumiał, dlaczego Indianin tak postąpił. Zwiadowcy Tonkawów już czaili się na krawędzi górskiego zbocza, a wznoszący się za nimi wielki tuman kurzu oznaczał zbliżanie się głównej kolumny Mackenziego.

Zimna krew Cartera ocaliła jego ludzi od niemal pewnej śmierci. Za swoją postawę w Blanco Canyon tego ranka otrzymał Medal Honoru. Bez wątpienia był bardzo odważnym człowiekiem. Ale o jego przewadze przesądzało coś jeszcze innego, co miało wielki wpływ na ostateczny wynik wojen z Indianami: karabiny Spencera. Przed wojną secesyjną jedyną powtarzalną bronią używaną przez wojsko w Ameryce były sześciostrzałowe rewolwery, które Samuel Colt wprowadził w latach czterdziestych

XIX wieku. W czasie wojny wynaleziono jednak broń powtarzalną – najczęściej były to karabinki Spencera[103]. W owym czasie stanowiły technologiczne cudo. Wypluwały kule .52 z magazynku na siedem nabojów, który przeładowywało się dziesięć razy szybciej niż rewolwer taki jak colt, co dawało szybkostrzelność rzędu dwudziestu pocisków na minutę. Z reguły trafiały do pięciuset jardów.

W czasie walki w Blanco Canyon Komancze nie dysponowali niczym, co by mogli przeciwstawić spencerom[564]. Ich główna broń, łuki i rewolwery, była skuteczna tylko na krótkim dystansie, zwykle nie większym niż sześćdziesiąt jardów. Ich jednostrzałowe muszkiety trafiały do dalszych celów, ale ładowanie tej broni było tak niewygodne – dwa strzały na minutę z grzbietu konia uważano za dobry wynik – że oddawano nimi zwykle tylko jedną salwę (Carter zauważył, że większość muszkietów Indian była ładowana odprzodowo[565]). Różnica była ogromna. Pułkownik Richard - Dodge dostrzegł ten wielki rozdźwięk w uzbrojeniu białych i Indian. Uważał, że Indianin na koniu, uzbrojony w powtarzalny karabin, „broń odpowiadającą jego stylowi walki", był „najlepszym naturalnym żołnierzem na świecie"[566]. Jednakże większą liczbę Indian uzbrojonych w wielostrzałowce można było zobaczyć dopiero u schyłku wojen na Wielkich Równinach. Nawet nad Little Bighorn, pięć lat później, Indianie strzelali przede wszystkim z łuków.

Teraz, kiedy kolumna Mackenziego niemal zrównała się ze strażą przednią Quanaha, pogoń zaczęła się na poważnie. Mackenzie przeważał liczebnie, a dzięki lepszej broni miał też olbrzymią przewagę taktyczną, z czego Indianie – niezmiennie unikający regularnych bitew z dobrze wyposażonymi żołnierzami – świetnie zdawali sobie sprawę. Chronili również swoją wioskę, w której były kobiety i dzieci. Musieli więc uciekać.

Można by sądzić, że cała osada, składająca się z kilkuset tipi, z rzeszą kobiet, dzieci i starców, tonami sprzętu, zapasów jedzenia, psami, stadem trzech tysięcy koni i mułów, a także stadem bydła, będzie łatwym celem. Wioska Komanczów nie mogła przecież schować się na otwartych równinach. Nie miała też szans przemieszczać się tak szybko jak dobrze uzbrojony, konny oddział prawie sześciuset zawziętych mężczyzn. To wydaje się oczywiste. Był to jeden z niewielu utrwalonych w dziejach przypadków pościgu wielkiej armii za wioską na otwartej przestrzeni. Wynik zdawał się z góry przesądzony. W rzeczywistości Quanah dał jednak pułkownikowi Mackenziemu praktyczną lekcję jednego z najważniejszych od wieków elementów wojny na równinach: ucieczki.

Świadomi tego, że teraz polują na cały obóz, a nie tylko na wojowników, ludzie Mackenziego ruszyli na północny zachód wzdłuż Clear Fork, dopływu Brazos,

zataczając łagodny łuk nieco na wschód od dzisiejszego miasta Lubbock. Rzeka płynęła kanionem, który w kilku miejscach był wąski, a w innych otwierał się na szerokie doliny poprzecinane jarami, falistymi piaszczystymi wzgórzami i otoczone wysokimi urwistymi skałami, często nie do przebycia. Żołnierze od czasu do czasu widzieli małe stada bizonów, a w miejscach, gdzie strumień przekształcał się w urocze, przejrzyste rozlewiska – olbrzymie stada kaczek i kulików. Była to niezbadana, pierwotna i nietknięta przez cywilizację białego człowieka okolica. Od czasu do czasu mijali porzucone szałasy z trawy i zarośli, znane jako *wickiup* i używane przez indiańskich pasterzy.

Najwyższe urwisko po zachodniej stronie kanionu ciągnie się wzdłuż wychodni rozległej formacji geologicznej w zachodnim Teksasie zwanej *caprock*. Jest to warstwa skalna[104] zalegająca pod Llano Estacado i występująca na powierzchni dokładnie tam, gdzie wysokie równiny ustępują niższym, falistym terenom. Warto wspomnieć jeszcze raz o Caprock Escarpment, ponieważ ta forma skalna odegrała główną rolę w indiańskich manewrach wymijających. Widziana od dołu – z miejsca, w którym znajdowali się żołnierze Mackenziego – wygląda jak olbrzymia półka ze skalistymi szańcami. W różnych punktach wyrasta od dwustu do tysiąca stóp ponad niżej położonymi równinami. Termin *llano estacado* zwykle tłumaczy się jako „równina palikowa". Jednak nie to miał na myśli Coronado, kiedy użył tego określenia – chodziło mu o „równinę palisadową", czyli równinę, która zaczyna się (albo kończy) stromym urwiskiem. Caprock Escarpment ciągnie się kilkaset mil[567].

Żołnierze jechali przez cały dzień bez przerwy, w „ciszy i dojmującej samotności tej uroczej doliny, które zakłócane były jedynie przez odgłos końskich kopyt"[568]. Znajdowali się ponad pięćdziesiąt mil od karawany z zapasami, w jednym z najniebezpieczniejszych dla białego człowieka miejsc na równinach. Późnym popołudniem dotarli do miejsca, w którym wcześniej była rozłożona wioska Quanaha. Komancze opuścili je w wielkim pośpiechu, ciągnąc ze sobą swoje olbrzymie zapasy i zostawiając szeroki ślad na ziemi. Kolumna Mackenziego – pewna, że teraz depcze po piętach wolno poruszającej się całej grupie Komanczów – przyśpieszyła, podążając za dwudziestoma pięcioma tonkawskimi tropicielami.

Pewność siebie szybko ich opuściła. Niebawem ślad się rozdzielił, a potem przeciął, a potem znowu i znowu w każdą stronę, aż w końcu zwiadowcy nie byli w stanie ustalić, w jakim kierunku wędrują Komancze. Po dłuższych naradach z Mackenziem i innymi oficerami, zwiadowcy uznali, że Quanah i jego grupa wrócili po śladach i udali się w tym kierunku, z którego potem nadeszli żołnierze, natomiast pozostali Indianie cały czas się od nich oddalali. Żołnierze czwartego pułku kawalerii,

sfrustrowani i rozczarowani tym, że Komancze kolejny raz okazali się sprytniejsi, nie mieli innego wyjścia, niż zawrócić i zatrzymać się na noc w miejscu opuszczonej wioski[569].

Następnego ranka Tonkawowie zdołali podjąć trop, ale teraz szeroki ślad setek tyczek tipi i tysięcy krów i koni sugerował coś niemożliwego, mianowicie że cały komancki obóz wspiął się setki stóp po niemal pionowej ścianie kanionu i urwistych progach Caprock Escarpment. Wydawało się to niewiarygodne, ale wioska zachowywała się niczym mała grupa jeźdźców. Żołnierze zaczęli z mozołem wspinać się po bardzo stromym szlaku, pokonując skalne wychodnie i jary. Na szczycie ujrzeli coś, co stosunkowo niewielu białych kiedykolwiek widziało: niezwykłą, olbrzymią płaską przestrzeń wysokich równin, porośniętych jedynie krótką trawą bizonią. „Jak tylko sięgało oko – pisał Carter – nie widać było żadnej rzeczy ani żadnej żywej istoty. Przed nami rozciągała się jedna, niczym niezmącona równina, której bezkres można porównać tylko do oceanu”[570]. Widok robił wrażenie nawet na ludziach, którym równiny nie były obce. Niejaki Arthur Ferguson, robotnik kolejowy, pisał kilka lat wcześniej: „To straszny kraj. Jego bezruch, dzikość i pustka są okropne. Nie widać choćby jednego drzewa. Bezruch był nie do zniesienia, żadnego śladu człowieka, wydawało się, że tutejsza pustka jest wieczna”[571]. Żołnierze zauważyli coś jeszcze: temperatura spadała, zaczynał wiać *norther*. Znajdowali się na wysokości ponad trzech tysięcy stóp, a na sobie wciąż mieli letnie mundury. Dzień wcześniej, w osłoniętym kanionie, rozkoszowali się ciepłym słońcem. Teraz przeszywało ich zimno wiatru z północy, a niska, twarda trawa niezmiernie utrudniała tropienie Komanczów.

Kolumna znowu się zatrzymała, żeby dać czas Tonkawom na zbadanie, dokąd przemieściła się wioska Quanaha. Kiedy zwiadowcy wreszcie odnaleźli trop, zrozumieli, że po przejściu granią urwiska uciekający zawrócili i znowu zeszli do kanionu. Żołnierze, wstrząśnięci i świadomi, że kolejny raz zostali wyprowadzeni w pole, podjęli się ryzykownego zejścia tylko po to, aby na dnie kanionu znaleźć tę samą dziką plątaninę śladów, biegnących w rozmaitych kierunkach: jedne prowadziły w górę, inne w dół, a jeszcze inne przecinały kanion bezpośrednio w poprzek. Tonkawowie ponownie rozeszli się na wszystkie strony. Odkryli, że szlak znowu prowadził ku stromym urwiskom i ponad nimi, ale tym razem po drugiej stronie kanionu. I znowu żołnierze musieli przedzierać się przez skaliste przełomy rzeki. Mimo całej swej wściekłości i frustracji zaczynali czuć respekt, bliski nawet podziwu, dla umiejętności Komanczów Quanaha. Jak opisywał to Carter:

> Był to wyjątkowo sprytny manewr, nawet jak na Indian, którego celem było oczywiście zmylenie nas i uzyskanie czasu, żeby jak najbardziej oddalić od nas własne rodziny: kobiety i dzieci. Bez naszych indiańskich

zwiadowców, którzy pokonywali Komanczów tym samym wrodzonym sprytem, na pewno stracilibyśmy trop i zrezygnowani porzucilibyśmy nasze zadanie[572].

Pozostaje kwestią interpretacji to, czy Tonkawowie przechytrzali Komanczów, czy też bez przerwy byli wyprowadzani w pole przez komanckiego przywódcę, który dokładnie wiedział, co robi.

Znalazłszy się znowu na Llano Estacado, żołnierze poczuli pełną siłę północnego wiatru. Lodowate podmuchy przeszywały ich ciała okryte jedynie cienkimi mundurami. Robiło się ciemno. Wielu żołnierzy nie miało ani płaszczy, ani rękawic, a w tym momencie byli sto mil od swej karawany z zapasami. Posuwając się do przodu, od czasu do czasu widzieli majaczący na horyzoncie zarys uciekającej grupy Komanczów. Okazało się, że byli bliżej, niż myśleli, i – jakby po to, żeby podkreślić ten fakt – jeźdźcy komanccy nagle pojawili się na ich skrzydłach, próbując odwrócić ich uwagę. Mackenzie nie dał się na to nabrać. Popędzał żołnierzy do jazdy w stronę ruchomej wioski, Indianie zaś w pośpiechu i strachu zaczęli wyrzucać wszystko, co opóźniało ich marsz, w tym tyczki do tipi i narzędzia, a nawet szczenięta, które niektórzy ludzie Mackenziego podnosili i umocowywali w poprzek swych siodeł. Bitwa wisiała w powietrzu. Tonkawowie pomalowali się, wezwali na pomoc swoją magię, żołnierze ustawili się w kolumnach po czterech, a muły z zapasami otoczono i uformowano w stado.

Jakby na dany znak, nagle ołowiane niebo prawie runęło im na głowy. Wiatr, który do tej pory był – jak na *norther* – łagodny, teraz przemienił się w „niebieski” *norther* – jak go nazywają mieszkańcy zachodniego Teksasu. To deszcz, grad i śnieg, wymieszane razem i nieustannie nawiewane przez wichry, które dują z prędkością nawet pięćdziesięciu mil na godzinę. Ciemność zapadała coraz szybciej i nadeszła chwila decyzji: czwarty pułk kawalerii mógł albo pogalopować w sam środek nadchodzącej burzy i zaatakować, albo powstrzymać się przez jeden dzień. Co dziwne – wziąwszy pod uwagę agresywny charakter Mackenziego – pułkownik postanowił nie atakować. Uczynił tak wbrew opinii swoich oficerów. Gdy oceniamy to dzisiaj, trzeba stwierdzić, że prawdopodobnie podjął słuszną decyzję. Jego ludzie byli zmęczeni, konie wycieńczone i wychudzone, a w przeciwieństwie do Komanczów żołnierze nie mieli świeżych wierzchowców na zmianę. Zsiedli z koni, a burza, która zbierała się przez całe popołudnie, teraz rozpętała się na dobre. Wichura z wielką siłą zsyłała zmarznięty deszcz, który szybko pokrył ich lodem. Była to jedna z tych nocy, podczas których żołnierz i jego koń mogli szybko umrzeć. Z nieba spadły wielkie kule gradowe, raniące ludzi. Okryli się tym, co zdołali znaleźć, i się zatrzymali. Wyglądali żałośnie.

Mackenzie nie wziął ze sobą płaszcza i ktoś litościwie okrył go futrem bizona.

Jednak Quahada wciąż parli do przodu. Gnali przez całą noc z szalejącą wokół nich burzą. Można sobie tylko wyobrażać, przez co przeszli. Następnego dnia Mackenzie bez przekonania podjął próbę pościgu, ale szybko zrezygnował. Ścigał Komanczów już ponad czterdzieści mil (od dzisiejszego Crosbytown do Plainview). Zapasy były na wyczerpaniu. Następnego dnia, kiedy żołnierze schodzili z powrotem do Blanco Canyon, natknęli się na dwóch zabłąkanych Komanczów i zapędzili ich do jaru. Z jakiegoś powodu, być może w wyniku frustracji, Mackenzie koniecznie chciał poprowadzić atak. W czasie potyczki został trafiony strzałą z zadziorami, która zatrzymała się dopiero na jego kości i trzeba ją było odcinać. Zażenowany własną porywczością, nigdy nie wspomniał w oficjalnym raporcie o odniesieniu tej rany[573]. Robert Carter podsumował w swych wspomnieniach rozczarowanie, które poczuł na koniec kampanii, twierdząc:

> Z najgłębszym żalem i największym rozczarowaniem przyjąłem to, że czwartemu pułkowi kawalerii nie udało się wtedy zaciągnąć tego półkrwi Qua-ha-dy do rezerwatu w forcie Sill, żeby potem stał się »dobrym Indianinem«, i że stało się to ponad trzy lata później, i to dopiero pod naciskiem czterech kolumn, wysłanych z czterech różnych stron[574].

Quanah nadal był na wolności, a Mackenzie stracił świetną okazję, żeby pokonać najbardziej wojowniczą grupę Komanczów w jej ojczyźnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kontratak Mackenziego

Dla pozostających wiosną 1872 roku na wolności Komanczów spektakularne niepowodzenie Mackenziego w Blanco Canyon było zarówno dobrą, jak i złą nowiną. Dobrą z tego względu, że jeden z najbardziej zaprawionych w boju oficerów armii amerykańskiej został wielokrotnie oszukany i ośmieszony przez ludzi, którzy o wiele lepiej od niego znali się na tego rodzaju walce. Quanah wyprowadził go w pole i wymanewrował; ludzie Mackenziego błądzili w ciemnościach i ślepych parowach, pozwolili spłoszyć swoje konie i zapłacili za to wszystko wysoką cenę. Za nos wodziła ich nie ruchliwa grupa wojowników, ale cała wioska. Żołnierze o mały włos nie zginęli w burzy, choć nie powstrzymała ona Indian, młodych i starych, od ucieczki. Biorąc pod uwagę to, że *taibos* stracili niemal wszystkie konie i karawanę z zapasami, można uznać, że mieli szczęście, iż w ogóle uszli z życiem z tej awantury.

W oczach tych, którzy potrafili wybiegać myślami w przyszłość, była to zła wiadomość, ponieważ wydarzenia w Blanco Canyon sygnalizowały początek końca dawnego imperium Komanczów. Logika była do bólu prosta. Poprzednie ekspedycje militarne naruszały granice Komanczerii i zmusiły Indian do uznania, że ich ojczyste terytorium nie jest już całkowicie bezpieczne. Ale nie uczyniły nic, co by naruszyło ogólny układ sił. Teraz jednak przywódcy niebieskich kurtek – świadomie penetrując sam środek ojczyzny Komanczów – pokazywali, że odtąd ich zamiarem jest nie tylko ochrona granicy, ale również zniszczenie najeźdźców: biali chcieli dopaść wilka w jego legowisku i go zabić. Ich celem była sama podstawa potęgi Komanczów. Owa potęga w dużym stopniu opierała się na zwykłej iluzji, swego rodzaju fantazji wspieranej przez jałową politykę Waszyngtonu. W roku 1872 niegdyś wspaniali Komancze byli tak naprawdę garstką tubylców, którzy ustępowali białym pod względem liczby i uzbrojenia i okupowali absurdalnie wielki obszar w samym sercu państwa amerykańskiego. To, że mogli to robić w epoce silników parowych, kolei transkontynentalnej, linii telegraficznych oplatających cały kraj i armii siejących zniszczenie, jakiego świat wcześniej nie widział, było prawie niewyobrażalne. Teraz wreszcie miało się to zmienić. Blanco Canyon oznaczał, że ostateczny upadek

Nermernuh jest tylko kwestią czasu. W najlepszym razie kilku lat, ale może nawet tylko kilku miesięcy. Oznaczał, że zaistniała zarówno wola, aby ich ścigać aż do Caprock Escarpment i dalej – gwarantowali to tacy niezmordowani wojownicy, jak Grant, Sherman i Sheridan[105], czyli ludzie, którzy zniszczyli Południe – jak i to, że Teksas miał dowódcę, który potrafił tego dokonać. Posępny, gniewny Mackenzie był pojętnym uczniem i właśnie odebrał dobrą lekcję, jak nie walczyć z Komanczami na terenie Texas Panhandle.

W tym jednak czasie śmierć nawiedzała pogranicze jak zwykle. Wiosną 1872 roku Komancze i Kiowowie spadli na osady w Teksasie, jak gdyby nic w świecie nie mogło ich powstrzymać. Niektóre z tych ataków przeprowadzili Komancze „z rezerwatu" – Yamparikowie, Nokoni i Penatekowie – którzy używali wyznaczonej im agencji jako schronienia. Innych dokonywali Quahada, odłam, który nigdy nie zamieszkał w rezerwacie. Jeszcze inne przypisano dowodzonym przez Trzęsącą się Rękę Kotsotekom, odłamowi, który żył w obu światach po trochu. Kotsotekowie przybyli do agencji zimą, żeby dostać jedzenie i coroczny przydział zapasów, a potem, wiosną, wrócili na bizonie równiny. Inni Komancze z grup rezerwatowych poszli za nimi. Sytuacja była bardzo płynna, napięta, wybuchowa. Wielu mieszkańców pogranicza, zwłaszcza z okolic Palo Pinto na południowy zachód od Fort Worth, uważało, że 1872 był najgorszym rokiem pod względem indiańskich najazdów. W tym roku miejscowy sędzia okręgowy napisał list do prezydenta Granta, błagając o ulżenie mieszkańcom. Opisał ich coraz większe przerażenie, po czym dodał:

> Mógłbym przedstawić jego ekscelencji tuziny nowych przypadków morderstw, gwałtów i rabunków, które [Indianie] popełnili tylko w hrabstwach wchodzących w skład mego okręgu sądowego. Zaledwie kilka dni temu wszyscy członkowie rodziny Lee, wśród nich trzy kobiety, zostali okrutnie sponiewierani, zamordowani i w najstraszliwszy sposób okaleczeni. Także pan Dobs, sędzia pokoju w hrabstwie Palo Pinto, został zamordowany i oskalpowany w ostatnim tygodniu, a napastnicy obcięli mu uszy i nos. […] William McCluskey został zastrzelony wczoraj w drzwiach własnego domu przez te same przeklęte pupilki kwakrów[575].

Podobny opis przemocy na pograniczu mógł pochodzić zarówno z roku 1850, jak i z 1872. Wieści o grabieżach nadchodziły z tak ponurą regularnością, że czasami wydawały się nierzeczywiste, niemal banalne. Były jednak straszliwą prawdą. Komancze siali terror w Teksasie mniej więcej na tym samym obszarze od ponad trzydziestu pięciu lat. Front tej niekończącej się, koszmarnej wojny się nie zmieniał. Sytuacja ta nie przypominała żadnego innego etapu wojen z Indianami w Ameryce od początku XVII wieku.

Ale teraz Mackenzie został spuszczony ze smyczy i miał jedno zadanie – położyć temu kres. Polityka pokoju nadal była realizowana w odniesieniu do Indian

w rezerwacie i jego czwarty pułk kawalerii, wyruszający z fortów w środkowym Teksasie, wciąż nie miał prawa przekraczać Rzeki Czerwonej w pościgu za wrogami. Jednak dla tych, którzy upierali się przy pozostawaniu poza rezerwatem, były śmierć i spalona ziemia. Jak zawsze, problem polegał na tym, gdzie ich szukać. Wiosną 1872 roku rozwiązanie przyszło samo. Schwytany *comanchero*, niejaki Polonio Ortiz, opowiedział o szlaku karawan, przy którym znajdowało się wiele źródeł wody i rosła dobra trawa. Szlak biegł ze wschodu na zachód przez Llano Estacado i prowadził do Nowego Meksyku. Było to nie tylko legendarne przejście przez suche i – zdawało się – niemożliwe do przebycia równiny, o którym biali słyszeli, ale którego nigdy nie znaleźli, lecz również była to droga, którą tysiące sztuk skradzionego bydła pędzono z Teksasu do Nowego Meksyku. Był to raj bydlęcy *comancheros*, który dla wciąż dzikich band Komanczów stanowił źródło broni, amunicji i żywności. Znalezienie szlaku oznaczałoby nie tylko ukrócenie nielegalnego handlu bydłem, ale też wytropienie Komanczów.

W lipcu i sierpniu 1872 roku, wypełniając rozkaz rozbicia zorganizowanego systemu kradzieży bydła, pułkownik Mackenzie i jego czwarty pułk kawalerii podczas badania terenu dokonali kilku doniosłych i bezprecedensowych odkryć. Wyprawiwszy się z bazy nad Freshwater Fork, dopływem Brazos w Blanco Canyon, najpierw przeprowadzili rekonesans obszarów na północy, wzdłuż Caprock Escarpment. Kilkakrotnie przeszli wówczas z wysoko położonych równin na niższe tereny i z powrotem, tak jak czynili to Quahada. Wykorzystując *comanchero* Ortiza w roli zwiadowcy, Mackenzie przekroczył jeden z południowych dopływów Rzeki Czerwonej (znany jako Prairie Dog Town Fork, czyli Strumień Kolonii Piesków Preriowych) i dotarł w pobliże dzisiejszego Clarendon. Potem znowu skręcił na południe przez poszarpany i surowo piękny kanion i podążył szlakiem, który przechodził przez dzisiejsze miejscowości Turkey, Matador i Roaring Springs. Mackenzie wtedy tego nie wiedział, ale ta część Teksasu, odrobinę na wschód od dzisiejszego Amarillo, była główną bazą i schronieniem dzikich band Komanczów. Można sobie tylko wyobrażać, jak wyglądali żołnierze jego oddziału: małe figurki na tle monumentalnego krajobrazu wschodniego Teksasu, jadące tygodniami w palącym słońcu przez bezkresne równiny, nieskalane śladami ludzkich stóp. Jedynymi towarzyszącymi im odgłosami były skrzypienie końskich uprzęży oraz pieśń pułkowa na ustach żołnierzy („Wracaj do domu, John! Nie siedź tam długo. Wracaj szybko do swej ptaszyny!”). Kraina była dziewicza, pierwotna, pełna dzikich zwierząt: żurawi kanadyjskich wzbijających się tysiącami z okresowych jezior, stad bizonów przesłaniających horyzont. Mackenzie nie znalazł tam ani jednego Indianina, ani też szlaku bydlęcego, lecz dowiedział się czegoś

nowego o tej krainie,czego nie wiedział dotąd żaden biały, i wiedza ta miała mu się bardzo przydać w decydujących walkach. Pod koniec lipca Ortiz i inni zwiadowcy odkryli szeroką drogę prowadzącą ku Llano Estacado, ze świeżymi śladami wielkich stad bydła.

Mackenzie podążył tym nowym szlakiem. W tym czasie powierzone mu zadanie zamieniło się w obsesję – pojmował je jako zmuszenie wszystkich pozostających na wolności Komanczów i Kiowów do osiedlenia się w rezerwacie. Miał lekki sen, o ile w ogóle spał. Do późna w nocy studiował raporty zwiadowców i innych osób oraz wszelkie mapy, jakie tylko wpadały mu w ręce. Swoich żołnierzy poddawał ostrej musztrze. Już i tak ich wartość bojowa znacznie wzrosła od chwili, kiedy ich przejął, między innymi dzięki doświadczeniu zdobytemu w Blanco Canyon. Stał się jeszcze twardszy i zachowywał się coraz dziwniej. Rany z wojny secesyjnej, niektóre nigdy do końca niewyleczone, powodowały nieustanny ból. Wielogodzinna jazda po nierównym terenie była nie do zniesienia. Według Roberta G. Cartera, który przez wiele lat służył pod Mackenziem, właśnie to „niemal zbrodnicze lekceważenie własnego zdrowia" zmieniło jego osobowość: stał się „drażliwy, gwałtowny, surowy dla innych, czasami nieobliczalny i często wybuchowy"[576]. Jak wspomniano, biali nazywali go Trzypalcym Jackiem, a od Komanczów otrzymał przezwiska Zła Ręka oraz Wódz bez Palców. Zaczynali go poznawać. Jego władcza, napastliwa osobowość sprawiała, że niczemu ani nikomu nie przepuszczał. Wiele wymagał od każdego, był surowy w ocenach i niemal nigdy nie zdobył się na pochwałę któregokolwiek z żołnierzy. Takie samo oblicze prezentował w raportach do przełożonych. Powściągliwość w mówieniu o własnych dokonaniach skazywała Mackenziego i jego ludzi na margines amerykańskiej historii. Lecz Mackenzie miał też zalety. Był do bólu uczciwy i szybki w naprawianiu niesprawiedliwości. Nigdy nikogo nie wyróżniał i nigdy nie tolerował serwilizmu ani samolubstwa.

W następnym miesiącu przewędrował Llano Estacado dwa razy i to różnymi trasami, poruszając się po terytorium, którego wojsko nigdy wcześniej nie penetrowało (wyprawa Carsona z Nowego Meksyku do Adobe Walls posuwała się wzdłuż rzeki Canadian, czyli o wiele bardziej na północ). W drodze powrotnej, która pokrywałaby się mniej więcej z drogą między współczesnymi miejscowościami Tucumcari i Canyon, nieco na południe od Amarillo, dokonał niezwykłego odkrycia – znalazł wreszcie przecinający równiny szlak z dostępem do stałych źródeł świetnej jakości wody, w miejscach oddalonych od siebie nie więcej niż o trzydzieści mil[577], dokładnie tak jak opowiadał Ortiz. Chociaż Mackenzie nie widział żadnych Indian ani bydła – na tak olbrzymich przestrzeniach szanse na to były niewielkie – to poznał wielkie

i tajemnicze Llano Estacado, niezbadaną krainę w samym sercu Komanczerii. Pod koniec wyprawy żołnierze czwartego pułku kawalerii świetnie znali osobliwy, niesamowity świat Wysokich Równin: jego gwałtowne burze z piorunami, kolonie jadowitych mrówek i szalejące pożary. Nauczyli się wykorzystywać odchody bizonów jako opał, odnajdywać wodę i poruszać się po olbrzymiej płaskiej przestrzeni. Jak ujął to Ernest Wallace:

> [Mackenzie] w wielkim stopniu przyczynił się do zbadania i otwarcia Wielkiego Amerykańskiego Zachodu. Znalazł dwa szlaki przez zdradzieckie równiny. Odkrycie dróg i źródeł wody pitnej pozwoliło utrzymywać wrogich Indian w ciągłym ruchu aż do poddania się, ponieważ tylko tak mogli uniknąć zaskoczenia i schwytania albo śmierci[578].

Mackenzie nie poświęcał temu osiągnięciu uwagi. Wciąż miał zadanie do wykonania. Od tego samego *comanchero* dowiedział się, że grupa Kotsoteków Trzęsącej się Ręki obozowała nad North Fork, północnym rozwidleniem Rzeki Czerwonej. 21 września 1872 roku zawrócił na północ. Z dwustu dwudziestoma dwoma żołnierzami i dziewięcioma tonkawskimi zwiadowcami pomaszerował ku falistej, nierównej prerii na wschodnim zboczu Caprock Escarpment. 29 września, o czwartej po południu, oddział Mackenziego, uformowany w czterokolumnowy eszelon, pogalopował w sam środek wioski Komanczów składającej się ze stu siedemdziesięciu pięciu wielkich i osiemdziesięciu siedmiu małych tipi nad North Fork, około pięciu mil od dzisiejszego miasteczka Lefors.

Zupełnie zaskoczeni Komancze mogli tylko uciekać i kryć się przed żołnierzami i ogniem ich karabinów. Wielu zginęło w ciągu kilku pierwszych minut bitwy. Co najmniej osiemdziesięciu zostało odciętych od reszty i otoczonych w jarze. Kilka razy spróbowali natrzeć na linię białych i za każdym razem, ponosząc wielkie straty, zostawali odrzuceni. Walka szybko zaczęła przypominać strzelnicę sportową. Jeden z oficerów Mackenziego, W. A. Thompson, porównał to do „grupy mężczyzn ustawionych w linii na scenie i strzelających do pełnego ludzi kanału w sali teatru”[579]. Wielu Indian wskoczyło do sadzawki utworzonej przez potok, który przepływał przez środek obozu. Niektórzy próbowali kryć się pod zwisającymi z brzegów długimi trawami. Większość zginęła. „Tak wielu zostało zabitych lub ranionych w sadzawce, że woda we wgłębieniach w dnie była czerwona od krwi[106]”, napisał później Clinton Smith, biały porwany przez Indian, który walczył po ich stronie[580]. Wielu Komanczów uciekło w nadrzeczne chaszcze. Jak zwięźle ujął to Mackenzie w swoim raporcie, bitwa skończyła się w pół godziny. Musiał siłą powstrzymać Tonkawów od oskalpowania wszystkich nieżywych Komanczów.

Kiedy dym od czarnego prochu się rozwiał, policzono zabitych: pięćdziesięciu dwóch Indian i czterech żołnierzy. Mackenzie wziął do niewoli sto dwadzieścia cztery osoby, głównie kobiety i dzieci. Czegoś takiego nie pamiętali najstarsi Komancze i było bardzo prawdopodobne, że nigdy nie doszło do niczego podobnego, a przynajmniej nie od czasu zdobycia koni przez Komanczów. Co równie ważne, żołnierze schwytali trzy tysiące wierzchowców, co oznaczało, że najpewniej wielu z Indian, którzy zdołali uciec, musiało poruszać się pieszo. Nie wiadomo, ilu uciekło, ani też ilu było w obozie w chwili ataku. W wielkim tipi zwykle mieszkało od ośmiu do dziesięciu osób, w tym dwóch mężczyzn zdolnych do walki. Jeśli było tak i tym razem, oznacza to, że olbrzymia część wszystkich ówczesnych Komanczów, w tym także teoretycznie ci, którzy żyli w rezerwacie, obozowała z Trzęsącą się Ręką. Biali dowiedzieli się później, że byli tam członkowie wszystkich pięciu głównych odłamów, chociaż w czasie bitwy Trzęsąca się Ręka – jak na ironię – znajdował się w pociągu wiozącym go do Waszyngtonu na spotkanie z Wielkim Ojcem, z którym miał mówić o pokoju[581]. Poza tym niedaleko w dole rzeki leżał inny obóz, zamieszkany głównie przez Quahada, którzy byli tak blisko, że słyszeli strzały. Mackenzie w oficjalnym raporcie wspomniał, bez wdawania się w szczegóły, iż „domy w większości zostały spalone, a wielka ilość innego dobytku zniszczona”[582]. Tak czy inaczej, nie zostało nic, czego Indianie mogliby użyć.

Było to historyczne – i oszałamiające – zwycięstwo. Mackenzie odniósł je, ponieważ odważył się pójść tam, gdzie biali wcześniej się nie zapuszczali. Dobrze wykorzystał swoich indiańskich zwiadowców, a potem zaatakował z całą mocą obóz, zebrawszy o nim dokładne informacje. Zaatakował z furią. Jednak w przeciwieństwie do pijanych oprychów Chivingtona ludzie Mackenziego znali umiar. Mieli rozkaz, by starać się unikać zabijania kobiet, dzieci i starców. Mackenzie – wyjątkowo jak na oficera walczącego na zachodnim pograniczu – zwracał na to uwagę, ale też sam odnotował, że wielu Indian z tych grup „odniosło zbyt ciężkie rany, by można ich było ruszyć”[583]. Do tego Tonkawowie zdążyli zrobić swoje, zanim zdołał ich powstrzymać. Druga strona, co zrozumiałe, inaczej widziała to wydarzenie. Herman Lehmann, żyjący wtedy u Komanczów biały, którego kiedyś złapali do niewoli, napisał:

> Przybyliśmy dzień po walce i zobaczyliśmy zwłoki rozrzucone dookoła. Pamiętam, że znalazłem ciało Batseny, bardzo odważnego wojownika – leżało okaleczone i oskalpowane, a obok niego walały się straszliwie zmasakrowane szczątki jego córki Nooki, pięknej indiańskiej dziewczyny: wypruli z niej wnętrzności i oskalpowali. Ich zwłoki przedstawiały odrażający widok. […] Inne ciała też były okaleczone, co zdradzało udział Tonkawów w bitwie[584].

Mackenzie osiągnął to, co Indianie z Wielkich Równin cenili najbardziej: efekt zaskoczenia. Uczył się od nich wykorzystywania słabych stron przeciwnika. Tej nocy podjął ogromny wysiłek, aby umieścić jeńców wewnątrz dobrze pilnowanego kręgu utworzonego z wozów z zapasami. Schwytani stanowili zdumiewający przekrój całego ludu Komanczów: wśród nich było trzydziestu czterech Kotsoteków, trzydziestu Quahada, osiemnastu Yamparików, jedenastu Nokonów oraz dziewięciu Penateków, co pokazywało, jak w rzeczywistości płynna była wymiana między „rezerwatowymi" a „dzikimi" Komanczami, oraz sugerowało, że zanikały stare podziały na grupy. (Jedna, a może nawet dwie kobiety z odłamu Quahada były żonami Quanaha).

Mackenzie rozkazał zabrać stado koni Komanczów o milę od spalonej wioski i postawił na ich straży Tonkawów z jednym ze swych poruczników. Trudno w to uwierzyć, ale pułkownik, który wcześniej przeszedł surową lekcję kultury konnej Komanczów, popełnił kolejny błąd. Nadal nie rozumiał relacji, jaką Komancze mieli z końmi, ani tego, że garstka Tonkawów wciąż nie mogła się równać z komanckimi jeźdźcami. Gdy zapadły ciemności, Komancze nie tracili czasu: błyskawicznie spłoszyli konie i nie tylko odzyskali większość z nich, ale zdołali zabrać także te, które należały do Tonkawów. Następnego dnia zwiadowcy wrócili do głównego obozu z zażenowanymi i nieszczęśliwymi minami, prowadząc małego osiołka[585]. Następnej nocy, kiedy oddział rozbił kolejny obóz osiemnaście mil dalej, Komancze odbili większość z pozostałych koni. Z całego ich stada w rękach żołnierzy pozostało pięćdziesiąt koni i dziewięć mułów[586]. Mackenzie był wściekły. Nigdy już nie miał popełnić podobnego błędu, to znaczy nigdy już nie sądził, że zdoła zachować konie Komanczów. Według słów jego sierżanta Johna Charltona „odtąd nigdy już nie próbowano zatrzymać schwytanego stada dzikich indiańskich koni. Wszystkie rozstrzeliwano"[587].

Dla Komanczów bitwa nad North Fork, północnym rozwidleniem Rzeki Czerwonej (czasami nazywana bitwą nad McClellan Creek), była wstrząsającym doświadczeniem. Nigdy przedtem nic podobnego im się nie przydarzyło, a ich rozpacz graniczyła z szaleństwem. Clinton Smith napisał:

> Przez długi czas, co noc, słyszałem krzyki starych *squaws* oddalających się od obozu, rozpaczających nad swymi zmarłymi. Cięły ciała nożami, a kiedy wracały do obozu, na ich twarzach i piersiach widać było ślady ran, które sobie zadawały w agonii[588].

Najgorsze było to, że Indianie nie mogli absolutnie nic zrobić, by odzyskać wziętych do niewoli pobratymców. Pod wpływem rozpaczy słynący z zuchwałości Komancze stawali się bezradni i żałośni. Widać to na przykładzie zachowania Niedźwiedzia,

wodza dzikich, nieposkromionych Quahada i jedynego przywódcy, który nigdy nie podpisał traktatu ani nigdy dotąd nie stawił się w agencji: kilka tygodni później pokornie przyprowadził swoich ludzi w okolicę fortu Sill, by błagać o uwolnienie kobiet i dzieci. Powiedział agentowi Lawriemu Tatumowi, którego znał jako Łysą Głowę, że przegrał walkę z żołnierzami, pogodził się ze swą ostateczną porażką i jest gotów na pokój. Przyjdzie do rezerwatu, pośle dzieci do szkoły białego człowieka i zostanie rolnikiem, o ile odzyska swoje kobiety i dzieci. Niedźwiedź kłamał. Wszyscy dobrze znali jego poglądy na te sprawy. Uznawał tylko walkę do samej śmierci. Lecz w tej chwili po prostu chciał uwolnienia swych ludzi.

Jego życzenie zostało spełnione. W czerwcu 1873 roku sto szesnaście kobiet i dzieci, a także kilku starców, zostało przyprowadzonych z aresztu w forcie Concho do fortu Sill, gdzie puszczono ich wolno. Ich zwolnienie niczego nie rozwiązało. Szybko rzesze Komanczów, w tym Niedźwiedź i jego Quahada, byli z powrotem w swych starych wioskach i robili to, co zawsze. Tego roku mogli odetchnąć, ponieważ Mackenzie, który chciał poprowadzić decydującą ekspedycję przeciw nim, został wysłany na pogranicze meksykańskie, by powstrzymać najazdy Kikapów i Apaczów, wyruszających z Meksyku grabić osady w Teksasie. Działając pod nieoficjalnymi rozkazami Sheridana, Mackenzie i jego czwarty pułk kawalerii przekroczyli granicę z Meksykiem, zapuścili się osiemdziesiąt mil w głąb kraju, gwałcąc w ten sposób wszelkie możliwe międzynarodowe traktaty, i zniszczyli trzy wioski Kikapów i Apaczów[589]. Jego atak wywołał międzynarodowy skandal, a on sam upierał się cały czas przy kłamstwie, że sam podjął decyzję o akcji. Kiedy jeden z jego ludzi zapytał Mackenziego, co by zrobił, gdyby ów żołnierz odmówił przekroczenia granicy, pułkownik odrzekł: „Kazałbym cię zastrzelić”. Po powrocie w sierpniu dopadł go gwałtowny atak reumatyzmu, który powstrzymał go od walki do stycznia 1874 roku.

Oznaczało to, że problem Komanczów musiał poczekać jeszcze jeden rok.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Łowcy skór i mesjasz

Coś gorszego niż Wódz bez Palców prześladowało Komanczów okrutnej wiosny 1874 roku. Tracili swoją tożsamość. W ciągu całego długiego okresu ich dominacji byli ludem osobnym, absolutnie niezależnym, arogancko przekonanym, że ich pragmatyczna, prosta, spartańska etyka jest najlepszym sposobem życia. W przeciwieństwie do Rzymian, którzy przejmowali od sąsiednich kultur wszystko: od strojów, przez sztukę, pożywienie, po religię, Komanczów cechowała agresywna zaściankowość. Byli najlepszymi jeźdźcami na świecie i niekwestionowanymi panami Równin Południowych. Nie rozwinęli skomplikowanych rytuałów religijnych ani złożonych struktur społecznych. Trzymali się swoich przekonań.

Teraz wszystko się zmieniało, a przebieg tych zmian uderzająco przypominał smutny los Penateków. Zaczęło się od samych grup. Wcześniej stanowiły główne jednostki społeczne ludu i główne źródło jego tożsamości, a teraz zanikały, traciły swe granice, członkowie jednych łączyli się z resztkami innych. Schwytani przez Mackenziego Komancze, choć przebywali w obozie Kotsoteków, wywodzili się z pięciu głównych odłamów – taki poziom wymieszania byłby nie do pomyślenia dziesięć lat wcześniej[590]. Po części miało to bezpośredni związek z ich liczebnością. Ciągnące się milami na brzegach rzek Brazos, Canadian czy Cimarron obozy, zamieszkane przez tysiące ludzi, odrębne dla każdego odłamu, odeszły do przeszłości. Teraz ludzie z różnych grup zbijali się w liczące nie więcej niż kilkaset osób gromady, których tożsamość się zacierała. Usiłowali przetrwać razem w wielkiej pustce równin. Zanikała unikatowość dialektów, zwyczajów i zachowań, które stanowiły o odrębności grup (w istocie zaczęły dominować kultura i dialekt Komanczów Quahada). Koniec grup oznaczał brak zapotrzebowania na wodzów wojennych i pokojowych: liczba osób, których mieliby prowadzić, konsekwentnie malała.

Dochodził do tego nieustanny napór kultury najeźdźców. Dobra materialne białego człowieka zewsząd zalewały Komanczów, tak jak wcześniej wszystkie inne ludy indiańskie. Dotyczyło to nawet Quahada, którzy trzymali się osobno dłużej niż jakakolwiek inna grupa. Kiedyś wystarczały bizony, które zaspokajały wszystkie

potrzeby – dzisiaj ich miejsce zajęły broń, przybory kuchenne, blacha, cukier, kawa, whisky, ubrania i perkal dostarczane przez *taibos*. Indianie używali ich koców. Jedli pożywienie gotowane w mosiężnych kociołkach. W agencji czekali pokornie na swoją porcję zjełczałego mięsa, zepsutego tytoniu i starej mąki[591].

Jednak nie tylko cywilizacja białego człowieka przyczyniała się do rozkładu starego sposobu życia Nermernuh. Zaczęli też przyjmować zwyczaje innych ludów. Można podać wiele przykładów tego kulturowego chaosu, który coraz bardziej wdzierał się w życie Komanczów. Ich tradycyjnym nakryciem głowy była przerażająca, pozbawiona ozdób, czarna wełnista czapa z futra bizona, z gęstym włosiem i wystającymi rogami, budząca grozę wśród pokoleń osadników. Teraz większość z nich zaczęła nosić subtelniejsze pióropusze Szejenów (nowy styl przyjął między innymi Quanah[592]). Pochówek u Komanczów był – jak wiele innych rzeczy w ich kulturze – prostą i praktyczną sprawą. Zwłoki umieszczano w jaskini, szczelinie w ziemi albo głębokiej niecce skalnej, po czym po prostu przykrywano je kamieniami lub gałęziami[593][107]. Teraz Komancze zaczęli budować – wzorem ludów z Równin Północnych – bardziej skomplikowane rusztowania, na których umieszczano zwłoki. Podkradli też Taniec Słońca Kiowom. Od dziesięcioleci obserwowali tę ceremonię, ale specjalnie ich nie interesowała. Teraz nie byli już tak pewni, że jej nie potrzebują.

Oczywiście o ich tożsamości stanowiło przede wszystkim bycie myśliwymi i wojownikami – czyli dokładnie to, co biali chcieli wyrugować z ich życia. Wprawdzie Wielki Ojciec i jego apostołowie nie wypełnili jeszcze w stu procentach tego chwalebnego zadania, ale około tysiąca Komanczów, którzy pobierali żywność i towary w forcie Sill, już straciło swoją tożsamość myśliwych. Nową sytuację mężczyźni postrzegali jako formę niewolnictwa. Jakie opowieści będą przekazywać swym dzieciom i wnukom, jeśli będą mogli się pochwalić tylko siedzeniem w rezerwacie i oczekiwaniem, aż inni dadzą im jeść? Albo, co gorsza, jeśli zostaną rolnikami?

Największe zagrożenie dla ich tożsamości i samej idei koczowniczego myślistwa w Ameryce Północnej pojawiło się na równinach pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku, a byli nim łowcy bizonów. Między 1868 a 1881 rokiem zabili ich trzydzieści jeden milionów, ogałacając równiny z tych wielkich i powolnych zwierząt i niszcząc w ten sposób ostatnią słabą nadzieję na to, że jakikolwiek tubylczy lud konnych wojowników powróci do tradycyjnego życia. Konny Indianin nie istniał bez stada bizonów. Taki Indianin nie miał żadnej tożsamości.

Pierwsza wielka rzeź bizonów dokonana przez białych uzbrojonych w potężne karabiny

nastąpiła w latach 1871–1872. Ograniczone zapotrzebowanie na produkty z bizonów istniało już wcześniej. W 1825 roku kilkaset wyprawionych przez Indian skór trafiło na targi Nowego Orleanu[594]. W latach sześćdziesiątych mięso bizonów dostarczano robotnikom budującym kolej transkontynentalną – wtedy sławę oraz miejsce w narodowej mitologii zdobyli tacy łowcy jak Buffalo Bill Cody. Jednak prawdziwy rynek bizonich skór powstał w 1870 roku, kiedy nowa technika wyprawiania pozwoliła przekształcać je w produkty wysokiej jakości. To, a także doprowadzenie linii kolejowej do Dodge City w Kansas, oznaczało, że skóry można było teraz wysyłać na sprzedaż. Przed myśliwymi otworzyły się fantastyczne perspektywy zbicia majątku na nowym interesie, tym bardziej że zwierzęta te były zaskakująco łatwym celem. Bizon nie uciekał, nawet jeśli stojące obok niego zwierzę padało powalone strzałem: najpierw musiał zobaczyć źródło niebezpieczeństwa. Dzięki temu jeden strzelec z karabinem o dalekim zasięgu mógł, nie ruszając się, uśmiercić całe stado bizonów. Tom Nixon, jeden z łowców, zabił kiedyś sto dwadzieścia bizonów w czterdzieści minut. W 1873 roku uśmiercił 3200 sztuk w trzydzieści pięć dni, bezwzględnie bijąc rekord Cody'ego, który kiedyś chełpił się, że w osiemnaście miesięcy zabił 4280 zwierząt, co w jego czasach wydawało się niesamowitym wyczynem[595]. Za myśliwymi szli cuchnący, spoceni skórownicy, pokryci od stóp do głów krwią i tłuszczem oraz bizonimi pasożytami. Legendarny łowca Brick Bond, który zabijał dwieście pięćdziesiąt sztuk dziennie, zatrudniał piętnastu skórowników[596]. Kryte wozy czekały w Adobe Walls, skąd przewożono wielkie sterty skór do Dodge City. Z wyjątkiem języków, które solono i wysyłano jako przysmak, ciała bizonów zostawiano na równinach, żeby gniły. Zyski, tak jak masowe mordowanie zwierząt, były ohydnie wielkie. Zimą 1871–1872 roku za jedną wyprawioną skórę płacono trzy i pół dolara[597].

W ciągu dwóch lat łowcy, działający głównie na równinach Kansas w okolicach Dodge City, zabili pięć milionów bizonów[598]. Niemal natychmiast stali się ofiarami własnego sukcesu. Wiosną 1874 roku stada na środkowych równinach były zdziesiątkowane. Polowania przynosiły zdecydowanie mniejsze zyski. Pewien zwiadowca podróżujący z Dodge City na Terytorium Indiańskie tak to opisał: „W 1872 roku bizony widzieliśmy wszędzie. Następnej jesieni, gdy jechaliśmy przez tę samą okolicę, widzieliśmy całą ziemię pokrytą zbielałymi i bielejącymi kośćmi"[599]. W poszukiwaniu zwierzyny myśliwi musieli zatem przenieść się dalej od stacji kolejowych[600].

Udali się więc na południe, na równiny Teksasu, po których nadal wędrowały zakrywające horyzont stada, pojawiające się – jak ujął to historyk Francis Parkman

w 1846 roku – „niczym czarny cień chmury, przesuwający się błyskawicznie przez falującą odległą prerię”[601]. Problem polegał na tym, że Texas Panhandle leżało sto pięćdziesiąt mil od Dodge City, jedynego miejsca, z którego można było wysyłać skóry. Aby temu zaradzić i urządzić miejsce, w którym myśliwi mogliby sprzedawać swe łupy, w marcu 1874 roku zbudowano faktorię niedaleko rzeki Canadian, zaledwie milę od ruin Adobe Walls, gdzie dekadę wcześniej Kit Carson walczył z Komanczami. Nowe miejsce nosiło tę samą nazwę i obejmowało dwa magazyny, knajpę i zakład kowalski. Z wyjątkiem zakładu kowalskiego, który zbudowano z drewnianych pali, budynki miały drewniane konstrukcje, ale ściany i dachy z darni. Szybko miało się okazać, że te konkretne materiały budowlane są bardzo ważne. W czerwcu odbywał się tu już handel na wielką skalę. Łowcy przynosili dziesiątki tysięcy skór, które wymieniali na broń, amunicję, mąkę, bekon, kawę, puszki z pomidorami, zupy, suszone jabłka i syropy owocowe, a także rozmaite inne produkty, jak trucizna na wilki czy smar do osi kół[602]. Sumy pieniędzy przechodziły wszelkie oczekiwania największych chciwców; odradzały się fortuny Dodge City, a rzeź trwała w najlepsze, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że skończy się wytępieniem bizonów w ciągu kilku lat.

Łowcy skór stanowili podły gatunek ludzi. Byli brutalni, pili, nie umieli czytać i pisać – zapuszczeni mężczyźni, którzy nosili długie włosy i nigdy się nie kąpali. Skórownicy śmierdzieli tak, że nie sposób sobie tego wyobrazić. Ci ludzie równin nienawidzili Indian, i to nie z powodu brązowego koloru indiańskiej skóry. Byli przekonani, że Komancze i Kiowowie najeżdżają innych i prowadzą wojny nie dlatego, że to ich tradycyjny sposób życia, ale po to, by wydrzeć pieniądze i ziemię rządowi. Uważali, że pieniądze wypłacane przez rząd Indianom to okup. W 1874 roku jeden z myśliwych, Emmanuel Dubbs, powiedział o Indianach: „Są leniwą, brudną, poślednią, zdradziecką rasą. Nie wiedzą, czym jest prawdziwe męstwo, a swoje kobiety traktują jak najnędzniejsze niewolnice”[603]. Kiedy łowcy skór nie zajmowali się usuwaniem bezbronnych bizonów z powierzchni ziemi, zbierali się w *hell-towns*, „piekielnych miastach” Zachodu, które powstawały, aby zaspokajać ich prymitywne żądze. Na przykład w pobliżu fortu Griffin, placówki czwartego pułku kawalerii, wyrosło błyskawicznie miasteczko zwane *The Flat* („Płaskie”). Stały w nim marne budy z niepomalowanego drewna, wiezionego tu kilkaset mil. Były w nim obskurne hotele, sale taneczne, saloony, prostytutki, hazardziści i szulerzy. W jednej z knajp rządziła rudowłosa królowa pokera, niejaka Lottie Deno. Opłacała rewolwerowców, którzy gotowi byli zastrzelić każdego, komu nie podobały się jej zasady[604].

Co dziwne, niewielu protestowało przeciw wyrzynaniu bizonów – zjawisku, które nie miało precedensu w historii ludzkości. Większość ludzi nie interesowała się

konsekwencjami. Po prostu kapitalizm wykonywał swoją robotę: eksploatował kolejne naturalne zasoby. Było też inne, lepsze wyjaśnienie braku sprzeciwu, co najlepiej wyłożył generał Phil Sheridan, ówczesny głównodowodzący wojskowego Wydziału Missouri[108]: „Ludzie ci [łowcy skór] uczynili przez ostatnie dwa lata […] więcej dla rozwiązania irytującego problemu Indian niż cała zawodowa armia w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Niszczą źródło pożywienia Indian. […] Niech je zabijają, oskórowują i sprzedają, aż wszystkie bizony zostaną wytępione – w ten sposób zapewnimy trwały pokój. Wtedy będziecie mogli pokryć prerie waszymi łaciatymi krowami i odstawionymi kowbojami”[109]. Eliminowanie indiańskiego źródła pożywienia było nie tylko działaniem komercjalnym, ale także świadomym aktem politycznym.

*

Dla Komanczów zima 1873–1874 była ciężka; wielu z nich bezustannie przechodziło z ziem agencji do obozów dzikich Komanczów w zachodnim Teksasie i z powrotem. Ci, którzy nie ruszyli się z rezerwatu, zostali okrutnie oszukani. Prawie w ogóle nie było tam zwierzyny i ani jednego bizona. Tak jak poprzednio musieli się żywić racjami dostarczanymi przez białego człowieka. Tak jak poprzednio duża część tego obiecanego pożywienia zwyczajnie do nich nie dotarła, a to, co dostali, często było skandalicznie podłej jakości. W obliczu głodu Komancze byli zmuszeni zabijać własne konie i muły, żeby mieć co jeść[605].

Indianie z rezerwatu padli ofiarą nowego zjawiska: zorganizowanych gangów białych złodziei koni, często przebierających się za Indian, które bezkarnie ogałacały stada Komanczów i Kiowów. Złodzieje gnali zwierzęta do Kansas i tam je sprzedawali. Nikt ich nie ścigał, nikt ich nie karał[606]. Oszukiwanie Indian zawsze się opłacało. Jednocześnie biali wędrowni handlarze whisky swobodnie przenikali na teren rezerwatu, nielegalnie sprzedając rozcieńczony zajzajer w zamian za bizonie futra. Było to równoznaczne z rabunkiem: produkcja alkoholu kosztowała niewiele, a jedynym sposobem, w jaki Indianie mogli zdobyć pieniądze, była sprzedaż futer. Whisky stawała się poważnym problemem. Wielu Indian szybko się od niej uzależniło, co z kolei powodowało, że byli gotowi przehandlować wszystko, byleby tylko ją zdobyć.

Dla tych Komanczów, którzy wciąż najeżdżali pogranicze, zima 1873–1874 roku była jeszcze gorsza. Mackenzie bez przerwy utrzymywał patrole w terenie i coraz bardziej dawały się one we znaki małym grupom łupieżców. W grudniu dwudziestu jeden Komanczów i dziewięciu Kiowów pojechało przez Teksas na południe i wjechało do Meksyku, przekraczając Rio Grande. Był to dobry, staroświecki najazd,

od którego robiło się ciepło na sercu. Zabijali, brali jeńców, kradli konie, sami nie ponieśli żadnych strat. Szczęście ich opuściło, dopiero gdy ruszyli w drogę powrotną ze stu pięćdziesięcioma końmi. Nad Kickapoo Springs (w pobliżu dzisiejszego San Angelo) drogę zastąpił im porucznik Charles Hudson i czterdziestu jeden żołnierzy z czwartego pułku kawalerii Mackenziego. Wywiązała się zażarta, dziesięciominutowa walka, w której zginęło dziewięciu Komanczów, a wśród żołnierzy tylko jeden został ranny. Komancze stracili też siedemdziesiąt koni. Kilka tygodni później patrol dziesiątego pułku kawalerii porucznika George'a Buella starł się z wojownikami Komanczów nad Double Mountain Fork, dopływie Brazos: zabito jedenastu Indian. Dwa tygodnie później kolejna wyprawa łupieżcza została zaatakowana i zginęło kolejnych dziesięciu Indian[607].

Chociaż liczby te mogą wydawać się małe, to jednak w ostatnich, dramatycznych latach istnienia Komanczerii oznaczały katastrofalne straty. Nermernuh przyjęli wieści z ciężkim sercem, tak samo Kiowowie. Samotny Wilk, wódz Kiowów, w walce z Hudsonem stracił syna i bratanka. Z rozpaczy ściął włosy, zabił swoje konie, spalił wóz, tipi, bizonie skóry i przysiągł zemstę[608]. Być może ucieszyłby się na wieść o tym, że porucznik Hudson także zmarł tej zimy, zabity przypadkiem przez współlokatora, który czyścił broń. Reakcja Quanaha, który również stracił krewnego podczas starcia z oddziałem Buella, była znacznie ostrzejsza i miała wpłynąć na los wszystkich Indian z Wielkich Równin.

Wszystko to były okropne wieści dla Komanczów. Z powodu utraty bliskich – i być może utraty swego świata – pogrążyli się w wielkiej żałobie. I wtedy, kiedy się wydawało, że gorzej już być nie może, łowcy bizonów przybyli do Adobe Walls i dziarsko zaczęli zmieniać Panhandle w cuchnące cmentarzysko. Był to przerażający czas i nie ma podstaw, by sądzić, że ostatni Komancze, władcy Wysokich Równin, nie rozumieli swej historycznej sytuacji. Pozostali prawie sami. Większość Arapahów Południowych dała za wygraną i się rozpierzchła. Szejeni Południowi, pozbawieni przywódców, nie wiedzieli, co robić. Kiowami targały polityczne spory między gotowymi do poddania się a zwolennikami walki do końca. Nikogo więcej na Równinach Południowych nie było. Tylko parę tysięcy Komanczów, którzy obserwowali umieranie swego świata, a wraz z tym tracili własną tożsamość.

W tym momencie, gdy gasła wszelka nadzieja, lud Komanczów wydał proroka. Był bardzo młody, ale miał wielką, niezwykłą wizję. Miał odpowiedź na wszystkie ich żarliwe modły.

*

Nazywali go Eschiti (Isa-tai), jednym z tych komanckich imion, którego tłumaczenie wrażliwym białym nie przychodziło łatwo. Czasami tłumaczy się je jako „zadek wilka", co jest zabawne, lecz nietrafne. W innych źródłach znajdujemy takie przekłady: „odchody kojota", „odbyt kojota" i „gówno wilka". Ale nawet te wersje były eufemizmami, podobnie jak w przypadku Garbu Bizona. Najtrafniejszym tłumaczeniem byłoby „srom wilka" albo „pochwa kojota" – żadna z tych wersji nie mogła się ukazać w druku nawet jeszcze na początku XX wieku[609].

Był szamanem, czarownikiem i zapewne oszustem, choć nie ma wątpliwości, że wierzył przynajmniej w część tego, co głosił. Należał do Quahada, miał prawdopodobnie dwadzieścia trzy lata, był przysadzistym mężczyzną o wielkiej głowie, byczym karku, szerokiej twarzy i łagodnym obliczu. Zimą i wiosną 1873–1874 roku zdobył uznanie jako posiadacz niezwykłej *puha*, której Komancze nie znali wcześniej. Twierdził, że kontroluje cudowne uzdrawiające moce i potrafi przywracać zmarłych do życia[610]. Chociaż nie sprawdził się jeszcze w bitwie, utrzymywał, że kule białych nie robią mu krzywdy i że potrafi przygotować leki ochronne, które zabezpieczą także innych, nawet jeśli staną bezpośrednio przed lufami karabinów białych[611]. Robiło to wrażenie, ale nie było niczym nowym. Inni szamani nieraz twierdzili, że mają taką samą moc. Jednak tego roku Eschiti w obecności świadków wyjął ze swego żołądka cały wóz nabojów, potem beknął i znowu go połknął. Przy czterech różnych okazjach – zawsze w obecności świadków – wznosił się do nieba, daleko poza słońce, do domu Wielkiego Ducha, gdzie zostawał na noc i skąd wracał następnego dnia. Najbardziej zdumiewające ze wszystkiego było sprawdzenie się przepowiedni, że świecąca kometa, która pojawiła się na niebie, zniknie po pięciu dniach[612]. Jego sława rozniosła się po równinach. Ludzie mówili, że włada żywiołami i może na swoich wrogów zsyłać grad, grzmoty i błyskawice.

W jaki sposób przekonał ludzi, że może robić te rzeczy? Częściowo odpowiedzią mogą być jego zdolności jako sztukmistrza. Według jednej relacji potrafił tak trzymać strzały, że wyglądało, jakby przyleciały mu do ręki z przestworzy[613]. Brzmi to jak iluzja manipulacyjna – dzisiaj podstawowa umiejętność każdego szanującego się magika. Thomas Battey, kwakier i nauczyciel, który pracował wtedy w rezerwacie Kiowów, uważał, że Eschiti stosował szczególną technikę, by wytworzyć iluzję wznoszenia się ku chmurom. Battey pisał, że Eschiti zbiera ludzi w świętym miejscu i „każe im patrzyć w słońce, podczas gdy on do nich przemawia, a potem mają pozwolić, aby ich oczy powoli opadły na miejsce, w którym on stoi. Robiąc to, zobaczą ciemne postaci, które zstępują, by go wziąć, po czym on unosi się razem z nimi"[614]. Później Eschiti wymykał się niepostrzeżenie i pozostawał w ukryciu do swego „powrotu".

Ale Eschiti robił nie tylko sztuczki magiczne. Miał wizję nowego porządku na równinach. W trakcie pobytu w chmurach otrzymał od Wielkiego Ducha moc poprowadzenia ostatecznej wojny z białymi ludźmi – wojny, która nie tylko przyniesie śmierć wielu *taibos*, ale też przywróci narodowi Komanczów dawną świetność. To właśnie oferował teraz Komanczom. Wiosną wędrował od jednej grupy do drugiej, głosząc, że jeśli się oczyszczą i przestaną kroczyć ścieżką białego człowieka, to szybko nadejdzie ocalenie.

Potem rozszerzył swoje nauki na Szejenów, Kiowów i Arapahów. Często w podróżach do obozów tych Indian towarzyszył mu charyzmatyczny młody wojownik Quanah, który miał duże doświadczenie wojenne, a jego sława jako wodza wojennego rozprzestrzeniała się po równinach[615]. Stanowili zgrany zespół. Eschiti zajmował się magią, Quanah zaś był twardzielem, wysokim, zaprawionym w bojach wojownikiem o potężnych muskułach i zdumiewająco bezpośrednim spojrzeniu – kogoś takiego nie chciałoby się zawieść. Ich argumentacja opierała się na jednej z najstarszych komanckich tradycji wojennych: najeździe powodowanym zemstą. Eschiti stracił wuja w walce z porucznikiem Hudsonem, więc obaj od stycznia byli w żałobie. Teraz, kiedy nadeszła wiosna, byli gotowi do zemsty. Quanah, odkąd *taibos* zabili jego ojca oraz uprowadzili matkę i siostrę, zawsze palił się do odwetu. Teraz *puha* Eschitiego dawała mu szansę na dokonanie okrutnej zemsty. Działając wspólnie przez kilka miesięcy, zdołali wzbudzić w całym narodzie komanckim gorączkę nadziei i oczekiwania.

Quanah tak później opowiadał, jak wyglądał jego udział w agitacji: „W owym czasie ja wielki mężczyzna, przystojny młody mężczyzna i umiałem całkiem dobrze walczyć. Pracuję jeden miesiąc. Idę do obozu Komanczów Nokoni nad źródłami Cache Creek, wzywam wszystkich. Mówię [im] o moim przyjacielu, którego zabili w Teksasie. Nabijam fajkę. Mówię do tego mężczyzny: »Czy chcesz zapalić?«. Bierze fajkę i pali. Daję ją następnemu mężczyźnie. Mówi: »Nie chcę palić«. Jeśliby zapalił, poszedłby na ścieżkę wojenną. Nie oddaje. Bóg go zabije, boi się”[616][110]. Z tego ostatniego zdania jasno wynika, że nie były to łagodne namowy. Quanah apelował do odwagi, patriotyzmu i męstwa wojowników.

W maju Eschiti uczynił coś, czego nigdy nie zrobił żaden przywódca Komanczów: wyprawił posłańców do wszystkich grup Komanczów w rezerwatach i poza nimi, wzywając do przybycia na Taniec Słońca. Było to niezwykłe posunięcie z trzech względów. Po pierwsze, nigdy nie odbyło się choćby jedno zgromadzenie, w którym uczestniczyliby wszyscy Komancze. Nigdy nie wydarzyło się nic, co choćby w niewielkim stopniu takie spotkanie przypominało – przynajmniej odkąd lud ten powędrował na południe z krainy nad Wind River w Wyomingu. Po drugie, nie istniał

nigdy jeden przywódca, *paraibo*, na tyle potężny, by móc zwołać cały lud. I po trzecie, Taniec Słońca nigdy nie był tradycją Komanczów. Obserwowali oni ceremonie Kiowów, ale niewiele wiedzieli – albo zgoła nic – na temat tego, czym Taniec Słońca naprawdę jest i jak się go odprawia.

Mimo to praktycznie wszyscy Komancze zgodzili się przyjść, nawet osiedli Penatekowie. Plan był taki, by zjednoczyć się dzięki potężnej nowej magicznej mocy i wygnać białych na zawsze z równin. Zamiar ten nie różnił się od wielkiej wyprawy Garbu Bizona, zainspirowanej jego wizją białych wpadających do morza i zakończonej najazdem na Linnville i bitwą nad Plum Creek w 1840 roku. Taniec Słońca miał więc dać główny impuls do drugiego wielkiego najazdu odwetowego Komanczów przeciw białym.

Grupy Komanczów zebrały się w maju nad Rzeką Czerwoną, blisko zachodniej granicy rezerwatu (w pobliżu dzisiejszej Texoli, gdzie autostrada I-40 przecina granicę między Teksasem a Oklahomą). Choć Komancze modlili się do słońca i pierwszy kłąb świętego dymu wydmuchiwali w jego kierunku, byli prawdziwymi animistami: moc i magia nie były skupione w jednym czy dwóch miejscach czy bytach (na przykład w Wielkim Duchu), lecz były rozproszone w całym wszechświecie. Moc mogła przebywać w takim samym stopniu w wilkach, drzewach lub stromych skałach co w słońcu. Lecz Komancze byli niezwykle praktycznymi ludźmi, z radością próbowali nowych rzeczy, o ile działały, a Eschiti miał dar przekonywania. Obywali się więc bez zwyczajów i instytucji uważanych za niezbędne przez inne ludy, jak stowarzyszenia wojowników, lalki-fetysze, wyspecjalizowani kapłani, święte zawiniątka (*medicine bundles*), rytuał przekłuwania skóry na piersi wojownika, przeciągania rzemieni przez powstałe nacięcia i zwisania na palu[617]. Zbudowali szałas leczniczy (*medicine lodge*) z tyczek i gałęzi, zaaranżowali sceny walk i polowań na bizony. Odtańczyli uproszczony, praktyczny Taniec Słońca i oddali się biesiadowaniu, z dużą ilością whisky i jedzenia, a także całonocnego bębnienia. Upajali się nawrotem wiary w potęgę Komanczów.

Na koniec być może połowa z nich zgodziła się pójść za Quanahem i Eschitim. Nie znamy dokładnej liczby. Penatekowie, którzy w tym czasie byli już w znacznym stopniu ujarzmieni, a nawet próbowali swoich sił w uprawie roli, udali się do rezerwatu. To, co usłyszeli, napawało ich strachem. Większość Nokonów także odeszła, na czele ze swym wodzem Grzbietem Konia; podążyło za nimi wielu Yampariков. Zrobili to ze strachu. Ludzie Quanaha powiedzieli, że zabiją ich konie i zmuszą do poruszania się pieszo, jeśli do nich nie dołączą[618]. Niektórym uciekinierom grożono nawet siłą. Wódz Yampariков Quirts Quip (Pokarm Jelenia) opowiedział potem agentowi J. M.

Haworthowi, że nocą Komancze zostali wprawieni w stan podniecenia za pomocą whisky, bębnienia, tańca i nawoływania do wojny tylko po to, żeby rankiem obudzić się z poczuciem zmieszania i niezdecydowania, a zapewne także z kacem. „Mają wiele serc – powiedział Haworthowi. – Jednej nocy decydują się na coś, a rano wstają z zupełnie nowymi myślami”[619]. Podczas narad wojennych Quanah i Eschiti namawiali do najazdu odwetowego w Teksasie, którego pierwszym celem byliby zdradliwi Tonkawowie, a następnym – osady białych. Ale starsi uważali inaczej i ich zdanie przeważyło. Tak o tym mówił później Quanah:

> Powiedzieli: „Jesteś dobrym wojownikiem, Quanah, ale nie wiesz wszystkiego. Uważamy, że najpierw powinieneś zanieść fajkę przeciw białym łowcom bizonów. Zabijesz białych ludzi i wtedy twoje serce się uraduje. Potem tu wrócisz i zabierzesz wszystkich młodych ludzi na ścieżkę wojenną do Teksasu”. Eschiti daje wielką przemowę wtedy. [Powiedział]: „Bóg mówi mi, że zabijemy wielu białych. Zatrzymam kule w ich karabinach. Kule nie przebiją koszul. Zabijemy ich tak jak stare kobiety”[620].

Pierwszym celem mieli być zatem łowcy bizonów w Adobe Walls. Potem cały gniew Komanczów miał spaść na znienawidzonych Teksańczyków i ich sojuszników, zdradzieckich Tonkawów. Quanah i Eschiti ze swym potężnym przesłaniem ruszyli do obozów Kiowów, Szejenów i Arapahów, aby zgromadzić wojowników do ataku na łowców skór. Wśród Kiowów niewiele osiągnęli – jeden z nich mówił, że starsi „bali się tej fajki”[621]. Tylko kilku zgodziło się pójść z nimi. Lepszy odzew był ze strony Szejenów – wielu z nich paliło się do wyprawy, zachęconych magią ochronną Eschitiego. Arapahom pomysł przypadł do gustu, ale się wykręcali: Proch na Twarzy, ich główny wódz, już zdecydowanie kroczył ścieżką białego człowieka. Zaledwie dwudziestu dwóch Arapahów zdecydowało się przyłączyć do wyprawy, a wiódł ich młody i ambitny Żółty Koń. Oddział dwustu pięćdziesięciu wojowników składał się więc głównie z Komanczów i Szejenów. Co do trzech rzeczy panowała zgoda: zaatakowany zostanie obóz łowców bizonów czterdzieści mil na zachód, atakujących będzie chroniła magia Eschitiego, a atak poprowadzi młody Quanah, który swą żarliwą pasją i zdecydowaniem wywarł wrażenie na wszystkich.

Najazd na placówkę handlową powinien był skończyć się szybko przeprowadzoną rzezią. Noc była ciepła i parna, a większość mieszkańców – dwudziestu ośmiu mężczyzn i jedna kobieta – spała na zewnątrz, rozłożona między dwoma sklepami a saloonem. Nie było tam hotelu ani pokojów do wynajęcia. Ci, którzy spali pod dachem, zostawili drzwi szeroko otwarte. Eschiti wiedział o tym od zwiadowców, których wysłał, i pewny siebie przyrzekł swym ludziom, że spadną na *taibos* i zatłuką ich na śmierć w czasie snu. To był dobry plan, przynajmniej teoretycznie. Wczesnym

rankiem 26 maja 1874 roku Indianie pod wodzą Quanaha zebrali się na wysokiej skale nad rzeką Canadian. Czekali. Wśród nich był mesjasz, Eschiti, zupełnie nagi, z wyjątkiem nakrycia głowy z łodyg szałwii, cały pomalowany na żółto, podobnie jak jego koń. Kolor żółty oznaczał niezniszczalność. Większość wojowników również była pomalowana na żółto, a także na inne kolory. Wszyscy wierzyli – w przeciwnym razie by ich tam nie było – że Eschiti posiada prawdziwą *puha* i że kule białych nie zrobią im krzywdy. Przecież człowiek, który potrafi wznosić się do nieba lub wypluwać cały wóz nabojów, nie powinien mieć problemu z małą grupą znienawidzonych łowców bizonów. Zgromadzeni Komancze, Szejeni, Kiowowie i Arapahowie wierzyli, że nadeszła właśnie chwila przeznaczenia i że ich ocalenie jest blisko.

Jednak masakra śpiących *taibos* nigdy nie nastąpiła. Dlaczego? Otóż właściciel saloonu James Hanrahan, który przybył z Pensylwanii przez Dodge City, wypalił ze swojego karabinu w połowie nocy, budząc łowców, garbarzy, handlarzy i poganiaczy. Powiedział im, a oni najwyraźniej mu uwierzyli, że wielki hałas, który słyszeli, to był trzask pękającej belki kalenicowej – głównej belki podtrzymującej dach z darni w saloonie. Gdyby się zapadła, śpiący pod nią ludzie zginęliby, odnieśli obrażenia albo w najlepszym wypadku byłoby im bardzo niewygodnie. W pełni obudzeni, zakasali rękawy i przez resztę nocy wymieniali belkę.

W rzeczywistości belka miała się dobrze. Hanrahan wymyślił historię o zapadającym się dachu, ponieważ kilka dni wcześniej został poinformowany o planowanym ataku Indian, a nie chcąc psuć swych interesów, nikomu nie pisnął słowa. Kiedy ludzie skończyli pracę, Hanrahan nic nie powiedział innym o ataku, ale też nie chciał, by poszli spać, więc stawiał im darmowe kolejki. O czwartej rano. Dzięki temu wielu z nich wcale nie spało, kiedy tuż przed świtem 27 czerwca wojownicy zjechali ze skały na obóz.

Indianie pędzili z furią przez dolinę. Quanah wspominał później, że konie galopowały, wyrzucając kopytami pył wysoko w powietrze, i że niektóre z nich potykały się o nory piesków preriowych, przewracając się w półmroku wraz z jeźdźcami w pióropuszach[622]. Dojechawszy do osady, wojownicy otoczyli budynki i zaczęli strzelać ze swych karabinków w drzwi i okna. Łowcy zabarykadowali się wewnątrz najlepiej jak mogli, układając jeden na drugim worki ziarna. Za grubymi na dwie stopy ścianami z darni czuli się całkiem pewnie. Darń nie mogła się zapalić – w przeciwnym razie Indianie odnieśliby łatwe zwycięstwo. Atakujący przylgnęli do ścian. Quanah bezskutecznie próbował swoim koniem sforsować drzwi jednego z budynków. Potem wspiął się na dach, by z góry strzelać do znajdujących się w środku białych. W którymś momencie, cały czas siedząc na koniu, podniósł z ziemi rannego

towarzysza, a ten pokaz siły zrobił na wrogach wrażenie. Na początku walki obie strony używały sześciostrzałowców. Dla białych w środku wściekłość, z jaką natarli Indianie, była przerażająca. Budynki wypełniły się dymem; ludzie krzyczeli; powietrze co chwila przecinały świszczące kule. Billy Dixon wspominał: „Kule padały jak grad i musieliśmy przyciskać się do ścian z darni jak goffery[111], kiedy nadlatuje sowa”[623].

A oto wersja Quanaha, przepuszczona przez pamięć jego przyjaciela J. A. Dicksona:

> Natychmiast okrążyliśmy to miejsce i zaczęliśmy strzelać. Łowcy wpadli do domów i strzelali przez szczeliny i otwory w ścianach. Walka trwała około dwóch godzin. Kilka razy próbowaliśmy wziąć to miejsce szturmem, ale łowcy strzelali tak dobrze, że musieliśmy się wycofać. W którymś momencie skrzyknąłem pięciu wojowników i poczołgaliśmy się małym żlebem do korralu, który znajdował się zaledwie kilka jardów od budynku. Wtedy zaryzykowaliśmy i puściliśmy się pędem do domu, zanim zdążyli zacząć do nas strzelać, i próbowaliśmy wyłamać drzwi, ale były zbyt mocne. Baliśmy się zostać tam dłużej, więc wróciliśmy tą samą drogą[624].

Na początku walki zginęło trzech białych, ale inni zdołali dać Indianom odpór[625]. Ogień osłaniający z saloonu chronił ludzi, którzy znajdowali się w dwóch sklepach, a w chwili ataku w większości spali. Biali zauważyli, że przez porobione w darni dziury można przełożyć lufy karabinów – w ten sposób zdołali odrzucić Indian przycupniętych po drugiej stronie ściany. Co więcej, łowcy skór byli niezwykle twardym gatunkiem, nawet jak na standardy panujące na równinach. Oprócz łowców, skórowników i woźniców byli tam: Billy Dixon, słynny łowca bizonów, który jeszcze w tym samym roku miał zdobyć Kongresowy Medal Honoru za walkę z Indianami; William Barclay „Bat” Masterson, szuler i rewolwerowiec, który później został legendarnym szeryfem Dodge City; „Dutch Henry” Born, później najstraszliwszy z zawodowych koniokradów na Wielkich Równinach, i James „Bermuda” Carlyle, który stracił życie w White Oaks, w Nowym Meksyku, podczas pościgu za Billym the Kidem i jego gangiem[626].

Atak Indian został odparty. Napastnicy zrozumieli, że choć wielu z nich posiadało powtarzalne karabiny dźwigniowe, znowu przeciwnik miał nad nimi ogromną przewagę siły ognia. Chodziło nie tylko o to, że wewnątrz budynków, osłonięci grubymi ścianami z błota i trawy, znajdowali się zahartowani i zdeterminowani mężczyźni, których rzemiosłem była przemoc. Biali dysponowali także olbrzymim arsenałem amunicji i broni, przede wszystkim nowiutkimi karabinami Sharpsa, nazywanymi „wielkimi pięćdziesiątkami” (*Big Fifties*). Były to karabiny o zdumiewającej sile rażenia, zasięgu i celności, dzięki którym masowa rzeź bizonów była w ogóle możliwa. Handlarze mieli pełne skrzynie nowiutkich sharpsów, a do tego co najmniej jedenaście tysięcy nabojów. „Wielkie pięćdziesiątki” były

jednostrzałowcami z ośmiokątną lufą o przekroju trzydziestu czterech cali, do której pasowały kule .50, czyli wielkiego kalibru, i o wadze sześciuset granów, do których wystrzelenia potrzeba było sto dwadzieścia pięć granów czarnego prochu. Miały taką moc, że można było powalić nimi ważącego dwa tysiące funtów bizona z odległości tysiąca jardów. W rękach łowców bizonów stanowiły śmiertelne zagrożenie dla koni i ludzi. Zasięg ich karabinów był o wiele większy niż karabinków, których używali Indianie.

O dziesiątej Indianie wycofali się pod ostrzałem grzmiących karabinów białych. Gdy Quanah wycofywał się po heroicznej walce na małym dystansie, jego koń został trafiony z odległości pięciuset jardów[627]. Quanah skrył się za truchłem bizona i tam trafiła go następna kula: odbiła się od rogu na proch, który miał zawieszony na szyi, i ugrzęzła między łopatką a szyją. Rana nie była poważna. Zdumieni zasięgiem i celnością karabinów białych Indianie wycofali się jeszcze dalej, ale okazało się, że wciąż niewystarczająco daleko. Jedna grupa zebrała się mniej więcej trzy czwarte mili od faktorii, żeby obmyślić strategię. Łowcom nie robiło to różnicy: trafiali jednego po drugim. Komancz o imieniu Cohayyah, który był w tej grupce, wspominał, że stał z przyjaciółmi i zastanawiali się, jak pozbierać ciała zabitych, kiedy „nagle i bez ostrzeżenia jeden z wojowników spadł martwy z konia". W jego czole znaleźli dziurę po kuli. Wiatr zmienił kierunek, a Indianie nawet nie usłyszeli odgłosu wystrzału[628].

Eschiti, nagi i pokryty jasną ochrą, siedział na koniu w oddali i obserwował klęskę swych czarów. Nic z tego, co przepowiadał, się nie sprawdziło. Mężczyźni, którzy mieli być wymordowani we śnie, strzelali do Indian jak do kaczek. Szejeni byli wściekli. Jeden z nich uderzył Eschitiego pejczem w twarz; inny, ojciec młodego wojownika, który został zabity, chciał wiedzieć, dlaczego mesjasz, rzekomo odporny na kule, nie udał się, by zabrać zwłoki jego syna. Jakby dla podkreślenia bezsilności Eschitiego, człowiek siedzący obok niego na koniu został trafiony śmiertelną kulą, a następna zabiła konia pod szamanem. Jego magia zawiodła, ale magia „wielkich pięćdziesiątek" działała bez zarzutu[629]. Zabicie ludzi z odległości trzech czwartych mili było – według wszelkich znanych standardów – cudem. Eschiti tłumaczył, że jego magia została osłabiona przez to, że w dniu poprzedzającym bitwę Szejeni zabili i obdarli ze skóry skunksa. Wojownicy raczej mu nie uwierzyli.

Indianie byli zdruzgotani. Nie tylko z powodu ofiar – piętnastu zabitych tego dnia i o wiele więcej rannych – ale przede wszystkim z powodu szokującej nieskuteczności leków Eschitiego. To był pierwszy wielki demoralizujący cios. Drugim była rana Quanaha, którego ocalili współtowarzysze i wynieśli poza zasięg karabinów białych. Jak już wspomnieliśmy, zabicie czy ranienie wodza niemal zawsze było sygnałem do

odwrotu. O czwartej po południu Indianie dali za wygraną. Biali wyszli z budynków i pozbierali z pola bitwy różne przedmioty jako ozdoby i na pamiątkę. Choć Indianie pozostali w okolicy kilka kolejnych dni, od czasu do czasu strzelając w stronę ścian z darni, nie ponowili już ataku. Było po bitwie. Trzeciego dnia Billy Dixon oddał najsłynniejszy pojedynczy strzał w historii Zachodu. Na skraju skały ukazała się grupa około piętnastu Indian, dystans wynosił prawdopodobnie tysiąc pięćset jardów, czyli prawie milę. Jak wspominał Dixon: „Chłopaki zasugerowały, żebym wypróbował na nich wielką pięćdziesiątkę. […] Starannie wycelowałem i nacisnąłem spust. Ujrzeliśmy, jak Indianin spada z konia”[630]. Był on ostatnią ofiarą tego starcia, które zasłynęło w historii pogranicza jako druga bitwa w Adobe Walls. W tej walce grupka nieustraszonych białych powstrzymała hałaśliwą hordę Indian – ich liczbę szacowano różnie: od siedmiuset do tysiąca wojowników, ale bliższa prawdy jest liczba dwustu pięćdziesięciu. Zaskoczeni i przerażeni Indianie uciekli.

Reszta była rozczarowaniem. Biali, wzmocnieni przybyciem ponad siedemdziesięciu łowców, którzy teraz bali się pozostawać samotnie na równinach, uznali, że mogą bezpiecznie kontynuować swój proceder. Po pochowaniu czterech zabitych towarzyszy (jeden zginął przypadkiem) i oskalpowanego psa, nowofundlandczyka, który zginął razem z poganiaczami, obcięli głowy zabitym Indianom i nabili je na pale, które ustawili za osadą. Trzynaście pozbawionych głów ciał ułożyli na skórach bizonów i odciągnęli je razem z martwymi końmi (Indianie zabili je wszystkie), które zaczynały cuchnąć.

Indianie zaś odeszli, wściekli i bezradni. Kolejny raz złe leki ochronne okazały się ich śmiertelną słabością. Nie mogli nic zrobić. Odwróćmy jednak role, by zobaczyć, co mogło się wydarzyć. Biali okrążyliby budynki i nacierali bez przerwy. Przyszliby nocą i rozwalili ściany. Pogodziliby się ze znacznie większymi stratami niż Indianie, żeby osiągnąć swój cel. Indianie nigdy nie rozumieli idei zdobywania i utrzymywania skrawka ziemi czy budynku albo ich oblegania, okupionego wielkimi stratami. Gdyby te metody nie przyniosły skutku, biali po prostu zagłodziliby Indian, czekając cierpliwie, aż spragnieni wyjdą z budynków i będą musieli wybierać między śmiercią a walką.

Chociaż łowcy uciekli armii Quanaha ze swymi skórami, reszta pogranicza nie miała tyle szczęścia. Po niepowodzeniu w Adobe Walls rozjuszeni wojownicy podzielili się na małe grupy i uderzyli na ślepo w różnych kierunkach na osady białych od Kolorado po Teksas[631]. Kiowowie Samotnego Wilka przekroczyli granicę z Teksasem. Szejeni i Komancze pod wodzą Quanaha najpierw uderzyli na wschodzie, gdzie uprowadzili stado koni łowców bizonów i zlikwidowali karawanę wozów na Terytorium

Indiańskim, a potem zaatakowali osady w Teksasie. Niewiele wiadomo na temat tych rajdów. Niektórzy twierdzili, że Quanah poszedł na północ aż do południowego Kolorado. On sam później zdradził tylko tyle, że po Adobe Walls zabrał wszystkich „na wojenną ścieżkę w Teksasie”[632]. Do ataków dochodziło nawet daleko na północy, w Medicine Lodge w Kansas. Całe pogranicze zostało postawione na nogi[633]. Indianie napadali na dyliżanse, palili stacje. Torturowali i zabijali całe grupy łowców skór. Mężczyzn rozciągali na ziemi, zwykle nagich, przywiązywali im ręce i nogi do wbitych w ziemię pali, żeby się nie mogli ruszać, i tak zostawiali na powolną śmierć w męczarniach; kobiety były gwałcone i mordowane w okrutny sposób. Powstanie indiańskie, które tego lata utopiło we krwi Równiny Południowe, przyniosło śmierć około stu dziewięćdziesięciu białych, a jeszcze więcej zostało rannych. Skutki były natychmiastowe. Skończyły się masakry bizonów dla ich skór. Łowcy i osadnicy oraz wszyscy inni biali na skraju pogranicza schronili się w fortach federalnych. Adobe Walls było klęską Indian, ale najazdy tego lata przyniosły dokładnie to, czego Eschiti i Quanah chcieli: wielką zemstę na białych, która zasiała terror i przerażenie na przestrzeni tysiąca mil. To letnie zabijanie musiało nasycić ich gniew i frustrację. Według nich tak wyglądała sprawiedliwość, jak za dawnych dobrych lat.

Na nieszczęście dla Quanaha, Samotnego Wilka i innych wojowników, którzy likwidowali łowców bizonów i osadników latem 1874 roku, ich wyczyny wyczerpały resztki cierpliwości białych i na zawsze pogrzebały nadzieje zwolenników pokoju i sprzyjających Indianom humanitarystów. 26 lipca prezydent Grant pozwolił Shermanowi objąć agencje i rezerwaty władzą wojska, w ten sposób kończąc pięcioletni okres polityki pokojowej, która zawiodła[634]. Tego samego dnia podpułkownik John W. „Black Jack” Davidson, komendant fortu Sill, rozkazał wszystkim przyjaznym Indianom zarejestrować się i stawić w agencjach do 3 sierpnia, a także uczestniczyć w codziennych apelach. Grant rozkazał wojskowym przystąpić do akcji natychmiast i zdecydowanie. Armia dostała wolną rękę. Żołnierze mogli ścigać Indian nawet do wrót agencji w forcie Sill, a jeśli było to konieczne, to ich tam zabijać. Rezerwat miał przestać być bezpiecznym schronieniem, a ci, którzy pozostawali poza nim, nie mogli liczyć na przebaczenie. Niebieskie kurtki były teraz wszędzie, by – jak prosto i otwarcie rozkazał ten najwspanialszy z wojowników Ulysses S. Grant – „poskromić wszystkich Indian, którzy stawiają opór prawomocnej władzy”. Zmobilizowano wielką armię, przed którą postawiono jedno zadanie: dopaść ich wszystkich.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wojna nad Rzeką Czerwoną

Pod koniec lata 1874 roku Komanczów było nie więcej niż trzy tysiące. Tak w przybliżeniu, choć całkiem wiarygodnie wyglądały szacunki agentów w forcie Sill. Dwa tysiące żyło w rezerwacie Komanczów i Kiowów, w południowo-zachodniej części dzisiejszej Oklahomy. Byli to Komancze ujarzmieni, Komancze złamani. Tysiąc odmówiło poddania się. W tej grupie było mniej więcej trzystu wojowników – tyle pozostało z najpotężniejszego militarnie ludu w historii Ameryki[635]. Na wolności żyło wciąż około tysiąca niepokonanych Szejenów Południowych i podobna liczba niepokornych Kiowów i Kiowa-Apaczów. W sumie na całych Równinach Południowych poza rezerwatami żyło prawdopodobnie jeszcze trzy tysiące „wrogich Indian”: w najlepszym razie ośmiuset wojowników[636]. Na nieszczęście dla późniejszych powieściopisarzy i producentów filmowych ostatni Indianie nie ustawiali się w szyku bitewnym na krawędzi urwiska, z grotami włóczni lśniącymi w słońcu, oczekując nadejścia armii niebieskich kurtek. Nie było Termopilów, heroicznego ostatniego boju na śmierć i życie. Jak zawsze, Indianie byli rozproszeni w różnych obozach i grupach. Byli ostatnimi przedstawicielami ginącego gatunku: razem z wrogimi niedobitkami Lakotów, Szejenów Północnych i Arapahów Północnych na równinach na północ od Nebraski.

Co istotne, wszyscy ci potomkowie niegdyś potężnych ludów znaleźli się w tym samym miejscu, mianowicie w północnej części Texas Panhandle. To nie był przypadek. Z równin Panhandle było blisko do rezerwatów, których zachodnie granice leżały mniej niż sto mil na wschód. Wszyscy wrodzy Indianie (także Quahada) w przeszłości pomieszkiwali w różnych okresach na ziemiach przyznanych Indianom przez rząd. Niektórzy spędzali w rezerwacie zimy. Poza tym wielu z rzekomo „rezerwatowych” Indian, jak już zauważyliśmy, nie żyło w rezerwatach na stałe. Indianie, którzy potulnie ustawiali się w kolejkach po rządową wołowinę w styczniu, w miesiącach letnich mogli równie dobrze grasować po pograniczu Palo Pinto.

Jednak najlepszym powodem, by obozować w Panhandle, było to, że żadne inne miejsce na Równinach Południowych nie zapewniało lepszej kryjówki. W okolicy

dzisiejszego Amarillo płaskie jak stół Llano Estacado ustępowało skalistym szczytom i potężnym wyniesieniom Caprock Escarpment, wysokim nawet na tysiąc stóp. W tej gigantycznej formacji geologicznej cztery główne dopływy Rzeki Czerwonej wycięły głębokie, wijące się kaniony, tworząc jeden z najwspanialszych krajobrazów na Amerykańskim Zachodzie. Palo Duro Canyon, którego widok zapierał dech w piersiach, całe eony był żłobiony przez Prairie Dog Town Fork, by osiągnąć tysiąc stóp głębokości, sto dwadzieścia mil długości i szerokość od pół mili do dwudziestu mil. Poprzecinany przez niezliczone załomy, strumienie, parowy i mniejsze kaniony, od dawien dawna był schronieniem Quahada. Obszar mniej więcej wielkości stanu Ohio, leżący w samym środku równin Panhandle, dawał ostatnim wolnym Indianom niewielką szansę opóźnienia nieuniknionego starcia z rozwijającym się błyskawicznie narodem, który liczył trzydzieści dziewięć milionów ludzi i nie mógł się już doczekać realizacji swego przeznaczenia.

W sierpniu i wrześniu wielka armia białych na Zachodzie wreszcie była gotowa, by tropić, atakować i likwidować resztki ludów opierających swe istnienie na koniach i bizonach. Sheridan chciał, aby – jeśli tylko będzie taka potrzeba – nękać Indian przez cały rok bez przerwy. Pozbawieni chwili wytchnienia, nie będą mogli polować. Zaczną głodować. Odnajdzie się i spali ich wioski, odbierze się im konie. Akcja ta była spóźniona prawdopodobnie o dwadzieścia lat, ale teraz nie miało to znaczenia. Teraz pojawiła się wola, a wszystkie opiniotwórcze gazety w Ameryce wyraziły swoje poparcie.

Ostateczną kampanię przeprowadziło pięć konnych kolumn, które miały połączyć się nad rzekami i strumieniami na wschód od Caprock Escarpment. Mackenzie dowodził trzema z nich: jego własny elitarny czwarty pułk kawalerii miał pójść z fortu Concho (dzisiaj San Angelo) i przeczesać tereny na północ od jego dawnego obozu z zapasami nad Fresh Water Fork, dopływie Brazos; dziesiąty pułk kawalerii Black Jacka Davidsona miał się poruszać w linii prostej na zachód of fortu Sill, a między nimi w północno-zachodnim kierunku miał posuwać się jedenasty pułk piechoty George'a Buella[637]. Major William Price otrzymał zadanie powędrowania z ósmym pułkiem kawalerii na wschód z fortu Bascom w Nowym Meksyku, a pułkownik Nelson A. Miles, rywal Mackenziego i człowiek, który przeszedł do historii jako jeden z najsłynniejszych i najzacieklejszych wrogów Indian w Ameryce, ruszył z fortu Dodge w Kansas i poprowadził na południe szósty pułk kawalerii i piąty pułk piechoty. Kluczową rolę odgrywała znajomość terenu, którą dysponował Mackenzie. W sumie czterdzieści sześć kompanii i trzy tysiące ludzi wyszło w pole – największa siła, jaką kiedykolwiek wysłano przeciw północnoamerykańskim tubylcom[638].

W przeciwieństwie do poprzednich ekspedycji, również prowadzonych przez Mackenziego, ta dysponowała stałymi bazami z zapasami. Oznaczało to, że żołnierze mogli penetrować teren w nieskończoność. Ale nie tylko to stanowiło o ich militarnej przewadze, nie decydowała też o niej wyłącznie siła ognia. Najważniejsze było to, że przeciwnik musiał stawiać im czoło obarczony kobietami, dziećmi, starcami, tipi, stadami koni i wszelkim dobytkiem.

To, co nastąpiło, przeszło do historii pod nazwą wojny nad Rzeką Czerwoną. Zakorzeniła się w świadomości narodowej nie dlatego, że była to prawdziwa wojna – bardziej przypominała zwalczanie partyzantki – ale z powodu swej nieodwołalnej ostateczności. Przez lata ludzie mówili o ostatniej granicy i o niej marzyli, ale teraz ta romantyczna koncepcja ostatniej granicy naprawdę się urzeczywistniała. Już ukazywała się na widnokręgu – koniec panowania ludów dosiadających koni był końcem samej idei nieograniczoności, końcem starej Ameryki wyobrażeń i początkiem nowego Zachodu, który dawało się wymierzyć, podzielić i ujarzmić, czym na początku zajęli się hodowcy bydła, a potem wszyscy inni. W ciągu kilku lat drut kolczasty miał pokryć równiny wzdłuż i wszerz.

Najpierw trzeba było jednak znaleźć Indian. Na tak olbrzymim obszarze, mimo że wrogowie przemieszczali się całymi wioskami, zadanie to wciąż było bardzo trudne, co udowodniła błyskotliwa taktyka Quanaha trzy lata wcześniej. Pięć kolumn pozostawało w polu przez cztery–pięć miesięcy, przekraczając tam i z powrotem kolejne dopływy Rzeki Czerwonej, wspinając się na Caprock Escarpment i z niego schodząc, podejmując nieskuteczne próby podążania za przyprawiającymi o rozpacz nieczytelnymi śladami wielu niezależnych grup Indian. Błądzenie żołnierzy przywodzi na myśl filmowych Keystone Kops: nieustanny gorączkowy pościg, który nie dawał rezultatów. Być może Indianie nie w pełni rozumieli charakter wymierzonej w nich kampanii, ale doskonale zdawali sobie sprawę, że nie dadzą rady pobić żadnej z kolumn w otwartej bitwie. A więc unikali ich i obserwowali je; atakowali tylko wtedy, gdy udało im się dopaść mały, oderwany oddział, albo skradali się nocą, by spłoszyć konie białych.

W takiej wojnie mogło dojść tylko do kilku większych starć. Rwący się do walki pułkownik Nelson A. Miles jako pierwszy przelał krew. 30 sierpnia wyśledził i zaatakował większą grupę wojowników, głównie Szejenów, niedaleko Palo Duro Canyon. Jego szacunki sił wroga były grubo przesadzone. Utrzymywał, że starł się z grupą mniej więcej czterystu, a może nawet sześciuset wojowników, co z punktu widzenia potomnych jest absolutnie nieprawdopodobne, potem twierdził, że znalazł

wioskę z trzema tysiącami mieszkańców. To zupełna bzdura. W swych wyolbrzymionych raportach starał się pokazać, że jest lepszy od Mackenziego, z którym ostro rywalizował: wymyślał więc niezliczone zastępy wroga, które w rzeczywistości nie istniały (Mackenzie nie podejmował rękawicy: jego raporty były zwięzłe, powściągliwe i nawet najbardziej dramatyczne starcia były w nich relacjonowane przeraźliwie nudno). W bitwie będącej zarazem dwunastomilową i trwającą pięć godzin gonitwą żołnierze Milesa zabili dwudziestu pięciu Indian i wielu ranili, sami zaś mieli tylko dwóch rannych. Spalili wioskę Indian[639]. W połowie września William Price natknął się na stu Komanczów i Kiowów. Wywiązała się zażarta półtoragodzinna walka, w której Indianie dzielnie osłaniali ucieczkę swych rodzin, po czym sami się wycofali. W październiku Buell spalił dwie wioski, ale zdołał zabić tylko jednego Indianina. W tym samym miesiącu „Black Jack" Davidson wytropił grupę sześćdziesięciu dziewięciu komanckich wojowników i dwustu pięćdziesięciu kobiet i dzieci ze stadem dwóch tysięcy koni. Ta grupa się mu poddała. W listopadzie oddział piątego pułku piechoty Milesa zaatakował i pobił grupę Szejenów nad McClellan Creek. Zdezorientowani Indianie salwowali się ucieczką na równiny, porzucając większość swego dobytku. Przechwałki żołnierzy piechoty o własnej brawurze ucichły, kiedy zrozumieli, że Szejeni nie mogli odpowiedzieć im ogniem, ponieważ skończyła im się amunicja[640]. I tak to wyglądało. Kampania polegała na serii małych akcji, które trwały przez całą jesień; pogoń niebieskich kurtek za Indianami w skałach poniżej Caprock Escarpment przypominała wielką grę w chowanego. Nie zawsze Indianie przegrywali: 6 listopada stu Szejenów pod wodzą Siwej Brody[112] wciągnęło w zasadzkę dwudziestu pięciu żołnierzy z ósmego pułku kawalerii Price'a, zabijając dwóch, raniąc czterech i zmuszając pozostałych do wycofania się[641]. Wojna pełzała po wyżynnej części Panhandle w zimnej, deszczowej porze – było tak błotniście i mokro, że Indianie nazwali ją Pościgiem Pomarszczonej Ręki.

Najważniejszą bitwę – starcie, które faktycznie zasługiwało na to miano – stoczył czwarty pułk kawalerii Mackenziego. Zbiegające się kolumny były jego pomysłem: w teorii Indianie, uciekający przed jednym oddziałem, mieli wpadać w ręce drugiego, a po zapędzeniu w kozi róg – zostać zniszczeni. Mniej więcej to właśnie się stało w ostatnich dniach września pod wspaniałymi czerwonymi, brązowymi, białymi i ochrowymi blankami Palo Duro Canyon.

Żołnierze Mackenziego przystąpili do akcji 23 sierpnia, idąc na północ z fortu Concho w czteroosobowych kolumnach: pięciuset sześćdziesięciu zawodowych żołnierzy, czterdziestu siedmiu oficerów, trzech chirurgów i trzydziestu dwóch zwiadowców – w sumie sześciuset czterdziestu dwóch ludzi. Najpierw dotarli do swej

starej bazy z zapasami w Blanco Canyon, nad Freshwater Fork, dopływem Brazos. Potem skręcili na północ, na znany im szlak, który wiódł samym obrzeżem Llano Estacado, gdzie Quanah trzy lata wcześniej dał im lekcję sztuki wycofywania się. Lato było suche i straszliwie gorące; tuman pyłu okrył maszerujących żołnierzy. Pierwszej nocy w terenie silny wiatr przeniósł iskry z ognisk obozowych na wyschniętą trawę, wzniecając pożar, który o mały włos zniszczyłby obóz. Byli do tego przyzwyczajeni. Dzięki swemu doświadczeniu w terenie i ostrej musztrze Mackenziego czwarty pułk stał się najtwardszym, najbardziej zaprawionym oddziałem, jaki kiedykolwiek walczył z Indianami Wielkich Równin[642]. U boku Mackenziego było dwóch świetnych oficerów: kapitan Eugene B. Beaumont, który uczestniczył w pogromie wioski wodza Trzęsącej się Ręki nad North Fork, dopływem Rzeki Czerwonej, w 1872 roku, walczył pod Gettysburgiem i razem z Shermanem szedł przez Georgię; oraz kapitan N. B. McLaughlin, generał brygady z wojny secesyjnej, który wyróżnił się w ataku Mackenziego na wioskę Kikapów w Meksyku w 1873 roku[643]. Ze względu na dobrą znajomość terenu Mackenzie dostał wolną rękę w swych poczynaniach (inni dowódcy podążali drogami, które pułkownik przetarł w czasie wypraw w 1872 roku, dzisiaj znanymi jako Szlak Mackenziego). „Wprowadzając w życie swe plany – poinformował go przełożony w Teksasie, generał C. C. Augur – nie musisz martwić się granicami departamentu ani rezerwatu. Możesz ścigać Indian wszędzie, nawet jeśli pójdą do różnych agencji". Gdyby Indianie uciekli do fortu Sill, miał „iść tam za nimi i objąwszy dowództwo nad wszystkimi tamtejszymi żołnierzami, zastosować takie środki, jakie zapewnią pełną kontrolę nad Indianami"[644].

Żołnierze Mackenziego szukali Indian przez ponad miesiąc, kilka razy wymienili ogień z Komanczami (którzy za każdym razem znikali w głębi kanionu) i przedzierali się w strugach deszczu, który zaczął padać we wrześniu i zamienił ziemię w lepkie błoto. Mackenzie łatwo wpadał w złość i był jak zwykle niecierpliwy. Pokonywanie na grzbiecie konia dużych odległości fatalnie wpłynęło na jego umęczone ciało. Ostro popędzał swych ludzi, postukując kikutami palców i pomstując na pogodę, przez którą karawana wozów grzęzła w błocie po osie. 25 września, o brzasku, zostawił wozy unieruchomione przez błoto i ruszył na północny zachód. Jego ludzie, którzy część drogi pokonywali na piechotę, żeby oszczędzić wierzchowce, przebyli dwadzieścia wyczerpujących mil do Tule Canyon, kolejnej surowo pięknej formacji wdzierającej się w skraj Llano Estacado. Przepływający przezeń potok Tule kieruje się na północ, by w Palo Duro Canyon połączyć się z Prairie Dog Town Fork, dopływem Rzeki Czerwonej. O zachodzie słońca nadjechał jeden ze zwiadowców z wieścią, na którą czekał Mackenzie: dalej, pośród wielu śladów biegnących (ku rozpaczy żołnierzy!) we

wszystkich możliwych kierunkach, wyróżniał się jeden wyraźny trop, wskazujący na stado około półtora tysiąca koni. Wiódł na wschód.

Mimo że jego ludzie byli skonani po długim marszu w błocie, Mackenzie rozkazał im ponownie wsiąść na konie. Jechali w ciemnościach. Długa ciemna kolumna przedzierała się w niesamowitym blasku księżyca w pełni przez grubą trawę bizonią, przylepiającą się do końskich kopyt[645]. Podążali tropem przez pięć mil, w każdej chwili spodziewając się ataku. Mackenzie wiedział, że jego wrogowie są wszędzie dookoła, cisi i nieuchwytni niczym duchy. Kiedy żołnierze zatrzymali się na noc, koni pilnowała silna straż. Mężczyźni spali w pełnym pogotowiu, w butach na nogach i z bronią w ręku. Mackenzie został w obozie przez cały następny dzień, czekając, aż dojedzie do nich karawana z zapasami. Tej nocy, pamiętając bolesne lekcje z Blanco Canyon i wioski Trzęsącej się Ręki i wyczuwając obecność wielu Indian, pułkownik podwoił środki ostrożności. Rozkazał, żeby każdy koń został nie tylko spętany, co oznaczało związanie razem przednich nóg, ale także żeby przednie nogi związano z tylnymi, na krzyż. Potem wierzchowce przywiązano długimi na trzydzieści stóp i grubymi na jeden cal sznurami do żelaznych palików o długości piętnastu cali, mocno wciśniętych w ziemię[646]. Do tego wokół stada koni rozmieszczono „śpiące oddziały" liczące od dwunastu do dwudziestu żołnierzy[647]. Mackenzie nie zamierzał ryzykować.

Tak jak przypuszczał, nocą Indianie zaatakowali z całym impetem. Pierwsza szarża nastąpiła o wpół do jedenastej. Komancze, kierowani przez Trzęsącą się Rękę, Dzikiego Konia i Słyszącego Wschód Słońca, galopowali wokół obozu, strzelając, wrzeszcząc i usiłując rozpędzić konie białych. Kiedy to się nie udało, przegrupowali się i znowu zaczęli krążyć, nadal próbując ukraść konie. Teraz jednak czekał na nich grad kul ze strony żołnierzy pilnujących koni. Około pierwszej w nocy Indianie się wycofali. O poranku ludzie Mackenziego wyjechali z obozu, żeby odnaleźć ślad Komanczów na wysokim, płaskim terenie. Mackenzie zaatakował, Indianie ustąpili. Mackenzie stracił tylko trzy konie. Jedyną ofiarą wśród ludzi był pewien Komancz: najpierw zwiadowca tonkawski o imieniu Henry zastrzelił konia pod komanckim wojownikiem, wystrojonym w wyszukany pióropusz (w stylu Indian z Równin Północnych). Henry podjechał, żeby zabić przeciwnika, ale zapomniał załadować karabin. Komancz ściągnął go z konia i zaczął okładać swoim łukiem. Żołnierze stali z boku i obserwowali scenę z rozbawieniem. Za każdym razem, kiedy na nieszczęsnego Tonkawę spadał cios, błagalnie wołał do kolegów: „Czego nie strzelacie? Czego nie strzelacie?". Naśmiawszy się, jeden z żołnierzy wreszcie zastrzelił Komancza. Tonkawa zdjął jego skalp[648]. W chwili, w której Komancz stracił konia, musiał pojąć, że zginie. Kiedy żołnierze rżeli ze śmiechu, on toczył swą ostatnią walkę. Takie

nonszalanckie okrucieństwo było godne Komancza. Warto zauważyć, że nie miał przy sobie żadnej broni palnej.

Mackenzie przeszedł do ofensywy. Rozkazał obładować muły prowiantem na dwanaście dni. Po raz kolejny zostawił karawanę z zapasami pod strażą piechoty i jednej kompanii kawalerii, po czym ruszył kanionem Tule na południowy zachód. Wrogowie z pewnością odetchnęli z ulgą, widząc, jak oddala się od ich obozów.

Jednak był to jedynie manewr mający ich zmylić, wykonany przez dowódcę, który świetnie – jak żaden inny biały oficer – znał szlaki wiodące przez kanion. Mackenzie dokładnie wiedział, gdzie znajduje się główny obóz Komanczów, i zmierzał do niego najbardziej bezpośrednią drogą. Najwyraźniej wydobył informację o jego położeniu od schwytanego *comanchero*, którego kazał rozciągnąć na kole wozu, co musiało być bardzo bolesną torturą. Jadący dwadzieścia pięć mil przed główną kolumną zwiadowcy potwierdzili słowa *comanchero*. Żołnierze czwartego pułku kawalerii kontynuowali jazdę do zmierzchu, kiedy to Indianie nie mogli już łatwo śledzić ich ruchów. Wtedy gwałtownie skręcili na północ, przecinając kanion Tule tą samą drogą, którą przebył Mackenzie w 1872 roku, i skierowali się przez błotniste równiny ku Palo Duro Canyon. Mackenzie popędzał bezlitośnie swych ludzi w nocnym marszu przez trudny teren, pokonując dystans w dwanaście godzin[649]. 28 września, ledwie słońce zaczęło rozjaśniać niebo na wschodzie, siedem kompanii czwartego pułku kawalerii podjechało stromym zboczem ziejącej przepaści: to był Palo Duro Canyon, szeroki tu na sześć mil. Urwisko, po którym się wdrapali, leżało blisko miejsca, w którym kanion łączył się z mniejszym, szerokim na pół mili kanionem, znanym jako Blanca Cita.

Żołnierze wdrapali się na półkę skalną, skąd ściana spadała pionowo dziewięćset stóp. Ku swemu zdumieniu ujrzeli pięć wiosek indiańskich, rozciągających się wzdłuż strumienia na odcinku trzech mil. W sumie naliczyli dwieście tipi, dostrzegli też wielkie stado koni. Biali spoglądali na *sanctum sanctorum* Komanczerii. Wewnątrz tej olbrzymiej wyrwy w ziemi stworzonej przez dziewięćdziesiąt milionów lat erozji istniał odrębny świat: uroczy kanion porośnięty jałowcami, wiązowcami, dzikimi wiśniami, jadłoszynami i topolami. Dnem wąwozu płynęła krystalicznie czysta rzeka, której źródło znajdowało się w jednym krańcu kanionu. Chociaż wtedy *taibos* jeszcze o tym nie wiedzieli, obozowali tam Komancze pod wodzą O-ha-ma-taia (największa z grup), Kiowowie pod wodzą Mamantiego oraz mała grupka Szejenów Żelaznej Kurtki.

Mackenzie podjął teraz wielkie ryzyko – tak przynajmniej zdawało się niektórym jego podwładnym. Przeszedł milę wzdłuż krawędzi kanionu i odkrył małą, stromą ścieżkę górskich kozic, wiodącą na dno i − jak to określił później jeden z jego

żołnierzy – w „paszczę śmierci”[650]. Stojący na początku wąskiego zejścia dowódca zwrócił się do jednego z poruczników i zwyczajnie powiedział: „Panie Thompson[113], proszę sprowadzić ludzi na dół i rozpocząć walkę”[651]. Mężczyźni zsiedli z koni i potykając się, ślizgając i zjeżdżając, jeden po drugim dotarli na dno.

Ryzyko polegało na tym, że podczas schodzenia byli na widoku. Wszystkim siedmiu kompaniom zejście zajęło prawie godzinę. Mieli szczęście. Mamanti, wódz i szaman Kiowów, zapewnił mieszkańców obozu – po konsultacji z duchami – że nie grozi im atak niebieskich kurtek, więc tego dnia drzemali, nie wystawiając straży. Kolejny raz ich leki zapewniły olbrzymią przewagę białym. Większość żołnierzy dotarła na dno wąwozu, zanim Indianie się spostrzegli. Kiedy tylko ujrzeli żołnierzy schodzących po ścianach kanionu, zareagowali tak jak zawsze, gdy ich wioska była atakowana: stawili zaciekły opór, by osłonić odwrót swych rodzin. Sierżant John Charlton później relacjonował:

> Zaatakowali nas ze wszystkich stron najpierw tuzinami, potem setkami. […] Wielu z nich kryło się pośród skał, inni szukali schronienia za drzewami. […] Wojownicy utrzymywali teren przez jakiś czas, walcząc rozpaczliwie, by osłonić ucieczkę swych kobiet i zwierząt jucznych, ale pod ciągłym ogniem żołnierzy ich szeregi szybko zaczęły się kruszyć[652].

Żołnierze – z Mackenziem na czele – przeszli kolejno przez wszystkie wioski: ziemia między opuszczonymi tipi była usłana skórami bizonów i suszonym mięsem tych zwierząt, a także najrozmaitszymi przedmiotami pochodzącymi od białych, co świadczyło o kulturowym zanieczyszczeniu, które głęboko przeniknęło wszystkie dziedziny życia na równinach. Były tam żołnierskie płaszcze, nożyce, porcelana, garnki, karabiny odtylcowe z amunicją, bele perkalu i worki mąki. Najwyraźniej kobiety zgromadziły te rzeczy, żeby je ocalić, a potem w panice porzuciły, gdy musiały uciekać kanionem na grzbietach koni. Nastąpiła ciągnąca się przez cztery mile pogoń, w czasie której zabito czterech Komanczów. Ale wkrótce Indianie znowu otoczyli żołnierzy, strzelając do nich ze ścian kanionu, co by sugerowało, że ci drudzy sami wpędzili się w pułapkę. „Jak się stąd kiedykolwiek wydostaniemy?”, pytał jeden z przerażonych żołnierzy, bojąc się, że oddział zostanie wycięty w pień. Słysząc to, Mackenzie krzyknął gniewnie: „Ja was tu przyprowadziłem i ja was stąd wyprowadzę!”[653]. Rozkazał przyśpieszyć atak. Jego zuchwałość dała pożądany efekt: Indianie odwrócili się i wycofali, wspinając się po ścianach kanionu Blanca Cita i podążając za swoimi rodzinami, które uciekły wcześniej.

Mackenzie ich nie ścigał. Zamiast tego kazał zawrócić i spalić wioski. Wybuchnęły płomienie, a powietrze wypełnił smród palonego bizoniego mięsa i puszczanych

z dymem zapasów mąki i cukru, przydzielanych przez rząd. Około trzeciej żołnierze Mackenziego z powrotem wspięli się po ścianach kanionu, po czym utworzyli czworobok (z mniej więcej pięciuset mężczyzn) – coś na kształt ruchomego korralu – w którym gnano złapane stado indiańskich koni. Po dwudziestu milach dotarli do swego obozu z zapasami w kanionie Tule. Była pierwsza w nocy. Mężczyźni, którzy od ponad trzydziestu godzin nie spali i byli cały czas w siodle, padali z wyczerpania. Próbującego zasnąć sierżanta Charltona obudziły słowa Mackenziego, wykrzyczane w „charakterystycznym rozdrażnionym, wysokim" tonie: „Obudźcie się, sierżancie! Obudźcie swych ludzi i pilnujcie koni!"[654].

Po śniadaniu Mackenzie dał najlepsze konie zwiadowcom, wybrał kilka dla siebie, a pozostałe – ponad tysiąc – kazał zastrzelić. Custer kiedyś kazał wybić konie nad Washitą (w 1868 roku), ale było to podyktowane względami praktycznymi, gdyż jego oddziałowi groziło unicestwienie. Decyzja Mackenziego była zaś elementem taktyki wojskowej: chodziło o odebranie Indianom środków do życia. Była to ponura praca i zajęła trochę czasu. Żołnierze piechoty związali oszalałe konie i poprowadzili przed plutony egzekucyjne. Z każdym zabitym koniem utrzymanie w ryzach pozostałych stawało się trudniejsze. Ostatni został zastrzelony dopiero tuż przed trzecią po południu. Na koniec nad okolicą górowało olbrzymie, posępne wzgórze martwych koni. Ich ciała gniły u wylotu kanionu Tule, a zbielałe kości zostały tam przez wiele lat, stając się zarówno punktem orientacyjnym, jak i groteskowym pomnikiem symbolizującym koniec dominacji ludów konnych na równinach. Wreszcie jakiś przedsiębiorczy człowiek zebrał to, co z nich pozostało, i sprzedał jako nawóz. Legenda głosi, że w niektóre noce można zobaczyć stado końskich duchów galopujące bez jeźdźców przez kanion, z widmowymi grzywami rozwianymi na wietrze.

Tak skończyła się bitwa w Palo Duro Canyon. Zginęło tylko czterech Indian, ale Mackenzie zadał im miażdżący cios. Nikt nie wie, ilu obozowało w wiosce, ale liczba tipi sugeruje, że może nawet tysiąc. Tych Indian czekała nowa i straszna rzeczywistość. Większość z nich była teraz pieszo, bez dachu nad głową, bez jedzenia czy odzienia, a czekała ich zima na Wysokich Równinach, na których stada bizonów błyskawicznie topniały od kul łowców skór. Wielka grupa Indian została wygnana ze swej ostatniej ważnej kryjówki. Większość Indian, która uciekła przez kanion Blanca Cita tego dnia, przywędrowała z powrotem do fortu Sill w następnych tygodniach, całkowicie upokorzona; odtąd nigdy już nie opuścili rezerwatu[655].

Wielka kampania Sheridana szybko dobiegła końca. Wyłapywanie Indian trwało jeszcze całą zimę, choć nie było już prawie kogo łapać. Wielu wróciło do fortu Sill

jesienią. Tym, którzy tego nie zrobili, brakowało jedzenia, niektórzy umierali z głodu. W lutym przybyli Samotny Wilk i ostatni Kiowowie. W marcu poddało się ośmiuset dwudziestu pięciu Szejenów Południowych. Niewielkie grupki i pojedynczy Indianie napływali do agencji bez przerwy. W kwietniu poddały się grupy Komanczów Trzęsącej się Ręki, Słyszącego Wschód Słońca i Dzikiego Konia: liczyły w sumie trzydziestu pięciu wojowników, sto czterdzieści kobiet i dzieci; Indianie przyprowadzili też stado siedmiuset koni. Odebrano im broń, konie i muły. Na początku umieszczono ich w obozach internowania na zachód od fortu Sill. Wodzów, którzy złamali traktaty i obietnice, surowo potraktowano. Jednego z przywódców Kiowów, Satantę, wysłano do więzienia w Huntsville, w Teksasie, gdzie popełnił samobójstwo, skacząc na głowę przez okno z drugiego piętra więziennego szpitala. Inni zostali wysłani pociągiem na wygnanie na Florydzie. Kiedy władze się zorientowały, jak bardzo złamano ducha koczowniczych ludów, większości wodzów zezwolono na powrót. Wojnę nad Rzeką Czerwoną, mimo braku dramatycznych wydarzeń na wielką skalę, Sheridan nazwał w swym raporcie z 1875 roku „najbardziej udaną kampanią przeciw Indianom w tym kraju od jego zasiedlenia przez białych”.

Pod koniec kwietnia pozostało tylko kilka grup Indian Wielkich Równin, które się nie poddały. Największą z nich byli Quahada, którym przewodził Quanah. Z punktu widzenia armii grupa zniknęła po bitwie w Adobe Walls[656]. Liczyła czterysta osób, w tym stu mężczyzn zdolnych do walki. Mimo wielkiej liczby, a także olbrzymiego stada koni, dzięki szybkiemu i skutecznemu manewrowi dokonali niezwykłego wyczynu, jakim było skuteczne wymykanie się nieustającym patrolom żołnierzy. Ponadto pozostawali daleko na południe od innych grup Indian w Panhandle, większość czasu spędzając w obozach na południowy wschód od dzisiejszego Lubbock, w pobliżu miejscowości Gail i Snyder, we wschodniej części Caprock Escarpment. Mackenzie węszył tam za nimi dwa razy, opierając się na informacjach uzyskanych od schwytanych Kiowów. Nikogo nie znalazł. Tak naprawdę spędził mnóstwo czasu, szukając Quanaha. Jego trzecia i zarazem ostatnia wyprawa zwiadowcza, przeprowadzona w grudniu 1874 roku, trwała siedemnaście dni: żołnierze przebyli dwieście pięćdziesiąt pięć mil w południowych rejonach Llano Estacado. Przedzierali się przez głęboki śnieg i burze lodowe od dzisiejszej Floydady do Snyder. W tym czasie zabili dokładnie trzech Indian. Udało im się wprawdzie znaleźć świeży ślad biegnący przez Wysokie Równiny ku krainie Mucha-que, ulubionemu przez Indian miejscu handlu, niedaleko dzisiejszego Gail. Mackenzie parł naprzód. Jego przekonanie, iż ma grupę Quanaha w zasięgu, było tak silne, że do jej zatrzymania kazał wysłać oddział żołnierzy z fortu Concho. Z tego też nic nie wyszło.

A kiedy oddział Mackenziego zmagał się z kolejną burzą śnieżną, nadeszła wiadomość od Sheridana, który kazał zaprzestać działań bojowych. Mackenzie miał się stawić w forcie Sill i objąć zarząd nad rezerwatami Komanczów i Kiowów oraz Szejenów i Arapahów[657].

W udzielonym później wywiadzie Quanah potwierdził, że spędził całą jesień i zimę, bawiąc się w kotka i myszkę z oddziałami federalnymi.

> Mając do dyspozycji kilkaset dobrych koni, mogliśmy skutecznie śledzić ruchy wroga i kiedy rozumieliśmy, że zbliża się w naszym kierunku, szybko się przemieszczaliśmy. Moi ludzie, razem z rodzinami, stosowali taką taktykę przez całą zimę. […] W tym czasie byliśmy niemal bez przerwy w ruchu, ponieważ żołnierze deptali nam po piętach i wiele raz byli już naprawdę blisko[658].

Polowali na bizony, kiedy mieli okazję, a kiedy nie mogli jeść mięsa bizonów lub koni, wracali do starych komanckich zwyczajów z czasów, gdy nie mieli jeszcze koni i w Wyomingu żywili się orzechami, robakami i gryzoniami. Najprawdopodobniej handlowali też z *comancheros*, którzy prześliznęli się przez blokadę Mackenziego. Był to dla nich bardzo trudny okres.

16 marca 1875 roku Mackenzie przybył do fortu Sill, aby objąć w nim dowództwo. W połowie kwietnia wiedział już, że tylko jedna większa grupa pozostawała na swobodzie, wiedział również, kim są owi Indianie. 23 kwietnia wysłał specjalną delegację, żeby spróbowała przekonać Quanaha do pokojowego poddania się. W jej skład weszli: doktor Jacob J. Sturm, samozwańczy medyk i tłumacz, który poślubił kobietę z grupy Caddo, oraz trzech Komanczów, w tym jeden z przywódców Quahada, Dziki Koń. Emisariusze mieli bardzo mgliste wyobrażenie o tym, dokąd powinni się udać. Z fortu Sill skierowali się na południowy zachód, przekroczyli Rzekę Czerwoną i jechali wschodnim skrajem Caprock Escarpment. W pobliżu dzisiejszego miasta Matador natknęli się na małą, złożoną z piętnastu tipi wioskę innego wodza Quahada, Czarnej Brody. Delegacja została serdecznie przyjęta, a Czarna Broda skwapliwie przyjął ofertę Mackenziego, by stawić się w agencji ze swymi pięćdziesięcioma ludźmi. Zima była sroga. Czarna Broda powiedział, że ma dość wojny, i wskazał białym lokalizację obozu Quanaha. Znajdował się on w odległości „dwóch spoczynków”. 1 maja Sturm i jego grupka odnaleźli obóz mniej więcej tam, gdzie zdaniem Mackenziego powinien być. Sturm napisał później:

> Gdy weszliśmy do obozu, zewsząd zjechali się Indianie, żeby zobaczyć, kim jesteśmy. Odkrywszy, że jesteśmy wysłannikami pokojowymi, poprosili, żebyśmy zsiedli z koni, którymi zajęły się *squaws*, a mężczyźni zaprowadzili nas do wielkiego namiotu. W środku podzieliliśmy się z nimi naszymi tytoniem, kawą i cukrem, co sprawiło im ogromną przyjemność, ponieważ od długiego czasu nie mieli żadnego z tych luksusów[659].

Kolejne dwa dni Sturm spędził na rozmowach z Quanahem i Eschitim, który w jakiś sposób zdołał zachować wpływy i pozycję mimo zawstydzającej klęski w Adobe Walls. Sturm poczynił interesującą obserwację na jego temat:

> Szaman (*medicine man*) twierdzi, że nie jest wodzem, ale przyznaje, że ma wielki posłuch u swoich. […] Mówi też, że wpływu na ludzi nie zawdzięcza czynom wojennym i że wszelkie uznanie, jakim się cieszy, zawdzięcza łagodnemu traktowaniu ludzi, których nigdy nie krzywdzi. Mówi, że ma wielkie serce, kocha każdego i każdą żyjącą rzecz i że nigdy nie wpada we wściekłość i nie uderzyłby nawet zwierzęcia[660].

Nieoczekiwanie Quanah opowiedział się za złożeniem broni. Należał do największych wrogów białych; gorąco pragnął zemsty za śmierć ojca, schwytanie matki i siostry oraz śmierć kuzyna i innych przyjaciół oraz krewnych. W Adobe Walls pokazał, że całkowicie lekceważy własne bezpieczeństwo, a pierwsze tygodnie lata spędził na zabijaniu białych. Od dawna gardził Komanczami, którzy kroczyli ścieżką białego człowieka. Zdawał też sobie sprawę, że jest mieszańcem i że jego matka była białą kobietą. Teraz jednak z pasją przekonywał do przyjęcia kultury białych. Rodzinna legenda Parkerów głosi, że Quanah, by podjąć właściwą decyzję, wdrapał się na szczyt półki skalnej i tam medytował. Zaczął się modlić do Wielkiego Ducha, prosząc go o wskazówki, i wtedy zobaczył wilka, który na niego wył, a potem uciekł w kierunku fortu Sill. Potem ujrzał orła, który kilkakrotnie zanurkował tuż nad jego głową, po czym odleciał na północny wschód. Odczytał to wszystko jako znaki, że powinien się poddać[661]. Jego ludzie się zgodzili. Trzydziestu mężczyznom z grupy, którzy akurat w tym czasie polowali na bizony, Eschiti zostawił piktograficzną wiadomość narysowaną na bizoniej skórze i zatkniętą później na palu. 6 maja 1875 roku cała grupa wyruszyła do fortu Sill.

Poruszali się powoli. Ich osłabionych brakiem jedzenia i ostrą zimą koni nie stać było na więcej. Wolne tempo podróży nadawało jej melancholijny charakter. Można było pomyśleć, że odprawiają ostatnie rytuały wolności. Komancze polowali codziennie. Zabili bizona, antylopę i kilka dzikich mustangów. Urządzili ucztę z mięsiwa ugotowanego w dołach otoczonych kamieniami. Co jakiś czas się zatrzymywali, żeby kobiety mogły wysuszyć i zapakować mięso, mężczyźni urządzić konne wyścigi, a dzieci gonić za preriokurami. Pili kawę białych ludzi, z mnóstwem cukru. Tańczyli dawne tańce. Sturm zapisał, że „traktowali je jako ostatni taniec leczniczy, który spodziewali się odprawić na tych rozległych równinach. Mówili, że porzucą swe wędrowne życie i spróbują nauczyć się żyć jak biali”[662]. Co dziwne, w relacji Sturma nie pobrzmiewa gorycz czy smutek. Być może to zwykły brak wyobraźni. Być może Nermernuh naprawdę nie mieli pojęcia, czym miało być

uprawianie warzyw, hodowla owiec, ani jak miało smakować życie w jednym miejscu, w jednym domu, bez wiosennych wędrówek za stadami bizonów, ani co mężczyźni mieliby robić ze sobą w świecie bez wojen i polowań, bez żadnych możliwości wykazania się.

2 czerwca, w południe, prawie miesiąc po opuszczeniu swego obozu, czterystu siedmiu Quahada dotarło do Signal Station, kilka mil na zachód od fortu Sill, i oddało się, razem z tysiącem pięciuset końmi i bronią, w ręce władz wojskowych Stanów Zjednoczonych. Potraktowano ich dobrze. W przeciwieństwie do innych ludów i grup przed nimi wojownicy nie zostali zamknięci pod strażą w pozbawionej dachu chłodni z kamienną podłogą, gdzie raz na dzień podjeżdżał wóz pełen surowego mięsa, którego kawały żołnierze przerzucali nad ścianami[663]. Kobiety, dzieci i starzy mężczyźni zostali zabrani do miejsca wyznaczonego im na obóz. Wkrótce dołączyli do nich wojownicy. W tym okresie na wolności pozostawało zaledwie pięćdziesiąt osób.

Od pierwszej chwili pułkownik Mackenzie bardzo się zainteresował Quanahem. Podziwiał Komanczów Quahada mimo kłopotów, jakich mu przysporzyli. Kiedy się dowiedział, że nadchodzą, napisał Sheridanowi: „Bardziej poważam tę grupę niż którąkolwiek inną w rezerwacie. […] Potraktuję ich najłagodniej, jak tylko potrafię”. I tak też postąpił. Quahada mogli zatrzymać wiele ze swych koni. Mackenzie dopilnował też, by żadnego członka grupy Quanaha nie wsadzono do chłodni ani wartowni w forcie Sill[664]. Nie odnotowano, jak wyglądało pierwsze spotkanie tych dwóch mężczyzn ani co sobie powiedzieli. Wiadomo, że jeszcze przed przyjazdem Quanaha Mackenzie usłyszał od posłańca, kim była matka Quanaha, i napisał list, datowany na 19 maja 1875 roku, do kwatermistrza wojskowego w Dennison, w Teksasie, dopytując się w nim o Cynthię Ann i Kwiat Prerii. List został też opublikowany w gazecie z Dallas, dzięki czemu pułkownik dowiedział się, że zarówno siostra, jak i matka Quanaha nie żyją[665]. List, jeszcze zanim Mackenzie spotkał Quanaha, wyznacza początek tego, co historia odnotowała jako niezwykłą przyjaźń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Do przodu, choć przegrany

Rezerwat okazał się wstrząsającym doświadczeniem. Tragiczne było już to, że ugiąwszy się przed białym człowiekiem, Komancze musieli potulnie ustawiać się w kolejce, by otrzymywać od niego jałmużnę. Jak małe, bezradne dzieci nie byli teraz w stanie sami zdobyć jedzenia ani ubrań. I jakby tego było mało, wiele z tych pilnie potrzebnych towarów nigdy do nich nie dotarło. System był okrutny i upadlający: *taibos* zabrali Komanczom wszystko, co było dla nich najważniejsze, a w zamian dali im tylko nędzę. Gdy Indianie przybyli do rezerwatu, otworzyła się przed nimi ziejąca pustka głodu, beznadziei i ubezwłasnowolnienia. Nie można się było stąd wyrwać, nie było powrotu[666].

Miłosierdzie białego przybierało dwie formy: racji żywnościowych i różnych towarów wartości trzydziestu tysięcy dolarów, dostarczanych Komanczom i Kiowom co roku. Oznaczało to, że na każdego z trzech tysięcy mieszkańców rezerwatu przypadały towary wartości dziesięciu dolarów, takie jak siekiery, patelnie, naparstki, naczynia cynowe, noże rzeźnickie i podstawowe części garderoby. Wiele z tych rzeczy było lichej jakości, wręcz bezwartościowych. Komancze zwykle odsprzedawali je tanio białym. Półtorafuntowa dzienna racja wołowiny na osobę – główny element diety Indian – okazała się biurokratyczną i logistyczną katastrofą. Wołowinę wydawano „razem z kopytami”, czyli przekazywano żywe zwierzę – rząd zakładał, że z każdej sztuki uzyska się jadalną wołowinę odpowiadającą połowie wagi zwierzęcia. Pomysł ten mógł się sprawdzić w wilgotnym, urodzajnym sezonie, kiedy trawa rośnie bujnie. Jednak zimą wiele pasionych na ranczach krów traciło tak bardzo na wadze, że jedyną ich wartością była skóra. Ponieważ na terenie rezerwatu zwierzyna została niemal w całości wybita, bizony rzadko się tu pojawiały, a inne składniki racji żywnościowych (mąka, kawa, cukier, sól) wynosiły mniej niż połowę tego, co otrzymywali żołnierze – o ile w ogóle docierały – wiele indiańskich rodzin głodowało. Cotygodniowe wydawanie racji było przynajmniej jakąś odmianą, choć dość żałosną. Krowy wypuszczano z zagród, po czym komanccy wojownicy z wrzaskiem je gonili i zabijali strzałami z łuków i pistoletów[667].

Dziwić więc może to, że ten rozbity, zniekształcony świat po katastrofie stał się sceną niezwykłej kariery Quanaha Parkera – jak teraz kazał się nazywać – człowieka, który okazał się najbardziej skutecznym i wpływowym Indianinem u schyłku XIX wieku, a także pierwszym i zarazem jedynym, który kiedykolwiek nosił tytuł Głównego Wodza Komanczów. Jego przypadek był podwójnie dziwny, ponieważ Quanah był najhardszym z hardych, ostatnim żyjącym na swobodzie przedstawicielem ostatniej wolnej grupy fanatycznych Quahada, jedynej grupy tubylców w Ameryce Północnej, która nigdy nie podpisała traktatu z białymi. Kiedy się poddawał, miał dwadzieścia siedem lat. Znano go jako straszliwego i charyzmatycznego wojownika, prawdziwego zabójcę, prawdopodobnie najtwardszego przedstawiciela tego pokolenia Komanczów, a to wiele mówiło. W dotychczasowym krótkim życiu zabił wielu Indian i białych, chociaż dokładnych liczb nigdy nie poznamy, ponieważ w swych latach rezerwatowych – całkiem rozsądnie – nie chwalił się tymi dokonaniami. Przewodził własnej grupie, z dala od głównego obozu, po ucieczce z Weckeah, która uczyniła go sławnym. On i Eschiti byli najważniejszymi i najszybciej zdobywającymi pozycję młodymi wodzami wojennymi. Jednak jego poddanie się Mackenziemu w czerwcu 1875 roku na zawsze przekreśliło tradycyjne drogi kariery.

Ale oznaczało też początek czegoś innego. Wraz z decyzją o przyjściu do fortu Sill zupełnie zmieniła się postawa Quanaha wobec życia w niewoli[668]. Od tego momentu postanowił kroczyć drogą białego człowieka. Zostawił za sobą blaski swobodnego życia na równinach i nigdy się na nie nie oglądał. Co równie ważne, zrobił wszystko, żeby tą nową drogą poprowadzić także swój nieraz krnąbrny, niechętny zmianom lud. Oznaczało to uprawę ziemi i hodowlę bydła na wzór białego człowieka, tak samo jak szkoły białych dla indiańskich dzieci, handel, politykę i język białych. Pustka, która rozpostarła się przed tą żałosną resztką Komanczów, Quanahowi Parkerowi dała wspaniałą szansę. Miał się stać dość zamożnym, płacącym podatki obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki, który będzie nosić wełniane garnitury i kapelusze Stetsona oraz brać udział w spotkaniach rady szkolnej. Miał też próbować pociągnąć za sobą resztę narodu komanckiego. W czasie ponurej, pozbawionej nadziei zimy 1875–1876 roku wizja Komanczów jako obywateli, członków klasy średniej, wydawała się absurdalna; nikt zresztą tego nie pragnął. Quanah jednak widział przyszłość wyraźnie. Na wysokich i dzikich równinach był krwiożerczym i agresywnym wojownikiem; teraz zaś z taką samą determinacją miał przejść od sposobu życia barbarzyńców z epoki kamienia do głównego nurtu kultury przemysłowej Ameryki.

Quanah dotarł do nieprzyjaznych brzegów amerykańskiego narodu tak jak wielu

imigrantów, czyli w skrajnej nędzy. Kiedy dotarł do fortu Sill, miał dwie żony, córkę i pewną pozycję w grupie – i niewiele więcej. Jak wszyscy inni pobierał racje, żył w tipi w pobliżu agencji, cierpliwie czekał w długich kolejkach po jedzenie. Jakiekolwiek jego bogactwo, mierzone liczbą posiadanych koni, teraz przestało istnieć. Zabijanie lub rozpędzanie stad komanckich koni było integralną częścią ekonomicznego i militarnego niszczenia ludu Komanczów przez białych. Zarówno według standardów Komanczów, jak i białych Quanah był nędzarzem.

Ponadto był tylko jednym z kilku liderów, którzy usiłowali przewodzić większej grupie Komanczów lub wręcz całemu ludowi. Prócz niego byli starsi wodzowie, jak Grzbiet Konia (Nokoni), Mleczna Droga (Penateka), Trzęsąca się Ręka (Kotsoteka), Dziki Koń (Quahada) i przede wszystkim Słyszący Wschód Słońca (Yamparika). Każdy z nich miał u Komanczów większy posłuch niż Quanah. Jednak to go nie zrażało. Od samego początku swego pobytu w rezerwacie starał się wyprzedzić innych i wcale tego nie ukrywał. Być może odkrył swoją prawdziwą naturę, kiedy razem z Eschitim rekrutował Indian z pięciu różnych ludów do ataku na łowców bizonich skór – wyczyn bezprecedensowy w historii Wielkich Równin, którym zaskarbił sobie szacunek nawet ważnych postaci, między innymi Samotnego Wilka, wodza Kiowów. Aż do tragicznego pierwszego poranka w Adobe Walls, kiedy magia Eschitiego zawiodła i powietrze rozdarł huk karabinów łowców skór, działania tych dwóch były bardzo skuteczne.

Quanah rozumiał, że do zdobycia władzy potrzebni byli biali, ponieważ to oni wskazywali i mianowali indiańskich przywódców, podobnie jak było w tubylczych populacjach w koloniach brytyjskich w XIX wieku w Malezji, Indiach i innych krajach. Zabiegał więc o względy zarówno agenta do spraw Indian, kwakra J. M. Hawortha, jak i dowódcy wojskowego, którym od 1 kwietnia 1875 do 1877 roku był wybuchowy i do bólu kompetentny Ranald Slidell Mackenzie. Mackenzie był zaskoczony, gdy usłyszał o pochodzeniu Quanaha, i podjął wysiłek (począwszy od wspomnianego listu z 19 maja), aby poznać losy matki i siostry wodza. Podczas jednego z ich pierwszych spotkań Mackenzie powiedział Quanahowi, czego się dowiedział, rozwiewając w ten sposób wielkie marzenie Komancza o ponownym połączeniu z ukochaną matką.

Wódz przejawiał jednak wielkie zaciekawienie białą częścią swej rodziny i pisał listy – co oznaczało, że komuś je dyktował – w których o nich wypytywał (w czasie pobytu w rezerwacie styl listów Quanaha zmieniał się w zależności od wykształcenia osoby, która je dla niego pisała; czasem jego zdania brzmią jak sformułowania prostaka, czasem jak łamana angielszczyzna Indianina, a czasem jak złożone frazy wykładowcy języka angielskiego). O coraz mocniejszej więzi z nowym przyjacielem Mackenziem świadczy list, który pułkownik napisał w jego imieniu do

osiemdziesięciodwuletniego wuja Cynthii Ann, Isaaca Parkera w Fort Worth. Wspominał Isaacowi o rozżaleniu Quanaha tym, że Parkerowie najwyraźniej nie uznają go za członka rodziny, i przekonywał, iż „z pewnością nie można winić go za grzechy poprzedniego pokolenia Komanczów i [że] jest on człowiekiem, z którym warto spróbować coś zrobić”[669]. Isaac nigdy nie odpisał. Quanah i Mackenzie spotkali się wielokrotnie przy innych okazjach. Przez jakiś czas mieszkali blisko siebie: Quanah w swym tipi, a Mackenzie w jednym z szeregowych domów w forcie Sill, w których kwaterowali oficerowie. Później Quanah powiedział Charlesowi Goodnightowi, gdy ten skomplementował jego maniery, iż to Mackenzie poświęcał swój czas, aby uczyć go zwyczajów białych[670]. Sugeruje to, że spędzili razem wiele czasu. Byłoby nie lada gratką obserwować lekcje etykiety udzielane przez niegdyś zaciekle zwalczającego Indian żołnierza człowiekowi, który miał zostać ostatnim wodzem Komanczów.

W świecie przygnębionych, pozbawionych swej ziemi Indian, żyjących w tipi rozrzuconych bezładnie po falistych, trawiastych wzgórzach i dolinach rzek wokół fortu Sill, Quanah niezmiennie demonstrował pogodę ducha, uczynność i ochotę do współpracy z innymi. Taki zresztą miał charakter. Z natury był towarzyski – dziecko społeczeństwa o głęboko wspólnotowym charakterze, w którym budowanie zgody było najbardziej cenioną umiejętnością polityczną, a Quanah opanował ją w wysokim stopniu. Pozycja młodego wodza wojennego całkowicie zależała od jego umiejętności zebrania wojowników, którzy poszliby za nim walczyć i łupić. Wyprawa Indian na Adobe Walls opierała się właśnie na tych dwóch elementach: skutecznej rekrutacji i konsensusie. Quanah zgłosił się na ochotnika do przyprowadzenia z powrotem grupki Komanczów, którzy opuścili rezerwat, żeby zapolować na bizony. Odnalazł też wojownika oskarżonego o zamordowanie żołnierza[671].

Jego postawa została szybko nagrodzona. Aby usprawnić proces wydawania racji, agent Haworth podzielił Indian na „grupy wołowe” i sam wskazał, kto ma stać na ich czele; w 1878 roku Quanah kierował już trzecią pod względem wielkości grupą. Jak w późniejszych czasach boss polityczny w Chicago, tak teraz Quanah nadzorował rozdział dóbr i, rzecz jasna, pilnował także własnej części. W ten sposób po raz pierwszy posmakował władzy w nowym politycznym porządku, co zresztą pociągnęło za sobą pewne konsekwencje. Niektórzy przywódcy gardzili nim i jego uprzywilejowanym statusem wśród *taibos*. To oni sprawili, że praktycznie przez całe życie w rezerwacie każdy swój sukces musiał okupić walką.

Równie ważne w nowej sytuacji politycznej było przyjęcie przez Quanaha – na prośbę jego nowego przyjaciela Mackenziego – misji wytropienia i sprowadzenia małej grupy Komanczów, którzy oderwali się od reszty i wraz z rodzinami pozostawali

na wolności. W lipcu 1877 roku Quanah wyruszył na ich poszukiwanie. Towarzyszyło mu dwóch starszych Komanczów i trzy kobiety. Prowadzili ze sobą kilka rządowych jucznych mułów obładowanych zapasami. Quanah niósł białą flagę oraz surowy w tonie list napisany na wojskowym papierze listowym przez pułkownika Mackenziego, który przedstawiał zadanie Quanaha oraz zapowiadał, że każdego, kto przeszkodzi Quanahowi w jego wykonaniu, spotkają poważne konsekwencje. Jednak nadal było to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Na zachód od fortu Sill grasowali liczni łowcy bizonów oraz inne typy spod ciemnej gwiazdy, które działały w biznesie skórzanym i miały wielką ochotę wziąć odwet na Indianach, a w szczególności na Komanczach. Lekko uzbrojona grupka sześciu osób, złożona głównie ze starszych mężczyzn i kobiet, byłaby łatwym łupem. To, że Quanah, który przed poddaniem się był jednym z najbardziej brawurowych wojowników na równinach i imponował nadzwyczajną sprawnością fizyczną, teraz podjął się takiej bezkrwawej misji dyplomatycznej, z kobietami jako swymi pomocnikami, było niezwykłe. Pokazuje, jak bardzo zmienił swoje myślenie – albo jak bardzo chciał wywrzeć wrażenie na swoich nowych szefach.

Quanah i jego grupka jechali na zachód przez falujące równiny, wspięli się na Caprock Escarpment i przekroczyli płaskie, trawiaste tereny Wysokich Równin pod palącym letnim słońcem. W pobliżu granicy Teksasu z Nowym Meksykiem natknęli się na oddział czterdziestu czarnych żołnierzy z dziesiątego pułku kawalerii pod wodzą białego, kapitana Nicolasa Nolana. Szukali tej samej grupy komanckich uciekinierów, którzy – jak wszystko na to wskazywało – zaatakowali łowców bizonów. Schwytanie buntowników miało zapewnić niebieskim kurtkom chwałę, więc nie w smak im było, że to samo zadanie powierzono Quanahowi i że pułkownik Mackenzie zamierzał pozwolić „kryminalistom” na swobodny powrót do fortu Sill[672]. Quanah powiedział Nolanowi, że wie, gdzie są Indianie, i że zmierza na południowy wschód, aby ich odnaleźć. Było to jawne kłamstwo i osiągnęło zamierzony skutek. Żołnierze Nolana puścili się w gorączkowy pościg, ale w złym kierunku. W pośpiechu zlekceważyli konieczność odpowiedniego zaopatrzenia się w prowiant na wyprawę przez równiny w środku lata. Szybko skończyła im się woda. Musieli pić własny mocz oraz mocz swych koni, mieszając go z cukrem, żeby dało się to przełknąć. Zabili dwa konie i wypili ich krew. Cudem przeżyli[673]. Nigdy nie znaleźli żadnego Komancza.

Quanah nie miał tego typu problemów, ani z żarem z nieba i wyschniętą na wiór ziemią, ani z odszukaniem niepokornych Indian. Znalazł ich obóz nad rzeką Pecos i przez cztery dni spotykał się z mężczyznami na naradach, usiłując ich przekonać, że muszą porzucić życie na otwartych równinach. „Quanah powiedział nam, że dalsza

walka nie ma sensu, bo jeśli nie przestaniemy, biali wszystkich nas zabiją", napisał potem jeden z buntowników, Herman Lehmann, były jeniec, który stał się pełnoprawnym, zaprawionym w bojach komanckim wojownikiem. „Gdybyśmy poszli do rezerwatu, Wielki Biały Ojciec w Waszyngtonie nakarmiłby nas, dał nam domy i z czasem stalibyśmy się jak biali, mielibyśmy wiele dobrych koni i krów oraz ładne rzeczy do nałożenia na siebie". Może to brzmieć nieszczerze – przecież Quanah bardzo dobrze wiedział, jak wygląda życie w rezerwacie. Nie ma jednak powodu, by wątpić w jego nadzieje czy optymizm. Cała jego droga życiowa opierała się na tym szczególnie pogodnym spoglądaniu w przyszłość. Zawsze szczerze wierzył, że wszystko pójdzie lepiej, jeśli tylko zdoła przekonać swych ludzi do zmiany starych przyzwyczajeń. Jak zwykle przekonujący – sława zabójcy białych gwarantowała mu wiarygodność – namówił ich do powrotu, a potem towarzyszył w drodze do nowego domu. Mieli do pokonania dwieście pięćdziesiąt mil w linii prostej, znowu przez śmiertelnie niebezpieczne równiny. Teraz oczywiście grupa była o wiele większa, a więc i bardziej widoczna. Quanah nie ryzykował. Podróżowali tylko nocą. Porzucili trzysta koni. I tak nie uniknęli kilku napiętych spotkań z białymi, ale – jak opisywał Lehmann – Quanah zdołał swoją łamaną angielszczyzną wybronić swych ludzi[674].

20 sierpnia Quanah z pięćdziesięcioma siedmioma Indianami (prawdopodobnie wśród nich było nie więcej niż piętnastu zdolnych do walki mężczyzn) i jednym byłym białym jeńcem weszli do rezerwatu[675]. Kiedy Lehmann po raz pierwszy zobaczył niebieskie kurtki, ogarnął go strach. „Jechałem na czarnej klaczy, całkiem szybkim koniu – napisał we wspomnieniach. – Zawróciłem i pognałem ku górom Wichita, w obawie o swoje życie". Ale jego umiejętności jeździeckie nie mogły równać się z umiejętnościami Quanaha, który dogonił go po czterech milach i łagodnie przekonał do powrotu[676]. (Lehmann miał wtedy siedemnaście lat i zamieszkał z rodziną Quanaha, którego uważał za przybranego ojca. Został odesłany do rodzonej matki po trzech latach, w 1880 roku)[677]. To, że Quanah zdołał przyprowadzić wszystkich bez rozlewu krwi, zrobiło wrażenie na Mackenziem. Chwalił „wspaniałe zachowanie [młodego wodza] podczas niebezpiecznej wyprawy". Quanah, wykorzystując (a był w tym dobry) życzliwe usposobienie pułkownika, przekonał go, że nie należy wysyłać buntowników do więzienia w forcie Leavenworth. Tym także zaskarbił sobie wdzięczność współplemieńców.

Jeszcze więcej zyskał politycznie, skutecznie sprzeciwiając się rządowemu projektowi połączenia agencji Kiowów i Komanczów z agencją Wichita, co oznaczałoby, że niektórzy Komancze musieliby jechać aż pięćdziesiąt mil po odbiór racji. W 1880 roku był już uznanym wodzem Quahada, a także przywódcą, którego rady

najczęściej zasięgał agent do spraw Indian[678].

Mimo współpracy z białymi i zaangażowania na nowej ścieżce Quanah nie był jeszcze całkiem gotowy do pozbycia się marzeń o dawnym życiu. Razem z innymi prosił o pozwolenie na opuszczenie rezerwatu, by móc zapolować na bizony. Nie jest jasne, czy miały to być ostatnie łowy na bizony czy pierwsze z serii, ale w marcu 1878 roku grupce Komanczów i Kiowów, w tym kilku kobietom i dzieciom, wreszcie pozwolono wyjechać na polowanie, i to bez nadzoru. Wzbudziło to wielkie poruszenie wśród Indian. Być może chodziło im po prostu o potrzebę uhonorowania dawnych czasów, a może pragnęli pokazać dzieciom, kim naprawdę są. Mieli znowu wypuścić się na wielką oceaniczną pustkę, która tak bardzo przerażała *taibos*. Mieli zabijać i jeść, a także żółcią z woreczka żółciowego dosalać krwawiącą, surową wątrobę i pić ciepłe mleko z wymion wymieszane z krwią – przez krótką chwilę miało być tak, jak kiedyś. Pojechali na zachód z fortu Sill ku wysokim równinom, przepełnieni marzeniami i nostalgią. Zdawali sobie sprawę, że łowcy bizonich skór mocno przetrzebili stada. Nie mieli jednak nigdy wątpliwości, że pozostało wiele zwierząt, na które wciąż można zapolować.

To, co odkryli, było dla nich wstrząsem. Nigdzie ani jednego bizona, w każdym razie żywego – tylko niezliczone rozkładające się, cuchnące truchła zwierząt i kości bielejące w słońcu. Wydawało się czymś nieprawdopodobnym, że można przejechać sto mil i nie natrafić na choćby jednego bizona. Jeszcze niedawno, w czasie, gdy składali broń, coś takiego było niemożliwe. Rozczarowani – być może lepszym określeniem byłoby: ze złamanymi sercami – Quanah i jego grupka poszli dalej, w głąb Texas Panhandle, bez wątpienia o wiele dalej, niż przewidywała armia i agenci do spraw Indian. Quanah prowadził ich do starej kryjówki Quahada, majestatycznych skalnych blanków Palo Duro Canyon w północnej części Panhandle, niegdyś obfitującej w stada bizonów. To także była chwila pełna emocji. Większość uczestników wyprawy, z czułością nazywająca to miejsce Psią Prerią, wiedziała, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

Żaden z nich nie podejrzewał jednak, że biały człowiek mógłby teraz posiadać ten drugi co do wielkości kanion na Zachodzie. W ciągu trzech lat od zakończenia wojny nad Rzeką Czerwoną pewien przedsiębiorczy biały w istocie zdołał nabyć cały ten obszar. Charles Goodnight – ranger, który wytropił Petę Noconę nad rzeką Pease w 1860 roku, a potem Quanaha i jego brata w tym samym kanionie – teraz był wyłącznym właścicielem Palo Duro Canyon. Był też jednym z największych hodowców bydła w stanie, a jego imię nosiła jedna z głównych tras, którymi przepędzano krowy: Szlak Goodnighta-Lovinga, który otworzył w 1866 roku, aby

sprowadzać bydło na rynki w Nowym Meksyku i Kolorado.

Na ziemi leżał śnieg i trzymał mróz, kiedy Indianie weszli do kanionu, a ponieważ nadal nie znaleźli śladów bizonów, zaczęli zabijać krowy Goodnighta. Goodnight wyjechał na ich spotkanie. Intruzi byli w podłych nastrojach, dopiero co dowiedzieli się przecież, że ich święte kaniony „należą" teraz do kogoś innego. Okrążyli Goodnighta i jego tłumacza i zapytali, co tu robi. Odpowiedział: „Hoduję bydło". Zapytali prowokacyjnie, czy nie wie, że „ta kraina należy do nich". Odrzekł, że „słyszał o tym, iż roszczą sobie pretensje do tej ziemi, ale wielki kapitan Teksańczyków także twierdzi, że jest ona jego"[679]. Nastąpiły pertraktacje z Quanahem. Kiedy Goodnight zapytał go o imię, odpowiedział łamaną angielszczyzną: „Może dwa imiona – Pan Parker albo Quanah"[680].

Quanah zapytał Goodnighta, skąd jest, co było pytaniem z podtekstem i miało doprowadzić do uzyskania odpowiedzi, że jest jednym ze znienawidzonych Teksańczyków. Komancze zawsze wyraźnie odróżniali Teksańczyków od wszystkich pozostałych. W końcu to napór Teksańczyków położył kres ich sposobowi życia. Goodnight skłamał i powiedział, że jest z Kolorado, a Indianie natychmiast spróbowali dowieść, że mija się z prawdą, przepytując go z wszelkich charakterystycznych elementów ukształtowania terenu oraz biegu rzek w Kolorado. Ponieważ Goodnight wytyczył kiedyś szlak bydlęcy do Denver i jeszcze dalej, potrafił udzielić poprawnych odpowiedzi na wszystkie pytania. Quanah, zadowolony, że mężczyzna naprzeciw niego to nie Tejano, oznajmił, iż jest gotów zawrzeć z nim traktat. „Teraz możemy rozmawiać o interesach – powiedział wódz. – Co masz?". Goodnight odparł: „Mam mnóstwo karabinów i kul, mężczyzn dobrych w boju i celnie strzelających, ale nie chcę walczyć, chyba że mnie do tego zmusisz. Zachowujcie porządek i nie sprawiajcie kłopotów, to każdego dnia dam wam dwa woły do zjedzenia, aż znajdziecie bizony"[681]. Quanah się zgodził – i tak został zawarty „traktat" między legendarnym wodzem Komanczów a ranczerem, którego nazwano Mężczyzną w Leopardzim Płaszczu (odtąd kolejne dwa pokolenia uczniów w Teksasie musiały się uczyć o tym dziwacznym porozumieniu). Kilka dni później przybyło dwudziestu pięciu czarnych żołnierzy, dowodzonych przez białego porucznika, żeby zająć się problemem zagrożenia ze strony Indian. Wezwał ich wcześniej Goodnight, ale teraz zapewnił, że problem został rozwiązany i że Indianie pozostaną tu przez następne trzy tygodnie.

Doszło jednak do incydentu, w którym Quanah na krótko dał upust głęboko zakorzenionemu instynktowi wojownika. Warto o tym wspomnieć, ponieważ w czasie jego życia w rezerwacie nie wydarzyło się nic takiego, co choćby w minimalnym stopniu to przypominało: Quanah naprawdę zostawił za sobą dotychczasowe życie;

nieudane polowanie wydawało się tylko praktycznym pomysłem, skromnym gestem, mającym złagodzić ból ludzi, którzy wszystko stracili. Komancze i Kiowowie od dawna czuli się nieswojo w zetknięciu z czarnymi żołnierzami, których nazywali „bizonimi żołnierzami" z powodu ich gęstych, kędzierzawych włosów: Indianom przypominały one grube futro na szyjach bizonów. Uważali to za wrogą magię, a Murzyni byli jedynymi przeciwnikami, których nie skalpowali. Gdy wybuchła walka między żołnierzami a Indianami, Goodnight zawołał Quanaha i porucznika, żeby wspólnie omówić sytuację. Porucznik powiedział przez tłumacza, że jeśli Indianie się nie uspokoją, odbierze im broń. Quanah odpowiedział po hiszpańsku: „Możecie wziąć naszą broń", po czym wskazał na tyczki do tipi i stwierdził: „Ich użyjemy na negrów". Przekaz był taki: nie zamierzał marnować kul na bizonich żołnierzy, a do obrony przed nimi wystarczyłyby mu tyczki do namiotu[682]. Była to dobrze znana, agresywna arogancja Komanczów, teraz ograniczona do czczych gróźb. Odkąd Quanah zamieszkał w rezerwacie, nigdy czegoś podobnego u niego nie zauważono; być może był to ostatni raz, kiedy sobie tak pofolgował. Wrócił ze swoimi ludźmi do fortu Sill, nie ujrzawszy ani jednego bizona. Indianie na zawsze pozbyli się jakichkolwiek wątłych nawet nadziei na powrót, choćby na chwilę, do starych zwyczajów. Wszystkie bizony były martwe, a biały człowiek władał świętym kanionem.

O głębokiej transformacji, jakiej uległo życie Quanaha w rezerwacie, zadecydował krowi biznes, który pod koniec lat siedemdziesiątych odmienił całe zachodnie pogranicze. Szalały jeszcze wojny z Indianami, lecz hodowla bydła i handel nim w Teksasie, mające swe źródła w hiszpańskich misjach z połowy XVII wieku, stale się rozwijały. W 1830 roku w stanie było około stu tysięcy sztuk bydła, trzydzieści lat później od czterech do pięciu milionów[683]. Wprawdzie wojna secesyjna na pewien czas wstrzymała ten rozwój, ale pod koniec lat sześćdziesiątych interes bydlęcy w Teksasie znów kwitł i trzeba było szukać rynków zbytu. Wielkie spędy bydła na północ zaczęły się na dobre w 1866 roku: wyhodowane w Teksasie krowy pędzono do stacji kolejowych w Kansas. Szlaki rozrastały się geometrycznie wraz z poddaniem się Komanczów i Kiowów. Wiele krów pędzono Szlakiem Zachodnim, który prowadził przez fort Griffin, przecinał Rzekę Czerwoną i biegł na północ do Dodge City. Tak się złożyło, że wiódł on przez sam środek rezerwatu Komanczów i Kiowów w Oklahomie.

Takie wtargnięcia nie były ani niewinne, ani przypadkowe. Kowboje często wkradali się na teren rezerwatu, czasami na całe tygodnie, żeby paść tu krowy obfitą trawą, która oczywiście należała do Indian. To samo robili dostawcy wołowiny dla mieszkańców rezerwatu. Rzecz jasna, było to niezgodne z prawem, ale brakowało

żołnierzy, którzy mogliby pilnować porządku. Co więcej, wielu potężnych ranczerów na południe od Rzeki Czerwonej, w obliczu rywalizacji o ziemie do wypasu, też zaczęło spoglądać z pożądaniem na te same trawiaste tereny rezerwatu.

Reakcję Indian można porównać do wymuszania haraczu. Quanah jako pierwszy zorientował się, jak należy skutecznie działać. Grupy uzbrojonych Komanczów – nie można ich nazwać wyprawami wojennymi, ale też nie były szczególnie przyjazne – patrolowały południowe i zachodnie części rezerwatu, czyhając na stada przekraczające granice. Niejaki Julian Gunter, poganiacz, wspominał spotkanie z „wielką bandą Indian", która jechała powoli dookoła jego stada. Stojący na ich czele Quanah pouczył go: „Twój rząd dał tę ziemię Indianom, żeby mogli na niej polować. Ale ty przez nią przejeżdżasz i odstraszasz zwierzynę, a twoje krowy jedzą trawę, co sprawia, że bizony odchodzą, a Indianie głodują". Domyślając się, czego oczekiwali Indianie, Gunter pozwolił im wybrać sześć „grubych krów" ze swego stada i dopiero wtedy mógł odjechać w spokoju[684]. Innym razem Quanah w podobny sposób zmusił hodowcę G. W. Robersona, by „dał mu wołowinę". Roberson tłumaczył później: „Musieliśmy być spolegliwi wobec tych draniów. W przeciwnym razie przyszliby nocą i rozpędzili twoje konie lub bydło. A mężczyźni woleli dać im wołowinę, niż pozwolić, żeby rozpędzono im konie"[685]. Niektórzy donosili nawet, że Quanah pobierał opłaty w wysokości jednego dolara za wóz oraz dziesięciu centów za sztukę bydła[686]. Po zapłaceniu kowboje mogli liczyć na ochronę ludzi Quanaha podczas podróży przez rezerwat. „Ochrona" obejmowała także poradę w kwestii najlepszej trasy oraz źródeł wody. Ci, którzy odmawiali współpracy, płacili w inny sposób: pewna grupa za jednym razem straciła na rzecz Komanczów dwieście dziewięćdziesiąt pięć sztuk bydła. Quanah nie wahał się też pogrywać ostro z innymi Indianami w rezerwacie. Raz zameldował nawet agentowi, że Kiowa wybierają sztuki bydła ze stad idących na północ i napadają na kowbojów, a jednocześnie sam zdołał uzyskać od niego oficjalne pozwolenie na praktykowanie identycznej formy szantażu[687].

To jednak były drobnostki. O wiele ważniejsze było pytanie, czy Indianie powinni robić to, co robili wszyscy inni w Ameryce, a więc oddawać w dzierżawę nieużywane pastwiska – w ich przypadku spółkom białych hodowców. Mogło zaskakiwać to, że kwestia ta budziła kontrowersje, wziąwszy pod uwagę fakt, iż Indianie mieli w rękach ponad trzy tysiące mil kwadratowych pierwszorzędnej ziemi na wypas. Wielu z nich, w tym większość Kiowów i część Komanczów, uważało to za zły pomysł. Obawiali się, że dzierżawy zachęciłyby białych do przejęcia ziemi i uniemożliwiłyby samym Indianom zajęcie się hodowlą w przyszłości. Poza tym taki niepotrzebny przychód w postaci „pieniędzy z trawy" rozleniwiłby tylko młodych ludzi i pchnął w objęcia

hazardu. Inni, do których należał Quanah, widzieli tu uczciwy zarobek na czymś, co i tak już było faktem. Pieniądze można by było potem przeznaczyć na stworzenie indiańskich stad. Ziemi było pod dostatkiem: około dwóch milionów akrów, a trzydzieści pięć spółek hodowców już dobijało się o pozwolenie na dzierżawę.

Ostra walka polityczna dotycząca tej sprawy trwała od 1880 do 1884 roku. Quanah szybko wyrósł na przywódcę frakcji zwolenników dzierżawy. Kilka razy wybrał się do Waszyngtonu, by znaleźć poparcie dla swego stanowiska. Podczas jednego ze spotkań z sekretarzem spraw wewnętrznych pogardliwie skrytykował swych przeciwników, mówiąc: „Nie umiem powiedzieć, na czym polegają ich zarzuty, mogę jedynie stwierdzić, że brak im zdrowego rozsądku. Są jak mastodonty, wciąż dziko żyjące, i nie mają wystarczająco rozumu, by widzieć korzyści, jakie z tego płyną". Z kolei jego rywale – Słyszący Wschód Słońca, Eschiti, Samotny Wilk, Biały Wilk i wielu Kiowów – twierdzili, że Quanah dał się przekupić hodowcom.

W pewnym sensie mieli rację. Quanah otrzymywał trzydzieści pięć dolarów miesięcznie od jednej z większych spółek. Hodowcy, którzy zaciekle walczyli o dzierżawienie indiańskich ziem, traktowali go jako swego rzecznika, a on bardzo dobrze się sprawdzał w tej roli, ponieważ był przekonany, że interes jego ludu pokrywa się z interesem hodowców. Bardzo też prawdopodobne było to, że biali ranczerzy mieli wkład w utworzenie i rozwój jego własnego stada, a także opłacali jego podróże do Waszyngtonu, by równoważyć wysiłki antydzierżawczych lobbystów, takich jak Słyszący Wschód Słońca, którzy również odwiedzali stolicę i wielokrotnie domagali się, żeby odebrać Quanahowi prawo do wypowiadania się w imieniu wszystkich Komanczów[688].

Z pozoru układ Quanaha z hodowcami może wyglądać jak zwykła korupcja. Ale można go tak postrzegać tylko wtedy, gdy opieramy się na kryteriach, które nie obowiązywały na pograniczu. Quanah używał w tej grze tych samych środków co wszyscy. Niemal każdy, kto był stroną w sporach o dzierżawy, stawał w obliczu poważnego konfliktu interesów. Eschiti, który sprzeciwiał się dzierżawom, kierował własną bandą, chroniącą dwutysięczne stado krów pasących się nieprzerwanie na indiańskiej ziemi. Tak samo Permamsu, kuzyn słynnego komanckiego wodza Dziesięciu Niedźwiedzi[689]. Agent do spraw Indian, pisarz agencji (*agency clerk*)[114] i inni urzędnicy otrzymywali wynagrodzenie od hodowców albo mieli własny interes w tym, by ziemie indiańskie zostały wydzierżawione (za swoje machinacje agent został ostatecznie zwolniony). Czterech innych Komanczów także było na liście płac hodowców, tak samo jak mieszkający na terenie rezerwatu *squaw men* – „mężowie Indianek", czyli biali, którzy poślubili Indianki. Łapówki były czymś powszechnym. To

był świat, w którym Quanah uczył się funkcjonować; tu pobierał lekcje, jak robi się interesy na wynędzniałym Amerykańskim Zachodzie końca XIX wieku, gdzie zaciskanie pasa było nieustanną koniecznością, a konflikty interesów były regułą, a nie wyjątkiem. Ofiarami często padali Indianie, których oszukiwano albo okradano. O ile wiadomo, nikt nigdy nie zdołał oszukać Quanaha. Zbyt dobrze opanował zasady gry i zawsze był o krok przed innymi, nie wyłączając białych hodowców. Grał zgodnie z obowiązującymi zasadami – tak jak je rozumiał – i był w tym równie dobry jak większość białych. Szczerze też wierzył, że zarabianie na nieużywanych terenach leżało w interesie jego ludu.

Miał rację. Okazał się bezdyskusyjnym zwycięzcą, kiedy w 1884 roku mieszkańcy rezerwatu zagłosowali za dzierżawami. Prawa do indiańskich pastwisk przyznano hodowcom, których wskazał sam Quanah. Kiedy sekretarz spraw wewnętrznych zapytał go wprost, czy dostał pieniądze za swoją pracę, Quanah odparł: „Nic mi nie zapłacili za dzierżawę". W sensie dosłownym była to może i prawda: znalazł się na liście płac hodowców, zanim jeszcze rozpoczęto rozmowy o dzierżawach. Ostatecznie Indianie otrzymali sześć centów za akr rocznie, a ziemię oddano w dzierżawę na sześć lat. Później cenę podniesiono do dziesięciu centów. Hodowcy zgodzili się też zatrudnić czterdziestu czterech Indian jako kowbojów, co można uznać za klientelizm: Quanah dbał o swoich ludzi.

Kiedy podpisano już umowy o dzierżawę, Quanah zaczął jeszcze intensywniej zabiegać o pozycję głównego wodza Komanczów – tytuł, który nigdy wcześniej nie istniał. W historii tego ludu nie było jednego przedstawiciela wszystkich ani też potrzeby scentralizowanej władzy politycznej. Teraz się pojawiła. Quanah został mianowany sędzią Sądu Wykroczeń Indiańskich, osobliwej instytucji, która wymierzała sprawiedliwość będącą mieszanką angielskiego prawa zwyczajowego i komanckiej tradycji plemiennej. Jego coraz większe polityczne wpływy miały decydujące znaczenie dla powstrzymania rozprzestrzenienia się kultu Tańca Ducha wśród Komanczów i Kiowów – ten sam kult doprowadził do niesławnej masakry Miniconjou, grupy Siuksów nad potokiem Wounded Knee w Dakocie Południowej w 1890 roku. Chwalono go za to nawet w prasie krajowej. Taniec Ducha był napędzany apokaliptyczną wizją powrotu nieżywych Indian oraz zagłady lub zniknięcia białych. Quanah, który był świadkiem fatalnych skutków wiary we wspaniałe wizje Eschitiego w Adobe Walls, od samego początku sprzeciwiał się Tańcowi Ducha i go krytykował. W liście do agenta stwierdził:

> Słyszę, że koway [Kiowa] i shianis [Szejeni] mówią, że są Indianie, [którzy] przychodzą z nieba i chcą, żebym zabrał moich Ludzi i wybrał się, by ich zobaczyć. Ale mówię im, że chcę, żeby moi Ludzie pracowali i nie

zwracali na to uwagi, i że zależymy od Rządu, który nam pomaga, a nie od nich[690].

Jednocześnie kwitły jego interesy. Stworzył własne stado krów dzięki darom od hodowców, bezpośrednim zakupom i sztucznej selekcji – w ten sposób zgromadził prawie pięćset sztuk. Jego nowy przyjaciel Charles Goodnight podarował mu buhaja rasy durham do rozpłodu. Quanah został dostawcą żywności dla własnego ludu: tylko w 1884 roku sprzedał agencji czterdzieści sztuk bydła, zarabiając na transakcji czterysta dolarów. Dorobił się też pastwiska wielkości czterdziestu czterech tysięcy akrów, które szybko stało się znane jako Pastwisko Quanaha. Część wydzierżawił białym hodowcom, którzy płacili mu bezpośrednio. Jego farma, którą zarządzał biały człowiek, obejmowała powierzchnię stu pięćdziesięciu akrów. Miał też dwieście świń, trzy wozy i jeden powóz typu *buggy*.

Kilka lat wcześniej, w 1886 roku, Quanah stał się jeszcze bardziej znany dzięki publikacji pierwszej książki o jego matce Cynthii Ann. Książkę napisał James T. DeShields i zyskała ona wielką popularność na Południowym Zachodzie. Każdy, kto jeszcze nie znał pochodzenia Quanaha, teraz dowiedział się o nim ze szczegółami. Książka zawierała jego fotografię oraz opis, który mu schlebiał i był zarazem trafny:

> Quanah mówi po angielsku, jest bardzo zaawansowany cywilizacyjnie oraz ma ranczo ze sporą liczbą zwierząt gospodarskich, a także małą farmę; nosi czarny garnitur białego obywatela i zachowuje się jak przystało na człowieka cywilizowanego, pozostając przy tym przystojnym i pełnym godności synem równin. […] Jest wysoki, muskularny, trzyma się prosto jak strzała; patrzy ci prosto w oczy, ma bardzo ciemną skórę, doskonałe zęby oraz ciężkie kruczoczarne włosy – budzące zazdrość w kobiecych sercach. […] Ma okazały powóz z zaprzęgiem dwóch dopasowanych siwków[691].

Taki właśnie obraz siebie – statecznego, prosperującego obywatela – coraz bardziej Quanah pragnął przedstawiać reszcie świata. Niezależnie jednak od chęci kroczenia ścieżką białego człowieka na pewne kompromisy nigdy się nie zgodził. Nosił długie włosy, splatał je i nigdy ich nie ścinał. Nadal miał kilka żon. Kiedyś komisarz do spraw Indian zapytał go, czemu nie zgadza się pozbyć „dodatkowych” żon. Quanah odpowiedział:

> Dawno temu żyłem swobodnie pośród bizonów na równinach palisadowych i miałem tyle żon, ile chciałem, zgodnie z prawami mojego ludu. Wyprawiałem się na wojny do Teksasu i Meksyku. Chcieliście, żebym przestał walczyć, i cały czas słaliście mi komunikaty: „Przestań, Quanah”. Nie pytaliście wtedy: „Ile masz żon, Quanah?”. Przyszedłem i siedzę tu, tak jak chcieliście. Mówisz o żonach. Którą mam wyrzucić? Ty, mała dziewczynko, idź sobie, nie masz ojca. Ty, maluchu, idź stąd. Ty wybierzesz, kto ma sobie pójść?[692]

Największym osiągnięciem i przedmiotem największej dumy Quanaha był niezwykły dom, który zbudował w 1890 roku. Historia jego powstawania była iście

„quanahowska”. Warto ją przytoczyć, ponieważ dobrze ukazuje charakter tego człowieka. Gdy wielu jego współplemieńców dostało od rządu fundusze na budowę typowych wąskich domów za trzysta pięćdziesiąt dolarów, zwanych *shotgun shacks*, którymi usiany był rezerwat, Quanah zadowalał się życiem w tipi, latem zaś często przebywał w tradycyjnej komanckiej altanie z gałęzi. Ale pod koniec lat osiemdziesiątych jego status wśród Komanczów był już tak wysoki, że Quanah zaczął potrzebować czegoś lepszego. Znacznie lepszego. Kiedy przemyślał sprawę, doszedł do wniosku, że tym czymś byłby dziesięciopokojowy, dwupiętrowy drewniany dom – na tyle wspaniały i okazały, że nie powstydziłby się go żaden ranczer na równinach, i jakiego absolutnie żaden Indianin w rezerwacie nigdy nie miał.

Problemem były jednak pieniądze potrzebne na budowę. Oczywiście Quanah mógł liczyć na pomoc kilku hodowców, swoich starych znajomych, takich jak Burk Burnett i Daniel Waggoner. Było jeszcze lepsze rozwiązanie, mianowicie rząd, który na pewno był coś winien Quanahowi. A najlepszy ze wszystkiego był fortel, który na koniec wymyślił Quanah. Wysłał swego białego dzierżawcę i przybranego syna Davida Granthama[693] do agenta do spraw Indian z informacją, że potrzebuje wsparcia finansowego przy budowie domu i że jeśli go nie otrzyma, to „odwiedzi hodowców i zdobędzie pieniądze” – osobliwy rodzaj groźby, ale jak się okazało, skuteczny. Agent Charles Adams poprosił Urząd do spraw Indian o pięćset dolarów na budowę domu Quanaha, twierdząc, iż „jest on Indianinem, który zasługuje na wsparcie rządu”. Prośbę odrzucił Thomas J. Morgan, komisarz do spraw Indian i przy tym zagorzały baptysta, któremu bardzo nie podobała się poligamia Quanaha.

Quanah nie rezygnował. Razem z Adamsem słali kolejne listy do Waszyngtonu, omijając nawet Morgana i zwracając się bezpośrednio do jego szefa, sekretarza Departamentu Spraw Wewnętrznych. Niemal wszystkie ważne osoby w forcie Sill, nie wyłączając komendanta, podpisały wniosek Quanaha, który argumentował, że inni, którzy tak jak on mieli po kilka żon, w tym mniej ważny wódz Penateków, otrzymali fundusze na budowę domu i że traktuje się go niesprawiedliwie z powodu pradawnego zwyczaju jego ludu. Nie zamierza zgodzić się na wyrzucenie swych żon ani nie pójdzie na żaden kompromis. Taki był Quanah: ponaglający, żądający, zawsze szukający korzyści, zawsze negocjujący, ale nigdy nieodstępujący od swych zasad. Morgan również nie zmienił zdania. Napisał:

> Ponieważ zachęcanie do poligamii czy aprobowanie jej w jakikolwiek sposób jest sprzeczne z polityką tego urzędu, Parker nie otrzyma żadnego wsparcia w budowie domu, chyba że zgodzi się, na piśmie, dokonać wyboru między swoimi żonami i żyć tylko z jedną, którą wybierze, a także zapewnić byt pozostałym żonom, nie żyjąc z nimi[694].

Quanah oczywiście odrzucił to ultimatum.

Tak więc przywilej pomocy w sfinansowaniu nowego domu Quanaha ostatecznie i tak przypadł hodowcom, a wśród nich przede wszystkim Burkowi Burnettowi. Hodowcy z radością na to przystali, choć nie wiadomo, ile dokładnie zapłacili. Quanah na pewno miał też spore własne oszczędności. W 1890 roku ukończono budowę. Dom faktycznie miał dziesięć pokoi, dwa piętra, drewnianą oblicówkę, a jego postawienie kosztowało ponad dwa tysiące dolarów. Ściany były obite boazerią, pokoje miały wysokość dziesięciu stóp. W domu była oficjalna jadalnia z wytapetowanymi ścianami, długim stołem i żelaznym piecem, w którym palono drewnem. Budynek miał znakomitą lokalizację: wzniesiono go na wyżej położonym terenie, u stop gór Wichita. Quanah dodał później do obu pięter szerokie werandy, których zadaszenie było podtrzymywane przez szereg pomalowanych na biało słupów, oraz kazał wymalować wielkie białe gwiazdy na dachu. Jego dom znano jako Star House, czyli Dom z Gwiazdami. Budynek istnieje do dzisiaj. Był dwukrotnie przenoszony. Jeden z wielkich, zapomnianych skarbów Amerykańskiego Zachodu stoi dziś na działce przy nieczynnym parku rozrywki, za indiańską faktorią w Cache, w Oklahomie.

Wspaniały nowy dom Quanaha przedstawiał widok bez precedensu w historii Komanczów; to było możliwe tylko w dziwacznym, niemal nierzeczywistym świecie rezerwatu. Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego. Quanah miał w sumie osiem żon (jedną z nich była Weckeah, kobieta, z którą uciekł), z siedmioma z nich ożenił się, żyjąc już w rezerwacie. Miał z nimi dwadzieścioro czworo dzieci, z których pięcioro zmarło w wieku niemowlęcym. Zdjęcia jego żon zrobione w ostatnich dwóch dekadach XIX wieku ukazują uderzająco atrakcyjne kobiety. Quanah lubił kobiety i w jakiś sposób udawało mu się je zatrzymać, mimo że doprowadzał je do furii, nieustannie zabiegając o względy kolejnych[695]. Wbrew temu, co twierdził, wielożeństwo przestało być istotnym elementem kultury Komanczów. Poligamia miała przede wszystkim zapewniać dodatkowe ręce do pracy przy oprawianiu bizonów i garbowaniu zwierzęcych skór. Te czasy już się skończyły. Quanah miał żony po prostu dlatego, że ich chciał i mógł sobie na nie pozwolić. Jego olbrzymia rodzina szybko powiększyła się o białych członków: jego dwie córki poślubiły białych mężczyzn. On sam zaadoptował i wychował dwóch białych chłopców, przy czym jednego z nich znalazł w cyrku w San Antonio i przygarnął od razu[696]. Na trzy lata zaadoptował Hermana Lehmanna, a Lehmann tak przywiązał się do swojej komanckiej rodziny, że w 1901 roku wystąpił o przyznanie mu statusu pełnoprawnego członka plemienia[697]. Pewien młody człowiek, Dick Banks, zjawił się kiedyś przed Domem z Gwiazdami tylko dlatego, że chciał zobaczyć Quanaha; zaoferowano mu łóżko i został już na

zawsze[698]. Członkowie rodziny mieszkali albo w domu, albo w tipi przed domem. Dookoła był płot z pomalowanymi na biało sztachetami. Na zdjęciach z tego okresu widać dom i werandy dosłownie oblepione ludźmi.

Na ten niezwykły obrazek składała się nie tylko własna rodzina Quanaha. Obok jego domu zawsze było rozbitych wiele tipi. Wynikało to po części z niewyczerpanej szczodrości Quanaha – przez cały okres życia w rezerwacie karmił wielu głodnych Komanczów i nigdy nikomu nie odmówił[699]. Zdaniem znających go ludzi żywienie współplemieńców było głównym powodem, dla którego utrzymywał własne stado krów. Przychodziło do niego wielu chorych Komanczów, którzy pragnęli otrzymać modlitwy – często wiązało się to z ceremoniami pejotystycznymi (będzie o nich mowa później) – albo wiedzieli, że Quanah zajmie się organizacją pogrzebu. Większość układano w łóżkach w Domu z Gwiazdami, co oznaczało, że członkowie rodziny Quanaha musieli spać w tipi[700]. Jego sława jako uzdrowiciela przyciągała też białych i przynajmniej jeden z nich twierdził, że został uleczony przez Quanaha[701].

Bez przerwy przyjeżdżali też goście, biali i Indianie, których przyjmowano w jadalni, oficjalnym pomieszczeniu ze ścianami pokrytymi tapetą i boazerią, sufitem ozdobionym płytkami odlanymi z cyny i stołem, przy którym mogło wygodnie usiąść dwanaście osób[702]. W domu Quanaha wspaniale podawano do stołu. Zatrudnił białe kobiety, żeby nauczyły jego żony gotować, a przez dziesięć lat miał białą służącą, rosyjską imigrantkę, która nazywała się Anna Gomez[703]. Wśród gości, którzy przez te lata odwiedzali Quanaha, byli: generał Nelson A. Miles, który tropił go w czasie wojny nad Rzeką Czerwoną, jego sąsiad Geronimo, wódz Kiowów Samotny Wilk, Charles Goodnight, komisarz do spraw Indian R. G. Valentine, ambasador brytyjski lord James Bryce, Eschiti, Burk Burnett i Daniel Waggoner, a także sam prezydent Teddy Roosevelt. Chociaż Quanah niezmiennie odmawiał wspominania swojej przeszłości komanckiego wojownika, z upodobaniem rozprawiał o plemiennej polityce oraz o swych częstych podróżach do Waszyngtonu. Uwielbiał żartować. Często gościł rodzinę niejakich Millerów i któregoś razu stwierdził, że biali wypchnęli Indian z ich ziemi. Kiedy pan Miller zapytał, jak biali to zrobili, Quanah kazał mu usiąść na pniu topoli na podwórku. Sam zajął miejsce obok niego i powiedział: „Przesuń się”. Miller się przesunął. Parker zrobił to samo i znowu znalazł się blisko Millera. „Przesuń się”, powtórzył. Robili tak, aż w końcu Miller spadł z pnia. „Właśnie tak”, wyjaśnił Quanah[704].

W 1890 roku nagłówek na papierze listowym Quanaha informował: „Quanah Parker: Główny Wódz Komanczów”, którego to tytułu używał za zgodą agenta. Nigdy wcześniej w historii plemienia nie było takiej osoby. Ani nigdy potem. Nadal miał

rywali, w tym wiecznie mu ustępującego Eschitiego, ale rzeczywistość uznana przez białego człowieka, a także większość Komanczów, była taka, że Quanah był najważniejszym przywódcą. Jeśli – jak na początku XX wieku sugerował Francis Scott Fitzgerald – w życiu Amerykanów nie ma drugiego aktu, to Quanah musiał być wyjątkiem od tej reguły. Życie większości jego rodaków jednak świetnie pasuje do tezy Fitzgeralda. Tego roku większość dorosłych mężczyzn wciąż żyła w tipi, nosiła długie włosy jak w czasach sprzed rezerwatu, prawie wcale albo wcale nie mówiła po angielsku, wybierała usługi swoich szamanów, a nie białych lekarzy, nosiła stroje ze skór zwierzęcych i koce, a także lekceważyła rolnictwo jako zajęcie godne kobiet.

Podczas gdy Quanahowi się wiodło, w życiu jego przyjaciela Ranalda Slidella Mackenziego nieoczekiwanie zachodziły smutne zmiany, które doprowadziły do tragedii. Nie nastąpiła ona od razu. Przez kilka lat po wojnie nad Rzeką Czerwoną Mackenzie był jednym z bardziej cenionych oficerów w armii Stanów Zjednoczonych. Kierując agencją w forcie Sill, potwierdził swoje zalety. Być może jako zarządca bywał gwałtowny i łatwo wpadał w gniew, ale jednocześnie cechowały go solidność, uczciwość oraz poczucie sprawiedliwości i zdobył szacunek wszystkich zamieszkujących rezerwat grup: Kiowów, Apaczów i Komanczów. Jedno charakterystyczne zdarzenie ukazuje jego surowy i zdecydowany styl administrowania. W 1876 roku grupa Komanczów nielegalnie opuściła rezerwat, a potem po cichu powróciła. Mackenzie się o tym dowiedział i rozkazał wodzom aresztować „przestępców". Ci, zamiast się zastosować do rozkazu, przyszli do jego gabinetu, by pertraktować. Była to typowa taktyka Indian: negocjować, wahać się przez dłuższy czas i na koniec znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Mackenzie cierpliwie słuchał przez pół godziny ich przemów, jednocześnie dyskretnie każąc swym żołnierzom przygotować konie i szykować się do bitwy. Potem uniósł się zza biurka i spokojnie powiedział: „Jeżeli nie przyprowadzicie tu buntowników w ciągu dwudziestu minut, to pójdę do ich obozów i wszystkich zabiję". I wyszedł. Winowajcy szybko się znaleźli[705].

Sheridan miał tak dobrą opinię o Mackenziem, że wysłał go wraz z jego wypróbowanym czwartym pułkiem kawalerii na północ, na miejsce klęski Custera nad Little Bighorn w 1876 roku. Nim upłynęły dwa miesiące od śmierci Custera, Mackenzie objął dowodzenie zarówno nad Okręgiem Black Hills (Gór Czarnych), jak i Camp Robinson, fortem, który chronił agencję Siuksów Czerwonej Chmury. Kiedy duża grupa Siuksów wyśmiała rozkaz Mackenziego, by powrócić do rezerwatu, natychmiast wezwał osiemnaście kompanii i o świcie otoczył wioskę Indian. Dwustu

trzydziestu dziewięciu mężczyzn poddało się, razem z siedmiuset dwudziestoma dziewięcioma końmi.

Tej zimy kazano Mackenziemu pokierować kolejną większą kampanią: ekspedycją nad rzekę Powder przeciw Szejenom Północnym i ich wodzowi Tępemu Nożowi, grupie, która brała udział w zlikwidowaniu oddziału Custera. Przy obfitych opadach śniegu, w temperaturze poniżej zera, Mackenzie z ośmiuset osiemnastoma żołnierzami i trzystu sześćdziesięcioma trzema indiańskimi zwiadowcami zaatakowali wioskę Tępego Noża o świcie 25 listopada 1876 roku. Rozgromili Indian, zabijając dwudziestu pięciu i raniąc wielu więcej, a także zdobywając pięćset koni i tracąc przy tym zaledwie sześciu ludzi. Kiedy w kwietniu Tępy Nóż usłyszał, że Mackenzie wciąż go ściga, poddał się. „Jesteś jedynym, którego się bałem, gdy przybyłeś tu ostatniego lata", powiedział pułkownikowi. Dwa tygodnie później Szalony Koń i ośmiuset osiemdziesięciu dziewięciu Siuksów poddało się Mackenziemu w agencji Czerwonej Chmury. W ten sposób zakończyła się wojna ze Siuksami i Szejenami[706]. Ta kapitulacja jest swojego rodzaju ramą dla bliźniaczych losów Custera i Mackenziego: pierwszy z nich miał zyskać wieczną sławę i chwałę, drugi pogrążyć się w nicości i zapomnieniu.

Mackenzie stał się ulubionym dowódcą Shermana i Sheridana na Zachodzie, tak jak wcześniej był ulubionym młodszym oficerem Granta podczas wojny secesyjnej. To jego wysyłali tam, gdzie sytuacja była trudna. W 1877 roku wezwano go na pogranicze, żeby poskromił bandytów. W 1879 i 1881 roku rozprawiał się ze zbuntowanymi Ute w Kolorado, dając im ultimatum podobne do tego, jakie parę lat wcześniej postawił Komanczom w forcie Sill – z takim samym rezultatem. Zdusił powstanie Apaczów w Nowym Meksyku i w ogóle był tak skuteczny w radzeniu sobie z Indianami, że gubernator i obywatele tego stanu zażądali jego awansu na generała brygady. Otrzymał promocję w październiku 1881 roku przy entuzjastycznym wsparciu byłego prezydenta Ulyssesa S. Granta.

Jednak już wtedy działo się z nim coś strasznego. Wkrótce po awansie napisał list do przełożonych z dziwaczną prośbą o przydzielenie go do służby w sądzie wojennym albo wojskowej komisji zajmującej się emeryturami. Bardzo niewyraźny charakter pisma sugerował, iż autor listu przeszedł udar mózgu. Zwykle twardy jak skała Mackenzie prosił o proste zadania, ponieważ wycierpiał „w ciągu ostatnich dwóch lat o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać"[707]. To była pierwsza oznaka fatalnych zmian, jakie zachodziły w jego głowie.

Mimo to powierzono mu dowodzenie Departamentem Teksasu, którego siedzibą było San Antonio. Tam stan czterdziestoczteroletniego generała brygady zaczął się

gwałtownie pogarszać. Chociaż przez całe życie wystrzegał się alkoholu, teraz z niewiadomego powodu zaczął pić, i to dużo. Jego dziwactwa, szczególnie jego niecierpliwość i drażliwość, się pogłębiły. Po raz pierwszy – nikt przynajmniej wcześniej tego nie zauważył – zaczęto go widywać z kobietą, trzydziestoczteroletnią Floridą Sharpe, w której się zakochał pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy służył w sądzie wojennym (w owym czasie była żoną lekarza jednostki). 9 grudnia 1882 roku lekarz wojskowy rozpoczął leczenie dziwnego zachowania Mackenziego. 10 grudnia kwatermistrz stwierdził, że jego zdaniem Mackenzie postradał zmysły. Tydzień później generał zaręczył się z panią Sharpe, wiadomo też było, że kupił posiadłość w pobliskim miasteczku Boerne, gdzie planował osiąść na emeryturze. 18 grudnia wypił za dużo i wdał się w bójkę z dwójką miejscowych. Nie mając pojęcia, kim jest, pobili go tak strasznie, że stracił przytomność, a napastnicy przywiązali go do fury i tak go znaleziono następnego dnia. Kilka dni później wsadzono go do pociągu pod pretekstem, że Sheridan musi porozmawiać z nim o czymś ważnym w Waszyngtonie. 29 grudnia umieszczono go w zakładzie dla obłąkanych Bloomingdale w Nowym Jorku. 5 marca komisja emerytalna zdecydowała – mimo protestów Mackenziego – że jest szalony i w związku z tym nie może pełnić służby.

Przez resztę życia coraz bardziej pogrążał się w szaleństwie. Pozostał w zakładzie dla obłąkanych do czerwca, wciąż protestując przeciw przymusowemu przeniesieniu na emeryturę. Potem zamieszkał u siostry w swoim domu rodzinnym w Morristown, w New Jersey. Planował wrócić do Teksasu i swej posiadłości w Boerne, ale nigdy już się nie ruszył z Morristown. Pani Sharpe nigdy o nim nie wspomniała. Jego fizyczne i psychiczne zdrowie wciąż podupadało; stawał się coraz bardziej zdziecinniały, aż w którymś momencie nie można go było zrozumieć. Umarł w szpitalu w Nowym Jorku 18 stycznia 1889 roku, w wieku czterdziestu ośmiu lat.

Co spowodowało szaleństwo Mackenziego? Istnieje kilka teorii. Przez wiele lat sądzono, że przyczyną był syfilis. Ale to mało prawdopodobne. Wojsko wiedziało o syfilisie wszystko, miało z nim do czynienia na co dzień i nie ma żadnych dokumentów, które by potwierdzały, że Mackenziego kiedykolwiek leczono na tę chorobę. Pewien historyk sugerował, że choroba była rezultatem zespołu stresu pourazowego – tej jednostki chorobowej wówczas jeszcze nie znano. Straszne rany Mackenziego i ważna rola, jaką odegrał w wielu bitwach wojny secesyjnej, z pewnością mogły go wywołać, a jego drażliwość, wybuchowy temperament oraz trudność w nawiązywaniu trwałych relacji z ludźmi to typowe oznaki. Do tego w 1875 roku miał dziwny wypadek. Jesienią tego roku w jakiś sposób spadł z wozu w forcie Sill i uszkodził głowę tak mocno, że przez trzy dni był w stanie osłupienia.

Podobno w następnych dniach był nadzwyczaj pobudliwy. Wreszcie istnieje też niewielkie prawdopodobieństwo, że wpływ na późniejszą chorobę miał udar słoneczny, którego doznał w dzieciństwie. Nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno. Jego śmierć przeszła niezauważona. Quanah, który w tym czasie miał czterdzieści lat i usiłował stać się częścią nowego, cywilizowanego Zachodu, zawdzięczającego swe istnienie Mackenziemu, musiał o niej usłyszeć, choć w źródłach nie zachowała się jego reakcja. Dzień po śmierci Mackenziego na stronie z nekrologami „New York Timesa" ukazała się następująca notka:

> MACKENZIE – W New Brighton, Staten Island, 19 stycznia, gen. brygady Ranald Slidell Mackenzie, Armia Stanów Zjednoczonych, w 48 roku swego życia.

Krótka, lakoniczna notka wskazywałaby na mniej istotną postać, być może żołnierza, który zdobył medal czy dwa na wojnie, a potem został odesłany na jakąś samotną placówkę nowego imperium. „New York Times" nie opublikował żadnego artykułu na temat życia Mackenziego, nie uczyniła tego żadna inna gazeta. Wydawało się, że jego śmierć miała dla przeciętnego czytelnika nie większe znaczenie niż zgon właściciela lokalnego sklepu z pasmanterią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

To był człowiek

W 1889 roku w Kongresie Stanów Zjednoczonych wymyślono nowy, pomysłowy plan wyłudzenia ziemi od Indian. Powołano do życia trzyosobowy zespół znany jako Komisja Jerome'a, który miał wynegocjować „zrzeczenie się wszelkich praw własności do ziemi na rzecz Stanów Zjednoczonych" przez plemiona zamieszkujące na zachód od 96 południka[115]. Zasada była prosta: Indianie mieli zrezygnować ze swych wspólnych, plemiennych ziem. W zamian każdy z nich otrzymałby indywidualną działkę, która jak każda prywatna własność podlegałaby normalnym prawom dotyczącym ziemi. Komisarz David H. Jerome powiedział Indianom, że zamiast rezerwatu, którego już więcej nie potrzebują, „wszelką ziemię, której nie są w stanie użytkować, mają teraz okazję sprzedać Wielkiemu Ojcu na domy dla jego białych dzieci"[708]. Projekt miał moc prawną dzięki tak zwanej Ustawie Dawesa, uchwalonej w 1887 roku, która pozwalała prezydentowi, „kiedykolwiek miałby na to ochotę", zażądać od Indian zrzeczenia się rezerwatów w celu podzielenia ich na prywatne działki. Podczas narady z Indianami w forcie Sill w 1892 roku urzędnicy byli w dobrych nastrojach i raczej nie oczekiwali, że napotkają ze strony Indian specjalny sprzeciw (Indianie nie mogli przecież rozumieć ani pomysłu, że mieliby stać się prywatnymi posiadaczami ziemi, ani olbrzymich rozmiarów proponowanej transakcji, która zmieniałaby status około dwudziestu plemion i piętnastu milionów akrów).

Ale na ich drodze stanął Quanah Parker. Zażądał, aby podano mu szczegóły proponowanego porozumienia. Naciskał: „Chciałbym od razu dowiedzieć się, ile otrzymamy za jeden akr, jakie będą warunki i kiedy pieniądze zostaną wypłacone". Jerome próbował grać na zwłokę, zapewniając Quanaha, że otrzyma odpowiedzi „niebawem". Ale Quanah nie dawał się zbić z tropu i zapytał: „Kiedy odpowiesz na te pytania?". Jerome nadal nie chciał odpowiedzieć, a Quanah wciąż zarzucał go pytaniami, wyjaśniając, że w przeciwieństwie do niektórych Indian, którzy chcieliby szybko dostać jakiekolwiek pieniądze do ręki, on „chce pełnego zrozumienia, chce rozmawiać o interesach, o sednie sprawy".

Następnego dnia naciskał jeszcze mocniej. Najpierw starł się z komisarzem

w kwestii wielkości działek. Przypomniał urzędnikom, że traktat zawarty nad Medicine Lodge Creek mówił o trzystu dwudziestu akrach na osobę, a nie stu sześćdziesięciu, które teraz proponowano. Chciał też wiedzieć, ile rząd zamierza zapłacić za ziemię, która pozostanie po przyznaniu każdemu Indianinowi stu sześćdziesięciu akrów. Przyciśnięty do muru komisarz Warren Sayre z niejakim zakłopotaniem wymienił sumę: dwa miliony dolarów.

> Quanah: Ile za akr?
> Sayre: Nie mogę ci powiedzieć.
> Quanah: To jakim sposobem dochodzisz do tej kwoty milionów dolarów, skoro nie wiesz?
> Sayre: Po prostu zgadujemy.
> Quanah: Chcielibyśmy wiedzieć, ile za akr, ponieważ słyszeliśmy, że niektóre plemiona dostały 1,25 dolara za akr, a Wichitowie tylko pięćdziesiąt centów za akr i nie są zadowoleni[709].

Quanah szybko dopiął swego. Następnego dnia zdenerwowany komisarz Jerome wreszcie podał cyfrę, przyznając, że „wczoraj pan Parker przycisnął mocno sędziego Sayre'a, żeby ten powiedział mu, ile […] za jeden akr". Kiedy komisarze stwierdzili, że niska wycena wynika częściowo z tego, iż ziemia, która miałaby pozostać po przewidywanym podziale, jest skalista i górzysta, Quanah odparował: „Zauważyłem, że w takich okolicach pali się węgiel oraz że znajduje się w takich miejscach żelazo, srebro i złoto". Potem dodał: „O górach się mówi, że to tylko skały, a skały rzekomo są bezwartościowe, ale wojsko używa ich do budowy domów […]". Taka wymiana miała jeszcze potrwać, a Quanah punktował komisarzy na każdym kroku. Nie przypominał innych przywódców indiańskich, którzy mieli skłonność do rozwlekłości, wygłaszania niespójnych, momentami poetyckich skarg, które nie dotyczyły istotnych spraw.

Ale planu rządu nie można było powstrzymać. Ustawa Dawesa pozwalała białym zagarnąć ziemię na mocy odgórnej decyzji Kongresu, więc obecnie negocjowane porozumienie było tylko formalnością. W październiku Indianie podpisali Porozumienie Jerome'a, które w momencie ratyfikacji przyznawało każdemu Indianinowi sto sześćdziesiąt akrów, a pozostałą ziemię oddawało rządowi za dwa miliony dolarów. Nie wiadomo, jaką rolę odegrał Quanah w ustaleniu ostatecznej wersji porozumienia. Podpisał je, chociaż nie leżało to w jego interesie. Miał na nim stracić więcej niż jakikolwiek inny Komancz, przede wszystkim swoje wolne od opłat pastwisko o powierzchni czterdziestu czterech tysięcy akrów, na którym zarabiał tysiąc dolarów rocznie.

Quanah zdawał sobie sprawę, że bezkompromisowy opór byłby jałowy. Oficjalnie zgodził się na warunki Porozumienia Jerome'a, ale następne osiem lat – czas, którego potrzebował Senat na ratyfikację – spędził na twardym lobbowaniu za zmianami.

Domagał się nowego porozumienia, w którym Indianie zatrzymaliby całą swoją ziemię; potem opowiadał się za pozostawieniem dla Indian czterystu osiemdziesięciu tysięcy akrów ze „zbywającej” ziemi. Z pomocą ustosunkowanych sojuszników na Wschodnim Wybrzeżu ostatecznie doprowadził do zmodyfikowania Porozumienia Jerome’a i wprowadzenia tej zmiany (największa część tego dodatkowego terytorium, czterysta tysięcy akrów, stała się znana jako Wielkie Pastwisko i została wydzierżawiona białym hodowcom).

Porozumienie weszło w życie w 1900 roku. Minęło kolejnych trzynaście miesięcy, zanim otwarto granice rezerwatu. Wcześniej jednak około pięćdziesięciu tysięcy *sooners*[116] zalało indiańską ziemię, wyszukując sobie najlepsze działki i ignorując granice posiadłości Indian. Żołnierze z fortu Sill usuwali intruzów, ale ci zawsze wracali. Kradli indiańskie bydło i obozowali na ziemiach należących do Indian.

Tak zaczęło się nowe życie Komanczów jako prywatnych właścicieli – coś, czego nigdy nie pragnęli i nigdy naprawdę nie rozumieli. Po dziesięciu latach nowy system znali aż za dobrze. Większość Komanczów swoje parcele oddała w dzierżawę białym ranczerom i farmerom, utrzymując się po prostu z zarabianych w ten sposób pieniędzy oraz odsetek z funduszu plemiennego (ze sprzedaży Wielkiego Pastwiska, która ostatecznie nastąpiła) wynoszących mniej więcej sto dolarów rocznie, a także z sezonowych prac, na przykład przy zbiorach bawełny czy żniwach. Zachowali tyle ziemi, ile starczyło na domy i ogrody. Niewielu hodowało bydło; większość trzymała konia lub dwa. Według standardów komanckich była to bezsensowna i bezcelowa egzystencja[710].

Podział starych ziem indiańskich pozbawił Quanaha większości dochodów. Nigdy już nie miał zarabiać choćby w przybliżeniu tego, co zarabiał w ostatniej dekadzie XIX wieku. Bezgraniczna szczodrość w istocie uczyniła go dość biednym. Ale niewiele zmieniło to w jego życiu. Ubóstwo zbiegło się w czasie z największym wzrostem jego władzy, wpływów i sławy.

Dom Quanaha był jak zawsze pełen ludzi, a jedzenie i dach nad głową oferowano teraz jeszcze liczniej przybywającym gościom. Sława Quanaha kusiła teraz nawet tych, którzy po prostu się zjawiali, by zetknąć się ze słynnym wodzem wojennym i usiąść przy jego legendarnym stole. Najczęściej przychodzili jednak miejscowi Indianie. Adoptowany biały syn wodza Knox Beall, który później został tłumaczem w agencji w forcie Sill, opowiadał:

> Mój ojciec karmił wielu Indian. Miał wielkie stado krów i koni w 1890 roku, a kiedy zmarł w 1911 roku, niewiele mu zostało, bo był tak hojny. Kiedy człowiek robił się głodny, mój ojciec go karmił. Nie znosił, gdy ktoś z jego

plemienia chodził głodny[711].

Robert Thomas, właściciel sklepu w Cache, który dobrze znał Quanaha, zachował podobne wspomnienia:

> W 1910 roku wskutek swej hojności i dobroci był bardzo biednym człowiekiem. Olbrzymia część jego własnych zapasów żywności została rozdana członkom jego plemienia, a wokół jego domu zawsze obozowały setki Komanczów. […] Zawsze był uprzejmy, nigdy o nikim nie mówił źle[712].

Ten człowiek, który kiedyś galopował swobodnie po wysokich, smaganych wiatrem równinach, żył wystarczająco długo, by być świadkiem zdumiewających odkryć technologicznych przełomu XIX i XX wieku. Uważał je za fascynujące. Chciał wszystkiego spróbować. Był jednym z pierwszych mieszkańców Oklahomy, w których domach zainstalowano telefon. Kupił samochód, stary ambulans, z którego naśmiewali się nieco jego przyjaciele, nazywając go „wozem śmierci", i którym zapewne kierował czasem „ochroniarz" Quanaha, głuchoniemy Komancz George Washington, nazywany przez wszystkich „Głupkiem" (Dummie)[713]. Imieniem wodza nazwano linię kolejową – Quanah, Acme and Pacific Railroad – która zaczynała się w miasteczku Quanah, w zachodniej części Teksasu. Sam Quanah często jeździł w lokomotywie, dmuchając w gwizdek i dzwoniąc dzwonkiem. Często podróżował i lubił przebywać w hotelach w wielkich miastach, z ich lampami gazowymi i nowoczesnymi wygodami. W czasie jednej z podróży do Fort Worth lampa gazowa omal go nie zabiła. Dzielił pokój hotelowy ze swym teściem Żółtym Niedźwiedziem. Przed ułożeniem się do snu Żółty Niedźwiedź „zdmuchnął" płomień – tę pomyłkę Indianie często popełniali. W nocy się udusił, a Quanah, który przez dwa dni nie odzyskiwał przytomności, ledwo przeżył [714][117].

Wydarzenia 1908 roku, w którym Quanah dobiegł sześćdziesiątki, pokazują skok cywilizacyjny, jaki nastąpił w świecie od czasu jego narodzin na prerii. W tym roku Teddy Roosevelt wysłał dookoła świata wspaniałą Wielką Białą Flotę stalowych pancerników, a Henry Ford rozpoczął masową produkcję samochodów znanych jako Model T. Również w tym samym roku Quanah wystąpił w pierwszym dwurolkowym westernie w historii, *The Bank Robbery* [Napad na bank], nakręconym niedaleko jego domu w Cache. Jego rola była epizodyczna. Oglądanie scen z Quanahem (wódz wysiada z dyliżansu, z włosami związanymi w końskie ogony i opadającymi na plecy, albo jedzie na koniu w stronę widzów) po ponad stu latach jest surrealnym przeżyciem. Tych obrazków, z dzisiejszej perspektywy, nie da się pogodzić z wyobrażeniem wolnych i dzikich Komanczów na Llano Estacado.

Quanah utrzymywał też osobliwą i godną odnotowania przyjaźń z Teddym

Rooseveltem. W marcu 1905 roku jechał w odkrytym samochodzie podczas parady na inaugurację prezydentury Roosevelta. Miał na sobie strój z kozłowej skóry i pióropusz, a towarzyszyli mu Geronimo, dwóch wodzów Siuksów i jeden wódz Czarnych Stóp (wśród obserwatorów był Robert G. Carter, oficer, który wpadł w zasadzkę Quanaha w Blanco Canyon i który nadal szczerze nienawidził Komancza; nie mógł pojąć, jakim prawem ktoś, kto zabił tylu białych, uczestniczy w takiej paradzie[715]). Quanah i Roosevelt spotkali się podczas przyjęcia wydanego przez prezydenta na cześć wodzów. Miesiąc później Roosevelt wybrał się na zachód specjalnym pociągiem, żeby wziąć udział w szeroko reklamowanych „łowach na wilki" na ziemiach należących do Komanczów, Apaczów i Kiowów w południowo-zachodniej Oklahomie. Jego głównymi gospodarzami byli ważniejsi hodowcy bydła Burk Burnett i Daniel Waggoner, a także wódz Komanczów Quanah Parker. Nie chodziło tylko o zabawę i rozrywkę: polowanie odbywało się na czterystu tysiącach akrów Wielkiego Pastwiska, a był to jeden z tych obszarów Amerykańskiego Zachodu, o które toczyła się najzacieklejsza walka. Na mocy poprawionej wersji Porozumienia Jerome'a Indianie mieli do niego tytuł i dzierżawili je ludziom takim jak Burnett i Waggoner. Jednak wielka rzesza głodnych ziemi białych, wspierana przez kongresmena z Teksasu Jamesa H. Stephensa, żądała, aby rząd wykupił ten obszar i udostępnił go innym.

Na pociąg Roosevelta, przybywający do Frederick w Oklahomie, czekał tłum trzech tysięcy ludzi. Pod eskortą konnej gwardii honorowej, do której należał Quanah, prezydent podjechał do podium ustawionego dla niego w środku miasta. (Quanah powiedział później, że obawiał się, iż ktoś może strzelić do prezydenta – cztery lata wcześniej został zamordowany McKinley – na wszelki wypadek trzymał więc przy sobie sześciostrzałowca. Dzisiaj byłoby to nie do pomyślenia)[716]. Roosevelt poczynił kilka krótkich uwag, po czym zaprosił Quanaha, nazywając go „dobrym obywatelem", by wspiął się i stanął obok niego. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, wzbudzając powszechny aplauz, po czym Quanah wygłosił krótkie przemówienie. Słowa wodza nie zachowały się, ale powiedział później swemu przyjacielowi R. B. Thomasowi: „Dostałem większe brawa niż Teddy"[717]. Roosevelt najwyraźniej lubił i podziwiał Quanaha. W swej relacji z polowania na wilki (którego ofiarami padło siedemnaście wilków i kojotów), zawartej w książce *Outdoor Pastimes of the American Hunter* [Rozrywki na świeżym powietrzu amerykańskiego myśliwego], wspominał: „Był tam Quanah Parker, wódz Komanczów, w młodości zapiekły wróg białych, dziś mozolnie uczący swój lud, jak iść po wyboistej drodze białego człowieka"[718].

Po polowaniu Roosevelt pojechał na północ odwiedzić Quanaha w Domu z Gwiazdami – prawdziwie doniosły moment w historii malutkiego Cache

w Oklahomie, gdzie podejmowano prezydenta z wielką pompą. Quanah postawił sobie za punkt honoru, by podać wino (którego nigdy nie pił) w wielkich kielichach, ponieważ w Białym Domu Roosevelt częstował Indian winem serwowanym w małych kieliszkach[719]. W typowy dla siebie sposób Quanah wykorzystał okazję, by bronić interesów Indian. Chodziło przede wszystkim o los czterystu tysięcy akrów – Quanah chciał, żeby Indianie je zachowali (ostatecznie przegrał tę bitwę: dwa lata później ziemia została podzielona i sprzedana, przy czym komanckie dzieci urodzone po 1900 roku otrzymały parcele o powierzchni stu sześćdziesięciu akrów; wpływy ze sprzedaży zasiliły indiański fundusz powierniczy[118]). Quanah narzekał też na urzędników terytorialnych (*territorial officers*), którzy usiłowali ściągać podatki od Indian, mówił też o powszechnym bezrobociu wśród Indian. Roosevelt wysłuchał wodza, co potwierdził jego list, który wysłał kilka dni później do komisarza do spraw Indian. „Moje współczucie bardzo wzrosło i to, co tutaj zobaczyłem, bardzo mnie poruszyło; niepokoi mnie sytuacja tych Indian i widoczny brak nadziei na przyszłość”[720]. Polowanie na wilki i wizytę prezydenta u Quanaha często uznaje się za powód determinacji, z którą Roosevelt podchodził do utworzenia Narodowego Rezerwatu Dzikiej Zwierzyny w Górach Wichita [119], znajdującego się dziś niedaleko na północ od dawnego domu Quanaha.

Nawet w podeszłym wieku Quanah pozostał aktywnym przywódcą swego ludu. Był niezadowolony ze szkół dla Indian, a gdy zdał sobie sprawę, że jego dzieci są niemile widziane w szkołach dla białych, założył swego stetsona z szerokim rondem, wełniany garnitur i ruszył agitować za utworzeniem nowego okręgu szkolnego. Przeznaczył na ten cel własną ziemię, obiecał, że jego rodacy będą płacić podatki – i osiągnął swój cel. W czerwcu 1908 roku został przewodniczącym rady szkolnej w okręgu, który powstał dzięki jego staraniom[721]. Stał się też jednym z przywódców religijnych wśród Komanczów i głównym orędownikiem pejotyzmu, religii, która rozprzestrzeniła się wśród Indian Wielkich Równin. Pejotl to mały, pozbawiony kolców kaktus, którego spożycie[120] powoduje wizualne i słuchowe halucynacje. Komancze stosowali go już w połowie XIX wieku, a Indianie na południe od Teksasu znali właściwości tej rośliny przynajmniej od 1716 roku. Quanah odnowił użycie pejotlu i przekształcił je w istotny rytuał religijny, który podchwyciło wielu Indian w ponurym okresie życia w rezerwacie. Przewodził całonocnym rytuałom, których celem często było leczenie konkretnych osób. Pod koniec XIX wieku pejotyzm od Komanczów przejęli Indianie Kiowa, Wichita, Paunisi i Szaunisi. Między 1900 a 1907 rokiem rozprzestrzenił się wśród kolejnych grup: Ponków, Kikapów i Kansa, a potem na całych równinach, w Wielkiej Kotlinie i na pustyniach Południowego Zachodu. Wallace i Hoebel

napisali: „Prawdopodobnie był to najważniejszy wkład kulturowy Komanczów w życie amerykańskich Indian”[722]. Quanah, który od czasu do czasu stawał w ogniu krytyki z powodu zaangażowania w rytuały, tak bronił swej religii: „Biały człowiek idzie do swego kościoła i mówi o Jezusie, ale Indianin idzie do swego tipi i rozmawia z Jezusem”. Ruch pejotyzmu zinstytucjonalizował się i dziś działa jako Kościół Tubylczych Amerykanów.

Niezależnie od sukcesów i zwycięstwa w rywalizacji z innymi indiańskimi liderami w rezerwacie życie Quanaha nigdy nie było łatwe. Musiał się bronić przed prześladowcami kultu pejotlu. Z wiekiem nasiliły się jego problemy z żonami, część z nich odeszła, być może z powodu coraz trudniejszej sytuacji finansowej. Wciąż musiał się też zmagać z politycznymi przeciwnikami wśród Indian, w tym ze starym szarlatanem Eschitim, który nigdy nie porzucił marzeń o tym, że zostanie naczelnym wodzem Komanczów, czy Kiową Samotnym Wilkiem, z którym Quanah kiedyś się pobił podczas sporu o granice[723]. Zarzuty zwolenników Samotnego Wilka, sprzymierzonych z Eschitim, doprowadziły nawet w 1903 roku do rządowego śledztwa w agencji. Prowadzący je agent federalny, niejaki Francis E. Leupp, nie tylko uznał, że Quanah i agent w rezerwacie nie zrobili niczego złego, ale również tak ocenił wodza:

> Jeśli kiedykolwiek natura odcisnęła na człowieku pieczęć przywódcy, zrobiła to w jego przypadku. Quanah byłby przywódcą i szefem w każdej grupie, do której rzuciłby go los – ma to we krwi. Akceptują go wszyscy z wyjątkiem nieistotnej mniejszości wśród jego ludzi, a widzi to jasno każdy obserwator, i nawet ci, którym nie odpowiada jego władza, uznają jego zwierzchnictwo. Swych zwolenników w pełni kontroluje, ale z drugiej strony dba o nich jak ojciec[724].

Trudno o większy kontrast, gdy porówna się Quanaha z jego słynniejszym sąsiadem Geronimem, który w 1894 roku został przeniesiony do fortu Sill z Alabamy. W przeciwieństwie do Quanaha nie przyciągał tłumów i rzadko miewał gości. Mimo iż był geniuszem autoreklamy i zarobił wielkie pieniądze, sprzedając swoje autografy, łuki, strzały i inne przedmioty (w chwili śmierci miał ponoć dziesięć tysięcy dolarów na koncie), w Kraju Indian nie był lubiany. Hugh L. Scott, oficer w forcie Sill i wielki przyjaciel Indian, opisywał go jako „posiadającego nieprzyjemną powierzchowność, narowistego, nikczemnego, samolubnego starego gbura”. Geronimo pił i uwielbiał hazard, a zmarł na skutek ran, które odniósł, gdy pijany spadł z konia[725]. Spuścizna obu różni ich nawet po ich śmierci: Geronimo jest pochowany na Apache Cemetery, w forcie Sill, którego adres to… 437 Quanah Road.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Spoczywa tu, nim powieje wieczorny wiatr

Quanah nigdy nie zapomniał swej matki. Na ścianie nad łóżkiem trzymał jej zdjęcie, które dostał od Sula Rossa – to z 1862 roku, zrobione w studio A. F. Corninga w Fort Worth, na którym Cynthia Ann trzyma Kwiat Prerii przy piersi. Odebrano mu ją, gdy miał zaledwie dwanaście lat; w kilka minut na zawsze zniknęła w świecie białego człowieka. Dowiedział się później, że była nieszczęśliwa i że wielokrotnie próbowała uciec, żeby go odnaleźć. Podobnie jak jej syn, świetnie się przystosowała do nowej kultury, ale nie potrafiła tego zrobić dwa razy. W 1908 roku Quanah dał ogłoszenie w gazetach w Teksasie, prosząc o pomoc w odnalezieniu jej grobu. Otrzymał odpowiedź od człowieka, który nazywał się J. R. O'Quinn i był jego bratem ciotecznym, synem Orleny, młodszej siostry Cynthii Ann. O'Quinn zapewnił go, że wie, gdzie znajduje się grób Cynthii Ann. Był to pierwszy kontakt Quanaha z teksaską częścią jego rodziny. Później dostał wiadomość od innego kuzyna, który zapraszał go na spotkanie rodzinne w Athens, w Teksasie, na południowy wschód od Dallas (ostatecznie Quanah uzyskał akceptację i uznanie swych teksaskich krewnych). Odnalazłszy grób matki, rozpoczął starania o pieniądze na przeniesienie jej szczątków z Teksasu do Oklahomy. Wytrwały i przekonujący jak zwykle, namówił kongresmena ze swego stanu do przeforsowania ustawy przyznającej tysiąc dolarów na ten cel. Ustawa weszła w życie w marcu 1909 roku. Quanah pojechał do Teksasu, spotkał się z niektórymi ze swoich teksaskich krewnych i odszukał cmentarz, na którym była pochowana jego matka. W czasie ceremonii nad jej grobem wygłosił krótką mowę łamaną angielszczyzną:

> Moja matka zmarła czterdzieści lat temu. Schwytana przez Komanczów, [miała] dziewięć lat. Kochała Indian i dzikie życie tak bardzo, że nie chciała wracać do białych krewnych. Zresztą wszyscy jesteśmy tacy sami, mówi Bóg. Kocham moją matkę.

Jemu samemu pozostały mniej niż trzy miesiące życia. Jesienią 1910 roku był jak zwykle zajęty – w październiku pojechał do Dallas z okazji „Dnia Trasy Quanaha", organizowanego w czasie jarmarku stanowego. Celem tego wydarzenia była reklama linii kolejowej Quanah, Acme and Pacific Railroad, która biegła przez miasto Quanah

w Teksasie i kończyła się na południe od starej granicy rezerwatu. Quanah, który rzadko odmawiał, gdy pojawiała się okazja publicznego wystąpienia, przyciągnął olbrzymi tłum widzów. Według relacji „Dallas Morning News” z 25 października 1910 roku „znak SRO[121] wisiał w hali wystaw przez całe popołudnie. […] Wszystkie miejsca były zajęte, również stojące. Wódz Komanczów Quanah Parker był, oczywiście, główną atrakcją”. Przebywał tam ze swoim dwunastoletnim synem Gussiem. Obydwaj mieli pióropusze, stroje z kozłowej skóry i mokasyny. Głos Quanaha był „czysty, dźwięczny i wyraźny nawet dla tych, którzy znajdowali się w tylnej części sali, aczkolwiek jego słowa czasem łamały się i trudno było je zrozumieć”[726]. „Panie i panowie – zaczął. – Byłem złym człowiekiem. Teraz jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, płacę podatki tak samo jak wy. Teraz jesteśmy jednym narodem”. Mówił o swojej matce, o uprowadzeniu koni Mackenziego w Blanco Canyon. Opowiedział zebranym o podróżach do Waszyngtonu, gdzie „działał na rzecz swoich Indian”, i o spotkaniu z Rooseveltem. Był zabawny i ujmujący, przywoływał historie, które opowiedział już wiele razy wcześniej. Oczywiście nie wspomniał o swych wyczynach najeźdźcy i zabójcy białych. Tak jak potrafią to tylko Amerykanie, ostrożnie pominął najbardziej drażliwe elementy swej przeszłości. Zaprzeczył, raz na zawsze, że jego ojciec Peta Nocona zginął w bitwie nad rzeką Pease. Kłamał, ale miał szlachetny i zasługujący na wybaczenie cel: próbował ocalić reputację ojca. Na koniec wygłosił bardzo dziwną uwagę:

> Jeszcze tylko minuta, mam coś jeszcze do powiedzenia. Zwykle biorę pieniądze za każdym razem, kiedy mnie zapraszają na jarmark. Dwóch mężczyzn przyszło do mnie jakiś rok temu, żeby namówić mnie na podróż do Nowego Jorku. „Damy ci pięć tysięcy dolarów za sześciomiesięczny objazd, żebyś mógł zabrać swą rodzinę”. Odpowiadam: „Nie, wkładacie mnie do małej zagrody. Nie jestem małpą”. To wszystko, szanowni państwo.

Potem, jak odnotowała gazeta, „gdy tłum podsunął się do przodu, […] wziął każdego po kolei za rękę i ją uścisnął, a na jego twarzy często gościł uśmiech”[727]. Jego ostatnie słowa były może sposobem przekazania, że w przeciwieństwie do niektórych (na przykład Geronima), Quanah nie przekraczał pewnych granic eksploatowania własnej sławy i dziedzictwa. Mówił w ten sposób, że godność ma swoje nienaruszalne granice. To, dlaczego poruszył tę kwestię, na zawsze pozostanie tajemnicą. O ile wiadomo, były to jego ostatnie publicznie wypowiedziane słowa.

W lutym 1911 roku Quanah wracał pociągiem od Szejenów, gdzie był z wizytą u przyjaciół – podobno próbował uleczyć się w czasie spotkania pejotlowego. Wiedział, że jest chory. Podróżował ze swą najważniejszą żoną To-nar-cy (z którą nie miał dzieci). Siedział z pochyloną głową i drżącymi ustami. Kiedy dotarł do Cache, do

domu zabrał go Emmet Cox, biały, mąż jednej z jego córek. Quanah zmarł 23 lutego na niewydolność serca wywołaną reumatyzmem.

Wieść o jego śmierci rozeszła się w społeczności białych i Indian w Oklahomie i Teksasie lotem błyskawicy. Rankiem setki osób zebrały się w pobliżu jego domu z dwoma werandami i jasnoczerwonym dachem wymalowanym w białe gwiazdy. W południe tłum liczył już dwa tysiące. Żałobnicy przybywali na koniach, mułach, w furach, powozach i samochodami. Stawili się biali w niedzielnych garniturach i Indianie w strojach ze skór lub owinięci kocami. W długiej powolnej procesji przeszli do kościoła, gdzie zmieściła się tylko ich niewielka część. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, modlili się i śpiewali. Na koniec każdy przeszedł przed trumną, w której leżał Quanah ubrany w swój ulubiony strój z kozłowej skóry, z charakterystycznymi splecionymi włosami spływającymi na ramiona. Nad grobem żałobnicy odśpiewali *Nearer My God to Thee* [Być bliżej Ciebie chcę], po czym trumnę, przykrytą kocami w jaskrawych kolorach, spuszczono do grobu obok trumny Cynthii Ann.

Sprawdzając stan posiadania Quanaha, rodzina odkryła, że nie było tego zbyt dużo. W banku Quanah miał kilkaset dolarów. Jego żona To-nar-cy, według prawa Oklahomy uznawana oficjalnie za wdowę po nim, otrzymała prawa do jednej trzeciej parceli. Żona To-pay, która miała dwójkę dzieci (w wieku dwóch i jedenastu lat), odziedziczyła dom. Najstarszy syn, White Parker, dostał cenną – a dziś także słynną – fotografię Cynthii Ann, która wisiała nad łóżkiem Quanaha. Prócz tego pozostało po nim kilka koni i mułów, dyliżans oraz powozy typu *buggy* i *hackney*. Nie miał wiele więcej. Był winien innym trzysta pięćdziesiąt dolarów, dług ten udało się pokryć dzięki sprzedaży mułów. To wszystko, co pozostało po ostatnim wodzu Komanczów. Z wyjątkiem domu jego majątek można określić jako typowy dobytek nomada, czyli tyle, ile powinno być, nigdy za dużo, co niektórym Komanczom pewnie się podobało. Cztery miesiące po śmierci Quanaha sekretarz spraw wewnętrznych nakazał inspektorowi indiańskiemu (*superintendent*) zlikwidować urząd wodza i kontaktować się tylko z prezydium, w skład którego wchodzili przedstawiciele plemion zamieszkujących w rezerwacie[728]. W późniejszych latach Komancze mieli przewodniczących (*chairmen*), ale nie *paraibos*.

Władcy Równin Południowych szybko wtapiali się w Amerykę. To właśnie robiły grupy tubylcze, jeśli nie chciały zupełnie zginąć. Nie można powiedzieć, że Komancze dobrze się przystosowali albo że Quanah był wzorem, który jego lud potrafił – czy miał szanse – naśladować. Pierwsze pokolenia Komanczów żyjące w niewoli nigdy naprawdę nie rozumiały pojęcia prywatnej własności i bogactwa w ten sam sposób co biali. Indianie żyli przede wszystkim przeszłością, matowiejącymi wspomnieniami

dzikiej, ekstatycznej swobody równin, dni, gdy komanccy wojownicy w czarnych czapach z bizoniego futra galopowali od Kansas po północny Meksyk, świata bez prywatnej własności i granic. Tym, co miał Quanah, a czego w późniejszych latach brakowało reszcie jego ludu, była najbardziej amerykańska z ludzkich cech: niewyczerpany optymizm. Quanah nigdy nie patrzył wstecz – zdumiewający rys woli u kogoś, kto żył w nieskrępowanej wolności na otwartych równinach i kto przetrwał wstrząsającą transformację. W ciężkich czasach twardo patrzył do przodu, czekając na coś lepszego. To podejście, choć wyrażone nie wprost, można wyczytać z tablicy na jego grobie:

> Spoczywa tu, nim powieje wieczorny wiatr
> Nim znikną cienie
> I rozwieje się ciemność
> Quanah Parker, ostatni wódz Komanczów.

Najprawdopodobniej napisała to wykształcona w szkole średniej córka Quanaha – słowa oparte luźno na wersie z Pieśni nad Pieśniami, jednej z ksiąg Starego Testamentu, który osadnicy nieśli ze sobą na śmiertelnie niebezpieczny Zachód, gdzie poganie z epoki kamienia łupanego, spoglądający na świat z grzbietów koni, kiedyś rządzili pradawną ziemią. Quanahowi spodobałyby się te słowa.

Fort Parkerów: miejsce słynnej masakry z 1836 roku, która zakończyła się uprowadzeniem Cynthii Ann Parker i innych członków rodu Parkerów. Fort na zdjęciu jest repliką oryginalnej budowli, wzniesionej w latach trzydziestych XIX wieku. Ponownie został odbudowany w 1967 roku i dzisiaj znajduje się w Groesbeck, w Teksasie.

Jack Hays: był najznakomitszym teksaskim rangerem, tym, którego Komancze i Meksykanie obawiali się najbardziej, źródłem niezliczonych legend o dawnym Dzikim Zachodzie. Mówiono, że w czasach przed Haysem Amerykanie przybyli na Zachód pieszo i posługiwali się sztucerami z Kentucky. Kiedy odszedł, każdy miał wierzchowca, a w kaburze sześciostrzałowy rewolwer.

Cynthia Ann Parker z córką Kwiatem Prerii. Zdjęcie, zrobione w studio A. F. Corninga w Fort Worth prawdopodobnie w 1862 roku, stało się słynne, nie tylko na pograniczu. Uwagę zwracają wielkie, muskularne dłonie i nadgarstki Cynthii Ann.

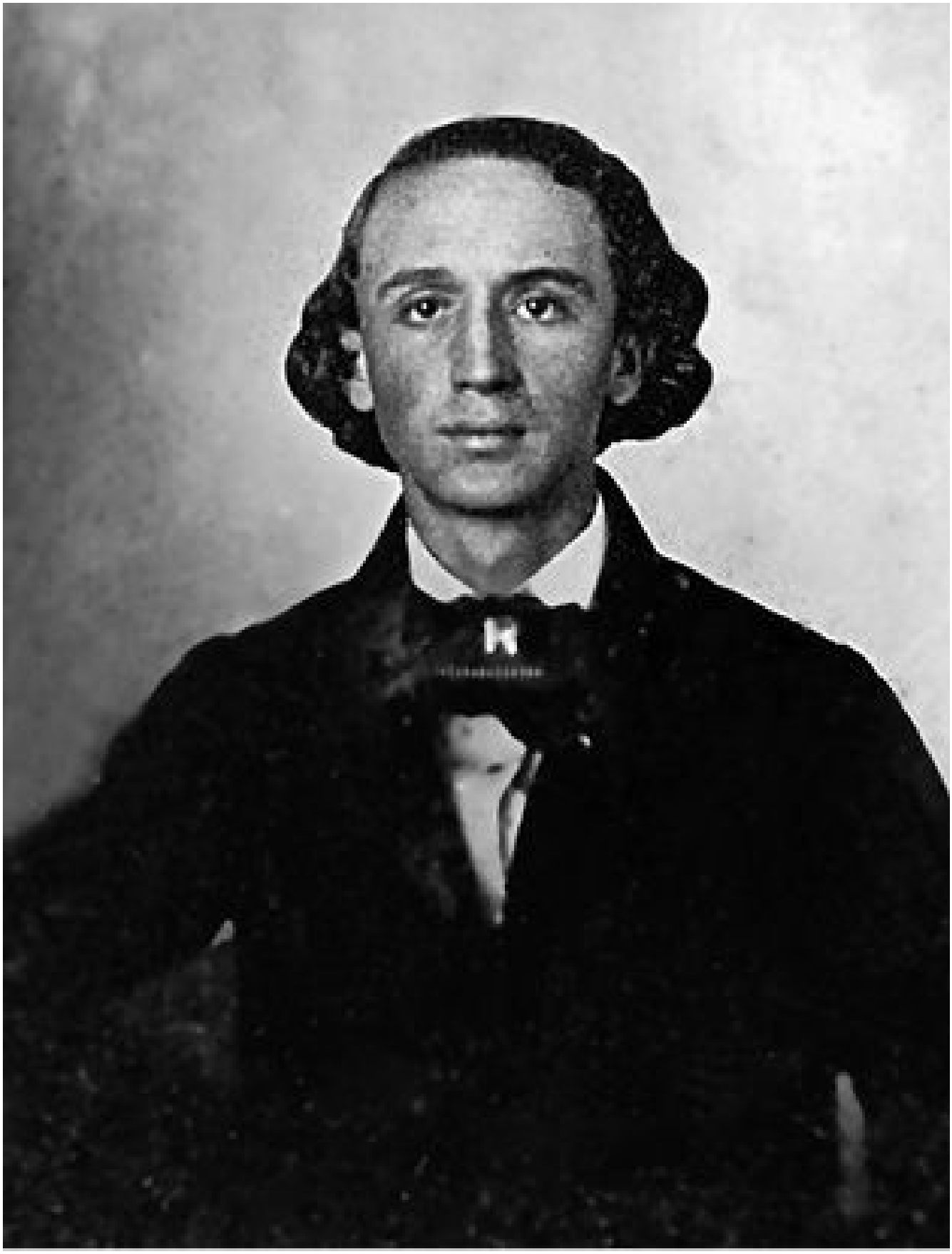

Młody Sul Ross. Tak wyglądał, kiedy zabił wojennego wodza Komanczów Petę Noconę w czasie bitwy nad rzeką

Pease i schwytał żonę Nocony, która okazała się Cynthią Ann Parker. Ross został później gubernatorem Teksasu.

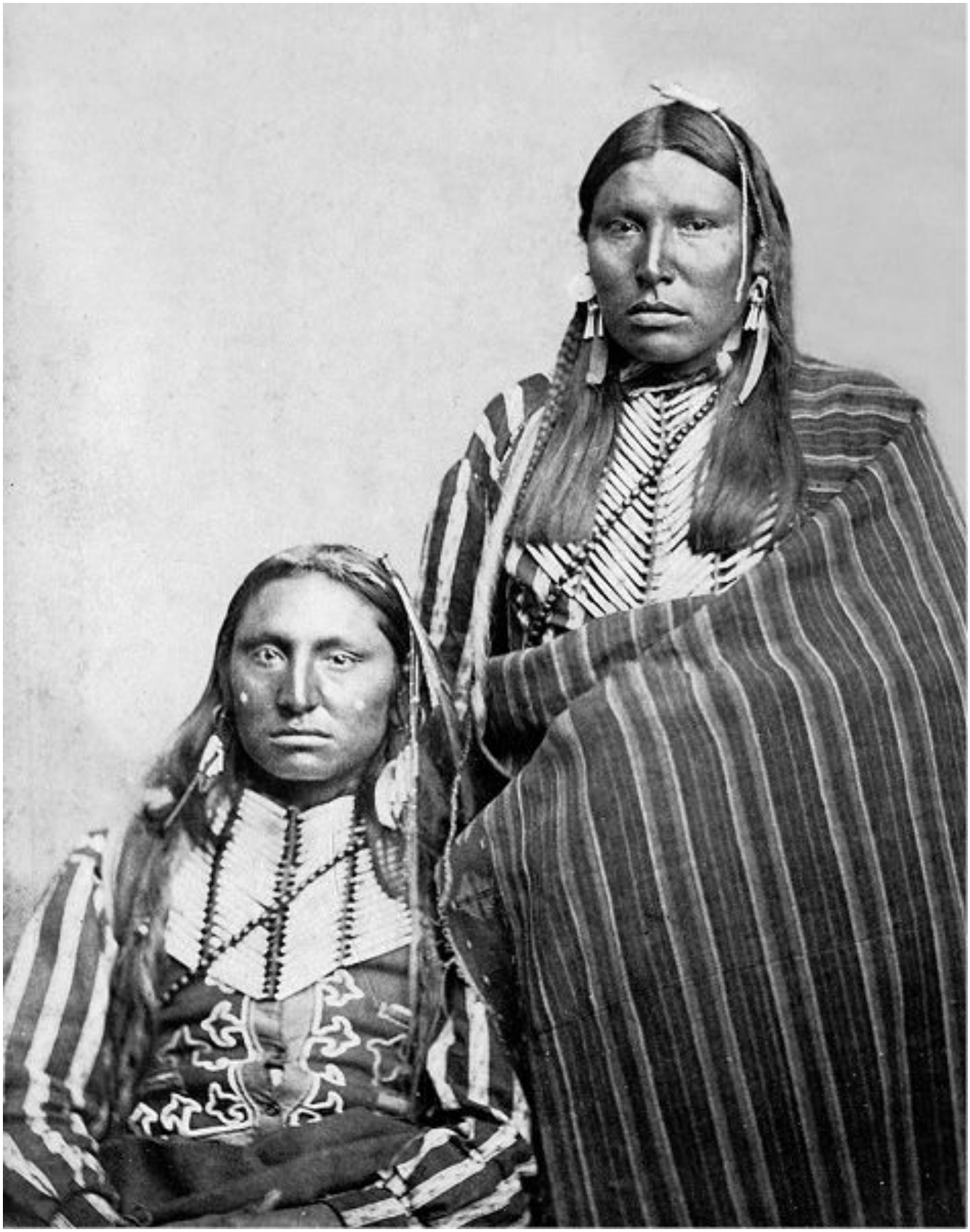

Wojownicy komanccy. Słynny fotograf William Soule zrobił to zdjęcie na początku lat siedemdziesiątych XIX wieku, w forcie Sill, w południowo-zachodniej Oklahomie, gdzie Komancze zostali sprowadzeni po poddaniu się.

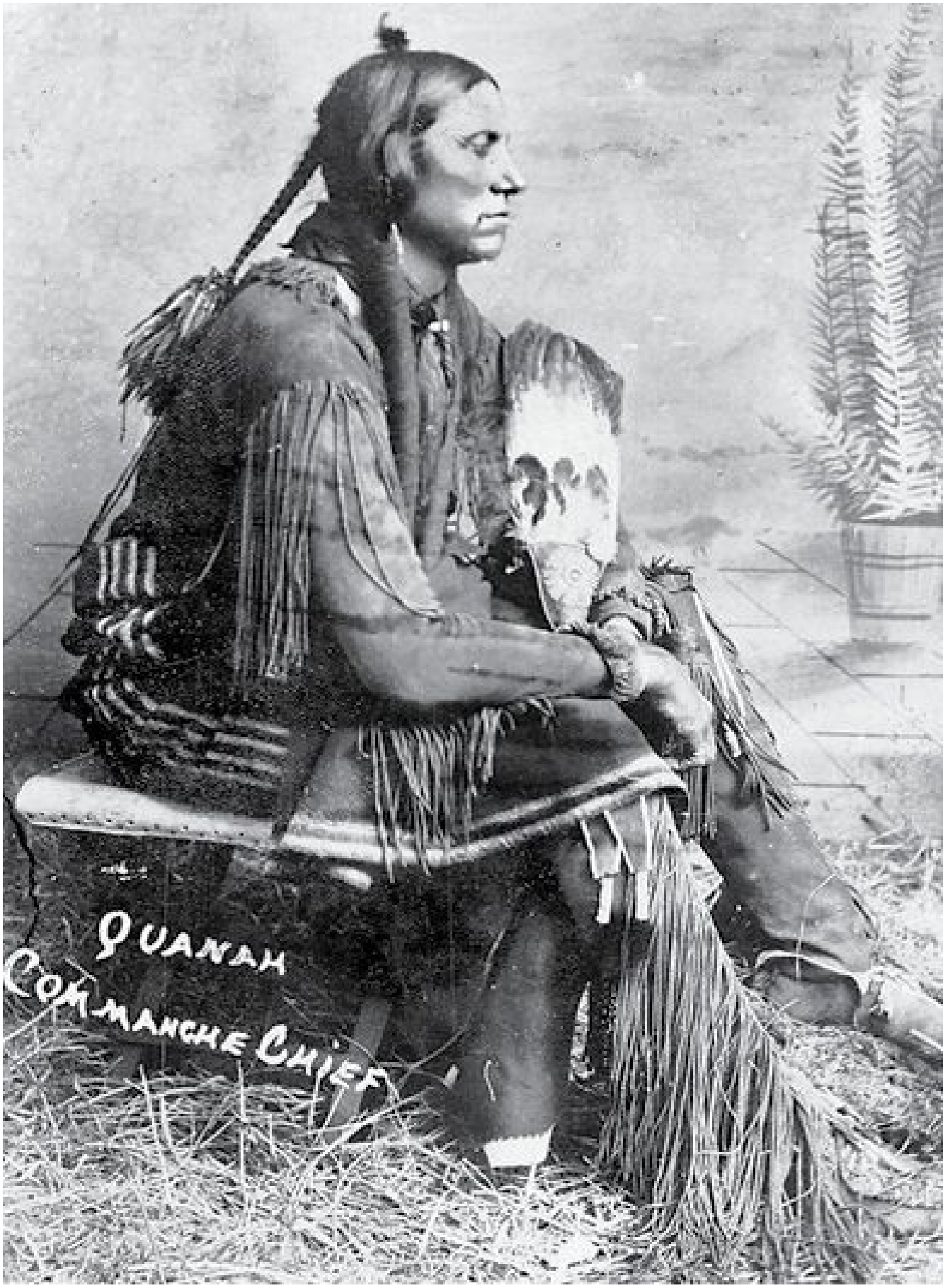
QUANAH
COMANCHE CHIEF

Quanah w 1877 roku. Najwcześniejsze znane zdjęcie Quanaha, zrobione dwa lata po poddaniu się. Chociaż jego ciało zakryte jest zupełnie przez tradycyjny strój ze zwierzęcej skóry i frędzle, i tak widać, jak bardzo masywne miał przedramiona i górną część ciała. Uważano go za najlepszego wojownika w ówczesnym pokoleniu Komanczów.

Mow-way, czyli Trzęsąca się Ręka, wódz Komanczów Kotsoteka. 29 września 1872 roku Mackenzie zniszczył jego wioskę w Texas Panhandle, w czasie bitwy nad północnym rozwidleniem Rzeki Czerwonej (North Folk of the Red River, znanej też jako bitwa nad potokiem McClellana). Jak na ironię, Trzęsąca się Ręka w tym czasie zmierzał do

Waszyngtonu, gdzie miał rozmawiać o pokoju z Wielkim Ojcem.

Ranald S. Mackenzie w czasie wojny secesyjnej, w roku 1863 lub 1864. Człowiek, który pokonał Komanczów i uchodził za najzacieklejszego wroga Indian, ukończył studia na West Point w 1862 roku jako najlepszy w klasie,

w wieku dwudziestu jeden lat. W sierpniu tego roku walczył już w drugiej bitwie pod Manassas. Pod koniec wojny secesyjnej – gdy miał dwadzieścia cztery lata – awansował na tytularnego generała brygady.

„Wyczyn” łowców bizonich skór. W latach siedemdziesiątych XIX wieku łowy na bizony przestały przypominać polowanie i zamieniły się w eksterminację. W 1837 roku łowca o imieniu Tom Nixon zabił 3200 zwierząt w trzydzieści pięć dni. Zimą 1872 roku jedna skóra warta była trzy i pół dolara. Sterta bizonich skór na zdjęciu oczekuje na transport z Dodge City.

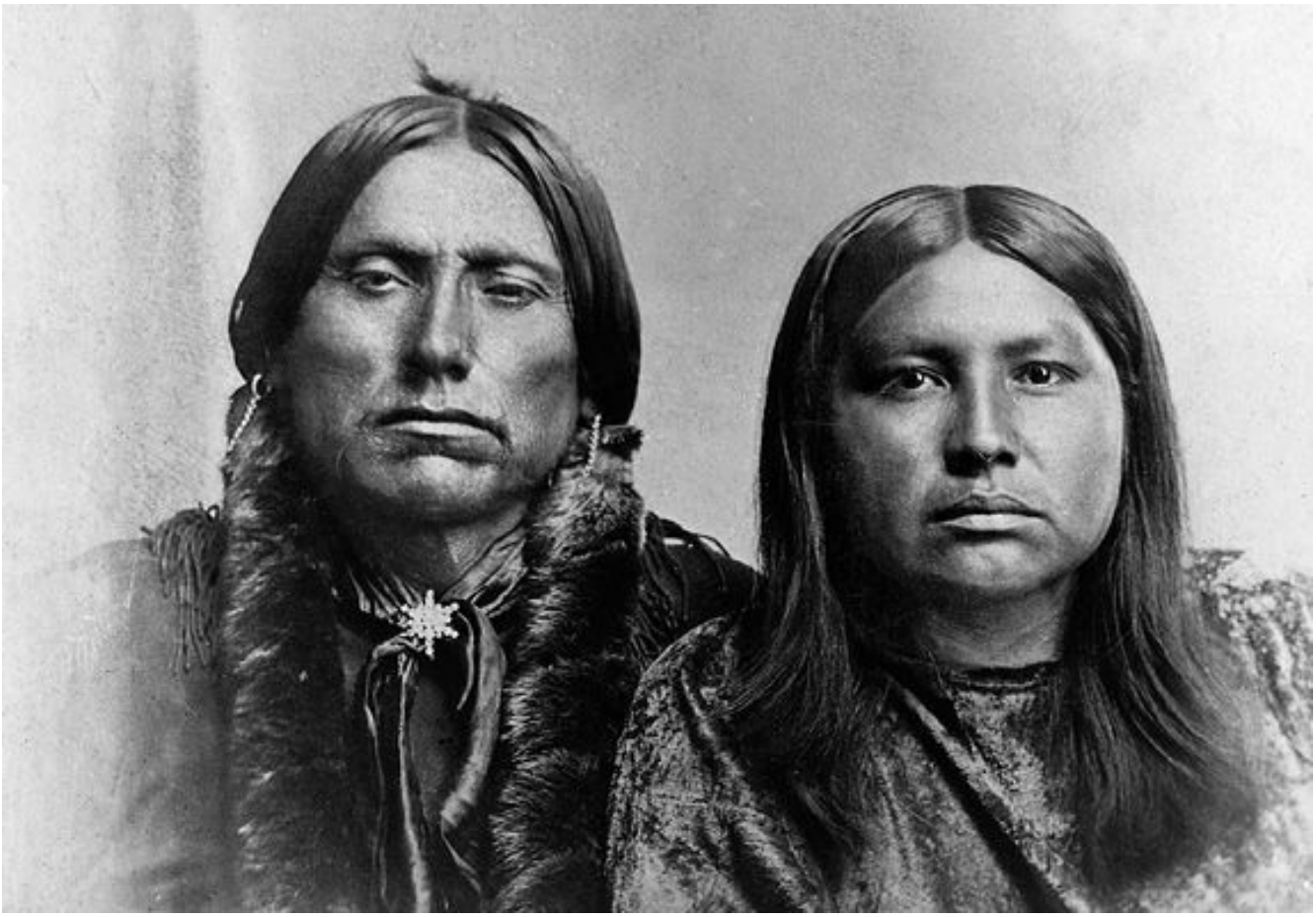

Quanah z jedną z żon, To-nar-cy. Quanah miał osiem żon, w tym siedem w okresie rezerwatowym, co było niezwykle wysoką liczbą. Były to kobiety całkiem atrakcyjne i nie zawsze chętnie dzieliły się mężem z innymi.

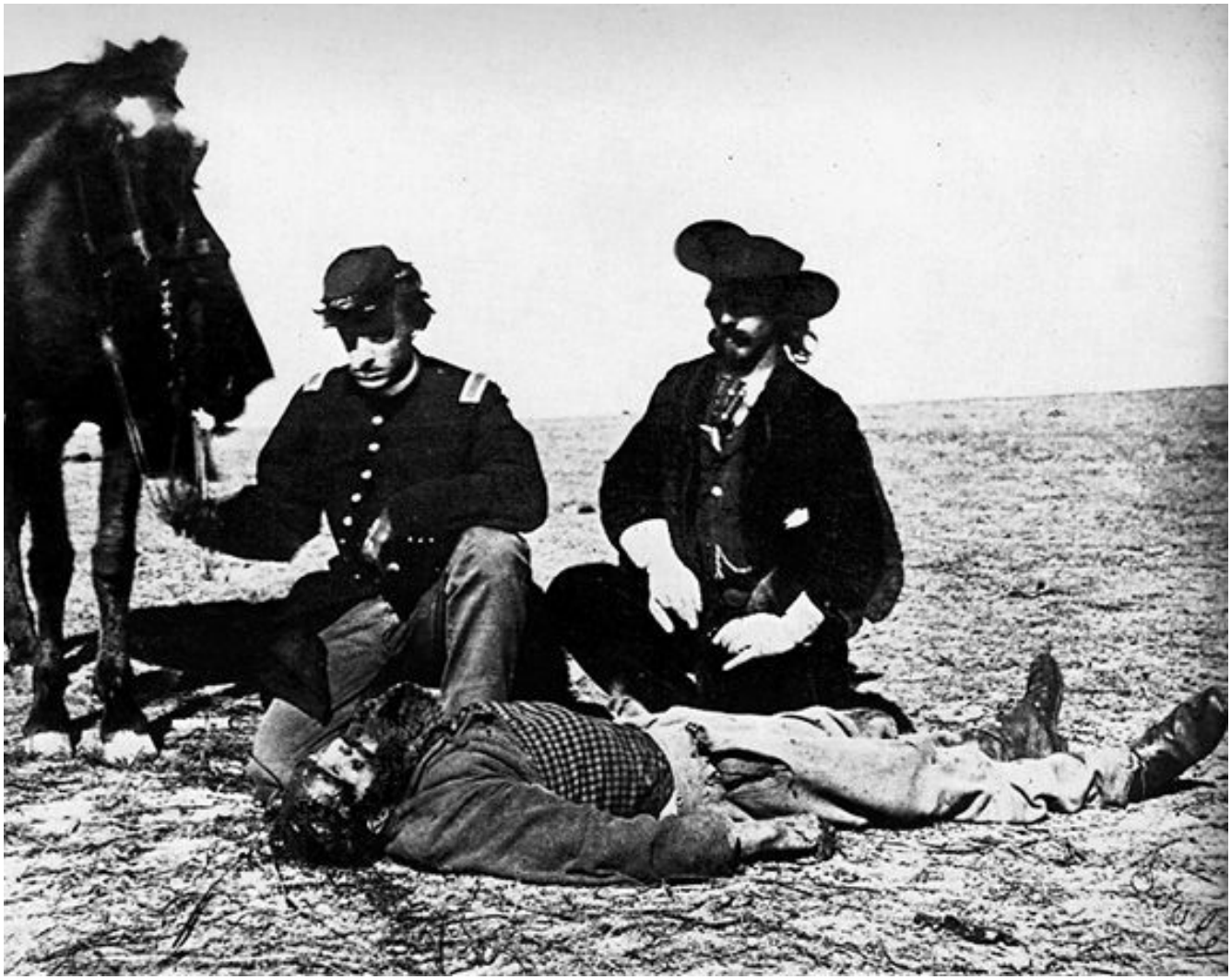

Oskalpowany łowca bizonów, 1868. Indianie nienawidzili łowców skór: zdawali sobie sprawę, że łowcy – skuteczniej niż żołnierze w niebieskich kurtkach – niszczyli ich sposób życia na równinach. Łowca na zdjęciu, sfotografowany przez Williama Soule'a niedaleko fortu Dodge, skończył tak samo jak setki jemu podobnych.

Eschiti (Isa-tai) w wieku średnim. Trochę szaman, trochę oszust, trochę showman – w 1874 roku wystąpił jako wielki zbawca i mesjasz Komanczów. Jego czary zupełnie zawiodły w czasie drugiej bitwy w Adobe Walls. Później, po osiedleniu się Komanczów w rezerwacie, został rywalem Quanaha.

Quanah w stroju oficjalnym. Chociaż nie zgodził się na ścięcie swych długich włosów ani nie wyrzekł się żon i pejotlu, to z przyjemnością nosił stroje białego człowieka, kiedy wybierał się w podróż albo udawał do miasta.

Quanah ze swoją rodziną, około 1908 roku. Starzejący się wódz i dwudziestu członków jego rodu na werandzie Domu z Gwiazdami. W okresie życia w rezerwacie miał siedem żon i dwadzieścioro troje dzieci – wszyscy mieszkali w tym domu. Jedna z żon powiedziała później, że jego największym osiągnięciem było utrzymanie domu i rodziny.

Dom z Gwiazdami. Quanah zbudował ten wspaniały, dziesięciopokojowy dom w 1890 roku. Była w nim oficjalna jadalnia – wysoka na dziesięć stóp. Dom stał na pięknym kawałku ziemi, na lekkim wzniesieniu, u podnóża gór Wichita, na północ od Cache w Oklahomie.

Quanah podejmuje gości, około 1900 roku. W jadalni Domu z Gwiazdami Quanah przyjmował rozmaitych gości: Geronima, generała Nelsona Milesa czy prezydenta Teddy’ego Roosevelta. To pomieszczenie, jak i cały dom, nadal znajduje się w Cache.

Quanah w swojej sypialni, około 1897 roku: zderzenie starego z nowym. Po lewej stronie Quanaha wielki obraz w ramach, przedstawiający jego matkę Cynthię Ann i siostrę Kwiat Prerii. Ten przedmiot Quanah darzył największą atencją.

1906 rok – Quanah w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Pod koniec życia stan jego zdrowia się pogarszał, lecz jego pozycja wśród Komanczów, a także w społeczeństwie amerykańskim, rosła. Na tym zdjęciu jest u szczytu władzy,

wpływów i popularności.

BIBLIOGRAFIA

Nota bibliograficzna

Mam nadzieję, że czytelnik zorientował się, że w dużej mierze książka ta opiera się na licznych dawnych relacjach z pierwszej ręki. Przy przedzieraniu się przez trzysta lat historii źródła wtórne są oczywiście pomocne jako przewodniki i podsumowania, ale najcenniejsze są zawsze źródła nieprzefiltrowane. Mam wielkie szczęście, ponieważ mieszkam w Austin, w Teksasie, i mogę korzystać ze zdumiewających zbiorów archiwalnych i książkowych bibliotek Uniwersytetu w Teksasie, przede wszystkim - Dolph Briscoe Center for American History − badacze historii Komanczów zdecydowanie muszą zaczynać swoją pracę w tym miejscu. Korzystałem też z licznych źródeł archiwalnych w Panhandle-Plains Historical Museum w Canyon, w Teksasie, a także w Western History Collection na Uniwersytecie Oklahomy w Norman, w Oklahomie. W Western History Collection znajduje się plon Projektu Badania Dziejów Indian i Osadników (Indian Pioneer History Project), czyli serii wywiadów przeprowadzonych w latach trzydziestych XX wieku z ludźmi, którzy wspominali wydarzenia z XIX wieku, i to nie tylko z końca stulecia. W wielkim stopniu opierałem się na tych źródłach, pisząc ostatnie rozdziały o Quanahu; w istocie wiele z tego, co wiem na temat ostatnich dekad jego życia, pochodzi z tych obszernych wywiadów. Bardzo przydatne są również materiały pochodzące z Agencji Kiowów, znajdujące się w Stowarzyszeniu Historycznym Oklahomy/Ośrodku Badania Historii Oklahomy (Oklahoma Historical Society/Oklahoma History Center); zawierają one wiele szczegółów na temat tego okresu, w którym Quanah żył w rezerwacie. Niestety, archiwa muzeum fortu Sill zostały zamknięte dla badaczy na czas nieokreślony. Wymagało to ode mnie dodatkowych starań o odszukanie tamtejszych materiałów na temat Komanczów (w tym bezcennych wywiadów z Quanahem, przeprowadzonych w 1897 roku przez Hugh Lenoxa Scotta, a także innych materiałów z Kolekcji W. S. Nye'a) w innych miejscach – wiele z nich znajduje się w zbiorze materiałów Neely'ego w archiwach w Canyon. Pracując nad tą książką, dużo czasu spędziłem w Briscoe Center, obłożony rozmaitymi rzadkimi publikacjami, dokumentami, zakurzonymi archiwami, maszynopisami i manuskryptami (najbardziej mi się podobało,

kiedy z jednej teczki, pełnej rękopisów, które czytałem, wypadło z szelestem kilkaset konfederackich dolarów. Pieniądze wyglądały jak nowe).

Te i inne materiały archiwalne pozwoliły mi zrekonstruować najważniejsze wydarzenia historyczne, opowiedziane tu na podstawie wiarygodnych i często wnikliwych relacji z pierwszej ręki. Chodzi o wydarzenia w forcie Parkerów i będącą ich następstwem niewolę członków rodu; utworzenie Teksaskich Rangerów i działania Jacka Haysa i Ripa Forda (relacje z pierwszej ręki: Noaha Smithwicka, Ripa Forda, majora Johna Capertona, B. F. Gholsona, Charlesa Goodnighta i innych); „ocalenie" Cynthii Ann Parker, walkę w domu narad, najazd na Linnville i bitwę nad Plum Creek, bitwę w Adobe Walls i wojnę nad Rzeką Czerwoną. Szczegółowa relacja z bitwy w Blanco Canyon pochodzi od ludzi, którzy służyli pod Mackenziem (*On the Border with Mackenzie* kapitana Roberta Cartera jest jednym z najwspanialszych zapisów historii Amerykańskiego Zachodu). Tak samo wojnę nad Rzeką Czerwoną opisałem, korzystając z ówczesnych relacji, a także rewelacyjnego zbioru przygotowanego przez West Texas Museum, zatytułowanego *Ranald S. Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas*, w dwóch tomach, obejmujących lata 1871–1879. Kapitan George Pettis pozostawił świetny szczegółowy opis starcia Kita Carsona z Komanczami w 1860 roku. Źródła pierwotne wykorzystałem także do przedstawienia fragmentów wczesnej historii Komanczów – przede wszystkim prace Athanase de Mézièresa, hiszpańskiego administratora od roku 1769 i jednego z najskuteczniejszych agentów do spraw Indian wszech czasów, a także raporty rządu hiszpańskiego.

Najlepsze opisy Teksasu z pierwszej połowy XIX wieku pochodzą z kilku ówczesnych źródeł: niedoścignionym i wiarygodnym świadkiem był kapitan Randolph Marcy, tak samo polegać można na pułkowniku Richardzie Irvingu Dodge'u i artyście George'u Catlinie. Wszyscy trzej zostawili surowe, nieupiększone relacje z pierwszej ręki z autentycznego pogranicza indiańskiego. Wgląd w życie grup komanckich przed okresem rezerwatowym dają liczne wspomnienia porwanych osób, między innymi Dot Baab, Hermana Lehmanna, Clintona Smitha i Nelsona Lee (Lee, co widać wyraźnie, zmyślił część opowieści, ale inne fragmenty nadal są przydatne). Użyteczne też były inne współczesne kroniki, takie jak książka *Life and Adventures of a Quaker Among the Indians* z 1875 roku, napisana przez nauczyciela w rezerwacie Thomasa Batteya. Nie można się obejść bez wspomnień Mary Maverick o dawnym San Antonio, w tym o walce w domu narad, początkach Teksaskich Rangerów i karierze Jacka Haysa.

Jeśli chodzi o źródła wtórne, to nic nie dorównuje *Comanches.Lords of the South Plains*, autorytatywnej pracy etnograficznej Ernesta Wallace'a i E. Adamsona Hoebela, opartej w olbrzymiej części na badaniach etnologicznych z lat trzydziestych XX wieku.

Książki *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill* Wilbura Nye'a oraz *Comanche Barrier to South Plains Settlement* Ruperta Richardsona były pierwszymi przełomowymi pracami na temat historii Komanczów. Obie istniejące wyczerpujące biografie Mackenziego – *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier* Wallace'a i *Bad Hand* Charlesa M. Robinsona III opierają się na solidnych badaniach i obie są przydatne. Część poświęcona Komanczom w arcydziele Waltera Prescotta Webba z 1931 roku, *The Great Plains*, sprawiła, że w ogóle zainteresowałem się tym tematem, a jego praca na temat Teksaskich Rangerów jest dla mnie wzorem. *The Comanches. Destruction of a People* T. R. Fehrenbacha jest dobrze napisana i pozostaje klasyką wśród współczesnych opracowań. Należy także wspomnieć o dwóch pracach współczesnych: pierwszorzędnej biografii Quanaha autorstwa Williama T. Hagana, skupiającej się na okresie życia Quanaha w rezerwacie, oraz *Frontier Blood* Jo Elli Powell Exley, efekcie żmudnych badań na temat licznego rodu Parkerów.

Resztę badań prowadziłem w samochodzie, przemierzając tam i z powrotem równiny Komanczerii, odwiedzając wspaniale zrekonstruowany fort Parkerów w Groesbeck, w Teksasie, a także forty Richardson, Concho i Phantom Hill, prawie zaklinowując się w lodzie w Adobe Walls, wspinając się na góry Wichita, przemierzając pola różnych bitew nad rzeką Pease i w innych miejscach. Jednym z największych przeżyć było odnalezienie starego Domu z Gwiazdami Quanaha w zapomnianym parku rozrywki w Cache, w Oklahomie. Powoli się sypie, ale wszystko wciąż tam jest, w tym jadalnia, gdzie Roosevelt i Geronimo kiedyś przyszli na obiad (każdy przy innej okazji). Żyję w Teksasie od piętnastu lat i to, jak rozumiem unikalną geografię tego stanu, a zwłaszcza geografię równin Teksasu, było niezwykle pomocne w pisaniu tej książki.

Pozycje książkowe

American Indian Leaders. Studies in Diversity, ed. David R. Edmunds, Lincoln 1980.

A Narrative of the Captivity of Mrs. Horn and Her Two Children with that of Mrs. Harris by the Comanche Indians, ed. E. House, St. Louis 1939.

Athanase de Mézières and the Lousiana−Texas Frontier, 1768–1780, ed. Herbert Eugene Bolton, Cleveland 1914.

Atkinson M. J., *Indians of the Southwest*, San Antonio 1963.

— , *The Texas Indians*, San Antonio 1935.

Baab T. A., *In the Bosom of the Comanches*, Dallas 1923 (1 wyd. 1912).

Baker T. Lindsay, Harrison Billy R., *Adobe Walls, the History and Archaeology of the 1874 Trading Post*, College Station 1986.

Bancroft Hubert H., *History of Arizona and New Mexico*, San Francisco 1889.

Battey Thomas, *Life and Adventures of a Quaker Among the Indians*, Boston 1875.

Bedford Hilory G., *Texas Indian Troubles*, Pasadena 1966 (1 wyd. 1905).

Benner Judith Ann, *Sul Ross: Soldier, Statesman, Educator*, College Station 1983.

Bolton Herbert Eugene, *Coronado. Knight of Pueblos and Plains*, New York−Albuquerque 1949.
Bourke John G., *Mackenzie's Last Fight with the Cheyennes*, New York 1966 (1 wyd. 1890).
Brazos (pseudonim), *The Life of Robert Hall*, Austin 1898.
Brice Donaly E., *Great Comanche Raid*, Austin 1987.
Brown Dee, *Bury My Heart at Wounded Knee*, New York 1970 [wyd. pol. *Pochowaj me serce w Wounded Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu*, przeł. James D. Brenner, Małgorzata Brenner, Ewa Jarzębska, Warszawa 1981].
Brown John Henry, *Indian Wars and Pioneers of Texas*, Austin 1988 (1 wyd. 1890).
— , *The Comanche Raid of 1840*, Houston 1933.
Canonge Elliott, *Comanche Texts*, Norman 1958.
Carter Robert G., *On the Border with Mackenzie*, Austin 2007 (1 wyd. 1935).
—, *The Old Sergeant's Story. Winning the West from the Indians and Bad Men in 1870 to 1876*, New York 1926.
—, *Tragedies of Blanco Canyon*, Washington D. C. 1919.
Catlin George, *Manners, Customs, and Condition of the North American Indians, With Letters and Notes*, London 1857, 2 vols., wyd. 9.
Clark Mary Whatley, *The Palo Pinto Story*, Fort Worth 1956.
Clark Randolph, *Reminiscences*, Fort Worth 1986 (1 wyd. 1919).
Clark William P., *The Indian Sign Language*, Philadelphia 1885.
Cody William F., *The Adventures of Buffalo Bill Cody*, New York−London 1904.
Connell Evan S., *Son of the Morning Star*, New York 1997.
Cook John R., *The Border and the Buffalo*, Topeka 1907.
Cox Mike, *The Texas Rangers. Wearing the Cinco Peso, 1821–1900*, New York 2008.
Curtis Edward S., *The North American Indian, Selections*, Santa Fe 1980 (1 wyd. 1930).
Debo Angie, *The Road to Disappearance. A History of the Creek Indians*, Norman 1941.
De Bruhl Marshall, *Sword of San Jacinto. A Life of Sam Houston*, New York 1931.
De Shields James T., *Border Wars of Texas*, Tioga 1912.
—, *Cynthia Ann Parker. The Story of Her Capture*, St. Louis 1886.
Dixon Billy, *The Fight at Adobe Walls*, Houston 1935.
—, *The Life and Adventures of Bill Dixon of Adobe Walls*, Guthrie 1914.
Dixon Olive King, *The Life of Billy Dixon*, Austin 1987 (1 wyd. 1927).
Dobie J. Frank, *The Mustangs*, Austin 1934.
Dodge Richard Irving, *Our Wild Indians. 33 years' Personal Experience Among the Redmen of the Great West*, New York 1883.
—, *The Hunting Grounds of the Great West*, London 1878.
—, *The Indian Territory Journals of Colonel Richard Irving Dodge*, Norman 2000.
—, *The Plains of the Great West and Their Inhabitants*, NewYork 1877.
Dorst Joseph, *Twentieth Annual Reunion of the Association of Graduates of the Union States Military Academy at West Point*, 12 czerwca 1889.
Dunlay Tom, *Kit Carson and the Indians*, Lincoln 2000.
Exley Jo Ella Powell, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001.
Fallwell Gene, *The Comanche Trail of Thunder and the Massacre at Parker's Fort, May 19, 1836*, Dallas 1965.
Faludi Susan, *The Terror Dream*, New York 2007.
Farnham J. T., *Travels in the Great Western Prairies, The Anahuac and Rocky Mountains and in the Oregon Territory*, Poughkeepsie 1841.
Fehrenbach T. R., *Lone Star. A History of Texas and the Texans*, Boulder 2000 (1 wyd. 1968).
—, *The Comanches. Destruction of a People*, New York 1974.
Foote Shelby, *The Civil War*, vol. 1., New York 1858.
Ford John Salmon, *The Ford's Texas*, ed. Stephen B. Oates, Austin 1963.

Frazier Ian, *The Great Plains*, New York 1989.
Gillett James B., *Six Years with the Texas Rangers*, New Haven 1925.
Glisan Rodney, *Journal of Army Life*, San Francisco 1874.
Goodnight Charles, *Charles Goodnight's Indian Recollections*, Amarillo 1928.
Grant U. S., *Personal Memoirs of U. S. Grant*, New York 1886.
Graves John, *Goodbye to a River*, Houston 1995.
—, *Hard Scrabble. Observations on a Patch of Land*, Dallas 2002.
Greer James Kimmins, *Colonel Jack Hays. Frontier Leader and California Builder*, College Station 1987.
Grinnell George Bird, *The Fighting Cheyennes*, Norman 1956 (1 wyd. 1915).
Guild Thelma S., Harvey L. Carter, *Kit Carson. A Pattern for Heroes*, Lincoln 1984.
Hacker Margaret Schmidt, *Cynthia Ann Parker. The Life and Legend*, El Paso 1990.
Hagan William T., *Quanah Parker, Comanche Chief*, Norman 1993 [wyd. pol. *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. Bartosz Hlebowicz, Wielichowo 2014].
—, *United States–Comanche Relations*, New Haven 1976.
Haley J. Evetts, *Charles Goodnight. Cowman and Plainsman*, Norman 1936.
—, *Charles Goodnight's Indian Recollections*, Amarillo 1928 (przedruk z „Panhandle-Plains Historical Review" 1928).
Haley James L., *The Buffalo War. The History of the Red River Indian Uprising of 1874*, Garden City 1976.
Hamilton Allen Lee, *Military History of Fort Richardson, Texas*, praca magisterska, Texas Tech., Lubbock 1973.
Hodge Frederick, *Handbook of American Indians North of Mexico*, New York 1971 (1 wyd. vol. 1: 1907, vol. 2: 1912).
Holland G. A., *The History of Parker County and the Double Log Cabin*, Weatherford 1937.
Holmes Floyd J., *Indian Fights on the Texas Frontier*, Fort Worth 1927.
Hyde George E., *Rangers and Regulars*, Columbus 1952.
Jackson Clyde, *Quanah Parker Last Chief of the Comanches. A Study in Southwestern Frontier History*, New York 1963.
James Thomas, *Three Years Among the Indians and Mexicans*, St. Louis 1916.
Jimanez Ramon, *Caesar Against the Celts*, Staplehurst 1996.
Johnston William Preston, *The Life of General Albert Sidney Johnston. Embracing His Services in the Armies of the United States, the Republic of Texas, and the Confederate States*, New York 1879.
Jones Douglas C., *The Treaty at Medicine Lodge*, Norman 1966.
Jones Jonathan H., *A Condensed History of the Apache and Comanche Indians*, New York 1976 (1 wyd. 1899).
Josephy Alvin M. Jr., *The Indian Heritage of America*, New York 1969.
Kavanagh Thomas W., *Comanche Ethnography. Field Notes of E. Adamson Hoebel, Waldo R. Wedel, Gustav G. Carlson, and Robert Lowie*, Lincoln 2008 (na podstawie badań z 1933).
—, *The Comanches. A History 1706–1875*, Lincoln 1996.
Keim De Benneville Randolph, *Sheridan' Troopers on the Border. A Winter Campaign on the Plains*. Freeport 1970 (1 wyd. 1885).
Kenney M. M., *The History of the Indian Tribes of Texas*, w: *A Comprehensive History of Texas 1685–1897*, ed. Dudley G. Wooten, Dallas 1898.
Lee Nelson, *Three Years Among the Comanches*, Santa Barbara 2001 (1 wyd. 1859).
Lehmann Herman, *Nine Years Among the Indians (1870–79)*, Albuquerque 2004 (1 wyd. 1927).
LeMay Alan, *The Searchers*, New York 1980 (1 wyd. 1954).
Le Vere David, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000.
Lewis M., *The Lewis and Clark Expedition*, Philadelphia 1814 (pełne wydanie); (vol. 1: reprint 1961).
Limerick Patricia Nelson, *The Legacy of Conquest*, New York 1988.
Linn John J., *Reminiscences of Fifty Years in Texas*, Austin 1935 (1 wyd. 1883).
Lockwood Frank Cummins, *The Apaches*, Lincoln 1897.

Marcy Randolph B., *Adventure on Red River. A Report on the Exploration of the Red River by Randolph Marcy and Captain G. B. McClellan*, Norman 1937 (1 wyd. 1853).
—, *Exploration of the Red River of Louisiana in the Year 1852*, Washington 1853.
—, *The Prairie Traveler. A Handbook for Overland Expeditions*, New York 1959 (reprint 1981).
—, *Thirty Wars of Army Life on the Border*, New York 1866.
Marshall Doyle, *A Cry Unheard: The Story of Indian Attacks in and Around Parker County Texas, 1858–1872*, Aledo 1990.
Marshall J. T., *The Miles Expedition 1874–5. An Eyewitness Account of the River Wars*, Austin 1971.
Maverick Mary, *Memoirs of Mary A. Maverick*, San Antonio 1921.
Mayhall Mildred P., *Indian Wars of Texas*, Waco 1965.
—, *The Kiowas*, Norman 1962.
McMurtry Larry, *Crazy Horse*, New York 1999.
Moore Ben Sr., *Seven Years with the Wild Indians*, O'Donnell 1945.
Moore John H., *The Cheyenne*, Malden 1996.
Morrell Z. N., *Flowers and Fruits in the Wilderness*, St. Louis 1882 (1 wyd. 1872).
Neeley Bill, *The Last Comanche Chief. The Life and Times of Quanah Parker*, New York 1995.
Neighbours Kenneth F., *Robert Simpson Neighbors and the Texas Frontier*, Waco 1975.
Neighbours Robert S., *The Nauni or Comanches of Texas*, w: *Information Respecting the History, Conditions, and Prospects of the Indian Tribes of the United States, Office of Indian Affairs*, Philadelphia 1853.
Neihardt John G., *Black Elk Speaks*, Lincoln 1979 (1 wyd. 1932) [wyd. pol. *Czarny Łoś: opowieść indiańskiego szamana. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane poprzez Johna G. Neihardta (Płomienną Tęczę)*, przeł. Marek Maciołek, Marek Nowocień, Poznań 1994].
Newcomb W. W. Jr., *The Indians of Texas*, Austin 1961.
Nye W. S., *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969 (1 wyd. 1937).
Parker James W., *Defence of James W. Parker Against Slanderous Accusations Preferred against Him*, Houston 1839.
—, *Narrative of the Perilous Adventures*, Houston 1844.
—, *The Old Army Memories*, Philadelphia 1929.
—, *The Rachel Plummer Narrative*, Houston 1839.
Parkman Francis, *The California and Oregon Trails. Sketches of Prairie and Rocky Mountain Life*, Chicago 1911 (1 wyd. 1849).
Pettis George, *Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, Santa Fe 1908.
Pichardo's Treatise on the Limits of Louisiana and Texas, ed. Charles Wilson Hackett, Austin 1934.
Plummer Rachel, *Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings of Mrs. Rachel Plummer during a captivity of twenty–one months among the Cumanche Indians*, Louisville 1839 (1 wyd. Houston 1838, to samo w: Parker James W., *The Rachel Plummer Narrative*, Houston 1839).
—, *Rachel Plummer's Narrative of Twenty–one Months of Servitude as a Prisoner Among the Comanche Indians*.
Quaife Milo Milton, *Kit Carson's Autobiography*, Lincoln 1966 (1 wyd. 1935).
Recollections of Early Texas. The Memoirs of John Holland Jenkins, ed. John Holmes Jenkings III, Austin 1958.
Richardson Rupert N., *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996 (1 wyd. 1933).
—, *The Frontier of Northwest Texas 1846–1876*, Glendale 1963.
Rister Carl Coke, *Border Captive*, Norman 1955.
—, *The Southwestern Frontier, 1865–1881*, New York 1966 (1 wyd. 1928).
Rivera Pedro De, *Diario y Derrotero de lo camion ado, visto y observado en la visita que lo hizo a los presidios de la Nueva Espana septentrional*, ed. Visto Allesio Robles, Mexico 1946.
Robinson Charles M. III, *Bad Hand. A Biography of General Ranald S. Mackenzie*, Austin 1993.
Roe Frank G., *The Indian and the Horse*, Norman 1962 (1 wyd. 1955).
Roosevelt T. R., *Outdoor Pastimes of an American Hunter*, New York 1905.

Rose Victor M., *The Life and Services of General Ben McCulloch*, Austin 1958 (1 wyd. 1888).
Ruxton George F., A*dventures in Mexico and the Rocky Mountains*, London 1861.
Sam Colt's Own Record of Transactions with Captain Valker and Eli Whitney Jr. in 1847, ed. John E. Parsons, Hartford 1949.
Schaff Morris, *The Spirit of Old West Point, 1858–1862*, Boston 1907.
Schilz Jodye Lynne Dickson, Schilz Thomas F., *Buffalo Hump and the Penateka Comanches*, El Paso 1989.
Schmeckebier Lawrence, *The Office of Indian Affairs, Its History, Activities and Organization*, New York 1972.
Scott Hugh Lenox, *Some Memories of* a Soldier, New York 1928.
Sides Hampton, *Blood and Thunder. An Epic of the American West*, New York 2006.
Smith Clinton L., *The Boy Captives. Being the True Story of the Experiences and Hardship of Clinton L. and Jeff D. Smith*, San Antonio 2005 (1 wyd. 1927).
Smith Coho, *Cohographs*, ed. Iva Roe Logan, Fort Worth 1976.
Smith E. Todd, *From Dominance to Disappearance. Indians of Texas and the Near Southwest 1786–1859*, Lincoln 2005.
Smithwick Noah, *Evolution of a State or Recollections of Old Texas Days*, compiled by Nanna Smithwick Donaldson, Austin 1995 (1 wyd. 1900).
Sommer Charles H., *Quanah Parker, the Last Chief of the Comanches*, St. Louis 1945.
Stiff Edward, *The Texan Emigrant*, Cincinnati 1840.
Tatum Lawrie, *Our Red Brothers and the Peace Polity of President Ulysses S. Grant*, Lincoln 1970 (1 wyd. 1889).
The Indian Papers of the Southwest, ed. Winfrey H. Dorman, James M. Day, 5 vols., Austin, 1959–1966.
Thomas Alfred B., *A Study of the Spanish Indian Policy of Don Juan Batista De Anza, 1777–87*, Norman 1969 (1 wyd. 1932).
—, *Forgotten Frontiers. A Study of the Spanish Indian Policy of Don Juan Batista de Anza, Governor of New Mexico, 1777–87*, Norman 1932.
Thompson R. A., *Crossing the Border with the Fourth Cavalry*, Waco 1986.
Tilghman Zoe A., *Quanah. Eagle of the Comanches*, Oklahoma City 1938; Norman 1940.
Tolbert Frank X., *An Informal History of Texas*, New York 1951.
Toole K. Ross, *Probing the American West*, Santa Fe 1962.
Utley Robert M., *Lone Star Justice. The First Century of the Texas Rangers*, New York 2002.
Vestal Stanley, *Kit Carson: The Happy Warrior of the Old West*, New York 1928.
Wallace Ernest. *Final Champion of Comanche Glory* (w serii „The Great Chiefs"), Alexandria 1975.
—, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, College Station 1993.
—, *Texas in Turmoil*, Austin 1965.
Wallace Ernest, Adamson Hoebel E., *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952.
Webb Walter P., *The Great Plains*, Lincoln 1981 (1 wyd. 1931).
—, *The Texas Rangers, a Century of Frontier Defense*, Austin 2003 (1 wyd. 1935).
Weems John Edward, *Death Song. The Last of the Indian Wars*, Garden City 1976.
West G. Derek, *The Battles of Adobe Walls and Lyman's Wagon Train, 1874*, Canyon 1964.
White E. E., *Experiences of a Special Indian Agent*, Norman 1965 (1 wyd. 1893).
Wilbarger J. W., *Indian Depredations in Texas*, Austin 1967 (1 wyd. 1889).
Williams Amelia W., Barker Eugene C., *The Writings of Sam Houston, 1813–1863*, 8 vols., Austin 1938–1943 (vol. 4: Austin 1940).
Winship George Parker, *The Coronado Expedition 1540–*42, New York 1904.
Wissler Clark, *Man and Culture*, New York 1923.
—, *North American Indians of the Plains*, New York 1927.
—, *The American Indian*, New York 1922.
Yenne Bill, *Sitting Bull*, Yardley 2008.
Zesch Scott, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004.

Artykuły

Anderson Adrian N., *The Last Phase of Colonel Ranald S. Mackenzie's 1874 Campaign Against the Comanches*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1964, vol. 40, s. 74–81.

Brink Wellington, *Chief Quanah and the Leopard Coat Man*, „Farm and Ranch", 17 kwietnia 1926.

Burton Harley True, *History of the* J A *Ranch*, „Southwestern Historical Quarterly" 1927, vol. 31, No. 2, s. 93.

„Clarksville Northern Standard", 25 maja 1846.

„Clarksville Northern Standard", 6 kwietnia 1861.

Documents Relating to General W. T. Sherman's Southern Plains Indian Policy 1871–75, ed. C. C. Rister, „Panhandle-Plains Historical Review" 1936, vol. 9.

Dodge T. A., *Some American Riders*, „Harpers New Monthly Magazine", maj 1891, s. 862.

Dunn William E., *The Apache Mission on the San Saba River, Its Founding and Its Failure*, „Southwestern Historical Quarterly" 1914, vol. 17, s. 379–414.

„Every Day Seemed to Be a Holiday". The Captivity of Bianca Babb, ed. Daniel J. Gielo, Scott Zesch, „Southwestern Historical Quarterly" 2003, vol. 47, No.1, s. 36.

Fortune Jan Isbelle, *The Recapture and Return of Cynthia Ann Parker*, „Groesbeck Journal", 15 maja 1936, s. 1.

Gilles Albert S. Sr., *A House for Quanah Parker*, „Frontier Times", maj 1966, s. 34.

Grinnell G. B., *Who Were the Padouca?*, „American Anthropologist" 1920, vol. 22.

Haley Evetts, *The Comanchero Trade*, „Southwestern Historical Quarterly" 1935, vol. 38, No. 3.

Hatcher Mattie Austin, *The Opening of Texas to Foreign Settlement 1801–1821*, „University of Texas Bulletin" 1927, s. 53, 54.

Haynes Francis, *The Northward Spread of Horses Among the Plains Indians*, „American Anthropologist" 1938, vol. 40, s. 428–437.

—, *Where Did the Plains Indians Get Their Horses?*, „American Anthropologist" 1938, vol. 40, s. 112–117.

„Hobart Democrat-Chief" (Oklahoma), 4 sierpnia 1925, Panhandle-Plains Museum Archives.

Hunta J. W., *Nine Years with the Apaches and Comanches*, „Frontier Times" 1954, vol. 31, s. 251–277.

Jones Lawrence T., *Cynthia Ann Parker and Pease Ross. The Forgotten Photographs*, „Southwestern Historical Quarterly" 1990, vol. 93.

Mason A. B., *The White Captive*, „Civilian and Gazette" 1860 (reprint historii z „White Man").

Mooney James, *Calendar History of the Kiowa Indians*, „Seventeenth Annual Report", Bureau of Ethnology, Washington, D.C. 1898.

—, *The Aboriginal Population of America North of Mexico*, „Smithsonian Miscellaneous Collections" 1928, vol. 80, No. 7.

Neighbors Kenneth, *Battle of Walker's Creek*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1965, vol. 41.

Nielsen Soren, *Ranald S. Mackenzie. The Man and His Battle*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1988, vol. 64, s. 140.

Norris David A., *Confederate Gunners Affectionately Called Their Hard Working Little Mountain Howitzers 'Bull Pups'*, „American's Civil War" 1995, s. 10, 12, 14, 16, 20 i 90.

Oates Stephen B., *Texas Under the Secessionists*, „Southwestern Historical Quarterly" 1963, vol. 67.

Opler Marvin, *The Origins of Comanche and Ute*, „American Anthropologist" 1943, vol. 45.

Pate J'Nell, *The Battles of Adobe Walls*, „Great Plains Journal" 1976, vol. 46.

Pettis George, *Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, „Historical Society of New Mexico" 1908, vol. 12.

Quanah Parker in Adobe Walls Battle, „Borger News Herald", data nieznana, Panhandle-Plains Historical Museum Archives, oparte na wywiadach J. A. Dicksona.

Ranald S. Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas 1873–79, ed. F. E. Green, „Museum Journal" 1966, vol. 10.

Richardson Rupert N., *The Comanche Indians and the Fight at Adobe Walls*, „Panhandle-Plains Historical Review" 1931, vol. 4.

—, *The Comanche Indians and the Fight at Adobe Walls*, „Panhandle-Plains Historical Review" 1936, vol. 9.
Roe F. G., *From Dogs to Horses Among the Western Indian Tribes*, „Proceedings and Transactions of the Royal Society of Canada" 1939, 3rd series, section II.
Stanley Henry M. T., *A British Journalist Reports the Medicine Lodge Councils of 1867*, „Kansas Historical Quarterly" 1967, vol. 33.
Taylor Alfred A., *Medicine Lodge Peace Council*, „Chronicles of Oklahoma" 1924, vol. 2, No. 2.
Thompson W. A., *Scouting with Mackenzie*, „Journal of the United States Cavalry Association" 1897, vol. 10.
Tingley Donald F., *The Illinois Days of Daniel Parker, Texas Colonizer*, „Journal of the Illinois State Historical Society" 1958, vol. 51.
Wallace Ernest, *David G. Burnet's Letters Describing the Comanche Indians*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1954, vol. 30.
—, *Prompt in the Saddle, The Military Career of Ranald S. Mackenzie*, „Military History of Texas and the Southwest" 1971, vol. 9, No. 3, s. 161–167.
—, *The Comanche Eagle Dance*, „Texas Archaeological and Paleontological Society Bulletin" 1947, vol. 18.
—, *The Comanches on the White Man's Road*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1953, vol. 29.
—, *The Journal of Ranald S. Mackenzie's Messenger to the Kwahadi Comanches*, „Red River Valley Historical Review" 1978, vol. 3, No. 2, s. 229–246.
Wedel Waldo R., *An Introduction to Pawnee Archeology*, „Bureau of American Ethnography Bulletin" No. 112, s. 4, mapa 4.
Wellman Paul, *Cynthia Ann Parker*, „Chronicles of Oklahoma" 1934, vol. 12, No. 2.
West G. Derek, *The Battle of Adobe Walls* (*1874*), w: *Battles of Adobe Walls and Lyman Wagon Train, 1874*, Panhandle-Plains Historical Society, Canyon, Texas 1964.
Whisenhunt Donald W., *Fort Richardson*, „West Texas Historical Association Yearbook" 1963, vol. 39, s. 23, 24.
White Lonnie, *Indian Battles in the Texas Panhandle*, „Journal of the West" 1967, vol. 6, s. 283–287.
—, *Kansas Newspaper Items Relating to the Red River War of 1874–1975*, w: *Battles of Adobe Walls and Lyman Wagon Train, 1874*, Panhandle-Plains Historical Society, Canyon 1964, s. 77, 78.
Williams Robert H., *The Case for Peta Nocona*, „Texana" 1972, vol. 10, No. 1.
Winn Mamie Folsom, *History Centers About Cynthia Ann Parker's Home*, w: *Women tell the Story of the Southwest*, ed. Maddie L. Wooten, San Antonio 1940.
Wissler Clark, *The Influence of the Horse in the Development of Plains Culture*, „American Anthropologist" 1914, vol. 16, No. 1, s. 1–25.
Worcester D. E., *Spanish Horses Among the Plains Tribes*, „Pacific Historical Review" 1945, vol. 2, s. 409–417.
—, *The Spread of Spanish Horses in the Southwest*, „New Mexico Historical Review" 1944, vol. 19, s. 25–32.

Relacje w prasie z wydarzeń nad rzeką Pease:
„Galveston Daily Citizen", 13 grudnia 1860 (rubryka *Indian News*).
„Galveston Daily Citizen", 15 stycznia 1861 (rubryka *Indian News*).

Materiały dotyczące ataków indiańskich, które doprowadziły do starcia nad rzeką Pease:
„The White Man", 13 września 1860.

Pisma, listy i oficjalne dokumenty

Brown Marion, *Marion T. Brown. Letters from Fort Sill, 1886*–1887, Austin 1970.
Commissioner of Indian Affairs, *Annual Reports* 1830–1875.
Council Meeting of May 23, 1884, „Kiowas", 17:46 [Narada 23 maja 1884 r., „Kiowowie"], Oklahoma Historical Society.
Historical Documents Relating to New Mexico, Nueva Vizcaya, and approaches thereto to 1773 (from TRF*)*, ed. Charles Hackett.
House of Representatives Executive Documents, 30th Congress [decyzje Izby Reprezentantów, 30 posiedzenie

Kongresu Stanów Zjednoczonych].
Indian Affairs Laws and Treaties, ed. Charles J. Kappler, Washington, Government Printing Office, vol. 2, 1903.
Jerome David, *Hearing at Fort Sill with Comanches, Kiowas, and Apaches* [Narada w forcie Sill z Komanczami, Kiowami i Apaczami], 26 września 1892, Panhandle-Plains Museum Archives.
Journals of the Fourth Congress of the Republic of Texas, ed. Harriet Smither, vol. 1, 3.
Komisarz T. J. Morgan do agenta Adamsa, 18 grudnia 1890, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma Historical Society.
Linger Bob do Quanaha Parkera, 9 marca 1909, Neeley Archive w Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.
(Oficjalny raport Mackenziego z 12 października 1872): „1872, Sept. 29, Attack on Comanche Village" (atak na wioskę Komanczów 29 września 1872), zaadresowany do asystenta szefa administracji wojskowej (Assistant Adjutant General), Departament Teksasu.
„Messages of the President, Submitted to Both Houses" (posłania Prezydenta do obu izb Kongresu), 21 grudnia 1838, Lamar Papers, Doc. 948.
The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar, ed. Charles Adams Gulick Jr., vol. 2, 4, Austin 1924.
Przemówienie Dziesięciu Niedźwiedzi podczas pokojowej narady nad Medicine Lodge Creek, 1867. Zapis przebiegu rozmów Indiańskiej Komisji Pokojowej wyznaczonej przez ustawę Kongresu 20 lipca 1867, archiwa sekretarza Departamentu Spraw Wewnętrznych, National Archives, vol. 1, s. 104–106.
Quanah Parker do Charlesa Adamsa, 13 maja 1890, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma History Center.
Twichell Ralph E., *Spanish Archives of New Mexico*, 2 vol., Cedar Rapids 1914.
Ranald S. Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas, 1871–73, ed. Ernest Wallace, West Texas Museum Association, Lubbock 1967.
The Indian Papers of Texas and the Southwest, ed. Winfrey H. Dorman, James M. Day, 5 vols., Austin 1959–1966.

Listy

Augur C. C. do Mackenziego, 28 sierpnia 1874, oficjalna korespondencja Mackenziego dotycząca Teksasu, „Museum Journal" 1966, vol. 10.
Butler P. M. i M. G. Lewis do W. Medilla, komisarza do spraw Indian, 8 sierpnia 1848, dokumenty Izby Reprezentatów nr 1, 30 posiedzenie Kongresu, sesja druga, s. 578.
Davidson J. W. do asystenta szefa administracji wojskowej, 29 października 1878, dokumenty Izby Reprezentatów, 45 posiedzenie Kongresu, sesja trzecia, s. 555.
Do komendanta fortu Bascom, 27 września 1864, „Official Records of the War of Rebellion", seria 1, vol. 41, część 3.
Fox George do Philemona Hunta, 13 października 1884, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów].
Haworth J. M.do Williama Nicholsona, 26 sierpnia 1877, Kiowa Agency Microform [mikrofilmy Agencji Kiowów], National Archives.
Jones H. P. do Philemona Hunta, 21 czerwca 1883, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma Historical Society.
Leavenworth J. H. do komisarza do spraw Indian, 23 kwietnia 1868, 40 posiedzenie Kongresu, sesja druga, dokument Senatu nr 60:2.
Linger Bob do Quanaha Parkera, list, 8 marca 1909, wysłany z Cantonment Oklay, dotyczący pejotlu.
Mackenzie Ranald do W. T. Shermana, 15 czerwca 1871, Pisma W. T. Shermana, Biblioteka Kongresu, Waszyngton, D.C.
Neighbours Robert S. do W. Medilla, komisarza do spraw Indian, 18 listopada 1847, 30 posiedzenie Kongresu, sesja pierwsza, raport komisji 171.
Parker James do Mirabeau Lamara, 3 lutego 1844, pisma M. B. Lamara.
Parrilla Don Diego Ortiz de do wicekróla, 30 czerwca 1757 („Historia", vol. 95).
Pearson K. J. do Johna D. Floyda, 3 lutego 1861, archiwa fortu Sill.

Rękopisy i materiały archiwalne

(anonim), artykuł prasowy o radzie szkolnej w zbiorze Quanaha Parkera, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

(anonim), *Biography of Daniel Parker*, rękopis, Center for American History.

Baker Jonathan Hamilton, *Diary of Jonathan Hamilton Baker of Palo Pinto County Texas*, część I, 1858–60. Uzyskany od jego córki Elizabeth Baker, Seattle, Washington 1932, przez sędziego E. B. Ritchiego, Mineral Wells (J. Evetts Haley).

Beall Knox do R. B. Thomasa, 5 listopada 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman.

Beall Knox do Bessie Thomas, 15 kwietnia 1938.

Caperton John, *Sketch of Colonel John C. Hays, The Texas Rangers, Incidents in Mexico, etc*. Na podstawie materiałów dostarczonych przez płk. Haysa i mjr. Johna Capertona, MS Center for American History, University of Texas, Austin.

Clarke Elizabeth Ross, *YA-A-H-HOO: Warwhoop of the Comanches*, Elizabeth Ross Clarke Collection, Narrative, Center For American History, University of Texas, Austin.

Dixon Olive King, *Fearless and Effective Foe, He Spared Women and Children Always*, rękopis Olive King Dixon Papers, Research Center, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Dupree J. L. (Mrs.) do Jaspera Meada, 17 marca 1938, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman.

Earle J. P., *A History of Clay County and Northwest Texas. Written by J. P. Earle, one of the first pioneers, Henrietta, Texas*, rękopis, 15 listopada 1900, J. P. Earle Collection, Center for American History.

Fleming Evelyn o Charliem Harcie, rękopis, pisma Quanaha Parkera, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Ford John S. (adiutant płk. Haysa), *John C. Hays in Texas*, rękopis, pisma Johna Salmona Forda, Center for American History, University of Texas, Austin.

Gholson B. F., wspomnienia B. F. Gholsona, służba A. G. Gholsona (ojca) 1835–1860 i B. F. Gholsona, rangera, 1858–1860, opowiedziane J. A. Rickardowi, maszynopis w Center for American History.

Gomez Anna do Ophelii D. Vestal, 13 grudnia 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman.

Goodnight Charles, *My recollections and memories of the capture of Cynthia Ann Parker*, rękopis, pisma Charlesa Goodnighta, Research Center, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

—, *Quanah Parker Interview with Charles Goodnight*, brak daty, pisma Charlesa Goodnighta, Research Center, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

— *The Making of a Scout*, rękopis, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Gunter Lillian, *Sketch of the Life of Julian Gunter*, rękopis sporządzony dla Panhandle-Plains Historical Association, 1923, archiwa Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Hatfield Charles A. P., *The Comanche, Kiowa, and Cheyenne Campaign in Northwest Texas and Mackenzie's Fight in the Palo Duro Canyon, Sept. 26, 1874*, maszynopis, Panhandle Historical Society, Canyon, Texas.

Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman (wywiady z lat trzydziestych XX wieku).

Kirkpatrick Cora Miller (Mrs.), wspomnienia, w manuskrypcie Mrs. J. W. Pierce, zbiór Quanaha Parkera, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Nohl Lessing, *Bad Hand. The Military Career of Ranald Slidell Mackenzie, 1871–1889*, rozprawa doktorska, University of New Mexico, Albuquerque.

Parker Baldwin (Chief), *The Life of Quanah Parker, Comanche Chief*, przez J. Evettsa Haleya, 29 sierpnia 1930, rękopis, Center for American History, University of Texas, Austin.

Parker Wayne, *Quanah Parker, Last Chief of the Kwahadi Obeys the Great Spirit*, rękopis, zbiór Quanaha Parkera, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Roberson G. W. do J. Evettsa Haleya, 30 lipca 1926, rękopis, archiwa Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Rogers H. B., *The Recollections of H. B. Rogers, as told to J. A. Rickard*.

Scott Hugh, wywiad z kpt. Hugh Scottem, 1897, zbiór Hugh Scotta, archiwa fortu Sill, Lawton, Oklahoma, częściowo także dostępne przez Neeley Archive w Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

Thomas Robert B., niedatowany rękopis, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman; także Knox Beall, dz. cyt., 5 listopada 1937.

Wallace Ernest, *The Habitat and Range of the Comanche, Kiowa, and Kiowa-Apache Indians*, manuksrypt, Southwest Collection, Texas Tech, Lubbock.

Zimmerman Jean Louise, *Ranald Slidell Mackenzie*, praca magisterska, Western History Collections, University of Oklahoma, Norman 1965.

Fotografie

s. 439 (Fort Parkerów), s. 441, s. 444 (Quanah z jedną z żon) – dzięki uprzejmości Dolph Briscoe Center for American History, University of Texas, Joseph E. Taulman Collection

s. 440 (Cynthia Ann Parker), s. 442, s. 443 (Ranald S. Mackenzie), s. 444 („Wyczyn" łowców bizonich skór), s. 445 (Eschiti) – dzięki uprzejmości Panhandle Plains Historical Museum

s. 443 (Mow-way), s. 446, s. 447 (Quanah ze swoją rodziną), s. 448 – dzięki uprzejmości Fort Sill Museum

s. 447 (Dom z Gwiazdami), s. 449, s. 450 – dzięki uprzejmości Oklahoma Historical Society

s. 439 (Jack Hays) – dzięki uprzejmości Library of Congress

s. 440 (Młody Sul Ross) – dzięki uprzejmości Baylor University Library, Waco, Texas

PRZYPISY KOŃCOWE

ROZDZIAŁ PIERWSZY
Nowy rodzaj wojny

[1] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, Austin 2007, s. 159.

[2] G. Pettis, *Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, Santa Fe, 1908, s. 7 i n.

[3] Cyt. za: *Documents Relating to General W. T. Sherman's Southern Plains Indian Policy 1871–75*, ed. C. C. Rister, „Panhandle-Plains Historical Review" 1936, vol. 9.

[4] T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 494.

[5] *Ranald Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas, 1873–1879*, ed. E. Wallace, Lubbock 1967, s. 7. Wydarzenie to znane jest także jako „masakra karawany wozów" (Wagon Train Massacre), zob. np. T. R. Fehrenbach, *Comanches*, dz. cyt., s. 506 (czasem też jako Warren Wagon Train Massacre).

[6] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 81, 82.

[7] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 50–55.

[8] Tamże.

[9] Cyt. za: H. E. Bolton, *Coronado. Knight of Pueblos and Plains*, New York−Albuquerque 1949.

[10] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 3.

[11] R.Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 156.

[12] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 149.

[13] Tamże, s. 160.

[14] Tamże, s. 161.

[15] Tamże, s. 176.

ROZDZIAŁ DRUGI
Śmiercionośny raj

[16] Wywiad z Quanahem Parkerem przeprowadzony przez Charlesa Goodnighta, rękopis bez daty, Goodnight Papers, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[17] M. DeBruhl, *Sword of San Jacinto. A Life of Sam Houston*, New York 1931, s. 305.

[18] Kontrakt zawarto 1 listopada 1835 r., podpisany został przez Juana Basquisa, a dotyczył sprzedaży pół ligi ziemi Silasowi Parkerowi; dokument jest przechowywany w Taulman Archive, Center For American History University of Texas.

[19] J. Taulman, A. Taulman, *The Fort Parker Massacre and Its Aftermath*, rękopis nieopublikowany, kolekcja różnych materiałów na temat Cynthii Ann Parker w podręcznych kartotekach, Center for American History University of Texas, Austin, s. 2.

[20] Tamże, s. 247.

[21] B. Yenne, *Sitting Bull*, Yardley 2008, s. 35.

[22] Uznaje się, że Daniel Parker był pierwszą osobą, która przedstawiła formalny wniosek o utworzenie oddziałów

rangerów w celu ochrony osadników. Jego propozycję zaakceptowała stała rada Konsultacji w 1835 roku – komisja, która podejmowała decyzje w czasie Rewolucji Teksaskiej. Daniel Parker był jej członkiem. Zob. M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker. The Life and Legend*, El Paso 1990, s. 7. Zob. też M. Cox, *The Texas Rangers: Wearing the Cinco Peso 1821–1900*, New York 2008, s. 42.

[23] M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 6.

[24] J. Parker, *Narrative of the Perilous Adventures*, Houston 1844, s. 9.

[25] Tamże.

[26] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History 1706–1875*, Lincoln 1996, s. 250. Zob. też M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 49, oraz relację Noaha Smithwicka w *Evolution of a State*, Austin 1995 (1 wyd. 1900), który był jednym z tych rangerów.

[27] J. Taulman, A. Taulman, *The Fort Parker Massacre*, dz. cyt., s. 2, 3.

[28] R. Plummer, *Rachel Plummer's Narrative of Twenty-one Months Servitude as a Prisoner among the Comanche Indians*, Louisville 1839, s. 7. Zob. też drugą relację Rachel Plummer (napisała dwie), *Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings of Mrs. Rachel Plummer*. Uwaga ogólna: te dwie opowieści, a także *Narrative of the Perilous Adventures* Jamesa Parkera, stanowią podstawę większości relacji o tej masakrze. [*Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings*… to poprawiona wersja *Rachel Plummer's Narrative of Twenty-one Months*…, dołączona do *Narrative of the Perilous Adventures* Jamesa Parkera. W *Bibliografii* autor umieścił tylko pierwszą wersję wspomnień Rachel Plummer, bez podania daty wydania. W przypisach są odwołania do jednej i do drugiej; również niektóre odniesienia do relacji Jamesa Parkera w istocie odsyłają do umieszczonej w nich drugiej wersji wspomnień Rachel. W polskim wydaniu dodano do *Bibliografii* także drugą wersję wspomnień Rachel Plummer – uwaga tłum.]. Istnieje też pisemne oświadczenie, złożone pod przysięgą przez Daniela Parkera i innych członków rodziny niedługo po masakrze (Center for American History, University of Texas, Austin), a także rozmaite inne wersje członków rodziny, w tym relacja z tego, co się wydarzyło, autorstwa wnuka Quanaha, Baldwina Parkera, oparta na tradycji rodzinnej (również znajdująca się w archiwach Center for American History). Jeszcze inną relację sporządzili Joseph i Araminta Taulman i wchodzi ona w skład olbrzymiego archiwum Uniwersytetu w Teksasie w Austin. Jest jeszcze inna relacja naocznego świadka Abrama Anglina (w: *A Texas Scrap Book. Made up of the History, Biography and Miscellany of Texas and Its People*, ed. Dewitt Baker, New York 1875, reprint 1991). Prócz tego istnieje wiele relacji z gazet, opartych na wywiadach z najbliższymi krewnymi i potomkami Parkerów, w tym *Story of the White Squaw*, „McKinney Democrat Gazette", 22 września 1927; Ben J. Parker z Elkhart w Teksasie, *Early Times in Texas and the History of the Parker Family* (rękopis w Center for American History); J. Marvin Nichols, *White Woman Was the Mother of Great Chief*, „San Antonio Daily Express", 25 lipca 1909; Ben J. Parker, *Ben Parker Gives Events of Pioneering*, „Palestine Herald", 15 lutego 1935; w przypadku źródeł wtórnych nie ma lepszego niż wyczerpująco opracowana książka Jo Elli Powell Exley *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001.

[29] T. R. Fehrenbach, *Lone Star. A History of Texas and the Texans*, Boulder 2000, s. 291.

[30] Ten i inne szczegóły architektoniczne zostały świetnie odtworzone w Old Parker's Fort, w Groesbeck w Teksasie, zbudowanym w miejscu oryginalnego fortu.

[31] R. Plummer, *Rachel Plummer's Narrative*…, dz. cyt., s. 93.

[32] Tamże, s. 93.

[33] Daniel Parker, zapisy z 18 czerwca 1836 r., Parker Documents, Center for American History, University of Texas, Austin; zob. też M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 8.

[34] R. Plummer, *Rachel Plummer's Narrative*…, dz. cyt., s. 95.

[35] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*, dz. cyt., s. 44.

[36] Tamże, s. 94.

[37] R. Plummer, *Rachel Plummer's Narrative*…, dz. cyt., s. 9.

[38] J. Parker, *Narrative of the Perilous Adventures*, dz. cyt., s. 1.

[39] J. Graves, *Hard Scrabble. Observations on a Patch of Land*, Dallas 2002, s. 15.

[40] R. Plummer, *Rachel Plummer's Narrative*…, dz. cyt.

[41] Tamże, s. 7 i n.

[42] Tamże.

ROZDZIAŁ TRZECI
Zderzenie światów

[43] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 12.

[44] *Forgotten Frontiers. A Study of the Spanish Indian Policy of Don Juan Bautista de Anza, Governor of New Mexico, 1777–1787, From the Original Documents in the Archives of Spain, Mexico, and New Mexico*, ed. A. Thomas, Norman 1932, s. 119 i n.

[45] Tamże, s. 8. Zob. też R. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 5.

[46] T. R. Fehrenbach, *The Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 133.

[47] *The Indian Papers of the Southwest*, eds. D. H. Winfrey, J. M. Day, vol. 1, Austin 1959, s. 24.

[48] M. Lewis, *The Lewis and Clark Expedition*, Philadephia 1814 (reprint 1961), s. 30. Thomas W. Kavanagh w *The Comanches. A History 1706–1875*, Lincoln 1996, s. 66, twierdzi, że etnonim „Padouca" równie dobrze mógł dotyczyć zamieszkujących na równinach Apaczów. Tak czy inaczej, chodzi o to, że na terytorium, na którym zamieszkiwało wiele znanych tubylczych ludów, Komancze w tym okresie pozostawali nieznani.

[49] G. Bird Grinnell, *Who Were the Padouca?*, „American Anthropologist" 1920, vol. 22, s. 248.

[50] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 218, 219.

[51] Tamże, s. 235.

[52] G. Catlin, *Manners, Customs, and Condition of the North American Indians, With Letters and Notes*, London 1857, s. 47.

[53] W. S. Nye, *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 8.

[54] G. Catlin, *Manners*…, dz. cyt., s. 48 i n. Zob. też R. I. Dodge, *Our Wild Indians, 33 years' Personal Experience among the Redmen of the Great West*, New York 1877.

[55] R. B. Marcy, *Adventure on Red River. A Raport on the Exploration of the Red River by Captain Randolph Marcy and Captain G. B. McClellan*, Norman 1937, s. 5.

[56] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 30, 31.

[57] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 8.

[58] C. Wissler, *The American Indian*, New York 1922, s. 220 i n.

[59] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 33.

[60] Pierwszy poczynił tę obserwację Walter Prescott Webb w książce *The Great Plains*, Lincoln 1981, s. 53; wielu ją po nim powtórzyło.

[61] J. F. Dobie, *The Mustangs*, Austin 1934, s. 23 i n.

[62] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 41.

[63] Tamże, s. 24.

[64] T. R. Fehrenbach, *Lone Star. A History of Texas and the Texans*, Boulder 2000, s. 31.

[65] J. F. Dobie, *The Mustangs*, dz. cyt., s. 25.

[66] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 86.

[67] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 35 i n.

[68] C. Wissler, *The American Indian*, dz. cyt., s. 220.

[69] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 126.

[70] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 39.

[71] Tamże, s. 35; J. F. Dobie, *The Mustangs*, dz. cyt., s. 69.

[72] A. de Mézières, *Raport by de Mézières of the Expedition to Cadadachos, Oct. 29, 1770*, w: *Athanase de Mézières and the Lousiana-Texas Frontier 1768–1780*, ed. Herbert E. Bolton, vol. 1, Cleveland 1914, s. 218.

[73] G. Catlin, *Manners…*, dz. cyt., s. 65 i n. Zob. też R. I. Dodge, *Our Wild Indians…*, dz. cyt.

[74] J. F. Dobie, *The Mustangs*, dz. cyt., s. 65.

[75] R. I. Dodge, *The Plains of the Great West and Their Inhabitans*, New York 1877, s. 401 i n.

[76] J. F. Dobie, *The Mustangs*, dz. cyt., s. 48. Cytuje on relację kapitana Randolpha Marcy'ego.

[77] T. James, *Three Years Among the Indians and Mexicans*, St. Louis, vol. 1, 1916, cyt. za: J. F. Dobie, *The Mustangs*, dz. cyt., s. 83.

[78] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 46.

[79] R. I. Dodge, *The Plains of the Great West…*, dz. cyt., s. 329, 330.

[80] R. E. Twitchell, *The Spanish Archives of New Mexico*, vol. 2, Cedar Rapids 1914, s. 269.

[81] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 63.

[82] M. Opler, *The Origins of Comanche and Ute*, „American Anthropologist" 1943, vol. 45, s. 156.

ROZDZIAŁ CZWARTY
Wielka samotność

[83] R. Plummer, *Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings of Mrs. Rachel Plummer*, Louisville 1839.

[84] T. R. Fehrenbach, *The Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 97.

[85] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 133.

[86] R. Plummer, *The Narrative of the Capture…*, dz. cyt., s. 96.

[87] Tamże, s. 97.

[88] W. P. Webb, *The Great Plains*, Lincoln 1981, s. 9.

[89] R. Plummer, *The Narrative of the Capture…*, dz. cyt., s. 97.

[90] N. Smithwick, *Evolution of a State or Recollections of Old Texas Days*, Austin 1900 (reprint 1995), s. 183.

[91] D. La Vere, *Contrary Neighbors: The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 122.

[92] R. Plummer, *The Narrative of the Capture…*, dz. cyt., s. 97.

[93] Tamże, s. 98.

[94] Tamże, s. 107.

[95] Tamże, s. 108.

[96] H. Lehmann, *Nine Years Among the Comanches, 1870–1879*, Albuquerque 2004, s. 155.

[97] Nieliczne informacje historyczne na temat Szalonego Konia omówione są dość szczegółowo w krótkim, ale znakomitym studium Larry'ego McMurtry'ego *Crazy Horse*, New York 1999.

[98] Bardziej wyczerpujące wyjaśnienie tego ważnego zjawiska zawarto w rozdziale 7.

[99] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 77 i n.

[100] S. Block, *Rape and Sexual Power in Early America*, Chapel Hill, s. 222 i n.

[101] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 194.

[102] Tamże.

[103] R. L. Jiménez, *Caesar against the Celts*, Staplehurst 1996, s. 27 i n.

[104] Tamże, s. 36.

[105] R. I. Dodge, *Our Wild Indians, 33 years' Personal Experience among the Redmen of the Great West*, New York 1877, s. 59.

[106] Tamże.

[107] Tamże.

[108] S. Zesch, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 127.

[109] J. S. Ford, *Rip Fords Texas*, Austin 1963, s. 231.

[110] C. L. Smith, *The Boy Captives. Being the True Story of the Experiences and Hardship of Clinton L. Smith and Jeff D. Smith*, San Antonio 2005, s. 69 i n.

[111] S. Zesch, *Captured*, dz. cyt., s. 79.

[112] C. L. Smith, *The Boy Captives*, dz. cyt., s. 69.

[113] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 22.

[114] Tamże, s. 25.

[115] Jedynym wyjątkiem było przyłączenie się członków odłamu Penateka jako zwiadowców do oddziałów amerykańskich w ostatniej kampanii przeciw Quahada w Texas Panhandle. Nigdy nie wzięli udziału w walce.

[116] W. S. Nye, *Carbine and Lance, the Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 7.

[117] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 10.

[118] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 23.

[119] R. Plummer, *The Narrative of the Capture…*, dz. cyt., s. 113.

ROZDZIAŁ PIĄTY
Skowyt wilka

[120] T. R. Fehrenbach, *The Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 160.

[121] *Forgotten Frontiers. A Study of the Spanish Indian Policy of Don Juan Bautista de Anza, Governor of New Mexico, 1777−1787*, ed. A. Thomas, Lincoln 1932, s. 58: „Już w 1706 roku Iribarri opisywał wstrząsające szczegóły międzyplemiennego konfliktu, który ukazywał upadek cywilizacji Apaczów na północnym wschodzie prowincji".

[122] Tamże, s. 58.

[123] *Athanase de Mézières and the Lousiana-Texas Frontier 1768–1780*, ed. Herbert E. Bolton, vol. 1, Cleveland 1914, s. 34.

[124] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 10.

[125] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 12.

[126] H. H. Bancroft, *History of Arizona and New Mexico*, San Francisco 1889, s. 239.

[127] O bitwie tej wspomina się w różnych miejscach. Najpierw w raporcie [Ynforme] z 30 września 1784 roku ówczesnego hiszpańskiego gubernatora Teksasu Domingo Cabello y Roblesa. Potem w przygotowanym

w 1914 roku przez Herberta Boltona zbiorze pism Athanase de Mézièresa, błyskotliwego agenta do spraw Indian z XVIII wieku, zob. *Athanase de Mézières*…, dz. cyt., s. 25.

[128] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 138.

[129] R. I. Dodge, *Plains of the Great West and Their Inhabitants*, New York 1877, s. 414. Relacja ta pochodzi od komanckiego wojownika Pedro Espinosy, z pochodzenia Meksykanina.

[130] D. La Vere, *Contrary Neighbors*, dz. cyt., s. 30, 31.

[131] Niemal wszystko, co nam wiadomo na temat relacji Komanczów z Hiszpanami, pochodzi z oficjalnych dokumentów z epoki. Zwłaszcza dwa źródła są wyjątkowo skrupulatne: raporty Don Juana Bautisty de Anzy, zebrane i przetłumaczone przez Alfreda Thomasa w *Forgotten Frontiers*, a także przemyślane i wnikliwe raporty hiszpańskiego agenta do spraw Indian Athanase de Mézièresa, zebrane w 1914 roku przez Herberta Boltona i opublikowane jako *Athanase de Mézières and the Lousiana-Texas Frontier 1768–1780*. Użyteczny i interesujący jest też wielotomowy wybór *Spanish Archives of New Mexico* pod redakcją Ralpha Twitchella.

[132] P. de Rivera Villalón, *Diario y derrotero de lo camionado, visto y observado en la visita que lo hizo a los presidios de la Nueva Espana septentrional*, ed. V. A. Robles, Mexico 1946, s. 78, 79 (zob. T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 67).

[133] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 23.

[134] *Forgoten Frontiers*, dz. cyt., s. 58.

[135] Tamże, s. 59.

[136] *Pichardo's Treatise on the Limitations of Texas and Louisiana*, ed. C. Wilson Hackett, vol. 3, Austin 1946, s. 323.

[137] Znakomity opis udanej ekspedycji Serny w 1716 roku przeciw Komanczom znajduje się w: R. E. Twitchell, *Spanish Archives of New Mexico*, vol. 2, Cedar Rapids 1914, s. 301.

[138] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 66 i n.

[139] J. T. DeShields, *Border Wars of Texas*, Tioga 1912, s. 16.

[140] W. E. Dunn, *The Apache Mission on the San Saba River; Its Founding and Failure*, „Southwestern Historical Quarterly" 1914, vol. 17, s. 380, 381.

[141] Tamże, s. 382.

[142] J. F. Dobie przedstawia plotki o złocie w San Sabie z interesującej perspektywy w książce *Coronado's Children*, Austin 2004.

[143] W. E. Dunn, *The Apache Mission…*, dz. cyt., s. 387.

[144] Tamże, s. 389.

[145] Tamże, s. 381.

[146] Don Diego Ortiz de Parrilla do wicekróla, 30 czerwca 1757 („Historia" vol. 95), s. 146.

[147] Ojcowie Banos i Ximenes do „Guardian", 5 lipca 1757 roku, cyt. za: W. E. Dunn, *The Apache Mission…*, dz. cyt., s. 401.

[148] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 201.

[149] *Forgotten Frontiers*, dz. cyt., s. 66.

[150] Tamże.

[151] Zdecydowanie najlepszy opis tej legendarnej ekspedycji pochodzi od samego Anzy, którego raporty słane do miasta Meksyk są zarówno przejrzyste, jak i wyczerpujące. Te oryginalne dokumenty zostały zebrane i przetłumaczone w: *Forgotten Frontiers*, dz. cyt., s. 119–142. Pisma Anzy są jednym z najlepszych pierwotnych źródeł na temat stosunków Hiszpanów z Komanczami. Większa część mojej relacji pochodzi z tych raportów.

[152] Dziennik Anzy, w: *Forgotten Frontiers*, dz. cyt., s. 136.

[153] Szacunki te pochodzą od George'a V. Bonnella, komisarza do spraw Indian u Sama Houstona. Artykuł Bonnella ukazał się w 1838 roku w „Houston Telegraph and Texas Register". Wszystko wskazuje na to, że tę liczbę uzyskał od samych Komanczów, i dlatego jest ona niewiarygodna. Jest to jednak jedyna próba ustalenia liczebności Komanczów w tym okresie, a późniejsze szacunki, z lat po epidemiach cholery i ospy, mieszczą się w tym zakresie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
Krew i dym

[154] Należy wspomnieć, że także generał Custer pisał poezje, chociaż rymowanki Lamara były lepsze.

[155] N. Smithwick, *Evolution of a State or Recollections of Old Texas Days*, Austin 1900 (reprint 1995), s. 138.

[156] J. Parker, *Narrative of the Perilous Adventures*, Houston 1844, s. 14.

[157] R. M. Utley, *Lone Star Justice. The First Century of the Texas Rangers*, New York 2002, s. 23.

[158] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 106 (powołuje się na dokumenty Kongresu).

[159] R. M. Utley, *Lone Star*…, dz. cyt., s. 24.

[160] „Messages of the President, Submitted to both Houses", 21 grudnia 1838, Lamar Papers, Doc. 948, s. 11.

[161] T. R. Fehrenbach, *The Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 310.

[162] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 55.

[163] Tamże, s. 310.

[164] D. E. Brice, *The Great Comanche Raid*, Austin 1987, s. 17, 18.

[165] D. La Vere, *Contrary Neighbors*, dz. cyt., s. 64.

[166] Tamże, s. 20.

[167] M. Cox, *The Texas Rangers. Wearing the Cinco Peso, 1821–1900*, New York 2008, s. 43.

[168] Jak zwykle w innych relacjach pojawiają się inne liczby. John Henry Brown pisze, że białych było pięćdziesięciu pięciu, Lipanów czterdziestu dwóch, a Tonkawów dwunastu. Ponieważ Smithwick uczestniczył w wyprawie, jego dane wydają się wiarygodniejsze.

[169] N. Smithwick, *Evolution of a State*…, dz. cyt., s. 135.

[170] Tamże.

[171] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 69.

[172] Tamże.

[173] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, Austin 1967, s. 145.

[174] J. H. Brown, *Indian Wars and Pioneers of Texas*, Austin 1988, s. 75.

[175] Tamże. Zob. ówczesne relacje z całej tej awantury w: *Recollections of Early Texas: Memoirs of John Holland Jenkins*, ed. J. H. Jenkins III, Austin 1985; oraz w *Evolution of a State* Noaha Smithwicka. Raport pułkownika Johna Moore'a dla przełożonych dotyczący tego starcia znajduje się w: *Journals of the Fourth Congress of the Republic of Texas*, vol. 3, s. 108 i n.

[176] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 75; szczegóły na temat rany pochodzą z: *The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar*, ed. C. Adams Gulick, Jr.,vol. 4, Austin 1924, s. 232.

[177] S. Foote, *The Civil War*, vol. 1, New York 1858, s. 336 i n.

[178] *The Indian Papers of Texas and the Southwest*, eds. D. Winfrey, J. M. Day, Austin 1959, vol. 1, s. 105.

[179] M. Maverick, *Memoirs of Mary A. Maverick*, San Antonio 1921, s. 31.

[180] Tamże.

[181] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 326.

[182] Tamże.

[183] Relacja Smithwicka z trzymiesięcznego pobytu w obozie Mówiącego z Duchami zawarta jest w jego *Evolution of a State*, dz. cyt., s. 107 i n.

[184] Tamże, s. 134.

[185] W. P. Johnston, *Life of General Albert Sidney Johnston: Embracing His Services in the Armies of the United States, the republic of Texas, and the Confederate States*, New York 1879, s. 117.

[186] M. Maverick, *Memoirs…*, dz. cyt., s. 35.

[187] D. E. Brice, *The Great Comanche Raid*, dz. cyt., s. 24.

[188] M. Maverick, *Memoirs…*, dz. cyt., s. 32.

[189] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 328.

[190] M. Maverick, *Memoirs…*, dz. cyt., s. 36.

[191] Relacja ta znajduje się w raporcie kapitana George'a Howarda złożonym pułkownikowi Fisherowi z datą 6 kwietnia 1840 roku, wspomniana jest też w pamiętniku rangera Johna Salmona „Ripa" Forda.

[192] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 51.

[193] Tamże. Zob. też J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump and the Penateka Comanches*, El Paso 1989, s. 18.

[194] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 264.

[195] Tamże.

ROZDZIAŁ SIÓDMY
Wizje senne i apokalipsa

[196] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 36.

[197] S. Zesch, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 34.

[198] „Houston Telegraph and Texas Register", 30 maja 1838.

[199] D. La Vere, *Contrary Neighbors*, dz. cyt., s. 28.

[200] J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump and the Penateka Comanches*, El Paso 1989, s. 5.

[201] Tamże, s. 20.

[202] Tamże, s. 9.

[203] Tamże.

[204] Tamże, przypisy na s. 51.

[205] Liczba Indian różni się w zależności od tego, kto jest autorem relacji. John Linn, mieszkaniec Victorii, który był świadkiem ataku, szacował liczbę atakujących na sześciuset. Ranger Ben McCulloch mówił o tysiącu Indian. W miejscowej gazecie pisano o dwustu. Skłonny jestem ufać zarówno McCullochowi, jak i Linnowi, i przyjąć, że wojowników było faktycznie sześciuset, a resztę stanowiły kobiety, chłopcy i starcy. McCulloch, jeden z najlepszych tropicieli, jakich wydał Teksas, podążał w ślad za Indianami i zapewne całkiem precyzyjnie określił liczbę koni i jeźdźców.

[206] *Recollections of Early Texas. Memoirs of John Holland Jenkins*, ed. J. H. Jenkins III, Austin 1985, s. 62.

[207] J. J. Linn, *Reminiscences of Fifty Years in Texas*, Austin 1935, s. 340.

[208] D. E. Brice, *Great Comanche Raid*, Austin 1987, s. 30.

[209] J. H. Brown, *Indian Wars and Pioneers of Texas*, Austin 1988, s. 80.

[210] *Recollections of Early Texas*, dz. cyt., s. 68.

[211] Tamże, s. 80.

[212] J. J. Linn, *Reminiscences of Fifty Years in Texas*, dz. cyt., s. 341, 342.

[213] M. Cox, *The Texas Rangers. Wearing the Cinco Peso 1821–1900*, New York 2008, s. 76.

[214] *Recollections of Early Texas*, dz. cyt., s. 64.

[215] J. H. Brown, *Indian Wars and Pioneers of Texas*, dz. cyt., s. 81.

[216] M. Maverick, *Memoirs of Mary A. Maverick*, San Antonio 1921, s. 29.

[217] J. J. Linn, *Reminiscences of Fifty Years in Texas*, dz. cyt., s. 347.

[218] V. M. Rose, *The Life and Services of General Ben McCulloch*, Austin 1958, s. 64 (zawiera dokładnie zacytowaną relację Johna Henry'ego Browna).

[219] W. P. Webb, *The Texas Rangers. A Century of Frontier Defense*, Austin 2003, s. 62.

[220] *Recollections of Early Texas*, dz. cyt., s. 68.

[221] J. J. Linn, *Reminiscences of Fifty Years in Texas*, dz. cyt., s. 343.

[222] J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump…*, dz. cyt., s. 23.

[223] Brazos, *Life of Robert Hall*, Austin 1898, s. 52, 53.

[224] J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump…*, dz. cyt., s. 24.

[225] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, Austin 1967, s. 185.

ROZDZIAŁ ÓSMY
Biała *squaw*

[226] E. E. White, *Experiences of a Special Indian Agent*, Norman 1965, s. 262.

[227] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker. The Story of Her Capture*, St. Louis 1886, s. 23, 24.

[228] „Clarksville Northern Standard", 25 maja 1846.

[229] *„Every day Seemed to Be a Holiday". The Captivity of Bianca Babb*, eds. D. J. Gielo, S. Zesch, „Southwestern Historical Quarterly" 2003, vol. 107, No. 1, s. 36.

[230] T. A. Babb, *In the Bosom of the Comanches*, Dallas 1923, s. 34.

[231] S. Zesch, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 45.

[232] T. A. Babb, *In the Bosom of the Comanches*, dz. cyt., s. 22.

[233] *„Every day Seemed to Be a Holiday"*, dz. cyt., s. 56.

[234] Tamże.

[235] Tamże, s. 57.

[236] S. Zesch, *Captured*, dz. cyt., s. 75.

[237] Tamże.

[238] Tamże, s. 81.

[239] Tamże.

[240] Tamże, s. 85.

[241] T. A. Babb, *In the Bosom of the Comanches*, dz. cyt., s. 58.

[242] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 61; oraz T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 296. Warto zauważyć, że Garb Bizona, Mały Wilk i Santa Anna byli potężnymi wodzami, niektórzy uważali ich za potężniejszych od Starej Sowy czy Pah-hah-yuca.

Z moich badań wynika, że – o ile przedstawiony przez Wallace'a i Hoebela model organizacji społecznej jest trafny – należałoby ich przypisać do tradycyjnej kategorii „wodzów wojennych".

[243] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 266.

[244] Tamże, s. 297.

[245] „Clarksville Northern Standard", 25 maja 1846.

[246] Tamże.

[247] List P. M. Butlera i M. G. Lewisa do W. Medilla, komisarza do spraw Indian, 8 sierpnia 1848, dokumenty Izby Reprezentatów nr 1, 30 posiedzenie Kongresu, sesja druga, s. 578.

[248] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 30.

[249] List P. M. Butlera i M. G. Lewisa do W. Medilla, dz. cyt., s. 578.

[250] J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump and the Penateka Comanches*, El Paso 1989, s. 24; oraz *The Indian Papers of the Southwest*, eds. D. H. Winfrey, J. M. Day, vol. 1, Austin 1959, s. 266.

[251] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 57.

[252] Tamże, s. 72.

[253] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 28.

[254] T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of the People*, New York 1974, s. 349.

[255] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 120.

[256] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 169, 170.

[257] R. Powers, J. N. Leiker, *Cholera Among the Plains Indians. Perceptions, Causes, Consequences*, „Western Historical Quarterly" 1998, vol. 29, No. 3, s. 319.

[258] Tamże, s. 321.

[259] Tamże, s. 322, 323.

[260] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 78.

[261] List Horace'a Caprona do Roberta Howarda, komisarza do spraw Indian, 30 września 1852, listy otrzymane, M234, Roll 858, Agencja Teksasu (cyt. za: J. L. Dickson Schilz, T. E. Schilz, *Buffalo Hump…*, dz. cyt., s. 38).

[262] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 60.

[263] List Roberta S. Neighborsa do W. Medilla, komisarza do spraw Indian, 18 listopada 1847, 30 posiedzenie Kongresu, sesja pierwsza, raport komisji 171.

[264] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 265.

[265] B. Parker, *The Life of Quanah Parker, Comanche Chief*, trans. J. Evetts Haley, 29 sierpnia 1930, rękopis, Center for American History, University of Texas, s. 9.

[266] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood: The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 291 (przypis).

[267] Tamże, s. 139.

[268] Tamże, s. 138.

[269] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 32.

[270] B. Neeley, *The Last Comanche Chief. The Life and Times of Quanah Parker*, New York 1995, s. 52; także Cynthia Ann później otrzymała inne imię: Preloch. U Indian posiadanie kilku imion było normalne.

[271] R. Marcy, *Exploration of the Red River of Louisiana in the Year 1852*, Washington 1853, s. 103.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
Ścigając wiatr

[272] J. W. Parker, *Defence of James W. Parker Against Slanderous Accusations Preffered Against Him*, Houston 1839, s. 4.

[273] Tamże, s. 5.

[274] J. W. Parker, *The Rachel Plummer Narrative* (pełna wersja), Houston 1839.

[275] W. S. Nye, *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 35, 36.

[276] T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of the People*, New York 1974, s. 224.

[277] J. Evetts Haley, *The Comanchero Trade*, „Southwestern Historical Quarterly" 1935, vol. 38, No. 3, s. 157.

[278] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 36, 118.

[279] Tamże, s. 123.

[280] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001 s. 84.

[281] Tamże, s. 87.

[282] R. Plummer, *Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings of Mrs. Rachel Plummer*, Louisville 1839, s. 116, 117.

[283] J. W. Parker, *The Rachel Plummer Narrative*, dz. cyt., s. 27.

[284] List Jamesa Parkera do M. B. Lamara, 17 marca 1839, w: *The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar*, ed. C. Adams Gulick Jr., vol. 2, Austin 1924, s. 494.

[285] Tamże.

[286] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*, dz. cyt., s. 104. Jedynym źródłem, które wspomina o trzecim dziecku, jest właśnie Exley, powołująca się na list od L. T. M. Plummera do „Drogich kuzynów", przechowywany w zbiorach prywatnych.

[287] R. B. Marcy, *Adventure on Red River*: *A Report on the Exploration of the Red River by Randolph Marcy and Captain G. B. McClellan*, Norman 1937, s. 169.

[288] A. W. Williams, E. C. Barker, *The Writings of Sam Houston, 1813–1863*, Austin 1940, vol. 4, s. 180, 181.

[289] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*, dz. cyt., s. 177 (autorka cytuje dokumenty Konfederacji).

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
Niewinne oblicze śmierci

[290] W. P. Webb, *The Texas Rangers. A Century of Frontier Defense*, Austin 2003, s. 78.

[291] Wniosek ten pojawia się w: W. P. Webb, *The Texas Rangers*, dz. cyt., ale wcześniej został przedstawiony w: J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, Austin 1965.

[292] W. P. Webb, *The Great Plains*, Lincoln 1981, s. 167.

[293] Tamże.

[294] R. I. Dodge, *Our Wild Indians, 33 years' Personal Experience among the Redmen of the Great West*, New York 1877, s. 418–420.

[295] Tamże.

[296] E. S. Connell, *Son of the Morning Star*, New York 1997, s. 57.

[297] R. I. Dodge, *Our Wild Indians…*, dz. cyt., s. 421.

[298] Panhandle-Plains Historical Museum – wystawa.

[299] R. I. Dodge, *Our Wild Indians…*, dz. cyt., s. 421.

[300] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 35.

[301] Tamże.

[302] T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of the People*, New York 1974, s. 298.

[303] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 257.

[304] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 146.

[305] H. Lehmann, *Nine Years Among the Comanches, 1870–1879*, Albuquerque 2004, s. 47–50.

[306] C. L. Smith, *The Boy Captives. Being the True Story of the Experiences and Hardship of Clinton L. Smith and Jeff D. Smith*, San Antonio 2005, s. 52, 53.

[307] M. Cox, *The Texas Rangers. Wearing the Cinco Peso 1821–1900*, New York 2008, s. 42.

[308] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 46.

[309] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 300.

[310] Z. N. Morrell, *Flowers and Fruits in the Wilderness*, St. Louis 1882, s. 86.

[311] M. Maverick, *Memoirs of Mary A. Maverick*, San Antonio 1921, s. 29.

[312] J. Caperton, *Sketch of Colonel John C. Hays, The Texas Rangers, Incidents in Mexico*, MS Center for American History, University of Texas, Austin, s. 11.

[313] Tamże, s. 32.

[314] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 258.

[315] N. Brookshire, raport w: *Journals of the Fourth Congress of the Republic of Texas*, ed. Harriet Smither, vol. 3, s. 110, 111.

[316] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, dz. cyt., s. 368 i n.

[317] R. I. Dodge, *Our Wild Indians…*, dz. cyt., s. 522.

[318] J. Kimmins Greer, *Colonel Jack Hays. Frontier Leader and California Builder*, College Station 1987, s. 35.

[319] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, dz. cyt., s. 74.

[320] Zdjęcie, o którym mowa, znajduje się w biografii Haysa autorstwa Greera.

[321] W. P. Webb, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 67.

[322] J. Caperton, *Sketch of Colonel John C. Hays*, dz. cyt., s. 5.

[323] J. S. Ford, *John C. Hays in Texas*, John Salmon Ford Papers, Center for American History, University of Texas, Austin, rękopis, s. 5.

[324] J. Caperton, *Sketch of Colonel John C. Hays*, dz. cyt., s. 13.

[325] J. Kimmins Greer, *Colonel Jack Hays*, dz. cyt., s. 26.

[326] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 78.

[327] V. Rose, *The Life and Services of Ben McCulloch*, Austin 1958, s. 42.

[328] J. Caperton, *Sketch of Colonel John C. Hays*, dz. cyt., s. 9.

[329] Tamże, s. 10.

[330] W. P. Webb, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 81.

[331] Tamże, s. 84.

[332] V. Rose, *The Life and Services of Ben McCulloch*, dz. cyt., s. 84.

[333] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 87 (cytuje: James Nichols Wilson, *Now Your Hear My Horn: Journal of James Wilson Nichols*, Austin 1967, s. 122, 123).

[334] Tamże.

[335] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, dz. cyt., s. 73.

[336] J. Caperton, *Sketch of Colonel John C. Hays*, dz. cyt., s. 18, 19.

[337] *The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar*, ed. C. Adams Gulick Jr., vol. 4, Austin 1924, s. 234, 235.

[338] J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, dz. cyt., s. 72.

[339] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 82, 83; zob. też *The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar*, dz. cyt., s. 232.

[340] W. P. Webb, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 71.

[341] Tamże, s. 120.

[342]*The Papers of Mirabeau Buonaparte Lamar*, dz. cyt., s. 234.

[343] J. E. Parsons, *Sam Colt's Own Record of Transactions with Captain Walker and Eli Whitney, Jr, in 1847*, Hartford 1949, s. 8.

[344] Tamże, s. 9.

[345] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 93; zob. też Robert M. Utley, *Lone Star Justice: The First Century of the Texas Rangers*, New York−Berkeley 2002, s. 10.

[346] J. S. Ford, *John C. Hays in Texas*, dz. cyt., s. 18 i n. Relacja ta pochodzi od samego Haysa. Przekazał ją gazecie „Houston Star", w której ukazała się 23 czerwca 1844 roku, a potem została przedrukowana przez inne gazety, w tym „Northern Standard" z Clarksville w Teksasie.

[347] J. S. Ford, *John C. Hays in Texas*, dz. cyt., s. 20.

[348] Tamże, s. 21.

[349] J. E. Parsons, *Sam Colt's*…, dz. cyt., s. 10.

[350] Tamże, s. 8.

[351] Tamże, s. 10.

[352] Tamże, s. 16.

[353] Tamże, s. 46.

[354] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 303.

[355] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 113.

ROZDZIAŁ JEDENASTY
Wojna na śmierć i życie

[356] A. B. Mason, *The White Captive*, „Civilian and Gazette" 1860 (reprint historii z „The White Man").

[357] J. H. Baker, *Diary of Jonathan Hamilton Baker of Palo Pinto County, Texas, Part 1, 1858–1860*, s. 210.

[358] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 158.

[359] G. A. Holland, *The History of Parker County and the Double Log Cabin*, Weatherford 1937, s. 18, 46.

[360] Tamże, s. 46.

[361] H. G. Bedford, *Texas Indian Troubles*, Pasadena 1966, s. 70, 71.

[362] Tamże.

[363] J. A. Benner, *Sul Ross. Soldier, Statesman, Educator*, College Station 1983, s. 38.

[364] Tamże, s. 38 i n.

[365] J. R. Earle, *A History of Clay County and Northwest Texas, Written by J. P. Earle, one of the first pioneers*, J. P. Earle Collection, Center for American History, s. 76.

[366] M. Cox, *The Texas Rangers. Wearing the Cinco Peso 1821–1900*, New York 2008, s. 164.

[367] „The White Man", 13 września 1860.

[368] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 162.

[369] J. Evetts Haley, *Charles Goodnight. Cowman and Plainsman*, Norman 1936, s. 49.

[370] C. Goodnight, *Indian Recollections*, Amarillo 1928, s. 15 i n.

[371] D. Marshall, *A Cry Unheard. The Story of Indian Attacks in and Around Parker County, Texas, 1858–1872*, Aledo 1990, s. 18, 19.

[372] Tamże, s. 33.

[373] E. Wallace, *Texas in Turmoil, 1849–1875*, Austin 1965, s. 17.

[374] Tamże, s. 13.

[375] Tamże.

[376] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*, dz. cyt., s. 169.

[377] Tamże.

[378] W. P. Webb, *The Texas Rangers. A Century of Frontier Defense*, Austin 2003, s. 142.

[379] Tamże, s. 147.

[380] T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of the People*, New York 1974, s. 400.

[381] Tamże, s. 401.

[382] J. S. Ford, *Rip Ford's Texas*, Austin 1963, s. 222.

[383] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, dz. cyt., s. 18.

[384] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 402.

[385] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 296.

[386] L. McMurtry, *Crazy Horse*, New York 1999, s. 77, cytujący Alexa Shoumatoffa.

[387] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 297.

[388] Tamże, s. 299.

[389] R. Marcy, *The Prairie Traveler. A Handbook for Overland Expeditions*, New York 1859, s. 218.

[390] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, dz. cyt., s. 25.

[391] W. P. Webb, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 169; E. Wallace, *Texas in Turmoil*, dz. cyt., s. 24.

[392] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 144.

[393] J. S. Ford, *Rip Ford's Texas*, dz. cyt., s. 224.

[394] Tamże, s. 223 i n.

[395] Tamże, s. 231, 232.

[396] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 146.

[397] J. S. Ford, *Rip Ford's Texas*, dz. cyt., s. 233.

[398] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker, The Story of Her Capture*, St. Louis 1886, s. 39.

[399] J. S. Ford, *Rip Ford's Texas*, dz. cyt., s. 233.

[400] M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 147.

[401] J. S. Ford, *Rip Ford's Texas*, dz. cyt., s. 233.

[402] Tamże, s. 235.

[403] Cyt. za: M. Cox, *The Texas Rangers*, dz. cyt., s. 145.

[404] W. S. Nye, *Carbine and Lance: The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 19.

[405] J. A. Benner, *Sul Ross*, dz. cyt., s. 29 i n.

[406] Tamże, s. 32.

[407] Tamże.

[408] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, dz. cyt., s. 24.

ROZDZIAŁ DWUNASTY
Biała królowa Komanczów

[409] J. H. Baker, *Diary of Jonathan Hamilton Baker of Palo Pinto County, Texas, Part 1, 1858–1860*, s. 191, 192.

[410] J. Evetts Haley, *Charles Goodnight. Cowman and Plainsman*, Norman 1936, s. 52.

[411] Tamże, s. 50, 51.

[412] Tamże, s. 51, 52.

[413] Cyt. za: J. E. Powell Exley, *Frontier Blood: The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 148.

[414] J. H. Baker, *Diary*…, dz. cyt., s. 202 i n.

[415] B. F. Gholson, *Recollections of B. F. Gholson*, Center for American History, rękopis, s. 24.

[416] D. Marshall, *A Cry Unheard: The Story of Indian Attacks in and Around Parker County, Texas, 1858–1872*, Aledo 1990, s. 35; zob. też J. Evetts Haley, *Charles Goodnight: Cowman and Plainsman*, dz. cyt., s. 53.

[417] J. A. Benner, *Sul Ross. Soldier, Statesman, Educator*, College Station 1983, s. 52.

[418] C. Goodnight, *Charles Goodnight's Indian Recollections*, Amarillo 1928, s. 22.

[419] B. F. Gholson, *Recollections of B. F. Gholson*, dz. cyt., s. 28.

[420] *YA-A-H-HOO: Warwhoop of the Comanches*, relacja w archiwum Elizabeth Ross Clarke, Center for American History, University of Texas, Austin, s. 66.

[421] H. G. Bedford, *Texas Indian Troubles*, Pasadena 1966, s. 73; relacja ta jest także zamieszczona w: J. W. Wilbarger, *Indian Depredations in Texas*, Austin 1967.

[422] Tamże, s. 58.

[423] B. F. Gholson, *Recollections of B. F. Gholson*, dz. cyt., s. 30.

[424] Tamże, s. 34.

[425] J. H. Baker, *Diary*…, dz. cyt., s. 204.

[426] „The Galveston Civilian", 5 lutego 1861.

[427] Tamże.

[428] B. F. Gholson, *Recollections of B. F. Gholson*, dz. cyt., s. 40.

[429] Tamże, s. 44.

[430] A. W. Williams, E. C. Barker, *The Writings of Sam Houston, 1813–1863*, Austin 1940, vol. 4, s. 60, 61.

[431] L. T. Jones, *Cynthia Ann Parker and Pease Ross. The Forgotten Photographs*, „Southwestern Historical Quarterly", vol. 93, No. 3, s. 379.

[432] H. G. Bedford, *Texas Indian Troubles*, dz. cyt., s. 75.

[433] E. E. White, *Experiences of a Special Indian Agent*, Norman 1965, s. 271; list napisany przez Sula Rossa w czasie, kiedy był gubernatorem.

[434] H. B. Rogers, *The Recollections of H. B. Rogers, as told to J. A. Rickard* (dołączone do rękopisu Gholsona), s. 66.

[435] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*…, dz. cyt., s. 175.

[436] L. T. Jones, *Cynthia Ann Parker and Pease Ross*, dz. cyt., s. 379.

[437] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*…, dz. cyt., s. 170, 171, która cytuje relację Medory Robinson Turner.

[438] „Clarksville Northern Standard", 6 kwietnia 1861.

[439] List K. J. Pearsona do Johna D. Floyda, 3 lutego 1861, archiwa fortu Sill.

[440] M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker. The Life and Legend*, El Paso 1990, s. 32.

[441] S. B. Oates, *Texas Under the Secessionists*, „Southwestern Historical Quarterly" 1963, vol. 67, No. 2, s. 167, 168.

[442] Tamże, s. 168.

[443] J. T. DeShields, *The Capture of Cynthia Ann Parker*, St. Louis 1886, s. 71.

[444] „Clarksville Northern Standard", 6 kwietnia 1861.

[445] L. T. Jones, *Cynthia Ann Parker and Pease Ross*, dz. cyt., s. 380.

[446] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 175.

[447] C. Smith, *Cohographs*, Fort Worth 1976, s. 69. Opis spotkań Smitha z Parkerami oparłem w całości na relacji Smitha.

[448] J. I. Fortune, *The Recapture and Return of Cynthia Ann Parker*, „Groesbeck Journal", 15 maja 1936, s. 1.

[449] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 176, cytuje artykuł napisany przez członka rodziny Parkerów, Toma Championa.

[450] L. T. Jones, *Cynthia Ann Parker and Pease Ross*, dz. cyt., s. 190.

[451] Tamże.

[452] Tamże.

[453] M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 35; cyt. również w: J. E. Powell Exley, *Frontier Blood*…, dz. cyt., s. 178.

[454] M. Schmidt Hacker, *Cynthia Ann Parker*, dz. cyt., s. 35.

[455] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 178, cytuje relacje Championa i Catesa.

[456] List T. J. Catesa do „Edgewood Enterprise", czerwiec 1918.

[457] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 179.

[458] Disinterment Permit [pozwolenie na ekshumację], Texas State Department of Health, Bureau of Vital Statistic, 25 sierpnia 1865.

[459] P. Wellman, *Cynthia Ann Parker*, „Chronicles of Oklahoma" 1934, vol. 12, No. 2, s. 163.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY
Droga Quanaha do wielkości

[460] Tak o tych wydarzeniach opowiadała sama Cynthia Ann. Zob. J. A. Benner, *Sul Ross. Soldier, Statesman, Educator*, Collage Station 1983, s. 56.

[461] R. H. Williams, *The Case for Peta Nocona*, „Texana" 1972, vol. 10, s. 55. Williams przekonująco dowodzi – co i tak jest oczywiste – iż późniejsze twierdzenia Quanaha, że w czasie ataku był z ojcem na polowaniu, po prostu mijają się z prawdą. Quanah mówił to, aby ocalić reputację ojca, i nawet nie próbował przedstawić koherentnej wersji aż do 1898 roku, czyli prawie czterdzieści lat po tym wydarzeniu. Uczynił to między innymi w sławnym przemówieniu wygłoszonym w Dallas w 1910 roku, na krótko przed śmiercią. Williams wskazuje też, że dwoma jeźdźcami, którzy uciekli z pola bitwy, musieli być Quanah i jego brat.

[462] *Charles Goodnight's Indian Recollections*, ed. J. Evetts Haley, Amarillo 1928, s. 25, 26.

[463] Tamże.

[464] Tamże.

[465] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 183, 184 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

[466] Tamże, s. 186.

[467] Tamże, s. 199 i n.

[468] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 81.

[469] C. Goodnight, *The Making of a Scout*, rękopis w Panhandle-Plains Historical Museum Archives.

[470] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 178 i n.

[471] Tamże, s. 183.

[472] *Quanah Parker in Adobe Walls Battle*, „Borger News Herald", data nieznana, Panhandle-Plains Historical Museum Archives, oparte na wywiadzie z J. A. Dicksonem.

[473] E. Ross Clarke, *YA-A-H-HOO. Warwhoop of the Comanches*, rękopis w Center for American History, University of Texas, Austin, s. 73.

[474] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 184 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

[475] B. Parker, *The Life of Quanah Parker, Comanche Chief*, trans. J. Evetts Haley, 29 sierpnia 1930, rękopis, Center for American History, University of Texas, Austin.

[476] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt. (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

[477] R. Marcy, *Adventure on Red River. A Report on the Exploration of the Red River by Captain Randolph Marcy and Captain G. B. McClellan*, Norman 1937, s. 159.

[478] S. Zesch, *Captured: The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 68–76.

[479] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 372; Z. A. Tilghman, *Quanah. Eagle of the Comanches*, Oklahoma City 1938, s. 68 i n.

[480] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 481.

[481] Z. A. Tilghman, *Quanah*, dz. cyt., s. 68 i n.

[482] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 204 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

[483] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 473.

[484] O. King Dixon, *Fearless and Effective Foe. He Spared Women and Children, Always*, rękopis w Center for American History, University of Texas, Austin.

[485] E. E. White, *Experiences of a Special Indian Agent*, Norman 1965, s. 276 i n. Relacja White'a na podstawie jego rozmów z Quanahem w latach późniejszych.

[486] Opowieść ta pochodzi od Quauaha – jego relację znamy z trzech różnych źródeł: od Eugene'a E. White'a, od Olive King Dixon (za pośrednictwem Charlesa Goodnighta i Baldwina Parkera) oraz od Elli Cox Lutz, wnuczki Quanaha. Wszystkie są zgodne co do najważniejszych elementów.

[487] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 136, 137.

[488] E. E. White, *Experiences of a Special Indian Agent*, dz. cyt., s. 284.

[489] Tamże, s. 286.

[490] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., s. 204 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

ROZDZIAŁ CZTERNASTY
Barbarzyńskie wojny

[491] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, Austin 1965, s. 238.

[492] D. La Vere, *Contrary Neighbors: The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 169.

[493] Tamże, s. 178.

[494] Tamże.

[495] Tamże, s. 171.

[496] T. R. Fehrenbach, *The Comanches: Destruction of the People*, New York 1974, s. 450.

[497] A. Debo, *The Road to Disappearance: A History of the Creek Indians*, Norman 1941, s. 150 i n.

[498] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 449.

[499] A. Debo, *The Road to Disappearance*, dz. cyt., s. 152. Zob. też D. La Vere, *Contrary Neighbors*, dz. cyt., s. 171.

[500] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 459.

[501] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, dz. cyt., s. 244; R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 142.

[502] W. S. Nye, *Carbine and Lance: The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 35.

[503] H. Sides, *Blood and Thunder: An Epic of the American West*, New York 2006, s. 308.

[504] T. S. Guild, H. L. Carter, *Kit Carson: A Pattern for Heroes*, Lincoln 1984, s. 231 i n.

[505] H. Sides, *Blood and Thunder*…, dz. cyt., s. 368.

[506] T. W. Kavanagh, *The Comanches: A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 398.

[507] List do głównodowodzącego oficera, Fort Bascom, 27 września 1864; Official Records of the War of Rebellion, series 1, vol. 41, pt. 3, s. 429, 430.

[508] G. Pettis, *Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, Providence 1878, s. 3.

[509] M. Mayhall, *The Kiowas*, Norman 1962, s. 161.

[510] G. Pettis, *Kit Carson's Fight*…, dz. cyt., s. 5.

[511] D. A. Norris, *Confederate Gunners Affectionately Called Their Hard Working Little Mountain Howitzers 'Bull Pups'*, „America's Civil War", wrzesień 1995, s. 10, 12, 14, 16, 20 i 90.

[512] G. Pettis, *Kit Carson's Fight*…, dz. cyt., s. 9.

[513] Tamże.

[514] T. W. Kavanagh, *The Comanches: A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 395.

[515] Tamże, s. 16.

[516] Tamże.

[517] 39th U. S. Congress; Second Session, Senate report 156, s. 53, 74.

[518] D. Brown, *Pochowaj me serce w Wounded Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu*, przeł. J. D. Brenner, M. Brenner, E. Jarzębska, Warszawa 1981, s. 89.

[519] 39th U. S. Congress; Second Session, Senate raport 156, s. 73, 96.

[520] H. Sides, *Blood and Thunder*…, dz. cyt., s. 379.

[521] Tamże.

[522] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 461.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
Pokój i inne okropności

[523] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 157.

[524] Tamże.

[525] T. R. Fehrenbach, *The Comanches. Destruction of the People*, New York 1974, s. 484.

[526] Źródło cytatu to „Army Navy Journal" 1878, vol. 15, No. 52 (31 sierpnia); cyt. za: C. M. Robinson III, *Bad Hand. A Biography of General Ranald S. Mackenzie*, Austin 1993, s. 57.

[527] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 411.

[528] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 151.

[529] T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 412.

[530] A. A. Taylor, relacja w: „Chronicles of Oklahoma" 1924, vol. 2, No. 2, s. 102, 103.

[531] *Indian Affairs Laws and Treaties*, ed. C. J. Kappler, vol. 2, Washington D.C. 1903, s. 977 i n.

[532] H. M. Stanley, *A British Journalist Reports the Medicine Lodge Councils of 1867*, „Kansas Historical Quarterly" 1967, vol. 33, No. 3, s. 282.

[533] Tamże, s. 283.

[534] D. C. Jones, *The Treaty at Medicine Lodge*, Norman 1966, s. 101 i n.

[535] H. M. Stanley, *A British Journalist…*, dz. cyt., s. 249–320.

[536] *Indian Affairs Laws and Treaties*, dz. cyt., s. 977 i n.

[537] Tamże, s. 982.

[538] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 237, przypis 25.

[539] Quanah Parker do kapitana Hugha Lenoxa Scotta, 1898, H. L. Scott Material, W. S. Nye Collection, archiwa w forcie Sill.

[540] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 183, 184.

[541] Leavenworth do komisarza do spraw Indian, 23 kwietnia 1868, 40th Congress, Second Session, Sen. Ex. Doc. No. 60, s. 2.

[542] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 161.

[543] L. Schmeckebier, *The Office of Indian Afairs, Its History, Activities and Organization*, New York 1972, s. 48; R. N. Richardson, *The Comanche Barrier…*, dz. cyt., s. 164.

[544] T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 485.

ROZDZIAŁ SZESNASTY
Anty-Custer

[545] C. M. Robinson III, *Bad Hand. A Biography of General Ranald S. Mackenzie*, Austin 1993, s. 10, cytuje: M. Schaff, *The Spirit of Old West Point*, Boston 1907, s. 42, 43.

[546] E. S. Connell, *Son of the Morning Star*, New York 1997, s. 108.

[547] J. Dorst, *Ranald Slidell Mackenzie*, „Twentieth Annual Reunion of the Association Graduates of the United States Military Academy at West Point", 12 czerwca 1889, s. 7.

[548] *Ranald S. Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas, 1873–79*, ed. F. E. Green, „Museum Journal" 1966, vol. 10, s. 13 i n.

[549] U. S. Grant, *Personal Memoirs*, New York 1885, s. 541.

[550] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, College Station 1993, s. 9.

[551] J. Dorst, *Ranald Slidell Mackenzie*, dz. cyt., s. 7.

[552] E. S. Connell, *Son of the Morning Star*, dz. cyt., s. 128, 129.

[553] W. S. Nye, *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 63 i n.

[554] Tamże, s. 67.

[555] Tamże, s. 69.

[556] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 196 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona, s. 37).

[557] Drugi roczny raport Tatuma, 12 sierpnia 1870, 41st Congress, Third Session, House Ex. Doc. No. 1, vol. 1, s.

724–729, cyt. za: R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 171.

[558] List Ranalda S. Mackenziego do Williama T. Shermana, 15 czerwca 1871.

[559] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, Austin 2000, s. 167.

[560] C. H. Sommer, *Quanah Parker. Last Chief of the Comanches*, St. Louis 1945, s. 43.

[561] Wśród historyków nie ma co do tego zgody. Ernest Wallace, najważniejszy historyk Komanczów, uważa, że dowodził Quanah, tak samo sądzi biograf Quanaha Bill Neeley. Sprzeczne z tym wersje pochodzą głównie z wywiadów przeprowadzonych wiele lat później, obficie cytowanych w: J. E. Powell Exley, *Frontier Blood…*, dz. cyt., z wojownikiem komanckim Cohayyahem, który powiedział, że w owym czasie przywódcą był Parra-o-coom (Niedźwiedź). Wydaje się, że nie ma różnic zdań co do tego, że to Quanah prowadził atak tej nocy na oddział Heyla i Cartera.

[562] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 170.

[563] Tamże, s. 173.

[564] Tamże, s. 175. Carter odnotowuje, że Komancze byli „źle uzbrojeni: mieli odlufowo ładowane karabiny i pistolety, włócznie i łuki".

[565] Tamże.

[566] R. I. Dodge, *Our Wild Indians, 33 years' Personal Experience among the Redmen of the Great West*, New York 1877, s. 489.

[567] *Handbook of Texas Online*, Texas State Historical Society.

[568] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 187.

[569] Tamże, s. 187.

[570] Tamże, s. 188.

[571] Dziennik Arthura Fergusona, Utah State Historical Society; cyt. za: S. E. Ambrose, *Nothing Like It in the World: The Men who Built the Transcontinental Railroad 1863–1869*, New York 2000, s. 143.

[572] Tamże, s. 189.

[573] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie*, dz. cyt., s. 54.

[574] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 194.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
Kontratak Mackenziego

[575] List Charlesa Howarda do prezydenta Ulyssesa S. Granta, cyt. za: T. R. Fehrenbach, *The Comanches: Destruction of the People*, New York 1974, s. 515.

[576] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, Austin 2000, s. 219.

[577] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, Austin 1965, s. 252, 253.

[578] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, College Station 1993, s. 74.

[579] W. A. Thompson, *Scouting with Mackenzie*, „Journal of the United States Cavalry Association" 1897, vol. 10, s. 431.

[580] C. L. Smith, *The Boy Captives. Being the True Story of the Experiences and Hardship of Clinton L. Smith and Jeff D. Smith*, San Antonio 2005, s. 134.

[581] D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 194; S. Zesch, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 159.

[582] Oficjalny raport Mackenziego, 12 października 1872, „1872, Sept. 29, Attack on Comanche Village", do asystenta

szefa administracji wojskowej (Assistant Adjutant General), Departament Teksasu.

583 Tamże.

584 H. Lehmann, *Nine Years Among the Indians, 1870−1879*, Albuquerque 2004, s. 185, 186; Lehmann podaje też, że Batsena miał karabinek Spencera, co sugeruje, że Komancze w końcu zaczęli nabywać tę broń. W 1874 roku mieli już wiele karabinków Spencera.

585 R. G. Carter, *The Old Sergeant's Story. Winning the West from the Indians and bad Men in 1870 to 1876*, New York 1926, s. 84.

586 Oficjalny raport Mackenziego, 12 października 1872, dz. cyt.

587 R. G. Carter, *The Old Sergeant's Story*, dz. cyt., s. 84.

588 C. L. Smith, *The Boy Captives*, dz. cyt., s. 137.

589 R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 419 i n.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
Łowcy skór i mesjasz

590 T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 474 i n.

591 R. N. Richardson, *The Comanche Indians and the Fight at Adobe Walls*, „Panhandle-Plains Historical Review" 1931, vol. 4, s. 25.

592 Pióropusz Quanaha jest na wystawie w Panhandle-Plains Historical Museum w Canyon, w Teksasie.

593 E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 150.

594 T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls. The History and Archaeology of the Trading Post*, College Station 1986, s. 3.

595 W. F. Cody, *The Adventures of Buffalo Bill Cody*, New York−London 1904, s. viii.

596 T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 29; T. R. Fehrenbach, *The Comanches: Destruction of a People*, New York 1974, s. 523.

597 T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 4.

598 J. L. Haley, *The Buffalo War. The History of the Red River Indian Uprising of 1874*, Garden City 1976, s. 22.

599 Tamże, s. 26.

600 Tamże, s. 8.

601 F. Parkman, *The California and Oregon Trails. Sketches of Prairie and Rocky Mountain Life*, Chicago 1911, s. 251.

602 T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 25.

603 Tamże, s. 41.

604 T. R. Fehrenbach, *The Comanches*, dz. cyt., s. 523.

605 W. S. Nye, *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 188.

606 T. Battey, *Life and Adventures of a Quaker Among the Indians*, Boston 1875, s. 239; T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 39.

607 J. L. Haley, *The Buffalo War*, dz. cyt., s. 51.

608 E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, College Station 1993, s. 119.

609 T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 445; J. L. Haley, *The Buffalo War*, dz. cyt., przypis na s. 232.

610 List agenta J. M. Hawortha do Enocha Hoaga, 5 maja 1874.

611 T. Battey, *Life and Adventures of a Quaker Among the Indians*, dz. cyt., s. 302.

612 Była to kometa Coggii.

[613] Z. Tilghman, *Quanah Parker, Eagle of the Comanches*, Oklahoma City 1938, s. 82–84.

[614] T. Battey, *Life and Adventures of a Quaker Among the Indians*, dz. cyt., s. 303.

[615] T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 44.

[616] Wywiad z Quanahem przeprowadzony przez kapitana Hugha Lennoxa Scotta, 1897, archiwa fortu Sill.

[617] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches*, dz. cyt., s. 320.

[618] J. L. Haley, *The Buffalo War*, dz. cyt., s. 57.

[619] List agenta J. M. Hawortha do Enocha Hoaga, 8 czerwca 1874.

[620] Wywiad z Quanahem przeprowadzony przez kapitana Scotta.

[621] W. S. Nye Collection, *Iseeo Account*, s. 58–60, archiwa fortu Sill.

[622] Wywiad z Quanahem przeprowadzony przez kapitana Scotta, dz. cyt.

[623] O. King Dixon, *Life of Billy Dixon*, Austin 1987, s. 167.

[624] *Quanah Parker in Adobe Walls Battle*, „Borger News Herald", data nieznana, archiwa Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[625] J. L. Haley, *The Buffalo War*, dz. cyt., s. 73.

[626] T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 75 i n.

[627] O. King Dixon, *Life of Billy Dixon*, dz. cyt., s. 186.

[628] T. L. Baker, B. R. Harrison, *Adobe Walls*, dz. cyt., s. 66.

[629] Tamże, s. 64–66; O. King Dixon, *Life of Billy Dixon*, dz. cyt., s. 162 i n.

[630] O. King Dixon, *Life of Billy Dixon*, dz. cyt., s. 181.

[631] R. G. Carter, *The Old Sergeant's Story. Winning the West from the Indians and Bad Men in 1870 to 1876*, New York 1926, s. 98.

[632] Wywiad z Quanahem przeprowadzony przez kapitana Scotta, dz. cyt.

[633] R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1966, s. 194.

[634] E. Wallace, *Texas in Turmoil*, Austin 1965, s. 256, 257.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
Wojna nad Rzeką Czerwoną

[635] T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History, 1706−1875*, Lincoln 1996, s. 472–474. Istnieją tylko przybliżone szacunki, a dokładna liczba Komanczów jest nieznana, głównie dlatego, że nie można było wyliczyć, którzy Indianie byli w rezerwacie, a którzy poza nim, opierając się tylko na liczbie pobranych racji. Najlepiej liczbę Indian pobierających racje (2634) określił agent Haworth w marcu 1874 roku. Na pewno wielu wróciło potem na wolność. Kavanagh analizuje różne szacunki populacji indiańskiej w spisach ludności z listopada 1869, grudnia 1870 i marca 1874 roku. Wiemy, że około sześciuset pięćdziesięciu Komanczów było w grupach Quanaha, Czarnej Brody i Trzęsącej się Ręki; czyli bez Komanczów, którzy poddali się po wydarzeniach w Palo Duro Canyon (nie znamy ich liczby).

[636] Kiedy wszystkie ludy Równin Południowych się poddały, dorosłych mężczyzn było nieco ponad siedmiuset; są to moje wyliczenia oparte m.in. na stosunku liczby zdolnych do walki mężczyzn do całej populacji wśród ludów, które złożyły broń; zob. R. N. Richardson, *The Comanche Barrier to South Plains Settlement*, Austin 1996, s. 200.

[637] List C. C. Augura do Mackenziego, 28 sierpnia 1874, w: *Ranald S. Mackenzie's Official Correspondence Relating to Texas, 1873–79*, ed. F. E. Green, „Museum Journal" 1966, vol. 10, s. 80 i n.

[638] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, College Station 1993, s. 124.

[639] Nelson A. Miles do AAG, Departament Missouri, 1 września 1874, Mackenzie's Official Correspondence, s. 87.

[640] J. L. Haley, *The Buffalo War. The History of the Red River Indian Uprising of 1874*, Garden City 1976, s. 193.

[641] J. T. Marshall, *The Miles Expedition of 1874–5. An Eyewitness Account of the River War*, Austin 1971, s. 39.

[642] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, dz. cyt., s. 125, 126.

[643] Tamże, s. 131.

[644] List C. C. Augura do Mackenziego, 28 sierpnia 1874, Mackenzie's Official Correspondence, s. 81.

[645] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, Austin 2000, s. 484.

[646] *Mackenzie's Expedition through the Battle of Palo Duro Canyon as described by a special correspondent of the New York Herald, October 16, 1874*, „Museum Journal" 1966, vol. 10, s. 114.

[647] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 485.

[648] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, dz. cyt., s. 136.

[649] R. G. Carter, *On the Border with Mackenzie*, dz. cyt., s. 488.

[650] Relacja Johna Charltona, w: R. G. Carter, *The Old Sergeant's Story. Winning the West from the Indians and bad Men in 1870 to 1876*, New York 1926, s. 39.

[651] Tamże, s. 107, oraz E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, dz. cyt., s. 140.

[652] Relacja Johna Charltona, w: R. G. Carter, *The Old Sergeant's Story*, dz. cyt., s. 108.

[653] Tamże.

[654] Tamże, s. 109.

[655] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier*, dz. cyt., s. 139.

[656] *Journal of Ranald S. Mackenzie's Messenger to the Quahada Comanches*, „Red River Valley Historical Review" 1978, vol. 3, No. 2, s. 227.

[657] Tamże, s. 229.

[658] J. E. Powell Exley, *Frontier Blood. The Saga of the Parker Family*, College Station 2001, s. 255 (przywołuje niezatytułowany rękopis J. A. Dicksona).

[659] *Journal of Mackenzie's Messenger*, dz. cyt., s. 237.

[660] Tamże.

[661] W. Parker, *Quanah Parker. Last Chief of the Kwahadi Obeys the Great Spirit*, rękopis.

[662] Tamże, s. 239.

[663] W. S. Nye, *Carbine and Lance. The Story of Old Fort Sill*, Norman 1969, s. 229.

[664] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014, s. 24.

[665] Tamże.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
Do przodu, choć przegrany

[666] C. M. Robinson III, *Bad Hand. A Biography of General Ranald S. Mackenzie*, Austin 1993, s. 186–188.

[667] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014, s. 33; list Ranalda S. Mackenziego do Pope'a, 5 września 1875.

[668] B. Neeley, *The Last Comanche Chief. The Life and Times of Quanah Parker*, New York 1995, s. 144.

[669] List Ranalda S. Mackenziego do Isaaca Parkera, 5 września 1877, księga listów fortu Sill.

[670] C. Goodnight, *Pioneer Outlines Sketch of Quanah Parker's Life*, „Amarillo Sunday News and Globe", 6 sierpnia 1928.

[671] Relacje z obu wypraw znajdują się w listach: od J. M. Hawortha do Williama Nicholsona, 26 sierpnia 1877, Kiowa Agency Microform, National Archives, i od pułkownika J. W. Davidsona do asystenta szefa administracji wojskowej, 29 października 1878, dokumenty Izby Reprezentatów, 45. posiedzenie Kongresu, sesja trzecia, s. 555.

[672] J. R. Cook, *The Border and the Buffalo*, Topeka 1907, s. 249 i n.

[673] B. Neeley, *The Last Comanche Chief*, dz. cyt., s. 153.

[674] H. Lehmann, *Nine Years Among the Indians, 1870−1879*, Albuquerque 2004, s. 186, 187.

[675] S. Zesch, *Captured. The True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier*, New York 2004, s. 220, 221 (cytuje korespondencję Hawortha z Mackenziem).

[676] H. Lehmann, *Nine Years Among the Indians*, dz. cyt., s. 187, 188.

[677] Tamże, s. 232.

[678] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, dz. cyt., s. 39.

[679] W. Brink, *Quanah and the Leopard Coat Man*, „Farm and Ranch", 17 kwietnia 1926.

[680] H. T. Burton, *History of the* JA *Ranch*, „Southwestern Historical Quarterly" 1927, vol. 31, No. 2.

[681] W. Brink, *Quanah and the Leopard Coat Man*, dz. cyt.

[682] H. T. Burton, *History of the* JA *Ranch*, dz. cyt.

[683] W. P. Webb, *The Great Plains*, Lincoln 1981, s. 212.

[684] L. Gunter, *Sketch of the Life of Julian Gunter*, rękopis sporządzony dla Panhandle-Plains Historical Association, 1923, archiwa Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[685] G. W. Roberson do J. Evetts Haley, 30 czerwca 1926, rękopis w archiwach Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[686] J. Evetts Haley, *Charles Goodnight. Cowman and Plainsman*, Norman 1936, s. 30.

[687] T. W. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, dz. cyt., s. 46.

[688] *Council Meeting of May 23, 1884, „Kiowas", 17:46* [Narada 23 maja 1884, „Kiowowie", 17:46], Oklahoma Historical Society.

[689] H. P. Jones do Philemona Hunta, wywiad, 21 czerwca 1883, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma Historical Society; George Fox do Philemona Hunta, 13 października 1884, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów].

[690] Quanah Parker do Charlesa Adamsa, wywiad, 13 maja 1890, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma History Center.

[691] J. T. DeShields, *Cynthia Ann Parker. The Story of Her Capture*, St. Louis 1886, s. 78, 79.

[692] H. L. Scott, *Some Memories of a Soldier*, New York 1928, s. 151.

[693] „Hobart Democrat-Chief", 4 sierpnia 1925, wywiad z Knoxem Beallem, który powiedział, że Grantham został adoptowany, a także że doradzał Quanahowi w interesach.

[694] Komisarz T. J. Morgan do Agenta Adamsa, wywiad, 18 grudnia 1890, Kiowa Agency files [archiwa Agencji Kiowów], Oklahoma Historical Society.

[695] Evelyn Fleming o Charliem Harcie, rękopis, Quanah Parker Papers, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[696] Knox Beall do R. B. Thomasa, wywiad, 5 listopada 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma; Beall do Bessie Thomas, 15 kwietnia 1938.

[697] H. Lehmann, *Nine Years Among the Indians*, dz. cyt., s. 233, 234.

[698] Dick Banks do Bessie Smith, wywiad, Indian Pioneer History Project for Oklahoma.

[699] Robert B. Thomas, niedatowany rękopis, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History

Collections, University of Oklahoma; także Beall do Thomasa, 5 listopada 1937.

[700] Anna Gomez do Ophelii D. Vestal, wywiad, 13 grudnia 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma.

[701] List Boba Lingera do Quanaha Parkera, 9 marca 1909, Neeley Archive, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[702] Dom z Gwiazdami nadal istnieje, mocno już podupadły, w Cache, w Oklahomie. Obejrzałem w nim m.in. jadalnię, która niewiele się zmieniła od początków XX wieku, sądząc po zdjęciach z tamtego okresu. Jeśli chce się zwiedzić dom Quanaha, trzeba o to zapytać w starej faktorii w Cache.

[703] Anna Gomez do Ophelii D. Vestal, wywiad, 13 grudnia 1937, dz. cyt.

[704] Wspomnienia pani Cory Miller Kirkpatrick, w rękopisie pani J. W. Pierce, Quanah Parker Collection, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[705] E. Wallace, *Ranald S. Mackenzie on the Texas Frontier,* College Station 1993, s. 170.

[706] Tamże, s. 172.

[707] Tamże, s. 190.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
To był człowiek

[708] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014, s. 89, 90.

[709] 26 września 1892, narada w forcie Sill, „Komancze, Apacze, Kiowowie", Quanah Parker Collection, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[710] W. T. Hagan, *United States–Comanche Relations*, New Haven 1976, s. 287.

[711] Knox Beall do R. B. Thomasa, wywiad, 5 listopada 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma.

[712] Robert Thomas, dokument w Indian Pioneer History Project for Oklahoma, University of Oklahoma.

[713] Pani J. L. Dupree do Jaspera Meada, wywiad, 17 marca 1938, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma.

[714] George W. Briggs do Eunice M. Mayer, wywiad, 17 czerwca 1937, Indian Pioneer History Project for Oklahoma, Western History Collections, University of Oklahoma.

[715] R. G. Carter, *Tragedies of Canon Blanco*, Washington D.C. 1919, s. 79, 80.

[716] *Quanah Route Day Draws Large Crowds*, „Dallas Morning News", 25 października 1910.

[717] Teczka Roberta Thomasa w Indian Pioneer History Project for Oklahoma.

[718] T. R. Roosevelt, *Outdoor Pastimes of the American Hunter*, New York 1905, s. 100.

[719] B. Neeley, *The Last Comanche Chief. The Life and Times of Quanah Parker*, New York 1995, s. 220; cytuje przeprowadzony przez siebie w 1985 roku wywiad z Anoną Birdsong Dean.

[720] List T. R. Roosevelta do Francisa Leuppa, 14 kwietnia 1905, Indian Office Letters Received.

[721] Artykuł gazetowy (nieustalony tytuł i data) o zarządzie szkoły w Quanah Parker Collection, Panhandle-Plains Historical Museum, Canyon, Texas.

[722] E. Wallace i E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952, s. 332 i n.

[723] „Hobart Democrat-Chief" (Oklahoma), 4 sierpnia 1925.

[724] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, dz. cyt., s. 148, 149.

[725] F. Cummins Lockwood, *The Apaches*, Lincoln 1897, s. 326; W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, dz. cyt., s. 167.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Spoczywa tu, nim powieje wieczorny wiatr

[726] *Quanah Route Day Draws Large Crowd*, „Dallas Morning News”, 25 października 1910.

[727] Tamże.

[728] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014, s. 160.

PRZYPISY

[1] W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014.

[2] Polski przekład biografii tego wodza ukazał się w 2009 roku (R. W. Larson, *Czerwona Chmura. Wojownik i mąż stanu Siuksów Oglala*, przeł. A. Sudak, Wielichowo 2009). Warto prześledzić losy obu wodzów, ponieważ zarówno Quanahowi Parkerowi, jak i Czerwonej Chmurze przyszło doświadczyć dwóch światów: swobodnego życia na równinach i półniewoli rezerwatu. Obydwaj próbowali – z różnym jednak skutkiem – odgrywać rolę liderów swoich grup. O ile jednak – przy całej swej ambiwalencji – Quanah wspierał rząd w podstawowych „reformach" życia Indian, o tyle Czerwona Chmura pozostawał w tych kwestiach większym konserwatystą. Gdy Quanah zdobywał uznanie wśród białych urzędników i współplemieńców, pozycja Czerwonej Chmury stopniowo słabła.

[3] P. Hämäläinen, *The Comanche Empire*, New Haven–London 2008, s. 343 i n.

[4] Komanczów porównuje się nieraz do Irokezów, którzy mniej więcej dwieście lat przed Komanczami stworzyli „leśne imperium" na Wschodnim Wybrzeżu. Irokezi także zajmowali strategiczne terytoria między rywalizującymi siłami europejskimi. Na dominującą rolę tego ludu we wschodnich lasach zwrócił uwagę Lewis H. Morgan, jeden z pionierów amerykańskiej antropologii; zob. L. H. Morgan, *Liga Ho-de'-no-sau-nee, czyli Irokezów*, przeł. B. Hlebowicz, Kęty 2011.

[5] M. W. Foster, *Being Comanche. A Social History of an American Indian Community*, Tucson–London 1991, s. 21, 22; B. DeLay, *War of a Thousand Deserts. Indian Raids and the U.S. – Mexican War*, New Haven 2008, s. 351.

[6] P. Hämäläinen, *The Comanche Empire*, dz. cyt., s. 37, 38, 103, 104; T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History 1706–1875*, Lincoln–London 1996, s. 16–19.

[7] Z tych powodów starałem się stosować w niniejszym tłumaczeniu słowo „lud" tam, gdzie autor pisał o *tribe*. Nie sposób jednak zupełnie obyć się bez „plemienia". Większość amerykańskich autorów – tak jak Gwynne – siłą przyzwyczajenia nadal używa tego określenia (także w odniesieniu do innych ludów tubylczych Ameryki Północnej, a nawet – co jest nieporozumieniem – do państw Inków i Azteków). Ponadto słowo *tribe* w przeszłości często pojawiało się w traktatach zawieranych przez Europejczyków z Indianami, a współcześnie ma bardzo istotne znaczenie w amerykańskim prawie i polityce – ludy tubylcze, uznawane przez rząd amerykański, oficjalnie są właśnie „plemionami" i z tego tytułu posiadają konkretne prawa.

[8] Gwynne pisze o istnieniu dwóch wodzów – pokojowego i wojennego – w każdej grupie; Morris W. Foster, autor książki *Being Comanche. A Social History of an American Indian Community*, przedstawia bardziej zniuansowany obraz: zastępuje ich przywódcami grup lokalnych oraz przywódcami tymczasowymi, kierującymi wyprawami wojennymi czy łupieżczymi. Jeśli wyprawa kończyła się sukcesem, jej przywódca zyskiwał prestiż i mógł się stać liderem swojej grupy na co dzień.

[9] Oczywiście nie tylko język przesądzał o byciu Komanczem – musiały też ich łączyć pokrewieństwo, organizacja społeczna i kultura. Dominacja Komanczów była tak wielka, że także inne ludy posługiwały się ich językiem.

[10] M. W. Foster, *Being Comanche*, dz. cyt., s. 58, 59 i n; W. C. Meadows, *Kiowa, Apache, and Comanche Military Societies. Enduring Veterans, 1800 to The Present*, Austin 1999, s. 256.; T. W. Kavanagh, *The Comanches*, dz. cyt., s. 42, 43.

[11] Do tych zgromadzeń należał Taniec Słońca, który stawał się okazją do publicznego sankcjonowania osiągnięć jednostek. Gwynne – za Wallace'em i Hoebelem – podaje, że Komancze tylko jeden raz w historii zorganizowali Taniec Słońca, który podpatrzyli u Indian Kiowa. Nastąpiło to w 1874 roku, gdy uznali, że ich rodzime zwyczaje nie pomagają im już w zachowaniu własnego sposobu życia i ziemi. Morris W. Foster zauważa jednak, że Ralph Linton,

który razem z Hoebelem prowadził badania wśród Komanczów w 1933 roku, twierdzi coś zupełnie innego: jego zdaniem Komancze regularnie odprawiali Taniec Słońca przynajmniej od 1860 roku. Szerszą analizę Tańca Słońca Komanczów (i podobnych rytuałów), znanego im od początków XIX wieku, przeprowadza antropolog William C. Meadows (*Kiowa, Apache, and Comanche Military Societies*, dz. cyt., s. 318–323 – podrozdział *Comanche Military Societies and the Sun Dance*).

[12] E. Wallace, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman 1952 (1986), s. 182.

[13] W. C. Meadows, *Kiowa, Apache, and Comanche Military Societies*, dz. cyt., s. 319.

[14] P. Hämäläinen, *The Comanche Empire*, dz. cyt., s. 283–286.

[15] W. C. Meadows, *Kiowa, Apache, and Comanche Military Societies*, dz. cyt., s. 251–368.

[16] T. W. Dunlay, *Wilki niebieskich żołnierzy. Indiańscy zwiadowcy i pomocnicy w armii Stanów Zjednoczonych w latach 1860–1890*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014.

[17] D. E. Worcester, *Apacze. Orły Południowego Zachodu*, przeł. A. Sudak, Wielichowo 2002.

[18] P. Radin, *Trickster. Studium mitologii Indian amerykańskich*, przeł. A. Topczewska, Warszawa 2010.

[19] Choć wypada wspomnieć o krótkiej monografii tego ludu autorstwa Aleksandra Sudaka, *Komancze. Władcy Południowych Równin*, Wielichowo 1998. Książka ta ukazała się w serii monografii plemion indiańskich publikowanych przez Wydawnictwo TIPI.

[20] Za pomoc w pracy nad przekładem książki Gwynne'a dziękuję Ryszardowi Majchrzakowi, specjaliście od wszelkich rodzajów amerykańskiej broni, Szymonowi Gołębiewskiemu, znawcy wojny secesyjnej i amerykańskiej wojskowości w ogóle, doktorowi Andrzejowi Czernemu, który służył radami z zakresu nomenklatury geograficznej i geologicznej, oraz redaktorowi Markowi Maciołkowi, z którym – jak zwykle – mogłem debatować na każdy temat związany z Indianami i językiem polskim.

[21] W 1853 roku żołnierzy z chroniącego wschodni Teksas fortu Worth (założonego w 1849 roku) przeniesiono do położonego bardziej na zachód fortu Belknap. Opuszczone przez wojsko budynki zaczęli zajmować osadnicy i takie były początki dzisiejszego miasta Fort Worth (wszystkie przypisy dolne pochodzą od tłumacza, a numerowane przypisy końcowe – od autora).

[22] Mimo że w literaturze polskiej często spotyka się pisownię nazwy tego ludu przez „Cz", wersje „Szejeni" / „Szejenowie" lepiej oddają brzmienie zarówno francuskiego *Cheyenne*, jak i sposobu, w jaki tę nazwę wymawiają Amerykanie, i wreszcie słowa *Šahíyela* z języka Siuksów, z którego owa nazwa pochodzi.

[23] Angielska nazwa Llano Estacado to Staked Plains, czyli „równiny palisadowe" lub „palikowe".

[24] Regularnym stopniem Mackenziego był pułkownik. Na temat stopni regularnych i tytularnych zob. przypis dolny na s. 331.

[25] Żyjące w Ameryce Północnej ursony (*Erethizon dorsatum*) są gryzoniami podobnymi do spotykanych na przykład w Europie jeżozwierzy.

[26] Około półtora tysiąca kilometrów.

[27] W listopadzie 1835 roku przedstawiciele różnych regionów Teksasu, zebrani w San Felipe de Austin, dyskutowali o możliwości wystąpienia przeciw Meksykowi oraz wybrali między innymi prowizoryczny rząd teksaskich osadników i zarządzili organizację teksaskiej milicji i armii, na której czele miał stanąć Sam Houston (do jej utworzenia jednak wtedy jeszcze nie doszło).

[28] *Manifest destiny* to słowa Johna L. Sullivana, wydawcy „Democratic Review", z 1845 roku, a odnoszące się do szczególnego prawa Amerykanów do obejmowania w posiadanie kontynentu, „przeznaczonego przez Opatrzność na swobodny rozwój każdego roku przybywających milionów". W polskiej literaturze przedmiotu tłumaczone są jako „boskie przeznaczenie", „objawione przeznaczenie" albo „oczywiste przeznaczenie" (w dawniejszych opracowaniach także „Manifest Przeznaczenia"). „Oczywiste" bądź „naturalne" wydają się właśnie najodpowiedniejszymi tłumaczeniami, ponieważ łączą sens angielskiego słowa *manifest* z duchem artykułu Sullivana, w którym mowa o „naturalnym biegu wypadków" i „oczywistym planie Opatrzności", jakim jest zasiedlanie kontynentu.

[29] Oficerowie Meriwether Lewis i William Clark stali na czele wyprawy, która na polecenie prezydenta Thomasa

Jeffersona w latach 1804–1806 badała nowe, zachodnie obszary państwa, włączone na mocy porozumienia Stanów Zjednoczonych z Francją (1803), a także przetarła szlak do Pacyfiku.

[30] W oryginale *Algonquins* – Algonkinowie są ludem mieszkającym nad rzeką Ottawą, płynącą na granicy prowincji Quebec i Ontario w Kanadzie. Możliwe, że autor ma na myśli różne ludy „Algonkinów" ze wschodnich lasów Ameryki Północnej – w sensie użytkowników różnych języków należących do algonkińskiej rodziny językowej.

[31] High Plains to zachodnia część Wielkich Równin, od południowo-wschodniego Wyomingu na północy po północno-wschodni Teksas na południu.

[32] Stu stopniom w skali Fahrenheita odpowiada prawie czterdzieści stopni w skali Celsjusza.

[33] Na mocy traktatu z Francją Stany Zjednoczone kupiły obszar między rzeką Missisipi a Górami Skalistymi, dzięki czemu terytorium Stanów Zjednoczonych powiększyło się dwukrotnie, a Francja zrezygnowała ze swoich ostatnich kolonii w Ameryce Północnej.

[34] Rachel pisze o skórach „z rysunkiem słońca i księżyca" (*Narrative of the Capture and Subsequent Sufferings of Mrs. Rachel Plummer*, s. 111).

[35] W istocie etnografem można nazwać tylko E. Adamsona Hoebela, antropologa, który uczestniczył w badaniach wśród Komanczów pod kierunkiem Ralpha Lintona (Santa Fe Laboratory of Anthropology) w 1933 roku. Materiał etnograficzny zebrany podczas tej wyprawy badawczej stanowi jedno z podstawowych źródeł wiedzy na temat kultury Komanczów. Ernest Wallace był historykiem Teksasu.

[36] *Pemmican* – z języka cree „przetworzony tłuszcz", marynata z suszonego i startego mięsa wielkich zwierząt (zwykle karibu, łosia albo bizona), wymieszana z jagodami i zalana gorącym tłuszczem, znana Indianom w północnych i środkowych regionach Ameryki Północnej.

[37] W literaturze przedmiotu nazwa tego odłamu bywa także tłumaczona jako „Osy", zob. np. W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014.

[38] Indianie zwykle nosili ubrania ze skór zwierząt jeleniowatych (*deerskin* – w Teksasie mogły to być na przykład mulaki, *Odocoileus hemionus*, żyjące na Wysokich Preriach albo jelenie wirginijskie, *Odocoileus virginianus*, powszechne wszędzie na wschód od Gór Skalistych), przy czym często były to tylko skóry samców, czyli kozłów (*buckskin*), stąd pojawiające się w tekście określenie „kozłowa skóra" dotyczy skóry samców zwierząt z rodziny jeleniowatych (*Cervidae*).

[39] Obie żeńskie gry przypominały hokeja. W *shinny* zawodniczki używały zakrzywionych kijów, żeby pchać lub odbijać nimi wypełnioną włosiem piłkę ze skóry jelenia, o średnicy do dziesięciu centymetrów, tak aby trafić do bramki przeciwnika, utworzonej z dwóch palików. W *double-ball*, szybszej wersji *shinny*, zawodniczki przerzucały zakończonymi hakiem kijami skórzany rzemień tak, aby owinął się na paliku – „bramce" przeciwnika.

[40] W latach 1648–1653 Irokezi („Pięć Narodów") zaatakowali i zniszczyli inne ludy mówiące językami irokeskimi i sąsiadujące z nimi: Huronów, Petun, Neutralnych i Erie. Celem ataków nie było zajęcie ich ziem, ale uzyskanie dominacji w handlu z białymi. Indianie kupowali od Anglików i Holendrów broń palną i inne towary, a płacili pożądanymi w Europie skórami bobrów (stąd nazwa wojen tego okresu „wojny bobrowe"). Irokezi zagarniali z siedzib pokonanych ludów wielkie składy bobrowych skór, przygotowane na handel. Wojny były też sposobem, w jaki Irokezi wzmacniali własne szeregi, adoptując część pobitych ludów. Całkiem również możliwe, że przyczyny wojen prowadzonych przez Irokezów były ideologiczne: irokeskie Wielkie Prawo Pokoju, idea symbolicznego „długiego domu", w którym zamieszkują wspólnie „wszystkie" ludy, w istocie oznaczała pokój na warunkach Irokezów, a najłatwiejszą drogą było podbicie bliskich kulturowo i etnicznie, lecz odrębnych ludów i uczynienie z nich Irokezów.

Rozproszenie mieszkańców doliny Ohio pod koniec XVII wieku służyło Irokezom nie do tego, by zająć ich ziemie, ale by wykorzystać je jako terytoria łowieckie. Wbrew ambicjom Irokezów nad Ohio cały czas napływały grupy tubylcze z różnych kierunków (w tym nawet odłamy Seneków i Kajugów). W XVIII wieku Irokezi bezskutecznie próbowali wywierać nacisk na grupy indiańskie w dolinie Ohio (między innymi algonkińskich Szaunisów i Delawarów, ale też na przykład mówiących językiem irokeskim Wyandotów – potomków Huronów i innych ludów pobitych przez Irokezów w połowie XVII wieku), ale nigdy ich stamtąd nie wyganiali. Indianie z Ohio, tak jak z wielu innych miejsc w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych, migrowali ze swych ziem pod naciskiem białych osadników, a kraj nad Ohio utracili wskutek nieudanej rewolucji przeciw Anglikom (powstanie Pontiaca z 1763 roku) oraz wojen i negocjacji po

amerykańskiej wojnie o niepodległość, przy czym pierwsi prawa do tych ziem zrzekli się Irokezi.

[41] *Norteños* – tak Hiszpanie nazywali w XVIII wieku „narody z północy", czyli zajmujące terytoria na północ od osad hiszpańskich: Wichita, Keechi, Tonkawa, Tawakoni, Xaraname i Taovaya. Czasem także obejmowali tą nazwą Caddo i Komanczów. W liczącej tysiąc wojowników armii dokonującej pierwszego na taką skalę ataku na Hiszpanów w Teksasie byli najpewniej – obok Komanczów – Indianie Caddo, Wichita, Bidai, Yojuane i Tonkawowie.

[42] Wedle relacji Parrilli Apacze, którzy – jak wcześniej odnotował autor – jesienią 1757 roku udali się na polowanie na bizony, wysłali Hiszpanom wiadomość, że od października do grudnia zmagali się z poważną epidemią, niepozwalającą im na powrót do misji. Jednak nie wrócili do niej także w 1758 roku, więc ich nieobecność w marcu tego roku nie mogła być zaskoczeniem dla misjonarzy. Wydaje się, że zaskoczyła ona nie Hiszpanów, ale napastników, których głównym celem było powybijanie Apaczów.

[43] Hiszpanie nie mogli się jednak pogodzić z klęską i utrzymywali *presidio* w San Sabie przez kilka lat, a nawet zapewniali ochronę wyprawom myśliwskim Apaczów. Kolejne ataki zjednoczonych plemion na tę i nowe misje ustanowione przez Hiszpanów w Teksasie ostatecznie zmusiły Apaczów do ucieczki na południe, a Hiszpanów do zrewidowania polityki wobec Komanczów, Tonkawów i innych grup z północy Teksasu.

[44] W XVIII wieku Tonkawowie jednak nie byli jeszcze wrogami Komanczów, lecz – jak wiele innych ludów w Teksasie – byli nękani przez najazdy Apaczów i wielokrotnie prosili Hiszpanów o ochronę. Ustanowienie przez Hiszpanów misji dla swoich znienawidzonych wrogów potraktowali jako wypowiedzenie wojny i, o czym nie wspomina autor, znaleźli się w szerokiej koalicji plemion, wśród nich Komanczów, które w 1758 roku zniszczyły misję San Saba, aby nie stała się ona bazą dla apackich najeźdźców. Hiszpanie mieli więc powód, by atakować później ich osadę.

[45] Indianie mieli francuską broń, a nad kolejną osadą (Indian Taovaya, którzy brali udział w ataku na San Sabę) zaatakowaną przez Hiszpanów powiewała francuska flaga.

[46] Była to w istocie osada Indian Taovaya (przebywali w niej też Komancze).

[47] Inna nazwa bitwy z Taovaya i Komanczami.

[48] Cuerno Verde był prawdopodobnie wodzem Jupe, innego zachodniego odłamu Komanczów, który znika z zapisów historycznych na początku XIX wieku.

[49] Został nim Ecueracapa, wódz Kotsoteków.

[50] Na mocy traktatu w New Echota z 1835 roku, wymuszonego na Czirokezach przez prezydenta Andrew Jacksona i podpisanego przez niewielką frakcję tego ludu, Czirokezi musieli opuścić swe ziemie w Georgii, Karolinie Północnej, Tennessee i Alabamie (ziemie w Karolinie Południowej utracili już wcześniej). W 1838 roku milicja ochotnicza wyrzuciła z domów szesnaście tysięcy Czirokezów i zmusiła do tułaczki Szlakiem Łez na Terytorium Indiańskie (grupy Czirokezów zaczęły opuszczać ziemie ojczyste znacznie wcześniej, pod koniec XVIII wieku). Oblicza się, że w czasie tułaczki i zaraz po przybyciu na Terytorium Indiańskie zmarło od czterech do ośmiu tysięcy Czirokezów.

[51] Nazwy Muskogee i Krikowie (Creek) odnoszą się do tej samej grupy ludów. Muskogee (Maskoke) to nazwa, której używają sami Indianie, a „Creek" w XVIII wieku zaczęli stosować w odniesieniu do nich Anglicy. Krikowie należą do rodziny językowej muskogean, tak jak na przykład wymienieni w tym akapicie Coushatta (Koasati) i Alabama.

[52] W literaturze przedmiotu oraz angielskich, a potem amerykańskich aktach prawnych z XVIII i XIX wieku, które doprowadziły do utworzenia w 1825 roku kraju dla Indian na zachód od Missisipi (granice tego terytorium zmieniały się w zależności od zapotrzebowań osadników i wizji politycznych decydentów), używa się zamiennie określeń Indian Country i Indian Territory. Terytorium Indiańskie, systematycznie okrajane, przestało istnieć w 1907 roku, kiedy połączono Indian Territory z Oklahoma Territory i utworzono stan Oklahoma.

[53] Autor pomylił chronologię wydarzeń. Liczba podana przez Gwynne'a (za D. La Vere, *Contrary Neighbors. The Southern Plains and Removed Indians in Indian Territory*, Norman 2000, s. 64) dotyczy roku 1832, kiedy na Terytorium Indiańskim było oficjalnie tylko trzy i pół tysiąca Czirokezów, a przesiedlanie Indian z Południowego Wschodu miało jeszcze potrwać kilka lat.

[54] Ani Komancze, ani żadni inni Indianie Wielkich Równin nie mieszkali w wigwamach, które były typowymi

domostwami grup mówiących językami algonkińskimi ze wschodnich lasów („wigwam” w języku massachusett, używanym w Nowej Anglii, oznacza „dom”). Wigwamy miały kształt kopuły czy odwróconego do góry dnem koszyka, którego szkielet wykonywano z młodych wierzbowych gałęzi, a pokrycie stanowiła kora (najczęściej brzozy lub wiązu) lub skóry zwierząt. Potocznie jednak nazwy „wigwam” zaczęto używać na określenie wszystkich rodzajów domów indiańskich w Ameryce Północnej. Podobnie słowo *squaw*, oznaczające wśród różnych ludów algonkińskich z Nowej Anglii „młodą kobietę” albo „pannę”, przyjęło się jako określenie każdej Indianki, niezależnie od jej wieku i przynależności etnicznej, z czasem też nabrało pejoratywnego wydźwięku.

[55] W istocie Moore wydał Lipanom rozkaz spłoszenia koni Komanczów i część z nich faktycznie udało się rozpędzić, ale nic to nie dało, gdyż Komancze schwytali niepilnowane konie rangerów.

[56] Zdaniem T. W. Kavanagha przekazanie przez Matildę Lockhart informacji na temat innych jeńców, które posłużyło Teksańczykom do przygotowania planu zatrzymania Komanczów jako zakładników, dopóki nie zostaną zwróceni inni biali jeńcy, musiało nastąpić wcześniej, a więc Matilda musiała zostać uwolniona wcześniej, zob. T. W. Kavanagh, *The Comanches. A History 1706–1875*, Lincoln 1996, s. 263.

[57] Na poważny czy stoicki wygląd Indian na wczesnych zdjęciach wpływ miał, między innymi, czas potrzebny do wykonania zdjęcia, który mógł wynosić nawet dwadzieścia minut w zależności od zastosowanej techniki i światła – fotografie z tego okresu rzadko uchwytywały spontaniczne zachowanie fotografowanych osób, a ich autorom, zwłaszcza komercyjnym fotografom, wcale zresztą o to nie chodziło: im bardziej „dziko” Indianie się prezentowali, tym lepiej sprzedawały się zdjęcia.

[58] Autor wspomina o Isimanice ponownie na s. 322, podając tylko angielskie tłumaczenie jego imienia (Hears a Wolf, Słyszący Wilka), jako uczestnika negocjacji nad Medicine Lodge Creek, tym razem jednak przypisuje mu przynależność do odłamu Yamparika. Imię Isimaniki (zapisywane przez różnych autorów Essomanny, Es-a-man-a-ca lub Isananica) tłumaczy się jako Imię Wilka, Słyszący Wilka albo Wyjący Wilk. Inne źródła milczą na temat przynależności Isimaniki.

[59] Tejanos (z hiszp.), określenie Teksańczyków pochodzenia hiszpańskiego czy meksykańskiego, tutaj najwyraźniej użyte jednak w odniesieniu do wszystkich Teksańczyków. Białych Komancze nazywali *taibos*, którego to określenia autor również używa (aczkolwiek według antropologa Daniela Gela nie zawsze odnosiło się ono do białych jako innej rasy – w języku Komanczów i innych językach szoszońskich mogło wiązać się ze słońcem, jasnością czy byciem wodzem – oznaczać „wodza”, „człowieka ze wschodu”, „Anglo”, „Francuza” czy „jeńca”).

[60] Daniel Boone (1734–1820), jeden z najsłynniejszych traperów i osadników amerykańskich, przetarł szlak przez przełęcz Cumberland (Cumberland Gap) w Appalachach, dając początek osadnictwu w Kentucky. Pierwowzór Nathaniela Bumppo, bohatera powieści Jamesa Fenimore’a Coopera.

[61] John J. Linn w 1831 roku wybudował w Linnville przystań i magazyn, gdzie przyjmowano towary wysyłane z Nowego Orleanu. Linn był też pierwszym burmistrzem Victorii, a także kongresmenem w parlamencie Teksasu w latach 1837–1839.

[62] Komanczki, jak zauważa później autor, odgrywały rolę w większych wyprawach wojennych, zdarzało się nawet, że wojownikom towarzyszyło kilkaset kobiet: ich głównym zadaniem było rozbijanie tymczasowych obozów. Zdarzało się również, że, jak podają Wallace i Hoebel, szły z wojownikami „dla przyjemności”, jaką dawał udział w walce, i na przykład strzelały do wroga z łuków, choć nie w samym środku bitwy. Innym powodem uczestnictwa kobiety w wyprawie wojennej była chęć ucieczki od dotychczasowego męża, jeżeli w wyprawie brał udział jej nowy wybranek. Zdarzało się to często. Jak podaje William C. Meadows, kobiety towarzyszące wojownikom Komancze nazywali *Tek-nee-whap-wai-ee-pub*, co można przetłumaczyć jako „wojowniczka”.

[63] Czyli poszukiwaczy złota, którzy w 1849 roku masowo napływali do Kalifornii.

[64] Jest to odwołanie do jednej z najpopularniejszych amerykańskich pieśni patriotycznych, *America the Beautiful*, której słowa powstały 1893 roku.

[65] Według *Fanning’s Illustrated Gazetteer of the United States* z 1853 roku na Terytorium Indiańskim już w 1841 roku żyło dziewięćdziesiąt sześć tysięcy Indian z dwudziestu pięciu różnych grup (najliczniejsi byli Czirokezi i Krikowie, liczący odpowiednio dwadzieścia sześć i dwadzieścia pięć tysięcy osób).

[66] Był to colt Patersona, pierwszy z rodziny coltów.

[67] Chodzi o mosiądz wysokoniklowy, znany też jako „nowe srebro”, a dawniej jako „argentan” – stop miedzi, niklu i cynku wynaleziony w Chinach, produkowany na masową skalę na ziemiach niemieckich na przełomie XIX i XX wieku i kolorem przypominający srebro.

[68] Czyli 2,06 kg.

[69] Jeden gran (ziarno) to 0,0648 g.

[70] * Żwacz, czyli część przewodu pokarmowego przeżuwaczy, do którego trafia częściowo przeżuty pokarm z przełyku. Zanim do Komanczów (i innych Indian Wielkich Równin) trafiły miedziane garnki, używali oni żwaczy do podgrzewania lub gotowania mięsa. Do zawieszonego na palu lub kilku palach żwacza wrzucało się rozgrzane w ogniu kamienie, wlewało wodę i wkładało mięso, które gotowało się wraz z wodą. Żwacze służyły także jako pojemniki na wodę i jedzenie.

[71] Tak zwany *double-log cabin, dog-run cabin* albo *dogtrot cabin*, czyli dom składający się z dwóch oddzielnych izb połączonych zadaszonym przejściem (jeśli dom miał werandę, to dwuspadzisty dach rozciągał się również nad nią), popularny na południu Stanów Zjednoczonych w XIX wieku (na tej samej konstrukcji opierają się również bardziej okazałe domy).

[72] Autor przytacza tu opinię uczestnika wojny secesyjnej i autora podręcznika kawalerzysty Philipa St. George Cooke’a, zacytowaną w: T. R. Fehrenbach, *Comanches. Destruction of a People*, New York 1974, s. 400. W istocie istniały dwie wersje karabinka Springfielda 1842: gładkolufowa i gwintowana. W okresie, o którym pisze autor, prawdopodobnie używano jeszcze wersji gładkolufowej, a więc gorszej: wystrzelona kula leciała z mniejszą energią, broń była też mniej celna. Ogólnie jednak była to dobra broń, z powodzeniem stosowano ją (już wersję gwintowaną) w czasie wojny secesyjnej.

[73] Szlak Łez (*The Trail of Tears*) – trawestacja określenia stosowanego przez Czirokezów: Nunahi-Duna-Dlo-Hilu-I, „szlak, na którym płakali”. Tak określa się wymuszony przez białych exodus ludów z Południowego Wschodu na Terytorium Indiańskie, głównie w trzecim dziesięcioleciu XIX wieku, na skutek uchwalonej w 1830 roku przez Kongres Ustawy o przesiedleniu Indian (*Indian Removal Act*). Przyniósł tysiące ofiar. Zob. też przypis dolny na s. 122.

[74] Wskutek traktatu z Council Springs nad rzeką Brazos, zawartego w 1846 roku, władze Teksasu doprowadziły do utworzenia dwóch rezerwatów – Dolny Rezerwat (Lower Reserve) przeznaczono dla Indian Caddo i grup z nimi sprzymierzonych (Anadarko, Tonkawa, Waco, Szaunisi i Delawarowie), a Górny Rezerwat (Upper Reserve) dla Komanczów. Większość Penateków (którzy w istocie nie brali udziału w negocjowaniu traktatu) osiedliła się w Górnym Rezerwacie.

[75] Starszy kapitan (*senior captain*) oznacza w tym przypadku kapitana pozostającego najdłużej na służbie, co daje mu pierwszeństwo wśród pozostałych kapitanów.

[76] „Cukrem” był kopczyk piasku usypany w środku kręgu. Dzieci ustawiały się dookoła „niedźwiedzia” i bronionego przez niego „cukru” jakby w kolejce, każde trzymało się bioder poprzedniego, z twarzami zwróconymi ku kopczykowi piasku. „Matka”, czyli pierwsze dziecko w kolejce, kołysała „kolejką”, tak aby uniknąć złapania przez „niedźwiedzia”. Kiedy jednak któreś z dzieci zostało złapane, „niedźwiedź” je „zjadał” (w rzeczywistości łaskotał). Zabawa kończyła się wtedy, gdy wszystkie dzieci zostały złapane przez „niedźwiedzia” albo gdy udało się ukraść cały „cukier”.

[77] Hoebel i Wallace pisali, że jako świdra Komancze używali twardego patyka, który wtykano pionowo w dziurę wydrążoną w ułożonym poziomo bardziej miękkim materiale i wypełnioną „hiszpańskim mchem” lub wewnętrzną częścią ptasiego gniazda. Za świder oraz za podpałkę mogły też posłużyć fragmenty łodygi juki.

[78] Oplątwa brodaczkowa (*Tillandsia usneoides*), gatunek porośli.

[79] Cytowany tu autor dodaje, że jeśli ptak miał w dziobie błoto, oznaczało to, że leciał właśnie znad wody. *Dirt dauber* to w istocie nazwa różnych gatunków os (np. *Trypoxylon politum*), które budują swoje gniazda z błota. Ptak, o którym mowa, to jaskółka dymówka (*Hirundo rustica*), gnieżdżąca się w pobliżu gniazd os.

[80] Komancze porwali siedem osób, a ósmą, ciężko ranną i oskalpowaną Matildę Friend (będącą w ósmym miesiącu ciąży), zostawili, przekonani, że ją zabili (Matilda przeżyła, urodziła też córeczkę). Z porwanej siódemki zabili w pierwszych dniach ucieczki pięć osób: trzy młode kobiety oraz dzieci dwóch z nich: półtoraroczną Fielty Johnson

i trzyletnią Nancy Elisabeth Johnson. Pozostałą przy życiu dwójkę, ośmioletnią Minnie Caudle i siedmioletniego Temple Frienda, Komancze zaadoptowali, a po kilku latach zwrócili.

[81] „Dakotami" określają siebie grupy Siuksów mówiące dialektami santee-sisseton (Dakoci Wschodni) oraz yankton-yanktonai (Dakoci Zachodni). Santee żyli najbardziej na wschód ze wszystkich Siuksów (na wschodzie sięgali aż do Iowy), na zachód od nich żyli Yankton-Yanktonai (Minnesota). Trzecim wielkim odłamem Siuksów, najbardziej wysuniętym na zachód, byli Lakoci (Tetononowie), czyli Siuksowie Zachodni, zamieszkujący Dakotę Północną i Dakotę Południową.

[82] Język Kiowów należy do rodziny kiowa-tano.

[83] Według różnych relacji tym trębaczem miał być albo Satanta (Biały Niedźwiedź), wódz Kiowów, albo zbiegły z armii amerykańskiej murzyński żołnierz, który zamieszkał wśród Kiowów.

[84] Komanczeria w drugiej połowie XIX wieku była jakby niecką, otoczoną przez Amerykanów od wschodu, północy i zachodu: od wschodu (i północy) tradycyjnie naciskali osadnicy, co ułatwiło zakup Luizjany w 1803 roku, a zachód Stany Zjednoczone zdobyły dzięki podbojom militarnym (1845–1848 – oderwanie Teksasu, a potem Nowego Meksyku i Kalifornii od Meksyku), eksploracji nowych ziem i dyplomacji (uzyskanie Oregonu w 1846 roku na mocy traktatu z Wielką Brytanią).

[85] Ówczesny komisarz do spraw Indian Nathaniel G. Taylor został szefem komisji pokojowej.

[86] Generał Sherman, ówcześnie głównodowodzący Wydziału Wojskowego Missouri (po wojnie secesyjnej istniały dwa Wydziały: Missouri i Pacyfiku – zob. przypis dolny na s. 365), choć pierwotnie mianowany członkiem komisji pokojowej, z powodu wygłaszanych wobec Indian wrogich opinii został wezwany do Waszyngtonu i nie uczestniczył w obradach i podpisywaniu traktatu. Zastąpił go generał Christopher C. Augur, dowódca Departamentu Platte (jednego z czterech wchodzących w skład Wydziału Missouri). Sherman został głównodowodzącym armii w 1869 roku i był nim do 1883 roku.

[87] Zapewne chodzi o „Rucker ambulance" (od nazwiska tytularnego generała majora Ruckera, który nadzorował ich konstrukcję), czyli ciągnięte przez konia czterokołowe wozy dostosowane do przewożenia chorych i rannych. Mieściły czterech rannych w pozycji leżącej i dwóch w pozycji siedzącej (albo mniej więcej dwanaście osób w pozycji siedzącej). Ambulanse do transportu rannych zaczęły stosować w czasie wojny secesyjnej wojska Unii. Ambulansami, które dotarły nad Medicine Lodge Creek, przyjechali żołnierze piechoty, co było dziwne, ponieważ rzadko używano ich do przewożenia zdrowych żołnierzy. Przyczyną była zapewne niecodziennie wielka liczba uczestników konferencji pokojowej. Pewien dziennikarz, świadek tego wydarzenia, obliczył, że kolumna białych liczyła dwieście jedenaście wozów i miała długość dwóch mil.

[88] Według innych szacunków nawet pięć tysięcy.

[89] Wojownikami, którzy przegalopowali przez potok, robiąc wrażenie na zebranych świetnym opanowaniem sztuki jazdy konnej, i zatrzymali się gwałtownie przed komisarzami, było pięćdziesięciu–osiemdziesięciu Szejenów Siwej Głowy i Wysokiego Byka, wodzów szejeńskiego stowarzyszenia wojowników Ludzi-Psów (Żołnierzy-Psów). Inne relacje milczą na temat szyku w kształcie obracającego się pierścienia.

[90] Poza wspomnianymi Taylorem i Augurem w skład komisji weszli: senator John B. Henderson, Samuel F. Tappan, były oficer milicji w Kolorado i szef komisji badającej okoliczności masakry nad Sand Creek, John B. Sanborn, weteran wojny secesyjnej, emerytowany generał William S. Harney i generał major Alfred H. Terry.

[91] Według niektórych źródeł imię to znaczyło Biały Nóż.

[92] Fragmenty tłumaczenia przemówienia Dziesięciu Niedźwiedzi zaznaczone nawiasem okrągłym pochodzą z: D. Brown, *Pochowaj me serce w Wounded Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu*, przeł. J. D. Brenner, M. Brenner, E. Jarzębska, Warszawa 1981, s. 222, 223.

[93] Jak wspomniano wcześniej, Sherman nie uczestniczył w obradach. Cytowane w tym akapicie słowa usłyszeli od niego wodzowie Lakotów w North Platte, w Nebrasce, 20 września 1867 roku, a więc niemal miesiąc przed rozpoczęciem rozmów nad Medicine Lodge Creek (19 października). Właśnie po przemowie w North Platte Sherman został odwołany z komisji pokojowej.

[94] Szejeni Południowi i Arapahowie Południowi otrzymali rezerwat na północ od nich: między 37 równoleżnikiem

a rzekami Cimmaron i Arkansas (ponad cztery miliony akrów).

[95] Odniesienie do purytanów, radykalnego odłamu protestantów angielskich, którzy w 1620 roku założyli kolonię w Plymouth, w Nowej Anglii. Po Jamestown w Wirginii była to druga udana kolonia angielska w Ameryce Północnej.

[96] Traktat nad Medicine Lodge Creek przewidywał wyposażanie co roku przez trzydzieści lat wszystkich członków plemion Komanczów, Kiowów i Kiowa-Apaczów w rozmaite artykuły, takie jak wełniane ubrania, koszule flanelowe czy – w przypadku kobiet – dwadzieścia cztery jardy dwóch różnych materiałów do szycia. Oprócz tego – przez ten sam okres – każdy Indianin miał otrzymywać inne towary, wskazane przez komisarza do spraw Indian jako dla nich niezbędne, a ich łączna wartość dla wszystkich Indian miała wynosić trzydzieści tysięcy dolarów (każdego roku).

[97] Stopnia tytularnego (*brevet*) nie cofano po zakończonej walce czy wojnie i oficerowie pozostawali z dwoma stopniami: regularnym (stałym) i tytularnym, który z reguły był wyższy. Na przykład Custer był tytularnym generałem (i jako generał został zapamiętany w powszechnym odbiorze), ale jego stałym stopniem wojskowym był podpułkownik kawalerii. Po wojnie z Meksykiem *brevet* przestał być tytułem honorowym, co oznaczało, że oficer z tytularnym wyższym stopniem mógł się stać przełożonym innego oficera, choć jego regularny stopień był niższy. W czasie wojny secesyjnej stopnie tytularne nadawano masowo i dlatego w armii Stanów Zjednoczonych zaroiło się od pułkowników i generałów. Tych tytularnych stopni używano oficjalnie oraz towarzysko. Stopni *brevet* nie przyznawano za walkę z Indianami.

[98] Według innej relacji Mackenzie przymocował do czubka szabli swój żołnierski płaszcz.

[99] Armia (rzeki) James – nazwy armii Unii nosiły nazwy rzek.

[100] W czasie wojny secesyjnej Unia nie zwiększała liczebności armii regularnej, lecz powoływała armie ochotnicze. W każdej z nich można było mieć jednocześnie stopień stały i tytularny, a więc oficer oddelegowany z armii regularnej do ochotniczej mógł mieć nawet cztery stopnie.

[101] Chodzi o generała Konfederacji Jubala Early’ego.

[102] Imię wodza Quahada Parra-o-cooma (Paruacooma) w amerykańskiej literaturze przedmiotu podawane jest albo jako He Bear, albo Bull Bear (jak u Gwynne’a). W jednym i drugim przypadku chodzi o samca niedźwiedzia.

[103] Prototypy konstrukcji karabinów powtarzalnych pojawiały się już przed wojną secesyjną, wielkie zapotrzebowanie na nowoczesną broń podczas wojny zaowocowało masową produkcją, obok karabinów Spencera, także karabinów Henry’ego z − podobnie jak w spencerach – repetowaniem lewarowym.

[104] Warstwa węglanu wapnia zwana *caliche*.

[105] Generał Philip Henry Sheridan (1831–1888), w czasie wojny secesyjnej dowodził korpusem kawalerii w Armii Potomaku, zasłynął ze spustoszenia strategicznej doliny Shenandoah w zachodniej Wirginii jesienią 1864 roku. W sierpniu 1867 roku powierzono mu dowództwo wojskowego Departamentu Missouri, a zimą 1868–1869 prowadził kampanie przeciw Szejenom, Kiowom i Komanczom (atak Custera na wioskę Szejenów Czarnego Kotła nad rzeką Washitą w listopadzie 1868 roku był częścią tej kampanii). W marcu 1869 roku został głównodowodzącym wojskowego Wydziału Missouri. 1 listopada 1883 roku zastąpił Williama Tecumseha Shermana na stanowisku głównodowodzącego armii amerykańskiej.

[106] W dnie potoku były w tym miejscu głębokie wyżłobienia o długości ponad pięćdziesięciu metrów.

[107] Badacze, których cytuje autor, opisują staranne przygotowania zwłok do pogrzebu, łącznie z ich umyciem, podniesieniem kolan do klatki piersiowej i pochyleniem głowy ku kolanom, pokryciem twarzy cynobrem i zaklejeniem oczu czerwoną gliną. Ciało zmarłego umieszczano w grobie w pozycji siedzącej albo na boku, z twarzą w stronę wschodzącego słońca. Szamanów, jeśli to było możliwe, chowano na wzgórzu lub jego stoku, po południowej stronie, najlepiej w miejscu, w którym otrzymali swoją moc. Czasem zabitych podczas wyprawy wojennej wojowników chowano w zagłębieniu wodnym. Zdarzało się, że nad grobem śpiewano pieśń śmierci i tańczono, chodząc dookoła niego.

[108] Zachodnie terytoria Stanów Zjednoczonych podzielono w 1865 roku na dwa wydziały wojskowe: Wydział Pacyfiku i Wydział Missouri, który obejmował obszar od Missisipi do współczesnych zachodnich granic Nowego Meksyku, Utah, Wyomingu (z Idaho na wschód od 114 południka długości zachodniej) i Montany; Wydział Missouri został podzielony na cztery departamenty: Dakota, Platte, Missouri i Teksas. Wydział Pacyfiku leżał na zachód od

Wydziału Missouri i obejmował stany: Kalifornia, Nevada, Arizona, Oregon, Waszyngton i Idaho.

[109] Sheridan wypowiedział te słowa w zgromadzeniu parlamentarnym Teksasu w 1874 roku, podczas debaty nad ustawą o ochronie bizonów. Ustawa nie została przyjęta.

[110] W oryginale: „He not hand back. God kill him, he afraid". Być może chodzi o to, że wojownik nie oddał fajki Quanahowi (albo wcale jej nie przyjął, w każdym razie nie wypalił jej z Quanahem: nieodwzajemnienie gestu było odmową i obrazą) na znak, że nie chce brać udziału w wojnie z białymi. Może uważał, że *puha* Boga białych jest większa niż *puha* Eschitiego, i obawiał się, że Bóg białych go zabije. Quanan zaś nazywa go tchórzem: „He afraid". Możliwe też, że to Quanah przeklinał opornego wojownika: „God kill him", czyli „Niech go bóg zabije za to, że jest tchórzem".

[111] Gryzonie z rodziny *Geomyidae*, żyjące pod ziemią w głębokich i rozbudowanych korytarzach.

[112] W polskiej literaturze spotyka się też tłumaczenie Szara Broda. Był również nazywany Siwą Głową (Gray Head).

[113] William H. Thompson był dowódcą indiańskich i murzyńskich zwiadowców w oddziałach Mackenziego.

[114] Zadaniem pisarza agencji było zbieranie danych statystycznych o mieszkańcach rezerwatu (jak mieszkali, czym się trudnili, co uprawiali, do jakiego Kościoła przynależeli, czy posyłali swe dzieci do szkoły i do jakiej, czy mówili po angielsku, czy nosili stroje białego człowieka, jaki był stopień pokrewieństwa poszczególnych osób z grupą zamieszkującą rezerwat – tak zwane *blood quantum*). Dane te przygotowywano na użytek raportów, które administrujący rezerwatem agent do spraw Indian musiał co roku składać w Urzędzie do spraw Indian.

[115] Chodzi o grupy indiańskie zamieszkujące na zachód od 96 południka na Terytorium Indiańskim.

[116] Określenie *sooner* pochodzi od klauzuli (zwanej *sooner clause*) w Ustawie o uregulowaniu stosunków z Indianami z 2 marca 1889 roku, która upoważniała prezydenta do wskazania daty oddania ziem indiańskich osadnikom. *Sooners* (od ang. *sooner* – wcześniej) rozpoczęli wyścig po ziemię, nie czekając na proklamację prezydenta; 23 marca 1889 roku Benjamin Harrison wyznaczył przekazanie prawie dwóch milionów akrów ziemi na Terytorium Indiańskim na dzień 22 kwietnia 1889 roku.

[117] Nieco inną wersję tego wydarzenia podaje Hagan: to Quanah miał być tym, który zapalił lampkę gazową i najwyraźniej zapomniał ją zgasić przed snem; zob. W. T. Hagan, *Quanah Parker, wódz Komanczów*, przeł. B. Hlebowicz, Wielichowo 2014, s. 69.

[118] Innymi słowy, pieniądze szły do Biura do spraw Indian, które dysponowało nimi w imieniu Indian. Liczne błędy i defraudacje doprowadziły w ostatnich latach do wielkiego procesu sądowego i ugody (zawartej w 2009 roku), na mocy której państwo amerykańskie ma przeznaczyć 3,4 miliarda dolarów na zadośćuczynienie indywidualnym Indianom oraz na odkupienie przez rząd ziem plemiennych utraconych przez ludy indiańskie w wyniku Ustawy Dawesa i oddanie ich grupom indiańskim jako własność wspólnotową; sprawa nosi w piśmiennictwie nazwę *Cobell v. Salazar*.

[119] Narodowy Rezerwat Dzikiej Zwierzyny w Górach Wichita (Wichita Mountains National Wildlife Refuge) to nazwa istniejąca od 1936 roku. Wcześniej, w 1905 roku, prezydent Roosevelt proklamował utworzenie pierwszego w kraju rezerwatu wielkich dzikich zwierząt o nazwie Wichita Forest and Game Preserve; w latach 1907–1936 nosił on nazwę Wichita National Forest and Game Preserve.

[120] Wyznawcy pejotlu spożywali (wcześniej zasuszane) pączki kaktusa, czyli części rośliny rosnące nad ziemią.

[121] *Standing Room Only*, czyli „Wszystkie miejsca siedzące są zajęte".

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl,
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2015
Wydanie I